

GONZALO GINER

TAJEMNICA ŁOŻY

Z hiszpańskiego przełożyła AGNIESZKA WALULIK

Dla Pilar, za twoją nieocenioną pomoc

Rezydencja markiza de la Ensenada. Madryt Rok 1746

12 grudnia

Na widok sądowego nakazu dwaj strażnicy, którzy strzegli ogromnych, żelaznych wrót pałacu don Zenona de Somodevilli, markiza de la Ensenada, stanęli na baczność i przepuścili orszak, któremu przewodniczył siejący postrach inkwizytor generalny królestwa, biskup don Francisco Perez Prado y Cuesta, oraz główny przełożony zakonu jezuitów, ojciec Ignacio Castro.

Szybkiemu przemarszowi nocnych gości, gnanych wagą powierzonej im misji i chęcią jak najszybszego jej zakończenia, towarzyszyło tylko wątle światelko przy ścieżce, która przecinała ogrody wspaniałej posesji. Przerazającą ciszę, jaka ich spowijała, zakłócał jedynie metaliczny brzęk wydawany przez laski dwóch inkwizytorskich pomocników.

Jeden ze sług markiza, idący nieco z przodu przed ponurą grupką, prowadził ją w stronę wejścia do pałacu. Nawet sobie nie wyobrażał, cóż to za sprawa przywiodła inkwizytorów o tak niezwykłej porze. Zawołał głośno i po chwili majordomus otworzył drzwi, po czym, nie pytając o nic, wpuścił przybyszy do holu. Następnie zaprowadził biskupa do biblioteki, gdzie czekał już na niego Somodevilla, któremu towarzyszyła tego wieczoru jego bliska przyjaciółka dona Faustina, hrabina de Benavente.

Najwyższy zwierzchnik Świętej Inkwizycji nie zwykł brać udziału w aresztowaniach, lecz w tym przypadku jego obecność była aż nadto usprawiedliwiona, gdyż chodziło o donos, który dotyczył domostwa samego markiza. Ostre, szczupłe rysy i głębokie oczy nadawały twarzy biskupa wyraz nie tylko surowy, lecz także nieprzenikniony, przez co była ona pozbawiona wszelkich uczuć: człowiek ów bowiem kierował się bardziej wymogami swej pracy niż jakimikolwiek płynącymi z serca impulsami.

Biskup miał na sobie płaszcz z szorstkiego materiału. Na płaszczu tym, na wysokości lewego ramienia, widniał znak, który od trzystu lat stanowił symbol jednej z siejących największy postrach instytucji w kraju: zielony krzyż ze szpadą po lewej i gałązką oliwną po prawej stronie - symbol Świętego Oficjum.

Podwójne drzwi, które prowadziły do okazałej biblioteki markiza, stanęły otworem. Z pełnym szacunku ukłonem majordomus oznajmił przybycie biskupa.

- Czcigodny ojcze, oczekiwaliśmy was z wielką niecierpliwością. - Z tymi słowami markiz de la Ensenada, który piastował również stanowisko ministra skarbu, obrony oraz

floty i Indii, a także pierwszego ministra króla Ferdynanda VI, podniósł się z sofy, by powitać inkwizytora, po czym ucałował jego pierścień.

- Pokój temu domowi! - odparł Perez Prado. - Dziękuję waszej wielmożności za miłe powitanie, choć mojej wizyty nie można nazwać towarzyską.

Don Zenon podprowadził go bliżej do fotela zajmowanego przez hrabinę de Benavente, która na uprzejme pozdrowienie don Francisca zaproponowała mu miejsce w pobliżu kominka i filiżankę gorącej czekolady. Duchowny z chęcią przystał na obie propozycje, pomimo skrępowania, jakie zawsze budziła w nim owa dama z jej wręcz obraźliwą urodą.

Dona Faustina miała bowiem zaokrąglone policzki, które wyglądały jak wyrzeźbione przez anioła. Pod delikatną krzywizną kapryśnych ust, które zdawały się nadymać lub ściągać zgodnie z rytmem jej mowy, rysowała się prześliczna bródka. Jej nos był subtelny i nieco zadarty, a co się tyczyło oczu, to nie istniał mężczyzna, który nie dałby się złapać w ich szmaragdową sieć, uwiedziony spojrzeniem Faustyny.

Promienna uroda dwudziestodwuletniej hrabiny, od sześciu lat małżonki hrabiego de Benavente, cieszyła się taką sławą, że w Madrycie trudno było znaleźć szlachcica, który nie starałby się jej zdobyć, mimo iż powszechnie wiedziano, że nikomu jeszcze nie powiódł się ten zamiar.

- Proszę powiedzieć, w jaki sposób planujecie przeprowadzić to pojmanie, które nas tu zgromadziło.

Hrabina wzięła z rąk biskupa filiżankę czekolady i odstawiła ją na ozdobny stół z kararyjskiego marmuru.

- Wszystko jest gotowe. Wasza ekscelencja musi tylko wyrazić zgodę i wskazać mi, gdzie mogę znaleźć tego człowieka.

Markiz de la Ensenada skinął głową, a inkwizytor, mówił dalej:

- Jak w każdym przypadku, początkowo nie będziemy go informować o zarzutach, jakie zostały mu postawione, by w miarę możliwości przeszkodzić mu w odkryciu, kto złożył donos. Następnie oskarżony zostanie zabrany do tajnego więzienia. Będzie tam przebywał w całkowitym odosobnieniu przez okres do ośmiu dni; to czas wystarczająco długi, by mógł przemyśleć swoje grzechy. Jeśli dzięki boskiemu natchnieniu przyzna się do nich, pański pokój owiec, don Antonio Rosillón, będzie mógł prosić o łaskę i sprawa nie trafi do wyższych instancji. Jeśli tylko zdoła nas dostatecznie przekonać o swej skruszce, będzie mógł wrócić do normalnego życia bez wyciągania przez Święte Oficjum żadnych dalszych konsekwencji,

choć oczywiście będzie musiał odprawić pewną pokutę, by jego dusza całkowicie uwolniła się od zmyły grzechu.

- Jak mówiłem wam kilka dni temu - przerwał markiz - byłoby to z wielką korzyścią dla rządu, gdybyście w trakcie swej świętej posługi zdołali uzyskać jakiegokolwiek nowe informacje o działalności i planach masonerii, do której podobno należy ten mój niewierny sługa. Jak dobrze wiecie, donos na niego został złożony przez ojca Parejasa, kapłana naszej drogiej hrabiny de Benavente, która poinformowała mnie o całej sprawie, za co jestem jej głęboko wdzięczny.

Kobieta podziękowała za uprzejmość ciepłym uśmiechem, w którym odbijała się jej całkowita lojalność wobec markiza.

- Poza moimi pomocnikami sprowadziłem tu dziś także przełożonego jezuitów, ojca Castro, jako że jego zakonowi również zależy na ukróceniu tej niebezpiecznej herezji. Zapewniam, że poświęcimy temu wszystkie nasze siły, ekscelencjo. - Biskup dysponował odpowiednimi środkami i siłą perswazji tak wielką, że potrafił wydobyć kompletne i szczegółowe zeznanie nawet z najbardziej opornego więźnia.

Niepokój, jaki żywił wobec masonerii królewski minister, opierał się na solidnych i uzasadnionych podstawach. Co się tyczyło religii, papież Klemens XII wydał w roku 1738 bullę, w której potępiał owo tajne stowarzyszenie. Pod karą ekskomuniki zabraniał w niej katolikom udziału w spotkaniach, przynależności czy też jakiegokolwiek kontaktu z wolnomularzami. Tajny charakter bractwa wzbudzał w dostojnikach kościelnych, a także w samym ministrze, podejrzania o ciemne zamiary natury politycznej - wszyscy przecież wiedzieli, że do masonerii należało wielu arystokratów i osób piastujących wysokie stanowiska wojskowe.

Jakieś dwadzieścia lat wcześniej masoni ustanowili w Madrycie swoją pierwszą siedzibę, w starym hotelu o nazwie Trzy Kwiaty Lili, a odpowiedzialnym za założenie loży był angielski szlachcic o nazwisku Wharton. Początkowo dzięki innym obcokrajowcom, potem zaś przy pomocy rodowitych Hiszpanów masoni zaczęli z niezwykłym powodzeniem szerzyć swoją doktrynę w różnych miastach królestwa, gdzie zakładano potem nowe loże czy też domy, w których zbierali się, by odprawiać tajne rytuały.

Podejrzliwość markiza wzmagaly jeszcze pogłoski o sekretnych przysięgach i okrucieństwie kar, którym poddawano członków, jeśli przyłapano ich na wyjawianiu nazwisk współbraci czy też dążeń bractwa.

By odkryć ich zamiary, don Zenon postanowił zatem przeniknąć do kilku łóż przy pomocy swych najbliższych współpracowników. Dzięki ich doniesieniom zdołał potwierdzić

pewne szczegóły dotyczące podstaw masońskiej filozofii oraz rytuałów i zaczął wierzyć, że była to niebezpieczna organizacja, która zawiązała spisek przeciwko niemu samemu, jako zwierzchnikowi rządu, oraz przeciwko całej Hiszpanii.

Do tego wszystkiego doszło teraz oskarżenie o członkostwo w masonerii jego własnego pokojowego. Stąd też wypływało zainteresowanie markiza całą sprawą i prośba do Świętego Oficjum o sprawdzenie, jak dalece zaangażowany był Rosillón, oraz jakie były zamiary stowarzyszenia. Gdyby potwierdzono ów poważny zarzut szpiegostwa, zniweczenie działań bractwa musiałyby stać się dla don Zenona sprawą wagi państwowej.

- Żeby nie przedłużać sprawy, prosiłbym waszą czcigodność o natychmiastowe zatrzymanie pana Rosillóna. - To rzekłszy, markiz podniósł się i zadzwonił dzwoneczkiem, by wezwać swego majordomusa. - Każę służbie zaprowadzić was do jego pokojów. Liczę, że ta przygnębiająca sprawa znajdzie szczęśliwe zakończenie.

- Moje posłannictwo jest święte i proszę mi wierzyć, że wypełniam je z całkowitym oddaniem, jak również - mogę dodać - z pewną satysfakcją - odparł biskup.

Przed opuszczeniem biblioteki przystanął na chwilę, po czym spojrzał na markiza oraz hrabinę i uśmiechnął się do nich złowieszczo.

Żaden dźwięk nie zakłócił napiętej ciszy, jaka zapadła po jego wyjściu, dopóki w korytarzach nie ucichło echo jego kroków.

Nagrzany kominek emanował wystarczającym ciepłem, by w bibliotece nie odczuwało się chłodu, jednak hrabina de Benavente zaczęła rozcierać sobie dłonie z energią, która zdawała się świadczyć o czymś wręcz przeciwnym. Jej przelotne drżenie nie uszło uwagi markiza.

- Faustino, czy mam rozkazać, żeby dorzucili do ognia? Usiadł przy niej i ujął jej dłonie, by je rozgrzać. Natychmiast wyczuł tę szczególną delikatność skóry, która - choć niezbyt często miał okazję jej dotykać - nie była mu też całkowicie obca.

- Moje drżenie nie wypływa z chłodu twego domu, drogi przyjacielu, lecz z obecności biskupa. Przerazają mnie jego nieprzeniknione oczy, zimne jak węgle, i jego czarna, twarda jak stal dusza. - Kobieta skromnie cofnęła dłonie. - Wiesz dobrze, mój panie, że to ja ponoszę odpowiedzialność za jego dzisiejszą wizytę, jednak nie znaczy to, iż przestałam odczuwać do niego niechęć. W mojej opinii człowiek ten reprezentuje wszystko, co w istocie ludzkiej najgorsze.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. - Spojrzenie markiza spoczęło na tych oczach, które nigdy nie przestawały go oczarowywać. - Wymieniliśmy już kiedyś opinie na temat Świętego Oficjum, więc znasz moje zdanie w tej kwestii. Muszę jednak przyznać, że mimo wszystko

biskup jest mi dziś bardzo potrzebny, zeznanie Rosillóna zaś będzie miało najwyższą wagę, chociażby uzyskano je przy pomocy niezwykłych metod Péreza Prado.

Hrabina de Benavente stanęła na chwilę przy kominku, by przegonić chłód, który nappełnił ją za sprawą ponurego inkwizytora.

- Znamy się chyba dość dobrze, drogi przyjacielu, bym mogła zauważyć, że przejawiasz szczególne zainteresowanie tą sprawą, zamiast uznać ją za zwyczajny przypadek herezji. Co cię tak dręczy?

Ponownie usiadła, rozkładając przy tym fałdy sukni, a następnie dokonując trudnej operacji ułożenia rogówki - usztywnienia, które poszerzało jej biodra.

- Jak wiesz, mam wielu wrogów, zarówno w Hiszpanii, jak i poza nią. Na ogół wystrzegam się jednych i drugich, lecz podejrzewam, że zjednoczyli swe siły, by usunąć mnie ze stanowiska i zakłócić spokój królestwa. Jestem też niemal pewien, że masoneria odgrywa w tym spisku decydującą rolę.

- Zatem uważasz, że twój pokojowy jako mason bierze udział w konspiracji, której zadaniem jest szpiegowanie cię?

- Tego właśnie chcę się dowiedzieć, moja wierna przyjaciółko. Gdy tylko powiedziałaś mi o Rosillónie, pomyślałem, że donos na niego zainteresuje Święte Oficjum, które bardzo chce uzyskać jakieś dowody przeciw masonerii. W tej sprawie łączy nas wspólny interes, toteż mam nadzieję, że inkwizycja potwierdzi moje domysły i odkryje, kto stoi za tym wielkim spiskiem.



Dwa piętra ponad biblioteką ponury orszak kierował się właśnie w głąb długiego korytarza, gdzie zgodnie z informacją miał przebywać Antonio Rossillón. W miarę, jak przechodził, zza niektórych drzwi wychylały się głowy czeladzi markiza. Zaskoczenie ustępowało miejsca trwodze, gdy tylko służący pojmwali znaczenie owej procesji. Natychmiast zamykali drzwi, modląc się przy tym, by to nie na nich skupiła się uwaga duchownych. Po przejściu księży powietrze stawało się mroczne i duszne. Poruszenie, jakie wzbudzały początkowo ich kroki, zmieniło się na ostatnich metrach w martwą ciszę, aż w końcu inkwizytorzy dotarli do drzwi, ku którym zmierzali.

Jeden z nich zastukał trzykrotnie. Dwóch pomocników stanęło po obu jego stronach. W jednej dłoni trzymali laski, w drugiej zaś krótkie szpady, które zawsze nosili ze sobą na wypadek trudności. Wątle światło z lampki oliwnej na ścianie odbijało się na twarzy biskupa, podkreślając światłocieniem jego ostry profil. Za nim orszak zamykali przełożony jezuitów, Ignacio Castro, oraz notariusz.

W półotwartych drzwiach pojawiła się jedenastoletnia dziewczynka. Z początku stała nieruchomo, potem jednak wbiegła między nich w niewinnym pragnieniu, by przyjrzeć im się dokładnie.

- Beatriz...! - Zawołał z wnętrza kobiecy głos. - Wracaj do środka i dokończ kolację!

Kobieta, która wołała, otworzyła drzwi na oścież i spojrzała zdziwiona na przybyłych, mała zaś przeszła obok niej, straciwszy już zainteresowanie sytuacją.

- Proszę jej wybaczyć, to takie rozbrykane dziecko. Nawet nie zaprosiła panów do środka.

Pięciu mężczyzn bez słowa weszło do pokoju. Kobieta spojrzała na nich zdumionym wzrokiem, nie wiedząc jeszcze, czemu może zawdzięczać wizytę. Zaczynała się jednak obawiać, że nie zwiastowała ona nic dobrego.

- W czym mogę panom pomóc? - Nadal nie знаła ich zamiarów i budziło to w niej coraz większy niepokój.

- Szukamy don Antonia Rosillóna, a wiemy, że tu właśnie mieszka.

Oświadczenie to wyszło z ust jednego z pomocników. Kobieta usiłowała wyczytać z ciemnych oczu biskupa Pereza Prado odpowiedzi, które się w nich kryły.

- Czemu go panowie szukają, i to o tak późnej porze? Nagle z przerażeniem rozpoznała emblemat inkwizycji, wyszyty na płaszczu mężczyzny w habicie jezuity, który zdawał się mieć największy autorytet wśród przybyszów. Nie czekając na odpowiedź, dodała:

- To mój mąż, ale niestety wyszedł jakiś czas temu i nie wiem, kiedy wróci, jeśli w ogóle tej nocy - skłamała szybko, żywiąc nierealną nadzieję, że zdoła ich przekonać. Gotowa była przeszkodzić w misji, o którą ich podejrzewała.

- Nie róbcie nam problemów - tym razem głęboki głos wydobył się z ust przełożonego jezuitów - i wezwijcie go. Mamy całkowitą pewność, że nigdzie nie poszedł.

Chwycił kobietę z taką siłą, że jęknęła z bólu. Spróbowała się wyrwać i krzyknęła ze strachu, jednak nie zdołała umknąć przed jego ręką, która zacisnęła się mocno na jej drugim ramieniu i całkowicie ją unieruchomiła.

Zaniepokojony krzykami w jednych z drzwi stanął mężczyzna około czterdziestu lat o jasnych włosach, średniego wzrostu, lecz mocno zbudowany. Na widok szarpaniny zbliżył się z zaciśniętymi pięściami, gotów stawić czoło mężczyznom, którzy pochwycili jego żonę. Dwóch inkwizytorów wyciągnęło ostre szpady i zastąpiło mu drogę, nakazując spokój. Uwolniona z uścisku zakonnika kobieta, skryła się przestraszona w ramionach męża, w którego oczach widać było powściąganą furię oraz jakieś jeszcze nieodgadnione uczucie.

- Czy pan jest don Antoniem Rosillónem, pokojowcem najświetniejszego markiza de la Ensenada? - Głos wydobył się ze sztywnych i zimnych ust biskupa.

- Tak. To ja! - odpowiedział tamten stanowczo.

- Panie notariuszu Ruiz, proszę o zapisanie wszystkiego, co zostanie tu powiedziane. A panu, panie Manrique, rozkazuję odczytać nakaz, który umieszcza tego człowieka w naszej władzy.

Kobieta wodziła dokoła dzikimi, przerażonymi oczami, usiłując zrozumieć cokolwiek z tego, co się działo. Jeden z mężczyzn rozwinął dokument, który zajmował ledwie jedną stronę, i zaczął odczytywać go z namaszczeniem:

- W Madrycie w dniu dwunastego grudnia roku Pańskiego tysiąc siedemset czterdziestego szóstego, w obecności czcigodnego inkwizytora generalnego królestwa, don Francisca Pereza Prado y Cuesty, oraz głównego przełożonego jezuitów, don Ignacia Castro, niniejszym zawiadamia się don Antonia Rosillóna, obywatela Madrytu, pełniącego urząd pokojowca najświetniejszego pana don Zenona de Somodevilli, markiza de la Ensenada, że z powodu wniesienia w ostatnich dniach do urzędu Świętej Inkwizycji poważnego oskarżenia przeciw jego osobie, od tej chwili zostaje on zatrzymany i znajduje się pod władzą Świętego Oficjum, oraz że z nakazu tegoż Oficjum zostanie on natychmiast przewieziony do więzienia i zatrzymany tam do czasu, kiedy jego przewinienie zostanie zbadane.

Kobieta wybuchła płaczem, wczepiając się w ramiona męża, podczas gdy sam Rosillón słuchał tych ponurych słów w osłupieniu, z twarzą pełną niepokoju. Inkwizytor odczytał ostatnie zdanie nakazu:

- Zarazem zawiadamia się was, że od tego momentu całe wasze mienie zostanie zainwentaryzowane i skonfiskowane aż do zakończenia procesu.

- Żądam przedstawienia zarzutów, jakie mi postawiono! - Słowa te zostały wypowiedziane przez Rosillóna z miną pełną wyniosłości.

- Żądam, żądam... - powiedział ironicznie biskup. - Zapewniam was, że w obecnej sytuacji nie jesteście w pozycji, by czegokolwiek żądać, a już z pewnością nie wyjaśnić. Lepiej niech się pan skupi na zbadaniu własnego sumienia. Nasza łaskawość obejmie was, gdy tylko przyznacie się do przestępstwa, lecz musicie to zrobić z głębi serca, albowiem nasze wątpliwości nie rozwieją się, póki nie ujrzymy w was szczerego zamiaru poprawy.

- To oburzające! - Rosillón jeszcze bardziej podniósł głos. - Markiz musi natychmiast zostać powiadomiony o tym haniebnym postępowaniu.

- Jeśli chcecie sobie pomóc, przyznajcie się szybko, gdyż - jak z pewnością rozumiecie - markiz został powiadomiony o naszych zamiarach, jeszcze zanim po was

przyszliśmy, i nie wyraził żadnych obiekcji. - W przeciwieństwie do zaniepokojonej twarzy Rosillóna, w spojrzeniu inkwizytora widać było jakieś szczególne i okrutne zadowolenie. - Zabierzmy oskarżonego do więzienia! - powiedział głośno biskup do swych pomocników, po czym zwrócił się do notariusza: - Proszę natychmiast rozpocząć inspekcję jego mienia!

Dwaj inkwizytorzy zbliżyli się do pokojowca, gotowi na użycie przemocy w razie najmniejszego oporu z jego strony, przyzwyczaili się bowiem do tego, że żaden oskarżony nie poddawał się bez protestów i szarpaniny. Obaj przewyższali Rosillóna wzrostem i wagą, toteż uznali, że obezwładnienie go w przypadku walki nie będzie nastroczało wielkich trudności. Nie wzięli jednak pod uwagę reakcji jego żony, która z niemal kocią zręcznością rzuciła się na pierwszego z nich, gdy ten zamierzał właśnie chwycić jej męża za ramię, i wystrzeliła paznokciami w stronę jego twarzy z taką furją, że wydrapała mu na policzku trzy cienkie linie, niemal trafiając ostrymi czubkami w oko. W mgnieniu oka mężczyzna wymierzył jej brutalny policzek, po którym upadła daleko na podłogę. Nie zwlekając, zwałił się jej na plecy i unieruchomił swoim ciężarem. Rosillón spróbował zrzucić z siebie trzech ludzi, którzy na niego ruszyli, lecz mimo gniewu i determinacji jego wysiłki okazały się próżne i został związany, mocarne zaś ramię jednego z agresorów otoczyło jego szyję i ścisnęło z taką siłą, że ledwo mógł oddychać.

- Nie pozwolę, żebyście zabrali mojego męża!

Pomimo niewygodnej pozycji kobieta nie zaprzestała szarpaniny ani krzyków, i wciąż wyciągała paznokcie do nikczemnika, który ledwo pozwalał jej się ruszać. Walczyła na próżno, wiedzona odruchem, a przez jej głowę przewijał się tymczasem korowód gorzkich myśli, wśród których dominowała przede wszystkim ponura wizja przyszłości, jaka mogła czekać męża i ją samą. Największy ból sprawiała jej myśl o udręce i wstrząsie małej Beatriz, gdyby zobaczyła ich w tej sytuacji. W końcu skupiła się na chwili obecnej i poczuła, że ktoś wykręcał jej rękę - myślała wręcz, że ją zwichni. Z oczu popłynęły jej łzy, bardziej wściekłości niż bólu, choć to drugie odczucie zaczynało zyskiwać przewagę nad pierwszym. Gruby sznur zacisnął się dookoła jej nadgarstków tak ciasno, że obcierał skórę, drugi zaś, na kostkach nóg, ograniczył do minimum możliwość poruszania się.

- Wiedźma przestanie się szarpać, gdy ją dobrze zwiążecie. Szorstki głos oprawcy ranił jej małżonka, który mógł jedynie zaprotestować w upokorzeniu:

- Błagam waszmościów, byście ograniczyli się do mnie i oszczędzili tej hańby mojej żonie, która w niczym nie zawiniła waszej świętej instytucji.

- Zrobilibyśmy to z chęcią, gdybyśmy mieli pewność, że zachowa się właściwie - odparł jezuita. - Jednak rozważa nakazuje nam raczej przytrzymać ją jeszcze przez chwilę.

- Jesteście niczym więcej jak brudnymi psami, żerującymi na padlinie - przerwała mu kobieta, za co wymierzono jej brutalny cios w twarz, który pozbawił ją przytomności.

Biskup Perez Prado ani jezuita Castro nie wydawali się zbytnio przejmować ekscesami, które towarzyszyły aresztowaniu, dopóki nie zauważyli delikatnej twarzyczki dziewczynki. Usłyszawszy hałasy, mała wychyliła się właśnie zza drzwi oddzielających pokój od reszty kwatery. Gdy jej niewinne spojrzenie napotkało wzrok inkwizytora, ten poczuł niezręczne współczucie, które kazało mu jak najszybciej zakończyć sprawę.

Polecił uwolnić żonę Rosillóna z więzów, jako że wydawała się nieprzytomna, a następnie rozkazał, by wszyscy przygotowali się do natychmiastowego zabrania więźnia. Jeden z pomocników zaczął przecinać więzy kobiety szpadą, gdy nieoczekiwanie na jego plecy posypały się ciosy dziewczynki. Usiłowała ona małymi piąstkami powalić mężczyznę, który pobił jej matkę i najwyraźniej chciał pozbawić ją ojca. W swej dziecięcej niewinności nie rozumiała jeszcze tego, co się działo, lecz wyczuwała zimną groźbę, która napelniła całe jej ciało i pchnęła w stronę owego człowieka. Wczepiona w jego plecy, szukała rękami jakiegoś punktu, który lepiej nadawałby się na cel jej wciąż słabych ciosów. Odnalazła uszy oraz szyję mężczyzny i poczęła drapać wszystko, na oślep. Krzyki ojca nie zdołały powstrzymać jej bezsensownego ataku, lecz zbudziły matkę dokładnie w chwili, kiedy mała poleciała przez pokój, odepchnięta silną ręką rozdrażnionego oprawcy. Następne wydarzenia potoczyły się tak szybko, że nikt nie zdążył powiedzieć ani słowa. Usłyszeli tylko zduszony krzyk kobiety w momencie, gdy w jej serce wbiło się śmiertelne ostrze szpady, która znalazła się między nią a mężczyzną akurat wtedy, kiedy zamierzała się na niego rzucić. Zawisła na chwilę na zimnej stali, ze wzrokiem utkwionym w oczach swego przeciwnika, po czym osunęła się bez życia na podłogę.

Małeńka Beatriz siedziała dalej na podłodze, patrząc bez ruchu, jak morderca matki wyciąga broń z jej piersi. Następnie mężczyzna wybiegł przerażony z pokoju w ślad za resztą, bez krztyny współczucia wobec dziewczynki.



Mina biskupa Péreza Prado, kiedy wchodził do biblioteki, wyraźnie świadczyła o tym, że zadanie nie przebiegło bez problemów. Chociaż markiz i hrabina de Benavente już przedtem zadawali sobie pytanie, co było przyczyną takiego hałasu i zamieszania, to na widok jego wstrząśniętej twarzy jeszcze bardziej zapragnęli dowiedzieć się, co zaszło podczas aresztowania.

- Wielkie nieszczęście stało się, kiedy wypełnialiśmy naszą posługę! - Biskup opadł na fotel tak ciężko, jakby niósł na plecach ciężar całej ludzkości. - Proszę mi wierzyć, że to był

po prostu straszny wypadek! - Wycierał sobie oczy chusteczką, jakby próbował zetrzeć z nich jakąś okropną wizję. - Co za katastrofa! - mrucał dalej.

- Nieszczęście? Wypadek? Katastrofa? Proszę o wyjaśnienie, i to szybko!

Markiz stanął u jego boku i poklepał go po ramieniu, by podnieść go na duchu.

- Żona Rosillóna nie żyje - powiedział bez ogródek Perez Prado.

- Justina? - Minister podniósł ręce do ust w geście przerażenia. - Martwa? - Chwytał biskupa za ramiona. - Natychmiast powiedzcie, co się stało!

Za sprawą szczegółowej i kompletnej relacji markiz z hrabiną ujrzeni wszystko tak, jakby byli na miejscu zdarzenia; poczuli się kolejnymi widzami krwawej sceny i przeżywali ją w miarę słuchania opowieści.

- I to dziecko wszystko widziało? - Wrażliwość Faustyny kazała jej skupić się całkowicie na nieszczęściu, jakie spotkało dziewczynkę. - Kto został przy tej biedaczce?

Podniosła się stanowczym ruchem, by do niej pójść, lecz don Zenon przekonał ją, by zaczekała chwilę, gdy on będzie żegnał inkwizytora generalnego, jako że ten wydawał się niezwykle śpieszyć do wyjścia pod pretekstem zabrania oskarżonego do więzienia - w gruncie rzeczy zaś chciał jak najszybciej wycofać się z przykrew sytuacji.

Po kilku minutach hrabina z markizem ruszyli razem na górę do kwater służby.

Po drodze musiał uspokajać większość swoich pracowników, którzy wychodzili mu naprzeciw; jedni zaniepokojeni, inni przestraszeni krzykami i widokiem inkwizytorów. Nikt nie odważył się wejść do pokojów Rosillóna - z rozwagi, ze strachu czy też z powodu mieszanki tych uczuć - lecz stali pod drzwiami, zżerani ciekawością, co też zobaczą w środku. Markiz nakazał wszystkim wrócić do swoich pokojów, poza majordomusem, który był mu potrzebny do rozprawienia się z tą tragedią.

Wreszcie otworzyli drzwi i opornie weszli do wypełnionego duszącą atmosferą lęku pokoju.

Śmierć namalowała tam straszny obraz.

Ciało kobiety spoczywało na łożu z jej własnej krwi. Jej oczy wciąż były otwarte i patrzyły zastygłym wzrokiem, z piersi zaś wypływała lepka wstęga szkarłatu, która nadawała powietrzu słodkawy posmak i zabarwiała je bólem.

W niewielkiej odległości od matki siedziała Beatriz. Jej spojrzenie nie miało żadnego wyrazu. Wydawało się nieobecne, zastygłe w lodowatym zimnie małych, czarnych oczu.

Troje przyglądających się makabrycznej scenie widzów potrzebowało kilku sekund, by odzyskać poczucie rzeczywistości.

W końcu hrabina podbiegła i ze ściśniętym gardłem podniosła dziecko z podłogi. Otoczyła je ramionami, chcąc zasłonić swoim ciałem widok, któremu tamta przyglądała się jakby bez emocji. Dziewczynka zaczęła wyrywać się wściekle, podrapała ramiona i zdołała wyslizgnąć się z jej objęć, po czym szybko podbiegła do matki, zanim ktokolwiek z obecnych zdołał ją zatrzymać. Objęła zmarłą za szyję i przylgnęła mocno, podczas gdy hrabina próbowała ją oderwać, wspomagając się czułymi słowami i pieszczotami.

Obaj mężczyźni patrzyli jak sparaliżowani na wysiłki damy, nie wiedząc, co robić ani jak jej pomóc w rozwiązaniu problemu. Już pierwszy obraz, który ujrzeli, był wystarczająco straszny, by nimi wstrząsnąć - teraz zaś z przerażeniem przyglądali się dramatycznym zmaganiom hrabiny z dziewczynką. Pierwsza usiłowała pochwycić drugą, która z kolei starała się pozostać przy ciele matki. Obie plamiły sobie krwią ręce, włosy oraz odzienie. W końcu don Zenon zakończył bolesną walkę: odciągnął małą i wreszcie umieścił ją w ramionach Faustyny, która - skąpana we łzach - wybiegła z pokoju, by ją stamtąd zabrać.

Po kilku minutach markiz zszedł na parter. W jego duszy zaczął narastać gniew na tchórzliwość i nikczemność zarówno głównego inkwizytora, jak i przełożonego Towarzystwa Jezusowego, którego nawet nie zobaczył na oczy.

Zanim wszedł do biblioteki, zdążył już podjąć decyzję, że powiadomi króla o haniebnym zachowaniu obydwu mężczyzn, a ów może uznać za stosowne lub niezbędne wymierzyć im jakąś karę.

Hrabina tymczasem głaskała czule ciemne włosy Beatriz, zasypując ją czułymi słówkami. Dziewczynka siedziała na jej kolanach, odwracając od świata niewinną twarzyczkę, jakby chciała skryć się w ciepłej i bezpiecznej jaskini.

Markiz podszedł do nich zaskoczony czułością tej sceny.

- Chyba przywykła już do twoich rąk, Faustino.

- Do rąk splamionych krwią. - W oczach hrabiny odbijał się głęboki ból. - Czuję się tak winna jej nieszczęścia, że...

Dziewczynce zdawało się, że pojęła jej słowa, i poprzysięgła sobie, że nigdy ich nie zapomni.

- Nigdy więcej tak nie myśl - przerwał kobiecie Ensenada. - Wiemy aż za dobrze, kto popełnił tę zbrodnię, i zapewniam cię, że w swoim czasie za nią zapłaci.

- Muszę cię spytać, czy wiesz, ile czasu może potrwać proces jej ojca, i czy ma on jakiegoś krewnego, który mógłby się zaopiekować jego córką.

Druga kwestia została natychmiast wyjaśniona, ponieważ markiz pytał już o to majordomusa. Dziewczynka nie miała żadnej innej rodziny, zatem nikt nie mógł jej do siebie

przygarnąć. Co do ojca, Somodevilla wyjaśnił hrabinie, jak miały wyglądać następne etapy jego procesu inkwizycyjnego. Powiedział też, że wszystko zależeć będzie od tego, czy Rosillón zechce przyznać się do winy. Jeśli zrobi to szybko, mógłby wyjść na wolność w ciągu trzech czy czterech miesięcy. Lecz jeśli się zaprze, dalsze procedury poszukiwania świadków, zeznań i obrony będą mogły bardzo przedłużyć proces. W razie zaś, gdyby po wszystkich wymienionych krokach została mu udowodniona wina, karą byłoby co najmniej pięcioletnie zesłanie na galery.

- Podsumowując, w najgorszym wypadku może minąć siedem lat, zanim zdoła zobaczyć się z córką, w najlepszym zaś jakieś cztery miesiące - stwierdził markiz, zaczynając pojmować zamiary przyjaciółki.

- Zrozum, jeśli powiem, że muszę coś dla niej zrobić. Jej nieszczęście ciąży mi na sumieniu. Pozwól mi, proszę, zabrać ją do siebie na czas nieobecności jej ojca, jakkolwiek długo by miała potrwać. Wiesz, że zapewnię jej opiekę i troskę, jakiej potrzebuje.

- Jeśli chodzi o mnie, to nie widzę lepszego rozwiązania. Przyznaję ci tymczasową opiekę nad dzieckiem, o ile pozwolisz mi często je odwiedzać.

Po radości na twarzy Faustyny Zenon poznał, jak spieszno było jej do opuszczenia jego rezydencji, i posłał sługę z poleceniem, by przygotowano jej powóz.

Być może był to tylko wytwór jego wyobraźni albo efekt przeżytego stresu, lecz kiedy stanął przy powozie, by się pożegnać, odniósł wrażenie, że w ostatnim spojrzeniu, jakie skierowała na niego dziewczynka, ujrzał ślad nienawiści i gniewu, które zdawały się nosić na sobie pieczęć śmierci.

Łoża masońska w Trzech Kwiatkach Lilii. Madryt. Rok 1747

1 lutego

Człowiekiem, który miał przeprowadzić ceremonię inicjacyjną generała wojsk króla Ferdynanda VI, był czerstwy Anglik o uniżonym wyglądzie i zacinającym się głosie.

Aspirant, który poza stopniem wojskowym nosił również szlachecki tytuł hrabiego de Valmojada, podążał za nim w milczeniu przez ciemny i wąski korytarz. Jego męstwo oraz szacowność dopiero co zostały zaaprobowane przez trzydziestu braci, którzy tworzyli pierwszą w Hiszpanii lożę, założoną przez lorda Whartona. Hrabia cieszył się z przejścia tej wstępnej formalności, lecz odczuwał również głębokie zażenowanie na myśl o przeżytej właśnie niedorzecznej ceremonii prezentacji, podczas której musiał stanąć przed wszystkimi z oczami zasłoniętymi przepaską, w kapciu na prawej nodze i z przewiązanym na szyi sznurem.

Teraz, w półmroku przed drzwiami jakiegoś pomieszczenia, Anglik objaśniał mu, jak miały przebiegać następne etapy, które Valmojada musiał przejść, jeśli chciał być nazywany masonem.

- Jako kandydat na ucznia przejdziesz cztery próby, które symbolicznie pomogą ci rozpocząć poszukiwanie twego prawdziwego ja. Klucze, które ułatwią ci wyzbycie się wad, odnajdziesz w samym porządku wszechświata; dzięki temu będziesz mógł potem rozróżnić to, co prawdziwe, od tego, co takie nie jest. Wyobraź sobie, że jesteś nieociosanym kamieniem i musisz odnaleźć narzędzia potrzebne, by nadać mu postać.

- Co mam robić w tym pomieszczeniu? Wygląda mi ono raczej na jaskinię - spytał Valmojada, teraz już z odsłoniętymi oczami.

- W tej komnacie refleksji masz zagłębić się w ziemię, pogrzebać się i zasiać w niej, aby twój owoc wzrósł potem ku rzeczom najważniejszym. Zastanów się nad śmiercią; rozlicz się ze swoim życiem. Wydobądź z niego esencję samego siebie. Na ścianach tej komnaty i w jej wnętrzu znajdziesz przedmioty oraz inskrypcje, które ci pomogą. Nie ograniczaj się tylko do kontemplacji zewnętrznych form: mają one pobudzić w tobie odczucia, które następnie musisz zbadać i zinterpretować.

- Czy potem będę musiał wam powiedzieć, do czego doszedłem?

- Nie. Twoja podróż ma być podróżą wewnętrzną. Słowa są zbędne. Pamiętaj, że cisza jest pierwszym kamieniem świątyni mądrości.

Bez dalszych wyjaśnień brat zamknął drzwi i skierował się w stronę łoża, gdzie znajdowała się reszta członków. Zastukał trzykrotnie do drzwi. Poprawił fartuch oraz medalion, który miał na szyi - symbol świadczący o jego pozycji mistrza warsztatu czy też łoża - po czym wkroczył do środka z szerokim uśmiechem.

Tymczasem Tomas Vilche, hrabia de Valmojada, rozglądał się po niewielkiej komnacie przy wątlym świetle świecy. Jedyne umeblowanie stanowił prosty drewniany stół, na którym znajdował się kawałek chleba, obok zaś dzbanek z wodą i garstka soli.

Valmojada obszedł pomieszczenie dookoła, poczynając od północy. Na ścianach odkrył różne napisy, które miały skłaniać neofitę do refleksji. Przeczytał jeden z nich: „Jeśli przyprowadziła cię tu ciekawość... odejź”. Obok widniały słowa „Poznaj samego siebie”. Na ścianie południowej jakaś sentencja podpowiadała mu „Jeśli się boisz... wycofaj się”, inna zaś mówiła „Prochem jesteś i w proch się obrócisz”. W jednym z rogów pokoju znajdowała się czaszka z dwiema skrzyżowanymi kośćmi.

Te słowa, w połączeniu z grobowym wyglądem komnaty, zapraszały do pogrążenia się w ciemności, we wnętrzu ziemi, która stanowiła pierwszy z żywiołów natury. Brat

powiedział mu, że tu właśnie powinien rozpocząć proces poznawania siebie, pozbywania się materialnych przymiotów, by przygotować się na oświecenie duchowego ja. Miał zastanowić się nad swymi powinnościami względem innych, względem Istoty Najwyższej, względem siebie samego.

Generał spędził w owym ponurym miejscu godzinę, czekając na następne etapy. Zdawał sobie sprawę, że - aby jego misja się powiodła - musiał podejść do ceremonii inicjacji z dyscypliną i całkowitym zaangażowaniem, co też uczynił. Medytował nad swymi uczynkami, umarł dla starego życia, by odrodzić się jako istota szlachetniejsza, poszukująca innego, transcendentnego ja. Napisał także testament, którego mieli potem od niego zażądać.

- Czy jesteś gotów na oświecenie? - Zza drzwi zajrzała do środka twarz brata, który kierował jego inicjacją.

- Czuję się teraz bardziej wyzwolony i gotów jestem stać się częścią tego bractwa - odparł hrabia.

- Ponownie zakryję ci oczy, byś pojął swą obecną niewiedzę i ślepotę, która wynika z twej ignorancji i dumy. Następnie poprowadzę cię na trzy kolejne próby, w czasie których powietrze, woda oraz ogień oczyszczą do końca twój umysł i pozwolą ci przejrzeć na nowo, gdy już wyzwolisz się ze swych ograniczeń.

Po krótkiej wędrówce hrabia de Valmojada usłyszał donośne pukanie do drzwi, potem zaś jeszcze dwa stuknięcia, dobiegające z drugiej strony. Następnie usłyszał kilka szybko mówiących głosów.

- Czcigodny, nowicjusz stoi u drzwi świątyni!

- Sprawdź, kim on jest, bracie! I dowiedz się, czemu ośmiela się zakłócać nasze święte prace.

Po chwili przemówił inny głos:

- Kto ośmiela się wchodzić do świątyni? Odpowiedział mu ktoś ze środka:

- Nowicjusz, który prosi o dopuszczenie go między nas, człowiek wolny i dobrych obyczajów!

- Kiedy tylko nam otworzą - ostrzegł hrabiego jego towarzysz - spuść głowę na znak pokory. To konieczne, by wszyscy zobaczyli, że przybywasz do nich bez żadnych przyziemnych uprzedzeń, bez przywilejów ani własności. Daj mi wszystek metal, klejnoty oraz pierścienie, które masz przy sobie: pokażę je twym przyszłym braciom na dowód twej praworządności. A przede wszystkim zachowaj milczenie, dopóki nie spytają cię o coś bezpośrednio.

- Jeśli jest wolny i dobrych obyczajów, spytaj go o imię, miejsce urodzenia, wiek, w jakim wyznaniu się urodził, jego stan cywilny i obecne miejsce zamieszkania.

- Nazywa się Tomás Vilche, urodził się w Logroño, ma pięćdziesiąt lat, katolik z urodzenia, żonaty i mieszka w Madrycie we własnym pałacu, w okolicach Puerta de la Vega - odpowiedział głośno na pytanie brat przewodnik.

- Każcie nowicjuszowi wejść!

Skrzyp zawiasów drzwi nakazał im ruszyć do środka komnaty. Po kilku krokach generał poczuł ukłucie w lewej piersi.

- Co poczułeś, panie? - Hrabia zachował milczenie. - Sztylet ten symbolizuje karę, jaką ci wymierzymy, jeśli zaprziesz się tego stowarzyszenia, do którego chcesz przynależeć.

- O co prosisz? - spytał go inny głos gdzieś z bliska.

- Proszę o przyjęcie do grona wolnomularzy - odparł bez wahania generał.

- Czy stajesz przed nami z własnej, nieprzymuszonej woli? - spytała ta sama osoba.

- Tak, panie.

Z głębi sali odezwał się jakiś inny, łagodny głos, w którym słychać było także stanowczość:

- Zastanów się wpierw nad tym, o co prosisz. Zostaniesz poddany strasznym próbom, które wymagać będą od ciebie heroicznego zaparcia. Czy jesteś zdecydowany je przetrwać?

- Tak, panie. - Determinacja hrabiego, by zostać dopuszczonym do owego tajemniczego stowarzyszenia, nadawała jego słowom jeszcze większą pewność.

Ten sam głos, należący - jak się potem okazało - do wielkiego mistrza loży, wymienił mu liczne przymioty, jakimi musi odznaczać się mason, związane z wolnością, moralnością i cnotą.

- Wszyscy członkowie mają do wypełnienia obowiązki - mówił dalej wielki mistrz. - Przyjęcie ich, nie poznawszy uprzednio, na czym polegają, byłoby z twojej strony nierozwagą. Po pierwsze, wymaga się od ciebie milczenia na temat wszystkiego, co mogłeś do tej pory zobaczyć lub usłyszeć, lub też co zobaczysz i czego dowiesz się potem. Drugim obowiązkiem będzie walka z wszelkimi namiętnościami, które przynoszą człowiekowi hańbę, praktykowanie cnót, a nade wszystko pomoc bratu, ratowanie go w nieszczęściu i służenie mu radą. Dobro przyszłych braci będzie ostatecznym celem twoich starań; odrzucenie ich to sprzeniewierzenie, denuncjacja - najgorsza zdrada. Trzecim zaś obowiązkiem - ciągnął - będzie bezwzględne posłuszeństwo wobec statutów, norm, nakazów, praw i zasad, które obowiązują w tej loży. - Zamilkł na chwilę. - Czy masz w sobie wystarczającą siłę i determinację, by od tej pory przyjąć je za zasady kierujące twoim życiem?

- Tak, panie. Mam!

- Zanim przejdziemy dalej żądam od ciebie przysięgi na honor złożonej za pomocą świętego kielicha. Jeśli w istocie jesteś człowiekiem prawym, napij się, lecz jeśli mieszka w tobie fałsz i kłamstwo, nie przysięgaj, ponieważ napój wyrze na tobie efekt równie straszny jak śmierć. Czy chcesz złożyć przysięgę?

- Tak, panie.

- Przyprowadźcie nowicjusza do ołtarza. - Jakaś ręka chwyciła Valmojadę za ramię i zaprowadziła go do innego miejsca w pokoju.

- Bracie ofiarniku, podajcie temu profanowi święty kielich; kielich, z którego nie powinien pić, jeśli zamierza nas zdradzić.

Generał poczuł w jednej ręce metal. Zbliżył wargi do krawędzi naczynia i napił się.

- Bracie, jeśli mieszka w tobie obłuda, możesz jeszcze wycofać się i nie będzie to uznane za sprzeniewierzenie. Zostały ci jeszcze bardzo trudne próby. Jeśli nie jesteś dość silny, by je znieść, masz teraz czas, żeby odejść. Czy chcesz kontynuować?

Hrabia de Valmojada potwierdził zdecydowanie.

- Bracie, poprowadź tego nowicjusza w jego pierwszą podróż i czuwaj, by nie ucierpiał nadmiernie.

Ta sama ręka, która go podtrzymywała, poprowadziła go dookoła pomieszczenia. Valmojada usłyszał odgłos jakby uderzających o siebie szpad. Ponad nim wybił się głos czcigodnego:

- Ta pierwsza podróż symbolizuje życie ludzkie, które jest sumą namiętności i przeszkód. Przedstawiliśmy je poprzez hałas i chaotyczną drogę, którą właśnie przebyłeś. Czy chcesz stawić czoło drugiej podróży?

- Tak, panie.

Raz jeszcze brat straszliwy ujął go za ramię i poprowadził w inne miejsce, gdzie ktoś zapytał:

- Kto idzie?

- Nowicjusz, który chce zostać wolnomularzem! - odpowiedział ten, który go trzymał.

- Czemu na to zasługuje?

- Ponieważ jest wolny i dobrych obyczajów!

- Jeśli to prawda, niech zostanie oczyszczony przez wodę.

Generał musiał przejść jeszcze dwie podobne ceremonie w kolejnych miejscach, by oczyścić się przez powietrze i ogień. Najpierw przypalono mu skórę świecą, potem zaś

tchnienie jednego z obecnych odnowiło w nim powietrze. Następnie ponownie zwrócił się do niego czcigodny:

- Każdy nowicjusz, który pragnie zostać wolnomularzem, przed przyjęciem w szeregi naszego bractwa musi dać się naznaczyć. Aby każda loża rozpoznała w tobie brata, naznaczymy cię za pomocą ognia znakiem, który znają tylko wolnomularze. Czy zgadzasz się przyjąć go na swoje ciało?

- Będzie to dla mnie zaszczyt - odparł generał. Tak też uczynili.

- Proszę wszystkich braci o powstanie. Będziemy świadkami świętej przysięgi naszego nowego członka. Nowicjuszu, powtarzaj za mną! - Wielki mistrz zwrócił się do hrabiego: - Dobrowolnie przysięgam i ślubuję, w obecności Wielkiego Architekta Wszechświata oraz reszty tego szacownego zgromadzenia wolnomularzy, uroczyście i szczerze, nigdy nie wyjawić naszej wielkiej tajemnicy ani żadnego z misteriów bractwa wolnomularskiego, które zostaną mi powierzone, nigdy nie zdradzić ich na piśmie, poprzez malowidło czy też rzeźbę, pod karą podejrzenia gardła, wyrwania języka i skazania na najgorszy los.

Uderzył trzy razy jakimś ciężkim przedmiotem i rozkazał, by zdjęto przepaskę. Hrabia de Valmojada ujrzał po obu swoich stronach grupę mężczyzn uzbrojonych w szpady skierowane w jego stronę.

- Przyjrzyj się, nowicjuszu, szpady te będą gotowe przebić twą pierś, skoro tylko pogwałcisz nasze przysięgi. Z kolejnym uderzeniem mistrz nakazał, by znowu zawiązano generałowi oczy.

- Bracie pierwszy strażniku! Ty, który skrywasz się pod jedną z dwóch świętych kolumn, symboli powszechnej dwoistości, dobra i zła, bieli i czerni, czy uznajesz go za godnego dopuszczenia między nas?

- Tak, czcigodny mistrzu - odparł tamten.

- O co więc prosisz dla niego? - ciągnął czcigodny.

- O wielkie światło!

- Zdejmijcie mu opaskę. - Hrabia ujrzał, że wszyscy opuścili szpady, kierując teraz ich czubki w stronę podłogi. - Niech za moim trzecim uderzeniem będzie mu dane światło! - zakończył mistrz.

Następnie polecił mu powtórzyć przysięgę, co też hrabia uczynił. Wtedy mistrz rozkazał mu się zbliżyć. Valmojada opadł przed nim na kolana i na jego głowie spoczęła szpada, którą tamten trzymał w lewej ręce.

- Z łaski Wielkiego Architekta Wszechświata, w imieniu Wielkiej Łoży Anglii, na mocy władzy, która została mi przez tę lożę dana, zawierzam ci, przyjmuję cię i czynię uczniem wolnomularskim pierwszego stopnia oraz członkiem loży Trzech Kwiatów Lili.

Trzykrotnie uderzył drewnianym młotem w płaz szpady, po czym ciągnął dalej:

- Bracie, od tej chwili nie będziesz już nosił innego miana niż wolnomularz. Zbliź się, by otrzymać ode mnie pierwszy braterski pocałunek.

Następnie podał hrabiemu fartuch z białej skóry.

- Włóż ten fartuch. Jest to symbol pracy i da ci prawo do przebywania w naszym gronie. Noś go z podniesionym czołem.

Podniósł parę białych rękawic i wręczył mu je.

- Przyjmij od swych braci te rękawice. Są symbolem czystości w obliczu grzechu i znieprawienia. Twoje dłonie powinny zawsze pozostawać czyste. - Hrabia włożył rękawice i spojrzał w twarz czcigodnego - jak się potem dowiedział, był to Anglik o nazwisku Wilmore.

- Pozostaje ci tylko nauczyć się znaków, po których się poznajemy - ciągnął tamten. - Kiedy będziesz podnosił prawą rękę do szyi z czterema palcami złączonymi i kciukiem ustawionym do nich pod kątem prostym, masz wspominać przysięgę, którą właśnie złożyłeś, oraz karę, którą niesie ze sobą jej złamanie. Jeśli chcesz dać się poznać komuś, kogo uważasz za wolnomularza, przyciśnij paznokciem kciuka pierwszy staw palca wskazującego, po czym stuknij w niego trzy razy. Tym samym prosić będziesz owego człowieka o wypowiedzenie świętego słowa, którym jest Jakin. Za każdym razem, gdy będziesz chciał wejść do świątyni, powinienesz podać to słowo strażnikowi. - Wskazał palcem kierunek, w jakim miał się udać hrabia. - Teraz idź przedstawić się braciom strażnikom za pomocą gestów i znaków, których właśnie się nauczyłeś.

Hrabia skierował się w stronę dwóch kolumn, noszących nazwy Jakin oraz Boaz, po czym pozdrowił obu braci za pomocą wyuczonych symboli.

- Słowa, znaki i gesty nowego brata są słuszne i poprawne - obwieścili obaj strażnicy.

- Powstańcie i ustawcie się, bracia! - zawołał czcigodny. - W imieniu Wielkiej Łoży Anglii, na mocy danej mi władzy, ogłaszam brata, którego widzicie między dwoma kolumnami, uczniem wolnomularskim. Proszę, byście od tej pory uznawali go za takiego i we wszystkim wspomagali, aby nigdy nie zaprzestał wypełniania zobowiązań, które właśnie wobec nas zadzierzgnął. - Podniósł ramiona, wzywając jakąś niezmierną moc. - Ze mną, bracia, przez znak, przez światło i zawołanie! Huzze! Huzze! Huzze! Wolność, Równość, Braterstwo!

Wszyscy powtórzyli ten okrzyk.

Czcigodny rozkazał mistrzowi ceremonii, by posadził hrabiego na jego nowym miejscu w łoży, po czym zasiadł na swym tronie.

- Brat mówca ma głos! Niniejsze zebranie dotyczyć będzie niebezpieczeństw, jakie grożą nam ze strony niecnego zakonu jezuickiego, który, jak wiecie, prześladowuje nas od samego początku. Omówimy także pewne informacje dotyczące przeklętego markiza de la Ensenada, który najwyraźniej postanowił nas zniszczyć - skierował wzrok na jakiegoś młodzieńca, który powstał z miejsca z teczką pełną papierów. - Przeczytaj, proszę, co tam napisano; będzie to początek naszych rozważań.

Hrabia de Valmojada uśmiechnął się w swoim fotelu.

Jak na razie jego plan działał bez zarzutu.

Twierdza w La Carraca. Kadyks. Rok 1749

21 września

Nad zatoką Kadyksu padał uparty i obfity deszcz, który bezlitośnie bił w doki oraz stocznie morskiej bazy w La Carraca na wyspie Leon.

Potężny okręt wojenny zaczął związać żagle, wchodząc do portu przez kanał biegnący przy głównym nabrzeżu. Jego dziób zdobiły dwie piękne orle głowy, sam żaglowiec zaś miał siedemdziesiąt dwa działa i nosił imię „Mocny”. Był jednym z najnowocześniejszych we flocie Ferdynanda VI, a zbudowano go kilka lat wcześniej w tej właśnie stoczni.

Przy kei stał inny statek, na którym Juan Carrasco, żołnierz piechoty morskiej, a zarazem sekretarz admirała Gonzalesa de Mendozy, nadzorował rozładunek dużych zapasów drewna dębu, orzecha włoskiego oraz czarnej topoli, przybywających co miesiąc z portu w Bilbao, by zaspokoić duże zapotrzebowanie stoczni.

Gdy tylko Carrasco dostrzegł zbliżający się okręt, jego samopoczucie - i tak już dość nadszarpnięte trudnościami, jakie wynikły podczas skomplikowanej operacji rozładunku - znacznie się pogorszyło. Wiedział bowiem o kontrowersyjnym towarze, który wiózł ze sobą „Mocny”.

Na widok pierwszych przygotowań do zawinięcia do portu kazał odnaleźć swego zastępcę, po czym natychmiast polecił mu zająć swoje miejsce i jak najszybciej ruszył do głównych kwater, by przekazać przełożonemu wieści o przybyciu okrętu.

Przeszedł przez biegnące wzdłuż biur i kwater oficerów kruzganki, aż w końcu dotarł do admiralicji, której wrót strzegło zawsze dwóch uzbrojonych żołnierzy. Wpadł do środka i skierował się na drugie piętro, do sali spotkań, gdzie - jak wiedział - znajdował się właśnie admirał. Zapukał uprzejmie do drzwi, a po chwili usłyszał głos, który zezwalał mu na wejście.

Na ogromnym owalnym stole rozłożone były liczne plany okrętów oraz wielka makietka, na której skupiała się uwaga dwóch towarzyszy admirała Gonzalesa de Mendozy. Wyglądało na to, że wejście żołnierza zupełnie ich nie zainteresowało. A w każdym razie nie stanowiło wystarczającego powodu do przerwania rozmowy.

- Przy użyciu lżejszego, lecz wytrzymałego drewna, takiego jak czarna topola, zdołamy zwiększyć możliwości uzbrojenia okrętów i ich zasięg bez umniejszania sterowności - powiedział irlandzki konstruktor Mullan. Przebywał wśród nich już od trzech miesięcy, odkąd został zakontraktowany przez żołnierza marynarki i naukowca w jednej osobie, Jorge Juana, podczas jego misji szpiegowskiej w angielskich stoczniach, którą zlecił markiz de la Ensenada.

- Proszę wybaczyć, że przerywam, panowie - zdecydował się wtrącić do rozmowy Carrasco - ale muszę poinformować, że do portu wpłynął właśnie okręt „Mocny” z nowym ładunkiem Cyganów, których przysłali nam z Kartageny.

- Od jakiegoś czasu mam wrażenie, że wszyscy w tym kraju powariowali! - Admirał z wściekłością rzucił na ziemię zwitek papierów. - Ledwie trzy dni temu przyplłynęło tu ośmiuset Cyganów, wśród nich dwustu chłopców, których zupełnie nie mamy gdzie ulokować, a teraz przysyłają nam jeszcze sześciuset. Mimo wielkiej przyjaźni dla ministra Somodevilli nie jestem w stanie pojąć, dlaczego nakazał te masowe aresztowania. - Podeszedł do swego biurka, by odszukać ostatni list markiza de la Ensenada, i odnalazł go na samym wierzchu potężnego stosu korespondencji. - Z dwunastu tysięcy zatrzymanych trzydziestego lipca Cyganów chcą nam przysłać dwa tysiące. Nigdy jeszcze nie widziałem tak potwornej nagonki!

- Niech pan spojrzy na to jak na dostawę taniej siły roboczej, którą ofiarowuje nam Korona, byśmy mogli zrealizować powierzone nam ambitne projekty renowacji i powiększenia floty wojennej. - Intendent Varas, jako zastępca admirała, myślał o pięciu nowych dokach, które miały zostać ukończone w przeciągu trzech lat.

- Zgadzam się, drogi przyjacielu, ale nie zapominaj, że są to ludzie nieprzystosowani i porywczy, oraz że nasze straszne warunki zakwaterowania nie przyczyniają się do poprawy ich niespokojnych nastrojów. Byliśmy nawet zmuszeni użyć kajdan i łańcuchów, by ukrócić pierwsze próby ucieczek oraz agresję wobec naszych żołnierzy i pracowników stoczni. - Mendoza zdjął z wieszaka obszerny płaszcz, który miał ochronić go przed deszczem, i udał się obejrzeć rozładunek. - Nie chcę nawet myśleć, do czego może dojść przy tej drugiej partii.

Irlandczyk, nie znając szczegółów owego niezwykłego dekretu o aresztowaniach, zainteresował się losem cygańskich kobiet i dziewczynek.

- Wszystkie one - odparł intendent - zostały rozesłane po różnych więzieniach i przytułkach Sewilli, Walencji i Saragossy, z obowiązkiem wykonywania prac, które im tam wyznaczają, by pokryć koszty utrzymania.

Mullanowi wydało się to wszystko tak okrutne i barbarzyńskie, że musiał przyznać pewien talent osobie, która potrafiła dojrzeć w tej zbiorowej tragedii jakiegokolwiek korzyści.

- Czy ktokolwiek sądzi, że w takiej sytuacji będą chcieli robić to, czego się od nich oczekuje? - Jego ze wszech miar logiczne pytanie, które w głębi duszy wszyscy sobie zadawali, nie wymagało odpowiedzi.

Gonzalez de Mendoza poprosił, by kontynuowali naradę aż do jego powrotu, po czym skierował się z sekretarzem w stronę portu eskortowany przez oddział żołnierzy.



Dziób okrętu liniowego „Mocny” powoli zbliżał się do kei, przyciągany siłą jakiejś setki marynarzy, którzy rzucili z pokładu cztery grube liny cumownicze, aby przywiązać je do pali na nabrzeżu. Pomimo intensywnego deszczu cała załoga ciężko pracowała, by trudny manewr dobijania do brzegu przebiegł gładko.

Z pokładu rufowego oficerowie wykrzykiwali rozkazy, sprawdzając zarazem przez burty, czy dziób i rufa poruszają się z taką samą prędkością i równolegle do kei. Na śródkręciu ustawiła się w szereg jakaś setka żołnierzy, gotowych do eskortowania więźniów, a kilku chłopców okrętowych zapamiętało szorowało pokład.

Kiedy okręt był już bezpiecznie przycumowany, dwa przenikliwe dźwięki gwizdka zawiadomiły załogę, że na pokład wchodzi admirał Gonzales de Mendoza. U stóp trapu powitał go kapitan Alvaro Pardo Orduñez oraz jego dwudziestu oficerów. Ze względu na niesprzyjającą aurę po oficjalnym powitaniu kapitan zaprosił admirała do kajuty, by przekazać mu dowodzenie i spokojnie omówić szczegóły żeglugi.

Przez sześć wychodzących na rufę iluminatorów wpadało słabe światło, które ledwo oświetlało trzecią część pomieszczenia. Docierało jednak do pięknego dębowego stołu, ku któremu skierowali się obaj marynarze, zarazem starzy znajomi i przyjaciele. Gdy tylko zostali sami, skończyli z protokołem i rozsiedli się wygodnie, by porozmawiać przez kilka minut.

- Nie sądziłem, że zobaczę cię w tych okolicach. Myślałem, że żeglujesz po morzach Indii - powiedział admirał ucieszony nieoczekiwanym widokiem starego przyjaciela z akademii, z którym wspólnie odbywał nauki i praktyki w szkole morskiej w San Fernando.

- W istocie, powinienem teraz być raczej w okolicach Hawany, ale w Kartagenie opóźnili mój rejs, bym zabrał dla ciebie ten ogromny ładunek więźniów.

- Ilu? - Admirał ściągnął perukę, żeby obetrzeć pot, który rosił mu czaszkę. Przewidywał, że jakkolwiek liczbę usłyszy, i tak wyda mu się zbyt duża. Kapitan Pardo przygotował go na cios, osładzając gorzką wiadomość kieliszkiem anyżówki, którą sam mu podał.

- Całkowita liczba osób, jaką przyjąłem na pokład, to dziewięćset czterdzieści dwa. - Twarz admirała pobrała niepokojąco. - Czy to o wiele więcej, niż się spodziewałeś?

- O trzystu więcej od tego, co zapowiadali. Co za katastrofa mi się tu szykuje!

Rozmowę przerwał im porucznik, który otrzymawszy pozwolenie na wejście, wkroczył do środka i zameldował o zakończeniu przygotowań do otwarcia i opróżnienia ładowni. Po drodze na pokład wyjaśnił im, że zaczną od najmniejszej - tej najbliższej fokmasztu, po czym stopniowo będą posuwać się dalej, do ładowni o większych rozmiarach, które zostaną otwarte dopiero po odstawieniu pierwszych partii ludzi na nabrzeże, pod opiekę żołnierzy z arsenału. Przez większą część przejścia z wnętrza statku rozstawiono oddział żołnierzy piechoty i artylerii, uzbrojonych w muszkiety. Ich zadaniem było zapobiec jakimkolwiek próbom ucieczki lub zamieszkom. W razie potrzeby mieli rozkaz strzelać, by zabić.

Admirał Gonzales de Mendoza i kapitan Orduñez ulokowali się z boku górnego pokładu, przez który mieli wychodzić Cyganie.

Być może był to efekt kwaśnego i mdłego odoru, jaki zaczął unosić się z przejścia, albo odrażający, żalorny wygląd pierwszych więźniów, którzy wyszli na zewnątrz, czy też może suma tych czynników, lecz coś zmusiło obu mężczyzn do odsunięcia się nieco w tył, czy to w poszukiwaniu odrobiny czystego powietrza, czy też w instynktownej ucieczce przed tym, na co patrzyły ich oczy.

Na nogach, rękach i nagich plecach więźniów widać było poczerniałe od gangreny rany. Starsi mieli martwe i nieobecne spojrzenia, dzieci zaś - ciała wyschnięte i pomarszczone od choroby. Czarna nienawiść, która zdawała się płynąć w żyłach silniejszych, mieszała się z rezygnacją tych, którzy szli pogodzeni z okrutnym losem. Na wszystkich wisały strzępy brudnych ubrań, dookoła zaś unosił się przejmujący odór: mieszanina ludzkich odchodów, śmierci i zgnilizny. Z głębi statku dały się słyszeć wystrzały, kiedy kilku Cyganów zapragnęło obmyć swój honor we krwi i splamiło nią siebie samych, ściany oraz podłogi. Inni, którzy rzucili się na żołnierzy już na zewnątrz, chcąc po prostu jak najszybciej zakończyć swoją udrękę, nie zdążyli nawet dojść do trapu, zanim zginęli przebici przez włócznie i szpady.

Kiedy z ostatniej ładowni wychodziła trzecia tura, porucznik poinformował admirała i kapitana, że w pierwszym pomieszczeniu naliczyli czterdzieści zwłok, z czego trzy dziecięce, porzucone wśród wygłodniałych stad szcurków, kałuż uryny i potwornych nieczystości.

Po dwóch godzinach ostatni Cyganie opuścili okręt, pozostawiając za sobą około dwudziestu martwych na pokładzie, a stu osiemdziesięciu sześciu w ostatecznym rozrachunku. Z dziewięciuset czterdziestu dwóch Cyganów, którzy weszli na pokład w Kartagenie, tylko siedmiuset pięćdziesięciu sześciu zostało doprowadzonych do pomieszczeń więziennych.

Obaj dowódcy, podobnie jak reszta widzów tego strasznego przedstawienia, wiedzieli, że słowa były niewystarczające, by wyrazić potworność tego, co widzieli, i otrząsnąć się z tego okropieństwa. Przez następne godziny cały okręt spowity był w przerażającej ciszy.

- Pójdę do lochów i zobaczę, czy da się tam cokolwiek zorganizować - powiedział w końcu admirał i ruszył do przodu, patrząc w niebo, które po kilku dniach ciemnych chmur szczęśliwie postanowiło obdarować ich upragnionym ciepłem słońca. W połowie trupu odwrócił się za siebie, próbując zachować w pamięci ten nowy obraz okrętu, lśniącego teraz w oczyszczającym świetle. Z drewna unosiły się opary nagromadzonej wilgoci, jakby „Mocny” chciał pozbyć się wszelkich pozostałości krwi i śmierci, a jego maszty zdawały się piąć w górę i rozdzierać chmury, jakby pragnęły nie dopuścić, by jakikolwiek cień na powrót zasłonił oblicze żaglowca.

Admirał z sekretarzem udali się w kierunku więzienia o czterech wieżach, gdzie czekało na nich trudne zadanie. W przeszłości lochy przeznaczone były wyłącznie do przetrzymywania więźniów z południa Andaluzji, skazanych za rozbój lub morderstwo, lecz od jakiegoś czasu, z powodu zapotrzebowania na robotników do wznoszenia nowych murów obronnych w wielkich portach Karaibów, król nakazał wysyłanie wszystkich więźniów do Indii jako tanią siłę roboczą.

Na ostatnim odcinku drogi, dzielącym go od wrót więzienia, admirał przypomniał sobie niedawny wybuch tyfusu, który zdziesiątkował skazańców i doprowadził do skarg na lekarzy z twierdzy za całkowity brak higieny oraz niedożywienie więźniów. Tamte problemy wydały mu się blade w porównaniu z tymi, którym musiał stawić czoło teraz. Przyszło mu do głowy, że jego przyjaciel kapitan Pardo mógłby je nieco umniejszyć, zabierając kilkuset Cyganów ze sobą w drodze do Hawany. W tym celu Mendoza musiałby jednak napisać do samego markiza de la Ensenada, by uzyskać jego pozwolenie. Pomyślał, że najlepszym sposobem przedstawienia kapitanowi prośby byłoby zaprosić go wieczorem do swej

rezydencji na kolację w towarzystwie jego żony, Marii Emilii, która z pewnością również ucieszyłaby się z tej wizyty.

- Carrasco! Niech pan wróci jeszcze na statek i powie kapitanowi, że oczekuję go na kolacji. A po drodze niech pan przekaże mój rozkaz, by wszyscy wolni medycy zgłosili się natychmiast do więzienia. Potem niech pan wróci, żeby mi pomóc. - Żołnierz ruszył biegiem z powrotem do portu, przeklinając w duchu admirała oraz własny los, wyglądało bowiem na to, że tego dnia tylko on jeden w całej bazie morskiej musiał pracować.



Tydzień po przybyciu ostatnich Cyganów do twierdzy w La Carraca dwa rzędy więźniów szły wczesnym rankiem z więzienia w stronę błotnistej zatoczki na zachód od portu, gdzie odbywały się wielkie prace przy wykopach, w których miały stanąć dwa suche doki, pierwsze w całej Hiszpanii, wznoszone pod kierunkiem uczonego Jorge Juana.

Minęły już trzy dni, od kiedy okręt, który przywiózł więźniów z Kartagenu, podniósł kotwicę i ruszył do portu w Hawanie z ładunkiem niemal pięciuset ludzi, co pozostawiło w więzieniach liczbę bardziej odpowiadającą ich możliwościom i wprawiło admirała w nieco lepszy humor.

Na czele pochodu szli Timbrio Heredia oraz jego brat Silerio, nieustannie pilnowani przez czterech z czterdziestu strażników, którzy codziennie towarzyszyli więźniom. Było to konieczne ze względu na niezwykle wybuchowy charakter braci oraz rany zadane przez nich dwóm żołnierzom, którzy mieli ich pilnować na dziedzińcu więzienia.

Aresztowano ich owego nieszczęsnego trzydziestego lipca w wiosce niedaleko Madrytu, gdzie mieszkali od ponad piętnastu lat, prowadząc kuźnię, która cieszyła się ugruntowaną sławą i licznymi zleceniami. Nie pozwolili, by pochwycono ich bez rozlewu krwi - nożem zabili dwóch żołnierzów. Nie zdołali jednak poradzić sobie z pozostałymi, a buntownicze zachowanie przysporzyło im potem jeszcze więcej kłopotów. Zostali spętani łańcuchami oraz sznurami, po czym potraktowani kijami i kopniakami.

Timbrio miał żonę i dwie córki, obie bardzo młode. Jego brat, który ledwo co zdążył ożenić się z Amalią - najmłodszą kuzynką swej szwagierki - nie miał jeszcze potomstwa. Młodość i uroda świeżo poślubionej małżonki, albo też wykalkulowana mściwość i okrucieństwo żołnierzy, uczyniły ją ofiarą gwałtu, którego dokonano na oczach obu spętanych mężczyzn, a także córek Timbria, zmuszonych patrzeć na to, co mogło spotkać je same, gdyby nie słuchały poleceń. Łzy ściekające po policzkach dziewczynek kontrastowały ze spokojem młodej ofiary, która pomimo wszystko nie utraciła swej dumy i której spojrzenie zabarwione było nienawiścią. Jeśli coś wryło się w pamięć obu Cyganów, poza nikczemnym

okrucieństwem, z jakim ich wszystkich potraktowano, to to, że żaden z gapiów, którzy przyglądali się widowisku, w ogóle nie próbował im pomóc. Było tam między nimi wielu z ich klientów, w tym kilku szlachciców i duchownych. Od tego momentu bracia uznali ich wszystkich za współników zbrodni, tak samo winnych jak żołnierze.

Potem dowiedzieli się, że ich majątek został podzielony między sędziego pokoju, dwóch innych sędziów oraz oficera, który kierował aresztowaniem. Poprzysięgli sobie, że poświęcą swe życie na krwawą zemstę na owych ludziach, a także na wszystkich, którzy przyglądali się ich haniebnemu pojmaniu.

Kiedy wspięli się na niewielki pagórek, minęli inny pochód, składający się z małych chłopców, którzy również szli pracować w warsztatach. Niektórzy z nich byli tak wychudzeni, że wyglądali jak chodzące trupy.

- Spójrz tylko na tych biednych smarkaczy, traktują ich gorzej niż zwierzęta!

Mocne uderzenie pozostawiło na skroni Timbria obficie krwawiącą ranę. Strażnik, który zadał cios, krzyknął do niego, by przestał gadać i szedł dalej w milczeniu, jak reszta.

Marych Cyganów, którzy przechodzili przez główny plac w kierunku warsztatu stolarskiego, minęła również żona admirała, doña María Emilia Salvadores, udająca się właśnie ze służącymi, by wysłuchać mszy o ósmej.

Wstrząśnięta widokiem wynędzniałych chłopców, zwróciła szczególną uwagę na jednego z nich, który wyróżniał się czupryną potarganych loków w bardzo jasnym kolorze. Mógł mieć jakieś trzynaście lat. Był jeszcze bardziej wychudzony niż pozostali i zamykał pochód, idąc ze spuszczoną głową, przez co wydawał się jeszcze bardziej osierocony niż reszta.

Doña María Emilia zwróciła się do jednej z towarzyszek i poleciła jej wywieść się o imię oraz sytuację owego chłopca tak szybko, jak to możliwe. Przystanęła i patrzyła za nim, póki nie zniknął za rogiem. Odczuwała przy tym dziwną pustkę. Nie wiedziała czemu, lecz płonęła z pragnienia, by wyjść mu na spotkanie i zamknąć go w swych ramionach.

Obraz chłopca towarzyszył jej przez całą mszę, a także podczas rozmowy ze spowiednikiem, który jednak zobaczył w jej odruchowym pragnieniu jedynie przebłysk niezaspokojonego instynktu macierzyńskiego.

Po powrocie do rezydencji Maria Emilia rozmyślała o tym wydarzeniu z niepokojem w duszy. Chłopiec ów w jakiś sposób zmusił ją, by zmierzyła się z tą częścią swego życia, którą od jakiegoś czasu ignorowała - jakby był kluczem, który nieodwracalnie otworzył w niej jakieś drzwi, choć nie wiedziała jeszcze, co ją za nimi czekało.

Nieco dalej jej mąż przeżywał właśnie rozczarowanie postępami w pracy Cyganów. Przed rozpoczęciem budowy nowych doków trzeba było zmienić bieg strumienia, który przepływał przez tamte okolice, aby robotnicy mogli pracować na suchej ziemi. Jednak teren, na którym odbywały się roboty, wciąż był zbyt wilgotny, jeśli nie stanowił wręcz mokradła.

Cyganie musieli kopać w okropnych, niemal niemożliwych warunkach - nogi zapadały im się po kolana, kajdany zaś i łańcuchy jeszcze bardziej ograniczały ich ruchy. Chociaż przy każdym doku pracowało tysiąc ludzi, to po przeliczeniu okazywało się, że postępy w pracy były tak niewielkie, jakby była ich niecała setka.

Do tego nieustannie się skarżyli, a to na niewygodne kajdany, a to na zbyt małe racje żywnościowe, które im wydzielano, i zawsze na trudne warunki pracy.

Bójki i próby uciezek zdarzały się tak często, że niemal cały oddział z twierdzy musiał poświęcać więcej czasu na pilnowanie więźniów i ukrócanie ich wybryków niż na resztę zwyczajnych obowiązków.

- Panie, proszę mnie wysłuchać! - Sekretarz Carrasco usiłował właśnie zwrócić na siebie uwagę admirała i wyrwać go z zamyślenia.

- W warsztatach, gdzie wznoszą żebra nowej fregaty Wiktorii, toczy się poważna bójka. - Jego zaczerwieniona twarz dowodziła pośpiechu, z jakim szukał Mendozy.

Admirał wciągnął powietrze z niejakim zaskoczeniem.

Nie potrafił wyobrazić sobie gorszych kłopotów od tych, z którymi już musiał się mierzyć, jednak rzeczywistość zdawała się zabawiać prezentowaniem mu coraz to nowych możliwości.

- Jak do tego doszło? - Szybkim krokiem ruszył na miejsce burdy.

- Tym razem chodzi o jakiś tuzin Cyganów, którzy zajmują się wytwarzaniem knag do nowych fregat. Pracują przy kowadłach, z młotami i ogniem, a nikomu nie przyszło do głowy, że mogliby wykorzystać narzędzia niezgodnie z przeznaczeniem. Jednak to właśnie zrobili. Rozbili głowy dziesięciu pracownikom, innym pięciu zmiażdżyli żebra, a kiedy wychodziłem, walczyli wręcz z piętnastoma naszymi żołnierzami, a przy okazji próbowali spalić wielkie zapasy drewna w składzie.

- Przysięgam, że tym razem za to zapłacą!

Gonzalez de Mendoza zacisnął z wściekłością pięści i przyspieszył kroku, zmierzając do warsztatu ze szpadą w ręku. Zdecydowany był za wszelką cenę stłumić bunt.

Z bulajów i pokładu okrętu, który płonął już w jednej trzeciej swojej długości, unosił się gęsty, czarniawy dym, podczas gdy przez wrota napływały nowe posiłki żołnierzy i wychodzili ranni.

W całym tym zamieszaniu jakaś dwunastka Cyganów walczyła w kłębach dymu przeciwko mniej więcej dwudziestu żołnierzom, przeciwstawiając ostrym klingom pręty, młoty oraz sztaby żelaza.

Admirał nie zważał na sekretarza, który zaklinał go, by pozwolił żołnierzom wypełniać swoje zadania. Nie dając się powstrzymać, ruszył dzielnie w stronę jednego z rebeliantów. Cygan nie był na tyle zręczny, by uchronić się przed jego atakiem, i Mendoza zatopił szablę w jego brzuchu aż po rękojeść. Jednak sekundę później ktoś inny zadał mu młotem ciężki cios w plecy, który złamał kręgosłup admirała, po czym rozłupał mu czaszkę.

Było to dla wszystkich tak niespodziewane, że obie strony konfliktu przystanęły na kilka sekund wśród niepewnych spojrzeń, po czym na powrót starły się w jeszcze bardziej krwawej i gwałtownej walce, która zakończyła się śmiercią wszystkich buntowników oraz kolejnych dziesięciu żołnierzy.



Na pytanie markiza de la Ensenada Maria Emilia wznowiała opowieść o tym, jak została wdową.

- Kiedy dowiedziałam się o jego śmierci, byłam wstrząśnięta. W czasie pogrzebu otępiło mnie dziesięć serii po dwadzieścia jeden salw z dział oraz mieszanina zapachów prochu i ziemi. Dziś, podczas uroczystości, czułam się zagubiona.

- Proszę mi wierzyć, że głęboko odczuwam śmierć małżonka pani. - Głos markiza zadrżał, on sam zaś otarł łzę, która spływała mu po policzku. - Był najwierniejszym ze wszystkich moich współpracowników, a przy tym dobrym i oddanym przyjacielem.

Te szczere i ciepłe słowa pochwały, choć byłyby miłe każdej kobiecie, która straciła męża, nie zdołały poprawić nastroju Marii Emilii.

- Nie wiem, czy postanowiłaś już, pani, co dalej robić, ale weź pod uwagę radę, której zamierzam udzielić; proszę się przenieść do Madrytu, daleko od tego miejsca, z którym wiążą się tak ponure wspomnienia. Jeśli to, pani, uczynisz, to przez wzgląd na zobowiązanie wobec admirała, podejmę się wyszukania domu i służby oraz załatwienia odpowiedniej renty, byś mogła, pani, żyć wygodnie.

- Dziękuję za szczerą ofertę. - Maria Emilia przez kilka sekund rozważała tę nieoczekiwaną propozycję. Nowe życie, w atrakcyjnej i wesołej stolicy, zdało jej się ciekawą perspektywą. W końcu odezwała się: - Mogę z góry powiedzieć, że wygląda to na dobry pomysł, jednak potrzebuję jeszcze kilku dni na przemyślenie decyzji.

- Rozumiem. Teraz jednak muszę panią opuścić. - Markiz podniósł się, by ruszyć w drogę powrotną do Madrytu, gdzie czekały na niego urzędowe obowiązki. - Jeśli zdecydujesz

się, pani, podążyc za moją radą, proszę zawiadomić mnie listownie i z pewnym wyprzedzeniem, żeby wszystko było gotowe na pani przyjazd.



Maria Emilia Salvadores przywdziała rygorystyczną żałobę i zamówiła czternaście mszy za duszę zmarłego - tyle, ile lat trwało ich małżeństwo - których wysłuchiwała z samego ranka, by resztę dnia móc poświęcić na przemyślenie i organizację skomplikowanej przeprowadzki do Madrytu. Pewien czas - niemal zawsze pod sam koniec dnia i w przygnębiającym nastroju - przeznaczała również na pisanie listów do krewnych i przyjaciół z zawiadomieniem o tym, co się stało.

Któregoś dnia dowiedziała się, że wypływa jakiś transport do Hawany, skreśliła więc kilka nostalgicznych zdań do kapitana Alvara Pardo Ordúñeza, prosząc go szczerze o odwiedziny w Madrycie, gdy tylko będzie mógł. Alvaro był dla niej nie tylko przyjacielem. Przez cały okres, kiedy przebywał w twierdzy, pozwoliła sobie wplątać się z nim w szaleńczy, namiętny romans.

Któregoś wieczoru, gdy obliczała, ile kufrów może wysłać do nowego domu, którego adres został już wybrany i przekazany jej listownie przez markiza, jedna ze służących przypomniała o sprawie, o której Maria Emilia zupełnie zapomniała.

- Tego dnia, kiedy poległ mąż pani - niech Bóg przyjmie go do Swojej chwały - poleciła mi pani wywiedzieć się o pewnego cygańskiego chłopca, co też uczyniłam już jakiś czas temu. Nie wiem, czy nadal będzie panią to interesować, ale lepiej, żeby sama pani zdecydowała.

Wspomnienie wzruszającej postaci chłopaka sprawiło, że Maria Emilia porzuciła listy, którymi zajmowała się przez cały wieczór.

- Oczywiście, że mnie to interesuje - odparła. - Opowiedz, czego się o nim dowiedziałas!

- Nazywa się Braulio, a na nazwisko ma Montoya. Mówi, że ma trzynaście lat i pochodzi z Almerii. Nie wyobraża sobie pani, ile mnie kosztowało skłonienie go do zwierzeń. Ponieważ nikt nie wiedział nic o jego rodzinie, musiałam zwrócić się do niego samego i zdobyć jego zaufanie, co okazało się niezwykle trudne ze względu na okrucieństwa, jakich doświadczył w swoim krótkim życiu, o których potem opowiem. Najpierw muszę powiedzieć, dlaczego reszta Cyganów traktuje go jak wyrzutka: to z powodu koloru jego włosów.

- Przypominam sobie, że był blondynem i miał bardzo bujne loki... - do tego splątane i brudne, dodała Maria Emilia w myślach - ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z izolacją, o której mówisz.

- Cyganie nie chcą mieszać swojej krwi z krwią żadnej innej rasy, a ponieważ jasne włosy są u nich nietypowe, przypuszczają, że chłopiec był owocem grzesznego związku, i dlatego go nie uznają.

- Teraz przypominam sobie, że szedł jakby w oddaleniu od reszty. - Fakt, że chłopiec został odrzucony przez największych wyrzutków na ziemi, wydawał się Marii Emilii zarówno okrutny, jak i głęboko ironiczny. - A czego dowiedziałas się o jego rodzicach? Ma gdzieś jakichś krewnych?

- To wymagało więcej czasu i zachodu - przyznała służąca, po czym kontynuowała opowieść: - Trzydziestego lipca zeszłego roku zjawił się u nich urzędnik i kilku żołnierzy z nakazem aresztowania. Chłopiec opowiadał mi, jak w pierwszym momencie jego ojciec zaczął się upierać, że rozkaz jest błędny, że on sam nie jest Cyganem i że królewski edykt go nie dotyczy, lecz nie zdołał ich przekonać i wszystkich bez dalszych dyskusji aresztowano. Widząc, że jego protesty na nic się nie zdają, ojciec rzucił się na żołdaków, by odwrócić uwagę od żony i syna, którym kazał uciekać do kościoła i poprosić o azyl. Tak też uczynili i w końcu, ścigani przez trzech żołnierzy, zdołali dostać się do kościoła, gdzie natychmiast poprosili o pomoc proboszcza. Ten, tknięty współczuciem, z początku przyjął ich pod swój dach, lecz zanim upłynęła godzina, wydał ich żołdactwu, powołując się na dyspensę od obowiązku udzielenia azylu, która została wydana przeciw Cyganom. Żołnierze stwierdzili, że zmarnowali na nich wystarczająco dużo czasu; pewnie dlatego właśnie byli tak wściekli na matkę, którą zamordowali bez litości na schodach świątyni, na oczach jej dziecka. Nieco wcześniej podobny los spotkał ojca, a gdyby nie przybycie sędziego, sam chłopiec zginąłby z rąk jednego z żołnierzy, który jakby wręcz pragnął splamić się jeszcze większą ilością krwi - skończyła dziewczyna ze łzami w oczach, wzruszona historią dziecka.

- Biedactwo! Taki młody, a życie już pozbawiło go tego, co dla innych jest codziennością: rodziców, miłości, zabaw z przyjaciółmi. - Słyszac tę relację, Maria Emilia zrozumiała częściowo instynktowną chęć wzięcia chłopca pod opiekę, gdy go po raz pierwszy ujrziała.

Kiedy została sama, przypomniała sobie uczucia, których doświadczyła tamtego dnia. Pomyślała wtedy, że ów mały Cygan jest kluczem, który mógłby otworzyć w jej życiu jakieś drzwi. Ogarnęła ją myśl, by poprosić o pozwolenie na adopcję, jako że w tych

okolicznościach uzyskanie go nie wymagałoby dużego zachodu. Czuła jednak, że nie ma dość sił, by poradzić sobie naraz z rolą matki i wdowy, do tego w mieście, którego nie znała.



Trzy powozy opuszczały wraz z eskortą dom, który był niegdyś rezydencją admirała Gonzáleza de Mendozy i jego małżonki Marii Emilii Salvadores, by wyruszyć w długą drogę, dzielącą Kadyks od Madrytu.

Wdowie po admirale, która podróżowała w środkowym powozie, towarzyszyły cztery służące oraz obstawa pięciu żołnierzy z giejtami podpisanymi przez nowego dowódcę twierdzy.

Maria Emilia przyglądała się kolejno wszystkim budynkom, które mijał konwój, ze świadomością, że zostawia w nich dużą część wspomnień oraz wiele marzeń. Przemysłała wszystko na spokojnie i pozostawiła za sobą również myśl o adopcji owego chłopca, choć była to dla niej jedna z najtrudniejszych decyzji.

Przebyli główną, wysadzaną palmami aleję, aż do wysokości warsztatów. Maria wciąż starała się zapisywać w pamięci obrazy, które widziała po drodze. I wtedy go ujrzała: ich oczy zetknęły się na krótką chwilę. Chłopak leżał na ziemi, otoczony przez pozostałych cygańskich chłopców, którzy wśród śmiechów kopali jego wychudzone ciało, a wszystko to na oczach mężczyzny, który - o czym Maria Emilia wiedziała - był dowódcą straży twierdzy.

Rozkazała zatrzymać powóz, po czym ku zdziwieniu wszystkich pospiesznie wysiadła i pobięła chłopcu na ratunek. Jej obecność przeraziła małych agresorów, którzy uciekli ze strachem na widok jej samej i dwóch towarzyszących jej żołnierzy. Maria Emilia podniosła posiniaczonego Braulia i poprosiła o wyjaśnienia dowódcę straży, który nie zdołał znaleźć lepszej wymówki jak oświadczenie, że miał tego dnia zbyt wiele problemów na głowie, by zważać jeszcze na niewinne dziecięce bójki. Między innymi musiał zająć się ucieczką dwóch braci o nazwisku Heredia oraz kolejnym buntem w jednym z warsztatów.

Maria Emilia na powrót wsiadła do powozu, po czym zaczęła głaskać czule złociste loki małego Cygana, pełna wyrzutów sumienia, że nie zabrała go wcześniej.

Kiedy chłopiec ponownie zwrócił na nią oczy, zrozumiał, że kobieta ta będzie trwać przy nim do końca życia.

Ambasada angielska. Madryt Rok 1751

7 lipca

Może było to wbrew etykecie, by ambasador przyjmował gościa w piwnicach, wśród tysięcy leżakujących butelek i dwóch wielkich beczek szkockiej whisky, lecz

obezwładniający upał, jaki w ostatnich dniach zalegał nad Madrytem, zmniejszył się nocą zaledwie o kilka stopni, dla Benjamin Keene'a zaś - najwyższego zwierzchnika ambasady - wilgotna piwniczka była jedynym kątem, w którym mógł zaznać jakiegó ulgi.

Jego gość i zarazem wpływowy przyjaciel, generał Fernando de Silva Alvarez de Toledo, ksiązę de Huéscar i dziedzic księstwa Alby, wydawał się niezbyt przejmować niewygodami zapleśniałego pomieszczenia i z rozkoszą popijał nową whisky, bardzo zachwalaną przez gospodarza. Zresztą to odosobnione miejsce odpowiadało im, jako zaprzysiężonym wrogom markiza de la Ensenada, gdyż dobrze nadawało się do zachowania w tajemnicy delikatnych spraw, które mieli omawiać.

Ksiązę przybył trzy dni wcześniej z ambasady hiszpańskiej w Paryżu, a zaledwie przed godziną zakończył, w niejakim zdenerwowaniu, rozmowę z sekretarzem stanu Carvajalem, odpowiadającym za politykę zagraniczną króla Ferdynanda VI.

- Właśnie się dowiedziałem, że pojutrze rozpocznie się kolejny zamach na oświecenie tego archaicznego społeczeństwa.

Młody i przystojny ksiązę chlubił się zażyłą przyjaźnią z Rousseau oraz innymi francuskimi wolnomyślicielami, a od jakiegoś czasu utrzymywał też bliskie stosunki z najwyższymi zwierzchnikami masonerii z Wielkiej Francuskiej Łoży Wschodu w Paryżu, jako że w dużym stopniu podzielał ich poglądy.

- Nasz przyjaciel Somodevilla - mówił dalej - przygotował królewski dekret, w którym ze względów religijnych zakazywać się będzie działalności wolnomularstwa w Hiszpanii - oświadczył, z góry przewidując, jaka będzie reakcja.

- Nienawidzę tego człowieka z całej duszy! - krzyknął Keene i rozbił swój kieliszek. - Któregoś dnia my, Anglicy, zmusimy go, by drogo zapłacił za swoje intrygi! - Ani jego pięćdziesiąt cztery lata, ani nadmierna waga nie przeszkodziły mu zbytnio w energicznym zerwaniu się z krzesła. - Dwa lata temu przysłał nam do londyńskich stoczni jakiegoś matematyka, Jorge Juana, by szpiegował nasze projekty konstrukcji statków, ukrywając się pod idiotycznym imieniem Sublevant. Niemal go złapaliśmy, lecz potem dowiedzieliśmy się, że zdołał zdobyć plany i projekty przemysłowe oraz zwerbować niemal pięćdziesięciu naszych najlepszych inżynierów i techników. Wiemy, że wysłano ich do pracy w stocznjach La Carraca i Ferrol, gdzie powstaje nowa flota wojenna, której zadaniem bez wątpienia będzie któregoś dnia pokonanie naszej - podawał kolejne argumenty, wyliczając je na tłustych palcach. - Teraz zaś próbuje zabronić działalności tego szlachetnego stowarzyszenia, którego jedynym celem jest dobro ludzkości. - Twarz ambasadora nie mogłaby wyrażać większego oburzenia. - Jestem pewien, że za tym dekretem kryją się motywy polityczne, nie zaś

religijne, chociaż wyobrażam sobie, że maczał w nim palce również królewski spowiednik, ten jezuita Ravago.

- Niech pan w to nie wątpi! Zarówno jezuita, jak sam papież, podburzają od pewnego czasu monarchie europejskie przeciwko wolnomularzom. - Książę przedrzeźnił tych pierwszych, przybierając świętobliwą minę. - Póki jest u władzy, markiz chce wykorzystać pobudki religijne, by stłamsić organizację, której w rzeczywistości się obawia. Doskonale zdaje sobie sprawę, że tworzą ją wpływowi arystokraci, wojskowi oraz naukowcy, a wiem też, że dręczy go strach przed intrygami, których mógłby być celem. Zawsze posługiwał się tymi samymi sposobami, by zrealizować swoją politykę. - Wychylił szybko szklaneczkę whisky, by zwilżyć sobie gardło. - A może nie pamiętacie aresztowania jego pokojowca, Rosillóna, na którego napuścił Święte Oficjum, kiedy zaczął go podejrzewać o przynależność do masonerii?

- Pamiętam to bardzo dobrze, tak samo jak nieszczęsne zakończenie całej tej sprawy, czyli śmierć jego żony, a następnie jego samobójstwo w lochach inkwizycji. Z Rosillónem straciliśmy zręcznego szpiega, który informował nas na bieżąco o poczynaniach markiza. - Ambasador odkorkował nową butelkę i ponownie napełnił szklaneczkę księcia de Huescar, a następnie własną. - Zawiadomię wielkiego mistrza loży madryckiej, by ostrzegł wszystkich jej członków i odłamy; w ten sposób unikniemy aresztowań, na które z pewnością liczy Somodevilla.

Usiadł z powrotem, zadowolony z pokrzyżowania planów markizowi, po czym przyjrzał się księciu de Huescar.

- Już tyle lat spotykamy się i powierzamy sobie wzajemnie nasze tajemnice, a jednak nadal wydaje mi się dziwne, że łączą nas wspólne interesy - pana jako ambasadora Hiszpanii we Francji, mnie zaś - jako ambasadora Anglii w Hiszpanii.

- Robimy to na inne sposoby, lecz łączy nas przede wszystkim opór wobec markiza i tego, co on reprezentuje. Pańskie motywy są polityczne. Ja mam ponadto motywy ekonomiczne.

- Chodzi o waszą słynną hipotekę?

- Niech sam się pan nad tym zastanowi, gdy wyjaśnię, jaki mogłoby to mieć wpływ na moją kieszeń. Dopóki ten intruz nie doszedł do władzy, szlachta nigdy nie musiała płacić Koronie żadnych podatków, lecz on zdołał przekonać tego słabeusza króla Ferdynanda do zniesienia naszego przywileju.

- Słyszałem coś o tym - wtrącił ambasador - chociaż może moglibyście wyjaśnić mi to bardziej szczegółowo.

- Jego zamierzeniem jest, by wszyscy płacili do skarbcza królewskiego proporcjonalnie do tego, ile posiadają. W tym celu Ensenada potrzebuje zebrać aktualne dane na temat wszystkich dóbr i własności poddanych, co chce osiągnąć poprzez powszechny spis. Jest to całkiem uczciwy sposób, gdyby chodziło tylko o tych, co posiadają niewiele, lecz do mnie się to nie odnosi. Gdybym miał płacić proporcjonalnie do mojego majątku, musiałbym większą jego część wystawić na sprzedaż, na co nie mam najmniejszej ochoty. Podobnie uważa większość arystokracji. - Huescar zacisnął z determinacją pięść. - To właśnie jeden z motywów, które pchają mnie do politycznego zniszczenia Zenona de Somodevilli, lecz nie jedyny...

Gdzieś w pobliżu piwniczki jakiś dźwięczny kobiecy głos wykrzyknął imię Benjamina. Małżonek poderwał się z miejsca i natychmiast przeprosił księcia za konieczność szybkiego zakończenia rozmowy. Gość, który znał ostry charakterek pani Keene, szybko znalazł wymówkę w postaci jakiejś zapomnianej kolacji, na którą zaraz się spóźni, w ten sposób zapewniając ambasadorowi swobodne wyjście z niezręcznej sytuacji.

Do piwniczki wpadła ambasadorowa, napelniając ją natychmiast wonią perfum z białej lilii oraz ponad setką kilogramów żywej wagi. Wykrzykiwała po angielsku jakieś oskarżenia, których książe nie rozumiał. W końcu spostrzegła obecność gościa, gdy ten zbliżył się, by ucałować jej dłoń, ubolewając zarazem nad tym, że nie będzie mógł nacieszyć się jej towarzystwem. Angielka posłała mu głupiutki uśmiech, a na jej policzki zaczął wypływać rumieniec, jak zawsze, kiedy znajdowała się w obecności owego urodziwego młodzieńca.



W drodze do domu karetka księcia de Huesear musiała przedzierać się przez pełną koni i powozów ulicę Alcalá. Panowała na niej radosna atmosfera, która zdawała się wylewać z licznych gospód, zmieniając całą okolicę w jedno wielkie święto. Chociaż brakowało zaledwie kilku minut do dziesiątej, nastrój zdawał się nie odbiegać od tego, jaki panował tu w środku dnia. Książe rozkazał słudze zwolnić, by móc nacieszyć się atmosferą zabawy, tak charakterystyczną dla madryckiej nocy i tak różną od tego, co widział w Paryżu.

Rozbawił go widok trzech kobiet w kolorowych strojach, które przypadkiem szły równolegle do niego, znosząc przy tym nieprzystojne żarty najpierw ze strony pracowników zakładu wynajmującego powozy, potem zaś - dwóch ożywionych, pełnych wina młodzieńców, którzy wytoczyli się z jakiejś oberży. Książe stracił je z oczu, kiedy przeszły na drugą stronę ulicy, po czym przypadkiem skierował wzrok na dwóch mężczyzn o wyglądzie

Cyganów, którzy przeszli obok - zaskoczyło go, że widzi ich na wolności: wiedział bowiem, iż większość Cyganów znajdowała się w więzieniach lub twierdzach.

Następne doskonałe źródło przeciwników Ensenady! - pomyślał, każąc woźnicy przyspieszyć, jako że nie chciał dotrzeć zbyt późno do swej rezydencji, która znajdowała się na obrzeżach Madrytu.

Nieświadomi wzroku potężnego księcia de Huescar, bracia Heredia weszli do oberży Pod Posłańcem, by odszukać pewnego sędziego, którego urząd - jak się dowiedzieli - wymagał dość częstych podróży do Calatayud i Saragossy, a który zatrzymywał się tam dwa razy w tygodniu, by za w miarę rozsądną cenę zabrać do tych miast listy lub inne przesyłki.

Według wieści, które z wielkim trudem udało im się zdobyć, ich żony oraz córki Timbria zamknięte były od chwili aresztowania w Królewskim Domu Miłosierdzia w Saragossie, już od dwóch lat. Więcej niż raz kusila ich myśl, by udać się tam po nie, lecz ostrzeżono ich, że trasa ta była pilnie strzeżona, niebezpieczeństwo zatrzymania zaś - bardzo wysokie.

Gdy weszli do oberży, musieli przepchać się łokciami przez wypełniające lokal tłumy, po czym w końcu dostali się do kontuaru, gdzie tłoczyło się liczne grono mężczyzn pragnących za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę spoconego oberżysty. Kto nie żądał swego napitku głośnymi okrzykami, ten chwycił biedaka za rękaw, by go do siebie przyciągnąć, albo też kłął wśród wybuchów śmiechu na jakość wina, które podawano. W całym tym zamieszaniu bracia zdołali dopchać się do rogu kontuaru, po czym mocno uczepili się swego miejsca, z rzadka rozdając w tym celu kuksańce. Czekali tam jakiś czas, dopóki oberżysta nie znalazł się w pobliżu.

- Podaj dwóm spragnionym druhom po kwarcie wina! - zawołał Silerio, myśląc, że w ciągu kilku sekund, kiedy oberżysta będzie ich obsługiwał, zdoła wypytać go o człowieka, którego szukali.

Mężczyzna w kilka chwil przyniósł im dwa kufle i postawił je przed nimi.

- Sędzia, który jeździ do Saragossy? - spytał Cygan szybko, nie chcąc tracić czasu na słowa czy formalności, kiedy sposobność była tak krótka.

- Macie go przy tamtym oknie. - Karczmarz wskazał palcem jakiś kierunek, nie dając im czasu na pytanie o nazwisko sędziego.

Odwróciwszy się, bracia ujrzeli wychudzonego mężczyznę, który głośno protestując, odpychał wielką paczkę, wciskaną mu po zakończeniu pracy przez kogoś innego. Po długich targach człowiek ów musiał w końcu zrezygnować i odszedł, ciskając plugawe przekleństwa. Bracia Heredia podeszli bliżej i stanęli tak, by sędzia zwrócił na nich uwagę.

- Musimy przesłać paczkę do Saragossy...

- Do jutra nie przyjmuję żadnych dalszych zleceń! - uciął tamten, zmęczony już ciągłym wystawianiem jego cierpliwości na próbę.

- Dobrze panu zapłacimy.

- Wszyscy mówicie to samo. - Do tej pory mężczyzna nawet na nich nie spojrział, lecz kiedy w końcu to uczynił, pomyślał, że wyglądali na Cyganów. - Powiedziałem, że nie! - podniósł głos, chcąc jak najszybciej zakończyć sprawę.

Timbrio wyciągnął zza pasa skórzaną sakiewkę i położył ją na stole.

- Czy sto reali mogłoby zmienić pańskie zdanie? Sędzia, który za tego typu zlecenia pobierał nie więcej niż dziesięć, poprosił, by usiedli przy nim, po czym zaoferował im dzban wina. Ciekawiło go, gdzie konkretnie miałby dostarczyć paczkę.

- Czy możemy powierzyć panu pewną misję, nawet jeśli będzie to dość delikatna sprawa? - Domyślając się odpowiedzi, Timbrio przygotował już kolejną sakiewkę z pieniędzmi.

- Bez wątplenia, jeśli tylko okażecie taką samą szczodrość. Znajdziecie we mnie dobrego słuchacza. Dyskrecji mam na pęczki, a moje najlepsze interesy nigdy chyba nie były czyste. Sami rozumiecie! - Zabrał drugą część zapłaty, zdecydowany wysłuchać ich z pełną uwagą.

Najpierw bracia wyjawili mu cel, do którego zamierzali wysłać paczkę, oraz nazwisko osoby, której należało ją przekazać. Jednak to, czego chcieli w drugiej kolejności - i co usprawiedliwiałoby hojne wynagrodzenie - polegało na sprawdzeniu zabezpieczeń tamtejszego Domu Miłosierdzia, a także zdobyciu jego planów.

Sędzia nie zgłosił sprzeciwów, choć zadania wydały mu się nieco dziwne, a gdy ujrzał kolejną pękatą sakiewkę z pieniędzmi, zgodził się również na trzecią misję. Znał odpowiednią osobę, która mogła sfałszować papiery Kastylijczyków z dziada pradziada, o które mężczyźni prosili dla siebie i swoich żon, lecz zabrałoby mu to nieco więcej czasu, co najmniej miesiąc.

Warunki wydały się braciom dostatecznie dobre, lecz dali sędziemu do zrozumienia, że tak samo hojnie, jak potrafili odwdziżyć się za przysługi, mogli również zapłacić za jakąkolwiek niedyskrecję lub oszustwo z jego strony, gdyby do nich doszło. Mówiąc to, Timbrio przesunął palcem po szyi. Sędzia odczytał gest jako znak tego, co mogli mu zrobić.

Ustalili, że spotkają się w tym samym miejscu i czasie za dwa tygodnie, po czym się pożegnali.

Dość zadowoleni bracia Heredia ruszyli ulicą Alcalá w kierunku Prado, udając się w niespełna dwugodzinną drogę do warsztatu, gdzie nie tylko dano im pracę, ale też pozwolono rozstawić dwa rozlatujące się łóżka w maleńkim przylegającym pokoiku.

Z tyłu po lewej zostawili za sobą pałac Buenavista należący do markiza de la Ensenada. Pod jego bramami złożyli przysięgę, że któregoś dnia dokonają zemsty na markizie i na wszystkich, którzy przyczynili się do ich cierpień.

Tymczasem w pałacu lokaj podawał właśnie desery po kolacji, którą markiz urządził dla wdowy po jego przyjacielu admirałe Gonzálezie de Mendoza, doñi Marii Emilii Salvadores.

- Doskonały posiłek - odparła Maria Emilia na jego pytanie, po czym otarła usta serwetką.

- Bardzo mnie cieszy, że wasza przyjaźń z hrabiną de Benavente staje się coraz bardziej zażyła. Nie przez przypadek kiedy dwa lata temu postanowiłaś przeprowadzić się do Madrytu, wyszukałem ci dom w pobliżu mojej przyjaciółki Faustyny. Znając jej charakter, przypuszczałem, że się polubicie. - Don Zenon wychylił kieliszczyk nalewki, którym zwykł raczyć się po kolacji.

- Zapewne nie będzie to dla ciebie zaskoczenie, jeśli powiem, że nie miałam z tym żadnych problemów. Lecz jeszcze ciekawsze jest to, że również mój adoptowany syn Braulio i jej przybrana córka Beatriz polubili się do tego stopnia, iż zawsze można znaleźć ich razem w jej domu albo w moim.

Maria Emilia miała na sobie suknię z różowego jedwabiu z perłowszarym stanem, ściśniętym do tego stopnia, że po posiłku wyglądał, jakby ledwo mieścił jej obfity biust, który wychylał się z niego dość nieskromnie. Gdy to zauważyła, spróbowała zamaskować go za pomocą wachlarza, by nie przyciągać zbytnio uwagi markiza.

- To nieszczęsne dziecko...! - W twarzy Somodevilli widać było dużą konsternację.

- Chyba dość długo jej nie widziałeś, gdyż Beatriz zmieniła się już w piękną, piętnastoletnią panienkę - odparła Maria Emilia. Wiedziała, że Ensenada na własne oczy widział tragedię Beatriz. Uznała, że nie znajdzie lepszej sposobności, by o tym pomówić: - Mam nadzieję, że nie krępuje cię moje zainteresowanie, ale bardzo chciałabym wiedzieć, jak doszło do jej sieroctwa. Pomimo moich usiłowań, by dowiedzieć się czegoś od jej matki, do niczego nie doszłam.

Markiz pospieszył spełnić jej życzenie. Zaprowadził ją do biblioteki, gdzie jego wspomnienia wydawały się wciąż żywe. Przypomniawszy sobie szczegóły zajścia, po czym zaczął od tamtej nieszczęsnej nocy dwunastego grudnia sprzed pięciu laty. Wymienił powody, które

doprowadziły do aresztowania ojca Beatriz, i z całą sugestywnością nakreślił dramatyczną scenę, której byli świadkami, gdy ujrzeni dziewczynkę u boku jej martwej matki. Wyjaśnił także przyczyny tymczasowej adopcji dziecka przez Faustynę oraz powód, dla którego stała się ona w końcu trwałą.

Maria Emilia zainteresowała się wydarzeniami, które miały miejsce w ciągu następnych miesięcy. Markiz opowiedział więc o problemach, z którymi musiała zmierzyć się Faustina. Dziewczynka przez pierwszy rok w ogóle się nie odzywała i nie dawała żadnego wyrazu swoim uczuciom. Sam Somodevilla odkrył również, że mimo jego częstych wizyt w pałacu przy bramie de la Vega, zawsze odnosił nieprzyjemne wrażenie, iż Beatriz spogląda na niego z wrogością, która zdawała się nigdy jej nie opuszczać.

Widząc przychylne nastawienie markiza, Maria Emilia zapragnęła lepiej zrozumieć, dlaczego w ogóle doszło do aresztowania Rosillóna.

- Wybacz, proszę, moją ignorancję, ale mówiłeś wcześniej, że jej ojciec został zatrzymany za przynależność do masonerii, a ja niemal nic nie wiem o tym stowarzyszeniu. Jakie są jego cele? - spytała.

Na to pytanie twarz Somodevilli natychmiast uległa zmianie - odmalowała się na niej powściągnięta wściekłość. Odpowiedział, że jest to bractwo, którego złowroga działalność ma na celu zniszczenie religii i samego królestwa, po czym spróbował podać w skrócie doktryny masonerii i wyliczył swoje najważniejsze podejrzenia:

- Zapewne dobrze znasz hrabiego de Valmojada, który również jest twoim sąsiadem. - Maria Emilia potwierdziła. - Wyjawię ci pewną tajemnicę, ale musisz mi obiecać dyskrecję. - Kobieta stanowczą miną przypieczętowała obietnicę absolutnego milczenia. - Trzy lata temu zdołaliśmy wprowadzić go do jednej z łóż, dzięki czemu poznaliśmy niektórych członków oraz część zasad masonerii. Wiemy, że składają przysięgi, profanując prawdziwe imię Boga, którego nazywają Wielkim Architektem Wszechświata. Odrzucają też sakramenty i prawa Kościoła. Przeklinają jego potęgę i przysięgają, że będą zabijać lub sami zginą dla obrony swoich ślubów i wielkiej tajemnicy, która jest im objawiana, gdy osiągają wyższe stopnie; ich hierarchia liczy sobie bowiem dwadzieścia pięć poziomów. Gardzą ekskomuniką, którą obłożono ich w bulli papieża Klemensa, i wyznają wiarę, która ich zdaniem przewyższa wszystkie inne religie, a także pozwala im na dopuszczanie w swe szeregi luteranów, żydów, kalwinistów oraz ateistów.

Maria Emilia słuchała z uwagą tej relacji o prawidłach, które kierowały religią masonów, nie rozumiejąc, jak mogli oni na dodatek szykować jeszcze zamach stanu. Wyraziła swoje wątpliwości.

- Ani monarchia, ani ja, jako osoba najbardziej odpowiedzialna za działania rządu - odparł markiz bardzo poważnym tonem - nie możemy pozwolić na istnienie stowarzyszeń, które działają w sekrecie i przeciw religii państwowej. Nie można bowiem dobrze rządzić państwem, jeśli jego wojskowi, wysocy urzędnicy administracji czy szlachta kryją przynależność do organizacji, co do której suwerenności i zasad istnieje tyle wątpliwości. Na pozór mienia się dziedzicami i powiernikami starożytnej tajemnicy, która przyciąga nowych adeptów i stanowi podstawę ich bractwa. Dzięki niej zamierzają zmienić porządek społeczny naszych państw i założyć nowe rządy, oczywiście kierowane przez nich. - Zenon zauważył na twarzy Marii Emilii zmęczenie i postanowił zakończyć temat: - Wybacz, jeśli zanudziłem cię tą przygnębiającą historią. Nie miałem takiego zamiaru.

- Zapewniam, że wcale nie było to dla mnie męczące. Już raczej kształcące, bo nic o nich nie wiedziałam. W każdym razie wnoszę, że ojciec Beatriz, mając dostęp do informacji wagi państwowej, które znajdują się w twoim posiadaniu, mógł być zachęcany do szpiegowania dla swoich przełożonych. Czy to była przyczyna aresztowania?

- No właśnie! To samo i ja pomyślałem, chociaż nie zdołaliśmy zyskać pewności. Na nieszczęście jego rychłe samobójstwo odebrało nam wszelką możliwość pozyskania zeznań.

Maria Emilia nie chciała przerywać rozmowy, jednak słysząc dwanaście uderzeń zegara, który stał na kominku, stwierdziła, iż jej obecność o tak późnej godzinie była niewłaściwa.

Markiz wezwał jej powóz i dla bezpieczeństwa posłał z nim uzbrojoną eskortę, po czym pożegnał przyjaciółkę, przypominając, że zobaczą się znowu następnego dnia, na koncercie w pałacu hrabiny de Benavente, na który oboje byli zaproszeni.



Następnego ranka dwóch Anglików o niechlujnym wyglądzie zapukało do drzwi starego hotelu Pod Trzema Kwiatami Lili, siedziby głównej loży masońskiej w Hiszpanii.

Przez wąskie okienko wyjrzał jakiś człowiek. Spytał o hasło, po czym wpuścił ich do środka.

Poprzedniej nocy u obu mężczyzn zjawił się posłaniec ambasadora Keene'a z poleceniem, by jak najszybciej stawili się w ambasadzie. Gdy przybyli na miejsce, dyplomata osobiście poinformował ich o wydarzeniach, które miały mieć miejsce w ciągu najbliższych dni, teraz zaś zgodnie z instrukcjami Anglicy zamierzali porozmawiać z wielkim mistrzem i w imieniu ambasadora przekazać mu do rąk własnych zapieczętowaną kopertę.

Poproszono ich, by zaczekali w sali spotkań, gdzie wciąż jeszcze znajdowały się utensylia, z których korzystano podczas niedawnej ceremonii. Z drewnianej podłogi wznosiły

się dwie kolumny z portyku Świątyni Salomona, zwane Jakin i Boaz. W głębi prostokątnej sali namalowano na ścianie trójkąt z okiem w środku, oraz ze słońcem i księżycem po obu stronach. Był także fotel, a przed nim mały ołtarzyk ze świętą księgą, kątownicą i kompasem. Sufit przedstawiał sklepienie niebieskie - na błękitnym tle widniały gwiazdy, obwiedzione długim sznurem z dwunastoma węzłami, jako symbolem powszechnego braterstwa, oraz dwunastoma konstelacjami zodiaku. Na podłodze pośrodku pomieszczenia znajdowała się wielka mozaika z biało-czarnych płytek. W trzech rogach tej szachownicy stały wysokie świeczniki, symbole piękna, siły i mądrości - trzech światła, do których dąży inicjowany, by osiągnąć pełne poznanie.

Obaj dawno mieli już za sobą ceremonie inicjacji na stopień uczniowski oraz czeladniczy. Stojąc teraz w sali, przypomnieli sobie swoje przejście na trzeci stopień, mistrzowski, podczas którego odgrywano śmierć architekta Hirma Abifa i jego złożenie do grobu.

- Witajcie, bracia! Dawno już nie widzieliśmy was w loży - do sali wkroczył John Wilmore, promieniejący zdrowiem i w nastroju do żartów - lecz przypominam wam, że agapy zazwyczaj odbywają się w nocy dodał z uśmiechem, ponieważ przybyli zdobyli sobie sławę wspaniałych biesiadników.

Anglicy z poważnymi minami przekazali mu list od ambasadora Keene'a, który Wilmore zaczął czytać, nie zdając sobie jeszcze sprawy z tego, jak ważne nowiny były w nim zawarte. Jego spojrzenie zaćmił cień niepokoju i po chwili mistrz zaczął bez słowa krążyć w przygnębieniu po sali, medytując nad konsekwencjami wieści, które właśnie otrzymał.

Obaj mężczyźni czekali w milczeniu, podczas gdy Wilmore zajęty był długimi rozmyślaniami. W końcu zatrzymał się i przemówił do nich:

- Zostaliśmy powołani, by wykonać zadanie dla dobra ludzkości, by oświecać ją i wskazać jej jedyną prawdę, gdyż tylko my wiemy, jak osiągnąć zjednoczenie z Bytem, z Absolutem, by w końcu stać się jego obrazem. Wiadomość, którą właśnie otrzymałem od ambasadora Keene'a, zwiastuje trudne czasy dla naszej działalności. Będą nas prześladować, zamykać nasze loże i próbować nas aresztować, jeśli nie całkowicie zniszczyć.

- Musimy temu zapobiec, mistrzu - wtrącił jeden z posłańców. - Proszę sobie przypomnieć legendy o śmierci architekta Hirma Abifa, tak często przez nas wspomniane. Zamordowali go ludzie, którzy chcieli zawłaszczyć sobie jego władzę i mądrość. Salomon jednak wiedział, jak zareagować na tę nikczemność, i nakazał zabić morderców. My jesteśmy budowniczymi przyszłości, tak jak nasi poprzednicy byli budowniczymi katedr. Jeśli teraz

mamy być prześladowani jak ów mądry architekt, powinniśmy zadziałać przeciwko naszym wrogom i zniszczyć ich, zanim oni zdołają zniszczyć nas.

- Wiedzieliśmy, że knują coś przeciwko naszemu bractwu, lecz nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jakie to poważne. Jeszcze dziś wysłę wiadomości do wszystkich łóż, by przygotowały się na nadchodzący atak Świętego Oficjum, gdyż, jak sądzę, to ono właśnie będzie miało za zadanie dokonywać aresztowań. Według ambasadora Keene'a dekret zakazujący działalności naszego stowarzyszenia zostanie ogłoszony rankiem dziewiątego, dysponujemy więc bardzo krótkim czasem, zanim gubernatorzy i sędziowie z różnych regionów Hiszpanii zostaną poinformowani, a na nas ruszą urzędnicy inkwizycji.

- Co możemy zrobić?

- Chodźmy do mojego gabinetu. Tam wam wytłumaczę. Kiedy weszli do pokoju, Wilmore poprosił ich, by usiedli, po czym zajął się redagowaniem listów, które miały zostać natychmiast rozesłane do łóż. Czekać na objaśnienie swojej misji, dwóch posłańców przyglądało się wielkiemu portretowi lorda Whartona, założyciela masonerii w Hiszpanii, który przywiódł im na myśl wspomnienie jego niezwykłego życia.

Wharton przybył do Hiszpanii w roku 1726, trzy lata po tym, jak nie udało mu się ponownie zdobyć stanowiska Wielkiego Mistrza Łoży Angielskiej. Był bardzo rozgoryczony pozbawieniem owej wysokiej godności za to, że pozostał wierny Stuartom, którzy w tamtym czasie przebywali na wygnaniu we Francji, utraciwszy władzę na rzecz niemieckiej dynastii hanowerskiej. W Madrycie poznał pewną Irlandkę, Marię Teresę O'Neill, pokojową królowej, i zakochał się w niej do tego stopnia, że zgodził się przejść na katolicyzm tylko po to, by ją poślubić. Do roku 1728 zdążył już założyć lożę przy ulicy San Bernardo, pierwszą poza Wyspami Brytyjskimi, po czym zaciągnął się na służbę jako pułkownik w armii Filipa V, któremu pomógł w oblężeniu Gibraltaru. Z tego powodu dwór brytyjski napiętnował go jako zdrajcę.

W młodości Wharton założył w Anglii dziwne towarzystwo pod nazwą Klub Ognia Piekelnego, w którym wielbiono szatana i dokonywano aktów profanacji oraz głośnych skandali, lecz ostatecznie dożył swoich dni na łonie Kościoła katolickiego, a w końcu wdział nawet cysterski habit w klasztorze w Poblet, gdzie został pochowany w roku 1731.

Skończywszy z listami, Wilmore spojrzął na posłańców, nie kryjąc niepokoju, który ciążył mu na sercu. Wyjął z biurka czysty arkusik papieru i począł zapisywać na nim liczne instrukcje. Następnie włożył kartkę do koperty i zapieczętował ją lakiem.

- Oto wasze instrukcje. Otworzycie je tylko w wypadku którejś z następujących ewentualności - zaczął wyliczać na palcach: Po pierwsze, jeśli otrzymacie wieści o moim

aresztowaniu. Po drugie, jeśli zostaną utracone dokumenty z naszymi prawidłami, które od tej pory znajdować się będą pod waszą opieką, gdyż jesteście jedynymi braćmi, którzy nigdy nie figurowali w żadnych wolnomularskich dokumentach, przez co oczywiście zlokalizowanie was będzie najtrudniejsze. I po trzecie, jeśli dotrze do waszych uszu wiadomość o jakimś donosie na członków stowarzyszenia, złożonym przez któregoś z braci.

Jeden z mężczyzn wziął kopertę i schował ją do kieszeni płaszcza.

- Obarczamy was wielką odpowiedzialnością - powiedział Wilmore. - Wasza misja może okazać się kluczowa dla naszej najbliższej przyszłości, musicie zatem wypełnić ją jak najdokładniej.

- Staniemy na wysokości zadania. Możecie być tego pewni.

◆◆◆

W tej samej godzinie kilka przecznic dalej na wschód nowy klasztor Salezjanek, założony i wzniesiony przez królową Barbarę de Braganza, by kształcić córki madryckiej arystokracji, otwierał swe podwoje przed uczennicami, które przybywały tam w najbardziej luksusowych powozach, jakie można było znaleźć w całym Madrycie.

Powóz hrabiostwa de Benavente zatrzymał się przecznicę wcześniej z polecenia pasażerki, młodziutkiej Beatriz Rosillón, która dostrzegła właśnie swego przyjaciela Braulio biegnącego jej na spotkanie.

Otworzyła drzwiczki, by wpuścić go do środka, i młodzieniec wszedł ze śmiechem, po czym natychmiast odnalazł wargami jej usta, nie mogąc się oprzeć okazji ponownego ich posmakowania.

- Braulio, przestań...! Zobaczą nas.

Beatriz obdarzona była niezwykle urodą, dzięki której stała się ośrodkiem uwagi młodych dziedziców madryckiej arystokracji.

- Co ty tu w ogóle robisz? - spytała. - Nie powinieneś już być w szkole?

- Nie martw się, zdążę na czas. Przyjechałem na koniu, a jeśli dobrze go popędzę, zawiezie mnie tam niemal na skrzydłach. - Młodzieniec ujął ją za rękę, nie odrywając wzroku od jej oczu. - Musiałem cię zobaczyć i rozweselić z rana, zanim zaczniesz te swoje nudne lekcje.

- Zatem udało ci się. Czeka mnie dziś straszliwie nudna lekcja teologii, kolejna - muzyki, i jeszcze jedna - manier. Nie cierpię ich. Czekaam tylko na ostatnią: tę o sztuce i malarstwie. To jedyna, z której wynoszę jakieś rzeczywiste korzyści. - Beatriz popchnęła go, by wysiadł z powozu. - Idź już! Bo w końcu i ja się spóźnię. Zobaczymy się wieczorem na koncercie. Przyjdiesz, prawda?

- Oczywiście! Wiesz, jak bardzo kocham muzykę. - Chłopak przybrał minę fałszywej radości. - Daj jeszcze całusa, a obiecuję, że sobie pójdę.

Beatriz przysunęła się do niego z wyraźnym zamiarem spełnienia prośby, lecz zamiast tego wypchnęła go ze śmiechem z karocy. Gdy zobaczyła, że Braulio się oddala, rozkazała słudze ruszyć dalej i zawieźć ją do bram klasztoru, po czym przebiegła przez nie w ogromnym pośpiechu i wpadła do klasy dokładnie w momencie, gdy zaczęto sprawdzać obecność. Nazwisko Rosillón było jednym z ostatnich, więc zdążyła jeszcze usiąść i spokojnie poczekać na swoją kolej.

Upierała się przy zatrzymaniu swojego nazwiska, choć przybrani rodzice usiłowali przekonać ją o korzyściach płynących z przyjęcia ich własnego. Beatriz sądziła jednak, że był to jedyny sposób uczczenia pamięci jej prawdziwych rodziców. Jakkolwiek wdzięczna była za stałą troskę i delikatną opiekę, jaką była otaczana, zwłaszcza ze strony Faustyny, nie zapomniała, skąd się wywodziła i w jakich okolicznościach trafiła do nowego domu. Wszyscy sądzili, że scena, której była świadkiem tamtej strasznej nocy w rezydencji markiza de la Ensenada, zatarła się w jej pamięci, gdyż dziewczyna nie rozmawiała o tym z nikim prócz Braulia. Tak się jednak nie stało, i rzadko kiedy zdarzała się noc, podczas której przed jej oczami nie przewijały się tamte obrazy, wciąż tak wyraźne, jakby przeżywała je po raz kolejny.

Zachowywanie całkowitego milczenia podczas pierwszego roku było dla niej przezabawną grą, mimo iż widziała, jakiego zmartwienia przysparzało to Faustynie oraz jej mężowi. Z początku zresztą w jej izolacji nie chodziło o zabawę - był to raczej efekt okropności, jakie przeżyła. Widząc matkę martwą, tak blisko siebie, Beatriz poczuła, że jej język staje się zbyt drętwy i ociężały, by mówić - postanowiła więc z tym nie walczyć. Potem jednak stopniowo odkryła zalety milczenia: wyobrażała sobie, że znajduje się na bezludnej wyspie, na którą mogła uciekać, gdy tylko tego zapragnęła. Zamieszkała tam na długi czas.

Następnego roku, kiedy Beatriz w końcu zdecydowała się pozostawić ów prywatny światek za sobą i otworzyć się na inny, bardziej interesujący, uznała, że jej pierwsze słowa powinny mieć formę pytania. Chciała bowiem dowiedzieć się, kiedy znowu zobaczy ojca. Gdy to uczyniła, Faustina wybuchła płaczem. Beatriz podejrzewała, że nie był to jedynie wynik odkrycia, iż znowu zaczęła mówić. Nie miała jednak zamiaru rozpaczać. Postanowiła sobie, że tę nową ranę ukryje razem z bólem po stracie matki, w głębi swego złamanego serca.

Nie знаła przyczyn śmierci rodziców, dwie rzeczy pamiętała jednak z całkowitą jasnością. Pierwszą były oblicza duchownych, którzy dowodzili grupą mężczyzn, winnych

zabójstwa jej matki. Drugą zaś - pewność, że Ensenada nie tylko był pracodawcą jej ojca, ale też odpowiadał za całą tragedię. Przez pewien czas usiłowała dowiedzieć się czegoś więcej niż to, co jej powiedziano. Dążyła do tego w przekonaniu, że - żyjąc już jakiś czas z hrabiostwem de Benavente - jest w stanie znieść nowe informacje. Brak rezultatów doprowadził ją jednak do wniosku, że wszystko to był czysty wymysł, by ukryć przed nią prawdę; że nigdy jej nie pozna i że będzie musiała poszukać innych źródeł poza swoim otoczeniem, jeśli chciała się dowiedzieć, co zaszło.

Kiedy skończyła trzynaście lat, pojawił się Braulio oraz jego matka Maria Emilia Salvadores, co wprowadziło w jej monotonne życie pewną odmianę. Z ich przybycia zapamiętała obraz bardzo szczupłego chłopca, słabowitego i o raczej smutnym wyglądzie. Miał jasne włosy i bujne loki, jego skóra zaś jaśniała dziwnie brązowym odcieniem, co sprawiało dość niezwykle wrażenie. Musiało upłynąć kilka tygodni, zanim chłopak zaczął odzyskiwać zdrowie oraz - w jej towarzystwie - ten szczególny błysk w oczach, który później okazał się jedną z jego najbardziej charakterystycznych cech.

Szybko zadzierzgnęli przyjaźń, zachęceni do tego przez obie rodziny. Zaczęli dzielić wspólnie najpierw niewinne zabawy, a w miarę jak wzrastali - życie. Przy Brauliu Beatriz odkryła, że smutek nie był wyłącznie jej dziedzictwem, chłopak miał bowiem za sobą tak samo straszne, jeśli nie gorsze przeżycia. Ich dusze zdawały się tak podobne, że wymiana doświadczeń i uczuć rozkwitła w sposób naturalny.

Beatriz wiedziała, że w krwi Braulia mieszały się dwie rasy, i że był on w połowie Cyganem. Wiedziała też, że właśnie temu zawdzięczał swoje sieroctwo oraz pogardę, jaką okazywali mu członkowie jego własnego ludu. Zazdrościła mu, że przynajmniej znał przyczyny swego cierpienia, jakkolwiek dziwne i nieusprawiedliwione mogły się wydawać. W odróżnieniu od niej Braulio dobrze wiedział, przeciw komu powinien kierować swoją nienawiść.

Głośny okrzyk nauczycielki teologii przywołał ją z powrotem do rzeczywistości, lecz niemal natychmiast - zanim jeszcze zdążyły upłynąć dwie minuty - Beatriz zaczęła rozmyślać, co włoży wieczorem na koncert, który jej rodzice urządzali w swojej rezydencji, dokąd została zaproszona większość madryckiej arystokracji.



Pałac hrabiostwa de Benavente składał się z wielu pawilonów, przestronnych wozowni i stajni oraz bujnego ogrodu ze starymi dębami i dwiema pięknymi fontannami. Różne style budynków były wynikiem dodawania kolejnych zabudowań do pierwotnej

rezydencji, nabytej na początku poprzedniego wieku. Teraz wszystko połączono i otoczono wysokim murem, który biegł dookoła całej posiadłości.

Główny budynek, dwupiętrowy, z poddaszem, wzniesiony z cegieł, miał granitowe cokoły, naroża i progi.

Dona Faustina i jej małżonek Francisco stali u stóp schodów, witając niekończący się szereg szlachty, duchowieństwa oraz polityków, zapowiadanych przez majordomusa, w miarę jak przybywały ich powozy.

Faustina włożyła suknię z jedwabnego brokatu w kolorze liliowym z rozcięciem aż do pasa, pod którym znajdował się trójkątny bawet o ciemniejszym odcieniu. Ubiór ten nie tylko podkreślał jej naturalną urodę, lecz także dość dobrze maskował zaawansowaną ciążę. Oboje małżonkowie promienieli tego wieczoru niezwykłym szczęściem. Po niemal jedenastu latach małżeństwa, podczas których nie udało im się zdobyć potomstwa, chcieli podzielić się wiadomością ze wszystkimi zebranymi. Królowa Barbara de Braganza przesłała przeprosiny za nieobecność swoją i króla, jednak z chęcią użyczyła swego muzyka, Domenica Scarlattiego, by zaprezentował w pałacu przyjaciółki nową sonatę kameralną.

- Biskup Perez Prado, najwyższy zwierzchnik Świętej Inkwizycji! - Majordomus zapowiedział pojawienie się owego odstręczającego człowieka, którego hrabia zaprosił wbrew wyraźnemu życzeniu swojej żony.

- Książę de Huéscar, ambasador Hiszpanii we Francji!

Między obydwoma szlachcicami istniała wyraźna rywalizacja, a do tego znana była niechęć księcia wobec markiza de la Ensenada - hrabia jednak zdecydował się zaprosić Fernanda de Silve Àlvareza de Toledo jako przedstawiciela najbardziej wpływowej rodziny w Hiszpanii.

Następnie zjawiała się książęca para de Medinaceli, hrabiostwo de Valmojada, księżna de Arcos oraz książęca para de Castro - najbliżsi przyjaciele państwa de Benavente - po nich zaś kolejne wybitne nazwiska madryckiej śmietanki, jak również liczni ambasadorowie: francuski, wenecki oraz - na samym końcu - angielski, sir Benjamin Keene.

Orszak zamknął minister skarbu, floty, wojska i Indii króla Fernanda VI, don Zenon de Somodevilla, markiz de la Ensenada, który witał się z gospodarzami kilka chwil dłużej od pozostałych, by podziękować im za zaproszenie.

Obszerną galerię, w której miał odbyć się koncert, oświetlały jasno cztery wielkie żyrandole. Ściany pokryte były boazerią oraz wielkimi panelami materiału, a ich rogi zdobiły złożone gzymsy z ogromną liczbą delikatnie rzeźbionych figurek.

Kobiety porozsiadały się na kilkudziesięciu krzesłach w stylu angielskim, ich małżonkowie zaś rozmawiali z ożywieniem w grupkach, degustując wysmienite słodkie wino.

Beatriz i Braulio znaleźli sobie dyskretny kącik, gdzie mogli spokojnie przeczekać to, co było dla nich jedynie kolejnym nudnym koncertem, i porozmawiać, nie przeszkadzając zarazem pozostałym słuchaczom.

Kiedy pojawił się muzyk Scarlatti, wszyscy mężczyźni zbliżyli się do miejsc, gdzie siedziały ich małżonki, by zdążyć na początek solowej sonaty na klawikordzie.

Wirtuozerskie palce artysty odegrały pierwsze arpedžia z niesłychaną zręcznością, po czym zaczęły lawirować poprzez kolejne części utworu, na przemian poważne i wesołe, a wszystko na oczach skupionej publiki, która już po pierwszych nutach poznała się na niewątpliwej maestrii wykonawcy.

Chociaż wszyscy zdawali się skupiać na utworze, niektóre spojrzenia krążyły ukradkiem po całej sali. Jedni goście upewniali się co do niepożądanego obecności takiej czy innej osoby. Celem innych było po prostu pozdrowienie znajomego. Reszta zaś cieszyła się widokiem licznych i urodziwych dam.

Inkwizytor generalny Perez Prado szeptał z przełożonym jezuitów, ojcem Ignacim Castro, oraz spowiednikiem królewskim, również jezuitą, ojcem Ravago. Widząc ich razem, do tego najwyraźniej w dobrych humorach, ambasador Keene mógł sobie wyobrazić, czego dotyczyła ich rozmowa - z pewnością nie chodziło o zaskakujące aresztowanie wielkiego mistrza hiszpańskiej masonerii, Wilmore'a, które miało miejsce właśnie tego popołudnia. Keene, który dowiedział się o tym na chwilę przed koncertem, zastanawiał się niespokojnie nad konsekwencjami zajścia, zarówno dla siebie samego, jak i dla niektórych z jego krajanów.

W innym kącie salonu markiz de la Ensenada, wysłuchawszy z uwagą pierwszych części sonaty, podejmował teraz decyzję, kto z obecnych zasługiwał na rozmowę po koncercie. Zauważywszy młodego księcia de Huescar, stwierdził, że nie będzie on jednym z wybranych. Najpierw zamierzał porozmawiać z angielskim ambasadorem, którego również zlokalizował wśród zaproszonych, potem zaś chciał zwrócić się do ojca Ravago, by spytać, co inkwizycja zamierzała uczynić z Wilmore'em, zatrzymanym dzięki jego szpiegowi, hrabiemu de Valmojada.

Gdy Scarlatti kończył ostatni żwawy fragment utworu, Braulio z niepokojem zwrócił uwagę na bladość, która zaczęła pokrywać twarz jego ukochanej Beatriz. Jej spojrzenie utkwione było w dwóch spośród gości: inkwizytorze generalnym oraz przełożonym jezuitów.

Myśli dziewczyny natychmiast przeskoczyły do pewnego momentu w jej życiu, pięć lat wcześniej.

Czując pierwsze odruchy wymiotne, Beatriz podniosła się pospiesznie z krzesła i wybiegła z pomieszczenia, by jak najbardziej oddalić się od galerii. Braulio wybiegł za nią na oczach osłupionych gości i dogonił ją już w pobliżu jej sypialni.

- Nie wiem, co się stało, Beatriz, ale musisz mi o tym powiedzieć. - Beatriz rzuciła się w jego ramiona i po kilku sekundach zdołała wydobyć z siebie głos:

- Widziałam ich... - powtórzyła trzy razy, nie mówiąc nic więcej.

- Ale kogo? - przerwał jej z niepokojem Braulio.

- Widziałam oblicza śmierci.

Brzeg rzeki Manzanares. Madryt. Rok 1751

11 lipca

Kilka kobiet, które tuż po wschodzie słońca szły nad rzekę robić pranie, znalazło ciało w pobliżu zakola. Prerażone makabrycznym odkryciem, pobiegły szukać pomocy wśród nielicznych przechodniów, którzy o tej porze przechodzili przez most Toledo, natychmiast ściągając ich uwagę krzykami i machaniem rąk.

Patrol żołnierzy, który rzadkim przypadkiem akurat przechodził tamtędy w drodze na zmianę straży w pałacu Aranjuez, podszedł do zbiegowiska, by zaprowadzić porządek. Po dwóch godzinach na moście zablokowano przepływ ludzi i pojazdów, aby zapobiec zwiększeniu i tak już dużej liczby gapiów, którzy wychylali się przez balustrady, pragnąc zobaczyć, co działo się na dole.

Tymczasem sędzia królewskiego domu i dworu, Joaquín Trévelez, dokonywał inspekcji zwłok mężczyzny średniego wzrostu, które odnaleziono leżące twarzą do dołu, z głową owiniętą w zakrwawiony materiał, obwiązany na szyi grubym sznurem. Gdy odwrócili ciało, Trévelez - zajmujący również stanowisko przełożonego Trybunału Karnego w Madrycie - ujrzał, że w piersi trupa ziała wielka dziura pełna zakrzepłej krwi. Na ten przerażający widok ogarnęły go mdłości, nakazał jednak, by odsłonięto głowę zmarłego. Obarczono tym jakiegoś młodego funkcjonariusza. Wszyscy nachylili się z ciekawością, żądni poznać oblicze ofiary. Trévelez, tak samo jak reszta, podszedł bliżej, by przypatrzeć się przerażającej twarzy. Była ona posiniąta, zniekształcona i zeszywniała. Oczy, nabiegłe krwią, zdawały się wyłazić z orbit, nos zaś był złamany i przegięty w jedną stronę. Wyciekał z niego strumyczek poczemniałej krwi, która obklejała brwi, czoło i dużą część głowy. Twarz była w tak opłakanym stanie, że rozpoznanie jej właściciela okazało się niemożliwe.

Sędzia przyjrzał się ranie, znajdującej się na wysokości klatki piersiowej, i z przerażeniem stwierdził, że mężczyźnie wyrwano serce. Strój ofiary był brudny i zakrwawiony, lecz mimo wszystko można było rozpoznać w nim habit jezuitę, co zmieniło morderstwo w sprawę szczególnej wagi.

Przeszukał kieszenie nieboszczyka na wypadek, gdyby znajdowało się w nich coś pomocnego w identyfikacji, i znalazł tam połączony mniszki krucyfik, duży i pięknie rzeźbiony, który schował w płaszczu.

Rozkazał, by przeszukano miejsce zbrodni ze szczególną uwagą, w nadziei na odnalezienie jakiegokolwiek szczegółu, który mógłby naprowadzić ich na trop, po czym polecił trzem żołnierzom, by przenieśli ciało do szpitala świętego Wawrzyńca w celu dokonania autopsji - ten bowiem szpital znajdował się najbliżej placu Toledo.

Żołnierze przenieśli zwłoki na wóz, odpędzając krzykiem liczny tłum, który biegnąc obok pojazdu, próbował zaspokoić ciekawość i dowiedzieć się, co zaszło. Upewniwszy się co do zakonu, którego członkiem była ofiara, Trévelez postanowił udać się do Domu Zakonnego Towarzystwa Jezusowego - głównej siedziby jezuitów w Hiszpanii - by spróbować zidentyfikować mężczyznę.

Joaquín Trévelez wywodził się z Badajoz i był synem rodziny szlacheckiej o długiej tradycji na tamtejszych ziemiach. Któregoś pięknego dnia przybył do Madrytu, by studiować gramatykę łacińską, historię i geografę w słynnym Seminarium Szlacheckim. Mieszkał tam jako student przez kilka lat, a dzięki dużemu majątkowi rodzinnemu mógł potem wstąpić na uniwersytet, by studiować prawo. Po otrzymaniu jednych z najlepszych ocen na całym roku otworzyły się przed nim możliwości zawodowe i Trévelez szybko dostał się na bardzo odpowiedzialne stanowisko doradcy prawnego w ministerstwie skarbu, floty, wojska oraz Indii, kierowanym przez don Zenona de Somodeville, z którym od początku nawiązał przyjazne stosunki i dzięki któremu został przedstawiony samemu królowi Ferdynandowi.

Gdy zwolniło się stanowisko w trybunale sędziów domu i dworu królewskiego, markiz de la Ensenada osobiście polecił go monarsze i w krótkim czasie Joaquín został nominowany na członka tego zgromadzenia. Zawsze czuł wobec markiza głęboką wdzięczność, Ensenada bowiem stale wyświadczał mu jakieś przysługi. Podjął się nawet ułatwienia mu interesującej znajomości z doña Marią Emilią Salvadores po tym, jak Joaquín poznał ją przypadkiem na przyjęciu w pałacu królewskim.

Wysokie wykształcenie i prestiżowa pozycja na dworze nie stanowiły dla Tréveleza okoliczności, które upoważniałyby do unikania obowiązków. Nie ograniczyły również jego niewzruszonego zapału do pracy. Dzięki stanowczości działań i setkom aresztowań, które w

ciągu kilku lat miał na swoim koncie, jego sława zaczynała się już szerzyć wśród obiboków i łajdaków Madrytu. Nikt nie potrafił zapomnieć jego twarzy o surowym wyrazie, małych i skośnawych oczach, zapadniętym podbródku z przerwą oraz ostro zarysowanych policzkach - zwłaszcza jeśli widział ją przed sobą w sali rozpraw, gdzie odbywały się przesłuchania i procesy.

Koń Tréveleza dyszał i pocił się, gdy wreszcie dotarli do bram budynku, w którym mieszkały największe w Hiszpanii autorytety zakonu założonego przez świętego Ignacego Loyolę. Nie zwlekając, Trévelez stanął przed świeckim strażnikiem i spytał go o przełożonego Towarzystwa. Ten kazał mu poczekać w małej salce, znajdującej się w rogu westybulu. Sędzia skorzystał z wolnej chwili, aby przemyśleć kilka szczegółów zbrodni, które wydawały mu się najdziwniejsze.

Wiedział z doświadczenia, że gdy morderca zakrywał ofierze twarz, czynił to zwykle po to, by nie patrzeć jej w oczy podczas zadawania powolnej śmierci. Powodem mogła być również wzajemna znajomość - mogłoby to przeszkadzać w popełnieniu haniebnego czynu. By poznać bezpośrednią przyczynę śmierci, Trévelez potrzebował co prawda analizy lekarskiej - lecz skoro mężczyźnie wyrwano serce, to oczywiście musiało się to stać bardzo szybko i bez żadnej agonii, co eliminowało pierwszą możliwość i kierowało go ku drugiej. Do wniosków tych doszedł, zanim jeszcze miał okazję poświęcić więcej czasu na inne szczegóły. Odkrycie, że ofiara była jezuitą, sprawiło, iż sprawa ta wykroczyła poza typowe zabójstwa, popełniane przez licznych bandytów i łotrów, od których roiło się w Madrycie - zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę sadyzm, z jakim popełniono zbrodnię. Trévelez przypomniał sobie angielski traktat o psychologii kryminalnej, w którym dowodzono, że ludziom popełniającym mordercy z usunięciem ważnych organów nie chodziło wyłącznie o śmierć jako taką. Była ona zaledwie ostatnim aktem rytuału, który stanowił dla mordercy uzasadnienie czynu.

- Proszę wybaczyć to długie oczekiwanie, ale okazuje się, że nie jesteśmy w stanie odnaleźć dziś naszego przełożonego, ojca Ignacia Castro. - Sekretarz wydawał się nieco zmieszany tą dziwną nieobecnością, która zresztą martwiła go od samego rana. - Nie zszedł na dół, by odprawić mszę o szóstej, jak to ma w zwyczaju, i w ogóle nie widzieliśmy go od wczorajszego wieczoru.

- Chce ojciec powiedzieć, że nikt nie wie, gdzie on się znajduje? - W umyśle Tréveleza zaczęło kiełkować mocne podejrzenie.

- Mogę tylko powiedzieć, że widzieliśmy go wczoraj dość późnym wieczorem, kiedy wychodził z domu, lecz nikomu nie mówił, dokąd się udaje.

- Poznaje ojciec ten krucyfiks? - Trévelez wyciągnął z kieszeni jedyny przedmiot, który odnalazł przy zwłokach, by sekretarz mógł potwierdzić to, co dla niego samego zaczynało już być pewnikiem.

Zakonnik wziął krucyfiks z wyrazem całkowitej dezorientacji.

- Oczywiście! Jest to krucyfiks, który zawsze nosi mój przełożony. Lecz jak to się stało, że znalazł się w pańskich rękach?

Zaczynała go ogarniać nerwowość, lecz jej przyczyną był wyłącznie zaskakujący obrót rozmowy - sekretarz zupełnie nie spodziewał się wiadomości, którą miał właśnie usłyszeć.

- Przykro mi, ale muszę ojca poinformować, że znaleźliśmy zwłoki mężczyzny zabitego wczoraj wieczorem nad rzeką Manzanares, i wszystko wskazuje na to, że może chodzić o ojca Castro.

- Słucham? - Sekretarz wyprostował się gwałtownie w fotelu. - Nasz przełożony zamordowany? - Twarz nabiegła mu krwią tak bardzo, że wyglądał jak rozgrzane do czerwoności polano. - Jest pan tego pewien?

Trévelez zrelacjonował mu swoje podejrzenia, oparte na odzieniu zmarłego i przede wszystkim na tym charakterystycznym krucyfiksie, który dawał jeszcze większą pewność. Taktownie wyłożył okoliczności zbrodni i stan, w jakim znajdowały się zwłoki, gdy przybył na miejsce wydarzeń.

Jezuita był tak wstrząśnięty, że trudno było wydobyć z niego odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania, mimo iż Trévelez pragnął jedynie rzucić jakieś światło na to, kto mógł być sprawcą zbrodni. Najwyraźniej ojciec Castro nie miał zdeklarowanych wrogów, przynajmniej na ile jego sekretarz się orientował. Nie przypominał sobie również żadnego zajścia lub szczegółu, który zasugerowałby mu coś innego.

- Wczoraj uczynił jedynie aluzję do listu, który otrzymał tego samego wieczoru, a który, sądząc po ozywieniu ojca przełożonego, musiał zawierać jakieś infonnacje niezwyklej wagi. Pamiętam, że napomknął mi, jak szczęśliwy będzie królewski spowiednik, ojciec Rávago, gdy się o nich dowie. Nie pokazał mi treści wiadomości i nic już o niej nie powiedział, więc niczego więcej nie wiem - ani kto ją doręczył, ani o kim była w niej mowa. Widziałem tylko, jak ze szczególną pieczołowitością chowa ją w habicie. Bardzo mi przykro, ale nie mam pojęcia, czy liścik ten miał coś wspólnego z jego późniejszym wyjściem z domu i straszną śmiercią.

- Czy mógłby ojciec zaprowadzić mnie do jego gabinetu, żebym mógł przejrzeć jego papiery, na wypadek gdyby znajdował się wśród nich ten list, o którym mówicie, lub jakiś inny ślad, który pomoże nam w wyjaśnieniu tego potwornego zajścia?

- Oczywiście! - Sekretarz podniósł się i poprosił Tréveleza za sobą. - Proszę wybaczyć, że nie wyrażam się z większą jasnością, ale ta wiadomość mną wstrząsnęła.

Na stole, przy którym pracował ojciec Castro, znajdowały się rozmaite papiery związane z jego pozycją dyrektora Seminarium Szlacheckiego, brewiarz oraz grecka wersja Pisma Świętego.

Trévelez przeszukał dokładnie wszystkie szafki, nie zaniedbał też licznych książek, które stały na ciężkim regale, liściku jednak nigdzie nie było. Następnie przeszukał sypialnię, lecz tam również nie odnalazł żadnego śladu po wiadomości, która mogła być kluczem do śledztwa. Postanowił więc opuścić Dom Zakonny i powiadomić o wszystkim ojca Rávago oraz, przy okazji, swojego przyjaciela, markiza de la Ensenada, jako że obaj przebywali w pałacu królewskim Buen Retiro.

Zanim wyruszył, wydobył od sekretarza obietnicę, iż jeszcze tego samego ranka zgłosi się on do szpitala świętego Wawrzyńca, by zidentyfikować zwłoki, oraz że poinformuje go o każdym szczególe, który mógłby mieć związek ze sprawą.

Joaquín Trévelez, sędzia domu i dworu, szczyił się rozwikłaniem wielu morderstw, zakończonych pojmaniem i rozprawą w trybunale karnym. Lecz wjeżdżając do stajni pałacu Buen Retiro stwierdził, że zabójstwo jezuita przysporzy mu pracy na długi czas, biorąc pod uwagę implikacje polityczne, które z pewnością będą towarzyszyć dochodzeniu, oraz presję, by jak najszybciej doprowadzić sprawę do końca.

Wiedział, że sytuacja wyjściowa była dość złożona, jako że nie mieli na razie żadnych poszlak ani świadków - jednak tylko go to stymulowało. Przypomniawszy sobie, że tak samo było w wielu innych przypadkach, w których ostatecznie wszyscy winni zostali skazani.

Musiał chwilę odczekać, ponieważ przez główny dziedziniec przejeżdżał królewski orszak, który wyruszał z wizytą do pałacyku la Granja. Dopiero wtedy udał się w przeciwnym do kawalkady kierunku, w stronę bramy wjazdowej. Stamtąd skierował się ku wschodniemu skrzydłu, gdzie znajdowały się apartamenty królewskiego spowiednika. Rávago - jak podejrzewał Trévelez - nie miał najmniejszego pojęcia, jak złe wieści na niego czekały.

Jezuita słynął z ostrego charakteru; rzadko które spotkanie nie kończyło się kłótnią, zwłaszcza jeśli Rávago nie był jakąś sprawą zainteresowany lub miał do czynienia z opieszałością. Niektórzy osobnicy, jego zdaniem, bezustannie próżnowali za sprawą praktyki

przyznawania stanowisk znajomym, która kwitła wśród najwyższych urzędników państwowych.

Znając pracowitość Tréveleza, Rávago nie zaliczał go do owego grona, jednak kilkakrotnie już wygłaszał mu kazania na temat niedostatecznie surowych wyroków, takie bowiem skargi płynęły do niego bezpośrednio z sekretariatu inkwizycji.

Czekając na audiencję, Trévelez zabawiał się oglądaniem malowidła z Matką Bożą Niepokalanego Poczęcia pędzla Ribery, które wisiało na jednej ze ścian przedpokoju spowiednika. Jednocześnie zastanawiał się nad najlepszym sposobem przekazania wieści i przepowiadał sobie w myślach, jakie dalsze działania zamierzał podjąć, by móc udzielić odpowiedzi na łatwe do przewidzenia pytania.

- Ojciec Rávago czeka na pana w gabinecie. - Młody kanonik wziął od niego płaszcz i przepuścił go przez drzwi.

- O co chodzi? - spytał sucho jezuita. - Tylko proszę szybko, nie mam całego dnia, żeby pana wysłuchiwać!

Nawet nie podniósł wzroku znad papierów, którymi się zajmował. Wydawał się w złym humorze, zatem Joaquín postanowił zmienić strategię - porzucił ostrożność i bez ogródek przekazał złą wiadomość:

- Dziś w nocy zamordowano waszego przełożonego, ojca Castro.

Jego słowa natychmiast odmieniły nastawienie Rávaga.

- Wielkie nieba! - Spowiednik przeżegnał się co najmniej trzy razy. - Co też mi pan opowiada? - Przeczesał rzadkie włosy nerwowymi dłońmi, które zdawały się szukać jakichś punktów oparcia wśród nielicznego owłosienia, jakie mu pozostało.

- Tak jak mówię, dzisiaj z samego rana pod jednym z mostów na rzece Manzanares znaleziono zwłoki, których z początku nie byliśmy w stanie zidentyfikować ze względu na ich oplakany stan. Później jednak zdołałem ustalić, że chodzi o ojca Ignacia Castro.

- Boże drogi! Jest pan pewien, że to on? - Rávago wiedział, z jaką skrupulatnością zwykł działać sędzia Trévelez, jednak w jego pytaniu pobrzmiwała nadzieja, że ten jeden raz doszło do pomyłki.

- Całkowicie. Przykro mi z tego powodu, proszę mi wierzyć. Potwierdziłem już, że od wieczora nie widziano go w Domu Zakonnym, jeszcze większą pewnością zaś daje fakt, że przy ciele znaleźliśmy ten krucyfiks - pokazał krzyż, lecz Rávago nie skomentował, gdyż nigdy wcześniej go nie widział - który sekretarz ojca Castro rozpoznał jako jego własność.

- To dla nas wszystkich straszna wieść; wręcz potworna wieść o niezmiernych konsekwencjach. - Przez postarzałe dłonie zakonnika przebiegł nerwowy dreszcz. - Ma pan jakieś podejrzenia, kto mógł to zrobić?

- Przykro mi, ale na razie nie. Brak nam świadków i poszlak, które naprowadziłyby nas na jakąś konkretną osobę. Wiem tylko, że wczoraj ojciec Castro otrzymał liścik, którego treść, jak powiedział swojemu sekretarzowi, miała napęlić was radością. Wyraźnie o was wspomniał. Niestety, nie zdołaliśmy jeszcze odnaleźć tej wiadomości, chociaż skłaniam się ku opinii, że musiał zabrać ją ze sobą. Być może została mu ona odebrana przez napastnika, zanim ten dokonał na nim owej straszliwej rzezi.

- Co pan ma na myśli? - Na widok osłupienia w oczach Rávaga Trévelez zrelacjonował mu najgorsze szczegóły.

- Nie tylko zmiażdżyli mu twarz, ale też połamali żebra i zrobili wielką dziurę w piersiach, przez którą wyrwali mu serce. Na razie nie wiemy jeszcze, czy nastąpiło to po zgonie, czy też było jego przyczyną. Musimy zaczekać na zakończenie autopsji.

- Zmaltretowany i okaleczony! - Rávago wyglądał na głęboko i niemal fizycznie wstrząśniętego. - Nie wydaje się panu, że scenariusz ten mógłby przypominać ceremonię satanistyczną albo jakiś diabelski rytuał?

- Jest to oczywiście jakaś możliwość, chociaż niektórzy eksperci zajmujący się przyczynami pozbawiania ofiary organów twierdzą, iż jest to odpowiedź na pragnienie, czasem nieuświadomione, by do samego mordu dodać jeszcze upokorzenie płynące z okaleczenia ciała. Podsumowując, jest to forma zemsty, która przynosi im ulgę za jakieś zło, którego mogli doświadczyć w przeszłości, a które czasem miewa związek z ofiarami.

- Jeśli nadażam za pańskim tokiem myślenia, to mówimy tu o szaleńcu; o jakimś zwichniętym umyśle, któremu chodzi o skrajną przemoc, nic więcej. - Rávago zadzwonił małym dzwoneczkiem, by natychmiast wezwać markiza de la Ensenada i poinformować go o powadze sytuacji. Spojrzał na Tréveleza z odrobiną pogardy i polecił mu porzucić jego absurdalne domysły: - Proszę zapomnieć o tych akademickich rozprawach i jak najszybciej skupić się na licznych wrogach naszej świętej religii. Jestem pewien, że wyjdziecie na tym lepiej, niż tracąc czas na poszukiwanie jakiegoś szaleńca.

Nie minęło nawet dziesięć minut od wysłania sługi, kiedy pojawił się don Zenon z miną pełną niepokoju. Przyczyną była raczej nagła prośba o przybycie niż jakieś domysły co do ponurej sprawy, której to zawdzięczał. W pierwszym momencie nie mógł też zrozumieć, co tam robił jego przyjaciel Trévelez. Wkrótce jednak wyjaśniono mu powody jego obecności.

Przełożony Towarzystwa Jezusowego był starym i znienawidzonym znajomym Somodevilli. Do tej pory pamiętał on jego obecność podczas aresztowania swego pokój owca Rosillóna i okropne zakończenie całego zajścia. Mimo wszystko jednak nowina o jego nagłym zgonie była dla markiza tak strasznym ciosem, że trochę potrwało, zanim zdołał się pogodzić z okropną wieścią. By to zamaskować, zasypał sędziego milionem pytań o szczegóły zabójstwa.

Oczywiście okoliczności morderstwa były dla niego wstrząsające, jednak Somodevilla podzielał opinię Rávaga na temat sprawców zbrodni i kierunku, w jakim powinno zwrócić się dochodzenie.

- Widzę w tym oznaki zemsty, która mogła być dziełem politycznych przeciwników zakonu - stwierdził z powagą. - Kiedy ofiara tak potwornego mordu jest zarazem najwyższym zwierzchnikiem jezuitów w Hiszpanii, głupotą byłoby szukać innych motywów niż pragnienie zaszkodzenia tej instytucji. - Wbił spojrzenie w Rávaga. - Dobrze znacie, ojcze, ogromną nienawiść, jaką wzbudza fakt, że zajmujecie stanowisko królewskiego spowiednika. Niektórzy przeciwnicy uważają was za jeszcze jednego ministra, w waszym przypadku miałyby chodzić o kierowanie sprawami Kościoła. Wiecie też, że nawet w samym Kościele odzywają się krytyczne głosy wobec władzy, jaką gromadzicie, choć nie chcę przez to powiedzieć, że pozostałe zakony mogłyby być uwikłane w tak poważne zajście. Wszyscy jednak wiemy, że dominikanie, franciszkanie i augustianie, by wymienić tylko niektórych, dążą do jakiegokolwiek dyskredytacji jezuitów, czasem skrycie, czasem zaś za pomocą mniej ortodoksyjnych środków.

- Oskarża się nas o jansenizm, o sprzeciwianie się autorytetowi monarchy w kwestii misji w Indiach. - Rávago ubolewał nad śmiercią brata jezuitę, lecz także nad ogólnym brakiem zrozumienia dla swej posługi, który szerzył się wśród wielu innych braci w wierze. - A do tego o kierowanie i manipulację wolą króla, w tym przypadku za sprawą mojej osoby. Tak jak wy, widzę w tym jasne motywy polityczne. Powinno to zostać dogłębnie zbadane i zduszone w zarodku.

- Ojciec Rávago i ja wiemy, o kim mowa - Somodevilla zwrócił się do Tréveleza - jednak nie wyjawimy żadnych nazwisk, dopóki nie zakończy pan wstępnego śledztwa i nie poznamy wyników autopsji, na wypadek gdyby pojawiły się jakieś nowe ślady, które będą prowadzić w innym kierunku.

Ze słów Ensenady sędzia Trévelez domyślił się, kto był obiektem jego podejrzeń, jednak uznał mądrość jego postępowania. Przed opuszczeniem pokoju zapewnił obu dostojników, że będzie informował ich na bieżąco o wszystkich postępach w śledztwie.

Kiedy Ensenada również opuścił gabinet, Rávago postanowił zrealizować własny plan odkrycia winnych mordy na ojcu Castro. Przeczynał, że pierwszy trop odnajdzie u ambasadora Keene'a. Być może się mylił, lecz nienawiść, jaką Anglik żywił do jezuitów, i jego sympatia do wielu z ich zdeklarowanych wrogów, w tym do masonów, była szeroko znana. Rávago pomyślał też, że może Valmojada, biorąc pod uwagę jego sprawdzoną działalność szpiegowską, wymyśli jakiś sposób, by umieścić ambasadora pod kontrolą.



Przedwieczorna przejażdżka powozem po Prado de los Recoletos była wśród wyższych sfer Madrytu niemal obowiązkiem, a także zwyczajową okazją do wymiany najważniejszych wiadomości dnia. Był to również najlepszy sposób, by utrzymać się na bieżąco z tendencjami w damskiej modzie, pooglądać kolorowo poubierany lud oraz odkryć w natłoku arystokratycznych powozów, kto z ich właścicieli zaczął umizgać się do tej czy innej damy.

Było późne popołudnie i Maria Emilia Salvadores jechała odkrytym powozikiem należącym do jej pretendenta, Joaquina Tréveleza, w przyjemnym chłodzie, jaki panował w cieniu kasztanowców. Ciekawiło ją wszystko, co działo się dookoła, co raz to pozdrawiała tę czy inną osobę i pragnęła usłyszeć od swego towarzysza o wszystkich szczegółach strasznej zbrodni, której dokonano tego ranka.

Na zmianę słuchała i obrzucała przelotnymi spojrzeniami nowe koafiury, z którymi obnosiły się niektóre damy. Próbowwała odcyfrować przesłania, jakie miały one wyrażać - było bowiem w modzie, by fryzjerzy uzupełniali fryzury o duże dodatki; w ten sposób powstawały uczesania na uroczą panienkę, zazdrośnicę lub zmysłową damę. Poprawiła nieco włosy, niezadowolona, że upięto je tak wysoko; fryzura była dziełem francuskiego fryzjera państwa de Benavente, który pojawił się u niej w domu tego popołudnia.

Jej towarzysz, który jako członek Trybunału Karnego ostatecznie odpowiadał za wykrycie i osądzenie wszelkich przestępstw cywilnych i karnych w obrębie pięciu lig dookoła pałacu królewskiego, wyglądał na mocno przejętego ogromnym zadaniem, jakie na niego spadło.

Maria Emilia zdawała się słuchać jego słów, lecz na chwilę odwróciła uwagę, by przyjrzeć się, co to za szlachcic towarzyszył tego wieczoru księżnej de Arcos, gdyż nie zdołała rozpoznać go na pierwszy rzut oka.

- Zapewne poza tą straszną wiadomością z dzisiejszego ranka przez twoje ręce przechodzi jeszcze wiele innych spraw, sądząc po nielicznych okazjach, kiedy razem gdzieś wychodzimy - powiedziała w którymś momencie. Nie była obojętna na zmartwienia

Tréveleza, jednak chcąc zwrócić na siebie jego uwagę, podążyła za radą swej przyjaciółki Faustyny, jako że hrabina była specjalistką w przyjmowaniu męskich hołdów i przewidywaniu zachowań panów. Zauważyła, że księżna de Osunq miała tego wieczoru kolorową muszkę na prawej skroni: znak, że była w nastroju do przyjmowania zalotów.

O muszkach Maria dowiedziała się od Faustyny, sama bowiem mieszkała w Madrycie dopiero od niedawna. Otóż damy wysyłały mężczyznom pewne sygnały, zmieniając po prostu pozycję maleńkiego skrawka aksamitu, który pełnił funkcję naturalnego pieprzyka. Jeśli zamiast na prawej, znajdowałby się on na lewej skroni księżnej, znaczyłoby to, że jest ona w tej chwili zajęta. Liczne muszki, małe i rozrzucone po całej twarzy, oznaczały nastrój kapryśny. Jeśli w trakcie rozmowy muszka przeniosłaby się w prawy kącik ust, to należało unikać rozmowy z mężczyzną, który znajdował się po tej właśnie stronie. Wszystkich tych zasad, i wielu innych, Maria Emilia nauczyła się bardzo szybko, znał je bowiem i stosował cały Madryt. Zrozumiała także, że zaloty do mężatki nie oznaczały jeszcze niewierności, gdyż była to zwykła moda, rycerski i platoniczny obyczaj, coś nawet mile przyjmowanego przez małżonków.

Jednak odkrycie, jak daleko sięgał związek między damą a jej wielbicielem, było dla niej zaskoczeniem. Wkrótce po tym, jak Maria przybyła do Madrytu i zadzierzgnęła przyjaźń z panią de Benavente, hrabina zaczęła zadawać się z młodym arcyksięciem przybyłym niedawno z Austrii, który rozkochał się w jej wdziękach do tego stopnia, że codziennie rano przychodził, by budzić ją z jak największą delikatnością: otwierał okna, uważając, by światło nie uraziło jej w oczy, i przynosił pierwszą filiżankę gorącej czekolady ze świeżutkimi ciastkami lub bułeczkami.

Marii Emilii wydawało się niewiarygodne, że wszystko to miało być wyrazem zwykłego i niewinnego szacunku dla ukochanej i że nie pociągało za sobą bliższych kontaktów, lecz wyglądało na to, że niemal nigdy nie przekraczano pewnych granic. Przekonała się, że postępowali tak wszyscy mężczyźni i kobiety, zatem tego wieczoru, podobnie jak w poprzednich dniach, przyczepiła sobie muszkę na prawej skroni, by pokazać sędziemu, że jego miejsce było wolne.

- Musisz wiedzieć - przywołał ją do rzeczywistości Trévelez - że nic nie sprawia mi większej przyjemności niż twoje towarzystwo, zwłaszcza że tyle spraw nie pozwala mi, bym cieszył się nim częściej. - Maria Emilia nie opierała się, gdy ujął jej dłonie, lecz zadbała, by nikt tego nie zauważył, gdyż natychmiast wzięto by ją na języki. - Jako znak moich uczuć do ciebie chciałbym, abys wiedziała, że choć minęły zaledwie cztery dni, odkąd widzieliśmy się na koncercie Scarlattiego, to dłużyły mi się one jak wieczność. - Trévelez korzystał z każdej

sposobności do okazania jej swych szlachetnych zamiarów, Maria Emilia bowiem, choć nie nadmiernie urodziwa, posiadała z nawiązką te wszystkie cnoty, których wymagał od przyszłej żony. Silny charakter i wielka inteligencja, jaką dysponowała, nie pozbawiły jej również dużej wrażliwości - cechy, której Trévelez także oczekiwał od kobiety.

Jak przystało na rodowitego mieszkańca Estremadury, nie był zbyt gadatliwy i mówił tylko to, co niezbędne, lubił za to jedzenie i łowy, podobnie jak towarzystwo kobiet o cechach Marii Salvadores. Mimo to nie czuł się swobodnie w roli pretendenta, gdyż zawsze poświęcał większą uwagę swej pracy i dochodzeniom niż kształceniu się w sztuce zalotów, przez co posiadał w tych sprawach niewiele doświadczenia. Z tego też powodu jego starania, by podbić serce damy, podczas gdy niepewny był jeszcze jej uczuć względem siebie, wypadały nie tylko niezręcznie, ale też zdawały się nieco wymuszone

- Moglibyśmy pojechać do kawiarni Canosy, na ulicy San Jerónimo, i napić się sorbetu. Nie wiem, jak ty, ale ja w tym upale chętnie napiłabym się czegoś chłodnego. - Maria Emilia nieustannie się wachlowała, by nieco ulżyć sobie w upale, który od tygodnia panował w Madrycie - A po drodze opowiedz mi, kogo podejrzewasz o dokonanie zbrodni. Wiesz, jak lubię słuchać o twoich śledztwach.

- Zgoda. Zabierz nas na ulicę San Jerónimo! - krzyknął Trévelez do swego stangreta. - Opowiem ci coś, jeśli zaprosisz mnie do siebie na obiad.

- Umowa stoi! - odparła Maria z szerokim uśmiechem.



Kawiarnia Canosy mogła poszczycić się sławą ulubionego miejsca madryckiej arystokracji oraz najlepszymi sorbetami i napojami. Wyróżniała się nie tylko jakością, ale również sposobem serwowania, gdyż w odróżnieniu od konkurencji napoje podawano tu na wiklinowych tacach, przynoszonych przez kelnerów do samego powozu, dzięki czemu goście nie musieli nawet wysiadać.

Przebywszy Prado de San Jerónimo, po którego lewej stronie mieściły się stajnie królewskie oraz brama do pałacu Buen Retiro, skręcili w prawo i ruszyli w górę ulicy, gdzie znajdowała się zajmująca parę suterren kawiarnia.

Kilka metrów z przodu wśród licznych powozów zauważyli karetę hrabiny de Benavente, która na ich widok zawołała, by podjechali bliżej. Maria Emilia zwróciła uwagę, że jej przyjaciółka, która nie mogła już dłużej ukrywać ciąży, była w towarzystwie nie swego męża, lecz jakiegoś młodzieńca o nieskazitelnym wyglądzie - zapewne owego nowego wielbiciela, o którym wspomniała kilka dni wcześniej.

- Dobry wieczór! - przywitała się Maria Emilia, nie odrywając wzroku od zirytowanego tym zakłóceniem kawalera. - Chyba nie miałam przyjemności poznać twojego towarzysza.

Trévelez również powitał hrabinę z szacunkiem.

- Nazywa się Enzo i pochodzi z Wenecji - odparła Faustina - lecz nie męczcie się, próbując nawiązać z nim rozmowę, bo nie zna ani słowa po hiszpańsku. - Słyszając swoje imię, olśniewający młodzian skłonił głowę w pozdrowieniu. - To nowy asystent weneckiego ambasadora. Poznałam go na jednej z tych ich częstych zabaw i od tej pory nie mogę się od niego uwolnić.

Faustina roześmiała się, a Wenecjanin uczynił to samo, nie wiedząc, na czym polegał dowcip. Uroda hrabiny promieniała jeszcze bardziej za każdym razem, gdy ta się uśmiechała: rozumiało się samo przez się, że tak wspaniała istota miała tylu pretendentów, skoro w całym Madrycie nie było kobiety, która mogłaby ją przyćmić.

- Jak się miewa Beatriz? - Kelner zapisał ich zamówienie, Maria zaś, oceniwszy już urodziwego Wenecjanina, który mógł mieć co najwyżej dwadzieścia pięć lat, przypomniała sobie o dziwnym zachowaniu dziewczyny podczas koncertu.

- Zdaje się, że już dobrze, ale nie pytaj mnie, co jej się wtedy stało, bo nie zdołałam jej skłonić, żeby cokolwiek mi powiedziała. Stwierdziła tylko, że poczuła się nieco niedysponowana i żebym się już nie martwiła. Mogłabyś spytać o to Braulia: na pewno wie więcej ode mnie, bo ostatnio tych dwoje zachowuje się jak papużki nierozłączki - odparła hrabina.

- Spróbuję się czegoś dowiedzieć.

- A mówiąc o Beatriz, mamy dla niej wspaniałą wiadomość - słysząc to, Maria Emilia przestała nawet mrugać, tak bardzo była ciekawa. - Właśnie dziś rano książę de Llanes poprosił nas o jej rękę, my zaś zgodziliśmy się bez żadnych obiekcji. Beatriz jeszcze o tym nie wie. To dobry człowiek i bardzo zamożny; przy nim będzie miała zabezpieczoną przyszłość. Bardzo się cieszymy, chociaż smutno mi będzie się z nią rozstać.

- Czy masz na myśli tego samego księcia, którego i ja znam? - Twarz Marii Emilii zdradzała wielki niepokój. - Mówisz o jakimś jego synu, którego nie poznałam, czy też o tym wdowcu, który ma ponad sześćdziesiąt lat i mieszka obok nas na placu de la Vega?

- O ile wiem, nie ma żadnych synów, i oczywiście, że mam na myśli don Cariosa! Wiem już, co mi powiesz: że jest trochę za stary. Ale biorąc pod uwagę skromne pochodzenie Beatriz, sądzimy, że będzie to dla niej doskonała partia. Wiesz, jak ostrożne są wyższe sfery, kiedy chodzi o ożenek.

- Mówię ci tylko, że znając odrobinę Beatriz, to rozwiązanie zupełnie jej się nie spodoba. - Maria Emilia zmartwiła się tą nowiną nie tylko dlatego, że mogła ona unieszczęśliwić lubianą przez nią Beatriz, lecz także ze względu na wstrząs, jakim na pewno będzie ona dla jej syna Braulia.

Kiedy wracali do pałacu, nie mogła przestać o tym myśleć, i ledwo zwracała uwagę na to, co opowiadał jej Joaquín o kradzieży jakichś ważnych klejnotów z domu książąt de Medinaceli. Postanowiła, że przed rozmową z Brauliem zaczeka, aż Beatriz dowie się o swoim zaaranżowanym małżeństwie, lecz mimo to zaczęła już szukać argumentów, które pomogłyby jej pocieszyć syna w tym niewątpliwym nieszczęściu.



Następnego ranka w zakonnej szkole salezjanek siostra Angela próbowała zwrócić na siebie uwagę swych dziesięciu uczennic podczas lekcji historii religii. Wszystkie zdawały się przykładowo słuchać, lecz Beatriz Rosillón dawała w rzeczywistości upust gniewowi, wypisując na czystej kartce jakieś nonsensowne słowa. Od czasu do czasu przewracała stronę książki udając, że przysłuchuje się wykładowi, lecz myślami była od niego tak daleko, jakby pragnęła uciec od strasznej rzeczywistości.

Poprzedniego wieczoru jej przybrani rodzice wezwali ją do siebie, by przekazać najgorszą nowinę, jaką mogłaby sobie wyobrazić. W obliczu ich stanowczej decyzji jej protesty i obiekcje na nic się nie zdały, gdyż nawet data ślubu została już ustalona - i to na zaledwie miesiąc później. Pierwsze, o czym pomyślała Beatriz w głębi swego zranionego serca, był jej drogi Braulio, którego kochała bezgraniczną miłością i o którym nie mogła powiedzieć rodzicom z powodu braku argumentów: jak mogliby się zgodzić, by zamieniła wygodną przyszłość u boku świętego księcia de Llanes na małżeństwo z młodzieńcem synem jakichś Cyganów, który pod żadnym względem nie mógł przewyższyć zalet tego pierwszego? Beatriz nie zamierzała im o niczym powiedzieć i nie chciała, by poznali jej uczucia względem chłopaka. Nic by jej to nie dało, a wręcz mogłoby przeszkodzić ich dalszym spotkaniom po jej zamążpójściu.

Za każdym razem, gdy myślała o księciu, którego widziała zaledwie dwa razy, zaczynało jej brakować tchu na myśl o życiu u boku starca, który w niczym jej nie pociągał. Nie potrafiła rozmawiać o tym z Brauliem i nie wiedziała, jak mu to wyjaśnić; znalezienie odpowiednich słów było tak trudne, jak sama konieczność rozstania.

Jedną z największych tortur polegała na próbach zrozumienia racji, jakie kierowały jej rodzicami przy podejmowaniu tej decyzji, gdyż - jeśli w ogóle ją kochali - nie znajdowała usprawiedliwienia dla faktu, że pragnęli dla niej tak okrutnego losu. Zaczęła myśleć, że

czułość, jaką okazywali jej przez te lata, musiała być nietrwała i fałszywa, skoro życzyli sobie ukarać ją w taki sposób. By jeszcze bardziej pogłębić swój ból, uznała wręcz, że to ta pierwsza ciąża Faustyny odmieniła ich uczucia i że hrabina próbowała teraz pozbyć się jej samej, by móc oddać całe serce dziecku, które w sobie nosiła. Beatriz z gniewem otarła łzę, która zaczęła się staczać po jej policzku. Chciała ukryć ją przed pozostałymi uczennicami, przed światem, który nigdy nie widział, by płakała.

- Przejdźcie do strony trzydziestej! Przyjrzymy się teraz wzorcowemu żywotowi świętej Adelajdy, małżonki niemieckiego cesarza, która zmarła w roku dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym. Jak widzicie, dziewczęta, na litografiach w waszych książkach widnieje jej wizerunek w koronie, jak u królowej, gdyż nią właśnie była za życia. Przepęłniał ją boży zapach. Ojciec Adelajdy, król burgundzki, odumarał ją, gdy miała zaledwie sześć lat, i bardzo wcześnie wydano ją za króla Lotara. Ten również bardzo szybko zmarł, więc mając dziewiętnaście lat, Adelajda była już wdową. Potem została uwięziona przez innego króla, który chciał zdobyć jej koronę, i spędziła wiele miesięcy w zamknięciu i poniżeniu, odziana w szmaty. Mimo to zawsze okazywała wszystkim radość i dobroć. Jest to dobry przykład dla was samych, jako że powinnyście zawsze wyglądać na zadowolone z tego, co niesie wam przyszłość...

Zakonnica dalej pouczała dziewczęta, podczas gdy Beatriz rozmyślała nad jej ostatnimi słowami. W tej sytuacji wydawały się przesadą, nie wiedziała bowiem, jak mogłaby okazywać radość z małżeństwa, które było dla niej raczej męczarnią. Nie widziała się też w roli świętej, chociaż cierpienia, jakie musiała w życiu znieść, mogłyby po temu wystarczyć.

Skończywszy ze świętą Adelajdą, siostra Angela zajęła się świętą Katarzyną Sieneńską, która nie chciała zgodzić się na małżeństwo z bogaczem wybranym dla niej przez ojca, ponieważ przyobiecała się już Bogu. Z tego też powodu musiała przez długi czas zajmować się najpodlejszymi pracami w domostwie. W końcu ojciec stracił cierpliwość i pozwolił jej wstąpić do klasztoru. Siostra powiedziała im, że święta już od bardzo wczesnych lat wyróżniała się mądrością i rozwagą, dzięki czemu stała się potem doradczynią książąt, a nawet samego papieża, oraz że w ciągu całego życia napisała trzydzieści listów o wielkiej wadze teologicznej.

Beatriz pomyślała, że te wzorcowe żywoty znowu najwyraźniej miały częściowe odniesienie do jej własnego życia, choć nie uważała, by odmowa zamążpójścia i wstąpienie do klasztoru były dla niej dobrym rozwiązaniem. Z drugiej strony prace domowe nie wydały jej się aż tak straszne, gdyby dzięki nim mogła uniknąć swojego losu.

Przyszła kolej na świętą Barbarę, o której siostra Angela powiedziała, że umarła jako męczennica z rąk własnego ojca poganina, za to, że odmówiła poślubienia mężczyzny, który również był niewierzący. Ojciec uśmierzył swój gniew, ucinając córce głowę, potem zaś sam zginął rażony piorunem. Zakonnica kazała im spojrzeć na litografię przedstawiającą kobietę z kielichem w dłoni na tle burzliwego krajobrazu. Beatriz uznała, że pójście w ślady tej męczennicy również na nic by się zdało, chociaż świętą kierowały podobne powody.

Ów korowód żywotów zaczynał ją nawet bawić, a przy tym przynosił jej pewną pociechę, gdyż dzięki temu mogła myśleć, iż jej własny los nie był aż tak wyjątkowy, przez co stawał się bardziej znośny. Wszystko jednak zmieniło się, gdy przewróciła kolejną stronę w książce i ujrzała imię oraz litografię z następną świętą.

- Skończymy dziś lekcję na świętej Justynie z Padwy. Spójrzcie na piękny wizerunek jej męczeństwa w waszych książkach, namalowany przez wielkiego Paola Veronese...

Beatriz spojrzała z przerażeniem na ilustrację, która przedstawiała świętą na kolanach, ze sztyletem właśnie mającym przebić jej serce. Po jej lewej stronie obserwowało ją dwóch wspartych na kijach mężczyzn, po prawej zaś kolejne dwie postaci - jedna wyglądała na wysokiego dostojnika kościelnego - przyglądały się makabrycznej scenie ze spokojem na twarzach. Beatriz pomyślała, że jeśli istniał jakiś obraz, który miał przedstawiać morderstwo jej matki, to właśnie miała go przed oczami. Scena ta bowiem tak bardzo przypominała jej własne przeżycia, że dziewczyna niemal mogła wyobrazić sobie malarza, jak stoi obok niej, u stóp jej nieżywej matki, i maluje.

Coś zaczęło skręcać się w jej wnętrzościach i Beatriz poczuła pierwsze mdłości. Nie mogła uwierzyć w to, co widziała, lecz jeszcze gorsze było słuchanie, jak zakonnica powtarza imię świętej, które okrutnym zbiegiem okoliczności brzmiało tak samo jak imię jej matki.

Widniejący przed nią wizerunek męczennicy, jej oczy i ów wyraz całkowitego oddania się śmierci, sztylet wbijający się w delikatną skórę kobiety, okrutna twarz inkwizytora Pereza Prado, którą rozpoznała na koncercie, stukające w korytarzu kije dwóch pomocników Świętego Oficjum... Wszystkie jej zmysły zdawały się zmierzać szaleńczym pędem w pustkę. Beatriz zauważyła, że klasa, nauczycielka oraz reszta uczennic zaczęły wirować dookoła niej, i zabrakło jej powietrza. Chwilę później upadła bez zmysłów na ziemię.



W braku pieniędzy na podróż dylizansem pocztowym, jak to czyniła szlachta i urzędnicy, bracia Heredia udali się z Madrytu do Saragossy przygnębiająco ubogim środkiem transportu, jaki stanowiła czyjaś furmanka.

Tydzień wcześniej spotkali się z sędzią, który służył jako łącznik między nimi a ich żonami. W ten sposób dowiedzieli się, że kobiety nie przebywały w Królewskim Domu Miłosierdzia - aczkolwiek wkrótce miały zostać tam przeniesione - lecz w starym pałacu Aljaferia przekształconym w więzienie z braku pomieszczeń w pierwszym zakładzie.

Gdy tylko mężczyzna wykonał swoje ostatnie zadanie i bracia odebrali fałszywe dokumenty stwierdzające, iż są zacynymi ludźmi i Kastylijczykami z dziada pradziada, ruszyli w podróż, by uwolnić swoje żony i córki spod tyranii Hiszpanów.



Królewski Dom Miłosierdzia zarządzany był przez arcybiskupa i innych dostojników kościelnych oraz przez markiza de Teran, starego przyjaciela markiza de la Ensenada i jego popiecznika.

Przed wielką nagonką na Cyganów zadaniem Domu było przyjmowanie licznych biedaków, którzy włóczyli się po Saragossie, i zapewnianie im noclegu, jedzenia oraz - w miarę możliwości - pracy. Często wyjeżdżał stamtąd wóz nazywany przez wszystkich wozem biedoty, aby pozbierać wszystkich tych niedostosowanych osobników, którzy tłoczyli się na ulicach, brudni i bezrobotni. Wysyłano go zwłaszcza po poborach do wojska lub kiedy liczba bezdomnych wzrastała tak bardzo, że alarmowało to resztę mieszkańców.

Choć głównym zadaniem Domu było zbieranie biedaków, nie zaś słuzenie jako zakład poprawczy, w razie potrzeby nie unikano tam również kar. Zwyczajowymi środkami wychowawczymi były baty, dyby oraz pręgierz, służące jako lekcja dla osobników, którzy utrudniali skuteczne działanie instytucji.

Kilka dni przed przybyciem braci Heredia do Saragossy, jakieś sto siedemdziesiąt Cyganek wraz z córkami zostało przeniesionych z Aljaferii do nowego skrzydła Domu Miłosierdzia, gdzie czekało już na nie kolejne pięćset, przysłanych właśnie z Malagi. Przy takiej liczbie kobiet budynek niemal pękał w szwach i wiele więźniarek musiano ulokować na patiach, skąpiąc im pożywienia, ubrań, łóżek i ogólnego minimum potrzebnego do przeżycia.

Cyganeki, zmęczone i oburzone takim traktowaniem, przez całe dni stawiały się dozorcóm za pomocą kamieni, kijów oraz paznokci, wzbudzając taki zamęt, że nikt nie miał odwagi wejść do środka, by zaprowadzić porządek. W tej sytuacji wiele kobiet chodziło nago, ponieważ nie dostały nowego odzienia, inne zaś w miarę możliwości prały swoje ubrania na oczach zszokowanych strażników.

W tych niezdrowych warunkach niektóre więźniarki pozapadały na zapalenie płuc lub żołądek, a ogólnie rzecz biorąc, wszystkie zaczynały przejawiać wyraźne oznaki niedożywienia.

Odnalezienie pięknego budynku, w którym przebywały ich żony, nie stanowiło dla Timbria i Sileria wielkiego problemu, gdyż dowiedzieli się wcześniej, że leży on przy arenie do walki byków noszącej tę samą nazwę. Dowiedzieli się także, że jego układ nie pozwalał na zwyczajną ucieczkę, wobec czego postanowili odzyskać swoje kobiety w prostszy sposób: chcieli mianowicie wypytać o nie kierowników, pokazując fałszywe dokumenty świadczące o czystości krwi, i wyjaśnić, że zostały one zatrzymane bezprawnie.

Pokryta dachówką galeria, która biegła dookoła jednego z czterech wewnętrznych dziedzińców, wychodziła na parter, na którym co najmniej sto pięćdziesiąt cygańskich kobiet i dziewcząt tłoczyło się w kącie, gdzie mogły znaleźć odrobinę cienia. Dochodziła co najwyżej jedenasta rano, lecz palące słońce Aragonii już od kilku godzin bezlitośnie prażyło nad całym miastem - były to słowa portiera, który prowadził ich do gabinetu zarządcy zakładu; najwyższego urzędnika, odpowiadającego za cygańskie mieszkanki domu.

Timbrio przedstawił się jako handlarz wełną z miasta Toledo. Silerio miał być jego pomocnikiem. Twierdzili obaj, że są kuzynami kobiet, i tłumaczyli ich zaginięcie jakimś zamieszaniem w tych samych dniach, kiedy odbywała się łapanka Cyganów. Z góry ustalili, że mówić będzie Timbrio, gdyż o wiele lepiej władał kastylijskim i ledwie dawało się u niego wychwycić cygański akcent.

- Proszę wejść! - Drzwi do gabinetu zarządcy były półotwarte.

- Ci dwaj panowie pochodzą z Toledo i chcieli się z wami zobaczyć. - Portier otworzył drzwi na oścież, by ułatwić im wejście.

- To widzę. Proszę siadać, jeśli mają panowie ochotę. - Zarządca przyjrzał im się, nie zauważając nic dziwnego. - W czym mogę pomóc?

- Szukamy dwóch kobiet: Remedios i Amalii Heredia oraz dwóch dziewczynek, które są z nimi. Wiemy, że zostały zatrzymane przez pomyłkę prawie dwa lata temu. Jesteśmy ich krewnymi. - Timbrio wyciągnął dokumenty, które potwierdzały ich hiszpańskie pochodzenie oraz wyznanie, i pokazał je zarządcy, nie przestając mówić: - Szukaliśmy ich we wszystkich pozostałych miastach, w których znajdują się podobne domy, lecz bez powodzenia. Dlatego sądzimy, że muszą znajdować się w tej czcigodnej instytucji.

Mężczyzna rzucił okiem na papiery i wezwał swojego skrybę.

- Natychmiast sprawdzę to w rejestrach, choć wyznaję, że z trudem mogę uwierzyć w tak wielką pomyłkę. Wszystkie kobiety, które przebywają w tym domu opieki, są z pochodzenia Cygankami albo tak nam się zdawało. - Jego uwagę przyciągnęły gęste brwi i bokobrody tego z dwójki, który mówił więcej. - Mówicie, że jesteście krewnymi tych kobiet i że pochodzicie z Toledo?

Przyjrzał się uważniej młodszemu. Zdawało mu się, że mężczyzna był bardzo podenerwowany.

- Z miasteczka w pobliżu Toledo o nazwie Mora. Prowadzimy tam sklep z wełną i z chęcią ugościmy pana, gdyby zechciał nas pan kiedyś odwiedzić. Nasze kuzynki, jedna wdowa z dwiema córkami, a druga panna, pracowały razem z nami i mieszkały dwie przecznice dalej. Od czasu ich zaginięcia bardzo martwiliśmy się o ich los. Prawdę rzekłszy, odbyliśmy tę długą podróż z nadzieją, że będziemy mogli znowu je obaczyć i w miarę możliwości wyjaśnić sytuację, w jakiej się niesłusznie znalazły. Czy możemy liczyć na pańską pomoc?

- Proszę wybaczyć. Zdawało mi się, że usłyszałem słowo „obaczyć”, a z tego co wiem, jest to zwrot bardzo charakterystyczny dla języka Cyganów. Chyba wy sami nie jesteście Cyganami, prawda?

- Nawet nie wiem, co znaczy obaczyć. Zdaje mi się, że powiedziałem „zobaczyć”, ale mogło mi się pomylić. - Timbrio wydawał się całkowicie spokojny i przekonany co do prawdy swoich słów, lecz zarządca najwyraźniej zaczynał mieć wątpliwości.

- Możecie pokazać mi swoje dokumenty? Potrzebuję ich do załatwienia niezbędnych w takich przypadkach formalności.

Timbrio wyciągnął papiery i podał je, nie okazując żadnego zdenerwowania.

- Widzę, że wy również nazywacie się Heredia. - Wątpliwości zarządcy wzrastały z każdą chwilą. - Jest to nazwisko dość popularne wśród Cyganów.

- To prawda, że często się zdarza wśród tej zarazy, ale widzi pan, że płynie w nas hiszpańska krew i że nie mamy nic wspólnego z tą rasą leni i łajdaków.

Do gabinetu wszedł skryba, po czym zbliżył się do zarządcy, by powiedzieć mu coś na ucho, podając jednocześnie kartkę, na której znajdowała się długa lista nazwisk. Na twarzy mężczyzny pojawiło się zdenerwowanie, które zwiastowało złe nowiny.

- Czy będzie mnie pan jeszcze potrzebował?

Gdy tamten zaprzeczył, skryba zamknął za sobą drzwi.

- Proszę mi wierzyć, że bardzo mi przykro - zarządca zaczął czytać z arkusza, który trzymał w dłoniach - ale wasza krewna Remedios Heredia zmarła cztery tygodnie temu na zapalenie płuc, podobnie jak Amalia Heredia, choć ta druga zaledwie przed tygodniem, i to na złośliwą gorączkę.

Spojrzał na nich z pewnym zawstydzeniem, gdyż wiedział o pożałowania godnych warunkach, w jakich mieszkały kobiety, i sumienie jego cierpiało z powodu dużej liczby zgonów, która wzrastała z dnia na dzień.

Silerio nie potrafił już dłużej zachować milczenia i spytał o swoje bratanice, córki Timbria. W jego głosie słyhać było wyraźny cygański akcent. Chwycił także za duży nóż, który ukrywał pod szerokim płóciennym pasem.

- Na szczęście ich imion nie ma na tej liście. - Usłyszawszy go, zarządca upewnił się, że tych dwóch zdecydowanie musiało być Cyganami i że wobec tego powinien postępować ostrożnie. - Mój asystent powiedział, że nie ma ich również na żadnym z rejestrów kobiet, które jeszcze przebywają w tym Domu.

- Jesteśmy pewni, że były razem z matką. Niemożliwe, by zniknęły - Timbrio przełykał gniew i ból, który przeszywał jego wnętrzności na wieść o śmierci żony, lecz opanował się w nadziei, że jego córki jeszcze żyją.

- Jedyne, co przychodzi mi na myśl, to to, że uciekły. - Na chwilę w duszy Cygana pojawiła się ulga. - Już wyjaśniam. Tego samego dnia, kiedy przybyła grupa kobiet z pałacu Aljaferia, miała miejsce ucieczka, której dokonało jakieś piętnaście uwięzionych. Wiemy, że wśród nich było pięć bardzo młodych. Nie znamy ich imion i nie wiadomo, co stało się z nimi potem. Przykro mi, że nie mogę udzielić więcej informacji; to wszystko, co wiem o waszych krewnych.

Zarządcy zdawało się, że przez twarze mężczyzn przemknęła niebezpieczna chmura gniewu.

- Jeszcze raz zapewniam, że przekazuję panom te złe wieści z wielkim żalem. Nie mogę przestać myśleć o tym, co muszą panowie teraz przeżywać.

Chwilę później Timbrio Heredia i jego brat Silerio zamknęli drzwi do gabinetu i pospiesznie opuścili budynek, w którym mieścił się Dom Miłosierdzia. Ich serca pełne były gniewu i zamętu.

Niespodziewana i straszna śmierć ich żon, która nigdy do tej pory nie przeszła im przez myśl, a także zniknięcie obu dziewczynek i bolesna niepewność co do ich losu, wzbudziły w nich pragnienie zemsty. Uczucie to pchnęło ich do wyjątkowo brutalnego ataku na zarządcę. Nie liczyli, ale z pewnością musieli zadać mu przed śmiercią ponad pięćdziesiąt ciosów, przelewając w nie część tej wszechogarniającej nienawiści, która jeszcze przez długi czas płonęła w ich cygańskiej krwi.

Tajne więzienie Świętego Oficjum. Madryt Rok 1751

21 lipca

Komnata, w której wykonywano wyroki tortur, znajdowała się na końcu długiego korytarza, biegnącego głęboko przez podziemia pod pałacem Świętego Trybunału.

Jeśli miała jakąś szczególnie zauważalną cechę, to był nią bez wątpienia odrażający fetor, który unosił się w środku: mieszanka krwi, uryny, gnijącego ciała, przenikająca kamienie tego wilgotnego i ponurego pomieszczenia.

Było ono całkowicie odizolowane - nie docierało do niego światło słoneczne ani niosący ulgę powiew świeżego powietrza. Bez owych remediów zaś komnata nieodwracalnie chorowała skażona tymi samymi cierpieniami, jakie znosili torturowani.

Na jej szczątkowy wystrój składała się surowa drewniana podłoga z kilkoma krzesłami w jednym końcu, gdzie siadali inkwizytorzy, na środku zaś znajdowała się cała kolekcja narzędzi tortur mających wydobyć z oskarżonego zeznania. Oświetlało ją osiem pochodni, które płonęły na ścianach. Ich odbity od sufitu blask rzucał na wszystko słabe światło.

Tego popołudnia lekarz, który zwykle zajmował się więźniami Świętego Oficjum, zbadał oskarżonego, by sprawdzić, czy będzie on w stanie znieść tortury. Choć John Wilmore, najwyższy zwierzchnik hiszpańskiej masonerii, zatrzymany przez Świętą Inkwizycję przed dwoma tygodniami, był potwornie wychudzony, medyk nie uznał go za tak osłabionego, by odradzić torturę ławy i wody.

Podszedł do trybuny, gdzie inkwizytorzy czekali na jego opinię, i udzielił im swojej zgody.

Ze względu na ważne stanowisko oskarżonego na przesłuchaniu pojawił się inkwizytor generalny Perez Prado, który przewodził ceremonii razem z notariuszem. Poza nimi było tam czterech oprawców oraz jeszcze jedna osoba, która ukrywała swoją tożsamość pod obszernym kapturem.

- Powiedźcie całą prawdę, a unikniemy konieczności oddania was w ręce katów! - Szorstki głos Pereza Prado odbił się od głuchych ścian komnaty.

- Nie mam nic do wyznania, bo nic złego nie uczyniłem! - Wyraz twarzy oskarżonego wydawał się tak stanowczy, jak jego przekonanie o własnej niewinności.

- Zostaliście skazani na tortury na podstawie zeznań świadków, które dostarczyły nam dostatecznych dowodów przestępstwa, oraz po odrzuceniu argumentów waszego obrońcy przeciw świadkom oskarżenia. - Notariusz zaczął opisywać oskarżonemu przebieg jego procesu i racje prowadzące do takiego rozwiązania. - Jako że do tej pory nie uzyskaliśmy od was pełnego zeznania, zmuszeni jesteśmy poddać was torturom, nie z własnej chęci, lecz ze względu na wasz upór. Nie pozbawimy was żadnego z członków i nie zadamy wam krwawych ran. Posłużymy się za to pewnymi narzędziami, który sprawią wam mocny ból. Nie zaprzestaniemy tych działań, dopóki wasze zeznanie nie da nam po temu powodów.

Po raz ostatni pytam: czy chcecie przyznać się przed tym trybunałem do waszego przestępstwa? - Drugie ostrzeżenie inkwizytora generalnego zdawało się w niczym nie wzruszyć Johna Wilmore'a.

- Proszę, by oprawca rozebrał oskarżonego do naga! - Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, notariusz wydał polecenie, by rozpocząć procedurę.

W wielu sytuacjach już samo to upokorzenie w połączeniu z widokiem narzędzi tortur wystarczało, by skruszyć wolę oskarżonego. Jednakże wyglądało na to, że suche i pomarszczone ciało Johna Wilmore'a wołało stawić czoło cierpieniom, niż spełnić wolę oskarżycieli.

- Proszę zastosować na oskarżonym łąwę! - Rozkaz ten dał początek pierwszej z tortur, jakim miał zostać poddany Anglik.

Dwaj kaci położyli go na stole i przywiązali jego przeguby do sznurów, które przymocowane były do jakichś kół. Zacisnęli więzy tak mocno, że na skórze wkrótce porobiły się otarcia, i Wilmore zaczął odczuwać ostry ból za każdym poruszeniem. Dwie inne liny owinęły się dookoła jego kostek, tak że po pierwszych obrotach pokręła jego ciało napięło się do tego stopnia, iż nawet nie dotykało stołu. Gdy na kolejne pytanie inkwizytora odpowiedział odmownie, ten nakazał, by kaci skrócili sznury o kolejne pięć centymetrów, zadając Wilmore'owi nieznośny ból. Anglik miał wrażenie, że za chwilę któryś z jego członków oderwie się od ciała.

Nie chciał krzyczeć ani dawać im żadnego znaku słabości czy braku ducha, jednak tortura, którą mu zadawano, była tak straszna, że zaczął jęczeć, najpierw z cicha, a w miarę trwania kaźni coraz głośniej. Musiał stracić przytomność, zanim jeszcze wywichnęli mu prawe ramię, gdyż po przebudzeniu odczuwał przenikliwy ból w obydwu, a pamiętał tylko, jak wyrwali mu lewe.

Zwrócił spojrzenie na inkwizytorów w nadziei, że to już koniec i że zabiorą go z powrotem do celi. Jego niespokojne oczekiwanie przeciągnęło się przez dobrą chwilę, gdyż mężczyźni pograżyli się w długiej dyskusji, z której nie zdołał nic usłyszeć. W końcu zdecydowali, że zostanie mu zadana tortura wody.

Wyzwolono go z więzów. Wilmore zauważył, że widać było na nich sporo jego krwi. Kaci pchnęli go w stronę długiej, niskiej ławy, i rozłożyli go na niej twarzą do góry. Lekarz zbadał jego obrażenia i obmacał posiniaczone członki, które zaczynały już puchnąć, po czym najwyraźniej stwierdził, że więzień znajduje się w dobrym stanie, gdyż głośno zezwolił na kontynuację męczarni.

Biskup Perez Prado zbliżył się do zamaskowanego gościa i zapewnił go, że choć oskarżony zdołał przetrzymać pierwszą torturę, to nie zniesie cierpień, o jakie przyprawi go woda, i w końcu się przyzna.

Głowę Wilmore'a unieruchomił zapięty na szyi gruby, skórzany pas. Inny, zaciśnięty mocno na jego brzuchu, zdawał się przepychać mu żołądek w stronę płuc. Oczy Anglika zasłonięto przepaską, która zakryła mu głowę aż po nos, po czym zmoczono materiał w wodzie, by utrudnić mu oddychanie. Następnie oprawcy polecieli więźniowi otworzyć usta i zaczęli wlewać w nie strumyczek wody, który zdawał się nie mieć końca. Przez pierwsze kilka minut przetykanie nie sprawiało mu wielkiego problemu, lecz pas na brzuchu ścisnął jego żołądek w taki sposób, że po dłuższej chwili większość płynu wróciła do gardła, gdzie mieszała się z wodą, która nieustannie wlewała się z glinianego dzbana.

Anglik nie był w stanie zaczerpnąć powietrza. Nie mógł też zaprzestać łykania, by odetchnąć przez nos. Topił się, ale nie mógł nawet krzyknąć ani powiedzieć komuś, że jeśli potrwa to jeszcze minutę dłużej, to umrze. Zaczął odczuwać ogromne ciśnienie w oczach oraz zawroty głowy, które wydały mu się zapowiedzią śmierci. Kaci zatrzymali się dokładnie w momencie, kiedy zrezygnował z dalszego przetykania, które powstrzymało wodę przed wlewaniem się do płuc. Odczekali kilka minut, dopóki nie przestał kaszleć i nie wyrzucił z siebie resztek płynu.

Po kolejnej odmowie przyznania się do winy i jeszcze jednym badaniu zdecydowano, że Wilmore pozna teraz torturę dźwigni.

Związano mu nadgarstki na plecach i w jego ciało znowu wpiły się sznury. Dzięki systemowi bloków kaci podnieśli go aż pod sufit, a gdy znalazł się na górze, naraz puścili wszystko i Anglik opadł prawie do ziemi. Suche szarpnięcie sprawiło mu tak niewiarygodny ból w wyłamanych członkach i mięśniach pleców, że nie mógł powstrzymać rozdzierającego krzyku.

Wysłuchawszy rady lekarza, Perez Prado nie pozwolił, by oprawcy powtórzyli torturę - medyk uważał bowiem, że przy następnej próbie życie więźnia mogłoby być zagrożone. Zamiast tego rozkazał im zabrać go do celi, zdenerwowany brakiem jakichkolwiek rezultatów.

Gdy oskarżony wyszedł, ciągnięty przez dwóch katów, inkwizytor pozostał w komnacie jeszcze na kilka minut, by przekazać swoje spostrzeżenia tajemniczemu gościowi.

- Ojciec Ravago - powiedział - zapewniam was, że na tym się to nie skończy! W dalszym ciągu będziemy usiłowali skłonić go do zeznań, choć trzeba będzie posłużyć się w

tym celu innymi środkami lub zastosować większą siłę. Podtrzymuję moją obietnicę, że zmusimy go do mówienia!

Spowiednik króla Ferdynanda pragnął zataić przed Wilmore'em swoją obecność w czasie tortur. Nie chciał zostać rozpoznany ani też dopuścić do tego, by rozniosła się wieść, iż to on razem z markizem de la Ensenada ponosił odpowiedzialność za zatrzymanie masona. Stało się to możliwe dzięki hrabiemu de Valmojada: szpiegowi, który zdołał infiltrować lożę Trzech Kwiatów Lili.

To właśnie Ravago z polecenia króla zredagował przed kilkoma miesiącami memoriał na temat masonerii, dzięki któremu wydano edykt zakazujący działalności bractwa. W piśmie tym spowiednik przypominał monarsze o bulli papieża Klemensa XII oraz konstytucji wydanej przez obecnego biskupa Rzymu, Benedykta XIV. Obydwie potępiały i zabraniały wszystkim katolikom przynależności do owego stowarzyszenia lub udziału w jego spotkaniach pod karą ekskomuniki dla każdego, kto pogwałciłby zakaz. Poza tymi motywami natury religijnej, Ravago podkreślał niebezpieczeństwa, jakie tego typu organizacja mogła ściągnąć na państwo ze względu na swoje sekretne dążenia. Dowiedziawszy się, że w jej szeregach wstąpili wybitni członkowie armii, świata kultury oraz prawa, jak w przypadku młodego adwokata Campomanesa czy też wpływowego Jose Moñina, jezuita zadawał sobie pytanie, co innego mogłoby zjednoczyć ludzi o takim wykształceniu, jeśli nie jakiś ważny cel. Skrywane przez bractwo plany nie mogły być jakąś pomniejszą sprawą, skoro kary, którym podlegali członkowie w razie przyłapania na ujawnianiu sekretów, polegały na wyrwaniu języka lub serca. Z tego prostego faktu spowiednik wnioskował, że tylu wojskowych w połączeniu z tyloma ludźmi kultury musiało dążyć do celów na tyle wielkich, by usprawiedliwiały tajność poczynań loży. Uważał, że zamierzali zniszczyć religię katolicką i pogorszyć sytuację w państwach europejskich, by założyć inny, pozbawiony wszelkich wpływów religii system organizacji: była to cała rewolucja przeciw tradycyjnej władzy.

Argumenty te przekonały króla Ferdynanda o niebezpieczeństwie, jakie masoneria mogła przedstawiać dla monarchii. Znał on również jej wpływ na stworzenie angielskiego systemu parlamentarnego, z Izbami Lordów i Gmin, w których nadzorowano prawa oraz podejmowano decyzje wagi państwowej, podczas gdy od zawsze były to wyłączne funkcje króla. Biorąc to wszystko pod uwagę, król postanowił więc wydać edykt o zakazie i poinformował radę Świętego Oficjum, by dopilnowała jego wykonania.

- Czuję się bardzo zawiedziony, mój dobry przyjacielu - powiedział teraz królewski spowiednik do inkwizytora generalnego. - Nasze plany przeniknięcia tej diabolicznej organizacji i poznania jej zamiarów oraz miejsca pobytu jej członków opóźniają się bardziej,

niżbym pragnął. I chociaż mieliśmy to szczęście, że zatrzymaliśmy jej najwyższego zwierzchnika, to zdaje się, że nic nam z tego nie przyjdzie, w świetle bestialskiego zabójstwa naszego drogiego ojca Castro, co do którego masońskiego podłoża mam mocno ugruntowane podejrzenia.

- Może i macie rację, ojcze Ravago, chociaż przyznacie, że już sam fakt uwięzienia ich wielkiego mistrza posłuży jako przykład dla reszty masonów i ukróci niebezpieczną ekspansję sekty, nawet gdyby okazało się, że nie miała ona związku ze śmiercią Castro.

- Dostrzegam w twoich działaniach pewne zniechęcenie, lecz chcę, byś wiedział, że nie zgodzę się na żadne zawężenie naszych początkowych planów. - Na twarzy Ravaga pojawił się wyraz surowej przestrogi. - To, co mi oferujesz, nic nie znaczy w porównaniu z poznanie ich statutów i praw; na to właśnie powinniśmy skierować nasze wysiłki. Nie możemy myśleć, że jeden wyrok w czymkolwiek nam pomoże. - Jezuita podniósł się z krzesła z zamiarem opuszczenia salki. Dalsza rozmowa na ten temat zupełnie go nie interesowała, natomiast bardzo chciał wiedzieć, jakie nowe środki zamierzał podjąć Prado i kiedy spodziewał się lepszych rezultatów. - Zmusz go do mówienia przed naszym następnym spotkaniem. Muszę poinformować o tej sprawie króla i sądzę, że nie byłoby ci na rękę, gdyby nasz władca zaczął powątpiewać w wydajność twoich poczynań. Chyba wyrażam się jasno?

- Ojcze Ravago, proszę nie mieć żadnych wątpliwości, że dążę do tego samego, co wy i król. W żadnym razie nie zaprzestanę wysiłków, by wydobyć z niego zeznania. Możecie odejść w spokoju; zawiadomię was, gdy tylko uzyskamy jakiegokolwiek informacje, czy to o zbrodni na Castro, czy na temat pozostałych spraw, o które chcemy się wywiedzieć.



Przy tej samej ulicy co siedziba inkwizycji wznosiła się również nowo otwarta arena do walki byków; zbudowano ją na błoniach po lewej stronie za pałacem Buen Retiro.

Mieszkańcy Madrytu nie mieli do tej pory podobnego budynku: okrągłego i przeznaczonego wyłącznie do tego celu. Zazwyczaj impreza ta odbywała się na głównych placach miast lub wiosek.

Czy sprawił to nowatorski wygląd budowli, czy też pragnienie obejrzenia samego spektaklu, w każdym razie na trwającą od rana do wieczora fiestę ciągnęły tłumy ludzi ze wszystkich warstw społecznych.

W ten piątek Maria Emilia Salvadores zdołała przekonać swego pretendenta Joaquina, by pojechali zobaczyć przynajmniej wieczorne walki, które zazwyczaj były o wiele lepsze od tych porannych. Namówiła na to również swoją przyjaciółkę, hrabinę de Benavente, która - jak to już było w jej zwyczaju - przybyła w towarzystwie nie swego męża, lecz kolejnego

galania, który zamierzał ją zdobyć, tak jak tylu innych przed nim. Żaden z nich nie zdołał jednak uzyskać u niej większych łask niż gra w nic nieznaczący flirt.

Maria Emilia z powodzeniem zbiła wszystkie argumenty, którymi próbował wykręcić się Joaquín: że walka jako ostatnia tego dnia na pewno nie będzie dobra, że straszny upał tegorocznego lipca w niczym nie poprawi sytuacji, czy że nie spodziewał się żadnych atrakcji po spektaklu równie żalonym, jak szczucie byków psami. Kiedy jednak Maria Emilia zaaplikowała mu sporą dawkę słodczy, wszystkie jego obiekcje rozwiały się natychmiast niczym za sprawą magii.

Cała czwórka usadowiła się blisko barierki, otoczona najważniejszymi osobistościami polityki i Kościoła w Madrycie, by obejrzeć walkę ósmego tego dnia byka, który właśnie szykował się do wejścia na arenę.

Przed rozpoczęciem corridy Maria Emilia przyjrzała się swej przyjaciółce. Pomimo ósmego miesiąca ciąży nic nie zdołało stłumić fizycznej urody hrabiny. Maria obejrzała także jej suknię. Wybór nie mógłby być bardziej stosowny do sytuacji: Faustina miała na sobie jedwabną spódnicę w odcieniu szkarłatu, ozdobioną zaś złotymi haftami stan przypominał brokaty, z których uszyte były kurtki toreadorów i pikadorów. Strój zwrócił uwagę niemal wszystkich obecnych dam, jak również towarzysza hrabiny, który wydawał się wręcz upojony jej towarzystwem.

Obie przyjaciółki usiadły razem, by móc omówić przygotowania do ślubu Beatriz z księciem de Llanes, do którego pozostał zaledwie miesiąc - a było jeszcze bez liku szczegółów do załatwienia.

W końcu na arenę wpadł rozjuszony byk, z oczami zamroczonymi ciemnością zagrody, teraz oślepiiony przez jasny piasek. Na środku areny oczekiwał go młody mężczyzna. Na widowni zapanowała napięta cisza, aż w końcu matador chwycił za dzidę. Na ten widok publiczność wybuchła okrzykami radości. Pojawiło się dwóch pikadorów na koniach, którzy po kilku eleganckich krokach wbili w byka włócznicę, aby pozbawić go brawury.

- Co myślisz o Beatriz? Pogodzi się ze swoją sytuacją? - spytała Faustinę Maria Emilia, nie odrywając wzroku od walki.

- Mam nadzieję, że tak, ale nie myśl, że wiem, co jej chodzi po głowie. Przez ostatnie tygodnie próbowałam unikać rozmowy na ten temat, po tych wszystkich strasznych dyskusjach, kiedy dowiedziały się o zaręczynach.

Byk właśnie otrzymał kolejny cios; przy pierwszym zadał koniowi pikadora ciężką ranę i teraz usiłował zrobić to samo z drugim.

- Boli mnie patrzeć na śmierć tych biednych koni. Nie uważasz? - spytała Faustina.

- Powinni je jakoś zabezpieczać. - Maria Emilia patrzyła, jak zwierzę opuszcza arenę, z połową kiszek wylewającą się z boku.

- Jestem przekonana - wróciła do tematu Faustina - że Beatriz przy swoich szesnastu latach jest w najlepszym momencie do założenia rodziny. Poza tym księżę de Llanes zasypuje ją atencjami: o wiele bardziej niż to przystoi osobie w jego wieku. Oczywiście jako mężczyzna nie mógłby prosić o więcej, a sama wiesz, że dość dobrze się na nich znam. - Poruszyła ręką w kierunku swojego nowego towarzysza, markiza de Sotoviña.

Byk, który podczas starć z ośmioma przeciwnikami ku uciesze publiki otrzymał już dziesięć pchnięć i zmiażdżył kolejnego konia, poruszał się teraz wolniej i z mniejszą furią.

- Rzecz w tym, że Beatriz zaczęła zachowywać się nieco łagodniej i mam nadzieję, że za sprawą księcia zrozumiała zalety i możliwości płynące z tego małżeństwa.

Doskonały cios w pierś został nagrodzony przez pierwsze rzędy długą owacją.

- Tak dużo mówicie, że tracie walkę - wypomniał Trevezes swej towarzyszce po tym, jak zmusiła go, by przyszedł obejrzeć corridę mimo palących spraw, które go zajmowały.

Obie kobiety zamilkły aż do śmierci byka, do której wystarczyło jedno zręczne pchnięcie szpady toreadora, po czym wróciły do rozmowy, kiedy ich towarzysze oddalili się, by poszukać czegoś na orzeźwienie.

- Martwię się o mojego syna - powiedziała Maria Emilia.

- Domyślam się, że wieści o Beatriz bardzo go zasmuciły, biorąc pod uwagę ich bliską przyjaźń, odkąd się poznali.

- Miałam wielkie wątpliwości, czy ci to powiedzieć. - Mina Marii Emilii rozbudziła ciekawość Faustyny. - Myślę, że istnieje między nimi o wiele głębszy związek, niż to sobie wyobrażamy.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że Beatriz i Braulio są czymś więcej niż przyjaciółmi, prawda?

- Obawiam się, że owszem. Kiedy przekazałam mu wiadomość o zaręczynach, Braulio zareagował wręcz nieproporcjonalnie do całej sprawy. Najpierw zalał się łzami, co z początku wydało mi się zrozumiałe, znając ich przyjaźń. Potem jednak zaczęłam się zastanawiać, bo od tamtej pory bez przerwy był w złym humorze. Sama wiesz, jakie to dla niego nietypowe.

- Wyznaję, że nic nie zauważyłam, choć muszę przyznać, że ostatnio niewiele z nim rozmawiałam, o wiele mniej niż zwykle - mówiąc to, Faustina usiłowała przypomnieć sobie cokolwiek, co wykluczyłoby możliwość tego potajemnego związku.

- Dwa dni temu - ciągnęła Maria Emilia - znalazłam w jego ubraniu list od Beatriz, który potwierdził ich prawdziwe uczucia. Zapewniam cię, że był on przesiąknięty głębokim smutkiem i pełen deklaracji wiecznej miłości oraz wierności wobec Braulia. Na końcu twoja córka wyrażała odrazę do swojego zaaranżowanego małżeństwa, które samo w sobie byłoby dla niej niepożądane, a co dopiero, kiedy rozdziela ją z ukochanym - moim synem Brauliem.

- Nie mogę uwierzyć! - Dreszcz wstrząsnął Faustina od stóp do głów. - Lecz jak to możliwe, że wszyscy byliśmy tak ślepi na to, co się między nimi działo?

- To oczywiste, że pragnęli to ukryć. Pewnie nie chcieli, byśmy sprzeciwili się ich związkowi.

Zobaczyły, że Joaquín oraz markiz de Soto viña zbliżają się do nich z dwiema szklankami lemoniady.

- Już wracają! - ostrzegła Maria Emilia. - Dokończymy tę rozmowę kiedy indziej.

- Oczywiście, że musimy jeszcze o tym porozmawiać! - Policzki Faustiny pobrały. - Po tym, co usłyszałam, niepokoję się na myśl, że oboje są teraz w moim domu. - Jej serce zdrząło, tknięte ponurym przecuciem.

- Jeśli nie zaczniesz zwracać na mnie choć odrobinę większej uwagi, nigdy więcej nie zaciągniesz mnie na corridę - oświadczył Marii Joaquin. Żartował, ale był już zmęczony koniecznością zabawiania nudnego towarzysza hrabiny de Benavente. W obliczu jego pozornej urazy wystarczył czuły całus w policzek, by wprowadzić go w lepszy humor, a jeszcze bardziej pomogły wyszeptane słowa, równie upragnione jak niespodziewane:.

- Jakże mogłabym lekceważyć mężczyznę, którego kocham całą sobą.

Maria Emilia chwyciła go za ramię i oboje skupili się na widowisku z dziewiątym bykiem, który otrzymawszy zaledwie cztery ciosy zdołał już zabić dwa konie, przy czym liczba ta mogła szybko wzrosnąć, sądząc po wściekłości, z jaką ruszył na kolejnego rumaka, który pojawił się na arenie.



Daleko od corridy, w prywatnych apartamentach Beatriz Rosillón w pałacu hrabiostwa de Benavente, miała miejsce inna scena, którą można by opisać za pomocą wielu słów, lecz z pewnością nie byłoby wśród nich słowa wściekłość.

Braulio całował namiętnie usta Beatriz, śmiało ją do siebie przyciskając. Ta słodka bliskość była spełnieniem nie tylko jego powstrzymanej od jakiegoś czasu namiętności: było to również zaspokojenie pragnień Beatriz, która chciała poznać te wrażenia, zanim będzie zmuszona zrobić to ze swym małżonkiem. Myśląc o tym, oboje płakali i śmiali się na przemian, w każdej pieszczocie czuli żar i ból z powodu niemożności wspólnego życia. Nigdy

do tej pory Beatriz nie poczuła, jak to jest, kiedy czyjeś dłonie przebiegały po jej ciele, ani nie doświadczyła dotyku ust, od którego dostawała gęśniej skórki, na swej nagiej skórze. Chociaż przeżywała tę intensywną przyjemność całą sobą, w głębi serca najbardziej pragnęła zapamiętać każdą sekundę tego wieczoru, by zachować go żywym na przyszłość i odgrywać potem we wspomnieniach.

- Braulio, najmilszy. Przysięgnij mi, że nigdy nie zapomnisz tego dnia. - Skuliła się na jego piersi, gładząc go z czułością po twarzy.

- Przysięgam ci to, Beatriz! - odpowiedział chłopiec. Pocałował ją w czoło i przyciągnął jej ciało do swego, mnąc prześcieradła na łóżku. - Zawsze będziesz przy mnie. Kilka lat temu nienawidziłem tego, co rozdarło mi serce na pół - utraty rodziców. Lecz także dzięki temu poznałem ciebie, i odkryłem najczystsze i najpiękniejsze uczucia, jakie może przeżywać człowiek. Teraz zaś będę musiał stawić czoło kolejnemu bolesnemu rozstaniu, tym razem spowodowanemu innymi względami. Jestem pewien, że nie zdołam o nim zapomnieć, skoro tamte stare rany wciąż pozostają dla mnie tak żywe jak wtedy, kiedy powstały.

- Przez te lata jedyną rzeczą, która trzymała mnie na tym świecie, byłeś ty. Zanim cię poznałam, byłam tak zagubiona, że wiele razy pragnęłam śmierci; jesteś jedyną osobą, która o tym wie. Chociaż przyjęto mnie do tego domu z dobrocią i otoczono miłością oraz troską, to ta ogromna pustka, która pozostaje po takim nieszczęściu, jakie oboje przeżyliśmy, jest prawie niemożliwa do uleczenia. - Jej oczy zamknęły się, by ukryć ból, który ją wypełniał. - Po śmierci moich rodziców nawet rzeczy, które wszystkim zdają się nic nieznaczące, były dla mnie źródłem cierpienia. W końcu straciłam wycucie proporcji i wszystko, co mnie spotykało, czy to dobrego, czy złego, zawsze wydawało mi się straszne. - Na wspomnienie tamtych dni z jej oczu wymknęły się łzy. - Nie wiem, jak to się stało, ale przy tobie zamęt w moich myślach zniknął, a moja nienawiść się ulotniła. Jesteśmy tylko dwojgiem nieszczęśników, którzy przeżyli te wszystkie lata dzięki temu, że dzielili się sekretami i miłością. Zachowam nasze uczucie w sercu, dopóki znowu nie będziemy mogli nim żyć, a jeśli nie stanie się to wkrótce, to wolę już raczej umrzeć, jak święta Justyna albo moja matka, niż znaleźć się w ramionach innego mężczyzny, którego nie kocham i nigdy nie pokocham.

Kiedy Braulio szedł tego wieczoru do jej domu, miał ze sobą książkę, której zdobycie zajęło mu wiele czasu i wysiłku. Było to stare wydanie *Martyrologii rzymskiej*, w której opisane były żywoty świętych i męczenników z pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Kilka tygodni wcześniej Beatriz wróciła do domu niezwykle poruszona przedziwnym odkryciem, jakiego dokonała na lekcji historii religii. Opowiedziała mu, jak ujrzała w jakiejś książce obraz malarza Paola Veronese, który przedstawiał męczeństwo świętej Justyny. Była

tak poruszona jego niezwykłym podobieństwem do sceny śmierci jej matki, że nawet straciła na kilka chwil przytomność. Powiedziała też, że od tamtej pory słyszała w swoim wnętrzu głosy, równie rzeczywiste, jak nagłące. Wskazywały jej nowe przeznaczenie: misję, której musiała stawić czoło.

Odkrycie to pchnęło ją do łapczywego pochłaniania wszystkiego, co zostało napisane na temat świętej Justyny, a zwłaszcza na temat okoliczności towarzyszących jej męczeńskiej śmierci.

Po przejrzaniu każdej książki w obszernej bibliotece pałacu natknęła się na dramat Calderona de la Barca, oparty na żywotach świętego Cypriana i świętej Justyny, pod tytułem *Zręczny magik*. Przeczytała go ponad cztery razy, by wbić sobie tę historię w pamięć. Właśnie tam odkryła, że święta Justyna była piękną, która żyła w Antiochii i która nawróciła się z innej religii na chrześcijaństwo, gdy usłyszała o cudach tego wyznania z ust ucznia świętego Piotra. Odrzuciła zalotnika, który ją kochał i pragnął pojąć za żonę, ponieważ czuła się już zaślubiona Jezusowi Chrystusowi. Rozzłoszczony mężczyzna zwrócił się do słynnego maga o imieniu Cyprian, który parał się czarami i urokami, by wpływać na wolę innych ludzi, z prośbą, by rzucił na Justynę zaklęcie. Mag próbował wypełnić zadanie, lecz młoda dziewczyna tak go oczarowała, że sam zapragnął ją zdobyć. Kiedy odrzuciła także jego awanse, zwrócił się o pomoc do szatana. Ten usłuchał go, lecz w zamian zażądał od niego duszy. Ostatecznie Cyprian nie zdziałał niczego nawet za sprawą demona. Wyrzekł się zatem Lucyfera i przyjął tę samą wiarę, która wpoila Justynie tak silne zasady.

Tekst Calderona kończył się męczeńską śmiercią obojga za wyznawanie wiary w Chrystusa i odmowę wyrzeczenia się jej. Również ten utwór nie wystarczył Beatriz, częściowo z braku szczegółów, częściowo ze względu na swoją fikcyjność. Wreszcie po kilku dniach dowiedziała się od swojego spowiednika, że istniała jeszcze inna książka, którą jej dobry Braulio zdołał w końcu zdobyć.

Oboje uczyli się łaciny dopiero od niedawna, więc nie znali jej jeszcze wystarczająco dobrze, by móc swobodnie przeczytać tekst. Przekonali się jednak, że podawał on sporo informacji o życiu i śmierci świętej.

Tego właśnie wieczoru przeglądali go, po części sfrustrowani niemożnością pełnego zrozumienia, lecz przekonani, że znajdą w nim to, czego chcieli się dowiedzieć.

Beatriz wryła sobie obraz Veronesa w pamięć, a dzięki talentom malarskim próbowała też od jakiegoś czasu przenieść go na mały kawałek płótna. Tego wieczoru po raz pierwszy pokazała Brauliovi niegotowe jeszcze dzieło. Ukrywała je, by nikt nie poznał jej sekretu. Pracowała nad malowidłem tylko wtedy, gdy miała pewność, że dom jest pusty. Braulio z

szacunkiem obejrzał płótno i zobaczył, że w pierwszych pociągnięciach pędzla można było rozróżnić klęczącą postać kobiecą z rękami rozłożonymi w łagodnym geście, a także zarys postaci za nią i profile czterech innych osób ustawionych po obu stronach.

- Przyjrzyj się dobrze jej twarzy i powiedz mi, co w niej widzisz. - Beatriz namalowała świętej oblicze swojej matki.

- Widzę dobroć i rezygnację, a także poddanie się losowi. Ale najbardziej zaskakujące jest chyba jej spojrzenie: wydaje się skierowane w jakiś punkt poza obrazem, jakby wpatrywała się w jakiegoś widza stojącego na zewnątrz.

- Patrzy na mnie! - Beatriz ścisnęła go mocno za rękę, wyrażając tym gestem intensywność swoich uczuć. - Namalowałam twarz mojej matki. To ja stoję przed nią. Czuję się obecna na tym obrazie, mimo że mnie na nim nie widać.

Widząc, że zaczęła płakać, Braulio objął ją ramieniem. Wtedy właśnie poczuli, że ta fizyczna bliskość mogła im dać przyjemne wytchnienie od trosk i że była najbardziej intymną formą wyrażenia sprzeciwu wobec losu, który ich czekał.

Prawie się nie odzywali - we wzajemnym dotyku odkryli sposób na ulżenie smutkowi. Niepotrzebne były słowa czy jakikolwiek inny rodzaj komunikacji. Tego właśnie wieczoru postanowili związać się na zawsze. Zapragnęli zrodzić owoc, który przetrwałby w czasie jako żywe świadectwo ich uczucia.

- Braulio, do mojego ślubu został już niecały miesiąc i wiem, że to może być nasza ostatnia szansa. - Oczy Beatriz błyszczały niezwykłym spokojem. - Chciałabym, żebyś dał mi syna - żywy owoc naszej miłości!



Następnego ranka dziewczyna stanowczo wyparła się związku z Brauliem, mimo nalegań Faustyny, by się przyznała.

Pomyślała, że jeśli go ujawni, nigdy już nie zobaczy Braulia; choćby jej rodzina starała się ukryć to na wszelkie sposoby, książę de Llanes wcześniej czy później dowiedziałby się o wszystkim i mógłby ją zabrać na straszne wygnanie do Asturii. Wyraził już pragnienie, żeby tam z nią zamieszkać - w jednej z jego posiadłości, z dala od światowego Madrytu. Jak na razie Beatriz zdołała go odwieść od tego pomysłu. Gdyby jednak książę dowiedział się o jej miłości do Braulia, nie byłaby w stanie powstrzymać go przed oddzieleniem jej od kochanka.

- W ogóle nie musisz się obawiać o mój stosunek do Braulia - kłamała z miną pełną szczerości. - Jest dla mnie jak brat. Mamy za sobą podobne doświadczenia. Dzięki temu oboje

dojrzelismy i mogliśmy dzielić się naszymi uczuciami i niepokojami. Przyznaję, że go kocham, ale nie w taki sposób, jak myślisz.

- Podobno istnieje jakiś list od ciebie... - w rzeczywistości Faustina zdążyła już przeczytać ów znaleziony przez Marię Emilię liścik - który najwyraźniej świadczył o czymś przeciwnym.

- O jakim liście mówisz? - Beatriz próbowała zyskać na czasie, by znaleźć jakieś wiarygodne wytłumaczenie.

- O tym!

Faustina wyciągnęła ze stanika kopertę, którą poprzedniego dnia po powrocie z corridy dała jej przyjaciółka.

Beatriz otworzyła list i przeczytała go, zachowując pozory spokoju. Była wściekła, że jej sekret został odkryty, i zła na siebie samą, że nie potrafiła wytłumaczyć tych jawnych deklaracji miłości. Policzki zaróżowiły jej się z gniewu, a oczy zaćmiły łzami. W końcu przyznała się do kłamstwa:

- Przyznaję, że kocham Braulia, ale...

- Żadne ale! Ten związek jest niedopuszczalny i winię się za to, że nie zauważyłam go wcześniej. W ogóle nie powinno do niego dojść. - Beatriz nigdy nie widziała Faustiny tak poruszonej i wścieklej. - Do twojego ślubu z księciem de Llanes pozostał niecały miesiąc, a ja odkrywam, że zakochałaś się w chłopaczku, który jest nikim, nie ma przed sobą żadnej przyszłości i do tego jest Cyganem!

- Wszystko mi jedno, czy jest Cyganem, czy szlachcicem! Miłość nie patrzy na stan. - Słowa matki uraziły dziewczynę i nie chciała pominąć ich milczeniem.

- Ale mnie nie jest wszystko jedno i nie pozwalam ci na żadne dalsze impertynencje. - Nie będąc w stanie zapanować nad gniewem, Faustina spoliczkowała córkę.

- Jestem w nim zakochana, i nie pokocham nikogo innego poza nim - krzyknęła upokorzona Beatriz.

- Nie gadaj głupot! Znaleźliśmy ci dobrego męża z najlepszej sfery i z dobrymi koneksjami, jako że należy do najbliższych przyjaciół markiza de la Ensenada. Zapewniliśmy ci dostatnie i szczęśliwe życie, a ty odpłacasz nam głupotą, jaką jest miłość do jakiegoś ladaco. Co ty sobie wyobrażasz?! Że ja szalałam z miłości do mojego męża, zanim go poślubiłam? - Uroda Faustiny jakby rozplynęła się wraz z brzydkim, pogardliwym prychnięciem, które odmieniło jej twarz i zabarwiło szmaragdowozielone oczy pełną furii czerwienią.

- Nie wiem, co czułaś, i nie obchodzi mnie to! Ale nie zamierzam któregoś dnia zmieniać adoratorów jak rękawiczki, jak ty teraz.

- Dość tego! - Faustina chwyciła ją za ramiona. - Nasłuchałam się więcej, niż jestem w stanie znieść. Wyjdiesz za księcia, podoba ci się czy nie, i od tej pory zakazuję ci spotykać z Brauliem. To moje ostatnie słowo! - W jej spojrzeniu było tyle samo determinacji, ile gniewu. - Ponadto masz mi przyrzec, że nigdy nie będziesz o tym rozmawiać ze swym przyszłym mężem ani z nikim innym. Pomówię z Marią Emilią, by przekazała to swojemu synowi.

- Ależ, matko, nie możesz mnie do tego zmuszać... - Beatriz wpadła w rozpacz na samą myśl o tym, że miałyby na zawsze zostać rozdzielona z ukochanym.

- Nie tylko mogę, lecz wręcz żądam tego od ciebie!

- Wolę umrzeć niż go stracić! - Ból prawie uniemożliwiał dziewczynie mówienie.

Widząc cierpienie córki, Faustina spróbowała opanować trochę swoją wściekłość, choć wciąż była oburzona.

- Beatriz - powiedziała nieco łagodniej - uwierz mi, że z czasem zapomnisz o tym wszystkim, a choć z początku nie będziesz czuć do męża miłości, to w końcu go pokochasz. Zobaczysz, że Braulio stanie się dla ciebie zaledwie przelotną miłostką młodości. - Objęła ją mocno, choć dziewczyna próbowała ją odepchnąć.

- Matko, czy naprawdę prosisz mnie, bym już nigdy się z nim nie zobaczyła?

Beatriz wiedziała, że Faustina rozplywała się z czułości, gdy nazywała ją matką, z początku bowiem zwracała się do niej po imieniu; uznała, że lepsze rezultaty osiągnie, jeśli przestanie się buntować, a zamiast tego będzie bardziej potulna i czuła.

- Pewnie słowo nigdy wydaje ci się tak samo nieznośne, jak niemożliwe do zaakceptowania, i wierz mi, że cię rozumiem. Pomyśl, że to, co ustaliłyśmy, ma zabezpieczyć to tak odpowiednie dla ciebie małżeństwo. Lecz to powiedziawszy, powiem ci coś bardziej jako przyjaciółka niż matka: zrozumiałabym, gdybyście za jakiś czas, kiedy będziesz bardziej pogodzona ze swym małżeństwem, zaczęli znowu się widywać. - Hrabina pogładziła ją po czole, jak to czyniła, kiedy Beatriz była młodsza. - Lecz, córeczko moja, choćbyś miała pozwolić sobie z Brauliem na pewną swobodę, i mimo iż to, co mówię, może się wydawać dziwne, zawsze powinnaś zachowywać się z honorem oraz okazywać mężowi szacunek, który jesteś mu winna.

- Rozumiem, matko. Muszę tylko odczekać kilka miesięcy, by znowu mieć przy sobie Braulia.

Beatriz nie potrafiła wyobrazić sobie, że mogłaby spełnić żądanie przybranej matki, lecz w końcu uznała, że jeśli tymczasowe zaprzestanie spotkań z Brauliem pozwoli jej

widywać go potem, to może nie było to takie złe rozwiązanie. Instyktownie dotknęła swojego brzucha, pragnąc, by w jego wnętrzu znajdowało się dziecko jej ukochanego.

Pałac hrabiów de Valmojada. Madryt Rok 1751

24 lipca

Rezydencja generała Tomasa Vilche, hrabiego de Valmojada, zajmowała całą przecnicę między ulicami Luna i Estrella, lecz jej główna fasada wychodziła na szeroką ulicę San Bernardo biegnącą przez północną część Madrytu.

Spowiednik króla Ferdynanda VI, ojciec Francisco de Ravago, usiłował właśnie przedrzeć się na drugą stronę poprzez procesję stowarzyszenia o dumnej i niekończącej się nazwie Święte i Prawdziwe Bractwo Najświętszej Marii od Nadziei i Świętych Niebios w Zbawieniu Dusz, które odprawiało tej nocy kolejną ze swych sławnych już Dróg Grzechu Śmiertelnego - celem ich było zjednoczenie dusz i nawoływanie do sumień o wielkiej szkodzie moralnej, wyrządzanej przez prostytutkę. Jak zwykle kiedy dźwięk dzwonek zapowiedział nadejście procesji, wielu mieszkańców zaczęło rzucać z okien monety owinięte w płonący papier, by łatwiej było je odszukać na ziemi.

Mając sześćdziesiąt sześć lat, stary jezuita nie posiadał już zręczności koniecznej do uniknięcia wszystkich monet i zaklął po aramejsku, gdy jedna z nich uderzyła go w głowę i przypaliła mu nieco włosy, choć ze względu na ich rzadkość obrażenia nie były tak wielkie jak strach, którego najadł się duchowny.

Zmuszony był odczekać, aż procesja dobiegnie końca, by w końcu przejść przez ulicę San Bernardo i dotrzeć do bramy pałacu de Valmojada, gdzie czekał na niego właściciel rezydencji. Kilka godzin wcześniej został on powiadomiony o tej potajemnej wizycie przez posłańca spowiednika.

Ravago wszedł do pierwszego westybulu w otoczeniu wyraźnego zapachu spalonych włosów, ku zdziwieniu sługi, który przyjął od niego płaszcz. Podobne zaskoczenie wzbudziła w mężczyźnie niezwykła żwawość, z jaką jezuita wspiał się po głównych schodach, prowadzących do gabinetu generała.

Ścianę za biurkiem dekorował wielki portret hrabiego oraz nieco mniejszy jego żony. W przeszklonej szafce leżała na drewnianym pulpicie książka Marcusa Marulusa - dzieło o tematyce duchowej, które codziennie czytywał święty Ignacy Loyola, a które hrabia otrzymał od Towarzystwa Jezusowego w uznaniu za stały i hojny mecenat, i przechowywał jako najcenniejszy dar.

- Proszę siadać, ojciec Ravago. - Valmojada zrobił dziwną minę. - Czy nie pachniecie trochę spalenizną?

- To moje włosy. - Ojciec Ravago dotknął głowy, próbując ogarnąć rozmiar szkód, i wyjaśnił hrabiemu przyczynę.

- Powinniście bardziej uważać. W naszym wieku nie należy lekceważyć tego nielicznego owłosienia, które nam jeszcze zostało - roześmiał się Valmojada nieco hałaśliwie, ale bez żadnej złośliwości. Po surowej minie, jaką odpowiedział mu Ravago, zrozumiał, że jezuita nie przyszedł tu, by tracić czas na głupstwa.

- Zostawmy to już. Muszę omówić ważne sprawy i mam na to niewiele czasu - westchnął ze zmęczeniem spowiednik. - Chciałbym wiedzieć, jakie wieści otrzymał pan o skutkach aresztowania Wilmore'a i czy sądzi, pan, że śmierć naszego przełożonego Castro była dziełem masonów.

- Dobrze wiecie, że w sprawie Wilmore'a musiałem bardzo ryzykować, by odkryć jego kryjówkę. Od tamtego czasu mnie podejrzewają. Moja misja została narażona na odkrycie i być może nie będę już w stanie dalej wypełniać swojego zadania. Od tamtej pory się pilnuję i nie nawiązywałem już kontaktu z żadnym masonem. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem nawet, jak do nich dotrzeć. Nie mam pojęcia, kto mógł popełnić tę potworną zbrodnię. Co powiedziawszy, muszę stwierdzić, że przypisywanie jej masonom nie wydaje mi się takim znowu szaleństwem, biorąc pod uwagę nienawiść, jaką żywią do waszego zakonu, oraz ich plany.

- To oczywiste, że kieruję podejrzenia w ich stronę. Ale poza pojmaniem ich wielkiego mistrza nie dokonaliśmy żadnych postępów: ani dzięki pańskim wpływom, ani poprzez interwencję naszych domów na prowincji. Musi pan wiedzieć, że wiadomości od moich współbraci w większości przypadków stwierdzają to samo. Kiedy ruszyli przeszukiwać ich loże, zastali je opuszczone. Niczego nie zdołano zarekwirować: ani dokumentów, ani list członków. Biorąc pod uwagę to niepowodzenie, mogę tylko przypuszczać, że ktoś musiał zawiadomić ich o dekrete i dać im czas na ucieczkę. Wyobrażam sobie, skąd mogła pochodzić ta informacja.

- Kogo macie na myśli? - zainteresował się Valmojada, przypominając sobie jednocześnie pewien szczegół, który do tej pory wydawał mu się nieznaczący. On sam, jako członek masonerii, został ostrzeżony przez brata ze swojej loży. Nie wiedział jednak, kto przekazał im tę tajemnicę.

- Księcia de Huesear - powiedział jezuita. - Tylko kilka gabinetów miało styczność z dekretem przed jego wydaniem. Martwiło mnie, że odnosimy tak mierne wyniki, zatem

spróbowałem dowiedzieć się, kto mógł powiadomić masonów. W tym celu przeprowadziłem rozmowy ze wszystkimi, którzy wiedzieli o dekrete. W końcu, po wyeliminowaniu wszystkich innych możliwości, sekretarz stanu Carvajal przyznał się, że rozmawiał o tej sprawie z księciem podczas jego ostatniej wizyty w Madrycie.

Słowa Rávaga potwierdziły domysły Valmojadi.

- Huesear musiał rozmawiać z ambasadorem Keenem, a ten w jakiś sposób zawiadomił Wilmore'a - stwierdził hrabia zdecydowanie.

Ojciec Rávago zadrzał, poruszony bystrością rozmówcy.

- Dlaczego tak pan myśli?

- Przede wszystkim ze względu na dobrze znaną przyjaźń, która ich łączy. Lecz poza tym przypomniałem sobie właśnie jeden szczegół z pewnej rozmowy z Wilmore'em, który może rozwiązać wasze wątpliwości. Chodzi mianowicie o list informujący o waszych planach. Wilmore pokazał mi go przy pewnej okazji, kiedy dopiero zaczynali podejrzewać, że razem z markizem de la Ensenada szukacie sposobu, by z nimi skończyć. - Hrabia zacisnął usta i westchnął krótko, po czym dokończył: - Na piśmie było godło ambasady angielskiej.

Kiedy zakonnik zdał sobie sprawę, że właśnie uzyskał dowód na powiązania Keene'a z Wilmore'em i na jego udział w spisku, rozbłysły mu oczy. Uznał, że nadszedł czas, by wyjawić prawdziwy cel swojej wizyty.

- Potrzebuję pańskiej pomocy oraz całkowitej dyskrecji - powiedział.

- Wiecie, że możecie na nie liczyć. - Valmojada dostrzegł w jego twarzy wyraz dziwnego niepokoju.

- Nie możemy pozwolić, by Keene dalej działał swobodnie. Musimy znać wszystkie jego posunięcia, jakkolwiek błahe by były.

- Chcecie powiedzieć, że trzeba podsunąć mu szpiega?

- Owszem, i myślałem o panu.

- Ja się nie nadaję do tego zadania - pokręcił głową Valmojada. - Natychmiast by mnie nakryli, a poza tym postanowiłem opuścić na jakiś czas Hiszpanię. Obawiam się o swoje bezpieczeństwo.

- W takim razie wyszukajcie mi kogoś, kto cieszy się waszym pełnym zaufaniem, i kto potrafiłby zachować nasze działania w całkowitej tajemnicy. Ambasador utrzymuje zapewne bliskie kontakty z masonami, więc gdyby pański człowiek dobrze go pilnował, mógłby nas doprowadzić do kryjówek najwyższych dostojników masońskich albo do morderców Castro, jeśli zyskamy dowody, że to ich dzieło.

- Mam idealną osobę! - Valmojada klepnął mocno dłonią w stół. - Mój siostrzeniec Mateo. To bardzo odpowiedzialny młodzieniec, który mieszka z nami od paru miesięcy. Przyjechał objąć stanowisko kadeta, a sprytny jest jak lis. Wiem, że darzy mnie wielkim podziwem i że uczyni wszystko, o co go poproszę.

- Czy uważa pan, że jest na tyle godny zaufania, by powierzyć mu misję, która może narazić nas na duże kłopoty?

- Zdajcie się na mnie! Jestem pewien, że doskonale się do tego nada. Tak czy inaczej przed opuszczeniem Madrytu wprowadzę go we wszystko, by kontaktował się z wami wyłącznie, gdy zauważy coś ważnego. Poza tym uspokoi was wieść, że Mateo, poza innymi zaletami, bardzo zręcznie posługuje się szpadą, i nie stanie mu się krzywda, jeśli będzie zmuszony jej użyć.

Pomysł ten trafił Rávagowi do przekonania, lecz jezuita uznał, że byłoby jeszcze lepiej, gdyby połączyć go z innym planem, który w nim dojrzywał.

- Zna pan księcia de Llanes?

- Trochę; spotkaliśmy się na jakimś przyjęciu. - Valmojada nie rozumiał, czemu jezuita o nim wspominał, lecz był pewien, że coś się za tym kryło. - Co chcecie zaproponować?

- Już wyjaśniam. Kilka miesięcy temu musiałem zainterweniować w nieprzyjemnej sprawie związanej z don Carlosem Urbiónem, księciem de Llanes. Dotyczyła ona ziem przylegających do jego włości, które zajął pomimo, iż należały do Kościoła. Ze względu na jego wpływy u markiza de la Ensenada byłem zmuszony zgodzić się na korzystne dla niego porozumienie wbrew interesom Kościoła, lecz ksiązę uznał przynajmniej swój dług wobec mnie. Teraz zamierzam zażądać spłaty.

Hrabia de Valmojada słuchał jego słów z uwagą, nie rozumiał jednak, jaki związek mogłoby to mieć z misją, którą właśnie mu zlecono.

- Ksiązę de Llanes mógłby zwrócić mi przysługę, pomagając pańskiemu siostrzeńcowi. - Ravago zrobił długą, tajemniczą przerwę.

- Jak? - Tym lakonicznym pytaniem Valmojada zniszczył całe napięcie.

- Dając mu powód, by mógł wejść do ambasady angielskiej. - Jezuita był niezwykle zadowolony ze swego pomysłu. - Wiem, że ksiązę de Llanes utrzymuje stałe stosunki handlowe z Anglią, przez co często odwiedza ich placówkę dyplomatyczną. Jeśli chcemy, by misja pańskiego siostrzeńca była owocna, powinien on cieszyć się pewną swobodą ruchów, wewnątrz i poza ambasadą. Poproszę zatem księcia, by zaczął go zabierać ze sobą na

spotkania, przedstawiając go jako swego pomocnika, tak że nikogo nie będzie potem dziwić jego obecność. Co pan o tym myśli?

- Mówiłem już, że chłopak jest inteligentny. Myślę, że wasz pomysł może się udać, o ile książę będzie potrafił zachować milczenie na temat naszych prawdziwych zamiarów.

- Tym nie należy się przejmować: zrobi, o co go poproszę, i nie tylko z racji wielkiego długu wobec mnie, lecz również z powodu nienawiści do masonerii.

Kiedy skończyli ustalać ostatnie szczegóły planu i omówili inne sprawy pomniejszej wagi, królewski spowiednik opuścił pałac przekonany o dużym sukcesie. Znalazł szpiega, który był mu potrzebny, by zbliżyć się do jego najgorszych wrogów, oraz sposób, by wprowadzić go do ambasady. Zdobył także ważny dowód na to, że Keene utrzymywał stosunki z masonami.

O umówionej porze w pobliżu jednego z wejść na plac Santo Domingo czekała na niego karoca, która zabrała go do pałacu Buen Retiro, gdzie mógł odpocząć po długim i ciężkim dniu.



Następnego dnia Joaquín Trévez, całkowicie nieświadomy planów Rávaga, z przygnębieniem zbliżał się konno do domu Marii Emilii, z którą umówił się na obiad. W miarę upływu poranka zaczęło go kusić, by wymówić się od spotkania, lecz pomyślał, że nie zaszkodziłaby mu zmiana otoczenia, by odpocząć trochę od stresu; a jaki lepszy na to sposób, jeśli nie towarzystwo wyjątkowej kobiety.

Kiedy przybył na miejsce, stół w jadalni był już zastawiony. Maria Emilia wyglądała cudownie, była szczęśliwa, rozmowna i cały czas się uśmiechała: całkowite przeciwieństwo zniechęconego sędziego. Wystarczyło jednak ciepło rosołu z kurczęciami, który rozpoczynał posiłek, aby rozpędzić ponure myśli, i Joaquín już w zupełnie innym nastroju zaczął przysłuchiwać się ożywionej opowieści o czymś, co było ostatnio na ustach wyższych sfer Madrytu, mianowicie o balu, który następnego dnia wydawał w swojej rezydencji Moncloa książę de Huesear. Wydarzenie to zajęło wszystkich najlepszych krawców w mieście, którzy wędrowali od domu do domu, by zdejmować miary, wybierać jedwabie lub dokonywać pierwszych i kolejnych przymiarek, gdyż wszystkie szlachetne damy pragnęły zabłysnąć nową suknią. Pozycja ambasadora we Francji utrudniała księciu pobytu w Madrycie, lecz choć okazje, kiedy mógł on urządzać w swej rezydencji tego rodzaju spotkania, zdarzały się bardzo rzadko, to jego bale były bez wątpienia najwspanialsze i najbardziej zbytkowne w całej stolicy.

Maria Emilia wyznała Joaquínowi, że potwierdziła już jego obecność. Nie miała przy tym żadnych wyrzutów sumienia, że nie zapytała go wcześniej. Następnie zaczęła opowiadać z wielkim podekscytowaniem o szczegółach swojej sukni, stanu, butów oraz uczesania, jak również koloru, który miał dominować w jej ubiorze - chodziło o to, by nie kłócił się z barwą stroju Tréveleza.

Wszystko to rozchmurzyło Joaquina i sędzia dał się ponieść jej entuzjizmowi, lecz od czasu do czasu opadało go wspomnienie strasznej zbrodni, która przewróciła jego pracę do góry nogami.

Roztrząsając szczegóły związane z balem, Maria Emilia zauważyła w końcu roztargnienie towarzysza. Z początku jej to nie zdziwiło, jako że te tematy zazwyczaj nie interesowały mężczyzn. Po jakimś czasie poczuła jednak niepokój spostrzegłszy, że Trévelez niemal w ogóle nie tknął jedzenia, wyraz jego oczu był zaś dziwny i zagubiony.

Joaquín wytłumaczył, że martwił go brak efektów w śledztwie o morderstwo jezuitę. Maria poczuła pewną ulgę. Oczywiście nie oznaczało to, że bagatelizowała sytuację - po prostu cieszyła się, iż apatia adoratora nie wynikała ze znudzenia nią samą, jak się z początku obawiała.

Nie rozwodząc się długo nad szczegółami, Trévelez streścił jej wszystko, co zaszło od dnia zbrodni: rozmowy z sekretarzem Castro, dyskusje z Rávagiem i z jego własnym protektorem, markizem de la Ensenada. Zakończył opowiadaniem o wizycie w szpitalu Świętego Wawrzyńca, gdzie był świadkiem części autopsji:

- Liczyłem, że zaczekamy z tym nieprzyjemnym tematem do zakończenia posiłku, gdyż muszę ci powiedzieć, że w miejscu tym stale unosi się odrażający fetor, o którym trudno zapomnieć. Ten kwaśnawy odór śmierci zniechęca do dłuższego przebywania w jego zasięgu.

Kiedy to mówił, zdążyli już przejść do salonu, by zrelaksować się przy kieliszku likieru.

Maria Emilia zbliżyła się do Tréveleza i pocałowała go delikatnie w policzek, by jej perfumy zrekompensowały mu nieprzyjemne wspomnienie.

- Pozwól, że cię pocieszę - szepnęła, głaszcząc go po twarzy i zasypując czułościami.

- Nie powinniśmy... - Jej wargi przebiegły po jego szyi. - Mogą nas zobaczyć... - Trévelez pozwalał jej na wszystko, lecz sam nie reagował. - Muszę jak najszybciej wracać do pracy i...

Gdyby podobna okazja trafiła mu się jakiegokolwiek innego dnia, nie opierałby się przed pieszczotami, zwłaszcza że tak niewiele miał sposobności, by się nimi cieszyć. Lecz

Trévelez wiedział, że pilnie wzywały go obowiązki i że tego dnia nie powinien się zapominać.

Podniósł się, by uciec przed atakami Marii, i wrócił do rozmowy, która ze względu na nieprzyjemny temat powinna uciąć owe niewczesne czułości:

- Kiedy już zakryli mu głowę, zanurzyli go kilka razy w rzece. Jakby tego było mało, sznur na jego szyi zaciśnięty był tak mocno, że z pewnością jeszcze ciężiej było mu oddychać.

- Jak to możliwe, że ktoś może zadawać innemu człowiekowi podobne cierpienia? - Już samo wyobrażenie tej przerażającej sceny ochłodziło jej poprzednie zapędy. Marią Emilią wstrząsnął dreszcz.

- Wybacz mi brak delikatności - powiedział Joaquín. Na widok jej reakcji pomyślał, że niepotrzebnie wdał się w nazbyt krwawe szczegóły, toteż powstał z zamiarem powrotu do pracy. - Nie powinienem ci o tym opowiadać.

- Nie mów tak! - Maria Emilia podniosła się zdecydowanie i zmusiła go, by znowu przy niej usiadł. - Jeśli mi pozwolisz, chciałabym pomóc ci w analizie faktów. Przecież czworo oczu widzi więcej niż dwoje.

Przez długą chwilę Trévelez spoglądał na nią powątpiewająco, zastanawiając się, jaką drogę powinien obrać. W końcu błagalne spojrzenie Marii Emilii działało więcej niż jego postanowienie, by zataić przed nią tę nieprzyjemną historię. Począł więc opisywać najstraszniejsze szczegóły zbrodni, rekonstruując je na podstawie danych uzyskanych z autopsji:

- Po próbie utopienia morderca musiał rzucić go na ziemię twarzą do góry. Potem, kiedy jezuita jeszcze żył, rozciął mu skórę na piersiach, zarysowując na wysokości serca trójkąt. Za pomocą jakiegoś ciężkiego przedmiotu połamał mu zębra, a jeśli do tej pory biedny zakonnik nie umarł, to musiał czuć, jak jakaś dłoń otacza jego serce i brutalnie je wrywa.

Maria Emilia zakryła usta obiema rękami w geście przerażenia, lecz mimo wszystko zaklęła go, by opowiadał dalej.

- Następnie wrzucili go do zakola rzeki. W tym momencie z całą pewnością był już martwy. Leżał tam, dopóki następnego ranka nie zobaczyły go dwie kobiety, który szły robić pranie.

Maria Emilia przerwała milczenie, by przedstawić swoje pierwsze wrażenia:

- Z pewnością nie wygląda to na dzieło zwykłego złooczyńcy: już raczej kogoś, kto nie chce, by jego zbrodnia przemknęła niezauważona, i pragnie coś przez nią wyrazić.

Te słowa rozbudziły ciekawość Joaquina.

- W takim razie kto twoim zdaniem mógłby być adresatem tego złowieszczonego przesłania? - spytał sędzia.

- Biorąc pod uwagę, kim był i co reprezentował Castro - najwyższe autorytety religijne i polityczne tego państwa - odparła bez wahania kobieta.

- Interesujący wniosek, Mario Emilio! - Trévelez potarł brodę, poruszony i zaskoczony jej teorią. - Czym w takim razie wytłumaczyłabyś okaleczenie?

- Nie jestem pewna, ale w tym właśnie może tkwić klucz do morderstwa. Trójkąt, który wycieli, by dostać się do jego serca, nie mógł być dziełem przypadku. Co ty o tym sądzisz?

- To właśnie punkt wyjściowy mojego śledztwa. Ale wróćmy do przesłania, które twoim zdaniem chcieli nam zostawić. Nie sądzisz, że wyrwanie serca przełożonemu Towarzystwa Jezusowego mogłoby nieść ze sobą jakieś bardziej konkretne znaczenie?

- Musiałabym zastanowić się nad tym dłużej; nie nadążam za tokiem twoich myśli. - Maria Emilia była kobietą dumną i pewną siebie, przez co miała skłonności do zachowań niezgodnych z tym, czego oczekiwano od kobiet w społeczeństwie stworzonym przez i dla mężczyzn. Dlatego też przygasił ją fakt, że nie nadążała za refleksjami Joaquina.

- Spróbuję zacząć od innej strony, bo sądzę, że wyciągniesz ten sam wniosek. Przypominasz sobie, jaki symbol jest najbardziej czczony przez zgromadzenie świętego Ignacego Loyoli?

Maria natychmiast pojęła, do czego dążył.

- Święte serce Jezusa...! Teraz cię rozumiem! - Jej umysł odzyskał typową dla siebie bystrość. - Przez to potworne okaleczenie morderca chce przekazać wiadomość Towarzystwu Jezusowemu: to znak nienawiści do zakonu, który znany jest z uwielbienia dla tego symbolu.

- Może to ktoś, kto pragnie zniszczyć wpływy jezuitów w naszym kraju? - zaczął się zastanawiać Joaquín.

- To możliwe... - Maria Emilia pozostała przedtem nieco w tyle, lecz zdołała już odzyskać teren.

Po chwili zaczęła się zastanawiać nad innym aspektem zajścia, dzięki czemu znowu wyprzedziła sędziego:

- A teraz powiedz, co mógłby oznaczać kaptur na jego głowie?

- Jak to? - zdziwił się Trévelez, przyznając, że zupełnie się nad tym nie zastanawiał. Postrzegał to tylko jako odruch złoicy, który nie chciał czuć się skrepowany spojrzeniem ofiary.

Maria Emilia zaczęła analizować możliwe przyczyny takiego zachowania. Nie odrzuciła tezy Joaquina i z początku przyznała, że istotnie mogło chodzić po prostu o zakrycie cierpiącej twarzy, potem jednak pomyślała, że wszystko zależało od tego, kiedy podjęto decyzję o zakryciu. Jeśli morderca uczynił to przed okaleczeniem, to chodziłoby o śmierć przez uduszenie - zwłaszcza jeśli dodać do tego przytapienie w rzece. Jeśli jednak twarz została zasłonięta dopiero po usunięciu serca, to powodów mogło być kilka:

- Może chodziło o efekt makabry, żeby pozostawić swój szczególny znak, który wyróżniłby mordercę spośród innych. A może zamierzał odciąć mu potem głowę, a w torbie łatwiej byłoby ją przenosić - po minie Marii widać było, że już wysuwając tę teorię, odrzucała ją jako nieco absurdalną i bardzo nieprawdopodobną, choć przypominała sobie pewien podobny przypadek, o którym Trévelez opowiadał jej przy innej okazji. - I ostatnia możliwość, która wydaje mi się najlepsza - że kaptur ma znaczyć to samo co okaleczenie. Zakrycie twarzy to symbol negacji całego zgromadzenia jezuitów, reprezentowanego przez ich najwyższego zwierzchnika. Innymi słowy, zniszczenie go.

- Co za niezwykły tok rozumowania, Mario Emilio! - wykrzyknął Trévelez, będąc pod wrażeniem jej zdolności dedukcji. - Twoja bystrość nigdy nie przestanie mnie zadziwiać! - Maria uśmiechnęła się do niego, zadowolona z pochwały. - Możemy odrzucić uduszenie z premedytacją, gdyż kaptur był z lnu o luźnym splocie, więc bardzo przewiewny. Skłaniam się więc ku teorii antyjezuickiej, bo nie sądzę, żeby chodziło o znak rozpoznawczy jakiegoś mniej lub bardziej zwichniętego indywiduum - to mówiąc, sędzia podniósł się z niepokojem na myśl o tym, ile czasu spędził już w pałacu, zamiast udzielać nowych instrukcji swojej ekipie. - Muszę już iść, ale wierz mi, że dzięki tobie odchodzę z o wiele większą jasnością co do możliwych motywów zbrodni. Co więcej, mam już pewne podejrzenia co do jej sprawców.

- Bardzo się cieszę, że mogłam się na coś przydać. Wiesz, że jeśli będziesz mnie potrzebował, pomogę ci z największą chęcią.

Trévelez opuścił konno pałac i skierował się do Trybunału Karnego na ulicy Atocha w nastroju znacznie lepszym od tego, jaki miał przed spotkaniem z Marią Emilią. Nadal odczuwał niepokój, lecz był również zadowolony z tego, że z nią porozmawiał. Niewątpliwie pomogła mu bardziej, niż byłby to w stanie sobie wyobrazić.



- Więc gdzie powinieneś teraz być? - Beatriz Rosillón bawiła się swoimi lokami. - Bo nie przypuszczam, żeby twoja matka wiedziała, że jesteś ze mną, a już na pewno nie spodziewałaby się ciebie w tym cmentarnym mauzoleum.

- Teoretycznie jestem na lekcji szermierki, ale okazało się, że mego nauczyciela dość łatwo przekonać, kiedy może coś na tym zarobić. W każdym razie to człowiek wierny swojemu słowu i wiem, że będzie milczał.

- Pamiętam, jak się ucieszyłam na twój liścik, dopóki nie zobaczyłam, jakie miejsce wybrałeś na spotkanie. Na pewno jest niezwykle dyskretne, ale przyznasz, że nie stanowi idealnego otoczenia dla romantycznej schadzki.

Mauzoleum, do którego zdołali się dostać, wyglądało na porzucone.

- Nie mamy wiele czasu - powiedziała Beatriz. - Kazałam służącemu, żeby zaczekał przy powozie, pod pozorem, że chcę odwiedzić grób matki. Jeśli będę za długo zwlekać, to ryzykujemy, że przyjdzie mnie poszukać i nas przyłapie.

Wiedząc, jak krótkim czasem dysponowali, Braulio zaczął całować jej policzki i usta.

- Od trzech dni nie robię nic innego poza rozmyślaniem o tym niedorzecznym zakazie spotkań aż do twójgo ślubu. Nienawidzę twoich zaręczyn z tym człowiekiem, choćby w oczach twojej rodziny był godniejszy ode mnie. Dlaczego masz za niego wychodzić, skoro tajemnica naszej miłości już się wydała? Co stoi na przeszkodzie, bym to ja został twoim mężem?

- To, że jesteś Cyganem! - Beatriz spojrzała na niego łagodnie, gdyż wiedziała, jaki ból sprawią mu te słowa. - I chociaż żyliśmy, myśląc inaczej, tamtego dnia matka dała mi do zrozumienia, że w tym społeczeństwie jest to niewybaczalne. W oczach wszystkich zawsze będziesz naznaczony swoim pochodzeniem, jakiegokolwiek wykształcenie by ci zapewнили. - Ucałowała go w usta z wyjątkową czułością, cierpiąc na myśl o tym, że zraniła go do głębi jego istoty.

- Nienawidzę tej cygańskiej krwi, która płynie w moich żyłach. Na co mi się zdała? Przysparza mi tylko nieszczęść. Najpierw straciłem rodzinę, a teraz mam utracić ciebie.

- Rodzice zdecydowali, że twoja cygańska krew nie zmiesza się z moją, ale zapewniam cię, że nic i nikt nigdy nas nie rozdzieli. Chociaż będę musiała mieszkać i oddawać się temu księciu, moje serce zawsze będzie przy tobie.

- Błagam cię, nie mów o tym! Nic nie dręczy mnie bardziej niż myśl o tobie w jego ramionach. Nie mogę tego znieść! - Gniew sprawił, że Braulio wysunął brodę z miną nieopanowanej wściekłości.

- Matka doradziła mi, żebyśmy odczekali trochę czasu po moim ślubie i potem dyskretnie kontynuowali nasz związek. Niewiarygodne, prawda?

Słyszając te słowa, Braulio popatrzył na nią wzrokiem pełnym bólu. Musiał powiedzieć jej o czymś, czego Beatriz nigdy nie będzie mogła zaakceptować.

- To niemożliwe... - Spuścił głowę. - My, Cyganie, przestrzegamy niepisanego kodeksu zasad, które bardzo się różnią od pewnych zwyczajów mniej lub bardziej rozpowszechnionych w waszym społeczeństwie.

Beatriz przerwała mu, nie rozumiejąc, do czego dążył. Przypomniała, że kiedyś już przecież rozmawiali o niezłomnej cygańskiej zasadzie, by szanować starszych oraz dane słowo.

- Tak, owszem. To na pewno - odparł Braulio. - Ale nasze prawo wymaga również unikania czegokolwiek, co mogłoby zniszczyć jakieś małżeństwo. Szacunek dla mężatki jest tak święty jak kult zmarłych. Rozumiesz, co to oznacza, prawda?

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś! - krzyknęła Beatriz z przerażeniem. - A poza tym czy nie powiedziałeś mi właśnie, że nienawidzisz swojej cygańskiej krwi? Możesz mi w takim razie wyznać, po której stronie chcesz stanąć? - Była całkowicie nieprzygotowana na tak nieoczekiwany obrót sytuacji.

- Wiem, i oczywiście w twoich słowach jest dużo racji. Lecz nie mogę odrzucić tych resztek, które wiążą mnie z moją przeszłością. Gdybym to zrobił, zdradziłbym pamięć moich rodziców i własną krew. Twoja matka ma rację, wszyscy mają rację. Jestem tylko Cyganem! - Na twarzy chłopaka pojawił się dziwny spokój. - Choć to dla ciebie trudne, wiem, że rozumiesz, bo oboje mamy za sobą podobne doświadczenia.

- Ale czy to znaczy, że już się do mnie nie zbliżysz, kiedy wyjdę za mąż? - Spływające łzy Beatriz lśniły odbiciem słabego światła, które wpadało przez małe okienko. - Powiedz mi, proszę, że to się nie dzieje naprawdę!

- Chciałem powiedzieć, że będę cię traktował z należnym szacunkiem, tak jak każdą inną zamężną kobietę. - Wrażenie suchości w jego gardle nie ustępowało, chociaż Braulio nieustannie przełykał ślinę. - Ale nie przestanę cię kochać ani na jedną sekundę mojego życia.
052- Nie rozumiem!

W duszy Beatriz toczyła się ciężka bitwa między odrzuceniem tego, co słyszała, a nierealną nadzieją, że mimo wszystko zdoła znieść to znienawidzone małżeństwo.

- Złamałeś mi serce! - odepchnęła rękę Braulia. - Muszę stąd wyjść!

Chłopak złapał ją i spróbował zatrzymać.

- Po co mamy dalej tu siedzieć, skoro właśnie pogrzebałeś wszystkie moje złudzenia?

- Wiem, że to trudne, ale mam nadzieję, że któregoś dnia mnie zrozumiesz, Beatriz.

- To nieprawda! I wcale nie potrzebuję więcej czasu, by zrozumieć. Właśnie się dowiedziałam, że twoje sumienie liczy się dla ciebie o wiele bardziej niż ja. Teraz widzę z całkowitą jasnością, że pod pretekstem jakiegoś archaicznego kodeksu chcesz odrzucić moją

miłość. - Czuła tak potworny ból, że nie zważała na swoje słowa, ani na efekt, jaki na nim wywierały. - Nie oszukuj mnie więcej! - Pragnęła jedynie opuścić to mauzoleum. - Błagam, wypuść mnie wreszcie i pozwól mi odejść!

- Ależ, Beatriz, ja cię kocham!

- Wiem już, że te słowa niewiele cię kosztują, tak samo jak wiem, że nie jesteś na tyle męski, by ich dowieść!

Rzuciwszy mu ostatnie, pełne pogardy spojrzenie, wybiegła na zewnątrz ze złamanym sercem. Opuszczała cmentarz w stanie całkowitego roztrzęsienia. Podczas tej rozpaczliwej ucieczki jej nogi zdawały się słuchać raczej jakiegoś nieświadomego impulsu niż woli. Beatriz nie rozpoznawała żadnej ze ścieżek, które przemierzała. Biegła jakąś obłądną trasą, wpadając na wszystko po drodze: krzewy, furtki, kamienie. Czuła uderzenia serca mieszające się z dźwiękiem kroków, zlewające się w fałszywą melodię, która przemieniała się potem w zduszone echo za jej plecami. Słyszała nawet fantasmagoryczne głosy, które wydobywały się z nagrobków. Jedne wykrzykiwały jej imię, inne śmiały się z niej, jakby cieszyły się z jej nieszczęścia. W otoczeniu tylu zmarłych Beatriz przypomniała sobie twarz jezuita Castro, oprawcy jej matki, na szczęście już nieżywego. Na sekundę jego oblicze rozblęskło w jej umyśle niczym płomień.

Poczuła przelotną ulgę, a widząc odległe o kilka metrów wyjście, tak się ucieszyła, że nie zauważyła maleńkiej staruszki, która klęczała przed jakimś grobem. Kobieta podniosła się wprost pod nogami Beatriz. Dziewczyna potknęła się i upadła na wznak, rozdzierając sobie spódnicę oraz pończochy, zadrapując ręce i twarz. Służący, który na nią czekał, osłupiał na widok jej oplakanego stanu, lecz choć próbował dowiedzieć się, co zaszło, usłyszał jedynie rozkaz, by jak najszybciej stamtąd odjechać.



Następnego dnia niemal cały Madryt wiedział, że tego wieczoru, w sobotę dwudziestego szóstego lipca, odbędzie się niezwykle bal, na którym miała pojawić się śmietanka arystokracji, Kościoła oraz władz Hiszpanii.

Nawet sama para królewska, Ferdynand VI i Barbara de Braganza, przyjęła zaproszenie i miała przybyć w towarzystwie swego protegowanego, włoskiego śpiewaka Farinello.

Dwaj bracia Cyganie, Timbrio i Silerio Heredia, spożywali właśnie wczesny posiłek w jednej z oberży przy ulicy o nazwie Niższa Fosa, w samym centrum Mądrym. Nadstawiali przy tym uszu, by nie stracić ani słowa z rozmowy, jaką prowadziła przy sąsiednim stole grupka ożywionych młodzików z kawalerii.

W ten sposób dowiedzieli się, że bal miał rozpocząć się o dziewiątej wieczorem w pałacu Moncloa - posiadłości księcia de Huescar - i że dwóch z młodzieńców pracowało dla księżnej de Arcos, którą mieli zawieźć na miejsce razem z jej towarzyszem, księciem de Olite.

Po powrocie z Saragossy z wieścią o śmierci swych żon - a od tego czasu minęły już dwa tygodnie - bracia postanowili, że oddadzą się teraz jedynie dwóm celom: pierwszym było odnalezienie córek Timbria, drugim - i może ważniejszym - zemsta za śmierć ich ukochanych i zmuszenie tych, którzy pragnęli eksterminacji Cyganów, by za to zapłacili. Tym też się teraz zajmowali.

O zemście myśleli tak naprawdę już od dnia, kiedy zostali aresztowani i rozdzieleni z rodzinami, a żonę Sileria zgwałcono na oczach całej wioski. Ciągłe pamiętali o tym, że Kościół odmówił im pomocy. Nie zapomnieli też o brutalności żołnierzy ani o rządzie, który przy wsparciu szlachty ponosił odpowiedzialność za rozpętanie piekła. Te trzy grupy stały się obiektami ich nienawiści. Spośród nich na pierwszy cel wybrali markiza de la Ensenada, którego uznali za głównego winnego. Wiedzieli jednak, jak trudne byłoby to przedsięwzięcie ze względu na liczną ochronę, jaka zawsze otaczała Somodeville. Po zastanowieniu stwierdzili więc, że jeśli nie mogli dostać jego samego, to zemszczą się na którymś z jego najbliższych współpracowników. Nie była to wystarczająco surowa kara za okrucieństwo markiza, lecz przynajmniej otrzyma on jakąś gorzką część zasłużonej zapłaty.

- Stawiam, że w okolicy pałacu zjawi się koło dwustu powozów i cały oddział gwardii do ochrony ich wysokości.

Najmłodszy z sąsiadów wydawał się bardzo podekscytowany tym, że wyznaczono go tego wieczoru na paza. Miał towarzyszyć dowódcy kawalerii, zastępując chorego żołnierza.

- Przy odrobinie szczęścia zobaczysz króla i królową - odpowiedział mu inny. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. - Zazdroszczę ci. Zjadą tam najpiękniejsze kobiety Madrytu, ustrojone w klejnoty i piękne suknie, a my będziemy mogli oglądać jedynie łajno, które zbiera się codziennie w stajniach.

Opuściwszy oberżę, bracia Heredia wpadli na pomysł, jak dostać się na przyjęcie - co wydawało im się rzeczą bardzo pożądaną. Przyszło im do głowy, że przy takiej liczbie służby i stangretów, jaka miała się tam zjawić, wielu chętnie powita jeszcze jeden wóz z porządnym zapasem wina i jedzenia, który uprzyjemni długie oczekiwanie, na jakie była skazana czeladź. Nie mieli zaproszenia, ale pomyśleli, że nikogo nie zdziwi obecność takiej ruchomej gospody. Wiedzieli też, gdzie zdobyć wszystko, co potrzebne. Znali pewną oberżę, niedaleko warsztatu, w którym pracowali, gdzie chętnie użyczono by im wozu i napojów, jeśli tylko

zwróciliby go następnego ranka z dużą częścią swojego zarobku. Timbrio opracował zawikłany plan, który - gdyby się powiódł - wyrządziłby wielkie szkody wśród gości.

Podeksytowani tym pomysłem, bracia natychmiast ruszyli do gospody, by omówić sprawę z jej właścicielem i przygotować wszystko przed zapadnięciem zmroku.

Musieli wyłożyć niemal wszystkie swoje oszczędności, by przekonać oberżystę, lecz w końcu mogli opuścić jego lokal na wozie z siedmioma baryłkami wina, dobrym zapasem czarnego chleba, jakimś tuzinem owczych serów i dwoma - suszonego mięsa. Stamtąd skierowali się do innego, bardziej oddalonego miejsca, gdzie zdobyli narzędzia potrzebne do wprowadzenia swego planu w życie.

W tym samym czasie dwóch angielskich masonów uzgadniało ze znanym sobie kupcem, ich rodakiem i do tego bratem masonem, o której godzinie mieli stawić się w jego rezydencji, by zawieźć go powozem na bal do pałacu Moncloa, dokąd zaprosił go książę de Huescar.

- Niczym się nie przejmujcie: sami zadbamy, by się nie zdradzić - powiedział jeden z nich. - Gdy tylko dojedziemy na miejsce, weźmiemy się do pracy z największą dyskrecją, choć zapewniam, że efekt naszych działań będzie bardzo widoczny.

Cała trójka pożegnała się, dotykając szyi w geście, który świadczył o ich przynależności do masonerii.

Bal w pałacu Moncloa. Madryt Rok 1751

26 lipca

- Z takim makijażem nikt nie zauważy tych brzydkich zadrapań na twojej twarzy.

Faustina pomagała właśnie przybranej córce w ostatnich przygotowaniach do balu. Miał on być nie tylko najbardziej wystawną spośród wszystkich zabaw, jakie odbywały się w mieście i na dworze, lecz także pierwszą okazją, podczas której Beatriz występowała ze swoim narzeczonym, księciem de Llanes.

- Dzisiaj, kochanie, będziesz w centrum uwagi, choćby nawet inne starały się zaćmić twoją urodę. - Faustina z miłością pocałowała dziewczynę w policzek. - Zamknij oczy, zasłoń ci twarz, żeby upudrować perukę.

Hrabina de Benavente była zachwycona zmianą, jaka zaszła w Beatriz w ciągu ostatnich dwóch dni. Nie wiedziała, jakie były tego przyczyny, i nie chciała o nie pytać, lecz jej córka zdawała się zupełnie inną kobietą. Nie szukając daleko, jeszcze tego ranka wyraziła radość, że uda się na bal z przyszłym mężem.

Przy swojej ciąży Faustina miała na głowie także inne sprawy, lecz widząc, że przynajmniej zachowanie Beatriz nie będzie już przysparzać jej zmartwień, poczuła pewną ulgę.

Beatriz po raz ostatni przejrzała się w lustrze i poprosiła matkę, by mocniej ścisnęła jej gorset, aby lepiej wymodelować bius. Faustina rozpięła piękny stan z liliowego jedwabiu, który dziewczyna wkładała tego dnia po raz pierwszy, by zyskać dostęp do tasiemek na jej bieliźnie. Ściągnęła je ostrożnie, aż Beatriz upewniła się co do powabu swej figury i uznała efekt za zadowalający. Następnie matka na powrót ją zapięła, po czym skorzystała z okazji i poprawiła także poszerzającą biodra rogówkę, by spódnica w barwie delikatnego różu lepiej się układała. Raz jeszcze obejrzała Beatriz w lustrze i z dumą upewniła się, że jej piętnastoletnia córka stała się w pełni kobietą.

- Do perfekcji brakuje ci jeszcze tylko tego... - Zawiesiła jej na szyi sznur pereł. - I kolczyki do kompletu. To prezent od nas z okazji tak ważnego dnia!

- Matko, nie musiałaś tego robić! - Beatriz uściskała ją z wdzięcznością.

Zataiła przed Faustina nie tylko swoje uczucia, lecz także początkową niechęć do pójścia na bal. Czowała się zraniona tym, że Braulio ją odrzucił, lecz w swej udręce znalazła odpowiedni sposób, by wyrazić mu pogardę: uda się na bal i każe mu patrzeć, jak przez cały wieczór tańczy radośnie z księciem, wyglądając przy tym zachwycająco. I w ogóle postara się nie tańczyć z nikim poza narzeczoną.

- Proszę o wybaczenie, ale właśnie zajechał powóz księcia de Llanes. Jaśnie pan pyta o panią Beatriz - oświadczył służący, czekając na polecenia hrabiny.

- Powiedz mu, proszę, że zaraz do niego zejdzie. Sługa zamknął drzwi i obie kobiety spojrzały na siebie z przejęciem.

- Beatriz, bądź słodka i miła dla don Carlosa. - Dziewczyna zachnęła się na te słowa. - Książę to dżentelmen i nie sądzę, by próbował czegoś więcej niż niewinnego całusa, lecz gdyby jednak to zrobił, zachowaj się skromnie i jak przystało na uczciwą kobietę.

- Mam nadzieję, że w ogóle mnie nie dotknie! - Na myśl o tych starczych dłoniach, które miałyby ją pieścić, Beatriz przewracało się w żołądku, choć rozumiała, że wcześniej czy później będzie musiała się do tego przyzwyczaić.

- No dobrze, w każdym razie zachowuj się najlepiej, jak potrafisz. Miej jednak świadomość, że rozpoczynasz nową grę, grę miłości, w której obowiązują ściśle reguły. Nie możesz o nich zapominać ani ich lekceważyć.

- Rozumiem, ale zapewniam cię, mamó, że nie pozwolę, by zbliżył się do mnie choćby na milimetr. - Beatriz narzuciła na siebie czarny płaszcz, zdecydowana jak najszybciej stawić czoło losowi, który mogła szykować jej noc.



Podczas drogi do pałacu Moncloa książe zachowywał się bardzo poprawnie. Bardziej interesowały go gusta Beatriz czy przygotowania do ślubu niż sprawdzanie granic jej panińskich oporów.

Przybywszy do bram pałacu księcia de Huesear, wpadli na Marię Emilię Salvadores i jej adoratora, Joaquina Tréveleza, z którymi przywitali się przed wejściem.

Beatriz spytała Marię Emilię, gdzie jest Braulio. Dziwiła się, że nie ujrzała go razem z nimi, pragnęła bowiem jego obecności z dwóch powodów: by wzbudzić jego zazdrość i przez to skrzywdzić go najbardziej, jak potrafiła, a zarazem zaspokoić pragnienie przebywania blisko niego. Ogromna miłość, jaką go darzyła, sprawiła, że te dwa dni bez niego wydawały jej się prawdziwą udręką.

- Przyjedzie w towarzystwie córki markizostwa de Villanueva, którzy, jak wiesz, są mymi dobrymi przyjaciółmi. Właśnie wczoraj spytali mnie, czy Braulio nie chciałby jej towarzyszyć, a ponieważ był pełen gotowości, chętnie się zgodziłam.

Inez de Villanueva tańcząca z Brauliem? - pomyślała z wściekłością Beatriz.

Znała Inez dość dobrze, gdyż w szkole salezjanek chodziły do jednej klasy. Były zdeklarowanymi nieprzyjaciółkami. Beatriz zamierzała zranić Braulia, a teraz odpłacano jej tą samą albo i gorszą monetą - Inez nie dość, że była równie młoda jak ona sama, to jeszcze zyskała sobie wśród chłopców ugruntowaną sławę kobiety lekkich obyczajów. By rozdrapać ranę jeszcze bardziej, Beatriz zadawała sobie pytanie, czemu Braulio przyjął zaproszenie i to w dodatku z chęcią, jak właśnie powiedziała jego matka.

Widząc reakcję dziewczyny, Maria Emilia potwierdziła swoje domysły. Zataiła przed Beatriz, że w rzeczywistości sama wszystko ułożyła pospołu z Faustina, by ich rozdzielić.

Chwilę po tym, jak uprzejma służba zdjęła z dam narzutki, a z mężczyzn płaszcze, obie pary przywitały się z księciem de Huescar i jego żoną w obszernym westybulu bogato urządzonego pałacu.

Wspaniały salon, w którym zbierali się goście, zaczynał wypełniać się ludźmi. Otwarcie głównej sali balowej miało nastąpić dopiero po przybyciu pary królewskiej. Orkiestra kameralna uprzyjemniała oczekiwanie, podczas gdy oddział kelnerów dwoił się i troił, roznosząc tace z napojami i wyśmienitymi przekąskami.

Beatriz, trzymając pod ramię swego wiekowego towarzysza, oddzieliła się od Marii Emilii i Tréveleza, po czym pozdrawiając wszystkich wkoło, pozwoliła księciu, by przedstawił ją przyjaciołom. Rozsyłała przy tym najpiękniejsze uśmiechy, nie zważając na zazdrosne spojrzenia, które starsi mężczyźni rzucali jej przysłanemu małżonkowi, oraz towarzyszące im dyskretne, porozumiewawcze uśmiešky ich małżonek.

Wszyscy wychwalali urodę narzeczonej i gratulowali księciu doskonałego wyboru. Beatriz przez cały czas zachowywała się czarująco, odgrywając swoją rolę najlepiej, jak umiała, choć nie przestawała rzucać ukradkowych spojrzeń w stronę wejścia w oczekiwaniu na pojawienie się Braulia.

Niektóre twarze, które mijała po drodze, wydawały jej się znajome; po zastanowieniu stwierdziła, że kobieta, która była zbyt gruba, by nosić tak dopasowaną suknię, musiała być małżonką ambasadora Anglii, Keene'a, który stał za jej plecami i rozmawiał z jakimś Wenecjaninem znanym Beatriz z innych przyjęć.

Na każdym kroku przedstawiano jej też innych ludzi, choć nie miała pojęcia, kim właściwie była większość z nich. Nie dotyczyło to wszakże królewskiego spowiednika, ojca Rávago, gdyż jego wpływy na dworze były tak znane, jak zauważalne.

Beatriz usiłowała odnaleźć w twarzy duchownego jakiś rys, który przeczyłby ponurej sławie, jaką się cieszył, lecz bez powodzenia. Jego spojrzenie ginęło pod dwiema imponującymi brwiami, które niczym tarcze osłaniały kryjące się w oczach tajemnice, królewskie sekrety oraz wiedzę i doświadczenie. Miał przytłaczającą osobowość, jego słowa były mądre, skąpe w opisach, dobrze odmierzone; umiał nasaczyć sobą całe otoczenie tak, że wręcz je dusił. Beatriz poczuła zazdrość. Zawsze chciała mieć podobne cechy charakteru, chociażby w mniejszym stopniu. Pragnęła pokazywać innym wewnętrzną siłę, której w rzeczywistości jej brakowało.

Silny charakter zakonnika wzbudził w niej taki podziw, że dziewczyna niemal bezczelnie przyglądała się jego rozmowie z księciem de Llanes, próbując przejąć jego cechy, przeniknąć jego myśli. Wreszcie Ravago zareagował na jej niedyskrecję zdaniem, które tylko ona mogła zrozumieć:

- Córkó moja, nie szukaj bogactw ani dóbr poza sobą; zapewniam cię, że są one w twoim wnętrzu. Musisz je tylko odnaleźć.

Don Carlos spojrział na nich zbity z tropu.

- Tak uczynię, ojczcie Ravago - odparła Beatriz, rzucając duchownemu spojrzenie pełne zrozumienia. - Zapamiętam wasze słowa.

- Jeśli nie znajdziesz tego, czego z takim zapałem szukasz, przyjdź do mnie. Może będę mógł ci pomóc. - Jezuita ucałował uprzejmie jej dłoń, po czym pożegnał się z obojgiem.

Książę spojrział zdziwiony na Beatriz. Wyraz jej twarzy był dla niego zupełnie nieczytelny. Paliła go chęć, by zrozumieć, co właśnie zaszło, lecz postanowił zachować milczenie z szacunku dla czegoś, co wydawało się bardzo intymne i głębokie.

Beatriz była mu wdzięczna za dyskrecję i doceniła jego rozwagę. Nie mogła jednak pozbyć się myśli, że ów człowiek o starczym, pomarszczonym obliczu, mięsistym nosie i z czaszką upstrzoną plamami, jak u wszystkich mężczyzn w jego wieku, miał zostać osobą, z którą będzie musiała dzielić życie, gdy sama ledwo co przestała być dzieckiem.



Braulio obawiał się, co jeszcze mogła powiedzieć jego towarzyszką, Inez de Villanueva, i z przerażeniem myślał o tym, co czekało go potem, skoro wieczór dopiero się zaczął. Choć udawał, że jej słucha, myślami krążył wokół innych spraw i co jakiś czas przyłapywał się na wyglądaniu przez okno powozu.

Po lewej stronie, bardzo blisko placu, przez który biegła główna droga do bram pałacu Moncloa, ujrzał setki stojących powozów. Przez chwilę poczuł zazdrość na widok ożywionej atmosfery, jaka zdawała się panować wśród licznej służby i stangretów tłoczących się dookoła wozu pełniącego funkcję gospody.

Ktokolwiek inny na jego miejscu uznałby, że już sama obecność uroczej Inez była dostatecznym powodem, by zapamiętać tę noc do końca życia. Gdyby do tego usłyszał z jej ust takie same propozycje, jakie ona czyniła Brauliowi po drodze, to byłby głupcem każdy, kto nie uznałby się za wybrańca bogini Fortuny. Mimo wszystko młodzieniec tęsknił do innego towarzystwa, a skoro nie mógł go zdobyć, ani Inez, ani jej swoboda nie były mu żadną pociechą. Wolałby znaleźć się między czeladzią, ciesząc się dzbanem wina i błąhą rozmową.

- Jakże się cieszę, wiedząc, że przez cały bal będę cię miała tylko dla siebie. - Inez ujęła go za rękę, by zwrócić na siebie jego uwagę. Braulio spojrział na nią, zaskoczony takim obrotem sytuacji, i zaczął się szykować na kolejne propozycje. - Marzyłam, żeby płynąć tej nocy w twoich ramionach, w niekończącym się tańcu. - Inez zamknęła oczy i zbliżyła swe usta do jego twarzy w nadziei na pierwszy pocałunek.

- Jesteśmy na miejscu! - Braulio pospiesznie otworzył drzwiczki i wysiadł z powozu, po czym stanął u stóp schodków, czekając, aż panna zrobi to samo.

Ulżyło mu, że zdołał wybrnąć z delikatnej sytuacji, zanim był zmuszony uciec się do bardziej stanowczych środków.

- Jesteś mi coś winien! - skarciła go Inez, uczepliwszy się jego ramienia, gdy tylko ruszyli w stronę wejścia do pałacu. - Oczekuję, że zachowasz się jak dżentelmen i nie będziesz odrzucał moich względów! - Wysunęła bródkę z miną pełną godności, wyraźnie czekając na odpowiedź, co nie pozostawiło Brauliowi innego wyjścia, jak tylko obiecać wbrew sobie, że tak właśnie postąpi.

Beatriz ujrzała, jak wchodzili zaraz po markizie de la Ensenada otoczonym świętą szlachty i ministrów. Mimo iż sama obecność chłopaka zepsuła jej te resztki dobrego nastroju, jakie udało jej się do tej pory zachować, sytuację pogorszyło jeszcze zachowanie Inez, która puszyła się przed wszystkimi nową zdobyczą, jakby chodziło o łup z polowania. Nie zdziwił jej również wyzywający ubiór koleżanki; znała jej uwodzicielskie sztuczki, a głęboki dekolt, z którym obnosiła się dziewczyna, doskonale współgrał z jej brakiem przyzwoitości. Spostrzegłszy, że szli w jej kierunku, Beatriz odwróciła się tyłem; nie chciała być zmuszona witać się z nimi tak szybko. Pociągnęła za sobą księcia de Llanes, który - zaskoczony jej nagłą ochotą, by przywitać się z nie wiadomo kim - zostawił w pół słowa samego sekretarza stanu, don José de Carvajala.

Zanim dotarli tam, dokąd zmierzali, usłyszeli mocny głos majordomusa, który zapowiadał nadejście pary królewskiej:

- Ich wysokości don Ferdynand Burbon i dona Barbara de Braganza! - Mężczyzna uroczyście zastukał w marmurową podłogę grubą miedzianą laską.

Beatriz po raz pierwszy widziała króla i królową. Wrażenie było tak wielkie, że zapomniała o wszystkim innym. Zdawało jej się, że twarz króla promieniała dobrocią. Miał mięsiste usta i zadarty nos o zaokrąglonym czubku. Choć jego wydatna broda świadczyła o sile, to jednak małe, acz żywe oczy wyrażały łagodność. Krocząca u jego boku królowa zdawała się mieć mocniejszą od męża osobowość - podobnie jak budowę ciała. Nie była piękna, lecz krągłość jej twarzy, obfitość warg i jasne oczy czyniły ją atrakcyjnie odmienną; być może sporo jej brakowało do tradycyjnie pojmowanej urody, lecz mimo to była pod wieloma względami pociągająca. Beatriz uznała, że nigdy jeszcze nie widziała równie pięknej sukni jak ta, którą miała na sobie królowa, uszytej ze wspaniałych złotych brokatów obrębionych perłami i barwnymi kamieniami. Z jej ramion spływała do połowy pleców aksamitna opończa w kolorze morskiej wody, wykończona futrem norki. W miarę, jak para królewska przechodziła kobiety dygały nisko, mężczyźni zaś schylali się z szacunkiem. Za monarchami szedł śpiewak Farinelli, gawędzący z gospodarzem balu, dalej jeszcze - damy dworu królowej.

Kiedy tylko drzwi do głównej sali stanęły otworem i monarchowie je przekroczyli, wszyscy goście ruszyli w ich ślady w oczekiwaniu na rozpoczęcie tańców. Beatriz, trzymając za ramię księcia de Llanes, postarała się przejść jako jedna z pierwszych, by uniknąć zetknięcia z osobą, którą najmniej chciała tego wieczoru widzieć.

Gdy mijała Faustinę, ta pocałowała ją szybko w policzek, nie puszczając ramienia swego męża, który pograżony był w rozmowie z ambasadorem Rosji. Beatriz nie wiedziała dlaczego, lecz ten czuły gest przeniósł ją nagle w przeszłość, do wspomnienia owego zapachu, owej miękkości skóry, które zapamiętała u swojej matki. Wrażenie wzmocniła jeszcze suknia w takim samym czerwonym kolorze, co ubranie Justiny w noc, kiedy ją zamordowano. Beatriz pomyślała, jak dumna byłaby jej matka, widząc ją tego wieczoru: nie dlatego, że szła pod ramię ze starcem, który na pewno by się jej nie spodobał, lecz ponieważ ujrzałaby swą córkę jako w pełni ukształtowaną kobietę, obracającą się w najlepszym towarzystwie Mądrym i ubraną w przepiękną suknię. Kiedy była dzieckiem, bawiła się skromnymi strojami matki, przymierzając je ze śmiechem, ale nigdy nie wyobrażała sobie, że włoży kiedyś coś takiego.

Jeszcze raz spojrzała na Faustinę i stwierdziła, że jest ona bez żadnych wątpliwości najbardziej elegancką i najpiękniejszą kobietą na balu. Choć tęskniła za łagodną twarzą rodzonej matki, to nie znała profilu doskonalszego i oczu piękniejszych niż u hrabiny - oczu, które zawsze przepęłniała słodycz, gdy na nią spoglądały.



Pod pałacem odbywała się tymczasem inna zabawa, nie tak dostojna, lecz wcale nie mniej przez to wesoła. Dwóch oberżystów nieustannie serwowało z wozu wino i jadło chętnym klientom, którzy wdzięczni byli za możliwość napełnienia żołądków jakąś strawą i kwartą winka, by uprzyjemnić sobie czekanie i odegnać przenikliwe zimno nocy. Każdy poczułby radość na brzęk wpadających do drewnianej szkatułki pieniędzy; lecz choć ostateczny zarobek był wspaniały, to nie cieszył dwóch Cyganów tak bardzo jak świadomość, że ich przedsięwzięcie rozwijało się zgodnie z planem.

Pomimo nieustannego napływu klientów, Timbrio nie spuszczał z oczu gwardii i jednocześnie obmyślał sposoby na doprowadzenie planu do końca. Przemyślawszy różne możliwości, zdecydował się na punkt ledwie strzeżony przez żołnierzy. Wrzawa, jaką robiła niezaspokojona i spragniona czeladź, skierowała jego myśli z powrotem na pracę, i Cygan - ze zręcznością godną prawdziwego zawodowca - chwycił swobodnie beczułkę i napełnił za jednym zamachem trzy kufle wina, po czym podał je młodemu słudze, w którym natychmiast rozpoznał kawalerzystę widzianego wcześniej w gospodzie. Przypominając sobie tamtą

rozmowę i marzenia jednego z chłopaków o udziale w zabawie, Timbrio uśmiechnął się na myśl, że ten bal zostanie zakończony przez niego i jego brata, i to w taki sposób, że będzie się o nim mówić jeszcze przez wiele lat.

Kilka metrów dalej dwóch angielskich służących rozmawiało przy powozie, którym przyjechał pewien wpływowy kupiec.

Przyglądali się z niepokojem licznej i uzbrojonej ochronie terenu. Ich plan, by spowodować wśród gości jak największe ofiary, był bezbłędny, lecz najpierw musieli znaleźć jakiś słaby punkt w barierze ochronnej.

- Przy takiej liczbie straży będziemy musieli działać o wiele ostrożniej.

- To jasne, ale lepszej szansy nie znajdziemy. Są tu dziś wszyscy: markiz de la Ensenada, król, najwyżsi zwierzchnicy Kościoła i wielu z tych nikczemnych szlachciców, którzy przyczynili się do naszych prześladowań. Rozkręcimy ich zabawę jeszcze bardziej. Wymierzmy im cios, którego na pewno nigdy nie zapomną. Pochłonie ich ogień - mężczyzna zniżył głos, gdy obok nich przeszedł jakiś sługa. - Kiedy dam ci znak, weź wszystko spod siedzenia. Każdy rusza w swoją stronę. Potem wróć spokojnie, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

- Rozumiem: zlokalizować, działać i ukryć się.

- Tak, przede wszystkim musimy uniknąć pojmania. Sam wiesz, że nasza akcja nie może skończyć się tu i teraz. Przysięgliśmy spełnić polecenia wielkiego mistrza i jest to nasz obowiązek jako masonów.

- Odniesiemy całkowity sukces, bracie: Najwyższa Istota stoi po naszej stronie.

- Ona pokieruje naszymi rękami.

- Ona wskaże nam właściwe miejsce.

◆◆◆

Wielki salon, w którym zgromadzili się goście, miał tak wspaniałą akustykę, że orkiestrę słyhać było wyraźnie we wszystkich kątach. Pierwsze takty stanowiły zaledwie akompaniament, przy dźwiękach którego królewska para zajęła miejsca na nieco podwyższonej platformie, skąd miała najlepszą widoczność.

Trudna sztuka taneczna nie była z reguły ulubionym zajęciem mężczyzn - odwrotnie niż w przypadku ich żon. Lubiły one uczyć się skomplikowanych kroków do nowych melodii od najslynniejszych mistrzów tańca, którzy przychodzili w tym celu do ich pałaców.

W tak zaawansowanej ciąży jak u hrabiny de Benavente nie byłoby mądrze porywać się na taniec z wachlarzami, w którym mężczyzna trzymał partnerkę za rękę i po zatoczeniu pełnego kółka oddawał ją najbliższemu sąsiadowi, podczas gdy ona trzymała swój wachlarz

tak, by ukryć się przed obcym i odsłonić przed partnerem. Tyle kroków wydało się Faustynie nadmiernym wysiłkiem dla jej obciążonych nóg i hrabina postanowiła siedzieć dalej ze swą przyjaciółką Marią Emilią Salvadores. Ich towarzysze rozmawiali z ożywieniem w pewnej odległości: Joaquín Trévelez stał w zamkniętej grupce z markizem de la Ensenada i spowiednikiem Rávagiem, a hrabia de Benavente dyskutował o czymś z francuskim admirałem, niedawno przybyłym do madryckiej ambasady.

- Pojawienie się Braulia w takim towarzystwie nie tylko wywarło na twojej córce efekt, na jaki liczyliśmy: wygląda na to, że tych dwoje świetnie się dogaduje. - Maria przyjrzała się parze, która tańczyła w pobliżu. - Popatrz tylko, jak Inez się do niego umizguje!

- Gdybym nie widziała tego na własne oczy, nie uwierzyłabym, że Braulio mógłby zrobić coś takiego - odparła Faustina, obserwując równie serdeczne zachowanie chłopaka. Wykonując kroki tańca, oboje młodzi zbliżyli się do siebie tak bardzo, że otarli się policzkami. - Wygląda na to, że rzeczywiście dobrze się bawią, a przy tym muszę powiedzieć, że ta dziewczyna wydaje mi się prawdziwym skarbem. Nie sądzisz, Mario, że przypadkiem zdołaliśmy nie tylko rozdzielić Beatriz i Braulia, lecz do tego skojarzyć dwie bardziej dobrane pary?

- Mam pewne podejrzenia, że Braulio nie jest tak zachwycony, na jakiego wygląda, ale jeszcze zobaczymy. A przy tym wiem dobrze, że uśmiech Beatriz, kiedy patrzy na księcia, wcale nie jest szczery.

- Nie zaprzeczam, że twoja uwaga jest słuszna, lecz muszę przyznać, że przez ostatnie dni w Beatriz zaszła dobrze rokująca zmiana. Dajmy jej czas; trzeba przecież przyznać, że musi jej być trudno przyzwyczać się do o tyle starszego mężczyzny.

Obie kobiety spostrzegły, że za chwilę miała nastąpić zmiana w parach i zaprzestały rozmowy, by niczego nie przegapić. Nadal tańczono taniec z wachlarzami - w tej kolejce kobieta była przekazywana przez partnera mężczyźnie z lewej strony. Następnie obaj zalecali się do niej w rytm muzyki, na przemian zbliżając się i odsuwając, aż do zakończenia melodii, w którym to momencie dama wyróżniała lepszego tancerza buziakiem w policzek.

Beatriz zdawała się beztrosko cieszyć tańcem i całkowicie ignorowała tancerza, który współzawodniczył z księciem de Llanes. W końcu znalazła się w jego ramionach, lecz zgodnie z regułami zakryła wachlarzem pół twarzy i przez kilka pierwszych kroków była zwrócona do niego tyłem. Wróciła do don Carlosa i okręciła się dwa razy dookoła siebie, po czym księżę oddał ją z powrotem drugiemu mężczyźnie. Tym razem była ustawiona przodem do niego.

- Witaj, Beatriz. - Braulio przytrzymał jej rękę i pochylił się dwornie. - Pięknie dziś wyglądasz.

- Nie piękniej od twojej towarzyszki. - Okrężyła go, nie uciekając. - Która niewątpliwie jest wobec ciebie bardzo czuła.

- Przecież ją znasz, i mnie także. Nie sądzisz chyba, że mógłbym się nią w ogóle zainteresować?

- Obserwowałam was i mogę cię zapewnić, że zachowujesz się, jakby było wręcz przeciwnie. - Ręka księcia de Llanes przyciągnęła ją z powrotem, rozdzielając ich na chwilę.

- Czy ten młodzieniec to przypadkiem nie twój przyjaciel i sąsiad Braulio? - Widząc, że rozmawiają, don Carlos przyjrzał się chłopakowi uważniej, niż poprzednim partnerom, i natychmiast go rozpoznał.

- Owszem. To adoptowany syn doni Marii Emilii Salvadores, wdowy po admirałe Gonzálesie de Mendoza. I rzeczywiście jest moim dobrym przyjacielem.

Inéz wyciągnęła dłoń do księcia, by zamienić się z Beatriz. Tymczasem ręka Braulia przyciągnęła Beatriz z powrotem do siebie.

- Nadal mnie boli, że uciekłaś z cmentarza. - Kolejny ruch zmuszał ich do zbliżenia twarzy i Beatriz wsunęła między nich swój wachlarz. - Lecz jeśli to ja otrzymam pocałunek na zakończenie tego tańca, puszczyć w niepamięć wszystko, co mi powiedziałaś.

Ostatnie taktę muzyki ponownie pchnęły Beatriz w stronę księcia. Inéz tymczasem wróciła do Braulia. Doskonale widziała ich rozmowę i zdecydowana była zająć młodzieńca na własność pocałunkiem.

Kiedy muzyka dobiegła końca, spojrzenie Beatriz umknęło w stronę Braulia, jednak dziewczyna obdarzyła pocałunkiem księcia de Llanes, niezwykle go tym uszczęśliwiając.

Hrabina de Benavente i Maria Emilia oglądały całą scenkę z boku. Niecierpliwie czekały na jej zakończenie, gdyż nierzadko zdarzało się, że taki czy inny związek zostawał zerwany przez owe niewinne całusy, i nie byłby to pierwszy raz, kiedy doszłoby do czegoś takiego. Widząc decyzję Beatriz, Faustina odetchnęła z ulgą, do czego też przyznała się przyjaciółce.

Daleki od tych płochych zabaw spowiednik Rávago razem z markizem de la Ensenada wypytywał Tréveleza o postępy w śledztwie w sprawie zabójstwa ojca Castro.

- Jesteśmy jeszcze bardzo daleko od ustalenia sprawcy lub sprawców, lecz mogę powiedzieć z pewną dozą pewności, że głównym motywem było wymierzenie ciosu Towarzystwu Jezusowemu. - Słyszając to, Ravago począł kpić z oczywistości tej analizy. -

Wiem o tym! - przerwał mu Trevelez. - Lecz nie znacie jeszcze rezultatów autopsji, podczas której wyszedł na jaw pewien szczegół, który zmusił mnie do zmiany kierunku śledztwa.

- Wyjaśnij to, byśmy wszyscy mogli zrozumieć. - Don Zenon, w odróżnieniu od Ravaga, pokładał pełne zaufanie w talenty przyjaciela.

- Aby usunąć serce, sprawcy zrobili trójkątne nacięcie na piersi, którego nie zauważyliśmy, kiedy ciało zostało znalezione.

- Ciekawe! - przyznał natychmiast Ravago. - I co to może, pańskim zdaniem, znaczyć?

- Jakiś rytuał albo symbol; być może makabryczny sposób na podpisanie dzieła.

- Mówiłem wam już, że wygląda mi to na zbrodnię o jakimś diabelskim podłożu - powiedział spowiednik, mając na myśli ciemne siły masońskie oraz ich zamiar zniszczenia religii, która karmiła tyle dusz.

- Sądzimy, że wybór ofiary nie był dziełem przypadku, podobnie jak usunięcie tego konkretnego organu, jako że w waszym zgromadzeniu największą miłością darzy się Święte Serce Jezusa. Biorąc pod uwagę te dwie okoliczności, trzeba uznać, że nie mógł być to zbieg okoliczności - ciągnął niewzruszenie Trevelez.

- Jak dalece sięgają wasze podejrzenia? - Don Zenon de Somodevilla potrzebował konkretnych odpowiedzi, nie samych domysłów. Król codziennie na niego naciskał, stale wykazując duże zainteresowanie jak najszybszym rozwiązaniem sprawy.

- Przykro mi, ale na razie nie mogę wyrażać się jaśniej, jednak moja uwaga skupia się teraz na wszystkich organizacjach, które przejawiają wyraźną niechęć do jezuitów.

- Możecie w takim razie zacząć od tak zwanych oświeconych: szlachty, niektórych wojskowych, niemal wszystkich wolnomyślicieli, a w następnej kolejności zająć się całą resztą zgromadzeń religijnych. Albo moglibyście skupić się na licznych przyjaciółach herezji: iluminatach, przechrztach, masonach i gnostykach, że wymienię tylko niektórych. - Rávago wyliczył kilka grup, lecz w rzeczywistości podjął już decyzję, że należało zbadać otoczenie ambasadora Keene'a. - Z całą pewnością zapewnię wam dość pracy, byście nie mieli czasu nas zanudzać, mój kochany panie sędzio.

Don Zenon był rozczarowany tym, że nie otrzymał żadnych informacji, które pomogłyby mu udzielić odpowiedzi na pytania króla Ferdynanda. Nie miał jednak wątpliwości, że Trévelez znajdzie wkrótce rozwiązanie. Jakiś służący zwrócił jego uwagę na przeciwną stronę sali, gdzie intrygancki ambasador Anglii, Keene, rozmawiał z największym publicznym wrogiem markiza i zarazem gospodarzem wieczoru, księciem de Huegear. Ensenada oddałby część swojej coraz znaczniejszej fortuny, byle tylko dowiedzieć się, o

czym mówili ci dwaj, nie zdając sobie sprawy, że ich rozmowa dotyczyła tego samego tematu, choć widzianego z innej perspektywy.

- Nie zdołali jeszcze wydobyć z wielkiego mistrza Wilmore'a żadnych zeznań - mówił ambasador Keene przyciszonym głosem, do swego wiernego kolegi don Fernanda de Silvy Álvareza de Toledo. - Wierzę, że znosi z honorem i męstwem męki, którym z pewnością go poddają.

- Inkwizycja to kolejna z tych strasznych instytucji, które powinny zostać wymazane z nowoczesnego państwa, jakie chcemy uczynić z Hiszpanii. - Choć zwykle przebywał w Paryżu, don Fernando był na bieżąco ze wszystkimi działaniami przeciw masonerii podjętymi przez Święte Oficjum. - Zamierzam sprawić, by ten bal stał się dla nas momentem przełomowym. Chciałbym bowiem uzyskać od jego wysokości nominację na królewskiego majordomusa, kiedy zwolni się to stanowisko. Wie pan dobrze, drogi przyjacielu, że osoba sprawująca tę funkcję cieszy się największym zaufaniem monarchy. Jeśli zdołam do tego doprowadzić, będę mógł zrównoważyć szkodliwe wpływy jego spowiednika i pierwszego ministra. To, że król zgodził się pojawić na balu, utwierdza mnie w pozycji jednego z najlepszych kandydatów na objęcie tego stanowiska.

- Nigdy nie mówił mi pan o tym, że pragnie zatrudnić się na królewskim dworze...

Benjamin Keene przyglądał się z pewnym niepokojem radości, jaka malowała się na twarzy jego żony podczas tańca z młodym studentem języka hiszpańskiego, którego musiał ulokować we własnej ambasadzie. Zmusiły go do tego doskonale listy polecające chłopaka, podpisane przez jednego z najważniejszych członków Izby Lordów. Naraz uprzytomnił sobie swoje lekceważące zachowanie wobec księcia i znowu skupił się na sprawie, o której tamten mu opowiadał, a która jego zdaniem umniejszałaby ogromne polityczne znaczenie, jakim już cieszył się jego przyjaciel.

- Przyznaję, że nie bardzo się znam na szczegółach hiszpańskiego dworu, a tym samym na korzyściach, jakich można się spodziewać po tym uwłaczającym stanowisku. Uważam pana za największego arystokratę wśród całej szlachty tego kraju - to powiedziawszy, zdawał się uważnie słuchać racji, które począł wyklądać mu książkę, podczas gdy w rzeczywistości dalej oceniał prawdopodobieństwo, że żona przyprawiała mu rogi z owym młodzieńcem. Chłopak zachowywał się z nadmierną atencją i wyglądało na to, że obfite kształty małżonki Keene'a wcale mu nie przeszkadzały.

- ...a jako że bardzo dużo swego czasu spędza przy królu, ostatecznie majordomus kończy jako jeden z jego stałych i najbardziej wpływowych doradców. - Keene usłyszał tylko

ostatnie słowa i po zastanowieniu uznał, że prośba o powtórzenie całej reszty byłaby dużym nietaktem.

Przytaknął księciu, po czym dał mu do zrozumienia, że teraz już wszystko pojmuje, lecz z przykrością musi zakończyć rozmowę, gdyż właśnie sobie przypomniał, że wcześniej zobowiązał się partnerować żonie w następnym tańcu.

- Proszę iść bezzwłocznie. Ja sam powinienem zatańczyć ze swoją małżonką, jeśli nie chcę, by odmówiła mi względów. - Księżę chwycił Keene'a za rękaw i zatrzymał go jeszcze na kilka chwil. - Tak czy inaczej, prosiłbym, żebyśmy spotkali się jeszcze potem i porozmawiali o tym dziwnym zgonie przełożonego jezuitów.

Sir Benjamin odszedł i po chwili szorstko wyrwał małżonkę z ramion impertynenckiego młodzieńca, ku jej pozornej satysfakcji. W duchu postanowił, że pośle chłopaka - jakimikolwiek wpływami by się cieszył - do jakiejś akademii jak najdalej od Madrytu; Sewilla doskonale się do tego nadawała.

W innej części salonu Beatriz przeprosiła swego towarzysza, don Carlosa Urbióna, by udać się na chwilę do toalety.

Gdy tylko tam weszła, ujrzała przed lustrem Inez de Villanueva. Przez głowę przemknęła jej myśl, jakiego też miała pecha, że wpadła akurat na nią, choć na balu było tyle innych kobiet.

- Gratulacje z okazji nadchodzącego ślubu! - Żaden puder nie zdołałaby udoskonalić idealnej skóry dziewczyny, lecz najwyraźniej makijaż pomagał jej w ukryciu cynicznego uśmiešku, który towarzyszył powinszowaniom.

- Dziękuję za miłe słowa, Inez, lecz nie mogę nie zauważyć, że masz dość motywów, by się z niego cieszyć.

- Co masz na myśli? - Inez zawahała się na kilka sekund, nie wiedząc, gdzie umieścić grubą muszkę, którą trzymała na palcu: na lewej czy też prawej skroni, określając się tym samym jako kobieta już zajęta. Na oczach wściekłej Beatriz zdecydowała się na to ostatnie. Po sekundzie zorientowała się, co miała znaczyć ostatnia uwaga. - Mówisz to, ponieważ sądzisz, że mnie również należą się gratulacje?

- Błagam cię, nie żartuj. - Beatriz spryskała się odrobiną zimnej wody, by schłodzić rozpalone policzki. - Poza tym nie czujesz do niego nic poważnego.

- Jak możesz wyrzucać mi coś podobnego, skoro sama wybrałaś już wygodną przyszłość u boku swojego księcia? Musisz pogodzić się z tym, że reszta z nas może zagarnąć to, co odrzuciłaś, nie wydaje ci się?

Beatriz z czystej furii wbiła sobie paznokcie w skórę, nie wiedząc, czy powinna zacząć szarpać Inez za włosy i policzkować ją ile sił, czy też ostudzić swój gniew, odświeżając się znowu za pomocą zimnej wody. Uznała, że to drugie będzie bardziej odpowiednie.

- Niczego od niego nie dostaniesz - powtórzyła jeszcze raz z braku odwagi, by skorzystać z innych argumentów.

- Ależ zapewniam cię, że był dla mnie bardzo czuły, kiedy tu jechaliśmy, w zaciszu mojego powozu - skłamała Inez, pragnąc zemścić się na Beatriz za wszystkie okazje, kiedy tamta obrażała ją, dając do zrozumienia, że żaden mężczyzna nie zechce jej dla niej samej, tylko dla tego, co ofiarowywała im bez żadnego umiaru.

- Inez, jesteś żalosna!

Beatriz pewna była jej kłamstwa, lecz nie mogła zapomnieć uwagi Marii Emilii o radości, z jaką Braulio zgodził się towarzyszyć dziewczynie. Żałowała teraz, że odrzuciła go na cmentarzu; wyrzucała sobie głupotę, z jaką ofiarowała innemu całusa, który należał się jej ukochanemu. Po tych kilku uwagach zaczynała wątpić, czy to, co mówiła jej Inez, było w istocie tak fałszywe, jak tego sobie w głębi ducha życzyła.

Nie było jednak czasu na jakąkolwiek ripostę. Nagle obie usłyszały potężną eksplozję, która rzuciła je na podłogę. Dwa lustra toaletki rozpadły się na tysiące fragmentów. Niektóre z odłamków powbiły im się w twarze i ramiona.

Całkowicie oszołomiona Beatriz odepchnęła Inez, która upadła na nią i przygwoździła ją do podłogi. Przekonała się, że dziewczyna żyła, lecz była nieprzytomna. Przez kilka pierwszych sekund panowała głęboka cisza, którą natychmiast przerwał chór dochodzących z sali balowej okrzyków i jęków. Beatriz podniosła się z trudnością, pokonując sztywność w nogach, i zdołała napełnić dłonie odrobiną wody, którą ochlapała twarz Inez. Metoda poskutkowała doskonale.

- Co to było? - Inez zgubiła perukę, w policzki miała wbitych kilka odłamków kryształu, a z nosa ciekła jej cienka strużka krwi.

- Nie mam pojęcia, ale powinniśmy jak najszybciej stąd wyjść.

Beatriz wyciągnęła jej z twarzy kilka odłamków, które najłatwiej było usunąć, lecz słysząc utyskiwania dziewczyny, postanowiła dać sobie spokój. Ruszyły do wyjścia. Po drugiej stronie słychać było przerażającą wrzawę.

Choć z całej siły starały się otworzyć drzwi, okazało się to niemożliwe. Ogromna masa ludzi wybiegała w panice z pałacu i całkowicie tarasowała korytarz, który prowadził do wyjścia.

Beatriz usłyszała, jak ktoś krzyczy jej imię, i natychmiast poczuła pewność, że był to Braulio. Razem z Inez zaczęły pchać drzwi z jeszcze większym zapalem i w końcu zdołały je troszkę otworzyć, wystarczająco, by chłopak mógł je zobaczyć. Usłyszały, jak woła, by jak najszybciej stamtąd wyszły. Przerażeni goście rozpychali wszystko po drodze, byle tylko dostać się do wyjścia z pałacu. Odepchnęli Braulia, który pomimo największych wysiłków nie był w stanie dotrzeć do łazienki. Dziewczęta ujrzały, jak niesiony masą ludzi chłopak znika w westybulu.

Drzwi ponownie się zamknęły, i choć znowu zaczęły je pchać, nie zdołały ich już otworzyć. Postanowiły zaczekać, aż strumień gości się przerzedzi.

Nagle rozległy się trzy kolejne eksplozje, jedna po drugiej, o nieco mniejszej sile niż pierwsza. Beatriz poczuła jeszcze większy niepokój.

Sądząc po kierunku, z którego dochodził dźwięk, wybuchy musiały mieć miejsce w pobliżu wyjścia, a tam powinien znajdować się Braulio.

Zaczęły rozlegać się krzyki paniki, które zdawały się dochodzić ze wszystkich stron naraz. Po kolejnej próbie dziewczęta zdołały wreszcie wydostać się na korytarz, lecz nie wiedziały, w którym kierunku powinny się teraz udać: do środka czy też na zewnątrz pałacu. Ujrzały parę królewską pod ochroną licznych gwardzistów, która zawracała od wyjścia w poszukiwaniu schronienia. Inez poszła za nimi, lecz Beatriz wiedziała, że musi udać się w przeciwną stronę, żeby odszukać Braulia.

Coś w głębi duszy kazało jej spodziewać się najgorszego. Zaczęła biec w nadziei, że odnajdzie go i będzie mogła powiedzieć mu wszystko, co tak naprawdę czuła, bez żadnych gier, którymi się zwodzili - musiał się dowiedzieć, że był jedynym panem jej serca. Musiała go pocałować, wynagrodzić mu te ostatnie dni, puste i pozbawione jej uśmiechu. W ciągu zaledwie kilku sekund postanowiła, że zaproponuje mu, by oboje porzucili obecne życie i uciekli, aby zbudować lepsze, ich własne.

- Inéz, widziałaś Beatriz? Wiesz, gdzie jest? - Faustina i hrabia de Benavente zatrzymali Inéz w jej szalonym biegu, drżąc o losy córki.

Jednocześnie Maria Emilia wypytywała ją o Braulia.

- Nie róbcie mi krzywdy! Nie chcę umierać! - powtarzała bez sensu Inéz, przeżywająca silne załamanie nerwowe.

- Chodźmy dalej! - Podbiegł do nich książę de Llanes, przestraszony nieobecnością narzeczonej. - Dajcie jej spokój, w tym stanie niczego się od niej nie dowiemy.

Pobiegli dalej, pozostawiając za sobą straszną scenę bólu i paniki.

Pierwsza eksplozja zwała jedną ze ścian sali balowej, raniąc wielu ludzi i zabijając kilkoro, przede wszystkim spośród muzyków, którzy byli najbliżej. Trévez pozostał w środku, organizując ochronę pary królewskiej oraz innych ważnych figur, które się tam znajdowały. Jednocześnie rozkazywał wszystkim żołnierzom, którzy weszli przez powstały w ścianie wyłom, by jak najszybciej wezwali wszystkie powozy i załadowali do nich rannych. Osobiście upewnił się, czy nic się nie stało markizowi de la Ensenada oraz ministrowi Carvajalowi, po czym sprawdził, czy wszyscy zagraniczni dyplomaci byli cali i zdrowi. Ojciec Ravago wraz z trzema innymi dostojnikami Kościoła zapewniali opiekę duchową umierającym, wielu zaś z gości pomagało podnieść się rannym lub wynosiło ich na zewnątrz. Kolejne eksplozje wzięły wszystkich z zaskoczenia. Król i królowa byli już w drodze na zewnątrz, prowadzeni pospiesznie przez straż osobistą, lecz na szczęście nowe wybuchy nie zdołały ich osiągnąć, i po chwili wstrząśnięci monarchowie wrócili do sali balowej.

Faustina pierwsza odnalazła Beatriz wśród masy porzucanych przy wejściu do pałacu ciał. Dziewczyna siedziała, podtrzymując na kolanach, poranione ciało Braulia. Podeszli do niej, omijając licznych zmarłych i ludzkie szczątki, które leżały na ich drodze. Maria Emilia, powalona bólem, upadła na ziemię, po czym wyjęła z ramion Beatriz ciało swego syna.

Faustina z przerażeniem spojrzała w twarz córki. Te oczy, ich wyraz, sucha twarz pozbawiona łez przeniosły ją w czasie do nocy w pałacu markiza de la Ensenada, kiedy po raz pierwszy ujrzała Beatriz uczeptioną zwłok swojej matki.

Pałac królewski Buen Retiro. Madryt Rok 1751

28 lipca

Sędzia Joaquín Trévez niepokoił się przed porannym spotkaniem z dwoma najważniejszymi członkami rządu Ferdynanda VI: ministrem skarbu, floty i armii, don Zenonem de Somodevilla, oraz sekretarzem stanu, don José de Carvajalem y Lancaster.

Słońce jeszcze nie wstało, kiedy jego powóz zajechał pod bramę głównego dziedzińca pałacu, skąd dwóch gwardzistów odeskortowało go do gabinetu Somodevilli.

Oczywiście przyczyną jego obaw nie było onieśmienie, jakie mogłyby wzbudzać stanowiska obu mężczyzn - w końcu Trévez już od jakiegoś czasu spotykał się z nimi w sprawach służbowych. Tym razem chodziło jednak o brutalny zamach w pałacu księcia de Huesear, do którego doszło niewiele więcej jak dwadzieścia cztery godziny temu.

Ścianę za biurkiem markiza de la Ensenada zdołały jedynie dwa przedmioty: ogromny sztandar z krzyżem świętego Andrzeja oraz portret króla Ferdynanda VI. Resztę

pomieszczenia zajmowały wypełnione książkami dębowe regały, tylko na jednej ze ścian wisiało ogromne malowidło przedstawiające bitwę morską.

Nawet nie znając zainteresowań markiza, można się było domyślić, że morze zajmowało w jego życiu szczególną pozycję. Dowodził tego ów wielki obraz z motywem marynistycznym, stare koło sterowe w rogu pokoju oraz dwie stojące na stole makiety hiszpańskich okrętów. Ensenada sam zresztą przyznawał, że ze wszystkich zadań i obowiązków największej satysfakcji przysparzały mu właśnie te związane z flotą.

Czekając na obu ministrów, Trevelez usiadł w fotelu i dokonał szybkiego podsumowania wszystkiego, co zaszło w ciągu ostatnich godzin, by móc streścić dygnitarzom najważniejsze szczegóły.

Przez ostatnie dwa dni prawie nie zmrzył oka. Noc zamachu spędził bezsennie na pracy ze swoimi ekipami w pałacu Moncloa, a podczas ostatniego wieczoru czuwał z Marią Emilią, pocieszając ją po tragicznej śmierci syna.

Zdawało mu się, że przywykł już do najokrutniejszej z twarzy człowieka - twarzy podłości, oszczerstwa czy wszelkiej innej niegodziwości - lecz teraz znowu zaczął zadawać sobie pytanie, z jakiego powodu jakakolwiek istota ludzka chciałaby odebrać życie drugiemu człowiekowi, i to w dodatku piętnastoletniemu chłopcu.

W swojej karierze zawodowej miał już do czynienia z wszelkiego rodzaju zbrodniami, które jasno pokazywały, jaki stopień znieprawienia mógł osiągnąć ludzki umysł. Zawsze zadawał sobie pytanie, co pchało sprawców do takich dewiacji. Czasem zastanawiał się, kto właściwie odpowiadał za całe to zło, jeśli człowiek powstał po to, by uczestniczyć w Boskim dziele stworzenia i pomagać w jego ukończeniu.

Do tej pory tamte cztery eksplozje odebrały życie dwunastu osobom i były przyczyną niezliczonych obrażeń u innych. Imiona ofiar wybrał zły los, nie zważając na fortunę, pozycję czy płeć; poza Brauliem zginęły bowiem jeszcze trzy kobiety szlacheckiego rodu - dwie damy w średnim wieku oraz jedna zaledwie osiemnastoletnia dziewczyna - a także dwóch duchownych, czterech gwardzistów i dwóch muzyków, których jedyną zbrodnią było to, że uprzyjemniali przyjęcie.

Sytuacja Tréveleza zaczynała być nie do pozazdroszczenia, gdyż jako główny śledczy oraz najwyższy sędzia prawa karnego na dworze miał teraz do czynienia ze sprawą ogromnej wagi - zamach zagroził przecież życiu samych monarchów - a nie zbliżył się jeszcze do rozwiązania morderstwa jezuity Castro.

Wiedział, że nie będzie to po prostu kolejne śledztwo w jego długiej karierze, lecz najtrudniejsza próba, jakiej musiał sprostać, jeśli chciał, by jego sława profesjonalisty pozostała bez skazy.

Do pokoju wpadł Zenón de Somodevilla.

- Siadaj. Przy nas nie musisz się przejmować formalnościami, w końcu znamy się już tyle czasu - rzucił, zajmując miejsce przed Trévelezem.

Don José de Carvajal, odpowiedzialny za politykę zagraniczną, pozdrowił sędziego z powagą, po czym usiadł u boku kolegi z rządu.

- Król, niech go Bóg zachowa, właśnie wyraził nam niecierpliwość, z jaką czeka na wieści o tym, kto mógł stać za tak potworną zbrodnią. Powiedział także, że nie przyjmie do wiadomości wymówek o braku ludzi lub środków finansowych - zaczął. - Wie o tym spotkaniu i pragnie, by od dziś któryś z nas codziennie informował go o dalszych postępach. Z tego względu będziemy spotykać się każdego dnia o tej samej porze, dopóki sprawa nie zostanie uznana za zamkniętą.

- Zaczę od aktualnej liczby poległych, która po zgonie hrabiny de Ribó dzisiejszego ranka sięgnęła dwunastu osób. Mamy jeszcze około pięciu ofiar w dość ciężkim, jeśli nie krytycznym stanie, zdrowie pozostałych zaś się poprawia. - Trévelez przełknął ślinę, by zwilżyć wyschnięte gardło. - Ogromna liczba obecnej na przyjęciu służby oraz gości czyni to śledztwo jednym z najtrudniejszych w mojej dotychczasowej karierze. Zanim jednak zajęliśmy się możliwymi sprawcami, sprawdziliśmy, w jaki sposób w ogóle doszło do wybuchów, gdyż jedno może zaprowadzić nas do drugiego.

Rozłożył kartkę, na której wcześniej narysował plan pałacu i zaznaczył dwa miejsca, w których doszło do eksplozji.

- Jak na razie - ciągnął - sądzimy, że wykorzystano dwa rodzaje ładunków wybuchowych. Do pierwszej detonacji - wskazał palcem miejsce wybuchu, który uszkodził ścianę budynku - konieczne było nawet do pięciu kilogramów prochu. Sądząc po resztkach, które znaleźliśmy, sprawcy włożyli go do drewnianej baryłki i wetknęli krótki lont, by zmniejszyć szanse na odkrycie i zgaszenie go. Umieścili beczułkę na tyłach ogrodowego muru, kilka metrów od ściany budynku, by fala wybuchu skierowała się w stronę pałacu, zyskując przez to jeszcze większą siłę rażenia. Po tym szczególnie poznaliśmy, że nie chodzi tu o zwykłych szaleńców. Nadal jednak nie wiem, jak zdołali tego dokonać niezauważeni przez straż, która chroniła cały teren. - Carvajal potrząsał głową z miną pełną dezaprobaty. - Co do kolejnych eksplozji przy drzwiach wyjściowych, posłużyli się trzema ładunkami. Ich także

straż nie zdołała zauważyć, tym razem z powodu ogromnego zamieszania, jakie powstało po pierwszym wybuchu.

- Gwardia zapewnia nam doskonałą ochronę! Z tego, co widzę, każdy może podejść do króla z pięcioma kilogramami prochu tak, by nikt go nie zauważył. Bardzo mnie to dziwi, by nie powiedzieć, że niepokoi... - Uwaga Carvajala skierowana była do jego współpracownika, markiza de la Ensenada, gdyż to on bezpośrednio odpowiadał za wojsko i bezpieczeństwo dworu.

Trévelez przyszedł Somodevilli na ratunek:

- Nikt nie zaprzeczy, że nasz system bezpieczeństwa zawiódł, lecz przecież nigdy wcześniej nie mieliśmy do czynienia z groźbą takich rozmiarów. Tamtej nieszczęsnej nocy poza gośćmi, których z oczywistych względów wykluczaliśmy jako sprawców lub współników zamachu, pod pałacem przebywało około czterystu osób: stangreci, obstawa honorowa, pomocnicy oraz reszta służby, która pracowała dla całej tej szlachty, ministrów, dostojników kościelnych i zagranicznych dyplomatów.

- Sędzio Trévelez - odparł markiz - zgadzam się, że należy wykluczyć aktywny udział zaproszonych gości, lecz nie ich współpracę. W takich wypadkach nie powinniśmy odrzucać żadnej możliwości, a tym bardziej jeśli chodzi o zamach stanu, którego powodzenie wpłynęłoby na rząd i władzę królewską w Hiszpanii. Nie możemy lekceważyć faktu, że przeciwko obu tym instytucjom działają nie tylko wrogowie zewnętrzni, których tu nie wymienię, lecz również wewnętrzni, czyli zdeklarowani przeciwnicy dynastii Burbonów, którzy spiskują od czasu jej dojścia do władzy. - Spojrzał niespokojnie na kieszonkowy zegarek. - Lecz przejdźmy do konkretów, bo czas ucieka. Czy mamy już jakieś nazwiska?

- Poza listą gości sporządzamy właśnie listę z nazwiskami całej służby, która była tam obecna. Wczoraj rozpoczęliśmy spisywanie pierwszych zeznań, które zamierzam co wieczór przeglądać. Ze względu na rozmiary zadania postanowiłem zyskać na czasie i wykorzystać wszystkich swoich ludzi, by zakończyć tę pierwszą mrę w ciągu co najwyżej czterech czy pięciu dni.

Carvajal pochwalił jego przedsiębiorczość.

- Nie odrzucamy żadnej możliwości - ciągnął Trévelez - lecz w tej chwili skupiamy się na jednym tropie, który wydaje nam się najbardziej prawdopodobny. Poszukujemy mianowicie dwóch karczmarzy, którzy - jak nam powiedziano - zjawili się tamtej nocy, by dorobić na sprzedaży wina i jedzenia. To nieprawdopodobne, ale nikt nie wie, jakim cudem tam wjechali, skoro gwardia rygorystycznie kontrolowała wjazdy, a oni nie byli upoważnieni

do wstępu. Przesłuchaliśmy strażników, którzy się tym zajmowali, na wypadek, gdyby któryś z nich był zamieszany w tę sprawę.

- W Madrycie jest wielu karczmarzy - przerwał Carvajal, zbywając sugestię, że mogła być w to zamieszana gwardia królewska. - Zapewne dysponujecie jakimś opisem tych dwóch. Mam rację?

- Tamtego wieczoru stanowili ośrodek uwagi, zatem nietrudno było go zdobyć. Barylkę prochu łatwo ukryć wśród beczek wina, więc na razie jest to najważniejszy z tropów, które bierzemy pod uwagę. Gdy tylko zdobędę bardziej konkretne informacje, natychmiast panów zawiadomię.

- Nie mogę przestać myśleć o zabójstwie Castro. Nie sądzisz, że obie zbrodnie mogły zostać popełnione przez tych samych sprawców? - Podejrzenia Ensenady nie opierały się na żadnych poszlakach; przyszło mu to do głowy po prostu ze względu na krótki czas, jaki dzielił oba zajścia.

- Nie wykluczam takiej możliwości - odparł Trévelez, zmieszany brakiem postępów w tej sprawie - choć przyznaję, że jest za wcześnie, by dać jakąś bardziej szczegółową odpowiedź.

- Masz dla nas coś jeszcze? - spytał Ensenada, który pragnął zająć się innymi pilnymi sprawami.

- To wszystko - odpowiedział z pewną ulgą Trévelez.

- W takim razie wróc jutro rano o tej samej porze. - Markiz podniósł się z fotela. - I zawiadom nas wcześniej, jeśli uzyskacie jakieś ważne informacje. Ta sprawa jest dla nas najwyższej wagi.

◆◆◆

Cela oskarżonego Wilmore'a w tajnym więzieniu Świętego Oficjum wydzielala ze swych wilgotnych ścian odór choroby. Napinając do granic łańcuchy, które skuwały jego ręce i nogi, Anglik skulił się w kącie, gdzie docierało słabiutkie światło, sączące się przez pokrywającą okienko warstwę brudu. Dzięki temu promykowi obliczył sobie, że przebywał w zamknięciu już od tygodnia. Część wody, którą mu dawali, używał do obmywania ran - w ten sposób powstrzymywał infekcje, które zaczęły powstawać dookoła jego przegubów i kostek od dnia, kiedy poddano go mękom.

W tym odosobnieniu nie miał pojęcia o niczym, co działo się poza ścianami celi, lecz mimo to nie przestał wierzyć w swoich ludzi i był pewien, że zaczęli już wypełniać jego polecenia. Jedynymi osobami, z którymi miał kontakt w trakcie tych niekończących się dni, byli dozorczy i z rzadka adwokat, któremu bardziej chyba zależało na jego zeznaniach niż na

obronie, podobnie jak inkwizytorom, którzy próbowali wydobyć z niego informacje przy pomocy oprawców.

Tego ranka Wilmore obudził się z przeszywającym bólem po ugryzieniu przez jakiegoś wygłodniałego szczura, przyciągniętego słodką wonią jego ran. Potem dopisało mu szczęście, ponieważ zdołał upolować gryzonia, posługując się jednym z łańcuchów jak sidłem. Całkowicie zadowolony, bez wahania zabrał się do jedzenia.

Przy tym zajęciu zastał go biskup Perez Prado, kiedy niespodziewanie wszedł do celi. Nie zdołał zapanować nad mdłościami, które zakończyły się serią gwałtownych wymiotów w rogu przeciwnym do tego, gdzie siedział Anglik.

- Może wasza czcigodność miałby ochotę spróbować tak wyśmienitego kaska...

Wilmore wyciągnął nadgryzione resztki szczura, uśmiechając się na widok widocznych w pobludłej twarzy biskupa mdłości.

- Przynajmniej wiem, skąd pochodzi to mięso, w przeciwieństwie do wszystkiego, czego dajecie mi popróbować w waszym miłosiernym domu - rozkoszował się okazją do odpłaty za swoje cierpienie.

- Proszę przestać wystawiać moją cierpliwość na próbę, gdyż nie jest to moja największa zaleta, i wyrzucić to świństwo, zanim będę zmuszony podjąć środki przymusu.

Wilmore schował szczura za plecami, by kontynuować posiłek, kiedy zostanie sam.

- Wygląda na to, że do tej pory nie zdołaliśmy wydobyć z pana chociażby najmniejszego zeznania, w związku z czym chcę pana powiadomić o decyzjach, które zostały podjęte na temat pańskiej najbliższej przyszłości.

Biskup usiadł na krześle, które ze sobą przyniósł, po czym mówił dalej:

- Ma pan do wyboru dwie możliwości, i proszę mi wierzyć, że innej nie będzie. Teraz musi pan wybrać tę, która będzie bardziej sprzyjać pańskim interesom lub stanowić mniejsze zagrożenie dla zdrowia, dla mnie bowiem jest obojętne, w jakim stanie chciałby pan je zachować.

Pierwsze z rozwiązań, które przedstawił, polegało na złożeniu przez Wilmore'a jednego tylko donosu, i to zaledwie na trzech członków spośród tych, którzy cieszyli się w stowarzyszeniu jakimś autorytetem. Jeśli to uczyni, Święte Oficjum uzna go od tej pory za człowieka wolnego i nie będzie stawiać żadnych dalszych warunków. Druga możliwość również prowadziła do wyzwolenia, lecz tym razem ostatecznego - zakładała bowiem natychmiastową śmierć Anglika i zakończenie jego bezsensownych cierpień, obiecując mu wprzód spowiedź z grzechów, by uwolnić jego duszę od zmas, jakie splamiły ją przez herezję.

- Jak pan widzi, są to propozycje proste i konkretne. - Perez Prado zbliżył się do więźnia, nie ukrywając obrzydzenia, jakie budził w nim jego silny smród. - Dyskretna denuncjacja, która nie zwróci niczyjej uwagi i nie przyniesie panu w przyszłości żadnej szkody, a dzięki której już dziś mógłby pan być wolny, lub śmierć. Co pan woli?

- Zanim odpowiem, chciałbym spytać, skąd te nagłe odwiedziny, skoro przez cały tydzień nie miałem od was żadnych wieści. - Wilmore podejrzewał, że przyczyną tego niezwyklego pośpiechu, by coś z niego wydobyć, musiało być jakieś zajście. - Nie chodzi może o to, że stało się coś na tyle poważnego, by zmusić was do szukania u mnie pomocy?

- Tym pytaniem daje mi pan dowód na to, że w istocie ma pan związek z tymi wydarzeniami.

- Co ekscelencja ma na myśli?

- Mówię o tym, co już nie tylko podejrzewam, lecz uważam za rzecz pewną: o pańskim udziale w tamtym zabójstwie oraz w zamachu, który miał miejsce przedwczoraj, choćby nawet był to udział pośredni. - Prado chwycił go za szyję i brutalnie ścisnął. - Wyznaj wszystko, tylko tak się wyzwolisz!

- Ach tak... Zamach i morderstwo. Nie mam pojęcia, o czym mi tu ekscelencja opowiada, a już na pewno nie o tym, kto jest sprawcą obu przestępstw, lecz z góry mogę powiedzieć, że gdyby odpowiadał za nie któryś z moich braci, to z pewnością nigdy bym go nie wydał, bez względu na to, ile bólu byście mi zadawali.

Wilmore wiedział, że tymi słowami właśnie wydał na siebie wyrok śmierci. Mimo wszystko - na wypadek, gdyby jego elokwencja nie była wystarczająca - splunął jeszcze w biskupa resztkami szczura, którego nadal przeżuwał, korzystając z tego, że Prado stał tuż przed nim.

Duchowny uderzył go z wściekłością w twarz, a przed opuszczeniem celi pożegnał się z nim na zawsze. Idąc prowadzonymi na zewnątrz korytarzami, otarł plwocinę, która przyłgnęła mu do policzka, powziąwszy decyzję, że Anglik ma być pozostawiony bez jedzenia i wody, dopóki nie umrze.



W całym Madrycie nie mówiono o niczym innym poza zamachem, do którego doszło w pałacu księcia de Huescar. W miarę jak przechodziła z ust do ust, każda plotka obrastała w wymyślone szczegóły. Doszło do tego, że kobiety robiące zakupy na rynku przy plaży Major rozgłaszały, iż sama królowa została ranna, i że zmarło już ponad pięćdziesięcioro gości.

Jedna z kumoszek, która lubiła żarty, upierała się wręcz wśród wybuchów śmiechu, że śpiewak Farinelli, *U Castrato*, uratował się przed raną od jakiegoś ułamka tylko i wyłącznie dzięki swojemu kalectwu.

Życie tego Mądrym, dalekie od ostentacji i ekscesów wyższych klas, pełne było problemów, jak chociażby ostatni duży wzrost cen zboża, który miał wpłynąć również na ceny podstawowych produktów żywnościowych. Ogólnie rzecz biorąc, polityka i zdarzenia, w których brały udział owe wielkie osobistości, przeważnie pogardzane za ostentację i rozrzutność, były tak dalekie od codziennego życia mieszkańców miasta, że nadawały się jedynie na temat rozmów, kiedy - jak w tym przypadku - dochodziło do zdarzeń, które wstrząsały ich nudną egzystencją.

Wielu mieszczan odrzucało istniejący system społeczny z powodu nierównego podziału dóbr, przez który cierpiała większość poddanych - wszyscy w Madrycie wiedzieli bowiem, że nie licząc posiadłości króla, niemal jedna trzecia zabudowań miejskich należała do Kościoła, druga do nielicznych członków najwyższej arystokracji, resztę zaś dzielili między sobą nuworysze i kilku wzbogaconych kupców. W tej sytuacji zwykłemu ludowi pozostały tylko najskromniejsze siedziby, a jako środek przetrwania - praca dla tamtych przy utrzymywaniu czystości i ochronie ich wspaniałych posesji.

Wśród najbiedniejszych warstw Mądrym szerzyła się niechęć, dlatego na targu nierzadko słyszało się z ust któregoś kramarza komentarz w rodzaju „przyda im się trochę pocierpieć od czasu do czasu!”, albo widziało się piekarza, który wybuchał głośnym śmiechem na żartobliwą uwagę, że ceny pudru do bielenia peruk wzrosną, skoro tyle go spłonęło w czasie eksplozji.

Nie znaczyło to, że ludzie byli nieczuli wobec tragedii, której nikt sobie przecież nie życzył. Po prostu w ten sposób spontanicznie wyrażali wzdąlenie wobec prerogatyw i przywilejów, jakie klasa rządząca zagarnęła dla siebie w ciągu wielu lat.

- Gdybyśmy mieli takie problemy jak oni... Słyszałam, że sam tylko książę del Infantado posiada dwanaście wielkich pałaców i posiadłości w Madrycie, a do tego ponad trzydzieści sześć tysięcy owiec w całych swoich ogromnych włościach - szeptała jedna z kobiet do innej, która nadstawiała z ciekawością ucha.

- Nie musisz mi nic mówić. Pochodzę z Andaluzji i wiem, że książęta de Medinaceli, de Alba i de Osuna mają w tamtych okolicach ponad osiemdziesiąt tysięcy akrów ziemi. - Ta kumoszka była mniej dyskretna od rozmówczyni i jej uwagę usłyszano na całym targu. - Wystarczyłaby najmniejsza część tych bogactw, by wyżywić całe sto rodzin z pracy na roli i sprzedaży zbiorów. Ale sama wiesz, że tak to już zostało podzielone.



Dwóch mężczyzn o wyglądzie obcokrajowców, którzy stali w pobliżu obu kobiet, nie uрониło ani słowa z ich rozmowy. Od jakiegoś czasu zamknięci byli we własnym domu i z nikim się nie widywali. Dopiero tego ranka wyszli na zewnątrz, zmuszeni do tego przez brak jedzenia, i uważnie słuchali, co mówiono o zamachu.

Kupili wszystko, co było im potrzebne, by przetrwać jeszcze kilka dni w swym dobrowolnym odosobnieniu, po czym na powrót skierowali się w stronę mieszkania, gdzie mieli kryjówkę, bez przerwy przy tym rozmawiając.

- Jak sądzisz, co się stanie, gdy już wykonamy polecenie, które wydał nam Wilmore? - spytał jeden.

- Mogę się tylko domyślać, ale wyobrażam sobie, że zacznie się wszystko, o czym tyle razy mówiliśmy w łoży: prawdziwa misja, która prowadzi nasze bractwo. Dojdzie do rewolucji, która otworzy to społeczeństwo na nowy ład. Nasi najbardziej wpływowi bracia pracują już z ukrycia, by zebrać jak najwięcej posłusznych nam ludzi spośród tych, którzy obdarzeni są największą władzą. Potem zaś nasze umiłowane stowarzyszenie ułoży nowy porządek, oparty na tych samych zasadach i prawach, jakie rządzą nami już teraz - odparł drugi.

- Jeśli tak ma być, to ty i ja mamy do odegrania kluczowe role.

- Bez wątpienia, choć sądzę, że przy całym tym zamieszaniu, do którego doszło, powinniśmy trochę odczekać, zanim znowu zaczniemy działać. Dobrze byłoby za to złożyć wizytę ambasadorowi Keene'owi, na wypadek, gdyby wiedział, kto odpowiada za donos na wielkiego mistrza Wilmore'a.

- Chyba masz rację. Ktokolwiek to był, zapłaci za to. Swoim czynem stracił wszelkie prawo do życia - powiedział znowu pierwszy.

Po tej uwadze jego towarzysz skorzystał z okazji, by wyrazić wątpliwość co do dziwnego planu, jaki tamten przedstawił mu kilka dni wcześniej.

- Nadal nie rozumiem, co chcesz osiągnąć przez tę ceremonię, którą wymyśliłeś na koniec naszej misji. Z tego co pamiętam, w naszych obrzędach nie istnieje nic podobnego. - Po czym dodał, nie pozostawiając przyjacielowi czasu na odpowiedź: - Chcę, żebyś wiedział, że nie mam zamiaru w tym uczestniczyć.

- Uczynisz to! Ta sprawa dotyczy nas obu i nie staniesz na przeszkodzie do ostatecznego celu, który chcę osiągnąć. To będzie jak kolacja ze znamienitym gościem: mym Panem. Jemu ofiarujemy naszą zemstę, i zapewniam cię, że chcesz czy nie, będziesz stał przy mnie.

- Wilmore nam tego nie zlecił.

- Wiem. To moja sprawa.

◆◆◆

Ojciec Ravago nie przyjmował żadnych wizyt przed Aniołem Pańskim. Te krótkie chwile, które miał do dyspozycji między mszą z monarchami a południem, poświęcał na liczną korespondencję pojawiającą się codziennie na jego stole.

Tego ranka, jak w każdy wtorek, wypowiadał królową. Ze wszystkich jego zadań to właśnie przysparzało mu największej satysfakcji. I jakże mogłoby być inaczej, myślał sobie, skoro był jedyną osobą na dworze, która znała szczegóły prywatnego życia władczyni, jej bóle i niepokoje. Poprzez kratki konfesjonału królowa otwierała przed nim swe serce niczym najzwyczajniejsza kobieta, wyzbywając się monarszej godności.

Nie zawsze jego rola ograniczała się do pocieszania w strapieniu - czasem bowiem proszono go także o rady w sprawach wykraczających poza sferę duchową, tak jak to było właśnie tego ranka, kiedy musiał pokrzepić królową bolejącą nad tym, że nie zdołała dać królowi potomka. Polecił jej też pewne przepisy i eliksiry, które mogły wspomóc ją w tym szlachetnym dążeniu.

Przy dość częstych okazjach królowa spowiadała się - wyrażając przy tym niewiele skruchy - z niepohamowanej nienawiści, jaką żywiła do Izabeli de Farnesio, macochy swego męża. Przyczyną była radość, jaką budziła w Izabeli bezpłodność władczyni, dawało to bowiem jej ulubionemu synowi, Carlosowi, który władał obecnie Neapolem, duże nadzieje na uzyskanie korony Hiszpanii po bezpotomnej śmierci pasierba, obecnego króla Ferdynanda VI.

Ravago znał duszę doni Barbary na wylot. Za jej słodyczą kryła się głęboka niepewność będąca być może konsekwencją jej obcego pochodzenia, na które lud patrzył nieprzychylnie, lub jej bezpłodności. Może chodziło też o zazdrość, jaką monarchini odczuwała wobec każdej damy dworu, która mogłaby ją przyćmić. W skrócie, możliwość wysłuchiwania grzechów króla i królowej podczas cotygodniowej spowiedzi stanowiła dla Ravaga wyłączny przywilej, który przynosił mu liczne korzyści. Pozycja królewskiego spowiednika nie tylko dawała mu dostęp do przeróżnych informacji na temat problemów Hiszpanii, lecz także czyniła go duchowym doradcą w kwestiach duszy oraz przewodnikiem w rozmaitych sprawach stanu.

Ravago znał charakter króla Ferdynanda lepiej niż ktokolwiek. Wiedział więc, że jego decyzje zawsze musiały być poprzedzone jasnymi, zwięzłymi, a w większości przypadków kilkakrotnie powtarzanymi objaśnieniami, by dana sprawa nie okazała się dla niego zbyt skomplikowana. Jezuita sam doradził swemu przyjacielowi markizowi de la Ensenada, by

podczas rozmów z królem, jeśli musiał przekonać go do czegoś dotyczącego spraw wielkiej wagi, przedstawiał mu dla uproszczenia tylko najważniejsze zarysy. Jeśli minister zdołał przykuć uwagę władcy, reszta spoczywała już w rękach królowej i samego Rávago, którzy w końcu doprowadzali do całkowitej zgody króla, wychwalając jego dobre rządy oraz jego szlachetność jako obrońcy poddanych.

Od czasu do czasu Rávago miał wrażenie, że jego konfesjonał przypominał raczej kuchnię niż miejsce, w którym odbywał się sakrament pojednania. Pospołu z królową zgotował w nim wiele z najważniejszych dekretów, które wpłynęły na oblicze całego państwa, a także rozwiązał kilka spraw na najwyższym szczeblu politycznym. Tam też położył podwaliny pod wizytę, której oczekiwał dziś rano w osobie sekretarza stanu papieża Benedykta XIV, kardynała Valentiego Gonzagi, byłego nuncjusza w Madrycie i osobistego przyjaciela Ensenady.

Atmosfera w pałacu Buen Retiro była jeszcze zbyt napięta po niedawnym zamachu, by odbywać to spotkanie w jego murach. Ponadto istniał jeszcze inny, bardziej ważki powód, by poszukać dyskretniejszego miejsca: Rávago nie chciał dopuścić, by o wizycie dowiedział się sekretarz stanu Carvajal y Lancaster.

Król wiedział o tajnych rozmowach jego i Ensenady z kardynałem Valentim - miały one doprowadzić do końca nowy konkordat ze Stolicą Apostolską. Co prawda oficjalnie odbywały się inne negocjacje, również zainicjowane przez Ferdynanda, w których brali udział sekretarz stanu Carvajal, nuncjusz Watykanu oraz kardynał i ambasador Hiszpanii w kurii rzymskiej - jednak żadna z tych osób nie miała pojęcia o toczących się potajemnych rozmowach, które na dodatek posuwały się o wiele szybciej.

Rávago przekonał królową, by dała mężowi do zrozumienia, jak korzystne byłyby takie tajne negocjacje, król zaś nie tylko udzielił na nie zgody, lecz także pogodził się z koniecznością zachowania całkowitej dyskrecji co do podejmowanych kroków i postępów w rozmowach.

Po odmówieniu z królewską parą modlitwy na Anioł Pański, Rávago wezwał zatem swój powóz i udał się do rezydencji księcia de Llanes, gdzie miało odbyć się tajne spotkanie z sekretarzem stanu papieża, kardynałem Valentim.

Pałac ów, znajdujący się na rogu plaza de la Vega, składał się z licznych skrzydeł oraz ogrodów. Wybijał się spośród innych dzięki przeprowadzonej niecałe cztery lata wcześniej renowacji, która pochłonęła siedemdziesiąt tysięcy reali, zarobionych przez zamożnego księcia na handlu.

Rávago przemierzył z pośpiechem ogrody, wszedł do przedpokoju czeladzi, po czym przeszedł do pomieszczenia dla starszej służby. Tam został przyjęty przez gospodarza domu, a następnie zaprowadzony do małego gabineciku, w którym miał spotkać się z kardynałem Valentim natychmiast po jego przybyciu.

- Dziękuję za okazaną łaskawość, tak w ofiarowaniu mi swego domu na miejsce tej rozmowy, jak i przez zgodę na obecność siostrzeńca Valmojady w czasie pańskich wizyt w ambasadzie Anglii - powiedział jezuita.

- Wiecie doskonale, ojcze, jaki szacunek żywię wobec waszej osoby, oraz jak wielki dług zaciągnąłem względem was po tamtym trudnym procesie, który rozstrzygnęliście w sposób tak szlachetny. Mój dom zawsze będzie do waszej dyspozycji.

Rávago zauważył pewną nerwowość rozmówcy i zdawało mu się, że rozumie, w czym rzecz.

- Proszę siadać. - Księżę wskazał mu wygodny fotel w stylu francuskim. - Każę przysłać herbaty, by umilić wam oczekiwanie.

- Proszę się nie kłopotać. Istnieje między nami dostateczne zaufanie, by darować sobie wszelkie formalności, włączając w to obowiązek zapewnienia mi towarzystwa do czasu przybycia Valentiego. Mówię to, ponieważ kardynał powinien zjawić się lada chwila, a zdaje się, że w ogrodach czeka na pana jakieś naglące zadanie.

- Dziękuję za wyrozumiałość. Faktycznie w obliczu zbliżającego się ślubu odkrywam, iż brakuje mi służby, a przysłano mi dziś grupę, która od ponad dwóch godzin czeka na mój przegląd - powiedział wiekowy księżę z ulgą na myśl, że nie będzie musiał dalej bawić się w uprzejmości, po czym ruszył w stronę wyjścia, uprzedziwszy wcześniej, że wyda odpowiednie rozkazy, by nikt nie przeszkadzał w rozmowie. Przed zamknięciem drzwi przypomniał sobie o jeszcze jednej sprawie.

- Liczę, że wasze czcigodności spróbują najlepszej sztuki mięsa po madrycku, jaką można znaleźć w całym mieście, którą zawdzięczam zręcznym dłoniom mojej kucharki! - Widząc, że Rávago zaczyna wykonywać odmowny gest, księżę wyciągnął rękę na znak, że nie zgodzi się na żadną wymówkę. - Proszę wybaczyć, ale nie przyjmę odmowy!

- Chętnie. To danie zawsze jem z przyjemnością - poddał się zatem spowiednik, myśląc o nawale pracy, która czekała na niego w pałacu. Mimo to czuł się zobowiązany przyjąć ofertę w uznaniu ryzyka, jakie księżę de Llanes podejmował w związku z misją szpiegowską u ambasadora Keene'a.



Ani wysokie mury pałacu księcia de Llanes, ani artystycznie przycięte żywopłoty, ani liczne bujne kasztany nie wystarczały, by ustrzec jego ogrody przed potwornym skwarem. Pięć młodych kobiet sprowadzonych przez kupca Gómeza Prieto do prac, jakie należało wykonać w pałacu, zalewało się potem. Prieto, który cieszył się wśród wyższych sfer Mądrym dużym prestiżem, musiał poszerzyć dochodowy handel niewolnikami - coraz mniej chętnie kupowanymi przez szlachtę - o wyszukiwanie służby domowej, na którą był największy zbył wśród madryckiej arystokracji i burżuazji.

Grupkę, którą wybrał do książęcego domu de Llanes, tworzyły cztery młodzianki, szesnastoletnie dziewczęta - dwie z nich siostry - oraz nieco starsza Murzynka.

Prieto zawsze oferował Murzynki, gdyż wielu arystokratów preferowało je na mamki, czasem wyłącznie dlatego, że chcieli przydać swemu domowi odrobiny egzotyki. Tak czy inaczej bardzo mu to odpowiadało, gdyż niskie zapotrzebowanie na czarnych niewolników doprowadziło do spadku cen zakupu, dzięki czemu on sam zarabiał więcej.

- Kiedy przybędą, macie wyglądać na miłe i dobrze wychowane, i ani na chwilę nie przestawajcie się uśmiechać - pouczał, krążąc dookoła dziewcząt.

Ze szczególną uwagą przyglądał się dwóm siostróm, pragnąc jeszcze raz przekonać się o zdolnościach swej żony, jeśli chodziło o zamaskowanie ich cygańskiego pochodzenia.

Nie licząc handlu czarnymi kobietami, to właśnie Cyganki przynosiły mu największy dochód: po prześladowaniach większość z nich była teraz bezdomna, a by uniknąć kolejnych donosów i aresztowań, zgadzały się służyć za tani towar temu, kto mógł zapewnić im utrzymanie.

Te dwie siostry sprzedał mu handlarz, który pracował w Aragonii. Znalazł je na wpół martwe w trakcie którejś podróży z Saragossy do Mądrym. Kiedy Gómez ujrzał je po raz pierwszy, trudno było mu się zdecydować, zarówno z powodu ich opłakanego stanu, jak ze względu na pieniądze, które musiałby zainwestować, żeby podtuczyć je tak, aby przyzwoicie się prezentowały.

Znajomy jednak wiedział, że w Madrycie nic z nimi nie zrobi, jako że był to dla niego nieznany rynek. Nie chciał też zabierać ich na powrót do Saragossy, gdyż uważał, że nie dotrą tam żywe. Zaproponował więc cenę tak śmiesznie niską, że Prieto nie mógł się powstrzymać i wykupił obie Cyganki.

Kiedy przywiózł je do domu, dziewczęta, które do tej pory wyglądały na zupełnie pozbawione sił, rzuciły się na niego jak dzikie. Poza przyjmowaniem jedzenia odmawiały jakiegokolwiek formy kontaktu, nie wspominając nawet o rozmowie.

Gómez wiedział z doświadczenia, co należało robić, by ułagodzić tę dzikość. Okiełznał już kilka kobiet z ich rasy, a jego technika nigdy nie zawodziła. Już przy pierwszych Cygankach przyszło mu do głowy, że miały one w sobie coś, co przypominało dzikiego byka - może dlatego, że również odmawiały uległości albo przez ich skłonność do przemocy. Za każdym razem przekonywał się, że można je było okiełznać, naśladując postępowanie toreadora - w tym celu przez pierwsze dni krzywdził je bez litości, tak na ciele, jak i na honorze, biorąc je wbrew woli.

Obie siostry nie były gorsze od reszty i w miarę swoich zabiegów Gómez widział, jak stają się coraz mniej dzikie, tak samo jak ich poprzedniczki.

Po tej początkowej fazie sytuacja zaczęła ulegać poprawie i stopniowo dało się zauważyć, że Cyganki zaczęły odzyskiwać zdrowszy wygląd. Wtedy do roboty wzięła się żona Gómeza, która dokonała niemal cudów, by zamaskować ich pochodzenie. Najpierw zniknęły ich długie, czarne grzywy, skrócone i następnie rozjaśnione dzięki wcieraniu cytryny z octem. Taką samą przemianę przeszła ich skóra, która stopniowo zaczęła tracić początkową ciemność: najpierw dzięki użyciu mydła i wody, potem zaś poprzez aplikację tego samego środka co na włosy.

Kiedy teraz Gómez na nie spoglądał, porządnie uczesane i ubrane, wyglądały jak dwa aniołki: nic nie przypominało o dniu, w którym je kupił. Było mu wręcz przykro się ich pozbywać, zwłaszcza starszej, z której korzystał, kiedy tylko zdołał pozbyć się żony. Nagle dostrzegł don Carlosa, który pragnąc, by wszystko było gotowe na przybycie jego przyszłej małżonki, postanowił towarzyszyć swemu majordomusowi i osobiście wziąć udział w wybieraniu służby, co zdaniem wielu osób nie licowało z jego pozycją.

- Panowie, w całym Madrycie nie znajdziecie dziewcząt bardziej uważnych i pracowitych od nich! - Zaskoczony widokiem księcia, handlarz począł gorliwie zachwalać swój towar.

Majordomus zaczął uważnie badać twarze i ciała dziewcząt, dotykając ich bez żenady, by wypróbować mięśnie.

- Może i mówisz prawdę, ale wyglądają na tak słabowite, że chyba nie będzie można zbyt wiele od nich wymagać. - Bez żadnego skrępowania podniósł spódnice obu sióstr, by sprawdzić, jak wyglądają ich uda. Zdecydowany był zapewnić swej przyszłej pani jak najlepsze służące. - A jeśli się nie zgadzasz, to sam spójrz na te dwie - zachęcił Gómeza, by przekonał się osobiście, nie zdając sobie sprawy, iż kupiec znał już kształty dziewczyn o wiele lepiej, niż można to było sobie wyobrazić.

- Chociaż wydają się szczuplutkie, te dwie są silne jak stal. Jeszcze przyznacie mi rację, kiedy zobaczycie, jak mało jedzą.

- Nie gadajcie głupot, żadne z nich klejnoty - wtrącił sam książę. - Lecz ponieważ w tym domu zjawi się wkrótce moja przyszła żona, jej samej pozostawię decyzję, które z nich mają zostać. Na razie kupuję wszystkie. Idźcie zobaczyć się z moim sekretarzem, żeby wam zapłacił, lecz pilnujcie, by nie zawyżyć ceny, jeśli chcecie dalej robić interesy w tym domu.

Widząc, że nadjeżdża karetą, w której powinien znajdować się kardynał Valenti, książę de Llanes rozkazał słudze odprowadzić nowo przybyłe do pomieszczeń dla służby, by objaśniono im ich zadania, podczas gdy sam udał się powitać dyplomatę.

◆◆◆

Zanim wyniesiono go na stanowisko sekretarza stanu w Watykanie, kardynał pełnił funkcję nuncjusza jego świątobliwości w Hiszpanii, a do tego był bliskim przyjacielem księcia de Llanes. W tamtych czasach często zasiadali razem do stołu i rozmawiali, prawie zawsze w towarzystwie markiza de la Ensenada, a czasem też jego przyjaciółki, hrabiny de Benavente.

Valenti pozdrowił księcia z radością człowieka, który po długim rozstaniu znowu ogląda dobrego przyjaciela, po czym podążył za nim do gabinetu, gdzie oczekiwał Rávago. Upewniwszy się, że nie będzie już potrzebny, książę zostawił ich samych i skierował się na wyższe piętro, by dopilnować ważnego kontraktu na drewno, który chciał doprowadzić do końca między ministerstwem floty i armii a przedsiębiorcą z angielskiego miasta York.

◆◆◆

- Od kiedy doszły mnie wieści o zamachu, nie przestaję zadawać sobie pytania, komu mogłoby zależeć na czymś takim. - Kardynał zsunął z ramion ciężki purpurowy płaszcz, który następnie przerzucił przez fotel. - Czyż mogliby to być ci sami ludzie, którzy zamordowali przełożonego jezuitów?

- Jest zbyt wcześnie, bym zyskał większą pewność co do swoich podejrzeń, lecz pomimo braku przekonujących dowodów coś skłania mnie ku opinii, że w obu przypadkach była to sprawka masonów.

- Jako odpowiedź na dekret o zakazie?

- To możliwe. Mamy w więzieniu Świętego Oficjum ich najwyższego zwierzchnika. Na razie inkwizycja nie zdołała uzyskać od niego żadnych zeznań, ale właśnie wczoraj prosiłem biskupa Pereza Prado, by je z niego wydobył. Na Castro dokonano krwawego rytuału, którego symbolika ma pewne cechy wspólne z ich ceremoniami. Na przykład rana w kształcie trójkąta, przez którą usunęli serce.

- Rozumiem. Trójkąt, który utożsamiają ze swym Bogiem, nazywanym przez nich Wielkim Architektem Wszechświata. Mówiąc w zaufaniu, myślę, że ci ludzie działają pod natchnieniem samego szatana. Podejrzewam, że może ojciec mieć rację. Także z Neapolu doszły nas podobne wieści o krwawych zbrodniach - one również mogą być ich dziełem. Tak czy inaczej, papież Benedykt jest bardzo zadowolony z posłuszeństwa królów Ferdynanda i Carlosa wobec jego bulli zalecającej pozbycie się tego stowarzyszenia. Niestety, nie wszyscy katoliccy władcy Europy podjęli tak lojalne kroki!

- Jestem winny posłuszeństwo papieżowi, dlatego też wypełniam wszystkie jego wskazówki, ustne czy pisemne. Moim zdaniem jednak masoneria powinna być ścigana nie tylko za herezję, choć ten aspekt ich filozofii najbardziej dotyczy ludzi wiary, którymi jesteśmy.

Kardynał Valenti wiedział, że Rávago to człowiek wielkiej inteligencji, lecz nie zawsze było mu łatwo nadążyć za jego tokiem myślenia.

- Nie rozumiem, do czego ojciec zmierza - przyznał.

- Wobec tego spróbuję przedstawić swoje wnioski, nie wprowadzając ekscelencji do głowy zamętu, choć przyznaję, że opieram się na podejrzeniach, nie dowodach. Z jednej strony wiemy, że dopuszczają oni do swego stowarzyszenia wyznawców wszystkich religii, co samo w sobie wydaje się niedorzeczne. Lecz jeśli dodamy do tego fakt, że podobno każdy członek od momentu wstąpienia traci swoją uprzednią pozycję, rangę czy prerogatywy i staje się po prostu jednym z wielu braci, bez rozróżnienia klas, to sądzę, że mamy do czynienia z ogromnym zagrożeniem dla naszego społeczeństwa i obecnego porządku.

- Waszym zdaniem jak daleko sięgają aspiracje tego bractwa? Do całkowitego ujednoczenia społeczeństwa?

- Być może. Jeśli wcielią swoją filozofię w życie, ten duch równości zagrozi naszemu obecnemu porządkowi społecznemu. Szlachta, monarchia, Kościół, który prowadzi ludzi do oświecenia, a także rządy państwowe rozpadną się i ustąpią miejsca nowemu łaadowi.

- Wygląda to na prawdziwą, szeroko zakrojoną rewolucję.

- Stąd też mój niepokój. Do czasu wydania zakazu dowiedzieliśmy się, że zdołali zwerbować wpływowych członków naszej armii, jak również ważnych przedstawicieli kultury, niektórych polityków, i podejrzewam, że również duchownych. Zgromadzili zbyt wiele władzy, by mogli dalej działać swobodnie!

- Jak ojciec tłumaczy fakt, że osobistości, które mają już władzę i wpływy, decydują się odrzucić swoje przywileje i uwierzyć w tę utopię? - Valenti nie był w stanie zrozumieć takiego wyrzeczenia.

- Ja również się nad tym zastanawiam i sędzę, że na to pytanie może istnieć tylko jedna odpowiedź. W niej też może kryć się prawdziwe jądro ich strategii: chcą zmienić aktualny porządek społeczeństwa, by przejąć nad nim władzę. I tyle. A sędząc po ich postępkach, nie zawahają się przed użyciem przemocy, jeśli uznają to za konieczne.

- Jeśli tak, to bulla papieża Benedykta, o której mówiliśmy, może okazać się nie tylko korzystna, lecz także opatrnościowa.

- Oczywiście, drogi Valenti. A przy okazji, jak zdrowie naszego kochanego papieża?

- Mocny jak dąb, możecie być pewni. A król Ferdynand?

- Można powiedzieć, że tak samo jak zawsze, o ile nie zabraknie mu jego największej podpory - królowej Barbary, mnie samego jako spowiednika oraz wszystkich ministrów. Cóż innego mógłbym powiedzieć, skoro ekscelencja wie o tym równie dobrze jak ja?

- Rozumiem! Dla jego własnego dobra i dobra Hiszpanii otoczyliście go mądrymi doradcami i zapewniliście mu wsparcie w słabości jego charakteru.

- Widzę, że nie opuściła was ta szczególna subtelność, mój przyjacielu.

- Jakże mógłbym do tego dopuścić, skoro stanowią teraz ważny element zawilej polityki Watykanu? - Dla większej wygody Valenti zdjął z głowy kardynalski kapelusz. - Czy nasz monarcha nadal martwi się opinią, jaką ma o nim papież?

- Nie przestaje o tym myśleć ani na chwilę. Zdaje mu się, że Benedykt XIV traktuje pozostałych władców Europy z większymi honorami niż jego, a najgorsze, że widzi w tym oznakę pogardy dla własnej osoby. Wierzcie mi, że o ile wewnętrzne sprawy państwa bez problemu składa na swoich ministrów, to jeśli chodzi o relacje zagraniczne, ma się za namaszczonego: za wyższą istotę, którą Bóg wybrał, by decydowała o pozycji, jaką obejmie Hiszpania wśród ogółu narodów. Z tego powodu sędzę, iż uważa ten nowy konkordat nie tylko za porozumienie służące nawiązaniu jeszcze trwalszych i bliższych relacji między obydwoma państwami, lecz za narzędzie, które pomoże mu w umocnieniu przed Ojcem Świętym swej pozycji, którą uważa za zachwianą.

- Jego świątobliwość zaś widzi w tym tylko rażącą próbę odebrania mu dużej części danin, które otrzymuje z Hiszpanii, oraz dalsze umniejszenie tej niewielkiej władzy, jaką do tej pory zatrzymał przy nominacjach wysokich dostojników kościelnych.

- Przyznaję, że te dwie sprawy postawiliśmy zbyt stanowczo, by papież mógł z ochotą zaakceptować konkordat, lecz hojność króla mu to zrekompensuje.

- Mój drogi ojciec Rávago, nie będę się z wami spierał na temat dobrej woli naszego władcy, gdyż nie znam jego zamiarów, ale musicie zrozumieć, że jeśli papież ma się zgodzić na ekonomiczne straty i na oczywiste umniejszenie wpływów, jakie pociągną za sobą wasze

propozycje, suma ta musi być zaiste bardzo szczodra. A wiecie przecież, że jestem po waszej stronie!

- Skarbiec korony jest teraz o wiele pełniejszy niż kiedyś. Nasza neutralność w konfliktach europejskich oraz pokój, jakim się od pewnego czasu cieszymy, sprawiły, że dysponujemy dostatecznymi środkami, by przekazać znaczące kontrybucje.

- Miło mi to słyszeć, gdyż wszystkie te tajne pertraktacje, które prowadzę w Rzymie z wołi waszej i Ensenady, kosztują mnie małą fortunę. Niech wam się nie wydaje, że w kurii watykańskiej wyświadcza się przysługi za nic. - Aż do tego momentu Valenti nie odważył się wspomnieć o swoim honorarium, w końcu jednak uznał, że nadeszła pora, by to uczynić.

- Mój wierny kardynale - odparł jezuita. - Nie powinniście wątpić w to, że nasza hojność zdoła wynagrodzić wasze wysiłki. Markiz de la Ensenada osobiście polecił, aby już teraz przesłano wam sto tysięcy skudów jako rekompensatę za bieżące wydatki, a jeszcze więcej czeka was po podpisaniu konkordatu.

Valenti odetchnął z ulgą, wiedząc, że również on otrzyma wynagrodzenie, którym Ensenada zwykł dziękować współpracownikom.

- Mam nadzieję, że nie razi was moje zachowanie, gdyż w żadnym razie nie kieruje mną chciwość - powiedział. - Chcę tylko upewnić się, że otrzymam dostateczne dofinansowanie. Wierzcie mi, że ta wiadomość bardzo mnie uspokoiła. Podwoję swoje wysiłki, by przekonać papieża do zgody na całkowity patronat króla nad nominacjami do wszystkich ważnych stanowisk kościelnych, nie licząc tych, o których już decyduje w Kościele Granady i Indii. Lecz ostateczna zgoda będzie musiała zostać potwierdzona na samym końcu przez jego świątobliwość. Co do tej drugiej petycji, która uczyni z Kościoła jeszcze jednego podatnika państwa, nie będzie to łatwe. Gdybym jednak wiedział, jaką sumę przeznaczono na rekompensatę, zyskałbym do dyspozycji jeszcze jedną broń, by przekonać papieża do wycofania obecnego sprzeciwu.

- Dwa miliony rzymskich skudów oraz zaufany jurysta, którego pošlemy wam do pomocy przy prawnych zagadnieniach. Jest nim Ventura Figueroa, którego dobrze znacie. Wyruszy z zadaniem, które zamaskuje przed wszystkimi jego prawdziwą misję. Wiecie, że król domagał się, by prowadzono także oficjalne negocjacje, którym przewodzi minister Carvajal - uważamy jednak, że pewne kwestie powinny zostać rozwiązane dyskretnie, jeśli chcemy uniknąć oficjalnych sporów na temat kilku spraw, w szczególności finansowych.

- Ojciec Rávago, możecie się nie martwić: będziecie mieli konkordat! Nie wiem jeszcze kiedy, ale macie moje słowo, że do niego doprowadzę.

- Cieszy mnie wasza determinacja. Przekażę te słowa królowi. - Rávago uznał rozmowę za rozstrzygniętą i zakończoną, lecz naraz przypomniał sobie o zaproszeniu księcia.
- Mielibyście ochotę na wyśmienitą sztukę mięsa po madrycku, którą przygotował nasz gospodarz?



Zaledwie dwa dni później korytarzami tego samego pałacu szła Beatriz. Już za dwa tygodnie, po ślubie z księciem de Llanes, miał on stać się jej domem. Nikt nie zdołał odwieść dziewczyny od decyzji, by się tam udać jak gdyby nigdy nic. Miała dopilnować ostatnich szczegółów swej nowej sypialni oraz kilku zmian w dekoracji dwóch salonów, w których miała wieść życie mężatki. Zanim ruszyła na górne piętro, przedstawiono jej przyszłe służące. Beatriz zwróciła uwagę na jedną z nich, o imieniu Amalia - a raczej na jej oczy, w których ujrzała dziwnie pociągającą, choć niezrozumiałą siłę.

Poprzedniego wieczoru odbył się pogrzeb Braulia. Maria Emilia przez całą uroczystość nie przestawała płakać, jej twarz była wizerunkiem czystego bólu. Beatriz czuła się niezręcznie za każdym razem, gdy spoczywało na niej spojrzenie przyjaciółki, wiedziała bowiem, że Maria szukała u niej zrozumienia, które łączy ludzi przeżywających to samo cierpienie. Kilka razy kusiło ją, by okazać swój ból. Miała nawet ochotę przyłączyć się do niej w przelewaniu łez, które tłoczyły się pod jej powiekami, nie znajdując łatwego ujścia. Wiedziała jednak, jak zapanować nad bólem, i chemie skorzystała z tej wiedzy, by nikt nie zauważył jej cierpienia. Robiła to nie po raz pierwszy. Dzięki temu czuła się lepiej, mimo że nikt jej nie rozumiał.

Podczas gdy ciało Braulia spuszczano w drewnianej trumnie do miejsca wiecznego spoczynku, Beatriz czuła na sobie dziesiątki spojrzeń; wszyscy czekali na to, by odegrała swoją rolę kobiety złamanej nieszczęściem, by zapłakała po śmierci przyjaciela.

Beatriz rozumiała, że przyniosłoby to im dużą ulgę, gdyż widok najbliższych zmarłemu osób, które w końcu pogrążają się w nieutulonym żalu, zwykle uspokaja ludzi. Mimo to ich okłamała, ponieważ jej oczy pozostały czyste i suche podczas tego ostatniego pożegnania nie jej przyjaciela, jak sądziła większość, lecz ukochanego, a zarazem ojca dziecka, które - o czym właśnie się dowiedziała - rosło już w jej brzuchu.

- Panienko Beatriz, przyniosłem pani próbnik, żeby ułatwić wybór materiałów na zasłony i do sypialni. - Zniewieściały pracownik znanego sklepu bławatnego wyrwał ją na moment z rozmyślań.

- Co by mi pan doradził? - Nie chciała zbyt wyraźnie okazywać braku zainteresowania tymi błahostkami, a zresztą czymś przecież musiała się zająć.

- Ze względu na pani młodość i urodę wybrałbym wesołe kolory oraz wzory z dużą ilością kwiatów. - Młodzieniec rozłożył ręce niczym wachlarz, jakby brał w nie ogromny bukiet stokrotek. - Coś, co tchnie trochę życia w tę ciemną i ponurą sypialnię. Sam nie wiem, wybrałbym ten jedwab, na którym, roi się od sugestywnych kwiatów pasiflory, zwanych kwiatami pasji. - Mrugnął do niej znacząco. - Ostatecznie jest to odpowiedni wzór dla namiętnych nowożeńców.

Beatriz spojrzała na niego, zastanawiając się, czy był to żart w złym guście, czy może chłopak po prostu nie znał księcia de Llanes. W obu przypadkach sytuacja ta rozpraszała jej smutne myśli, a nawet budziła w niej pewne rozbawienie.

- Naprawdę staram się znaleźć w tym pokoju jakieś zalety, ale nie jest to łatwe. - Młodzieniec podniósł się stanowczo i podszedł do kominka, pokazując z oburzeniem portret, który nad nim wisiał. - Niech panienka sama spojrzy: cóż ma znaczyć ten zastarzały portret jakiegoś dawnego antenata! Nie chcę ranić jego pamięci, ale to malowidło wręcz zżera cały pokój swoim smutkiem i mrokiem! - Jego uniesienia nie pozostawiały wątpliwości co do opinii na temat obrazu. - Natychmiast bym go zdjął i powiesił inny, z wrózkami płaszącymi po lesie wśród mgiełek, niczym nimfy poszukujące romantycznej miłości albo coś podobnego. - Chłopak gestykulował tak wyraziście, że nie trzeba było nawet oglądać tego obrazu, by móc go ujrzyć oczami wyobraźni.

- Ten portret przedstawia mojego przyszłego małżonka, który, jak sami widzicie, ma ponad sześćdziesiąt lat - powiedziała Beatriz.

Młodzieniec zatrzymał się w swym tańcu po komnacie, przerażony gafą, jaką właśnie popełnił. Na szczęście napięcie opadło, gdy do sypialni weszła przepiękna kobieta w ciąży, która natychmiast zaprzętnęła całą uwagę jego klientki i zmieniła jego własne skrepowanie w zazdrość na widok tak niewiarygodnej urody.

- Matko, nie spodziewałam się ciebie tutaj. - Córka ma do kogo równać, pomyślał chłopak. - Pomożesz mi przy tych trudnych decyzjach.

- Nie musiałaś robić tego dzisiaj. - Kobieta usiadła przy niej i ujęła z miłością jej dłoń.

- Na pewno nie uwierzysz, ale całkiem mi się podobało. - Młodzieniec uśmiechnął się, gdy Beatriz rzuciła w jego stronę znaczące spojrzenie.

- Coraz mniej cię rozumiem, ale podziwiam cię za to, że znajdujesz w sobie dość energii, by szukać rozrywki, chociaż twój Braulio zginął tak niedawno.

Sprzedawca nie chciał wydawać się niedyskretny, ale też nie mógł uczynić nic, by nie słyszeć tej rozmowy. Coraz mniej z tego wszystkiego rozumiał. Jeśli ten, który miał być jej mężem, Braulio, dopiero co umarł, to dlaczego mówiła mu o swoim przyszłym małżonku?

Przypomniawszy sobie słowa dziewczyny. Za kogo więc wychodziła? Czemu nie pozwalała mu zdjąć tego okropnego malowidła z nadkominka?

Sprawa ta wydała mu się niezwykle interesująca. Nie wiedział czemu, lecz miał wrażenie, że za chwilę otrzyma odpowiedź na swoje pytania.

- Wolałabym, żebyś nigdy więcej o nim nie wspominała. Teraz mam zostać żoną don Carlosa i to o nim muszę myśleć.

Carlos było zapewne imieniem księcia i właściciela domu. Być może ten drugi, ten Braulio, był jej ukochanym, a w tak smutnych okolicznościach dziewczyna musiała zdecydować się na mężczyznę z portretu - rozważał chłopak. Nie wiedział, jak wyglądał i w jakim wieku był zmarły, o którym mówiły, lecz wydawało mu się straszne, że tak młodziutka dziewczyna musiała wyjść za takiego starucha.

- Beatriz, twoja postawa jest godna podziwu, lecz myślę, że powinnaś ulżyć swemu bólowi. Nic dobrego nie przyjdzie ci z ukrywania go bez żadnego ujścia. Ty sama mówiłaś, że był miłością twojego życia. Twoją jedyną miłością! - Faustina wiedziała, za które sznurki pociągnąć, by uzyskać pożądaną efekt.

No i zgadza się, Braulio to jej kochanek, pomyślał sprzedawca, bawiąc się materiałami z próbnika i zastanawiając się, co robić: wyjść z pokoju czy zostać i wysłuchać reszty. W obliczu obojętności kobiet i palącej go ciekawości zdecydował się na to drugie.

- Nie uda ci się, matko!

Chcąc przerwać rozmowę, dziewczyna wyrwała mu z rąk próbnik. Pozbawiony swych materiałów, chłopak znalazł się w jeszcze bardziej niezręcznej sytuacji.

- Chociaż mój ślub ma się odbyć tak szybko po śmierci Braulia, pragnę go bardziej niż kiedykolwiek. Chcę zamknąć poprzednie rozdziały mojego życia i otworzyć nowe, z nowymi nadziejami. - Beatriz wybrała materiał z kwiatami pasiflory, który polecił jej wcześniej sprzedawca, po czym zwróciła się do niego: - Z tego zrobicie zasłony i obicia foteli!

- Jak pani sobie życzy! - Napięta atmosfera zdołała pozbawić młodzieńca całej werwy. - Sądzę, że będzie doskonały.

- Proszę wrócić jutro, byśmy mogli spokojnie omówić pozostałe szczegóły. Teraz może pan już iść. Dziękuję za trafne rady!

Chłopak podniósł się, by ucałować z galanterią dłoń obu dam, pragnąc przy tym jak najszybciej opuścić pokój. Kiedy jednak podszedł do matki, wpadł w sidła tych jej szmaragdowych oczu, które lśniły jakby same z siebie. Sparaliżowały go i wzbudziły w nim zamęt. Nigdy nie widział tak wielkiej urody, a po wyjściu z pokoju nie był w stanie uspokoić wzburzenia. Zdał sobie sprawę, że został podbity. Musiał też przyznać, że gdyby natknął się

w życiu na taką kobietę, to wcale nie był taki pewien, czy ostatecznie nie przedłożyłby niewiast ponad mężczyzn.

Wyszedł w chłodne popołudnie madryckich uliczek, pragnąc znów ujrzyć tę wróżkę, nimfę z jego snów.

Nieświadoma romantycznych porywów młodzieńca hrabina de Benavente nie przestawała prowokować Beatriz.

- Pomyślałam, że najlepiej byłoby przełożyć ślub. Sama wzięłabym na siebie rozmowę z księciem...

- Czy to nie wam tak zależało na tym małżeństwie? - przerwała dziewczyna; pod naciskami matki zaczynała już tracić zimną krew. - Skąd więc teraz tyle taktu?

- Co za pytanie! Twoim zdaniem byłoby lepiej, gdybym okazała nieczułość wobec tego, co musisz przeżywać? - Faustina zadawała sobie pytanie, o co chodziło jej przybranej córce, że zachowywała się w tak nieludzki sposób.

- Zostawmy wszystko tak, jak jest, matko. Powiedziałam ci już całkiem wyraźnie, czego chcę i co myślę. A teraz muszę iść na lekcję łaciny.

- Łaciny? - Żadna wiadomość nie mogłaby wprawić hrabiny w większe zdumienie. - Od kiedy to popołudniami odbywasz lekcje łaciny? Córeczko, codziennie dowiaduję się o tobie czegoś nowego.

- Już od kilku tygodni chodzę na specjalne zajęcia. Nie przywiązuj do tego wagi: po prostu pragnę opanować ten język nieco lepiej, niż mogę to zrobić w szkole.

Beatriz opuściła pokój, pozostawiając matkę zupełnie oszołomioną.

W końcu Faustina postanowiła, że porozmawia o tym ze swym kapelanem, który może zdoła ją wesprzeć. Nigdy nie byłaby w stanie sobie wyobrazić, że przyczyną, dla której Beatriz pragnęła poszerzyć swoją znajomość łaciny, była chęć przeczytania w całości żywota świętej Justyny z Padwy w książce, którą podarował jej Braulio.

Kiedy dziewczyna szła piechotą w kierunku domu nauczyciela języków klasycznych, ani na krok nie odstępował jej cień, który rzucała na nią śmierć Braulia i jej matki. A jednak Beatriz czuła się szczęśliwa i tylko ona wiedziała dlaczego. Nigdy wcześniej nie pojmowała z taką jasnością, co szykował jej los.

W *Martyrologii* zawiera się sens, jaki muszę nadać swojemu życiu! - pomyślała na głos, zanim przestąpiła próg drzwi, przez które przechodziła każdego popołudnia.

Kościół Świętego Andrzeja. Madryt. Rok 1751

15 sierpnia

Dywan utworzony z tysięcy płatków białych róż wydzielał z siebie woń pachnidła. Prowadził od miejsca, w którym miała zatrzymać się karetka panny młodej, aż do głównego wejścia do świątyni.

Ślub ten wzbudził ciekawość całej arystokracji miasta, a sądząc po liczbie gapiów, którzy tłoczyli się w okolicach przyległego plaża de Moros, również zwykłego ludu.

Na swój sposób nawet sam Madryt zdawał się radować z tego związku, obdarzając nowożeńców porankiem mniej upalnym niż w poprzednich dniach, wręcz nieodpowiednio rześkim jak na sierpień.

Don Carlos Urbión uśmiechał się szeroko w oczekiwaniu na przybycie narzeczonej, rozmawiając przy tym z różnymi ludźmi i przyjmując od wszystkich życzenia.

Druhną była księżna de Arcos, zachwycona tym zaszczytem, podobnie jak ponownym ślubem księcia, jako że była bliską przyjaciółką jego pierwszej żony. Uczepiona jego ramienia, przeżywała różnego rodzaju emocje: wspominała własny ślub, a także odrobinę zazdrościła dziewczynie, którą miał poślubić Carlos.

Przyznawała, że kilka razy pragnęła, by księżę zwrócił na nią uwagę po śmierci jej męża - na krótko po tym, jak sam został wdowcem. Nigdy nie dała mu tego poznać ze strachu przed odrzuceniem, a teraz żałowała - rozumiała bowiem, że lepiej pasowali do siebie wiekiem, względem miłości zaś mieli mniejsze wymagania, niż będzie miała szesnastoletnia dziewczyna. Patrząc na księcia kątem oka, wspominała miesiące, kiedy przyjmowała jego zaloty, które ograniczały się wtedy do prostej i niewinnej rozrywki, jako że oboje byli związani. Niezależnie od tego, ile czasu upłynęło od tamtych chwil, nadal często przeżywała je w myślach.

Porozmawiali przez dłuższą chwilę z hrabiną de Benavente, która przyjechała właśnie powozem Tréveleza w towarzystwie Marii Emilii. Była już prawie w dziewiątym miesiącu, lecz ciąża nie zdołała w najmniejszym stopniu umniejszyć jej wyjątkowej urody, choć grację ruchów - owszem. Twarz jej się zaokrągliła, a spojrzenie zdawało się teraz zabarwione pryzmatem głębokiego spokoju. Faustina ucałowała z uczuciem przyszłego zięcia i zażartowała z ilości materiału, który trzeba było zużyć na uszycie jej sukni i pomieszczenie wydatnego brzucha.

Księżę de Llanes przyjął także życzenia od Marii Emilii Salvadores, odzianej w rygorystyczną żałobę, przy czym wyraził najszczerzą wdzięczność za wysiłek, jakim musiał być dla niej udział w tych zaślubinach. W jej twarzy dostrzegł oznaki głębokiego cierpienia. Co prawda zauważył też ślad słabego uśmiechu, lecz po napięciu poznał, jak ciężko było jej w istocie znieść tę sytuację.

W tym czasie Trévelez zajmował się obserwacją licznych gości, którzy stali w małych grupkach pod drzwiami kościoła, coraz to pozdrawiając jakąś osobę.

Napotkawszy spojrzenie markiza de la Ensenada, odczytał w nim zaproszenie, by się zbliżyć. Podszedł w tym samym czasie co spowiednik Rávago, który również domyślał się chyba tematu tego przelotnego spotkania.

- Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, jak się miewa twoja towarzyszka. - Somodevilla utkwiał wzrok w smutnej twarzy Marii Emilii, która była również jego przyjaciółką.

- Skłamałbym, mówiąc, że nie martwi mnie jej stan. Zwłaszcza dzisiaj, kiedy brak syna sprawia jej jeszcze większy ból ze względu na jego bliską przyjaźń z panną młodą. Wiercie mi, że ze wszystkich sił starałem się znaleźć dla niej jakąś wymówkę. Choć od tej tragedii minęło już kilka tygodni, to jej ból jest niemal tak samo silny. Jak jednak wiecie, nie jest to kobieta słabego charakteru. Uparła się przyjść, by dać dowód głębokiej miłości, jaką czuje do Beatriz.

- Wesprzyj ją w osamotnieniu i zawsze bądź u jej boku. Jako przyjaciel radzę ci, byś zrobił wszystko, co w twojej mocy, żeby nie stracić tej wyjątkowej kobiety. Niewiele znam takich, które posiadają tyle zalet, ile ona - i to zarówno przymiotów umysłu, jak słodyczy i dobroci serca.

- Ona jeszcze o tym nie wie, ale miałem zamiar oświadczyć się jej podczas tańców w pałacu Moncloa. Nie wyobrażałem sobie, że przerwą go tak dramatyczne zajścia.

- Cieszę się z tego i rozumiem, jak niewłaściwe byłoby to w tej chwili - przerwał mu markiz. - Daj jej jeszcze trochę czasu, ale nie porzucaj tego zamiaru: żaden ból, jakkolwiek wielki, nie jest nie do pokonania, jeśli pojawią się nowe powody ku nadziei. A twoje oświadczyzny na pewno będą dla niej wspianą wieścią.

W trakcie tej rozmowy Rávago stał w milczeniu, lecz niecierpliwie. Myślał o tym, że mieli do rozwiązania zbyt wiele ważnych spraw, by zajmować się problemami jakiejś kobiety.

- Co nowego wiemy o wrogach naszej wiary? - wtrącił w końcu.

Niepokojące pytanie spowiednika na kilka sekund wytrąciło markiza i sędziego z rytmu.

- Co macie na myśli? - spytali jednocześnie.

- Wydaje mi się wręcz niepojęte, że choć na chwilę możecie przestać myśleć o dwunastu zgonach oraz śmierci ojca Castro i że nie stanowią one przedmiotu waszych nieustannych wysiłków, by znaleźć sprawców tych zbrodni.

Bezlitosne oczy Rávaga wbiły się w sędziego Tréveleza jak sztylety.

Jezuita spostrzegł efekt, jaki wzbudziły jego słowa, i skorzystał z chwili skrępowania, by zadać kolejny cios.

- Czy po raz kolejny będę musiał słuchać o waszym tradycyjnym już braku rezultatów, czy też będę miał to szczęście i coś mnie zaskoczy? - dodał.

Trévelez odetchnął głęboko, by się uspokoić, po czym odpowiedział:

- Przez ostatnie tygodnie przesłuchaliśmy ponad pięćdziesięciu oberżystów, i to przy udziale kilku świadków, by ułatwić identyfikację. Brałem udział w większości tych rozmów. - Spojrzał na Rávaga spokojnie. - Przykro mi, że nie mogę powiedzieć nic innego, ale nie odnieśliśmy na razie żadnych sukcesów, i już wyjaśniam dlaczego. Dowiedzieliśmy się, że poza karczmarzami, których zdążyliśmy przesłuchać, w Madrycie istnieje jeszcze cała masa wyszynków, które działają bez licencji, czasem wręcz w domach właścicieli. Jest to okoliczność, której na początku nie wzięliśmy pod uwagę. Ten ogromny rozmiar śledztwa opóźnił nas bardziej, niż się spodziewaliśmy. Z pewnością doskonale to rozumiecie.

- Dużo gadania i żadnych wyników, sędzio Trévelez! - Markiz słuchał w osłupieniu kąśliwości Rávaga. - Ciągłe tylko mydli pan wszystkim oczy swymi absurdalnymi domysłami. Gardzę taką opieszałością i niech wolno mi będzie skorzystać teraz z okazji, by powiedzieć to znamienitemu markizowi de la Ensenada.

- Nie mam ochoty znosić więcej obelg z ojca strony! - Oburzenie Tréveleza zwyciężyło w końcu jego zwyczajową cierpliwość i sędzia dał mu wyraz, nie starając się nawet zapanować nad głosem.

- Proszę was obu o spokój! - przerwał stanowczo Somodevilla. - Przyciągacie uwagę gości, a w żaden sposób nie rozwiąże to naszych kłopotów. Porozmawiajmy, ale z większym szacunkiem i rozważą. - Zwrócił się do spowiednika: - Ojcie Rávago! Waszym zdaniem nasze dochodzenie obrało zły kierunek. Jakie macie dowody, że mówicie z taką pewnością? Jeśli je posiadacie, to w którą stronę powinniśmy się zwrócić?

- W stronę tych przeklętych masonów! - Jezuita przeżegnał się odruchowo. - Wczoraj dowiedziałem się, że Wilmore zmarł przed tygodniem. - Na tę wieść obaj rozmówcy zdziwili się, że nie zostali o tym powiadomieni przez Święte Oficjum. - Biskup Pérez Prado chciał zachować jego śmierć w tajemnicy, gdyż wygląda na to, że nie była ona całkiem przypadkowa.

Przerwał na chwilę i podszedł jeszcze bliżej, by nikt z pozostałych gości ich nie słyszał.

- Wczoraj odbyłem z nim długą rozmowę; dopiero gdy wyraziłem pewne zainteresowanie okolicznościami zgonu, zdał mi relację z wiele tłumaczącej rozmowy, którą odbył z więźniem.

- Choć niechętnie, ale muszę pogodzić się z faktem, że nie poinformowano mnie o tych zajściach - skomentował Trévelez. - Jeszcze mniej podoba mi się to, że Wilmore mógł zeznać coś, co ma związek ze sprawą, a nikt mnie o tym nie zawiadomił. A może przyznał się do udziału w tych zbrodniach?

- Nie posunął się aż tak daleko. Wie pan równie dobrze jak ja o jego niezłomnym milczeniu w trakcie najostrejszych nawet przesłuchań. Lecz najwyraźniej dał do zrozumienia, bardzo nieznacznie, że wiedział o zamachach, które miały ostatnio miejsce.

Szmer wśród zebranych zapowiedział przyjazd powozu panny młodej.

Rávago, zdając sobie sprawę z krótkiego czasu, jaki pozostał im do zakończenia rozmowy, rzucił w powietrze ostatnie pytanie:

- Nie wydaje się panu, że zemsta na wszystkich najważniejszych instytucjach, które doprowadziły do zakazu działalności masonów, i to zemsta za jednym zamachem, mogła być dla nich dostatecznym powodem do takiego ataku? Bo mnie owszem! - przerwał na chwilę. - Dlatego niech pan nie szuka wyłącznie w oberżach - tu jeszcze raz spojrzął na sędziego Tréveleza - lecz rozgląda się też po ich łóżach i przesłuchuje ich dawnych członków.



Na widok Beatriz, kroczącej z gracją po różanym dywanie w dopasowanej sukni z białego jedwabiu, trzymającej pod ramię hrabiego de Benavente, i z twarzą zakrytą welonem, który nie mógł ukryć jej młodzieńczej urody, Maria Emilia poczuła w sercu ukłucie. Wyobrażała sobie, co czułby Braulio, gdyby ją zobaczył; Beatriz zawsze była dla niego nieosiągalna, a o ileż bardziej byłaby teraz. Maria nie weszła do kościoła razem z resztą gości. Od pogrzebu syna nie widziała się z dziewczyną, a musiała powiedzieć jej jeszcze o tylu rzeczach: że dawała jej swoje całkowite błogosławieństwo, swoją przyjaźń, swoje zrozumienie - pomimo wielkiego bólu, który ją przeszywał.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Gdy obie kobiety zamknęły się wzajemnie w mocnym uścisku, nie było między nimi możliwe żadne kłamstwo. Czystość bieli, symbol nowej przyszłości dla Beatriz, kontrastował z czernią żałoby Marii, odbiciem przeszłości.

Wtedy dziewczyna szepnęła, że prawdziwym odbiorcą jej przysięgi nie będzie ten, kto czekał dziś na nią przy ołtarzu. On nigdy nie zdoła go zastąpić. Maria Emilia wysłuchiwała jej słów, lecz niezbyt ją one pocieszyły. Beatriz zapłakała; nikt tego nie widział, tylko Maria Emilia, która podniosła jej welon, by zetrzeć łzy swymi pocałunkami. W tym momencie

usłyszała od niej coś, czego na razie nie była w stanie zrozumieć, lecz co zachowała jak zamknięty skarb w największych głębinach swej duszy.

Beatriz wyszeptła te słowa bardzo szybko, tak żeby tylko przyjaciółka mogła je usłyszeć. Powiedziała, że Braulio nadal w niej żyje. Maria nie miała pojęcia, co to miało oznaczać, lecz odczuła wagę tych słów i zdała sobie sprawę, że zupełnie niespodziewanie połączyło je to o wiele mocniej.

Patrzyła, jak Beatriz odchodzi, zwrócona do niej plecami: drobna postać, młoda latami, lecz wielka i dojrzała sercem oraz determinacją. Zadała sobie pytanie, co też mogło kierować wolą Beatriz. Przecież na własne oczy widziała w swoim krótkim życiu tyle nieszczęść. Najpierw tragedia rodziców - matka zamordowana na jej oczach, potem śmierć ojca w więzieniu. A jednak dała radę się z tego otrząsnąć. Co takiego miała w sobie ta zaledwie szesnastoletnia dziewczyna, że zdołała pokonać również śmierć swej jedynej miłości, Braulia, i mogła teraz śmiało i bez strachu kroczyć ku nowemu życiu, którego wcale nie pragnęła. Było to zupełnie różne od wszystkiego, co zrobiłaby sama Maria.

Zazdrościła Beatriz rozsądku. I w ciągu tych kilku sekund, które wydawały jej się godzinami, zdała sobie sprawę, że przy swoich trzydziestu pięciu latach nie nauczyła się niemal niczego. Wśród ruin swego życia od trzech tygodni codziennie oddawała się z niezmierzoną pasją dawnemu przyjacielowi jej męża i swemu przygodnemu kochankowi, kapitanowi Álvarovi Pardowi Ordúñezowi. Po kilku latach bez żadnych wieści marynarz pojawił się nagle u jej drzwi tydzień po śmierci Braulia, by wypełnić starą obietnicę - i bardziej zaskoczyło go nieoczekiwane przyjęcie niż jej na nowo odkryte uroki. Korzystając z tych wspólnych tygodni, ochoczo zaspokajał wszelkie jej pragnienia.

Od jego przybycia Maria Emilia nie poznawała samej siebie. Myślała o tym za każdym razem, gdy oddawała mu się z całą namiętnością, i gdy oszukiwała Joaquina Tréveleza, któremu odmówiła tych samych rozkoszy, jakie teraz bez umiaru ofiarowywała innemu.

Po raz pierwszy w życiu zachowywała się irracjonalnie, nie zastanawiając się nad konsekwencjami swych czynów, pozwalając kierować sobą instynktowi.

Pierwszy raz, kiedy oddała się marynarzowi, miał miejsce kilka godzin po tym, jak otworzyła przed nim drzwi - nie dała mu dojść do słowa, nie pytała, co tu robił. Ostatnio zaś była z nim jeszcze tego samego ranka, kiedy pozwoliła mu się zwyciężyć w zagorzałej bitwie o to, by nie dopuścić do ubrania się na ślub.

Wiedziała, że powoli ją to niszczyło, lecz niezbyt się tym przejmowała. Obecność Álvara rozpętała w niej potrzebę cielesnej przyjemności, fizycznej rozkoszy, czegoś, co

zrekompensowałyby jej wewnętrzny ból. Wiedziała, że mogło to zniszczyć jej związek z Joaquínem, czego z całej duszy sobie nie życzyła, lecz zarazem nie mogła uciec od wrażenia, że w ramionach kochanka znowu ożywała.

Wiedziała o tym tylko Faustina, która wyrzucała jej brak rozsądku za to, że ryzykowała cenny związek dla łatwej chwilowej pociechy. Zapewniała też, że jeśli tak dalej pójdzie, to Maria w końcu straci rozum.

Maria Emilia wiedziała, że jej przyjaciółka miała rację, lecz w tym burzliwym doświadczeniu odkryła coś wyjątkowego, coś, co przywróciło jej nową równowagę, wyzwalając od wszelkiej niepewności. Trudno byłoby jej to wytłumaczyć, lecz wiedziała, że do tej świadomości dotarła poprzez zniszczenie tego, co wydawało się całkowicie stabilne; tego, co łatwe. Pojęła, że musiała zaryzykować swój obecny związek aż do granic możliwości, by w końcu zdać sobie sprawę z tego, jak wiele posiadała.

Bez żadnych wyrzutów sumienia ujęła Joaquina pod ramię.

On był jej rzeczywistością.

Kiedy na sekundę przed wejściem do kościoła Beatriz odwróciła się ku niej, Maria uśmiechnęła się w ostatnim geście zrozumienia i miłości, wiedząc, jak trudny los czekał dziewczynę.



Wątle światło, które dobywało się z latarni na fasadzie pałacu księcia de Llanes, przesączało się przez maleńką szczelinę między ciężkimi kotarami głównej sypialni.

Leżąc po raz pierwszy w swoim nowym łóżu, Beatriz wpatrywała się smutno w jakiś nieokreślony punkt. U jej boku spał książę, wyczerpany trudem, który właśnie przeżył.

Na wspomnienie odrażającego zjednoczenia, które musiała znieść zaledwie przed chwilą, po jej policzkach spływały łzy.

Gdy dotyka jego skóry, wyobrażała sobie skórę Braulia, a kiedy ją całował, czuła na swoich wargach dotyk ust ukochanego. Szorstkie pieszczoty księcia wzbudzały w niej mdłości, a jeszcze bardziej to, jak się pocił. Usiłowała jednak udawać przyjemność i pomagała mu w osiągnięciu rozkoszy, by usprawiedliwić tym swoją ciężę i wmówić mu potem ojcostwo.

Wspomnienia tego bolesnego dnia nie pozwalały jej zasnąć. Z jednej strony wydawało jej się, że wszystko minęło bardzo szybko: ceremonia ślubna, potem posiłek w jej nowym pałacu, życzenia, tańce. Wszystko zdawało jej się obce. Jakby była kimś innym.

W swojej wyobraźni przeżywała ten dzień, wyobrażając sobie, że mężczyzną u jej boku - tym, z którym zawarła małżeństwo - był nie książę de Llanes, lecz Braulio. Tylko w ten sposób mogła znieść swój los.

Leżąc w pościeli, w obcym domu, czuła się porzucona i pełna zamętu na myśl o swoim nowym życiu jako małżonki Carlosa Urbióna. Nie mogła już być dzieckiem, stała się teraz kobietą zamężną, jedyni zaś ludzie, z którymi wiązały ją uczuciowe więzi, spoczywali w ziemi lub znajdowali się daleko od niej, jak w przypadku jej matki Faustyny oraz jej przyjaciółki, Marii Emilii.

Na krótko przed zaśnięciem pomyślała, że właśnie rozpoczęła nowy rozdział w swoim krótkim życiu. Nie wiedziała, czy nie okaże się on najgorszy z dotychczasowych.

Pogładziła się po brzuchu z matczyną czułością, pragnąc poczuć pod palcami to nowe życie, które w niej rosło, po czym zamknęła oczy.



Joaquín Trévez ostatecznie zakończył swój związek z Marią Emilią. Jego podejrzania się potwierdziły.

Już od jakiegoś czasu zadreęczał się obecnością tamtego marynarza w domu swojej wybranki.

Odkąd się pojawił, Maria Emilia tłumaczyła jego kilkudniowy pobyt u siebie szlachetną i starą przyjaźnią, która łączyła ich ponoć w przeszłości, oraz radością, jaką sprawiło jej jego nieoczekiwane przybycie.

W pierwszej chwili Joaquín uznał wizytę za bardzo korzystną, przynajmniej jako przeciwwaga dla delikatnego okresu, który przechodziła Maria Emilia, zwłaszcza kiedy przekonał się o poprawie jej nastroju, jaka nastąpiła w ciągu pierwszych dwóch tygodni.

Lecz jego zaufanie zaczęło słabnąć po odkryciu kilku szczegółów, które z nieznaczących drobiazgów zmieniły się w poważne podejrzania. Bezgraniczna pewność siebie, jaką ten Alvaro prezentował w obecności Marii, przestała wydawać mu się niewinna. Podobnie niewytłumaczalny i bolesny dystans, którego Maria Emilia nabrała w stosunku do niego samego. Mimo to nie zwątpił w nią aż do tego wieczoru.

Kilka dni po ślubie Beatriz z księciem de Llanes jedli we trójkę kolację. Wtedy właśnie, między jednym a drugim daniem, Trévez zauważył pewien wyraz zażyłości za każdym razem, gdy tamtych dwoje na siebie patrzyło: zmysłową iskrę typową raczej dla ludzi, których łączy namiętny związek, a nie zwykła przyjaźń. Po tym spostrzeżeniu nie był w stanie się pohamować i skomentował to przed gospodynią. Jego wątpliwości ostatecznie się rozwiały. Maria Emilia nie zaprzeczyła, on zaś ujrzał, jak świat zapada mu się pod stopami.

Nie usłyszał od niej żadnego wyjaśnienia, tylko zduszony płacz, bez słów, odległy, pozbawiony widocznych wyrzutów sumienia. Mógł na to odpowiedzieć jedynie ostatecznym pożegnaniem. Maria Emilia próbowała zatrzymać go w drzwiach domu.

- Nie chciałam cię wciągać w swój upadek, Joaquínie. Kocham cię! - zawołała.

- I ja tak sądziłem, Mario - odpowiedział. W jego oczach brakowało teraz tego ciepła, które było w nich do tej pory - ale nie potrafię dzielić się miłością jak ty. Najlepiej będzie, jeśli przestaniemy się widywać.

Kiedy dotarł do siebie, te ostatnie słowa wciąż jeszcze tłukły mu się po głowie, nie pozwalając mu zasnąć. Jakkolwiek by o tym myślał, jakby próbował usprawiedliwić jej zachowanie ogromnym szokiem, który przeżyła po stracie syna, nie mógł przestać sobie wyobrażać, jak każdego dnia, każdej nocy, kocha się z tamtym mężczyzną, a nie z nim.

Joaquín Trévez był twardym człowiekiem i przywykł do wszelkiego rodzaju okrucieństw i podłości, do jakich mogła się zniżyć istota ludzka. Spoglądał w czarną twarz zbrodni i odsłaniał zboczenia chorych umysłów, z którymi stykał się w swoim zawodzie. Lecz ta zdrada była najgorszym, co go w życiu spotkało. Zapłakał z goryczą tak gwałtownie, jak nie czynił tego od lat.

Po kilku godzinach otworzył oczy i zobaczył, że w komnacie wciąż było ciemno. Obudził go ktoś, kto stał pod drzwiami, i sądząc po uporze, zamierzał wołać tak długo, jak będzie trzeba.

- Proszę! - Trévez podniósł się z łóżka i zapalił świecę. Na zegarze ściennym zobaczył, że była dopiero siódma rano.

Głowa bolała go jak nigdy.

- Panie, przykro mi, że muszę cię obudzić przed czasem, ale właśnie przybył jeden z adiutantów w towarzystwie oddziału straży. Powiedzieli, że muszą pilnie z wami porozmawiać.

Joaquín dobrze znał swojego najbliższego współpracownika i jego wręcz przysłowiową rozwagę. Uznał, że jeśli ktoś taki postanowił go obudzić, sprawa musiała być najwyższej wagi.

Pospiesznie ubrał się i zabrał pistolet, który trzymał w szufladzie komody.

Próbował domyślić się, w czym rzecz. Instynkt mówił mu, że nie chodziło o kolejne zabójstwo, zwłaszcza że nie wzywano go przed oblicze ministrów. Mimo to coś kazało mu przypuszczać, że i tak dojdzie jeszcze do następnej zbrodni.

Zbiegł po schodach, przeskakując je po dwa stopnie naraz, po czym wszedł do salonu, gdzie czekał jego zastępca.

- Właśnie otrzymaliśmy dość wiarygodną informację o możliwym miejscu pobytu oberżystów, którzy pojawili się tamtej nocy w pałacu Moncloa - oświadczył mężczyzna.

- W takim razie chodźmy tam natychmiast. - Trévelez zwrócił się do swojego majordomusa. - Każ osiodłać mojego konia! - Następnie odwrócił się z powrotem do zastępcy. - A ty w tym czasie podaj mi wszystkie szczegóły!

Adiutant opowiedział mu, jak tej nocy zatrzymali mężczyznę, który prowadził nielicencjonowany wyszynk. Doprowadził do tego donos jakiejś sąsiadki, która najwyraźniej dość miała ciągłych hałasów po nocach i wymijania co rano szeregu opojów śpiących przed jej domem w kałużach nieczystości.

Joaquín ponaglił go niecierpliwie i mężczyzna przeszedł do najciekawszej części sprawy.

- Podczas przesłuchania nikt z nocnej zmiany nie połączył go z naszym dochodzeniem w sprawie podejrzanych oberżystów. To on sam zdradził się oświadczeniem, że nie ma z tym nic wspólnego. Wyjawił nam jednak, jak odnaleźć możliwych sprawców. Podobno są to jacyś bracia.

- Lecz skoro nikt nie stawiał mu żadnych zarzutów w tej sprawie, jak uzyskaliście jego zeznanie? - Trévelez dostał wiadomość, że jego koń czekał już u bram rezydencji, osiodłany i gotów do drogi, zatem ruszyli z zastępcą na zewnątrz.

- Przyznał, że pożyczył wóz ze sporą ilością zapasów dwóm znajomym, z których jeden ma na imię Silerio. Nie wiedział, do czego im to było potrzebne, ale dobrze mu zapłacili, a jeszcze więcej dostało mu się po zwrocie. Z początku nic nie podejrzewał, ale związał jedno z drugim, kiedy zaczęły się rozchodzić pogłoski o podejrzeniach, że za zamach odpowiadało dwóch oberżystów. Straszny ciężar tej winy, mimo iż przyczynił się do tego tylko pośrednio, ciążył mu od tej pory na sercu, lecz karczmarz nie miał odwagi o tym donieść, by nie ryzykować swej pokątnej działalności. - Dosiedli koni i ruszyli w stronę wrót pałacyku. - To chyba był główny motyw, dla którego oczyścił swoje sumienie. Oczywiście poza prośbą, byśmy w zamian darowali mu prowadzenie nielegalnego interesu.

- Wspaniałe wieści!

Trévelez wyobrażał już sobie gratulacje od najwyższych dostojników rządu i od samego króla, gdy tylko poinformuje ich o zatrzymaniu sprawców rzezi.

- Dokąd się udajemy?

- Wskazówki, które nam podał, są nieco mętne, lecz sądzę, że wystarczą. Musimy obrać gościniec na Vallecas i dwa kilometry od Mądrym zapytać w spichlerzu o drogę, która podobno odchodzi stamtąd do kuźni. Tam właśnie żyją i pracują podejrzani.

Dzwony z klasztoru świętego Franciszka wybiły pół do ósmej.

- Zatem jedźmy już, bo może to trochę potrwać - rzucił Trévez.

O tak wczesnej porze na ulicach Mądrym nie panował jeszcze zwyczajowy ruch, co pozwoliło im przebyć je w dobrym tempie. Tylko na dwóch skrzyżowaniach musieli torować sobie drogę, krzycząc: „Przejdźcie dla sędziego dworu!”. I tak pozostawili za sobą centrum miasta, zmierzając do bramy, która była zarazem wejściem do stolicy dla całego wschodu Hiszpanii.

Granicę miasta wyznaczała pustelnia Chrystusa Oliwskiego, poza nią zaś nie było już nic prócz pól i gospodarstw wiejskich.

Wąska droga, która brała w tym punkcie swój początek, zaczynała wypełniać się licznymi wozami, przybywającymi codziennie na madryckie targi.

Trévez palił się z ochoty, by dotrzeć już na miejsce. Miał nadzieję, że praca zmniejszy, przynajmniej częściowo, ból rozstania z Marią. Niestety, niewiele wiedzieli o ludziach, których zamierzali aresztować: tyle tylko, że byli braćmi, i że jeden z nich miał na imię Silerio - jedynie to zdołał sobie przypomnieć zatrzymany tej nocy karczmarz.

Ich podróż przebiegała powoli, gdyż ruch wzrastał z minuty na minutę i czasem zmuszał ich do przystawania. Na widok uzbrojonego oddziału na twarzach woźniców pojawiała się zdziwienie, i zadawali oni sobie pytanie, jakież to sprawy skłaniały straż do takiego pośpiechu.

Dotarli do spichlerza, gdzie dowiedzieli się, jak dojechać do kuźni, która znajdowała się nie więcej niż kilometr dalej. Budynek wznosił się w głębi łagodnej doliny, a do niego dobudowany był skromny, jednopiętrowy dom mieszkalny. Na podwórzu nie zobaczyli ani żywej duszy.

Uwiązali konie do kępy starych dębów w pobliżu zabudowań i w ciszy podeszli bliżej, trzymając w gotowości naładowaną broń. Rozstawili się przy wszystkich wejściach do obu budynków, obserwując każdą potencjalną drogę ucieczki. Trévez osobiście sprawdził rozmieszczenie swoich ludzi, po czym wszedł do kuźni razem z dwoma żołnierzami.

Szczeliny w drewnianych ścianach przepuszczały tysiące równoległych promyków światła, tworząc we wnętrzu kapryśną, rozświetloną plataninę. W przestronnym pomieszczeniu, pełnym stołów do pracy i z ogromnym, zagaszonym paleniskiem w rogu, panowała całkowita cisza. Trévez gestem nakazał jednemu z ludzi, by otworzył drzwi, prowadzące najwyraźniej do małego pokoiku. Wewnątrz nikogo nie było: tylko dwa proste łóżka i silny zapach potu.

Wyszli z kuźni i skierowali się w stronę domu. Po dymie z komina znać było, że w środku ktoś był. Otoczyli budynek, a dwóch strażników stanęło po obu stronach drzwi. Trévelez zapukał w nie mocno.

Otworzył im mężczyzna w średnim wieku. Na widok tyłu mierzących do niego żołnierzy wykonał ruch, jakby chciał rzucić się do ucieczki.

- Na ziemię! - Rozkaz pochodził z ust człowieka o suchej twarzy, podbródka z przerwą i wystających kościach policzkowych, które nadawały mu bardzo groźny wygląd.

- Przedstawcie się sędziemu domu i dworu Madrytu! - Zastępca Tréveleza nadepnął mężczyznę na plecy, by go unieruchomić.

- Nazywam się Claudio i jestem tylko skromnym kowalem, który nie rozumie, co za sprawa mogła panów przywieść do jego domu.

- Jesteś poszukiwany pod zarzutem zamachu. Gdzie jest twój brat, Silerio? - Nie czekając na odpowiedź, Trévelez rozkazał, by żołnierze weszli do domu i poszukali drugiego.

- Zamach? - Suchość w ustach sprawiała, że kowalowi trudno było mówić wyraźnie. Po krótkiej chwili przyszło mu do głowy coś jeszcze. - Ależ ja nie mam żadnego brata!

Mężczyzna, który przyciskał go do ziemi, wymierzył mu bolesnego kopniaka w żebra.

- Cyganie odeszli dziś rano - dodał kowal natychmiast, kaszląc mocno.

- O jakich Cyganach mówisz? - Trévelez nie widział w tym żadnego sensu. - Szukamy dwóch mężczyzn, a ty musisz być jednym z nich. Nie opieraj się dłużej i gadaj, co wiesz.

- Czy mógłbym wstać?

- Jeśli nie będziesz próbował niczego głupiego.

- Obiecuję.

Przestraszony kowal podniósł się z trudem na nogi, pokonując ostry ból w boku.

- Aż do dzisiaj pracowało u mnie dwóch braci cygańskiego pochodzenia. Muszę przyznać, że zachowywali się o wiele lepiej od was.

Jeden z żołnierzy wymierzył mu policzek.

- Z większym szacunkiem do sędziego!

- Powiedz coś więcej! - rzekł Trévelez, nakazując podwładnemu powściągnąć swoją gwałtowność. - Dlaczego odeszli? I dokąd?

- Nie wiem. Mogę wam powiedzieć tylko tyle, że przyszli do mnie wczoraj wieczorem i powiedzieli, że udają się do Mądrym, w związku z czym od dziś nie będą już pracować w mojej kuźni.

- Jesteś pewien, że to Cyganie? - Trévelez pomyślał, że taka możliwość nikomu jeszcze nie przyszła do głowy. Przypomniał sobie reprimendę spowiednika Rávaga podczas

ślubu Beatriz. Miał ochotę stanąć przed nim i rzucić mu w twarz jego teorię, by pozbawić go nieco buty.

- Całkowicie!

Kowal wiedział, że współdziałal w zamachu był ciężko karany, jak również, że sprawa musiała być poważna, skoro wymagała interwencji samego sędziego.

- Czy mógłbym wiedzieć, co oni zrobili?

- Mów, co o nich wiesz! Reszta cię nie dotyczy. Claudio zastanawiał się, jaką decyzję powinien podjąć w tych okolicznościach. Mógł okazać chęć współpracy i wyjawić, gdzie mogli znaleźć Cyganów, gdyż domyślał się ich miejsca pobytu, lub milczeć. W końcu stwierdził, że skoro żołnierze nie chcieli mu powiedzieć, dlaczego ich szukali, to ze względu na sympatię wobec obu Cyganów on im w tym nie pomoże.

- Będzie jakieś dwa lata, odkąd się tu pojawili, prosząc o pracę i dach nad głową. Nazywają się Timbrio i Silerio, a na nazwisko mają Heredia. Znałem ich wcześniej, z czasów kiedy prowadzili własny interes w miasteczku opodal. Z ich referencjami nie wahałem się przyjąć ich do swojego domu. Mieszkali tu aż do dzisiaj.

- Wiesz, że udzielenie schronienia Cyganowi i niezgłoszenie tego władzom jest ciężkim przestępstwem.

Trévelez nie chciał naciskać zbyt mocno, by kowal się nie zaciął, lecz przyszło mu do głowy, że poważne ostrzeżenie pobudzi jego chęć współpracy.

- Nie wiedziałem o tym - skłamał Claudio. - Zrozumcie, panowie, że postąpiłem po prostu jak dobry chrześcijanin i przyjąłem do siebie bezrobotnych.

- Przy mnie możesz sobie oszczędzić dowodów swego miłosierdzia. Lepiej skup się na wyjaśnieniu, jak i kiedy opuścili twój dom, albo powiedz cokolwiek, co pomoże w ustaleniu ich nowego miejsca pobytu.

- Ale o co się ich oskarża? - spytał kowal jeszcze raz, by ostatecznie zdecydować, które rozwiązanie ma wybrać: milczeć czy wszystko wyznać.

- Powtarzam, że nie powinno cię to obchodzić. Pomóż nam i powiedz wszystko, co wiesz, a o reszcie zapomnij. I tak dowiesz się we właściwym czasie. - Nie zdając sobie z tego sprawy, Trévelez właśnie pchnął go w stronę pierwszego rozwiązania.

- Wyjechali konno o świcie wraz ze swoim niewielkim dobytkiem. Udali się w kierunku Mądrym, ale - jak już mówiłem - nie powiedzieli mi nic więcej. Musicie mi uwierzyć. Odchodząc, pozbawili mnie pomocy, której potrzebuję do wykonania wszystkich zleceń. Wyrzucałem im to z całą surowością, ale po tych wszystkich przysługach, które im

wyświadczyłem, nie dali się przekonać i odeszli właściwie bez pożegnania. Nie wiem, dokąd się udali. Czuję się oszukany.

- W porządku - powiedział Trévez. - Ale ostrzegam, że jeśli będziesz miał o nich jakiegokolwiek wieści i nas nie zawiadomisz, gorzko tego pożałujesz.

Następnie rozkazał, by przeszukano porządnie wszystkie pomieszczenia, na wypadek gdyby były w nich jakiegokolwiek ślady, które mogłyby pomóc w odnalezieniu Cyganów. Potem dosiadł swojego konia i polecił czterem żołnierzom, by wrócili z nim do Mądrym. Jego pierwszym przystankiem miał być pałac, gdzie musiał zobaczyć się z Rávagiem i Somodevilla.

Po drodze rozmyślał o tym, że trop z Cyganami rokował dobre nadzieje: mógł zmienić cały przebieg śledztwa. Może będą mogli odrzucić inne poszlaki i wreszcie doprowadzić sprawę do szybkiego końca. Przynajmniej znał ich imiona, a to ułatwi mu ich odnalezienie. Po chwili opadło go niemiłe wspomnienie rozstania z Marią Emilią. Musiał się z nim pogodzić. Wiedział, że postąpił słusznie, lecz jego serce opierało się przed tą stratą. Próbował sobie wyobrazić, jak po tej gorzkiej nocy czuła się ona.



- Wyłaż z mojego łóżka! - Maria obróciła się w pościeli, uciekając przed dotykiem Álvaro, który wszedł właśnie do pokoju i położył się przy niej. - Powiedziałam ci wczoraj, że to koniec. Zostaw mnie samą i wracaj do swojej sypialni!

Spróbowała się podnieść, lecz dłonie marynarza chwyciły ją w pasie i przytrzymały.

- Jak mam to zrobić, skoro płonę z pożądania do ciebie? Nie zadręczaj się już. Zobaczysz, sprawię, że zapomnisz o wszystkich kłopotach.

Przycisnął ją do siebie i zaczął całować po szyi.

- Nie, tak nie można... Naprawdę... - Ich usta się odnalazły i Maria zaczęła opierać się z mniejszym wigorem. - Popelniamy błąd, Alvaro.

Alvaro podniósł jej koszulę nocną i zsunął ją przez głowę, nie zważając na jej słowa.

- Najstłodszy błąd, jaki znam.

Maria Emilia zamknęła oczy i jeszcze raz oddała się temu szaleństwu. Alvaro budził w niej najbardziej irracjonalną część jej kobiecości. Potrafił zdusić wszelkie przebłyski jej rozsądku. Uwielbiała być przez niego kochana, pragnęła tego każdego dnia, choć wiedziała, że wciągało ją to w przepaść.

Kiedy jej ciało otworzyło się na rozkosz, jej świadomość rozpadła się na kawałki. Powstała w niej rana, która rozdzierała ją na dwoje.

W tych wczesnych godzinach poranka, kiedy całkowicie uległa Álvarowi, ujrzała nagle twarz swego ukochanego Joaquina i zapłakała po nim. Łzy spływały jej po policzkach i mieszały się z potem Álvaro. W tym szaleństwie nie było żadnego sensu. Płakała za swą prawdziwą miłością, a jednocześnie zażywała rozkoszy z innym.

Ich namiętność była gwałtowna, pełna determinacji i pozbawiona związku ze światem zewnętrznym. W końcu dochodzące z ulicy okrzyki wyrwały ich z tego narkotycznego stanu. Maria Emilia podniosła się z łóżka i nie okrywając swojej nagości, rozsunęła ciężkie kotary, by poznać przyczynę tego zamieszania.

To, co zobaczyła na jednym z balkonów zdobiących fasadę pałacu, w którym od czasu ślubu mieszkała Beatriz, wstrząsnęło nią do głębi.

Alvaro podszedł do niej, okrył ją prześcieradłem, którym był owinięty, i objął, by zasłonić przed nią potworny obraz, wyglądający na dzieło samego szatana.

- Boże święty, przecież to księżę de Llanes...

Maria Emilia oderwała wstrząśnięte spojrzenie od na wpół obnażonego ciała rozpiętego na tralkach balustrady, po czym upadła zemdlna na myśl, że Beatriz mógł spotkać podobny los.

Jelita starego księcia zwisały obscenicznie, wylewając się z dużej trójkątnej rany na brzuchu.

Pałac księcia de Llanes. Madryt Rok 1751

22 sierpnia

- Odetnijcie sznury, którymi go przywiązano, i wnieście go ostrożnie do środka! Nie może tak dalek wisieć, wystawiony na spojrzenia motłochu.

W głównej sypialni pałacu księcia sędzia Trévelez wydawał rozkazy swojej ekipie. Stojący u jego boku Somodevilla nie był w stanie ukryć wstrząsu na widok barbarzyńskiej zbrodni, jaką popełniono na jednym z jego najbliższych współpracowników, don Carlosie Urbiónie, księciu de Llanes. Jednocześnie ze smutkiem myślał o tym, że minął ledwo tydzień od jego ślubu. Dobrze chociaż, że mordercy oszczędzili Beatriz - zabrano ją do przyległej komnaty, gdzie dochodziła do siebie po napadzie.

Obaj mężczyźni przybyli prosto z pałacu Buen Retiro, gdzie odbywali zwołane przez Tréveleza spotkanie, by omówić możliwości, choć zaskakujący udział Cyganów w zamachu na pałac Moncloa.

Nie zdążyli omówić konsekwencji, jakie pociągał za sobą ten nowy trop, ani podjąć żadnych decyzji, gdyż powiadomiono ich o kolejnym zajściu, do którego doszło w nocy w samym centrum Madrytu.

- Ta sprawa wymyka nam się z rąk, Trévelez. Ensenada zakrył usta chusteczką, lecz nie zdołał zapanować nad mdłościami.

Czterech gwardzistów wniosło rozdarte ciało księcia do pokoju i złożyło je na podłodze, na czystym prześcieradle.

Jeden z nich podniósł niezgrabnie wnętrzności zamordowanego, po czym z miną pełną obrzydzenia włożył mu je do środka brzucha.

- Muszę natychmiast zawiadomić o tym króla - ciągnął markiz - ale kiedy skończycie, chcę, żebyś stawiał się w moim gabinecie na pilną naradę. To się musi jak najszybciej skończyć! - Rzucił ostatnie spojrzenie na zmaltretowane zwłoki księcia. - Muszę przyznać, że gdybym nie widział tego na własne oczy, pomyślałbym, że to jakiś straszny koszmar. Jestem zszokowany.

Głęboko wstrząśnięty Trévelez przyglądał się ciału arystokraty. Reszta ekipy czekała i obserwowała go, ufna w jego sprawdzone zdolności i opanowanie. Profesja sędziego wymagała zachowania w takich przypadkach zimnej krwi, zatem Trévelez, jak to czynił już tyle razy, odseparował się w końcu od strasznej rzeczywistości i przekształcił ją w zwykłe studium, pozbawiając w ten sposób znaczenia.

Objął spojrzeniem głębokie nacięcia, które otwierały się pod mostkiem w obie strony podbrzusza, na kształt trójkąta. Jego podstawa, połączona z brzuchem za pomocą skrawka skóry, wydawała się wygięta i skierowana do dołu. W otworze widać było żołądek oraz część wątroby pod splątanymi jelitami. Na reszcie ciała widać było tylko sińce, niewątpliwie nabite w czasie ataku.

Widząc te potworne rany i wyobrażając sobie przemoc, która musiała towarzyszyć napadowi, Trévelez pomyślał, że to niemożliwe, by nikt w domu nie usłyszał żadnego hałasu, jak to powiedziano jego ludziom, zanim przybył. Zadawał sobie także pytanie, jak morderca zdołał dotrzeć do sypialni przez nikogo niezauważony.

Beatriz znajdowała się w przyległym pokoju w towarzystwie Faustiny, która przybyła ze swojego pobliskiego pałacu, gdy tylko dowiedziała się o wszystkim. Przed przyjściem na miejsce zbrodni Trévelez rozmawiał przez kilka minut z dziewczyną. Spytał, jak się czuje, po czym zadał kilka pytań. Nieszczęsna oblubienica miała z boku głowy wąską ranę, z której sączył się cienki strumyczek krwi. Z zaskakującym opanowaniem i bez najmniejszego zamiaru odkładania zeznań na później opowiedziała mu te nieliczne fakty, które pamiętała.

- O świcie obudziłam się, czując, że ktoś się na mnie rzucił. Nie zdążyłam nic zobaczyć. Ktokolwiek to był, zakrył mi twarz kocem i uderzył czymś w głowę, przez co na jakiś czas straciłam przytomność. Rano, gdy doszłam do siebie, leżałam na podłodze w tym pokoju. Natychmiast przypomniałam sobie o wszystkim. Pobiegłam do sypialni i tam znalazłam na balkonie mojego męża, okrutnie zamordowanego. Zaczęłam krzyczeć na cały głos, dopóki nie przybiegła służba, a potem mnie stamtąd zabrali.

Oglądając sznur, którym przywiązano księcia do balustrady, Trévelez obracał w głowie pytanie Beatriz, które zawisło w powietrzu, zanim wyszedł z pokoju: „Dlaczego musi na mnie spadać tyle nieszczęść?”

Zasmucony celnością tych słów zaczął rozmyślać nad motywami, które mogły skłonić mordercę do wystawienia ciała na widok publiczny. Zastanawiając się nad tym, spojrzął w zamyśleniu przez okno i ujrzał Marię Emilię. Trwało to zaledwie chwilę, ponieważ zasłoniła się firanką, gdy tylko zorientowała się, że ją zauważył. Joaquín wiedział, że mieszkała w pałacu po przeciwnej stronie, jednak nie zdawał sobie sprawy z tego, jak blisko siebie były okna obu sypialni. Znając wielkie uczucie, jakim Maria Emilia darzyła Beatriz oraz Faustinę, i dziwiąc się, że jeszcze do nich nie przyszła, postanowił odwiedzić ją, gdy tylko skończy z przesłuchaniami.

Powróciwszy do pokoju, przyjrzał się ciału księcia. Zapisał w pamięci trójkąt, taki sam jak ten na zwłokach jezuita Castro. Nie było żadnych podobieństw do zamachu w pałacu księcia de Huesear - przede wszystkim różniły się skalą - pojął jednak, że kluczem do tego zabójstwa był ten sam symbol, który widniał u przełożonego jezuitów, choć z pewną nieznaczną różnicą, która dała mu do myślenia. W ranie księcia podstawa trójkąta nie była prosta, jak u Castro, ale zarysowywała niemal idealny łuk.

Trévelez przypomniał sobie makabryczne szczegóły, którymi charakteryzowała się zbrodnia popełniona nad rzeką Manzanares. Nagle poderwał się na wspomnienie o wyrwanym sercu zakonnika. Ogarnęła go pałaca potrzeba sprawdzenia, czy również to ciało zostało w podobny sposób naznaczone, gdyż po wstępnych oględzinach nic nie zwróciło jego uwagi w tym względzie.

Asystenci, nieświadomi jego motywów, patrzyli w osłupieniu, jak sędzia próbuje przeszukać każdy skrawek zwłok. Trévelez zaczął nawet grzebać we wnętrzościach księcia, na wypadek gdyby brakowało jakiegoś organu, wystawiając tym na próbę swoją znajomość anatomii. Niczego jednak nie odkrył.

Niespodziewanie przypomniał sobie rozmowę, którą odbył z Marią Emilią, gdy próbowali wydedukować, co miało oznaczać zabójstwo Castro. Z bólem, jaki wciąż budziło w nim jej imię, przypomniał sobie, co mówiła o możliwych powodach usunięcia serca.

„Mordercy chcieli przekazać jakąś wiadomość, która dotyczy Towarzystwa Jezusowego. Może ta zbrodnia ma wyrażać ich nienawiść do zakonu, który czci Najświętsze Serce”.

Joaquín usiadł w fotelu, zastanawiając się, czego brakowało w tym morderstwie, by uczynić je identycznym z zabójstwem jezuiity.

- Trójkąt równoboczny u tamtego, a tutaj łuk... - zaczął wyliczać na głos podobieństwa. - Castro miał twarz zakrytą kapturem, a księcia de Llanes wystawiono na widok publiczny, jakby naśladując ukrzyżowanie. Jeden duchowny, drugi - ważny arystokrata. Jezuiicie wyrwali serce, a jemu...? Nic?

Za każdym razem, kiedy trafiał w jakiejś sprawie na ślepy zaułek, nie wiedząc, jak odczytać znalezione ślady, przeżywał to samo poczucie niemocy - zwłaszcza kiedy znajdował się o kilka metrów od ofiary i wiedział, że w niej właśnie kryły się wszystkie odpowiedzi.

Zdawał sobie sprawę, że było to dość niedorzeczne, lecz czasem wyobrażał sobie, że rozmawia z zabitymi, wypytuje ich, co zaszło, wydobywa z nich zeznania.

- Mówić...! - Słowo to bezustannie tłukło mu się po głowie. - Gdyby tylko mogli mówić... Gdyby mogli mi coś powiedzieć... - Światelko w tunelu zbliżało się do niego błyskawicznie.

- Oczywiście! Jak mogłem nie wpaść na to wcześniej? Poderwał się z fotela i podszedł do ciała księcia. Przykucnął i na oczach osłupiałych ludzi zaczął mu ściągać ubranie, mrucząc do siebie słowa „zeznanie, świadek”. Kiedy opuścił spodnie najniżej, jak mógł, wykrzyknął triumfalnie:

- Jest!

Pokazał z ulgą swoje odkrycie: morderca odciął księciu jedno z jąder, ścisnąwszy je najpierw sznurem, jak to robiono podczas kastrowania mułów i innych zwierząt pociągowych.

Tego typu rany zawsze miały w zwichrzonym umyśle przestępcy jakieś znaczenie, a Trévez domyślił się, w jaki sposób okaleczono księcia, dzięki etymologii hiszpańskiego słowa jądro - *testículo*, co tłumaczyło się jako „dowód świadectwa”. Praktyka ta wyszła już z użycia, jednak w starożytności przy niektórych przysięgach mężczyźni chwyтали się za genitalia, co miało być oznaką szczerości.

Trévelez po raz kolejny wyobrażał sobie, jak to miał w zwyczaju, że zmarły mógł udzielić mu zeznań. Czystym przypadkiem naprowadziło go to na wnioski, które pozwoliły rozwiązać zagadkę.

Gwardzista, który stał przy nim, ujrzał czyste cięcie oraz brak jednego jądra, choć nie miał pojęcia, w jaki sposób Trévelez się tego domyślił. Spojrzał na sędziego z podziwem. Musiał przyznać, że choć jego metody nie zawsze dawały równie dobre rezultaty, to człowiek ów posiadał szczególny dar, rzadką zdolność odnajdywania śladów tam, gdzie pozostali nic nie widzieli. Miewał też niewątpliwe przebliski geniuszu. Podwładny pogratulował mu odkrycia.

- Możecie już poskładać to wszystko i zabrać go jak najszybciej, by dokonano szczegółowej autopsji. Zaczniemy od rozmów ze służbą. - Trévelez rozkazał trzem żołnierzom, by mu towarzyszyli.

Gdy tylko objaśnili system majordomusowi, ten podzielił czeladź na cztery równe grupy. W sumie było dwadzieścioro osób - na przeprowadzenie wszystkich przesłuchań potrzebowali co najmniej godziną.

Na niższym piętrze, pod sypialnią, znajdowała się biblioteka. Była tak obszerna, że każda grupka mogła znaleźć sobie własny kąt, tak że w ogóle sobie nie przeszkadzali.

Trévelez wybrał do swojej grupy lokaja i majordomusa, jako że powinni oni mieć największe pojęcie o wizytach, które przyjmował książę. Kiedy zjawił się pierwszy z nich, wyglądał jak żywy obraz przerażenia. Jednak Trévelez nie wy dobył od nich żadnych przydatnych informacji. Obaj mężczyźni nikogo nie podejrzewali ani nie wyobrażali sobie motywów tej przerażającej zbrodni. Potwierdzili, że zamek w drzwiach wejściowych został wyłamany, lecz nie potrafili powiedzieć, kto mógłby być sprawcą lub jakich wrogów miał ich pan. Żaden z podwładnych Tréveleza nie dowiedział się też niczego ciekawego od reszty służby. Wyglądało na to, że nikt nie słyszał w nocy najmniejszego hałasu ani nie podejrzewał, kto mógłby mieć jakiś interes w pozbyciu się ich pracodawcy.

Widząc, że do niczego to nie zmierzało, Trévelez przyspieszył przesłuchanie reszty swojej grupki, po czym natychmiast opuścił pałac księcia i udał się naprzeciwko, do domu Marii Emilii Salvadores. Co prawda musiał jeszcze pilnie porozmawiać z Beatriz, lecz odłożył to na inną chwilę z szacunku dla jej położenia.

- Mógłbyś powiadomić panią o moim przybyciu?

Sługa przyjął to oficjalne zachowanie ze zdumieniem, od miesiący bowiem Trévelez pojawiał się w pałacu dość często i zawsze wchodził bez zapowiedzi.

Czekając na Marię Emilię, Joaquín wszedł do salonu w i odetchnął trzy razy, by trochę się uspokoić. Ta nowa zbrodnia, która tak blisko ich wszystkich dotyczyła, bardzo nim wstrząsnęła. Lecz jego stan pogarszała jeszcze wizja czegoś, na co nie miał tego ranka najmniejszej ochoty: spotkania z ukochaną po gorzkim zerwaniu przed niecałym tygodniem. Wątpił nawet, czy będzie w stanie zachować w jej obecności spokój. Bardzo ją kochał i wiedział z góry, że sam jej widok sprawi mu wiele bólu. Lecz potrzebował jej zeznania: musiał wiedzieć, czy nie posiadała jakichś przydatnych informacji. Robił to ze względu na swoją pracę, a w takich sytuacjach stawiał obowiązek ponad sentymentami.

- Witaj, Joaquín. - María Emilia nie zdążyła się jeszcze otrząsnąć i ciemne sińce pod jej oczami mówiły same za siebie. - Wybacz, że przyjmuję cię w takim stanie. Wolisz porozmawiać w gabinecie czy pójdziesz ze mną do pokoju, żebym mogła doprowadzić się do porządku? Jestem wstrząśnięta...!

- Jak wolisz - odparł Trévez. - Sprawa, która mnie tu sprowadza, nie zabierze wiele czasu.

Gdy zaczęli wchodzić po schodach, Maria Emilia spojrzała mu w oczy, chcąc sprawdzić, w jakim był stanie. Joaquín odwrócił wzrok, a do jego zachowania zakradł się chłód.

- To zabójstwo jest najgorszą rzeczą, jaką w życiu widziałam. Nie mogę przestać myśleć o biednej Beatriz: znowu spadła na nią taka tragedia. Dobry Boże, przecież wyszła za mąż ledwie tydzień temu... - Maria Emilia próbowała przerwać napiętą ciszę, wyobrażając sobie, że oboje myśleli o tym samym.

- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać - odparł Joaquín. Weszli do sypialni i María skierowała się do toaletki, by dokończyć układanie włosów.

- Muszę też porozmawiać z tobą o nas - powiedziała.

- Wiesz, że nie po to przyszedłem. - Trévez podszedł do okna i spojrzał na fasadę pałacu księcia de Llanes. - Muszę wiedzieć, jak i kiedy się o tym dowiedziałeś, a także czy zauważyłaś coś, co przyciągnęło twoją uwagę, dziś rano lub kiedy indziej.

- Widziałam tylko tego biednego staruszka przywiązanego do balkonu, a potem zemdlalam na myśl, że to samo mogło spotkać Beatriz. Później jednak dowiedziałam się, że nic jej nie jest. Przykro mi, że nie mogę ci pomóc.

- O której godzinie go zobaczyłaś? - Joaquín odwrócił się od okna i spojrzał z niechęcią na rozrzuconą w nieładzie pościel. Pomyślał z bólem i gniewem, że może sińce pod jej oczami miały inne przyczyny niż ich rozstanie czy też widok sadystycznej zbrodni.

- Musiało być koło dziewiątej. Byłam w łóżku i zaskoczyły nas hałasy dochodzące z ulicy...

- Nas? - przerwał jej rozsierdzony Joaquín, podchodząc bliżej. - Czy znaczę dla ciebie tak niewiele, że jeszcze po naszej ostatniej rozmowie wróciłaś w jego ramiona, jakbyś była pierwszą lepszą?

Maria spoliczkowała go z całej siły.

- Nie pozwalam ci tak do siebie mówić! - Podeszła do drzwi i otworzyła je, pragnąc, by natychmiast wyszedł. - Od tamtego dnia wszystko między nami skończone. Jestem wolną kobietą i mogę robić, co chcę. A teraz wyjdź, proszę, i zostaw mnie samą!

Joaquín zamknął drzwi, po czym bez zapowiedzi chwycił ją w tali i zaczął całować z niepohamowaną pasją. Próbowала go odepchnąć, lecz jego ramiona były silniejsze.

- Puść mnie! Błagam cię! - Wrywała się, ale na próżno. - Postradałeś rozum? Ledwie kilka dni temu zerwałeś nasz związek, nie dając mi dojść do słowa. Jeszcze przed sekundą gromiłeś mnie wzrokiem, gdy dowiedziałeś się, że znowu kochałam się z Alvarem. Dopiero co nazwałeś mnie rozpustnicą, a teraz jedyne, co ci przychodzi do głowy, to mnie całować. Myślałam, że jestem szalona, lecz to nic w porównaniu z tobą.

- Szaleję, ale za tobą - głos Tréveleza brzmiał łagodnie, zdecydowanie, głęboko - i kocham cię. - Chwycił jej dłonie i spojrzał na nią z twarzą pełną błagania, z całkowitą szczerością.

- Nie zasługujesz na to... - Gdy tak na niego patrzyła, zrozumiała w końcu, co naprawdę czuł, i coś zadrżało w jej wnętrzu.

- Rozumiem, że przeżywasz wyjątkowy i tragiczny okres, tak że sama dobrze nie wiesz, co czynisz - odparł. - Szalony? Owszem, ponieważ jestem w rozpacz i wiem, że ty także. Mogę zapomnieć o wszystkim, jeśli jeszcze dziś wyrzucisz tego przekłętą marynarza ze swego domu. Jeśli to zrobisz, obiecuję ci, że wszystko będzie jak dawniej.

Maria Emilia wbiła w niego wzrok i rozmyślała w ciszy o ostatnich zdarzeniach w swoim życiu. Czas się między nimi zatrzymał.

Stojąc tak na marmurowej podłodze, twarzą w twarz z Trévelezem, na powrót stała się sobą. Zaczęli rozumieć się jak wcześniej, bez przeszkód i obaw. Poglaskała go po policzku i pojęła, jaki naprawdę był. Ta pokora, z jaką przyjął coś, co dla innych byłoby nie do zaakceptowania, urzekła ją jak jeszcze nic w życiu. Zazdrościła mu jego wierności i nienawidziła swej słabości. W obliczu tych wzniosłych, czystych uczuć odrzuciła swe niskie popędy i z płaczem objęła Tréveleza ramionami, ogarnięta miłością.

- Chciałabym umrzeć! Na nic nie zasługuję! - Ich usta się odnalazły, ich spojrzenia stopiły się w jedno. - Skąd tyle bólu, skoro tak wiele jest miłości? Jak mogę zrozumieć samą siebie i jak odnaleźć się na nowo?

- Wspierając się na mnie. Wyrzucając z umysłu wszelkie wątpliwości. Szukając mnie, kiedy znajdziesz się w ciemnościach. - Trévez pogładził ją po włosach. Szepnął, jak łatwo będzie jej to zrobić, jeśli tylko da mu się poprowadzić - Od śmierci Braulia nie byłaś sobą. A potem, kiedy ten człowiek pojawił się w twoim domu...Wiem, że nie panowałaś nad tym, co robiłaś. - Pragnął pokazać, że znowu jej ufał, że był rozwiązaniem na każdy jej problem.

- Zostań tu chwilę i poczekaj na mnie. - Z tymi słowami Maria Emilia wyszła z pokoju.

Joaquina zalała ulgą, przepełniły go radość i spokój. Wiedział, że znowu należała do niego. Po chwili jednak na powrót przygnębiła go myśl o zabójstwie i przypomniał sobie, że musi zobaczyć się z Ensenada.

Maria Emilia wróciła po kilku minutach odprężona i uśmiechnięta.

- Wyjedzie jeszcze tego ranka, a razem z nim zamęt, który przeżywałam. - Uściskała Tréveza z całkowitą pewnością, że ich miłość nigdy już nie osłabnie. Po chwili przypomniała sobie prawdziwy motyw, który go do niej sprowadził. - Wybacz mój brak delikatności, na pewno bardzo się martwisz tym, co zaszło. Masz jakiś pomysł, kto mógł popełnić tak straszną zbrodnię?

Joaquín opowiedział jej o nieudanej próbie aresztowania w związku z nowymi podejrzeniami o zamach na balu, potem zaś opisał makabryczną scenę, którą ujrzał w pałacu naprzeciwko. Maria Emilia przypomniała sobie podobne szczegóły z morderstwa przełożonego jezuitów.

- Wygląda to tak, jakby obie zbrodnie popełniła jedna osoba.

- Z całą pewnością. W obu przypadkach widać brutalność, na obu ciałach znajdują się trójkąty, obie ofiary zostały okaleczone, a zwłoki makabrycznie wystawione na widok publiczny: jedno porzucone nad rzeką, zakryte kapturem, drugie - ukrzyżowane.

- Sądysz, że oba są dziełem tych Cyganów?

- Wszystko możliwe, ale dopóki ich nie znajdziemy i nie skłonimy do mówienia, nie będę miał całkowitej pewności.

- Oczywiście mają oni dobre powody, by nienawidzić wszelkich władz państwowych. Najpierw Kościoła, potem rządu, na końcu arystokracji, gdyż wszystkie te grupy miały swój udział w tamtym strasznym planie eksterminacji, zapoczątkowanym przez markiza de la Ensenada.

- Naturalnie, Mario Emilio. Nie brak ci racji i możesz mi wierzyć, że pomyślałem o tym samym. Przyznaję, że aż do dziś nawet nie przyszło mi do głowy, iż to oni mogliby za to odpowiadać.

- Odlóżmy na bok kwestię, kto tego dokonał. Rozpięcie na balkonie, kastracja oraz trójkątna rana w brzuchu wyraźnie świadczą, że ta zbrodnia ma coś symbolizować. Musimy tylko odczytać te symbole, tak jak zrobiliśmy to w przypadku Castro.

Ktoś zapukał do drzwi pokoju. Maria kazała mu wejść.

- Przybyła hrabina de Benavente - powiedział sługa, po czym stanął, czekając na polecenia.

- Wprowadź ją!

Joaquín skorzystał z okazji i wymówił się koniecznością rozmowy z Ensenada.

- Mario Emilio... - Faustina weszła do pokoju i rzuciła się w ramiona przyjaciółki. - Zostawiłam Beatriz z moim mężem, by się z tobą zobaczyć. Już nie mogę. To, co się stało, jest tak straszne...

Maria Emilia spojrzała z przejęciem na Joaquina, wiedząc, że mu się spieszyło.

- Muszę zrzucić z serca ból i niepokój. Beatriz nigdy nie chciała tego małżeństwa, wiedzieliśmy o tym, ale nawet pomimo tego nie rozumiem, jak ta straszna śmierć jej męża mogła zrobić na niej tak małe wrażenie. Jest opanowana, a nawet rozluźniona; jakby w jakiś sposób ta wiadomość napełniła ją spokojem.

- Jak się domyślasz, rozmawialiśmy akurat o tej sprawie, lecz Joaquín powiedział mi właśnie, że musi jak najszybciej wyjść. Pozwól, że odprowadzę go do drzwi, a potem to omówimy.

Zanim zamknęła za nim drzwi wejściowe, Maria Emilia popatrzyła z zadowoleniem na odjeżdżającego galopem Joaquina. Mimo iż ciężki cios, jakim było zabójstwo, wciąż budził w niej głęboki ból, w głębi serca czuła się szczęśliwa. Wiedziała, że dzięki nieoczekiwanej wizycie Tréveleza jej serce znowu wpłynęło na spokojniejsze wody. Kochała tego mężczyznę do szaleństwa i zastanawiała się przy tym, jak wielką siłę ducha musiał posiadać, że odwzajemniał się jej w ten niezasłużony sposób.



Kasztanek, którego dosiadał Trévelez, niemal frunął przez brukowane ulice, dzielące ich od pałacu Buen Retiro, gdzie sędziego czekało kolejne trudne spotkanie z Ensenada oraz bez wątpienia z Rávagiem.

Był zmieszany, niewyspany, wymęczony emocjami tak samo silnymi, jak sprzecznymi. Jego umysł nie potrafił się skupić na żadnej ze spraw, które zdawały się

przelatywać mu bezładnie przez głowę. Pytania tłukły się w nim bez odpowiedzi. Czy morderca, którego szukał, był Cyganem, czy też masonem? Czy odnowienie jego związku z Marią Emilią będzie ostateczne? Oraz czy krwawe zbrodnie, które musiał rozwiązać, okażą się dziełem jednego człowieka, czy też chodziło o różne osoby?

- Markiz de la Ensenada naradza się jeszcze z królem, lecz spowiednik Rávago wydał rozkaz, by zaprowadzić pana do jego gabinetu. - Sekretarz Ensenady nakazał mu podążyć za sobą do apartamentów jezuitę.

Trévez zastanawiał się intensywnie, jak przekazać informacje, skoro ich odbiorcą miał być Rávago, który z pewnością będzie się trzymał swojej masonowskiej teorii, nie zaś Somodevilla, przy którym o wiele łatwiej było przedstawiać wnioski, jakkolwiek niebezpieczne by się zdawały.

- Dopóki nie zatrzyma pan tych przeklętych masonów, nie przestaniemy mieć nowych zabitych! - przywitał go Rávago. Nieźle jak na początek.

Trévez ocenił napięcie jezuitę po stopniu zbliżenia brwi. Były one tak zmarszczone, że wydawały się niemal złamane.

Usiadł przed nim bez słowa i w milczeniu oczekiwał reakcji, co - jak łatwo było przewidzieć - nie zajęło wiele czasu.

- Nie ma pan nic do powiedzenia?

- Bardzo dużo, lecz nie wiem, czy będzie to przyjemne dla waszych uszu.

- Wielkie nieba, Trévez, naprawdę zdaje się panu, że w moim wieku mogę jeszcze usłyszeć coś, co mnie zaskoczy?

- Czy będzie tak, jeśli wam powiem, że morderstwa i zamach w pałacu księcia de Huesear mogą być dziełem pewnych Cyganów?

- To żadna niespodzianka, tylko wręcz niepojęta bzdura! - Spowiednik uśmiechnął się, jakby chciał ukryć całkowite zdumienie. - A skąd nagle ten przedziwny domysł?

- Przed kilkoma dniami otrzymałem wieści, które zaprowadziły nas do kuźni w okolicach Madrytu, gdzie podobno mieszkało dwóch braci Cyganów. Oni to wynajęli od pewnego oberżysty wóz, który pojawił się na balu u księcia de Huesear. Nie zdołaliśmy ich pojmać, gdyż kilka godzin wcześniej opuścili tamto miejsce, lecz mogę chyba stwierdzić, że kiedy ich złapiemy, sprawa będzie na drodze do rozwiązania.

Kiedy skończył, Trévez spojrzał zadowolony w twarz królewskiego spowiednika, czekając na pierwsze oznaki uznania.

Rávago podrapał się po głowie, mruczając coś pod nosem. Potem spoglądał na sędziego przez kilka sekund, które przyprawiły Tréveleza o skrępowanie i niepokój, wreszcie chwycił się pod brodę i westchnął cierpliwie.

- Wie pan, jaką funkcję pełni hrabia de Valmojada? - Wiedział z góry, że odpowiedź nie będzie tą, o którą mu chodziło.

- To generał królewskiej armii - odparł Trévelez, zmieszany pytaniem, które zdawało się nie mieć nic wspólnego z ich rozmową.

- A poza tym?

- Nie znam innych szczegółów.

- Niech pan sobie nie myśli, że to pana tłumaczy z tej niedorzecznej teorii. Cyganie...!
- Rávago potrząsnął głową gestem pełnym pogardy.

- Nie wiem, do czego zmierzacie, lecz nie mówię wam już tylko o jakiejś tam teorii; mam ich imiona i nazwisko, opisy oraz możliwy motyw.

- Niech pan zapomni wreszcie o tych bzdurach. Jeśli nie sto, to dziewięćdziesiąt procent Cyganów jest zamkniętych w nadmorskich twierdzach. Zapewniam, że ci ludzie nie dysponują możliwościami, nie mówię już, że materialnymi, lecz także intelektualnymi, by dokonać tych zbrodni. - Jezuita otworzył szufladę i wyciągnął teczkę, którą położył na stole. - Nalegam: czy podejrzewa pan, jaki inny rodzaj działalności prowadził hrabia de Valmojada?

- Powiedziałem już, że nie wiem. - Trévelez z trudem przetykał upokorzenie. - Nie wiem też, co ma on wspólnego ze sprawą, która nas teraz zajmuje, czyli zabójstwem księcia de Llanes.

- Valmojada był przez pewien czas szpiegiem wśród masonów! - powiedział wprost Rávago.

- Nie wiedziałem o tym.

- Z tego, co widzę, prawie nic pan nie wie - stwierdził Rávago, wciąż utrzymując Tréveleza na słabszej pozycji.

- Proszę mi oszczędzić tej udręki i przejdźmy do tematu.

- Zacznę od uświadomienia panu, czym zajmował się Valmojada. Na prośbę markiza de la Ensenada jakieś sześć lat temu przeniknął do środowiska masonów, potem zaś poprosił o przyjęcie do madryckiej loży z zamiarem uzyskania dokładniej szych informacji o ich działalności i zamiarach. W tamtym czasie zaczęliśmy się już niepokoić stopniem, do jakiego masoneria zinfiltrowała wpływowe towarzystwo Mądrym, i z tego powodu zarówno Somodevilla, jak i ja, uznaliśmy, iż nadszedł czas, by lepiej poznać to tajne stowarzyszenie i dowiedzieć się, jakie mogą być jego prawdziwe cele. Pomyśleliśmy, że najlepszym na to

sposobem będzie wprowadzić w ich szeregi jednego z naszych. Stwierdziliśmy, że mamy osobę doskonale nadającą się do tego zadania: hrabiego de Valmojada właśnie. Jego wysoka pozycja w wojsku czyniła z niego atrakcyjnego pionka dla masonów, znaleźliśmy bowiem ich gorliwość w kooptowaniu najbardziej wpływowych osób. Podstęp się udał. Doprowadziliśmy do tego, by hrabia zyskał pierwszy stopień w loży Trzech Kwiatów Lili, co było sukcesem, choć niestety efekty okazały się niewielkie. - Rávago otworzył teczkę, którą położył uprzednio na biurku. - Tutaj znajduje się jego zwięzły raport, w którym opisane są przedziwne rytuały inicjacji i trochę innych wiadomości dotyczących ich bogatej symboliki oraz ceremonii. Zdołał też zdobyć nazwiska kilku członków, podobnie jak innych znaczących figur, które również były powiązane ze stowarzyszeniem, lecz niewiele więcej, gdyż niedługo potem organizacja została zakazana królewskim dekretem, o którym wiecie. Ich spotkania dobiegły końca, a jego misja szpiegowska została przerwana. Nasz błąd polegał na tym, że zwlekaliśmy z jego wstąpieniem zbyt długo i zbiegło się to z dekretem, którego nie mogliśmy odłożyć.

- Czyli w skrócie, jego misja nie na wiele się zdała. - Trévelez skorzystał z okazji, by odwdziżyć się za uszczypliwość jezuitę.

- Proszę darować sobie przy mnie ironię; zapewniam, że niczemu ona nie służy. Niemniej mogę panu rzeczywiście pomóc w dochodzeniu, jeśli zdecyduje się pan mieć mnie po swojej stronie.

Joaquín spojrział na niego w milczeniu. Mimo iż człowiek ten należał do nielicznych, którzy potrafili wystawić jego cierpliwość na próbę do tego stopnia, że doprowadzało go to niemal do szału, uznał, że Rávago ma rację.

- Zgoda. Zacznę od wyjaśnienia, co znalazłem na miejscu zbrodni. Później, jeśli będziecie chcieli, możemy przeanalizować, które jej aspekty wskazują na takich czy innych sprawców.

- Tak już o wiele lepiej! - Rávago uderzył dłonią w stół na znak aprobaty.

Joaquín opisał mu dokładnie miejsce zdarzenia oraz krwawe szczegóły: rozkrzyżowanie księcia na balkonie, jak również ogromny trójkąt, który wycięto mu na brzuchu. Opowieść zakończył, przedstawiając taktownie, w jaki sposób domyślił się, że księciu wycięto część genitaliów. Nie wdawał się jednak w interpretację tego faktu.

- A zatem znowu pojawia się trójkąt, który widzieliśmy już przy zabójstwie Castro, a także kolejne okaleczenie. - Spowiednik zatrzymał się i zastanowił przez chwilę. - Dzięki przespiegom Valmojady wiemy, że masoni czczą Boga jedyne, wcześniejszego od wszystkich innych, którego nazywają Wielkim Architektem Wszechświata, albo WAW, i że

przedstawiają go w postaci trójkąta. Wiemy też, że stowarzyszenie to ma pewien zbiór doktryn, które są prezentowane neoficie w formie symboli lub poprzez alegorie, podobno dość liczne. Laikowi mogą wydawać się one wręcz absurdalne, lecz najwyraźniej każdy z nich ma konkretne znaczenie. - Wciągnął powietrze i spytał: - Nie sądzi pan, że trójkąt wycięty na piersi Castro może być właśnie owym symbolem Wielkiego Architekta, który ma dla nich tak wielką wagę, i który powtórzyli teraz na ciele księcia?

- Zgadzam się całkowicie z waszą teorią - powiedział Trévelez, zaintrygowany tymi nieznanymi wcześniej wiadomościami. - Chciałbym wiedzieć, jakie jeszcze symbole pojawiają się w tym stowarzyszeniu.

- Poza trójkątem posługują się również kątownicą, pionem i drewnianym młotem jako symbolami narzędzi powszechnie używanych przez budowniczych starożytności. Valmojada dowiedział się o korzeniach tych symboli. Wszystkie wywodzą się z pewnej legendy: legendy o Hiramie Abifie, najwyższym budowniczym świątyni Salomona. Podobno poprzez te trzy narzędzia utrzymują żywą pamięć o nim. Wiązą je także ze swoimi podstawowymi zasadami oraz ideą, że każdy człowiek powinien uczyć się budować w sobie nową istotę na podobieństwo Wielkiego Architekta.

- Na ciele księcia znajdowało się coś podobnego do trójkąta, lecz podstawa nie była zamknięta...

- Kątownicą! - stwierdził zdecydowanie Rávago.

- To możliwe - zastanawiał się Joaquín. - A co myślicie o tych nieludzkich okaleczeniach? Może praktykują je w którymś ze swoich niezwykłych rytuałów?

- Tego nie wiem. Lecz dowiedzieliśmy się, że dysponują bardzo przekonującym systemem perswazji, by upewnić się, że nikt nie złamie świętych ślubów milczenia, po których zostają dopuszczeni do bractwa: grozi im się, że jeśli ujawnią jakiś sekret lub zadenuncjują któregoś brata, zostanie im wyrwane serce.

Rávago zamilkł na chwilę, jakby chciał uporządkować myśli.

- Castro został pozbawiony serca i księcia także okaleczyli... - Zrobił długą przerwę, by zdecydować, czy nadszedł moment wyjawienia Trévelezowi operacji szpiegowskiej, którą zorganizował pospół z hrabią de Valmojada przy współudziale nieżyjącego już księcia. Ponieważ jednak miał pewne wątpliwości, postanowił zachować sprawę w sekrecie, dopóki nie rozmówi się z siostrzeńcem Valmojady. Nie miał od niego jeszcze żadnych wiadomości, a ta nowa zbrodnia mogła mieć przecież jakiś związek z przespiegami u ambasadora Keene'a. Rávago nie chciał zaś przedwcześnie wyklądać kart na stół, i to w dodatku przed Trévelezem.

- Myśli pan, że to zwykły przypadek, czy też zaczniemy wreszcie uważać udział masonów za pewnik? - W tej sytuacji odpowiedź wydawała mu się oczywista, lecz i tak zadał Trévezowi pytanie, jakby chcąc uzyskać jego potwierdzenie.

- Z pewnością jest to raczej coś więcej niż przypadek - sędzia przyznał w końcu, że w tropie masońskim mogło tkwić ziarno prawdy. - I odważę się dodać, że po wygnaniu i prześladowaniach w Hiszpanii mieli oni dość motywów, by zaatakować najwyższe instancje władzy: w przypadku Castro - Kościół, a teraz, w postaci księcia de Llanes - arystokrację.

- Oczywiście! - Po raz pierwszy Rávago skierował na niego spojrzenie, które można było uznać za aprobujące, a nawet do pewnego stopnia za zgodne. - Wybór Castro mógł zależeć nie tylko od jego pozycji w Kościele; możliwe, że wiedzieli też o jego udziale w prześladowaniach. Wiem z jego własnych ust, że przed zgonem prosił we wszystkich siedzibach zakonu o raporty z nazwiskami jakichkolwiek osób, które można by podejrzewać o przynależność do wolnomularstwa, by później przeciwko nim podjąć kroki. Nie zdążył się wiele dowiedzieć, lecz może udało mu się na coś trafić, a oni dowiedzieli się o tym.

- Zbadam tę teorię głębiej, obiecuję. Mimo wszystko musicie przyznać, że zamach w Moncloa w niczym nie przypominał pozostałych przestępstw. Lecz przyznaję, że może dałem się zwieść tym Cyganom, nie zgłębiwszy wystarczająco teorii o masonach. Od tej chwili zajmę się nią porządnie, nie ma co do tego wątpliwości, ale nie porzucę śledztwa, które już rozpocząłem w sprawie tych Cyganów.

- Może pan na mnie liczyć we wszystkim, co uzna za konieczne. - Rávago podniósł się z krzesła, okazując tym samym, że uznaje rozmowę za zakończoną. - Zdaje się, że ta dyskusja była niezbędną, byśmy zdołali dojść do porozumienia w naszych opiniach. Ja naturalnie jestem bardzo zadowolony i liczę na to, że dowiedzie pan swego zapału do pracy. - Wyciągnął rękę. - Niech pan będzie spokojny, osobiście poinformuję markiza de la Ensenada o treści naszej rozmowy. Teraz może pan już odejść. Niech pana Bóg oświeca i towarzyszy w pracy!



Portier ambasady angielskiej nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział dwóch Anglików, którzy żądali właśnie, aby otworzono im drzwi i natychmiast zaprowadzono do sir Benjamina. Ich wygląd awanturników nie budził wielkiego zaufania, zatem mężczyzna spróbował się ich pozbyć. Nie uwierzyli mu jednak, gdy skłamał, że ambasador jest w podróży. Nie będąc w stanie ich powstrzymać, zrozpaczony portier mógł tylko wezwać na pomoc straż.

Anglicy nie zdołali nawet przejść przez salon, gdy zatrzymało ich pół tuzina strażników, których zadaniem było strzec ambasadora oraz całej placówki dyplomatycznej. Intruzi nie stawiali żadnego oporu. Straż unieruchomiła ich i sprawdziła, czy nie mieli ze sobą broni, a kapitan spytał o ich zamiary. Odpowiedzieli mu to samo, co portierowi.

- Nie możecie oczekiwać, że sir Benjamin przyjmie was bez żadnej zapowiedzi. Odejdźcie stąd, zanim wyczerpie się nasza cierpliwość - oświadczył kapitan.

- Proszę powiedzieć mu tylko, że Anthony Black i Thomas Berry muszą się z nim zobaczyć.

- Ach tak...! A niby z jakiej racji miałbym to zrobić?

- By nie zganił pana, kiedy się dowie, że zabrania pan nam się z nim zobaczyć.

Mówili z takim przekonaniem, że kapitan się zawahał. Spojrzał na nich z niesmakiem, lecz ostatecznie postanowił zawiadomić ambasadora, marząc przy tym, by usłyszeć od niego rozkaz wyrzucenia natrętów z ambasady. Po kilku minutach wrócił jednak niezwykle rozsierdzony i bez żadnych wyjaśnień nakazał im pójść za sobą.

Ambasador przyjął gości w złym humorze, nie podnosząc głowy znad papierów, które zaprzętały jego uwagę.

- Ostrzegalem was, żebyście nigdy nie pokazywali się w tej ambasadzie! - przywitał ich, podnosząc głos. - To zagraża memu bezpieczeństwu!

Nie przejmując się zbytnio jego kiepskim samopoczuciem, obaj masoni rozsiedli się bez słowa przed biurkiem, zachowując rozmyślne milczenie. W obliczu tego niewyjaśnionego zachowania ambasador podniósł wzrok.

- Po co przyszliście? - Zmierzył ich wzrokiem, lecz nie potrafił wyczytać z ich oczu nic, co świadczyłoby o ich zamiarach. Mężczyźni dalej milczeli, przeciągając napięcie.

- Przychodzicie do mnie bez pozwolenia, a teraz okazuje się, że nie będziecie ze mną rozmawiać?

Keene nie był w stanie przewidzieć ich ruchu. Jeden z mężczyzn rzucił się bowiem na niego i ścisnął za szyję z taką siłą, że ambasador ledwo mógł oddychać.

- Jesteśmy pewni, że wiecie, kto zdradził naszego mistrza Wilmore'a. - W oczach Anglików widać było wściekłość, ale też pragnienie odpowiedzi.

- Puśćcie mnie! - wycharczał Keene, próbując zarazem wyzwolić się z duszącego uścisku. - Nie mogę oddychać!

Anthony puścił go i na powrót usiadł w fotelu. W jego lodowatym spojrzeniu widać było poważne ostrzeżenie. Ambasador zrozumiał, że jeśli nie spełni ich życzeń, jego życie zawisnie na włosku.

- Nie wiem, o czym mówicie! - Tym razem zdołał zatrzymać rękę, która znowu ruszyła ku jego szyi. - Proszę, dajcie mi sposobność wyjaśnić, zanim znowu się na mnie rzucicie.

Zobaczył, że sytuacja zaczyna się uspokajać, i odetchnął, by zapanować nad nerwami.

- Wasze stwierdzenie jest dla mnie wręcz niepojęte. Przecież sam kazałem was wezwać, by zawiadomić Wilmore'a o dekrete. - Spojrzał im badawczo w oczy, lecz nie znalazł w nich najmniejszego zrozumienia. - Jak możecie teraz wątpić w moje szlachetne zamiary? Wierzcie mi, że zupełnie tego nie pojmuję!

- Następnego dnia po naszym zawiadomieniu Wilmore został zatrzymany przez inkwizycję. Zanim jeszcze wydano dekret o delegalizacji stowarzyszenia. Podczas naszej wizyty otrzymaliśmy od niego dokładne instrukcje, które zaczęliśmy już wypełniać, lecz nadal nie wiemy, w jaki sposób zdołali pojmać go tak szybko, skoro jego kryjówkę znało tylko kilka osób.

- Chyba nie myślicie, że to ja go wydałem?

- Myślenie nic nie kosztuje. Niech pan da nam jakiś solidny powód, dla którego powinniśmy zmienić zdanie.

- Przedtem dla własnego bezpieczeństwa uprzedzę, że wolałbym, byście nie mówili mi o naturze zadań, jakie wyznaczył wam Wilmore. Co do informacji, której pragniecie, to dowiedziałem się, że zdradził go ktoś z waszych własnych szeregów.

- To niemożliwe! W naszym bractwie lojalność jest najważniejszą cnotą - przerwał Thomas Berry, oburzony podobnym oszczerstwem.

- Nie dajcie się zaślepić własnej ortodoksji. Pewien ważny oficer gwardii przybocznej, którego z pewnością znacie jako swego brata, zapewnił mnie, że pojmaniu waszego mistrza winny był donos wojskowego wysokiej rangi, hrabiego de Valmojada, który podobno wstąpił do masonerii kilka lat temu. To on was zdradził.

- Znamy go dobrze, dlatego też trudno nam w to uwierzyć. Tomás Vilche przysięgał przed wszystkimi dochować tajemnicy i wierności naszemu bractwu. - Anthony spojrział na ambasadora z pełnym przekonaniem.

- Mógł przyjść do was już jako szpieg. Pomyślcie o tym.

- Mam nadzieję, że nie próbuje pan zmylić nas tym oskarżeniem. - Thomas rzucił mu groźne spojrzenie.

- Nic nie mogłoby być dalsze od moich zamiarów - zapewnił Keene z całym przekonaniem, na jakie było go stać. - Mówię wam, że ten, którego szukacie, to Tomás Vilche, generał i hrabia de Valmojada.

Sir Benjamin Keene wiedział, że jego gośćmi byli ludzie pozbawieni wszelkich skrupułów. Ich obecność w ambasadzie była dla niego nie tylko niewygodna, lecz także niebezpieczna. Nie miał pojęcia, czym się zajmowali po otrzymaniu rozkazów od Wilmore'a, domyślał się jednak, że litość nie należała do ich największych cnót. Znajomość z nimi leżała w jego interesie, lecz ambasadorowi przyszło również do głowy, że gdyby z jakiegokolwiek powodu ich pojmano, jego imię mogłoby pojawić się w jakichś kompromitujących okolicznościach, to zaś przeszkodziłoby mu w karierze. Lepiej było nic nie wiedzieć i pozwolić im odejść, nie wgłębiając się w ich zamiary ani plany na przyszłość.

- Zapewne zachowaliście wszelką ostrożność i dopilnowaliście, by nikt nie widział, jak wchodzić do ambasady.

Mężczyźni potwierdzili jego przypuszczenie.

- Zatem jeśli nie jestem wam już do niczego potrzebny, to chyba powinniście odejść. Nie byłoby dobrze, gdyby widziano nas razem, a z pewnością czekają na was równie liczne zadania, co na mnie.

Gdy tylko opuścili budynek, obaj masoni postanowili upewnić się co do zdrady hrabiego de Valmojada przy pomocy jakiegoś wpływowego brata. Gdyby oskarżenie okazało się prawdą, poprzysięgli mu śmierć.

Okryci płaszczami, szli w milczeniu lekkim krokiem, nie zauważywszy, że tuż za ambasadą zaczął podążać za nimi jakiś człowiek.

Minęli cztery jadące w pośpiechu konne patrole. Wszędzie wyczuwało się napięcie. Wielu przechodniów zbijało się w grupki, zadając sobie pytanie, co też wzbudziło w oddziałach takie poruszenie.

Zatrzymali się w pewnej piekarni, którą z daleka można było poznać po zapachu świeżo wyjętego z pieca chleba, następnie zaś przystanęli przy sklepie z serami, by do końca zaspokoić apetyt.

Ich kroków nie przestawał śledzić idący w rozsądnej odległości młody człowiek, który zatrzymał się na rogu ulicy w pobliżu sklepu. Był nim siostrzeniec Valmojadi.

Przybył do ambasady jakieś dwie godziny wcześniej, by spotkać się pod nią z księciem de Llanes. Mieli zobaczyć się z attache do spraw handlowych. W czasie długiego i niewyjaśnionego oczekiwania chłopak zauważył pojawienie się i następnie odejście dwóch mężczyzn. Aż do tej pory żaden z nielicznych gości, których widział w ambasadzie, nie wzbudził tylu podejrzeń co ci dwaj. Mateo nigdy wcześniej ich nie spotkał, lecz intuicja kazała mu za nimi podążyć.

Na wpół ukryty za pnem kasztanowca obserwował, co robili w sklepie.

W pomieszczeniu silna woń sera budziła w Thomasie Berrym nieopanowane wzruszenie, przywodząc mu na myśl pewien moment z dzieciństwa - jego najlepsze wspomnienie.

Wśród stoczni londyńskiego portu i kei, przy których cumowały rybackie łodzie, jego rodzice wzniesli skromny domek w pobliżu miejsca, gdzie naprawiano sieci i narzędzia do ich konserwacji. Jego rodzina nie miała innego zajęcia poza tymi naprawami, zarabiała zaś na nich tak mało, że przez większość czasu nie mieli czego włożyć do ust. Czasem były to zaledwie resztki jakichś ryb, niemal przegniłe, które utkwiły wśród splotów sieci.

Razem z zapachem morza i ryb w pamięci Thomasa przetrwała jeszcze jedna, nawet bardziej niezdrowa woń, która przenikała tam wszystko - woń smoły, którą impregnowano deski przeznaczone do poszycia statków. Jego przyjaciele, tak samo albo i jeszcze biedniejsi niż on, nie wybiegali myślą poza niekończące się zabawy i przygody. W tamtych czasach poczucie szczęścia górowało nad smutną rzeczywistością.

Aż do skończenia czternastu lat Thomas nie zdawał sobie sprawy z tego, jacy byli ubodzy, gdyż nigdy nie brakowało mu pożywienia, a przy swoich nielicznych potrzebach nie sądził, że mogło istnieć coś równie ważnego.

Lecz któregoś dnia odkrył, że inni mieli więcej, o wiele więcej od niego. Było to wtedy, gdy ujrzał Londyn, jego wspaniałe kamienice i pałacyki, damy ze śmietanki towarzyskiej, luksusowo przyozdobione konne powozy, eleganckie gospody. Wszystko to stopniowo zaczęło go zżerać.

Zazdrościł nawet powietrza, którym oddychali inni. Jego charakter zaczął ulegać takiej przemianie, że w końcu Thomas żarliwie znienawidził wszystko, co widział dookoła siebie; wszystko to, czym był on i jego rodzina oraz ich ubóstwo. Winą za nie obarczył rodziców. W końcu musiał ich zabić. Sam był zaskoczony tym, jak niewiele go to kosztowało, kiedy mając zaledwie czternaście lat topił w nich całą swoją wściekłość. W gruncie rzeczy było to dla niego niczym wyzwolenie, otwarcie drzwi na lepszą przyszłość. I nie opłakiwał ich: po co, myślał sobie, skoro to oni byli główną przyczyną jego żalosalnej przeszłości?

Ze wszystkiego, co zrobił, by doprowadzić do ich śmierci, pozostały mu w pamięci jedynie ich przerażone twarze. Był to najlepszy spadek, jaki mogli mu dać, spadek, którym nieustannie się cieszył.

- Od jakiegoś czasu przyglądam się komuś, kto chyba nas śledzi. - Głos Anthony'ego zmusił go do oderwania się od wspomnień.

- Kto? Gdzie jest?

- Na chodniku przed sklepem. Nie odwracaj się na razie. Trochę ostrożniej.

Thomas wziął pół owczego sera i zapłacił sprzedawcy. Kiedy wyszedł na zewnątrz, zobaczył chłopaka, o którym mówił Anthony.

Młodzieniec pochwycił jego spojrzenie, lecz było ono tak przelotne, że nie przywiązał do niego uwagi i znowu zaczął za nimi podążać.

Gdy zagłębili się w uliczki położone w pobliżu ich mieszkania, skorzystali z dyskrecji, jaką zapewniał niewielki ruch, i zaczęli się na niego w jakiejś bramie.

Uliczki te wydawały się Mateowi Vilche nieco podejrzane, lecz nie skłoniły go do zwiększenia czujności; bardziej niż na bezpieczeństwie zależało mu na odkryciu, kim są obaj mężczyźni. Na kolejnym rogu skręcił w prawo i poderwał się, widząc przed sobą twarze tych, których śledził.

- Czego od nas chcesz? - Anthony unieruchomił go przy ścianie, ściskając za gardło.

Chłopak natychmiast rozpoznał angielski akcent.

- Zupełnie nic. Zostawcie mnie w spokoju!

- Widzieliśmy, że idziesz za nami już od jakiegoś czasu. Nie kłam. Gadaj, kim jesteś i czego chcesz! - Thomas zaczął rozglądać się na obie strony ulicy, by upewnić się, że byli sami.

- Powtarzam, że nie wiem, o czym mówicie. Tylko tędy przechodziłem, nic więcej.

Reakcja na jego słowa była bardzo brutalna: dwa mocne ciosy w brzuch, od których zabrakło mu tchu. Nie skłoniło go to jednak do zmiany podejścia, jak tego chcieli Anglicy.

- Dla kogo pracujesz? - spytał Thomas. Wiedział, że stały nacisk na mostek pozbawi oddechu każdego, zatem trzymał tak chłopaka przez dobrą chwilę, dopóki jego twarz nie zaczęła przybierać niebieskawej barwy.

- Puść go, bo jeszcze nam tu umrze! - Anthony cofnął duszącą młodzieńca pięść.

- Powiem...

Mateo zwinął się, próbując złapać powietrze. Przedtem wymierzono mu jeszcze policzek, który rozciął mu wargę. Pomyślał, że jeśli nie zacznie mówić, te zwierzęta zabiją go jak nic. Namacał swój sztylet.

- Wypełniam misję od ojca Rávago.

- Królewskiego spowiednika?

Anglicy spojrzeli na siebie, zaskoczeni wiadomością. Siostrzeniec Valmojadę skorzystał z tego momentu, by zadać Anthony'emu cios w udo, po czym rzucił się do ucieczki.

Thomas skoczył za nim. Miał dobrą kondycję, toteż szybko go dogonił i sekundę później skręcił mu kark.

Mateo Vilche nie zdążył nawet krzyknąć. Jego ciało upadło na ziemię, Anglicy zaś oddalili się jak najszybciej, by nikt ich nie zobaczył.

Anthony kulał od rany.

◆◆◆

- Pani, czy mam dosypać jeszcze soli kąpielowych?

- Nie trzeba. Ale dziękuję ci, Amalio.

Po licznych i stresujących wizytach tego ciężkiego dnia, odrzuciwszy namowy matki, by nie zostawała sama w pałacu, Beatriz cieszyła się chwilą wypoczynku w ciepłej wannie.

W ciągu trzech dni swego małżeństwa odkryła, że te momenty, gdy dzień zbliżał się ku końcowi, były najprzyjemniejsze ze wszystkich. Mogła wtedy cieszyć się najgłębszą samotnością.

Przy akompaniamencie cichego plusku lekko wzburzonej wody jej życie zwalniało i zaczynało płynąć spokojniej. Nieszczęścia, które wciąż jej towarzyszyły, jakby były w nią wbudowane, spływały po niej tak samo, jak woda z umytej skóry.

Dopóki znajdowała się we wnętrzu tej żelaznej łodzi, zanurzona w wodzie i mydle, jej smutki upłynniały się, ginęły na jakiś czas. Potem, gdy wychodziła z wanny, wszystko wracało do poprzedniego stanu. Rzeczywistość znowu pokazywała jej swoje prawdziwe, okrutne oblicze, i Beatriz wiedziała, że nigdy nie będzie temu końca.

- Przynies mi, proszę, więcej świec, i podgrzej wodę, żeby przygotować kąpiel mojemu mężowi. Zaraz tu przyjdzie.

Służąca spojrzała na nią w osłupieniu, lecz po chwili wytłumaczyła sobie te słowa ogromnym wstrząsem, jaki jej pani niedawno przeżyła. Beatriz spojrzała na nią, gdy dziewczyna podnosiła z podłogi jej ubranie i podawała jej suchy ręcznik.

- Kiedy skończysz, wróć i pomóż mi się wysuszyć. Młoda Cyganka, która musiała być mniej więcej w tym samym wieku co Beatriz, tego dnia po raz pierwszy pełniła takie posługi przy swej pani. Było to kilka tygodni po jej przybyciu do nowego domu.

Beatriz zanurzyła się w wodzie. Gładziła rękami swój brzuch, a poprzez skórę - znajdujące się w nim dziecko. Braulio pozostał przy niej, zawsze był w jej sercu, a teraz wzrastał jeszcze w owocu ich miłości. Z jej oczu wypłynęły łzy i rozpląnęły się w ciepłej wodzie, która ją opływała. Beatriz wstrzymała oddech tak długo, jak tylko była w stanie. Wyobraziła sobie, że to ryzyko utopienia było jak oderwanie się od świata, odcięcie od

okrutnego losu, który ją prześladował. Jej ciało błagało, by się wynurzyła, by napełniła płuca powietrzem, lecz umysł mówił jej, by tego nie robiła.

- Pani!

Została pod wodą zbyt długo.

Ręce młodziutkiej pokojówki chwyciły ją za ramiona i szarpnęły mocno, wyciągając dziewczynę na powierzchnię tak stanowczo, że nie mogła się opierać.

Zakaszła i pozbyła się wody, która zaczęła już wchodzić do płuc. Lekki zawrót głowy zmącił jej wzrok i nie słuchając nawet, co do niej mówiono, Beatriz namacała krawędź wanny, by się na niej wesprzeć. Przerzuciła przez nią ramię i skupiła wzrok na jednej z podłogowych płytek. Po kilku sekundach jakby odzyskała przytomność.

- Dobrze się czujesz, pani? Co się stało? - Dziewczyna była szczerze zaniepokojona. - Pozwól, że pomogę ci wyjść.

Objęła ją od tyłu i pociągnęła do góry, by wyciągnąć ją z wanny. Beatriz nie była w stanie chodzić, jej nogi nie reagowały. Opadła bezwładnie w ramiona pokojówki i w końcu legła na podłodze, ułożona na ręczniku, patrząc w przestraszoną twarz dziewczyny, która rozcierała jej całe ciało, próbując ją ożywić.

- Dziękuję, Amalio, już mi lepiej.

W swej nagości poczuła chłód i wzdrygnęła się. Dziewczyna znalazła inny ręcznik, którym ją przykryła. Nie odważyła się spytać, co się stało, lecz pojęła, że jej pani odczuwała jakiś straszny ból - niewątpliwie z powodu świeżego wdowieństwa - jakieś niewypowiedziane cierpienie, którego nie można było sobie wyobrazić.

- Proszę, nie mów nikomu o tym, co widziałas. Beatriz chwyciła ją za rękę i zmusiła, by dziewczyna skupiła na niej uwagę.

- Chciałabym, żeby to był nasz sekret. - Ścisnęła jej dłoń.

- Moim obowiązkiem jest posłuszeństwo wobec ciebie, pani.

- Nie o to cię proszę. Chodzi mi o coś więcej. Chcę, żebyś dzieliła to ze mną.

- Rozumiem.

Istnieją uczucia trudne do opisanie i jeszcze trudniejsze do zrozumienia, lecz w tamtej chwili Amalia pojęła, że miało je łączyć coś wyjątkowego i o wiele mocniejszego niż zwyczajna więź pani ze służącą.

- Jestem na twoje rozkazy we wszystkim, czego będziesz potrzebować, pani.

- Nie odchodź jeszcze. Pomóż mi się ubrać. Nie chcę, żeby mój ukochany zastał mnie nieprzygotowaną na spotkanie.

Beatriz podniosła się z podłogi i wsparła na Amalii w drodze do pokoju. Cyganka nie odważyła się odpowiedzieć na tę nową wzmiankę o mężu, sądząc, że doskonale rozumie zamęt w głowie swej pani.

Kiedy znalazły się w sypialni, w zwierciadle ukazało się odbicie Beatriz. Dziewczyna przyglądała mu się, siedząc w fotelu.

Patrzyła na swoje młode ciało, teraz już niedostępne dla tego, który nigdy nie powinien był go osiąść.

Amalia chodziła w tę i z powrotem z różnymi częściami garderoby, które wyciągała z szafy i oddawała do oceny Beatriz. Kiedy ta dokonała wyboru i strój zawisł przygotowany na stojącym wieszaku, Cyganka zaczęła ją ubierać.

Beatriz od zawsze cierpiała. Zadbala, by świat nic o tym nie wiedział, lecz w miarę jak upływało jej życie, nawet na jeden dzień nie przestawała odczuwać przenikliwego bólu, który przesywał jej serce.

Pozwoliła się ubierać delikatnym dłoniom służącej.

Amalia włożyła na nią koszulę z egipskiej bawełny, po czym wsunęła na wierzch satynowy gorset zdobiony srebrną nicią i usztywniony trzcinią. Ten dodatkowy materiał, trzcina, miał strukturę podobną do drewna, lecz jednocześnie był lżejszy i wygodniejszy, a przy tym równie dobrze podtrzymywał uwydatnione przez dekolt piersi. Beatriz podniosła się, by Amalia mogła jej wciągnąć na nogi i przymocować w pasie pantalon z haftowanego jedwabiu, a na nie wsunąć spódnicę z czarnego aksamitu obszytego złotym i srebrnym brokatem.

- Opowiedz mi coś o sobie. Wiem, że jesteś Cyganką, ale skąd pochodzisz? - Wyciągnęła nogę i wyprostowała ją, by Amalia mogła wciągnąć na nią białą lnianą pończochę.

- Nie chciałabym znudzić cię moją historią, pani. - Służąca naciągnęła jej pończochę na drugą nogę. - A zresztą wydaje mi się, że nie uznałabyś jej za ciekawą.

- Pozwól, że sama to osądzę. Gdzie się urodziłaś?

- W małym miasteczku, niedaleko od Mądrym.

- Opowiedz mi o swoich rodzicach. Czy nadal tam mieszkają?

- Nie, pani. - W gardle Amalii jakby zawiązał się duży węzeł. - Moja matka zmarła kilka miesięcy temu w Saragossie, a co do ojca, to nie bardzo wiem, gdzie przebywa. Chyba w jakiejś stoczni niedaleko Kadyksu.

Widząc smutek, który przepelnił słodką twarz Cyganki, Beatriz poczuła litość.

- Współczuję ci z głębi serca. - Poglaskała ją po brodzie ze szczególną czułością. - Co twoja matka robiła w Saragossie?

Amalia zastanawiała się tymczasem, jak dopasować gorset. Poprosiła Beatriz, by się podniosła, aby mogła zasznurować go mocniej z tyłu, po czym sprawdziła, czy nigdzie się nie marszczył i czy dekolt nie był nadmiernie podkreślony.

- Pewnie wiesz, pani, że nieco ponad dwa lata temu z rozkazu króla wszyscy Cyganie zostali aresztowani, przez co mężczyźni i kobiety zostali rozdzieleni i rozesłani po całej Hiszpanii. - Amalia mówiła ostrożnie; nie przewyższyła jeszcze do końca nieufności, jaką budziła w niej Beatriz.

- Tak, wiem o tym. To było barbarzyństwo.

- Ja i moja siostra Teresa, razem z naszą matką i ciotką, zostałyśmy zamknięte w więzieniu w Saragossie, w starej arabskiej fortecy o nazwie la Aljaferia.

Zaczęła rozczesywać włosy Beatriz. Sama również odbijała się w lustrze za jej plecami. Co jakiś czas obie rzucały na siebie spojrzenia. Amalia bacznie obserwowała reakcje, które malowały się na twarzy jej pani.

- Mój ojciec i wuj zostali wysłani do pracy w stoczni marynarki w La Carraca. Niczego więcej się o nich nie dowiedziałam.

Przed oczami Beatriz znowu stanął Braulio. Przypomniała sobie, że on również przebywał w tej stoczni.

On także, podobnie jak jej pokojówka, był Cyganem, i to dzięki niemu dowiedziała się o potwornościach, którym został poddany cały ich naród w dniach zbiorowych aresztowań i potem w więzieniach.

Na niego właśnie czekała tej nocy, każdej nocy. Był jej jedyną miłością.

- Jak was aresztowano?

Przypomniała sobie bolesne porwanie jej własnego ojca oraz konsekwencje tego zdarzenia. Była niemal pewna, że nie istniało nic, co mogłoby przewyższyć tamten dramat.

- Trudno mi o tym mówić. Proszę, oszczędź mi tej tortury, pani. - Amalia zgarnęła jej włosy i włożyła na nie obfitą perukę.

Beatriz odwróciła się do niej przepelniona głębokim współczuciem.

- Możesz mi opowiedzieć lub nie. Zrób tak, jak chcesz! - Niezależnie od wysiłków Beatriz, by okazać jej swoje pełne zaufanie, Amalia nadal czuła się niezręcznie. - Lecz jeśli nie chcesz mówić, by oszczędzić mi okrucieństwa opowieści, to musisz wiedzieć, iż poza dzisiejszym zajściem tyle już przecierpiałam, że nic nie zdoła mnie poruszyć: przebolełam

zarówno własne tragedie, o których ci kiedyś opowiem, jak i tragedie ludzi, których kochałam najmocniej na świecie.

Pokojówka wyszukała w szkatułce z klejnotami kolczyki. Spodobały jej się te najprostsze, z perłą. Otrzymała zgodę Beatriz i zaczęła je jej wkładać.

Milczała przez kilka minut, jednak w końcu uznała, że zainteresowanie jej pani wyglądało na szlachetne i szczere.

- Z tamtego dnia pamiętam gorzki smak, który pozostawiło w moich ustach prawdziwe oblicze trwogi. Rozłąka z bliskimi. Brutalność żołnierzy. Lecz także ogromne upokorzenie, jakiemu niektórzy z nich poddali moją ciotkę, podczas gdy ja i siostra musiałyśmy na to patrzeć. Postawiono nas tak blisko, że zdawało nam się, jakbyśmy czuły to na własnych ciałach. To było straszne.

Beatriz nie odrywała od niej wzroku. Rysy Amalii nie przypominały rysów Braulia, lecz mimo wszystko zapadły jej w pamięć.

- Potem było tylko gorzej - ciągnęła Cyganka spokojniejszym tonem. - Przez cierpienie i niesprawiedliwość musiałam zmienić się z dziecka w kobietę, patrząc jak podobni mi ludzie umierają na infekcje i z wielkiego smutku.

Wyciągnęła wspaniały naszyjnik z pereł, owinęła go dookoła szyi Beatriz i zapięła z tyłu.

- Moja matka i ciotka nie mogły tego znieść: rozchorowały się i zmarły latem zeszłego roku. Właśnie przeniesiono nas do nowego budynku, który - jak na ironię - nazywano Domem Miłosierdzia. Zapewniam cię, pani, że niewiele go tam zaznałyśmy.

- Kiedy wyzwolono was z tego więzienia?

Beatriz przejrzała się w lustrze i uznała efekt za zadowalający.

- Nie było to nic zorganizowanego. Moja siostra i ja uciekłyśmy razem z liczną grupą, korzystając z zamętu, jaki nastąpił po przybyciu dużej grupy Cyganek z Malagi. Potem przyjął nas, czy też raczej pochwyił, pewien handlarz bez skrupułów. Przywiózł nas do Mądrym i sprzedał innemu, u którego od tego czasu przebywałyśmy.

- Mówisz o tym mężczyźnie, który odsprzedał was memu zmarłemu mężowi?

Amalia jeszcze raz przekonała się, jak małe wrażenie zrobiła na jej pani śmierć księcia.

- Tak. Ten odrażający osobnik nie tylko uczynił z nas przedmioty handlu, ale też gwałcił nas, kiedy tylko chciał: więcej razy, niż jestem w stanie naliczyć. I zdołał doprowadzić nas, a przynajmniej mnie, do tego, bym uznała rodzaj męski za najpodlejszy gatunek pod słońcem.

Beatriz wychwyciła niemożliwą do ukrycia nutę emocji i Amalia zdała sobie z tego sprawę.

Spojrzały na siebie, a w ich oczach nagle widać było coś więcej niż prostą więź między sługą a panią. Pojawiła się w nich zażyłość, jak między siostrami.

Amalię zaskoczył fakt, że tak się otworzyła przed obcą kobietą, lecz nie żałowała tego, a kolejne słowa Beatriz utwierdziły ją jeszcze w tym przekonaniu.

- Amalio, wkrótce dowiesz się o mnie wszystkiego, co konieczne, choć jeszcze nie teraz. Śmierć męża dała mi większą wolność do wypełnienia mojej misji.

Słowa zawisły w powietrzu i Amalia odetchnęła nimi, nie pojmując ich sensu.

- Ty i ja będziemy wiedzieć kiedy...!

Beatriz podniosła się i ucałowała dziewczynę w policzek.

- Potem poczytasz ze mną książkę.

Kościół Hieronimitów. Madryt Rok 1751

12 września

Królowa Barbara de Braganza uklękła, by przyjąć komunię z rąk swego spowiednika Rávaga. Następnie przy dźwięku delikatnych organowych akordów, które unosiły się we wnętrzu świątyni, to samo uczynił król. Rozbrzmiewał jakiś utwór Haendla, który - na wyraźne życzenie pary królewskiej - zawsze akompaniował tej chwili.

Jeśli prawdą było, że na porannej mszy stawał się codziennie cały dwór, to nie dało się tego powiedzieć o Joaquínie Trévelezie, gdyż w jego przypadku było to rzadkością. Tego jednak ranka siedział on w jednej z tylnych ławek, gdyż poprzedniego wieczoru otrzymał wiadomość od Rávaga, w której jezuita pilnie wzywał go do przybycia, by omówić ważną sprawę.

Gdy komunia dobiegła końca, ojciec Rávago dokładnie oczyścił kielich i patenę, stojąc przodem do ołtarza i tyłem do zgromadzonych. Kiedy skończył wycierać naczynia, ministrant odebrał je z szacunkiem. Rávago wyciągnął ramiona, aby odmówić w ciszy ostatnie modlitwy, zamknął mszał i odwrócił się przodem do zebranych, by w bezbłędnej łacinie udzielić błogosławieństwa i zakończyć mszę.

Odwrócił się do króla i królowej, zginając się w pełnym szacunku ukłonie, po czym po raz ostami ukląkł przed tabernakulum.

Przed wyjściem poszukał wzrokiem Tréveleza i w końcu odnalazł go z trudem na końcu świątyni. Gestem nakazał mu podążyć za sobą do zakrystii.

Joaquín zaczekał, aż z kościoła wyjdzie para królewska i jej świta. Dopiero wtedy mógł udać się w przeciwnym kierunku, na prawo od nawy głównej, gdzie znajdowała się zakrystia - obszerny pokój o ścianach zastawionych oszklonymi regałami, pełnymi przeróżnych i bogatych szat liturgicznych.

Rávago stał przed długą, niską drewnianą ławą. Zdejmował właśnie ornat przy pomocy ministranta, modląc się przy tym półgłosem przed piękną rzeźbą Chrystusa ukrzyżowanego. Zdjął cingulum i stułę, którą ucałował po raz ostatni z oddaniem, po czym zwrócił się do Tréveleza:

- Proszę dotrzymać mi towarzystwa przy śniadaniu!

- Zmartwiłem się, widząc, że stan królowej najwyraźniej się pogorszył - rzekł Trévelez. Monarchini wydała mu się dziś szczuplejsza i słabsza. - Wygląda na bardzo chorą.

- To prawda, i chociaż nadal nie wiemy, co jej dolega, to z pewnością nie jest to nic dobrego.

- Przykro mi ze względu na króla, na pewno bardzo źle to znosi.

- Chociażby przez wzgląd na jego kruche zdrowie psychiczne powinniśmy mieć nadzieję, że choroba jego żony się nie skomplikuje; nie sądzę, by był w stanie to znieść.

Przeszli przez prostokątny dziedziniec wysadzony drzewkami oliwnymi i weszli do przyległego budynku, przez który biegły dwa długie korytarze. Obrali ten po prawej stronie, po czym weszli do małego pokoiku, gdzie czekało na nich skromne śniadanie.

Obsłużyli się czekoladą, a następnie Rávago - nie zwracając uwagi na aromatyczne, ciepłe bułeczki, które dopiero co wyszły z pieca - przeszedł do kwestii, o której chciał pomówić z sędzią domu i dworu.

- Sprawa, z powodu której pana wezwałem, jest nie tylko delikatnej natury, ale może również mieć duży wpływ na interesy państwa. - Podniósł spośród leżących na stoliku gazet egzemplarz „Dziennika wiadomości” z datą z poprzedniego miesiąca i rzucił go Trévelezowi na kolana. - Proszę to przeczytać i powiedzieć, co pan o tym sądzi!

Joaquín przejrzał szybko tytuły na pierwszej stronie, szukając wśród nich czegoś, co zwróciłoby jego uwagę.

- „Cena miary pszenicy spada” - przeczytał na początek. Rávago milczał cierpliwie.

- „Otwarcie nowej Akademii Sztuk Pięknych zostaje przełożone” - ciągnął dalej sędzia.

- Niech pan się skupi na tym, co ważne, na Boga miłościwego, bo nie mam całego poranka do dyspozycji!

Joaquín znalazł tytuł dotyczący polityki i uznał, że o niego właśnie chodziło.

- „Francja i Austria przypieczętują porozumienie przeciw Prusom”. - Podniósł wzrok, by przekonać się, czy dobrze trafił. Rávago wyrwał mu periodyk z rąk i przeczytał zniecierpliwiony:

- „W uliczkach starego Madrytu odnaleziono zwłoki człowieka zmarłego z nieznanych przyczyn”. - Spojrzał na Tréveleza z irytacją, po czym dokończył resztę wiadomości: - „Wczoraj, wieczorem dwudziestego trzeciego sierpnia, pewien obywatel naszego miasta znalazł ciało młodego mężczyzny, nienoszące śladów żadnej przemocy. Aż do zamknięcia tego numeru nie poznano przyczyn zgonu oraz tożsamości młodzieńca. Jeśli ktoś może dostarczyć jakieś informacji o tym zdarzeniu, prosimy o kontakt z władzami”.

Ravago zamilkł i spoglądał na Tréveleza przez kilka sekund, nie wypowiadając ani jednego słowa.

- Jestem na bieżąco z tą sprawą, ale muszę przyznać, że nie przywiązujemy do niej większej wagi. Przypadkowa śmierć, owszem, dość niezwykła jak na kogoś w tak młodym wieku, lecz bez większego znaczenia - powiedział sędzia.

- Ależ ona ma znaczenie, i to wielkie! - sprzeciwił się Rávago.

- Moglibyście wyrażać się jaśniej?

- Chłopak nazywał się Mateo Vilche. Coś panu to przypomina?

- Imię nie, ale nazwisko oczywiście.

- Był siostrzeńcem hrabiego de Valmojada, don Tomasa Vilche. Jestem pewien, że został zamordowany.

- Zamordowany? Czemu tak uważacie? - spytał Trévelez pospiesznie. - I jak się dowiedzieliście, że to o niego chodzi?

- Mateo wypełniał ważne zadanie, które osobiście mu zleciłem. W każdą środę spotykał się ze mną, by przekazać najświeższe wieści o swoim dochodzeniu, którego cel za chwilę przedstawię. Jednak nie widziałem go już od dwóch tygodni. Nie martwiłem się zbytnio, dopóki nie zobaczyłem przypadkiem tej wiadomości. Coś mnie tknęło i postanowiłem dowiedzieć się więcej. Nie mogłem zidentyfikować ciała, gdyż zostało już pochowane, lecz właśnie wczoraj zdołałem rozmówić się ze świadkiem, który je znalazł, i z jego świadectwa wnoszę, że rzeczywiście chodziło o Matea.

- Zgoda, ale żeby od razu podejrzewać morderstwo... Joaquín nie chciał pogodzić się z myślą o kolejnej sprawie, która miałaby dołączyć do reszty jeszcze niewyjaśnionych zabójstw.

- Proszę o nakazanie ekshumacji zwłok, aby dokonano na nich autopsji. Nie przeprowadzono jej wcześniej. Jestem pewien, że jego śmierć nie była tak przypadkowa, jak pan założył.

Rávago dolał sobie kolejną filiżankę kawy i tym razem spróbował w końcu jednej z posypanych cukrem bułeczek.

- Jak już powiedziałem, Mateo wypełniał pewną misję - inwigilował ambasadę angielską. Przede wszystkim zajmował się wizytami, które przyjmował sir Benjamin Keene.

Wiadomość ta zaskoczyła Joaquina.

- Nie mówcie mi nic więcej. Dobrze wiem, że przy mojej pozycji byłoby to niewłaściwe - zastrzegł sędzia.

Rávago poczuł się niezręcznie, będąc zmuszony do rozmowy o tak delikatnych sprawach. Niezbyt go cieszyła ta konieczność.

- Przypomina pan sobie moje nalegania po zabójstwie ojca Castro i jeszcze bardziej po zgonie księcia de Llanes - ciągnął - by skierować dochodzenie w stronę masonerii oraz, ogólnie rzecz biorąc, przeciwników naszej ukochanej wiary. W tamtym czasie miałem pewne niezbyt sprecyzowane podejrzenia co do powiązań angielskiego ambasadora z najwyższymi zwierzchnikami masonerii. Uznałem, że jeśli od razu zainterweniuję, skłaniając was do wszczęcia dochodzenia, mogłoby to dotrzeć do jego uszu. Z tego powodu i aby nie ryzykować skandalu dyplomatycznego, zdecydowałem się na bardziej dyskretne rozwiązanie przy współpracy młodego Valmojady. Rozumie pan oczywiście, że próbowałem w ten sposób uzyskać konkretniejsze informacje w sposób jak najmniej kompromitujący dla monarchii.

- Czy był o tym poinformowany markiz de la Ensenada albo tym bardziej minister Carvajal?

Joaquín domyślał się odpowiedzi na swoje pytanie, lecz warto było zaryzykować choćby po to, by ten jeden raz ujrzeć wszechmocnego Rávaga w niezręcznej sytuacji, zmuszonego do ukorzenia się.

- Niech pan ze mną nie żartuje, Trévelez! Doskonale pan wie, że nie! - Jezuita poczerwieniał z gniewu. - Pańskie pytanie jest zupełnie nie na miejscu.

Odstawił filiżankę na stół.

- Chce pan, byśmy porozmawiali o pańskim nieudolnym śledztwie, czy też lepiej zostawimy tę sprawę w spokoju? - Teraz to on zaatakował sędziego.

- Wybaczcie mi. Przyznaję, że to pytanie było z mojej strony głupotą. - Rávago oddał cios i Trévelez mógł jedynie przełknąć to z godnością. - Wróćmy do Matea Vilche. Co sprawia, że uważacie jego zgon za morderstwo?

- A panu się wydaje, że to był wypadek? - Spowiednik nadal był rozsierdzony.

- Dobrze, zgoda... Lecz mówimy teraz o waszych domysłach, nie zaś o... - Trévelez zawahał się.

- Przede wszystkim podejrzana jest zbieżność z datą zabójstwa księcia de Llanes, gdyż on również miał swój udział w tej misji, choć nie bezpośrednio. Młody Mateo został zabity kilka godzin po księciu. Dziwne, prawda?

Trévelez spojrział na duchownego z irytacją. Po raz kolejny Rávago zataił przed nim ważną informację, która mogłaby pomóc mu wyjaśnić straszną śmierć męża Beatriz. Kusilo go, by powiedzieć to na głos, lecz opanował się i pozwolił jezuitcie mówić dalej, by przekonać się, czy spowiednik w końcu powie mu wszystko, co wiedział.

- Jakiś czas temu poprosiłem księcia de Llanes o pomoc przy wprowadzeniu Matea Vilche do ambasady, jako że ksiązę często tam bywał. W ten sposób Mateo mógł sprawdzać, kto odwiedzał Keene'a, i przy odrobinie szczęścia naprowadzić nas na trop ważnego członka masonerii. Podejrzewam, że mu się udało, może nawet dokładnie tego dnia, kiedy zginął, lecz został odkryty przez tych, których szpiegował, a oni go zabili. - Rávago wbił w sędziego spojrzenie pozbawione wszelkich wątpliwości. - Przemyślałem więc sobie wszystko i uznałem, że powinniśmy jeszcze dziś rozmówić się z ambasadorem Keene'em. Jestem pewien, że był on zamieszany w tę sprawę. Dlatego wezwałem pana, by towarzyszył mi pan podczas tej wizyty.

- Byłoby to dość ryzykowne, ojciec Rávago. Nie mamy przeciw niemu żadnych dowodów, a taka rozmowa mogłaby zmusić nas do wyjawienia motywów tej akcji szpiegowskiej. O co mielibyśmy go spytać, nie wyjawiając zarazem naszych podejrzeń?

- Wystarczy, że spojrzę komuś w oczy, a wiem, czy kłamie - stwierdził niedbale spowiednik. - Nie byłoby potrzeby odnosić się bezpośrednio do tej sprawy; kilka pytań i rzut oka na jego twarz, a w ciągu pięciu minut zdołam potwierdzić swoje podejrzenia.

- Ale, ojciec Rávago, zrozumcie, że podać w wątpliwość honor zagranicznego ambasadora i chociażby sugerować morderstwo to niezwykle poważna sprawa, tym bardziej jeśli okaże się, że oskarżycielem jest królewski spowiednik - zaproponował Trévelez, po czym zamilkł na chwilę. - Jeśli Keene rzeczywiście ma w związku z tym albo poprzednimi zgonami jakieś informacje, które pomogłyby nam w odnalezieniu sprawców, nigdy ich nie ujawni. Pozwólcie, że przedstawię wam inną, mniej ryzykowną propozycję, która właśnie przyszła mi do głowy.

- Będzie pan musiał się wysilić, bo trudno mnie przekonać. - Rávago doskonale znał niebezpieczeństwa, jakie pociągał za sobą jego plan, lecz nie zamierzał niczego Trévelezowi ułatwiać.

- Istnieje inny sposób, by do niego dotrzeć - stwierdził sędzia.

W twarzy spowiednika pojawiło się skrywane zaskoczenie.

- Proszę mi zatem powiedzieć jaki.

- Przekonać jego żonę, by nam pomogła.

- Nie rozumiem.

- Od jakiegoś czasu obserwuję ją na różnych zabawach i przyjęciach, podczas których się stykamy, i sądzę, że kobietę tę łatwo uwieść.

- Przypominam, że rozmawia pan ze sługą Bożym.

- Nie owijajmy w bawełnę. Wasze podejrzenia są na tyle poważne, że usprawiedliwiają użycie każdego środka. Nie sądzicie?

- Proszę mówić dalej.

- Wiem, że różni już się do niej zalecali i że nie zwykła stawiać zbytniego oporu. Jest to pogłoska, z której moglibyśmy skorzystać.

- Co za przyziemne i rozpustne życie! - Rávago przeżegnał się zbulwersowany.

- Jeśli zdołamy podstawić jej jakiegoś zaufanego, nie tylko otworzymy sobie drogę do ambasady i umożliwimy szpiegowanie kontaktów i powiązań ambasadora, ale też zyskamy dostęp do jego archiwów, co mogłoby okazać się niezwykle przydatne dla naszego rządu.

- Makiaweliczny, lecz interesujący pomysł. Jak zamierza pan zacząć się do niej umizgać?

- Chyba nie sądzicie, że ja to zrobię? - Joaquín poderwał się na samą myśl.

- Któż byłby lepszy? - Rávago uśmiechnął się, widząc jego poruszenie. - Chce pan, bym uwierzył, że ta kobieta da sobie schlebiać tak po prostu jakiemuś nieznanemu? Bzdura! Pana już zna, i wie, jakie zajmuje pan stanowisko, co z pewnością ułatwi zadanie.

Joaquín kręcił głową. Było to dla niego czyste szaleństwo.

- Dobrze pan wie, że jako człowiek Kościoła nigdy nie aprobowałem tych miłosnych swawoli, choć zapewniano mnie, iż zaloty to tylko niewinna gierka, nic nieznacząca, niemalże platoniczna. Lecz ta pozorna niewinność ukrywa moim zdaniem rażące cudzołóstwa, a zatem maskuje oczywistą niemoralność - zauważył Rávago.

- Więc jak to się dzieje, że proście mnie o coś takiego?

- Ścieżki cnoty nie zawsze są proste. Czasem trzeba pójść na skróty, kiedy dąży się do szlachetnego celu. A ten, który próbujemy teraz osiągnąć, w pełni usprawiedliwia moją propozycję.

- Wcale tak nie uważam! - Trévelez nie miał na to najmniejszej ochoty, nie znajdował jednak sposobu, by się wywinąć. - Nie mam żadnego powodu, by posuwać się do czegoś takiego... Odmawiam wzięcia na siebie tej roli!

- Pomysł wyszedł od pana, a jeśli zależy nam na dyskrecji i powodzeniu, nie znajdziemy nikogo lepszego.

- Powtarzam wam, że tego nie zrobię! Znajdę kogoś, kto lepiej się nada.

Lecz kiedy Rávago podejmował decyzję, odwiedzenie go od niej było niewykonalnym zadaniem.

- Sędzio Trévelez - jego głos przybrał bardziej uroczyste brzmienie. - Nie mówimy tu o jakiejś pomniejszej sprawie. Jeśli dzięki pańskiemu poświęceniu, które naturalnie może się panu wydawać cokolwiek nadmierne, zdołamy zdobyć dowody obciążające Keene'a współwiną za zamach w pałacu Moncloa, podejrzany kontaktami z masonerią lub udziałem w pozostałych zabójstwach, to zarówno ja, jak i sama Korona będzie miała względem pana wielki dług. Zrekompensujemy wszystkie trudy wystarczająco hojnie, by zapomniał pan o obecnych niedogodnościach. Myślę, że bardziej szczegółowe objaśnienie jest zbędne. Proszę mi zaufać.

Joaquín spoglądał na niego, nie ukrywając gniewu. Zastanawiał się przez kilka minut, lecz nie zdołał znaleźć lepszego rozwiązania.

- Zgoda. Zrobię to! Ale proszę, by nigdy nie wykorzystano moich poczynań z żoną ambasadora przeciwko mnie.

- Ma pan moje słowo, moje błogosławieństwo i moje najwyższe uznanie. Jak zamierza pan zwrócić na siebie jej uwagę? - zainteresował się Rávago.

- Każdego popołudnia wyjeżdża swoim powozem na Prado de los Recoletos. Muszę tylko na nią wpaść i zacząć się zalecać.

- Zatem proszę zabrać się do tego jak najszybciej i informować mnie na bieżąco!

◆◆◆

W ramionach hrabiny de Benavente spała maleńka istotka, owoc długiego i ciężkiego porodu.

W twarzy Faustyny widać było zarazem wyczerpanie i szczęście. Dziewczynka o ciemnych włoskach i drobnej budowie nazywała się Maria Josefa. Była pierwszym rodzonym

dzieckiem hrabiostwa i przyniosła pewne wytchnienie od ostatnich nieszczęść, które przygnębiły całą rodzinę.

Powietrze w pokoju hrabiny przesycone było wonią licznych bukietów. Wyczuwało się również wszechobecną radość. Świadczył o niej niemal idiotyczny uśmiech hrabiego, podobnie jak uśmiech Beatriz, która przybyła ze swojej rezydencji, gdy tylko dowiedziała się o nowinach, i teraz przyglądała się matce oraz dziecku, leżąc obok nich i myśląc o tym, że któregoś dnia sama będzie przeżywać takie upojenie.

- Matko, ona jest prześliczna! - Pogłaskała z czułością delikatną główkę niemowlęcia.

Faustina rzadko widywała u swej adoptowanej córki takie spojrzenie. Nic nie przypominało w nim o niedawno przeżytym dramacie.

- Mario Josefo, przedstawiam ci twoją starszą siostrę Beatriz. Maleństwo, które otworzyło właśnie oczka, zdawało się rozumieć słowa matki, gdyż od razu skierowało główkę w stronę Beatriz.

Dziewczyna odwzajemniła to pierwsze siostrzane spojrzenie pełnym wdzięczności uśmiechem.

- Jest przesłodka! - powiedziała z zachwytem.

Po niezliczonych odwiedzinach przy Faustynie pozostali tylko małżonek i największa przyjaciółka rodziny, Maria Emilia Salvadores. Beatriz skorzystała więc z chwili szczęścia, by przekazać im niezwykle wiadomość.

- Nie będzie lepszego dnia niż dziś, by wam o tym powiedzieć - zaczęła.

Podniosła się z łóżka i podeszła do francuskiej sofy, na którą beztrosko się rzuciła.

- Jestem w ciąży!

Ta zaskakująca nowina, zwłaszcza w połączeniu z dramatycznymi okolicznościami, które zakończyły krótkie małżeństwo Beatriz, wprawiła wszystkich w osłupienie. Maria Emilia pierwsza się ocknęła i natychmiast uściskała dziewczynę.

- To wspaniale! - Pogładziła ją nerwowo po ręce. - Ale czy jesteś pewna? - Spróbowała obliczyć daty. - Od twojego ślubu upłynął zaledwie miesiąc, a po tym, co się stało...

- To nie jego dziecko. - Beatriz przygotowała się na konsekwencje tych słów, lecz w najmniejszym stopniu nie stłumiło to jej radości. - Tylko Braulia!

- To nie może być prawda... - powiedziała wstrząśnięta Faustina. Słyszając tę niewiarygodną nowinę, poczuła się w pewnym stopniu oszukana.

- Braulia? - Maria Emilia, całkowicie zmieszana, nie miała pojęcia, jak zareagować na tę rewelację.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę, ktokolwiek to jest. - Hrabia podniósł głos i wszyscy skierowali na niego oczy, zirytowani koniecznością przerwania rozmowy.

Do pokoju wszedł z szerokim uśmiechem kapelan rodziny, ojciec Parejas.

- Czy wolno mi poznać najmłodszą z moich parafianek? - zapytał beztrąsko, promieniając dobroduszością i nie wyczuwając napiętej atmosfery, jaka panowała w pokoju.

Ów sługa Boży, wysławiany przez wzgląd na swoje cnoty oraz mądre duchowe rady, zaskarbił sobie serca hrabiowskiej pary i był jej duszpasterzem już od dziesięciu lat. Zbliżył się do niemowlęcia i pobłogosławił je, po czym za pozwoleniem matki złożył na jego czole dwa donośne całusy.

- Boże miłosierdzie pobłogosławiło ten dom i wszystkich jego mieszkańców - oświadczył następnie, rozkładając szeroko ramiona.

Obrzucił wszystkich spojrzeniem, zdziwiony napiętą ciszą, jaka panowała w pokoju. Widząc Beatriz, wyobraził sobie, że przyczyną była jej niedawna tragedia. Przypomniał sobie, że hrabina prosiła go o duchową pociechę dla córki jeszcze przed zabójstwem księcia. Zbliżył się do dziewczyny, po czym usiadł po jej prawej stronie.

- Jak się czujesz, córko moja? Beatriz nigdy za nim nie przepadała.

- Doskonale. - Puściła do niego bezczelne oko. - Właściwie to jestem w ciąży... - Pauza, którą uczyniła przed dokończeniem zdania, przyprawiła wszystkich o przerażenie. Modlili się, by nie wyjawiała, za czyją sprawą się to stało. - ...za sprawą mojego już nieżyjącego małżonka.

Maria Emilia uśmiechnęła się, słysząc tę śmiałą uwagę. Faustina skarciła dziewczynę i nakazała jej większy takt.

- Zachowuj się z szacunkiem - przyłączył się do reprimendy hrabia.

- Poprosiłam ojca Parejasa, by nadal był twoim duchowym przewodnikiem. Zapewni ci pociechę, a widać wyraźnie, że jej potrzebujesz. - Faustina przygotowała kapłanowi teren. Czyniła to na jego prośbę, którą wyraził kilka dni wcześniej, zaskoczony dziwnym zachowaniem dziewczyny.

- Moje najszczerze gratulacje, Beatriz. To nowe stworzenie Boże budzi we mnie największą radość. Jutro rano przyjdę się z tobą zobaczyć. Przedtem muszę się stawić w klasztorze Bożego Ciała, ale nie zajmie mi to wiele czasu. Będziemy mieli dobrą chwilę, żeby porozmawiać.

- Ale... - zaczęła dziewczyna.

- Beatriz będzie bardzo szczęśliwa, mogąc was przyjąć - ucieła jej matka, korzystając ze swego autorytetu, by nie pozwolić córce na odmowę. Po jej twarzy widać było wyraźnie, że nie zamierzała do tego dopuścić.

- Doskonale! Dobrze więc. Przełożę to, co miałam już zaplanowane, i tyle. Odwołam wszystkie spotkania, by was przyjąć - zgodziła się dziewczyna z rozdrażnioną miną.

Znów wyszedł na jaw jej stanowczy charakter, do którego rodzice zdążyli już nieco się przyzwyczaić. Maria Emilia zaś nie tylko go pochwalała, lecz widząc, w jaki sposób rozwijała się Beatriz, odkrywała w niej nowe, wspólne im obu cechy.

- Beatriz, dotrzymasz mi towarzystwa? - spytała dziewczynę, pragnąc koniecznie dowiedzieć się czegoś więcej o zaskakującej nowinie, którą ledwo co usłyszała.

Beatriz zgodziła się chętnie.

- Muszę iść do gospody Pod Podkową, by odebrać paczkę, którą przysłano mi z Kadyksu - dodała Maria. Podniosła się i wzięła Beatriz pod ramię, by uwolnić ją od niewygodnego towarzystwa księdza.

- Nie sądzisz, że powinniśmy pozwolić świeżo upieczonym rodzicom nacieszyć się przez chwilę córeczką?

- Racja. A przy tym przyda mi się trochę świeżego powietrza.

Pożegnały się z hrabiostwem i kapłanem, po czym skierowały pieszo w stronę ulicy Toledo, oddalonej od pałacu o kilka przecznic.

- Nie wiem, co mam zrobić, żeby nie widywać się więcej z tym księdzem - poskarżyła się Beatriz.

- Wiesz dobrze, że nie jestem z tych, które otwierają swe serce przed kapłanem, lecz przyznaję, że tym razem mogłoby ci się to przydać. Jeśli nie zdoła podnieść cię na duchu, zawsze będziesz miała czas, by dać mu to do zrozumienia, a sobie pójdzie.

Beatriz zamilkła na długą chwilę, rozmyślając.

Maria Emilia stanęła na środku ulicy i spojrzała jej w oczy.

- Nie masz mi nic więcej do powiedzenia? - zapytała prawie bez tchu.

- O czym? - odparła Beatriz.

- Jak to o czym? - Maria potrząsnęła nią ze złością za ramiona.

- Zrobiliśmy to tylko raz, tydzień przed jego śmiercią. Nigdy się nie dowiedział o dziecku.

Maria Emilia, wciąż zmieszana, pełna sprzecznych emocji, nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. W tym zamięcie sam fakt, że jakaś część Braulia przetrwała w ciele Beatriz, wzruszył ją tak bardzo, że zapomniała o wszystkim innym.

- Jesteś równie szalona jak ja, Beatriz. - Uściskała ją, pełna zarazem bólu i czułości. - Aż do tej pory ukrywałaś to przed wszystkimi, i pewnie zamierzałaś trzymać to w sekrecie przez całe życie księcia.

- Cieszysz się?

- Oczywiście! Sprawiałaś mi wielką radość, ale jednocześnie wydaje mi się, że będzie to dla ciebie tak trudne...

- Trudne? Zamierzam urodzić swoje dziecko i dać mu nazwisko po moim zmarłym mężu; nie chcę, by cierpiało poniżenie, będąc nazywane bękartem. A co do Braulia, pozostanie to między nami. Myślę, że tak będzie najlepiej.

- Zaplanowaliście to, mając na względzie twoje zamażpójście?

- Oboje myśleliśmy, że poczęcie dziecka byłoby najlepszym sposobem na utrzymanie naszej miłości. A potem znowu spadło na mnie nieszczęście, jak zawsze w moim życiu. Teraz cieszę się z tej decyzji. Tutaj, w moim wnętrzu, znajduje się twój wnuk. - Wzięła dłoń Marii i położyła ją na swoim brzuchu.

- Mój wnuk! Czuję się tak dziwnie i zarazem jestem taka szczęśliwa... - Maria musiała to powiedzieć, musiała zaproponować jej inne rozwiązanie na przyszłość: - Beatriz, mogłabym zadbać o was oboje. Ucieknijmy z Madrytu, do jakiegokolwiek innego miasta, gdzie mógłby się wychowywać, nosząc z dumą swoje prawdziwe nazwisko. Pozwól mi sobie pomóc!

- Zrobisz to, zachowując tajemnicę. To wystarczy. - Beatriz z wdzięcznością ucałowała ją w policzek. - Doceniam twoją szlachetność, ale muszę myśleć o dziecku. Chcę dla niego jak najlepiej. Lepiej, żeby zatrzymało nazwisko mego zmarłego męża. W ten sposób zdobędzie szlacheckie wykształcenie i lepszą przyszłość. Nieważne, że będę musiała do końca życia podtrzymywać to wielkie kłamstwo.

- Nawet w tym okazujesz swoją wielkość. - Maria Emilia spojrzała na nią z podziwem. - Jestem z ciebie dumna.

◆◆◆

Popołudniowe słońce polerowało światłem dachy licznych powozów, które przejeżdżały przez Prado de los Recoletos. Ich pasażerowie cieszyli się ciepłem po trzech tygodniach nieustannego deszczu i zimna tak dotkliwego, jak niesłychanego o tej porze roku w Madrycie.

We wszystkich kawiarniach dziękowano patronom na widok tłumnie napływających gości, nie tylko spragnionych rozrywki, lecz także hojnie szafujących pieniędzmi.

Od ulicy Alcalá aż po plac budowy nowego skweru, gdzie krzyżowała się ona z Paseo del Prado, ogromny sznur pojazdów zdawał się wystawiać na próbę zdolności i cierpliwość stangretów.

W jednym z powozów jechała w pojedynkę księżna de Arcos. Pragnęła przyjrzeć się spokojnie nowym barwom, materiałom i krojom sukien zapowiadających zimową modę.

Ze swego okienka ujrzała, jak mija ją konno sędzia królewskiego domu i dworu, don Joaquín Trévez, bez eskorty i z zamyśloną miną. Bezczelnie wychyliła się, by sprawdzić, dokąd zmierza, i zobaczyła, jak skręca w lewo. Mężczyzna ów interesował księżnę de Arcos zarówno ze względu na wygłaszane przez siebie opinie, jak i wygląd oraz sposób bycia. Zdziwiło ją, że nie kierował się na prawo od placu, w stronę ulicy San Jerónimo i kawiarni Canosy, tradycyjnego przystanku dla niego i jego przyjaciółki Marii Emilii Salvadores.

Pewnie jedzie gdzieś w sprawach służbowych, pomyślała, nie przywiązując do tego większej wagi.

Joaquín szukał tymczasem pewnej kobiety i nie była nią Maria Emilia, lecz małżonka brytyjskiego ambasadora. Jej powozu nie dało się przeoczyć, gdyż miał na drzwiczkach angielskie godło.

Nie przygotował żadnej strategii, by się do niej zbliżyć. Nie przemyślał też, jak powinien się zachowywać, aby wzbudzić jej zainteresowanie. Pragnął tylko ją znaleźć i jak najszybciej wypełnić misję, do której zobowiązał go Rávago.

W krótkim czasie, który pozostał mu rankiem po rozmowie ze spowiednikiem, zdążył zmęczyć się lekturą różnych raportów, które nie mieściły się już na jego biurku, oraz rozmową ze swym zastępcą, by dowiedzieć się, jak toczyło się śledztwo w sprawie dwóch cygańskich braci.

Obiad zjadł samotnie w gospodzie blisko budynku sądu. Ci, którzy go widzieli, nawet go nie zaczepiali, gdyż zdawał się pogrążony w głębokich i ważkich rozmyśleniach. Była to w istocie prawda, lecz jego rozważania dotyczyły reakcji Marii Emilii, kiedy tuż po przebrnięciu przez ich największy kryzys dowie się, że zamierzał zalecać się do żony angielskiego ambasadora.

Zaskoczyła go liczba powozów, które jechały promenadą. Joaquín zmartwił się, że nie zdoła odnaleźć właściwej karety. W końcu jednak uśmiechnęło się do niego szczęście. Pod bujnym kasztanem zatrzymał się niebieskawy powóz, na nim zaś znajdowało się godło, które nie pozwalało na żadną pomyłkę.

Trévez zbliżył się, by sprawdzić, czy razem z damą nie było ambasadora, po czym zsiadł z konia, obciągnął kaftan i postanowił natychmiast wziąć się do dzieła.

Zapukał do drzwiczek.

- Zobaczyłem pani powóz i nie mogłem się powstrzymać, by nie zapytać o zdrowie - powiedział głośno.

Kobieta wychyliła się, by sprawdzić, do kogo należał ów głos.

- Ach! Co za radość pana widzieć, mister Trévelez.

Jej hiszpański najwyraźniej poprawił się, od kiedy rozmawiali po raz ostatni. Joaquín zdziwił się, słysząc swoje nazwisko wypowiedziane płynnie, bez potknięć, jak to było przy wcześniejszych okazjach.

- Taka piękna kobieta jak pani, i sama? - Natychmiast udało mu się wywołać jej rumieniec. - Jak można pozwolić na coś podobnego w tak przyjemne popołudnie?

- Mój mąż zawsze jest zajęty - ambasadorawa wyciągnęła do niego dłoń, którą Joaquín ucałował z przesadną atencją - i zazwyczaj jeżdżę na spacerzy sama.

- W takim razie czy pozwoli pani, że dotrzymam jej towarzystwa?

- Tak, tak. Proszę.

Joaquín bez wahania wszedł do środka i usiadł przy niej, ujmując jej dłonie gestem tak śmiałym, jak dla siebie niezwykłym. Kobieta spojrzała na niego nieufnie. Czerwieniąc się lekko, spróbowała cofnąć rękę, lecz nie zdołała.

- Nie istnieje w Madrycie kobieta, która przewyższałaby panią urodą, moja droga Catherine! - Zaskoczona jego słowami, Angielka przestała nawet mrugać.

Trévelez wykazał się nie lada tupetem, lecz nie miał czasu na subtelne gierki, a przy tym nie był ekspertem w zalotach. Postanowił zdobyć ją jak najszybciej, a zdawało mu się, że bardziej praktycznie będzie ostudzić swój zapal w przypadku, gdyby go odrzuciła, niż niepotrzebnie przeciągać sprawę.

Kobieta zaakceptowała jego śmiałość.

- Dziękuję, jest pan dla mnie bardzo miły.

- Od dnia, w którym panią poznałem, stałem się pani najskrytszym wielbicielem.

Catherine zwilżyła wargi, by nie wyschły jej z przejęcia, on zaś wychwalał ją dalej:

- Pani biała i jedwabista skóra, te oczy, słodki uśmiech, wszystko to sprawia, że każdej nocy gości pani w moich snach. - Postanowił posunąć się jeszcze o krok dalej na swym szczególnym polu walki.

Catherine wciąż była zmieszana tą nagłą demonstracją uczuć. Kawaler porwany jej urokami natychmiast rozbudzał w niej ekscytujące nadzieje. Nigdy jeszcze nie odrzuciła zalotnika, teraz jednak westchnęła z ostrożną miną.

- Proszę wybaczyć, lecz nie całkiem pojmuję pańskie zamiary.

Joaquín miał nadzieję, że zdołał już przewyciężyć opory jej rozsądku.

- Moje intencje są tak nieskazitelne, jak pani uroda, mym jedynym pragnieniem zaś jest móc cieszyć się samą pani obecnością. Przychodzę prosić, byś pozwoliła mi, pani, się odwiedzać. Proszę otworzyć serce przed najbardziej oddanym sługą!

Upadł na kolana i pochylił głowę, by okazać, jak wielkim darzył ją oddaniem.

Catherine przyglądała mu się z przyjemnością. Już od jakiegoś czasu nikt nie pragnął jej tak, jak ten człowiek, ona zaś wciąż jeszcze gniewała się na swego męża za to, że pozbawił ją towarzystwa owego wspaniałego młodzieńca, który uwodził ją kilka tygodni temu. Bez słowa wyjaśnienia wyrzucił go z ambasady, posyłając na naukę hiszpańskiego do Sewilli. Do tej pory mu tego nie wybaczyła.

- Proszę się podnieść i porozmawiać ze mną, mister Trévelez. Choć pański zapal mnie zaskoczył, wyczuwam w pańskich słowach szczerłość i sądzę, że jest pan człowiekiem honoru. Prawdę mówiąc nie wiem, co odpowiedzieć.

- Jeśli przysparzam kłopotu, proszę tylko powiedzieć, a nie będę pani więcej zamęczał swymi szlachetnymi pragnieniami. Lecz jeśli mnie, pani, przyjmiesz, to przyrzekam, że będę pani służył tak, jak pani na to zasługuje.

- Co za rycerskość z pańskiej strony, mój drogi przyjacielu! Nie zwykłam ulegać podczas pierwszej rozmowy - proszę uwierzyć, że z nikim tak nie postąpiłam - lecz widzę w panu coś, co mnie ciekawi, tak więc od dziś ma pan moje pozwolenie, by odwiedzać mnie, kiedy tylko pan zechce.

Joaquín przysunął się bliżej do jej korpulentnego ciała i spojrzał na nią z takim ogniem, jakby nie istniała bardziej wyjątkowa kobieta.

◆◆◆

Kilka ulic dalej bracia Timbrio i Silerio Heredia szykowali przy kowadle swego warsztatu nowe podkowy dla koni księżnej de Arcos. Silerio wyciągał je z ognia i przytrzymał wielkimi żelaznymi szczypcami, podczas gdy Timbrio nadawał im odpowiedni kształt i grubość.

Minęły zaledwie cztery tygodnie, odkąd zatrudnili się u księżnej, lecz praca, jakiej wymagało utrzymanie wszystkich sprzętów w dobrym stanie, dawała im tyle zajęcia, że przez ten czas niemal nie wyszli z terenów pałacu.

Byli zadowoleni, że pozostawili życie w kuźni za sobą. Lepiej teraz zarabiali, jedzenie było obfite i smaczne, a ich pokoje nie miały nic wspólnego z poprzednią brudną izdebką i ubogimi wyrkami.

Czasem, kiedy byli sami, rozmawiali o tym, jakie nowe działania mogliby podjąć, by zemścić się za cierpienie, które do tej pory przepelniało im serca. Byli pewni siebie i dumni z powodu tego, co już zdołali osiągnąć. Rozważali pomysł za pomysłem, rozmyślali, marzyli o tym, jak odpłacić za owe otwarte rany, które zatrwały ich życie jadem.

Kiedy podkowa, wciąż jeszcze rozgrzana do czerwoności, zetknęła się z wodą w wiadrze, w powietrze uniosła się gęsta chmura pary wodnej. Timbrio przyjrzał się ukończonemu dziełu i uznał, że miało odpowiedni kształt. Potem wsparł się o stóg siana, by odpocząć przez kilka minut.

- Silerio, zastanawiałeś się, jak przeprowadzić naszą następną akcję? Czasem wydaje mi się, że może być zbyt ryzykowna.

- Jeszcze nie, ale znajdziemy dobrą wymówkę, by się tam dostać. Dobrze zrobiliśmy, Timbrio, żeśmy zmienili mieszkanie i pracę. Jesteśmy teraz bliżej, możemy ich widywać, wiemy, kim są i gdzie mieszkają. Nasze działanie odniesie lepszy skutek, będzie bardziej śmiercionośne.



Catherine spieszyła się, by wrócić do ambasady. W miłym towarzystwie Joaquina Tréveleza czas jej spaceru upłynął tak szybko i przyjemnie, że zupełnie zapomniała o wizycie, którą miało złożyć tego wieczoru w jej rezydencji ambasadorostwo Austrii.

Przejęta godziną i nieco zaniepokojona ognistymi zalotami Joaquina, pożegnała się z nim, prosząc, by stawił się w ambasadzie w następnym tygodniu. Jej mąż wybierał się w ważną podróż do Londynu, a więc przez jakiś czas miał być nieobecny.

Joaquín pożegnał się z nią z chodnika, posyłając jej pocałunek i patrząc, jak jej powóz się oddala. Nie miał nawet czasu, by wszystko sobie przemyśleć, kiedy nagle pozdrowił go znajomy głos - głos księżnej de Arcos:

- Co za niespodzianka! Nie wiedziałam, że między obydwojma państwami nawiązały się tak przyjazne stosunki.

Joaquín nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa, czy to z gniewu, czy z niemożności znalezienia szybkiej i wiarygodnej odpowiedzi na tę uwagę.

- Księżno...

Odszukał swojego konia i podszedł do niej, trzymając cugle w ręce. Księżna wychyliła się przez okienko.

- Panie sędzio...

- Polityka. Sama wiesz, pani...

- Proszę się nie martwić, zachowam dyskrecję przy pańskiej damie - zbyła wymówkę, którą próbował się usprawiedliwić Trévelez.

- Dziękuję i ufam, że zachowa to pani w sekrecie.

- Dotrzymam słowa, lecz proszę mi powiedzieć, co takiego widzi pan w tej grubasce?

- Nie mogę wyjaśnić swoich pobudek. Przykro mi, są nazbyt skomplikowane.

Księżna spojrzała na niego, dając do zrozumienia, że ma do dyspozycji mnóstwo czasu, lecz po chwili zlitowała się i zmieniła temat.

- Widzieliśmy się na ślubie mego zmarłego przyjaciela, księcia de Llanes, ale nie miałam wtedy sposobności spytać: czy wie pan już, kto mógł dokonać zamachu w pałacu Moncloa? Czy mogą to być ci sami ludzie, którzy odpowiadają za potworną zbrodnię na drogim Carlosie Urbiónie?

Trévelez był jej niezmiernie wdzięczny.

- Rozważamy dwie możliwości.

- Może pan powiedzieć coś konkretniejszego?

- Z braku nowych śladów poszukujemy dwóch Cyganów. W tej chwili znamy tylko ich imiona.

- Cyganie? Czyż nie zamknięto ich wszystkich w twierdzach?

- Rzekomo tak, ale wiemy, że wielu zbiegło. Rozwiesiliśmy po całym mieście listy gończe z ich opisem i nazwiskami.

- Jak się nazywają?

- Timbrio i Silerio Heredia.

- Jak pan powiedział?

Trévelez powtórzył oba imiona, zdziwiony nagłą bladością na twarzy księżnej.

- Pracują dla mnie... - Jej ręce poczęły drżeć. - Zatrudniłam ich niecały miesiąc temu.

Nie wiedziałam, że są Cyganami. To moi nowi pracownicy...

- Jesteś pewna, pani?

- Całkowicie.

Joaquín bez jednego słowa pożegnania wskoczył na konia i oddalił się galopem w stronę jej pałacu. Po drodze natknął się na grupę gwardzistów, którym rozkazał podążyć za sobą, by pomóc w ujęciu dwóch Cyganów. Nie wierzył w łut szczęścia, ale ten jeden raz przypadek zdawał się stać po jego stronie.



Rozmowie Timbria i Silería Heredii położyła kres niespodzianka, jaką był widok pewnego człowieka, a także jego niespokojna twarz i stanowczy krok.

- Co was tu sprowadza, przyjacielu Claudio? - Bracia Cyganie przerwali na chwilę pracę.

Nie wyglądało na to, że ich były pracodawca z kuźni wpadł z przyjacielską wizytą.

- Od tygodni szukam was po całym Madrycie. Spodziewałem się, że będziecie gdzie indziej, nie tutaj. - Kowal wciągnął powietrze poruszony. - Chcą was aresztować!

- Mówcie ostrożniej, proszę was. Mogą nas usłyszeć. - Timbrio wykonał rękami gest, pokazując mu, by zniżył głos.

- Powiedzieliście, że kto chce nas zatrzymać? - spytał Silerio.

- Żołnierze - Claudio dyszał ze zmęczenia - i jakiś Trévelez, sędzia królewskiego domu i dworu. Dobrze, że zdołałem was w porę odszukać.

- Mówcie jaśniej, a przede wszystkim najpierw odzyskajcie oddech, bo coś wam się jeszcze stanie. - Timbrio zaniepokoił się na widok zaczerwienionej twarzy kowala.

- Musicie natychmiast uciekać, wyjechać z Mądrym i ukryć się na jakiś czas!

- Uspokójcie się, Claudio!

Silerio podał mu trochę wody. Mężczyzna wypił wszystko jednym haustem.

- Zjawili się kilka godzin po waszym odejściu, już kilka tygodni temu. Wypytywali o was. Oskarżają was o morderstwo. Nic im nie powiedziałem, bo nie wiem, czy mówili prawdę, i mało mnie to obchodzi. Uważam was za przyjaciół i nie dopuszczę, by spotkało was coś złego. Musiałem tylko powiedzieć im, że jesteście Cyganami i jak się nazywacie, bo mnie łolili.

- Nie przejmujcie się tym, z naddatkiem dowiedliście już swej lojalności. Nie spodziewaliśmy się tego po was. Ale jak nas tam odnaleźli?

Timbrio zastanowił się szybko. Rada, by uciekali, nie wydawała się zła. Jeśli żołnierze wiedzieli już o nich prawie wszystko, nietrudno im będzie ich znaleźć. Wielu szlachciców przybywało do tego domu w eskorcie uzbrojonych gwardzistów i wcześniej czy później ktoś mógłby ich rozpoznać.

Uznał, że powinni usłuchać Claudia i jak najszybciej opuścić to miejsce.

- Natychmiast stąd odejdziemy. Masz rację, to miejsce może stać się pułapką, jeśli po nas przyjdą. Lepiej uciec zawczasu.

Bracia zabrali z kwatery swój nieliczny dobytek i ponownie skierowali się do warsztatu, gdzie czekał na nich Claudio.

- Nie chcemy was narażać na szwank, więc nie powiemy, gdzie zamierzamy się ukryć. Powinniśmy opuścić na kilka dni Madryt, ale najpierw musimy dokończyć sprawę, która zajmowała nas zbyt długo, by ją teraz porzucić.

- Nikomu nie ufajcie - poradził im Claudio. - Cały czas oglądajcie się za siebie. Od teraz musicie zawsze pamiętać, że ktoś może was śledzić. Bądźcie bardzo ostrożni, zaklinam was!

- Spokojnie, mój przyjacielu, tak właśnie zrobimy. Chyłkiem schronili się pod wewnętrznym murem ogrodów i przeszli wzdłuż niego aż do bramy wjazdowej, starając się, by nie dostrzegł ich nikt w posiadłości. Doszli do bujnego żywopłotu, który dobrze ich zasłaniał. Nagle usłyszeli coś, co ich zatrzymało: był to tętent kopyt. Zdawało się, że koni jest wiele, i że nadjeżdżają w kierunku rezydencji. Dla bezpieczeństwa uciekinierzy schowali się za gałęziami ogromnego wawrzynu, który całkowicie ich zasłaniał.

Ktoś uderzył w drewniane bramy, krzyząc: „Otwierać przed władzą!”. Cała trójka spojrzała po sobie ze strachem. Timbrio rozkazał im ruszyć biegiem, gdy tylko da znak, nie oglądać się do tyłu i nie tracić czasu. Zachowując ostrożność, przy odrobinie szczęścia zyskają parę sekund na ucieczkę, jeśli tylko poczekają, aż ostatni z gwardzistów zniknie za rogiem głównej szklarni, która zasłoni ich, dopóki patrol nie rozstawi się po całym terenie.

Timbrio naliczył dziesięciu ludzi, przed nimi zaś znajdował się ktoś, kto sądząc po ubraniu, musiał być sędzią. Zdał sobie sprawę, że w tej chwili równie łatwo mogli zostać schwytani i skazani na śmierć, jak dalej cieszyć się wolnością - jeśli tylko zachowają ostrożność. Jego serce jakby oszalało: waliło tak mocno, że czuł to nawet w skroniach.

Patrzył, jak ostatni z jeźdźców znika za szklanymi ścianami, po czym dał znak. Wyszli, nie robiąc żadnego hałasu, najszybciej, jak mogli. Bali się usłyszeć krzyk, jakieś zawiadomienie gwardii, rozkaz pościgu. Lecz nic się nie wydarzyło. Szczęściem żołnierze nie zostawili na zewnątrz żadnej rezerwy i ulica wyglądała spokojnie. Nic już nie stało na przeszkodzie, by rzucić się biegiem, teraz już z mniejszą ostrożnością. Byle tylko jak najszybciej oddalić się od pałacu.

◆◆◆

Timbrio szedł przodem: wyprzedził towarzyszy, by móc jak najszybciej zauważyć jakąkolwiek przeszkodę, która mogła stanąć im na drodze. W ręce ścisnął nóż, na wypadek, gdyby zaszła potrzeba się nim posłużyć.

I nagle ją zobaczył. Urosła. Wydała mu się o wiele bardziej kobieca, lecz bez wątplenia była to jego córka Amalia. Szła z naprzeciwka, trzymając w ręce wiklinowy koszyk, pogrążona w swoich myślach. Zaniepokoił ją dźwięk ich kroków. Podniosła głowę i wtedy również go ujrzała. Zduśiła zaskoczony okrzyk, gdy ojciec zakrył jej usta.

- Amalio, córeczko moja!

- Ojczy?

- Ścigają nas. Nie mogę tu zostać. Szybko, powiedz mi, gdzie mieszkasz: przyjdę się z tobą zobaczyć, gdy tylko będę mógł.

Ciągle oglądał się do tyłu, niespokojny i zarazem uszczęśliwiony tym nieoczekiwanym przypadkiem, faktem, że wreszcie ujrzał swą córkę, którą miał już za nieżywą.

- Pracuję w domu księcia de Llanes, a Teresa jest tam ze mną.

Dziewczyna rozplakała się ze wzruszenia. Po tylu latach rozłąki wreszcie ujrzała swego ojca i wuja.

- Teresa też? Jaką radość mi sprawiasz, córuchno!

- Musimy już iść, Timbrio - przypomniał mu Claudio.

- Nie mogę teraz zostać, ale przysięgam ci, że wkrótce się zobaczymy!

Rada Najwyższa Inkwizycji. Madryt. Rok 1751

13 września

Rozmyślali i dyskutowali o tym bez końca. Przede wszystkim należało dokładnie przemyśleć, a następnie odrzucić jeden po drugim różne sposoby dotarcia do owej osoby. W końcu za jedyną możliwą drogę - drogę, która miała największe szanse powodzenia - została uznana ta, która wiodła przez główną siedzibę Świętego Oficjum na ulicy Reloj.

Pretekst do zjawienia się i następnie wejścia do pałacu był w miarę wiarygodny. Aż do tego miejsca nie przewidywali zbyt trudności. Najbardziej krytyczny moment planu miał nastąpić później, kiedy już znajdą się z ofiarą sam na sam. Wtedy będą musieli działać szybko, z zaskoczenia, pewnie.

Było jeszcze zbyt wcześnie, by na ulicach Mądrym zaczął rozbrzmiewać zwyczajny gwar wzbudzany przez ludzi, konie, krzątanicę. Powietrze było tak zimne, że nos aż bolał przy oddychaniu.

Oslonięci grubymi wełnianymi płaszczami dwaj piesi w całkowitym milczeniu przyspieszyli kroku. Mięśnie ich twarzy były stężałe z napięcia. Wysokie ryzyko, które towarzyszyło ich przedsięwzięciu, sprawiało, że zachowywali stałą czujność i bacznie obserwowali wszystko, co działo się dookoła.

Falszywy donos stanowił dostateczną wymówkę, by rozmówić się z głównym kierownikiem Świętej Inkwizycji, jej najwyższym przedstawicielem po inkwizytorze generalnym Perezie Prado. To właśnie Prado miał być pierwotnie celem ich machinacji, jednak okazało się, że ze względu na potężną ochronę był całkowicie nieosiągalny.

- Mam wszystko, co potrzeba. Nie wiem tylko, jak wykonamy na nim symbol.

- Przybijemy go do niego.
- Jeśli narobimy za dużo hałasu, zawiadomimy innych.
- Naostrzyłem gwoździe: wejdą bez problemu. To wystarczy.

Fasada pałacu zbliżała się do nich z każdym krokiem. Byli niemal na miejscu.

- A teraz, przede wszystkim spokój. Nie powinni zauważyć, że się denerwujemy, wzbudzilibyśmy podejrzenia.

Zapukali trzykrotnie. W środku dały się słyszeć kroki. Dwa wielkie rygle zostały odsunięte i drzwi zaczęły się otwierać. Po chwili wyjrzał do nich mężczyzna niskiego wzrostu o ukośnych oczach, porwany atakiem kaszlu; wydawało się wręcz, że zaraz zrobi sobie krzywdę. Poczekali bez najmniejszego pośpiechu, aż się pozbiera.

- Proszę wybaczyć! Któregoś dnia ten katar mnie dobije. - Mężczyzna donośnie wydmuchał nos w niezbyt czystą chustkę. - W czym mogę pomóc tak wczesnym gościom?

- Chcielibyśmy zobaczyć się z głównym inkwizytorem. Portier spróbował przyjrzeć się ich twarzom, na w pół ukrytym pod opończami.

- Z ojcem Aquilino? Jesteście z nim umówieni?

- Nie, ale musimy się z nim zobaczyć. Mamy ważną informację, którą powinien poznać, i to szybko.

- Jeśli chcecie się z nim zobaczyć, musicie mówić nieco jaśniej. - Przy takim kaszlu oczy portiera były zaczerwienione i wilgotne, lecz mimo to jego spojrzenie pozostawało twarde, a wyraz twarzy - stanowczy.

- Dysponujemy informacją, która z pewnością go zainteresuje. Przychodzimy w dobrej wierze, by złożyć donos na wysokiego dostojnika kościelnego, winnego perwersji i jawnej herezji. Jest to sprawa wielkiej delikatności, uznaliśmy więc, że możemy zwrócić się jedynie do kogoś, kto będzie potrafił zająć się nią z należytą rozwagą.

Ta zaskakująca wiadomość wywołała u portiera kolejny atak kaszlu, który na chwilę pozbawił go głosu. Mężczyzna otworzył im szeroko drzwi i przepuścił do środka.

- Poczekajcie tutaj... - Skulił się przy kolejnym ataku, tym razem dreszczy. - Pójdę go poszukać.

Westybul budynku był okrągły. Na środku znajdował się ogromny posąg archanioła Gabriela w hełmie, zbroi i z mieczem w dłoni, przesywającego głowę smoka.

Najpiękniejszą ścianę, naprzeciwko drzwi, ozdobił wielki jedwabny gobelin z symbolem inkwizycji: zielonym krzyżem, po którego obu stronach wisiały szpada i gałąź oliwna. W pomieszczeniu były również cztery zwieńczone łukami przejścia, prowadzące do

długich korytarzy, a na każdej z idących po okręgu ścian, które je rozdzielały, znajdowały się inne gobeliny z symbolami czterech ewangelistów: człowiekiem, bykiem, lwem i orłem.

Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie pociągała za sobą ta część planu, mężczyźni spojrzeli na siebie, by dodać sobie otuchy.

- Musimy tylko skłonić go, by zabrał nas do swego gabinetu. Potem, gdy już się tam znajdziemy, wszystko pójdzie gładko.

- O ile nie pojawi się nikt więcej.

- Miejmy nadzieję, że tak się nie stanie.

W końcu ktoś nadszedł. Na całe szczęście dla obu przybyszów były to tylko dwie osoby: portier i mężczyzna, który musiał być głównym inkwizytorem. Ten ostatni przyjrzał im się z wyrazem niepokoju na twarzy. Nie znał jeszcze tożsamości denuncjowanego ani jego stanowiska, lecz sprawa wydała mu się niezwykle poważna. Zazwyczaj takimi problemami zajmował się osobiście jego przełożony, biskup Perez Prado, lecz podczas jego nieobecności obowiązek wysłuchania tego typu deklaracji spoczywał na nim.

- Arturo Aquilino, starszy inkwizytor Świętego Oficjum... - to powiedziawszy, mężczyzna zawahał się; nie wiedział, czy powinien uprzejmie uściśnąć gościom dłonie, czy też zachować dystans. Ich tajemniczy wygląd nie napełniał go pewnością siebie.

- Chcemy złożyć donos na człowieka Kościoła - na pewnego biskupa, mówiąc dokładniej - gdyż zachowuje się on skandalicznie, prowadzi rozwiązłe życie i ogólnie stanowi zły przykład dla swych wiernych.

- Rozumiem...

Wydawało się, że inkwizytor nie wiedział, jaką podjąć decyzję. Zapadła długa i pełna napięcia cisza, która wzbudziła niepokój pozostałych.

Sytuacja stawała się absurdalna.

- Moglibyśmy porozmawiać na osobności? - zaproponował w końcu jeden z przybyłych, patrząc ze skrępowaniem na portiera. Ten nie wydawał się specjalnie przejęty wykluczeniem z rozmowy.

- Oczywiście... tak będzie najrozsądniej. Proszę za mną do mojego gabinetu, tam będą panowie mogli mówić swobodnie.

Ruszyli jednym z korytarzy, aż dotarli do skrzyżowania. Ojciec Aquilino otworzył pierwsze ze znajdujących się tam drzwi i wpuścił gości do środka. Szczęśliwie nikt więcej nie widział ich po drodze, a w dalszej części korytarza nie było słyhać żadnego ruchu.

Mężczyźni zabrali się do dzieła równie szybko, jak efektywnie. Jeden z nich ścisnął inkwizytora za szyję i zakrył mu usta, podczas gdy drugi kneblował go, dopóki krzyki

duchownego nie stały się prawie niesłyszalne. Następnie przysunął fotel i posadził go na nim gwałtownie, mocno krępując jego kostki do nóg krzesła.

- Przytrzymaj mu ręce, kiedy będę wiązał.

Unieśli mu obie ręce ponad głowę i związali je na karku. Ostami sznur przeciągnęli przez brzuch i przywiązali do krzesła, całkowicie unieruchamiając inkwizytora.

W oczach duchownego widać było strach. Wiedział, że nie mogło się to dobrze skończyć. Patrzył z przerażeniem, jak obaj mężczyźni krzątają się przy nim z niepokojącą determinacją. Nie wypowiadali ani słowa, lecz widać było, że wiedzą, czego chcą.

Ten, który wyglądał na starszego, wyciągnął spod płaszcza filcową torbę średnich rozmiarów, po czym wyjął z niej złocistą gwiazdę, jakby miedzianą. Rozdarł koszulę inkwizytora z góry na dół, po czym bez zastanowienia umieścił gwiazdę na jego piersi.

- Zaskoczony, prawda? - Z uśmiechem rozkoszował się jego przerażoną miną. - To jeszcze nic w porównaniu z tym, co zobaczycie teraz.

Pierwszy gwóźdź wszedł bez problemu, z łatwością zagłębiając się między żebra. Z drugim i trzecim mieli więcej kłopotów, gdyż czubki gwiazdy znajdowały się na kościach. Musieli przesuwac ją, dopóki nie znaleźli miejsca, gdzie mogli wbić zaostrome gwoździe. Dwa ostatnie weszły bez żadnych trudności. Następnie oprawcy odsunęli się od inkwizytora, by obejrzeć efekty pracy, które zdawały się całkowicie ich zadowalać.

- Popatrz na niego, popatrz! Spójrz mu w oczy! - powiedział podekscytowanym głosem młodszy z nich.

Drugi zbliżył się do twarzy duchownego z naostrzonym nożem, po czym obciął mu ucho.

- Byłeś za życia katem i zadawałeś tylko śmierć! Owinął ucho w chustkę i schował je.

- Teraz odpłacą ci twoje własne ofiary, ty nędzne ścierwo!

- Przestań gadać - skarcił go drugi - i skończ z nim wreszcie; musimy już iść.

Aquilino rzucał się na krzesła, otępiał z bólu i strachu. W duchu błagał, by wszystko skończyło się jak najszybciej. W tym właśnie momencie podszedł do niego jeden z mężczyzn.

W ręce trzymał młot. Ciężkie żelazo uderzyło inkwizytora z taką siłą, że całkowicie zmiażdżyło mu głowę.

Egzekutor uśmiechnął się z satysfakcją widząc, że młot utkwiał w czaszce ofiary.

- Zostaw go już i wynośmy się stąd jak najszybciej - ponaglił go towarzysz.

Sprawdzili, czy nikogo nie ma w korytarzu, po czym ruszyli do holu wejściowego, gdzie ku swej radości odnaleźli portiera.

Zanim zamknęli za sobą drzwi, śmiertelny cios na zawsze uciszył kaszel mężczyzny.



- Odkąd przyszedłś mnie rano obudzić, ani na sekundę nie przestałaś podśpiewywać. Masz w twarzy coś takiego, sama nie wiem: promieniejesz radością. Co ci się przydarzyło? - spytała Beatriz.

- Jestem bardzo szczęśliwa, pani... - odparła Amalia, która kończyła właśnie porządkować jej szafę.

- A jaka jest tego przyczyna?

Dziewczyna podeszła do skrzyni, w której znajdowała się pościel, i wybrała z niej nowy komplet, żeby zmienić prześcieradła na łóżku.

- Wczoraj widziałam mojego ojca! - oświadczyła, nie mogąc zapanować nad nerwowym śmieszkiem.

- Ale czy nie mówiłaś, że zamknęli go w twierdzy w Kadyksie?

- Nie zdążył minie opowiedzieć. Szedł ulicą razem z wujem i jakimś mężczyzną, bardzo się spieszyli i ledwo miałam czas z nim porozmawiać. Ale żyje i jest tutaj...

- Nie rozumiem. Jak mógł nie rozmawiać z tobą po tak długiej rozłące?

Amalia zdjęła zużytą pościel i zaczęła ścielić łóżko świeżą.

- Pani, przypominam ci, że my, Cyganie, zawsze jesteśmy ścigani. Pewnie dlatego nie mógł ze mną dłużej zostać. Ale nieważne. Widziałam go, a wkrótce będę mogła z nim porozmawiać; obiecał mi to.

Przez chwilę Beatriz zazdrościła Cygance z całej duszy - jej samej nigdy coś takiego nie spotka.

Spojrzała na Amalię. Jej skóra o brązowej karnacji z delikatnym oliwkowym odcieniem kontrastowała z bielą ubrania. Kasztanowa grzywa zaczynała wymykać się spod zaplecionych włosów. Z każdego ruchu i spojrzenia dziewczyny przebijała owa stara mądrość wryta w ziemi i w krwi cygańskiej.

- Zbliź się!

Służąca przerwała robotę i zwróciła się do Beatriz. Jej uśmiech sam z siebie rozświetlał całą sypialnię. Dziewczyna usiadła u stóp swej pani.

- Nie jestem córką hrabiny de Benavente. - Palce Beatriz poczęły bawić się włosami pokojówki.

Amalia zmarszczyła brwi zdziwiona tym oświadczeniem.

- Moja matka nazywała się Justina i zmarła zamordowana sześć lat temu, w moich ramionach. Winni tej zbrodni zamknęli także mojego ojca, mego ukochanego ojca, i

pozbawili mnie życia, zabili we mnie nadzieję, odebrali mi prawo, by znowu go ujrzeć, gdyż zmarł po krótkim czasie w ich lochach, więzień ich nikczemności.

Beatriz mówiła z całym spokojem, pewna, że dziewczyna, która mogła żywić tak samo gniewne uczucia, zdoła ją zrozumieć. Słabo ją jeszcze znała, lecz dostrzegła między nimi coraz mocniejszą więź, która wykaczała poza świat materialny.

Amalia wiedziała, że nie powinna zadawać pytań, musiała tylko słuchać, być obok.

- Zostałam adoptowana przez hrabiów, którzy się mną zaopiekowali. Przeznaczenie sprawiło, iż poznałam pewnego Cygana. Wtedy nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, że nasz los był już gdzieś zapisany: najpierw stał się on moim najlepszym przyjacielem, potem ukochanym.

Zdziwienie w twarzy Amalii znalazło natychmiastową odpowiedź.

- Poznałaś już Marię Emilię. Zaadoptowała go, kiedy jej mąż stacjonował w La Carraca, gdzie Braulio przebywał jako więzień, tak samo jak twój ojciec.

Amalia natychmiast domyśliła się, że miłość ta skończyła się jakąś tragedią.

Beatriz poczuła się swobodniej. Poglądziła czoło dziewczyny, wzruszona zrozumieniem, które je łączyło. Wiedziała, że Amalia mogła wysłuchać niemych głosów, które kłębiły się w jej wnętrzu. Posiadała ten szczególny dar - Beatriz widziała to coraz wyraźniej i podobało jej się to.

- Czy zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego zło dotyka jednych bardziej niż innych?

- Może niektórzy z nas bardziej je przyciągają - odparła Cyganka.

Jej odpowiedź ujęła Beatriz.

- Ty również odczułaś jego moc, prawda? Czulaś, jak kręci się dookoła ciebie, zafascynowane?

- Tak. Jak coś zimnego, jak koszmar, który powraca każdej nocy. Zawsze stoi u mego boku; do tego stopnia, że nawet przyzwyczaiałam się do jego obecności.

- Wiem. W końcu zaczynasz wręcz pragnąć, by nigdy cię nie opuściło, i chcesz poczuć je bliżej, nawet być jego panią...

Amalia nie do końca pojmowała znaczenie jej słów, lecz Beatriz doskonale wiedziała, o czym mówi. Suma tragedii, które spotykały ją przez całe życie, zaczynała z wolna przybierać w niej jakiś nowy sens, zmieniając nawet samo jej rozumienie pojęcia zła. Nie stanowiło już ono czegoś, czego należało się lękać, gdyż przez lata było jej wiernym towarzyszem. Stało się jej północą, jej przewodnikiem, jej przeznaczeniem.

- On umarł, prawda? - Niezdolna zapanować nad ciekawością Amalia natychmiast pojęła niewłaściwość swego pytania.

- Nie wiem, czemu mnie o to pytasz, Amalio. Przeniknęłaś moje myśli i wszystko widziałaś. Nieprawdaż?

- Tak. Widziałam go, jak leżał w pani ramionach. Jak we śnie, moje oczy stały się na chwilę jego oczami, i dzięki temu poczułam, jak bardzo was kochał. Wszędzie była krew, zwłoki, ból.

- Dwa miesiące temu w pałacu księcia de Huescar odbyła się wielka zabawa. Byłam już wtedy zaręczona z księciem - oczywiście zmusili mnie do tego rodzice - i tamtej nocy po raz pierwszy pokazaliśmy się publicznie jako para. Braulio również tam przybył, towarzyszył naszej wspólnej znajomej. Kilka dni wcześniej poróżniliśmy się z powodu jednego z waszych praw, gdyż powiedział mi, że zamierzał pozostać wierny waszej tradycji, która nakazuje uszanować zamężną kobietę, niszcząc tym samym moją nadzieję na przetrwanie naszej miłości. Wtedy na cmentarzu - zawsze będę o tym pamiętać - postanowiłam, że z nim skończę. W tamtej chwili nie byłam w stanie się z tym pogodzić ani go zrozumieć, zamknęłam przed nim swe serce. - Beatriz przerwała opowieść, by zapanować nad ostrym bólem, który ją ogarnął. - Podczas tańców zalecał się do mnie, urzekał mnie tak, jak tylko on potrafił, a ja znowu go odrzuciłam, powinnam go była obdarzyć pocałunkiem, a zamiast tego pocałowałam mego zmarłego męża. Potem nastąpiła wielka eksplozja i zaczęło się zamieszanie. Po chwili jeszcze trzy kolejne wybuchy. Pobiełam go szukać, zrozpaczona, czując, że nie żyje. I w końcu go znalazłam... - Zamilkła na długą chwilę. - Resztę już znasz.

Spojrzała na Amalię. Dziewczyna płakała. Beatriz osuszyła jej łzy palcami i ten jeden raz zapragnęła zapłakać razem z nią. Nie potrafiła.

- Któregoś dnia mówiła pani o jakiejś książce...

- Jeszcze nie teraz. Ale zobaczysz ją. Zaufaj mi, w końcu zrozumiesz to lepiej.

Zegar wybił południe. Amalia przypomniała, że Beatriz, musi wkrótce wyjść, jeśli nie chce stracić lekcji łaciny. Uderzenia zegara przerwały tę wyjątkową dla nich chwilę, niemal magiczną, życie jednak toczyło się dalej swoim rytmem, niepomne na jakiegokolwiek uczucia, niepomne właściwie na wszystko.

Amalia podniosła się szybko i wróciła do ścielenia łóżka.

Beatriz poszukała płaszcza dla ochrony przed zimnem i odeszła zadowolona, wiedząc, że służąca stała się już częścią jej samej, ważną częścią, tam gdzie inni pozostawili ogromną dziurę.

Nadal doskonaliła znajomość łaciny, lecz wciąż było to za mało w stosunku do tego, czego potrzebowała...



Kwatery straży, zamknięte od północy bramą del Conde Duque, dumnie zajmowały obszerny kompleks budynków w madryckiej dzielnicy pałaców i klasztorów. Wewnątrz ich murów szkoliła się siejąca postrach gwardia królewska: najlepiej wyćwiczeni i cieszący się największym prestiżem żołnierze w całej armii, bezpośrednio odpowiadający za bezpieczeństwo rodziny królewskiej.

Utworzona w większości z Flandryjczyków i innych obcokrajowców, przez jednych była szanowana, przez innych - demonizowana; ci ostatni dość mieli patrzonia, jak od zarania dynastii Burbonów najwyższe stanowiska w państwie wpadają w obce ręce.

Tego ranka sędziego Trevelez miał przy sobie rozkaz dla kapitana, podpisany przez najwyższego zwierzchnika rządu, markiza de la Ensenada, który nakazywał oddać do jego dyspozycji dwadzieścia oddziałów, każdy po sześciu ludzi, by obstarwić cały Madryt w celu odnalezienia dwóch Cyganów - Timbria i Sileria Herediów - głównych podejrzanych o zabójstwa na Castro, na księciu de Llanes, a teraz także na inkwizytorze Świętego Oficjum, nie licząc dwunastu ofiar poległych w pałacu Moncloa.

Trevez właśnie jak co dzień rozmówił się z Somodevillą, chwilę przedtem zaś był na miejscu nowej zbrodni w siedzibie Rady Najwyższej Inkwizycji.

Ensenada przychylił się do jego opinii, że prawdziwymi sprawcami morderstw byli Cyganie, w przeciwieństwie do tego, co myślał na ten temat Ravago. Dowiedziawszy się, że śledztwo zaczyna zbierać pierwsze owoce i że dysponowali już imionami i opisami podejrzanych, markiz wyraził Trevelezowi swoje całkowite zaufanie i chęć pomocy w pościgu. Obaj zdawali sobie sprawę z konieczności przedstawienia królowi jakichś postępów, choćby nawet nie całkiem konkretnych.

W zabójstwie inkwizytora Trevelez dostrzegł te same cechy szczególne, co w przypadku Castro i księcia de Llanes: bezmierną nienawiść do ofiary, jeszcze jeden symbol, kolejne okaleczenie. Choć tradycje i rytuały cygańskiego świątka były mało znane, nie miał wątpliwości, że te brutalne i bezlitosne zbrodnie mogły w istocie być popełnione przez Cyganów - w końcu ich zwyczaje i prawa były równie archaiczne, jak proste, i niemal wszystkie opierały się na prawie zemsty.

Za każdym razem, gdy rozmawiał z Rávagiem, trop masoński wydawał się jedynym możliwym rozwiązaniem - Trévelez nawet osobiście zaangażował się w działania, które mogły skompromitować ambasadora Keene'a, jednak instynkt nakazywał mu uznać Cyganów za bardziej prawdopodobnych sprawców. Jako motyw mieli oni próbę eksterminacji, a ich okrucieństwo nie było niczym nowym: stanowiło niemal cechę ich rasy.

Joaquín przypomniał sobie oświadczenie jednego z adiutantów, pierwszego, który przybył na miejsce zbrodni.

- Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego - powtarzał ów człowiek raz za razem. - Wyglądało to na dzieło samego szatana: młot wbity w głowę i ta gwiazda na piersi, przybita gwoździami, i jeszcze ucięli mu ucho. Szatan, to był szatan! - twierdził z przekonaniem.

Trévez dotarł do bramy wejściowej. Dwóch strażników zastąpiło mu drogę. Okazał im swoje dokumenty i rozkaz Ensenady, aby wpuścili go do środka. Wszedł na dziedziniec i skierował się na pierwsze piętro, by odszukać kapitana. Przed oczami przewijało mu się makabryczne zajście z tego poranka i jego związek z poprzednimi morderstwami: tym razem pojawiły się gwiazda i młot, wcześniej zaś był już trójkąt u Castro i kątownica u księcia de Llanes. Trévez miał w głowie taki zamęt, że nie potrafił zdecydować: Cyganie czy masoni? A może ktoś zupełnie inny?

- Kapitanie Voemer...

- Panie sędzio... Proszę siadać. W czym mogę pomóc?

Trévez pokazał mu rozkaz Ensenady. Mężczyzna przeczytał go z uwagą i wymruczał pod nosem kilka słów.

- Somodevilla nakazuje, bym bezzwłocznie oddał do pańskiej dyspozycji stu dwudziestu ludzi, lecz nie podaje przyczyny. Jakaż to poważna sprawa może wymagać tak wielkich sił zbrojnych?

- Na pewno wie pan o morderstwach popełnianych ostatnio w Madrycie.

- Oczywiście, ale nie rozumiem, w czym możemy pomóc, skoro ma pan już dość ludzi, i to bez wątplenia bardziej wyspecjalizowanych niż nasi. - Kapitan podkreślił ostro zakończony wąsik. - Wiem także, że wczoraj posłużył się pan moimi gwardzistami, by zatrzymać jakichś podejrzanych. Nie żądam wszystkich szczegółów, ale chciałbym wiedzieć, o co chodziło.

- W takim razie na pewno słyszał pan, że nie zdołaliśmy ich schwytać. - Trévez westchnął z pewnym zmęczeniem, lecz spróbował wyjaśnić sytuację. - Wyjaśnię, kogo szukamy i dlaczego. Sądzymy, że eksplozje w domu księcia de Huesear, które były przyczyną tyłu zgonów oraz niezwyklego niepokoju króla, są dziełem dwóch Cyganów, Timbria i Sileria. Właśnie wczoraj dowiedziałem się przypadkiem, że pracowali dla księżnej de Arcos, lecz przybyliśmy zbyt późno; zdążyli się ulotnić. Mogę zapewnić, że królowi zależy na ich schwytaniu tak samo jak mnie. Dlatego właśnie potrzebujemy pańskich ludzi. Musimy działać jak najszybciej. - Podał kapitanowi kartkę z opisem i imionami Cyganów. - Uważamy ich

również za sprawców pozostałych zbrodni, o których mówiłem. Właśnie dziś rano w siedzibie inkwizycji popełniono kolejną, i nie wyobraża pan sobie nawet jej okrucieństwa. Jak pan widzi, czas działa na naszą niekorzyść.

- Ma pan inne podejrzenia, czy jest pan pewien, że to oni?

- Z uwagi na ostrożność nie mogę wiele powiedzieć, lecz muszę przyznać, że istnieje inna możliwość. Być może odpowiedzialna jest masoneria. - Zdawało się, że te słowa bardzo poruszyły kapitana.

- Proszę pozwolić, że coś powiem, chociaż jest to tylko uwaga osobista. - Mężczyzna zrobił długą przerwę i spojrzał dziwnie na Tréveleza, jakby rozważał, ile powinien wyjawić. - Trudno mi uwierzyć, że to masoni mogliby być sprawcami. Oni nie działają w taki sposób: byłoby to sprzeczne z ich filozofią.

- Zdziwiał mnie pańska pewność, kapitanie. Proszę się nie obrazić, lecz pańskie zachowanie budzi moje wątpliwości. Nie jest pan przypadkiem masonem, prawda?

- Oczywiście, że nie. Jestem dobrym chrześcijaninem - odparł kapitan stanowczo.

Trévelez spojrzał na niego nieufnie.

- Może mi pan wobec tego wyjaśnić swoje przekonanie i przedstawić źródła wiedzy o ich zasadach?

- Mogę tylko powiedzieć, że źródła te są bardzo dobre, o nieposzlakowanej wiarygodności; chodzi o osoby związane z moją rodziną. Od nich dowiedziałem się, że masoni kierują się bardzo surowymi kryteriami i wybierają do swego stowarzyszenia wyłącznie ludzi zacnych i dobrych obyczajów. W ich credo odrzuca się przemoc i dąży do powszechnego braterstwa, gdzie nie istniałyby różnice ze względu na kulturę, religię lub pozycję społeczną. Wśród ich doktryn najważniejsza jest ta, która głosi wolność sumienia i równość wszystkich ludzi. Z uwagi na to wszystko uważam ich za niezdolnych do wyrządzenia komukolwiek krzywdy, a tym bardziej do posłużenia się morderstwem, aby osiągnąć swoje cele.

Argumentacja ta wzbudziła w Trévelezie pewność, że kapitan, choć podał rzekome źródło wiadomości, w rzeczywistości ukrywał przynależność do stowarzyszenia. Sędzia natychmiast uznał, że mogłoby to bardzo mu się przydać.

- Nie wątpię, że pańskie informacje mogą być prawdziwe - powiedział - lecz proszę wziąć pod uwagę, iż dysponujemy również wiadomościami, które zdają się stać w sprzeczności z tymi szlachetnymi zasadami. Widzę, że dość dobrze orientuje się pan w wewnętrznych sprawach masonerii, proszę zatem powiedzieć, co pan myśli - czy nie mogłaby istnieć jakaś inna organizacja, bardziej hermetyczna, o mniej filantropijnych dążeniach? -

Jego porozumiewawcza mina w połączeniu z ironią wypowiedzi, która poprzedziła ostatnie pytanie, uświadomiły kapitanowi Voemerowi, że Trévelez odkrył jego tajemnicę.

- Nie wiem.

- Pomińmy te wybiegi. Jeśli zgodzi się pan ze mną współpracować, mogę w zamian zapewnić panu całkowitą nietykalność.

- Nietykalność? - Kapitan przybrał wyniosłą minę. - Przed czym miałbym się chronić, skoro nie mam z nimi nic wspólnego?

- Przypominam panu o prawomocności królewskiego dekretu, który zakazuje wszystkim wojskowym przynależności do tego stowarzyszenia pod karą więzienia, wstrzymania płac i natychmiastowego wyrzucenia z wojska.

Kapitan pożałował swej pochopności: mimowolnie zdradził się i teraz nie miał innego wyjścia z kłopotliwej sytuacji, jak tylko przyznać się do członkostwa.

- W czym mogę panu pomóc? - spytał z rezygnacją.

- Inkwizytor, którego zamordowano dziś rano, miał przybitą do piersi gwiazdę. Czy ten symbol ma dla masonów jakieś znaczenie?

- Proszę opisać ją dokładniej.

- Była to gwiazda pięcioramienna, przypominająca gwiazdę Dawida, ale z pewnymi różnicami. Wyglądała, jakby składała się z trzech przeplecionych w niezwykle sposób trójkątów, jakby zostały nakreślone jednym pociągnięciem...

- To gwiazda płomienista - przerwał mu kapitan. - Dla masonów przedstawia ona pięć osi doskonałości, do której dążą: siłę, mądrość, piękno, cnotę i miłosierdzie.

- Ciekawe... - Joaquín potarł podbródek, niezwykle ucieszony tym odkryciem. - W poprzednich zabójstwach pojawiły się również inne figury: trójkąt na piersiach jezuita Castro oraz coś, co wedle naszej interpretacji mogłoby być kątownicą, u księcia de Llanes. Obaj zostali okaleczeni, podobnie jak ostatnia ofiara. Widzi pan w tym jakiś sens?

- Nie mogę zaprzeczyć, że owszem. Trójkąt i kątownicą to przyrządy, które w symboliczny sposób pomagają masonowi zrozumieć, jak może wznieść świątynię swego ducha, na podobieństwo dawnych mistrzów, którzy posługiwali się tymi narzędziami do wznoszenia katedr oraz innych uświęconych budowli.

- Zatem nie ma żadnych wątpliwości, że wasze bractwo miało wiele wspólnego z tymi zajściami - stwierdził Trévelez z namysłem.

- Niekoniecznie.

- Proszę to wyjaśnić.

- Okaleczenia nie mają dla masonów żadnego znaczenia, lecz dla Cyganów - owszem.

- Mam wrażenie, że próbuje mnie pan zmylić. Nie dam się wciągnąć w tę gierkę: chce pan tylko zdjąć winę z waszej organizacji - powiedział Trévelez.

- Przekona się pan, że nie. Dobrze znam Cyganów. Dawno temu, przed dekretem o aresztowaniach, zlecono mi dochodzenie, by poszerzyć naszą niewielką wiedzę o ich zwyczajach i tradycjach.

- Nie wierzę panu.

- Proszę spytać markiza de la Ensenada. Rozkaz pochodził bezpośrednio od niego.

- Tak uczynię, ale najpierw niech pan mi powie, co pan wie.

- Cyganie wyznają kult przodków. Można niemal powiedzieć, że jest to kult pierwotny, z bardzo starymi pogańskimi rytuałami. Jak pan wie, klany i rodziny to formy organizacyjne, które nadają kształt ich społecznościom. Zdaje się, że dawno temu w celu zapewnienia sobie dominacji w klanie ten, kto pretendował do przywództwa, miał prawo okaleczyć swoich rywali. Wśród różnych okaleczeń, których dokonywano, ulubionymi organami były genitalia, jako najlepszy sposób na upokorzenie przeciwnika - choć nie były to bynajmniej jedyne członki, które można było amputować. W sumie, choć teraz wydaje nam się to barbarzyństwem, sprowadzało się to po prostu do prymitywnej demonstracji władzy jednego osobnika nad pozostałymi.

- Księcia de Llanes pozbawiono jednego jądra, Castro - serca, a ostatnią ofiarę - ucha. Jeśli wasza teoria jest prawdziwa, to sprawcy - według pana: Cyganie, według mnie: masoni - zrobili to tylko jako demonstrację siły? Po co?

- Tylko oni to wiedzą. Lecz uważam, że skoro na ofiarę został wyznaczony książę, może to oznaczać ich szczególną walkę z klasami rządzącymi, jako że był on przedstawicielem arystokracji. W ten sposób przypadki jezuitów czy zwierzchnika inkwizycji reprezentowałyby wyraźnie pozostałe grupy, które panują nad naszym społeczeństwem. Wszystkie one odpowiadały za prześladowania Cyganów. Z której strony by na to patrzeć, wszystko się zgadza, nie sądzi pan?

- Z pewnością, lecz ten sam argument może również odnosić się do masonerii.

- Podam panu powody, które jeszcze lepiej wesprą moją teorię.

- Proszę bardzo - rzucił mu wyzwanie Trévelez - spróbuj mnie pan przekonać, gdyż jak na razie się to nie udało.

- Po pierwsze, naród cygański jest porywczy: dokonuje rabunków i krwawych zemst między sobą, posługuje się oszustwami i sztuczkami. Ogólnie rzecz biorąc, ma wyraźne skłonności do działań przestępczych. Po drugie, wielu z nich uważa za ojczyznę swej dziwnej kultury odległe ziemie Egiptu. A czyż piramidy nie są również ogromnymi symbolicznymi

trójkątami? - Kapitan spojrzał na sędziego, zadowolony ze swej dedukcji. - A może potrzeba panu więcej argumentów?

- W porządku, kapitanie. Muszę przyznać, że pańskie założenia mają pewne podstawy. Niech pan złapie ich jak najszybciej, a potwierdzimy je.

- Zgoda! Ruszymy natychmiast. Podzielimy miasto na dzielnice i będziemy przeszukiwać dom po domu, dopóki ich nie znajdziemy. Proszę się nie martwić: powiadomię pana o wszystkich nowinach.

- Tak czy inaczej, jeśli sytuacja będzie tego wymagać, chciałbym skorzystać z pańskiej dogłębnej wiedzy o masonerii, o ile będę miał pewność, że mogę liczyć na pańską dyskrecję i posłuszeństwo. Mam nadzieję, że nie przyjdzie panu do głowy mówić o tym z braćmi.

- Panie sędzio, przede wszystkim jestem wojskowym. Proszę mi też uwierzyć, że nie mam już z nimi żadnych kontaktów. Może pan na mnie liczyć w każdej sytuacji.

Trévez zadowolony był z jego determinacji, wydawała mu się szczerą. Ponadto wiedział, że gwardia królewska zawdzięczała swój wysoki prestiż znaczącym sukcesom we wszystkich powierzonych misjach. W rękach Voemera poszukiwania będą dobrze prowadzone.

Jednakże po opuszczeniu kwater, gdy rozmyślał nad niektórymi szczegółami ostatniej rozmowy, znowu opadły go wątpliwości. Czy argumenty, które przytoczył kapitan, wystarczały, by zrzucić całą odpowiedzialność na Cyganów? Ich znana skłonność do przestępczości, obecność trójkąta w ich symbolice, czy też dobrze poświadczona obecność braci Heredia w noc zamachu mogły świadczyć o tym, że owszem. Lecz w jego własnym umyśle przeciwwagę stanowił obraz gwiazdy, o której rozmawiali. Wedle słów samego kapitana niewątpliwie miała ona duże znaczenie dla masonów. Powiedział on, że reprezentowała zenit ich doktryny, a jej pięć ramion - wartości upragnione przez wszystkich członków stowarzyszenia: piękno, siłę, mądrość, miłosierdzie oraz cnotę.



- Co za miła niespodzianka, Joaquín! Wchodź, nie stój tak na dworze... - Maria Emilia Salvadores pocałowała sędziego w usta. - Nie spodziewałam się ciebie...

Natychmiast zorientowała się, że jego obecność nie wynikała ze spontanicznej chęci ujrzenia kochanki. Jego twarz mówiła sama za siebie. Coś szło nie tak i Joaquín nie potrafił tego ukryć.

- Dobrze się czujesz?

- Jestem tylko niespokojny. - Trévelez pospiesznie wszedł do holu, nie czekając, aż ktoś weźmie od niego płaszcz i kapelusz. - Mówiąc szczerze, nie miałem dziś zamiaru przychodzić, ale pomyślałem, że mogłabyś mi pomóc.

Maria Emilia przyglądała mu się z pewnym niepokojem. Poleciała służce, by zabrał płaszcz gościa.

- Potrzebna mi opinia kogoś z zewnątrz - ciągnął Trévelez. - Opinia kogoś, kto nie tkwi w środku tego ogromnego bałaganu, w który się wplątałem.

- Cóż, nie wiem, czy będę umiała... Zaprowadziła go do swojego gabinetu.

Badając jego twarz, odkryła człowieka zdesperowanego: kogoś, kogo przerosły okoliczności.

- Znowu to zrobili, prawda?

- Kilka godzin temu, i z jeszcze większym okrucieństwem, jeśli to możliwe.

- Zanim opowiesz mi więcej, poproszę, żeby przynieśli nam czekolady. Chyba dobrze ci zrobi.

Czekając na rychłe pojawienie się służącej, rozważnie postanowili zachować milczenie. Maria Emilia nie przestawała jednak obserwować Tréveleza. Nigdy nie widziała go bardziej spiętego niż tego dnia: chodził z jednej strony pokoju na drugą, a jego usta nieustannie się poruszały, jakby mówił sam do siebie. Wydawał się nieobecny, niespokojny, wzburzony. Maria zaczęła się denerwować.

- Martwisz mnie, Joaquín! Co się dzieje?

- Mam zbyt wiele problemów do rozwiązania, a los całego dworu zależy od postępów lub niepowodzeń w moim śledztwie. Zaledwie kilka godzin temu byliśmy bardzo blisko zatrzymania możliwych sprawców zamachu, lecz znowu nam uciekli. I w obu przypadkach zrobili to w ostatnim momencie! - wykrzyknął Joaquin z irytacją.

Można by uznać, że było to wystarczające usprawiedliwienie jego stanu, lecz do tego wszystkiego dochodziła jeszcze inna okoliczność, która go dręczyła. Bliskość Marii Emilii przypominała mu boleśnie o niegodnych zalotach, poprzez które zamierzał zdobyć względy żony angielskiego ambasadora. Przez chwilę pragnął jej o wszystkim opowiedzieć, lecz postanowił tego nie robić; może i gryzło go sumienie, lecz miał teraz inne priorytety.

Ramiona Marii Emilii zatrzymały go w miejscu. Próbowała uspokoić go w najbardziej przekonujący sposób, jaki знаła, lecz wszystko zdawało się niewystarczające.

Choć Joaquin podjął właśnie decyzję, by odłożyć wyjaśnienia na inną chwilę, to kiedy stał tak twarzą w twarz z Marią i patrzył jej w oczy, ogarniały go wyrzuty.

Jak mógł wyjaśnić, że umówił się z Catharine na schadzke w ambasadzie, jeszcze bardziej intymną niż ta, którą już odbyli, i to podczas nieobecności Keene'a? Zdawało mu się, że Marii trudno będzie się z tym pogodzić, mimo iż niewiele czasu upłynęło od jej własnego romansu z marynarzem, który on z kolei musiał zaakceptować...

Pocałował ją w policzek, by ją uspokoić, i spróbował się skupić na sprawie, z którą do niej przyszedł.

W tym właśnie dogodnym momencie pojawiła się służąca z dwiema parującymi filiżankami czekolady. Postawiła je na stoliku i spytała, czy nie potrzebują czegoś jeszcze.

Maria Emilia odesłała ją, po czym poprosiła Joaquina, by wszystko jej opowiedział.

- Przykro mi, że muszę ci opowiadać o tych potwornych zjściach. Robię to tylko dlatego, że ufam twojej intuicji - powiedział sędzia.

- Spokojnie, Joaquínie. Jestem gotowa wszystkiego wysłuchać - odparła Maria. Zrobiło jej się trochę chłodno i poprosiła go, by podał jej wełniany szal, który obok niego leżał.

- Jak ci mówiłem, właśnie dziś rano popełniono kolejną zbrodnię.

Trévez zróbił długą przerwę, by zastanowić się, w jaki sposób możliwe najładniej opisać brutalność tego, co widział. - Maria Emilia przygryzła wargę w oczekiwaniu na jego słowa.

- Tym razem morderstwo miało miejsce w siedzibie inkwizycji, a ofiarą padł główny inkwizytor. Jego zwłoki przywiązano do krzesła, ramiona miał umocowane do karku za przeguby. Czaszkę zmiażdżono mu żelaznym młotem, który nadal w niej tkwił. Sprawcy odcięli mu jedno ucho, a do piersi przybili miedzianą gwiazdę. Zamordowali również pałacowego portiera, pewnie po to, by nie mógł ich zidentyfikować.

- Boże przenajświętszy! - Maria Emilia poczuła pierwsze mdłości, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

- To straszne, wiem. I w dodatku widać wyraźnie ich czelność, bo nie zawahali się przed popełnieniem mordu w samej siedzibie inkwizycji.

- Rozumiem, że byłeś przedtem bardzo blisko pochwycenia sprawców zamachu. Dalej myślisz o tych Cyganach? Czy uważasz, że są winni również pozostałych zbrodni?

- Nie mam żadnej pewności, lecz bez wątpienia to jedyny realny trop, jakim w tej chwili dysponuję.

- Więc w czym mogę ci pomóc, jeśli prawie w ogóle nie wiem, co się wydarzyło? - Maria Emilia nie chciała sprawiać mu zawodu, lecz nie miała żadnego pojęcia, co mogłaby zrobić.

- Właśnie tego od ciebie chcę: spojrzenia wolnego od jakichkolwiek uprzedzeń, od wpływów, które już wywarły na mnie pewne osoby - powiedział Trévelez. Streścił jej wszystkie informacje, którymi dysponował w związku z każdym zabójstwem. Potem znalazł jakąś kartkę i w milczeniu narysował dziwną pięcioramienną gwiazdę. Nad każdym z czubków wypisał pięć słów. Gdy skończył, podał rysunek Marii Emilii, by wyraziła swoją opinię.

- Piękno, cnota, siła, miłosierdzie, mądrość - przeczytała - w jednej gwiazdzie, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam. To pewnie ta sama, która była na piersi inkwizytora. Na co chcesz mnie naprowadzić, Joaquínie?

- Intuicja mówi mi, że to właśnie jest kluczowy trop, dzięki któremu będziemy mogli zrozumieć całą resztę. Wyjaśnię ci dlaczego. Dziś rano rozmawiałem z kapitanem Voemerem z gwardii królewskiej. Zamierzałem jedynie poprosić go, z rozkazu Ensenady, o udostępnienie części oddziałów do poszukiwań Cyganów, lecz jakąż była moja niespodzianka, gdy odkryłem, że jest masonem.

- Wyznał ci to?

- Początkowo nie, lecz potem musiał się przyznać. Dzięki niemu dowiedziałem się, że gwiazda ta ma dla masonów ogromne znaczenie.

- Sądysz więc, że za ostatnią zbrodnię odpowiadają masoni?

Joaquín pokręcił głową widząc, że nie szło to w dobrym kierunku.

- Droga Mario Emilio, potrzebuję, by twój umysł działał bez uprzedzeń: postaraj się nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Teraz zaś proszę, byś skupiła się tylko na tych pięciu słowach. Co ci mówią na pierwszy rzut oka? Dokąd cię kierują?

Maria wzięła kartkę i zaczęła zastanawiać się nad możliwymi znaczeniami słów.

Jej uwaga skupiła się odruchowo na pojęciu miłosierdzie. Zamknęła oczy i stwierdziła, że termin ów zaczął krążyć jej po głowie, nie chciał z niej wyjść. Szukała skojarzenia, które miałyby jakiś logiczny sens. Joaquín przyglądał się jej z niepokojem, lecz także z nadzieją.

Po kilku minutach zaczęła mówić z zamkniętymi oczami.

- Miłosierdzie to cecha właściwa sercu. Jest to również cnota, której oczekuje się od dobrego chrześcijanina. Pojawia się w istocie ludzkiej wtedy, gdy wola czy też chęć działania miesza się z miłością: jest to pragnienie dobra innych. Cnotę tę w najwyższym stopniu ucieleśniają osoby duchowne.

- Castro był duchownym - zauważył Trévelez.

- I dlatego pozbawiono go właśnie serca - dokończyła Maria Emilia spontanicznie.

Joaquín spojrzał na nią zaskoczony.

- Siła. To kolejne słowo, które przyciągnęło moją uwagę. Może być konsekwencją fizycznej dyscypliny, i chyba byłaby to bardziej logiczna odpowiedź niż to, o co nam chodzi. Jest ona jednak również właściwością tych, którzy posiadają liczne bogactwa. To także rodzaj siły: siła pieniądza. Gdybyśmy szukali kogoś, kto najlepiej ją uosabia, powinniśmy wybrać arystokratę - tym razem Maria sama wypowiedziała słowa, których spodziewała się po Joaquínie: - A był nim mój sąsiad, książe de Llanes, którego pozbawiono części genitaliów, czyli męskiej siły.

Otworzyła oczy, by wybrać kolejne słowo. Zastanawiała się nad nim przez kilka minut, po czym ponownie się odezwała:

- Mądrość: cnota najbardziej pożądana przez człowieka, który pragnie upodobnić się do Stwórcy. Mówi się również, że najmądrzejszy jest ten, kto słucha, nie zaś ten, kto dużo mówi. Inkwizytorowi zmiażdżono mózg, który jest siedzibą wiedzy. Odcięto mu również ucho, a zatem bramę prawdziwej mądrości - dokończyła.

- Zdziwiałe! Nie wyobrażałem sobie, że zdołasz dojść do takich wniosków, jakkolwiek teraz wydają się oczywiste. - Trévelez ucałował ją z zachwytem w policzek, przepełniony dumą. - Jeśli skojarzenia, których właśnie dokonałaś, są słuszne, to musimy tylko zrozumieć dwa ostatnie słowa: piękno oraz cnotę. Dzięki temu dowiemy się, kto może być następnym celem.

Maria Emilia spojrzała na niego zadowolona. Zastanowiła się, po czym stwierdziła bez pośpiechu.

- Czyli mamy pewność, że znowu zabiją. Muszą dokończyć dzieła. A dokonają tego na kolejnych dwóch osobach, które w jakiś sposób uosabiają brakujące atrybuty: piękno oraz cnotę. I okaleczą je, pozbawiając je czegoś, co może te cechy symbolizować.

Joaquín pogratulował sobie decyzji, by wciągnąć ją do tej gry.

- Brakowało mi podstawy, na której wsparłaby się reszta tropów, i właśnie mi ją dałaś. Teraz sądzę, że winnych rzeczywiście trzeba szukać wśród masonów. Nie wiem, kim są ani gdzie się znajdują, ale czuję, że jestem bliżej, a ich kolejne ruchy zaczynają być nieco bardziej przewidywalne.

- Cieszę się. Ja również nie sądziłam, że zdołamy zejść tak daleko - uśmiechnęła się Maria Emilia.

- Jak na razie - Joaquín spróbował podsumować ich wnioski - ich ofiary reprezentują trzy grupy najbardziej odpowiedzialne za dekret o zakazie ich działalności: te, które go zainspirowały, jak w przypadku jezuitów czy arystokracji, oraz te, które go egzekwowały - tu

pasowałaby inkwizycja w postaci zamordowanego dziś rano duchownego. Moglibyśmy przewidzieć ich przyszłe działania, jeśli zastanowimy się, kto jeszcze odegrał ważną rolę w doprowadzeniu do tego dekretu, i odkryjemy możliwe związki tych osób z pojęciem piękna i cnoty. Nie wygląda mi to na proste zadanie, lecz jeśli nam się uda, mogą od tego zależeć dwa życia. Chcesz spróbować razem ze mną?

Maria Emilia nie miała żadnych obiekcji, podsunęła jednak myśl, by odwrócić role: teraz to ona miała zadawać pytania jemu.

- Co mówi ci słowo cnota?

- Zasługa, oddanie, efektywność. - Joaquín podawał wszystko, co przychodziło mu do głowy. Maria Emilia zrobiła rozczarowaną minę, dając mu do zrozumienia, że to nie wystarczy. - A także moralność, honor, szczerłość, szlachetność, czystość. - Joaquín wyrecytował każdą ludzką cechę, która w jakimkolwiek stopniu mogłaby mieścić się w definicji słowa cnota.

- Zgadza się. A teraz, kto twoim zdaniem mógłby symbolizować cnotę w praktyce?

- Dobry artysta, na przykład śpiewacy Farinelli lub Scarlatti, albo którykolwiek z najświetniejszych dworskich malarzy. Ale na tej samej zasadzie kwalifikowaliby się również niektórzy z duchowieństwa, ci, którzy prowadzą życie w klauzurze.

- Zgadzam się z tobą - przytaknęła Maria Emilia. - Zapewne nie będzie ci trudno zapewnić dobrą ochronę tym pierwszym, biorąc pod uwagę ich nikłą liczbę, lecz w drugim przypadku sprawa się komplikuje: w Madrycie są chyba zarejestrowane ponad trzy tysiące mniszek i mnichów klauzurowych. Upilnowanie wszystkich to niewykonalne zadanie.

- Racja, ale liczbę tę można zmniejszyć, jeśli tylko dowiemy się, które zakony najbardziej wpłynęły na zakaz działalności masonerii. Jeśli za sprawców zbrodni zdecydowanie uznamy masonów, to musimy założyć, że do tej pory działali oni w sposób selektywny... Nie licząc zamachu w pałacu Moncloa - Joaquín przerwał, po czym dokończył na głos myśl, która właśnie przyszła mu do głowy. - Pomówię o tym z Rávagiem, to najodpowiedniejszy do tego człowiek. Bez wątpienia zna wszystkie szczegóły, które doprowadziły do podpisania królewskiego dekretu. Oczywiście gdybyśmy mogli skupić się tylko na jednym lub dwóch zakonach, wszystko byłoby prostsze.

- Mów zatem dalej, Joaquínie. Powiedz mi coś o pięknie. Spróbuj zachować w umyśle wszystkie zabójstwa i zastanów się, co ci przychodzi na myśl to słowo, oraz na kim skupiłbyś swoją uwagę. - Maria Emilia musiała przyznać, że sama nie miała żadnych pomysłów.

- Piękno to synonim urody. To słowo przywodzi mi na myśl was, kobiety: najwyższe ucieleśnienie tej idei. Jak do tej pory nie zabili żadnej kobiety, lecz to możliwe... - Trévelez zapatrzył się w zadumie w jakiś przypadkowy punkt pokoju. -

Z drugiej strony piękno może też wyrażać inne pojęcia, takie jak wielkość, splendor, doskonałość...

Spojrzał na ukochaną, szukając u niej pomocy. Maria Emilia miała taki sam problem, by połączyć ów przymiot z czymkolwiek konkretnym, a tym bardziej jeśli musiała jeszcze znaleźć jakiś związek z wojną wydaną masonerii.

Zamilkli.

- Piękno, piękny, piękna... Jakie to trudne!

Joaquín zaczął krążyć po pokoju, rozmyślając. Spojrzał przez okno na ulicę, jakby gdzieś na niej kryła się odpowiedź. Przelatujący gołąb zbił go z tropu i sędzia przerwał milczenie, przedstawiając na głos swoje myśli:

- Gdybym był jednym z nich i chciałbym zawłaszczyć sobie symbol piękna, wybrałbym kobietę, najdoskonalszą ze wszystkich. Potem obdarłbym ze skóry jej twarz, by pozbawić ją jej daru - wybac mi tę brutalną konkluzję.

- Nie przejmuj się, w końcu oni również myślą o takich szczegółach - zbyła go Maria Emilia. - Problem w tym, że w Madrycie jest wiele pięknych kobiet.

- Wiem o tym, znajduję się właśnie przed jedną z nich, i to niewątpliwie z najwyższego rzędu. - Trévelez uśmiechnął się do niej.

- Niech Bóg broni, bym stała się ich wybranką!

- To ostatnia rzecz, do której bym dopuścił... Ale spokojnie, nie zabraknie ci ochrony na wszelki wypadek. Nie bój się. Jednak kto najlepiej pasowałby do ich planów?

- Królowa? - przyszło do głowy Marii Emilii.

- Żartujesz sobie?

- Nie uważasz, że jest ładna? - spytała z całą złościwością.

- Wiesz, że nie jest to jeden z jej największych przymiotów.

- Owszem, ale pasuje do twoich pozostałych definicji: splendor, wielkość... Może wygląda to na szaloną myśl, ale nie zbywałabym jej tak od razu, Joaquínie. Udowodnili już, że odważą się na wszystko, jakkolwiek ryzykowne by się wydawało.

Trévelez zdał sobie sprawę, jak wiele czasu zajęła już ich rozmowa, dał więc do zrozumienia, że musi ją zakończyć.

- Zawiadomię gwardię, by zwiększyli jeszcze swój nadzór. Ale teraz robi się późno. Muszę zająć się innymi sprawami. Kiedy tylko rozmówię się z Rávagiem, zajmę się

zapewnieniem ochrony wszystkim, którzy tego wymagają. Proszę, byś dalej myślała o tym, o czym rozmawialiśmy.

Podniósł się z fotela zdecydowany w końcu opuścić pałacyk. Pocałował Marię z taką namiętnością, jak jeszcze nigdy dotąd.

- Wyjdę z tobą. Umówiłam się z Faustina.

- Dziękuję ci z głębi serca, byłaś dziś moją przewodniczką. Jestem w tobie nie tylko zakochany, ale też dumny z ciebie.



Był to pierwszy raz, kiedy ksiądz Parejas pojawił się w pałacu księcia de Llanes. Jako duchowy przewodnik szlacheckiego rodu de Benavente dobrze znał okoliczności, które doprowadziły do uczynienia z Beatriz części rodziny. To on odpowiadał za donos na jej ojca przed inkwizycją, który złożył, dowiedziawszy się, że mężczyzna należał do bezbożnego stowarzyszenia zwanego wolnomularstwem.

Beatriz nie miała o tym pojęcia, on zaś miał nadzieję, że informacja ta nigdy nie dojdzie do jej uszu, gdyż z pewnością zaszkodziłaby jego duszpasterskiej działalności.

Od pierwszego dnia, kiedy rozmawiał z dziewczyną, całe lata temu, trudności w przeniknięciu do jej serca były dla niego niepokonane; w gruncie rzeczy nigdy jej dobrze nie poznał. Jej dusza nie była przejrzysta, a wola nie ulegała jego wskazówkom i radom. Zapał księdza, by za wszelką cenę jej pomóc, doprowadził tylko do pogrubienia muru, który Beatriz postanowiła wzniesć między nimi.

Ojciec Parejas był człowiekiem świątobliwym, sprawiedliwym i łagodnym, cierpliwym aż do granic. Nigdy nie przeszkadzało mu oczekiwanie, chociażby nie było widać żadnych owoców. Trzymał się mocno swojej wiary, nawet w czasie największych cierpień, wiedział bowiem, że ręka boska działała na swój własny sposób, nie licząc się z ludzką logiką - i nigdy jeszcze go nie zawiodła.

Jakiś czas temu hrabina de Benavente poleciła mu, by nadal prowadził jej córkę Beatriz. Martwiła się jej zachowaniem od czasu śmierci Braulia, a jeszcze bardziej - po zabójstwie księcia de Llanes, i prosiła go, by nie zrezygnował ze swego duchowego posłannictwa wobec Beatriz tylko dlatego, że opuściła dom rodzinny. By znowu stał się jej spowiednikiem i pocieszycielem, by rozciągnął nad nią swoją duchową opiekę.

- Pani zaraz przyjdzie. - Amalia wprowadziła go do biblioteki pałacu.

Na półkach duchowny zauważył z niezadowoleniem obecność pewnych zakazanych tytułów. Brak poszanowania przez wielu arystokratów indeksów, które publikowała Święta Inkwizycja, wydał mu się naganny.

- Ojciec Parejas...

- Moja kochana Beatriz... Dziewczyna ucałowała jego dłoń.

- Usiądźcie, ojciec, bardzo proszę.

Parejas zaczekał, aż Beatriz sama to uczyni, po czym usadowił się blisko niej. Nie przyszedł tego wieczoru z wizytą towarzyską - uznał zatem, że fizyczna bliskość ustawi go na lepszej pozycji.

- Czy chciałby się ojciec czegoś napić?

- Nie, dziękuję. - Poszukał w kieszeni różańca i zaczął się nim bawić, by ukryć zdenerwowanie. Właśnie odkrywał zimniejszą, obojętną stronę Beatriz.

- Chcieliście zatem powiedzieć...

- Tak... - odchrząknął niespokojnie. - Prawdę mówiąc nie wiem, jak zacząć... - W jej twarzy nie odnajdywał naturalnie żadnego wsparcia. - No dobrze... Przyszedłem, by się zaofiarować. Minęło kilka tygodni od twojej ostatniej spowiedzi, a chciałbym, byśmy nie odstępowali od tego świętego zwyczaju...

- Teraz nie mam takiej potrzeby - odparła Beatriz sucho.

- Nie mówię, że to ma być dzisiaj, mam na myśli...

- Zaczekajcie, nie mówcie nic więcej!

Beatriz była przygotowana na tę oraz inne propozycje i zeszła do niego z zamiarem rozprawienia się z nimi raz na zawsze, tak, by nie pozostały żadne wątpliwości.

- Nie zamierzam odmawiać wam wstępu do swojego domu i nie przestanę z wami rozmawiać, lecz nie chcę już otwierać przed wami swego serca, ani podczas spowiedzi, ani w żaden inny sposób. Chciałabym, by było to jasne, ojciec.

- Skąd ta surowość wobec mnie? Nigdy cię takiej nie znałem.

- To nie ma z wami związku, chodzi raczej o mnie. Zaczęło się to już jakiś czas temu. Teraz wreszcie stawiam temu czoło, jak powinnam to była uczynić wcześniej.

- Nie całkiem cię rozumiem, ale skoro tak, to jednak napiję się czekolady, jeśli można.

- Parejas zrozumiał, że rozmowa nie potoczy się zgodnie z jego przewidywaniami.

Beatriz wezwała Amalię i poleciła jej przynieść dwie filiżanki oraz coś słodkiego na dodatek. Spojrzała na kapłana i poczuła pewien żal: był dobrym człowiekiem, którego nie mogła winić za swą sytuację, a ponadto wiedziała, że był uparty jak osioł - przekonała się o tym już w przeszłości przy niezliczonych okazjach. By pokonać jego upór, nie wystarczy powiedzieć, że nie chciała już jego duchowego przewodnictwa.

Podczas gdy ojciec Parejas zastanawiał się, jakie argumenty najlepiej przekonałyby Beatriz, by się przed nim otworzyła, ona robiła coś wręcz przeciwnego: szukała jakichś

wiarygodnych wymówek, dzięki którym mogłaby uniknąć tej rozmowy, gdyż wiedziała, że niełatwo będzie odwieść kapłana od zamiaru zmiękczenia jej postawy.

Amalia pojawiła się z tacą i postawiła ją obok Beatriz. Przed wyjściem posłała jej porozumiewawcze spojrzenie, wiedziała bowiem, jak niewygodna była dla jej pani ta wizyta.

- Rozumiem, że twoje małżeństwo nie było szczęśliwe. Tym bardziej że wiem, jak bardzo kochałaś Braulia - stwierdził w końcu Parejas. Odstawił na razie swój pierwotny argument z sakramentem.

- Bardzo się mylicie, ojcze. Czemu miało być nieszczęśliwe?

- Zdaje się, że nie czułaś do męża żadnej miłości.

- Boli mnie wasze podejrzenie, bo nie pamiętam, byśmy odbyli jakąkolwiek rozmowę na temat moich uczuć. Któraż kobieta nie chciałaby znaleźć się na moim miejscu: poślubić zamożnego i poważanego arystokratę?

- Sądzę, że wiele by tego pragnęło, lecz coś mi mówi, że ty do nich nie należysz.

- Czym jest to coś...? Skoro ja odpowiadam wam konkretnie, chciałabym, byście czynili tak samo.

Parejas spostrzegł, że rozmowa wymyka mu się z rąk. Gdy chodziło o czystą dialektykę, Beatriz była zręczna i pewna siebie.

- Mam na myśli chociażby utratę Braulia.

- Ludzie pojawiają się w życiu i znikają, nic więcej. Co prawda straciłam również męża, ale muszę przyznać, że niektórzy zostawiają po sobie większą pustkę niż inni. - Wyglądało na to, że nic nie zdoła doprowadzić jej do tego, by była z nim szczerą.

Beatriz zaczęła rozważać możliwość zakończenia rozmowy bez dalszych wyjaśnień. Nie rozumiała, co pchało go do pytań o to, czy jej małżeństwo było idealne, ani też dlaczego rozdrapywał jej rany.

- Beatriz, otwórz przede mną swe serce, to napełni cię spokojem.

Parejas ujął ją za rękę. Beatriz poderwała się z miną pełną dezaprobaty.

- Otworzyć serce...? Po co? - Jej spojrzenie było ostre, miazdzące.

- Bym pomógł ci zrozumieć. By przeniknęła je Boża światłość. - Ksiądz zamilkł na długą chwilę, patrząc na nią, i prosząc w myślach Boga, by mu pomógł. - Twoje życie było pełne nieszczęść, wypadków, żalu. Jestem twoim spowiednikiem i jako duszpasterz rozpoznaję zarówno potrzebę boskiej i ludzkiej pociechy, jak i twoje zdecydowane odrzucenie pomocy.

Beatriz spojrzała na niego, nie mając najmniejszego zamiaru odsłaniać przed nim duszy. Ksiądz mówił dalej:

- Nigdy nie widziałem, byś płakała. Kiedy przychodzi pora na okazanie uczuć, jesteś tak nieprzenikniona, że czasem myślałem, iż emocje nie mają przystępu do twojego wnętrza. Wybacz mi szczerą, lecz sędzę, że wyszłaś za mąż z przekory, okazując przed wszystkimi radość tam, gdzie jej nie czułaś, pokazując nam, że przebolełaś śmierć twego Braulia, kiedy wcale tak nie było. Oszukujesz nie tylko nas wszystkich, ale i siebie samą! Sędzę, że w twoim wnętrzu czai się uraza. Trzymasz ją w ukryciu, lecz ona wiecznie żyje, ta nienawiść, która pojawiła się po tym, co spotkało twoich rodziców, a którą śmierć Braulia wzmocniła...

Beatriz nigdy jeszcze nie słyszała o sobie tak gorzkich słów. Na chwilę poczuła się zraniona, bezbronna.

- Innymi słowy: w waszych oczach jestem po prostu nikczemną kobietą.

- Przyszedłem tu dziś, by pomóc ci się zmienić. Nie jesteś nikczemna, lecz powinnaś wyzwoić się od tego zła, które cię dręczy, od tego bólu, który tobą rządzi. Przychodzę otworzyć twoje serce, które zamknęło się w cierpieniu i nikomu nie pozwala wejść do środka.

Beatriz wciągnęła powietrze dwa czy nawet trzy razy. Parejas był uparty, lecz znał się na duchowym przewodnictwie. Cokolwiek by powiedziała, on nie zrezygnuje, dopóki nie osiągnie swojego celu.

Spojrzała mu w oczy, rozmyślając nad czymś w milczeniu, i z jakiejś niezrozumiałej przyczyny podjęła decyzję.

- Chcę się natychmiast wyświadczyć!

- Tu nie możemy... Lepiej w jakiejś kaplicy albo kościele - zdumiał się kapłan.

- Nie! Ten jeden raz pokażę wam wszystko, co kryje się w moim wnętrzu, do czego nigdy wcześniej nie dotarliście. Ale to musi być w tej chwili. Jeśli nie, nigdy nie dam wam kolejnej szansy. Sami zdecydujcie, ojcze.

- Uklęknij przy mnie i zacznijmy.

- Bądź pozdrowiona, przenajświętsza Maryjo!

- Bez grzechu poczęta - przeżegnał się ojciec Parejas.

- Nie szukam w tej spowiedzi rozgrzeszenia, gdyż przystępuję do niej bez żalu za grzechy.

- Ależ, Beatriz, nie powinnaś tak...

- W moim sercu mieszka zło - dziewczyna nie dopuściła go do słowa. - Kiedy początkowo zaczęłam domyślać się jego obecności, starałam się ze wszystkich sił oddalić je od siebie, wyrzucić je jak najdalej. Raz za razem odnosiłam porażkę; było to niewykonalne. Po jakimś czasie zrozumiałam, że muszę z nim żyć, i nie tylko to - muszę je również

zrozumieć: kiedy już cię wybrało, kiedy skupiło na tobie swój wzrok, szybko odkrywasz, że nie możesz z nim walczyć.

To oświadczenie przeszło duszę kapłana do samej głębi. Nigdy w życiu nie usłyszał czegoś podobnego. Spokój, jaki okazywała Beatriz, był dla niego wstrząsający.

- Co nazywasz złem?

- To, co towarzyszy mi w życiu. Mojego największego pana: tego, który mnie nie zwodzi i którego jestem wierną służebnicą.

- Beatriz, twoje słowa mnie przerażają. Czyżbyś mówiła o szatanie?

- Nie potrafię nadać mu imienia. Spróbuję wyjaśnić to w inny sposób. W życiu innych ludzi istnieje dobro, w taki czy inny sposób. Towarzyszy im, kieruje nimi, rządzi ich postępkami, po ich owocach zaś poznaje się jego obecność. Z wami chyba też tak jest. Jeśli chodzi o mnie, również taka byłam, lecz tylko do dnia śmierci mej matki. Potem dobro już do mnie nie przyszło: zostawiło po sobie pustkę, którą zajęło zło. A nieszczęście, żal, ból czy smutek to jego rodzone dzieci. Wszystkie one chciały zawładnąć moim życiem. Mówi się, że zło jest ciemne, zimne, ale to nieprawda. Sama poczułam jego uwodzicielską moc, aż w końcu oddałam się jego urokom, poświęciłam mu się sercem i duszą. Wierzcie mi, zło przyciąga, i to z większą siłą niż dobro.

- Nie opowiadaj takich szaleństw, na Boga miłosiernego. On może ci pomóc, On może wszystko. Proś Go o to z wiarą.

- Bóg dał mi wolność wyboru i wie, że już go dokonałam. Teraz nie mam prawa prosić Go o nic więcej.

- Beatriz, córko moja, żyjesz w swoim wewnętrznym świecie pełnym zamętu. Zło nie istnieje samo w sobie, korzysta jedynie z miejsca, które pozostawia brak dobra. Zło żywi się czynami lub zamiarami, ty zaś jesteś tylko młodą dziewczyną, która nigdy nikogo nie skrzywdziła. Wiele wycierpiałaś, więcej niż ktokolwiek, lecz nie ulegaj tym złudnym ideom. Uwierz mi, zatrują one tylko twój umysł i nie przyniosą ci szczęścia.

- Szczęścia? - krzyknęła Beatriz ze wzburzeniem. - A skąd ma wypływać to szczęście? Z patrzenia, jak bez żadnej przyczyny pozbawiają cię wszystkiego, co kochasz, raz za razem? A może mówicie o szczęściu, jakiego doświadcza się, trzymając w ramionach ciało ukochanego, zabitego nie wiadomo przez kogo ani dlaczego, lub swojej własnej matki, odebranej bez żadnego powodu?

- Wiem, w naszych ludzkich oczach te śmierci wydają się pozbawione sensu: lecz w oczach Boga mają znaczenie, chociażbyśmy nie potrafili go zrozumieć. Usuń poprzez zlane czyny i dobroć te miejsca w swoim sumieniu, które uważasz za zajęte przez zło. Jeśli

napelnisz swoje uczynki miłością, obmyjesz się przez nie z nienawiści. Kiedykolwiek opadnie cię duch zemsty lub gniewu, uchwyc się nadziei i miłosierdzia. Beatriz roześmiała mu się w twarz.

- Piękne słowa, ojcze. Jasne i rozsądne dla wszystkich, ale dla mnie nie mają znaczenia. Nic nie skłoni mnie do odstąpienia od mej decyzji. - Jej spojrzenie było ostre, zdecydowane. - Niedawno odkryłam swoją prawdziwą misję i wierzę, że ją wypełnię. Wiem, że w tym właśnie mogę znaleźć inny rodzaj szczęścia!

- Opowiedz mi o tym, bo nie rozumiem, co masz na myśli. Przypominam ci, że jesteś brzemienna... - powiedział Parejas, nie mogąc wyjść z osłupienia. To niewiarygodne wyznanie, którego był świadkiem, zdawało mu się bowiem zwiastować możliwe działania autodestrukcyjne i kapłan obawiał się, że dziewczyna popełni samobójstwo.

Beatriz pojęła, co miał na myśli, i znowu wyśmiała go lekceważąco. Duchowny miał wrażenie, że bierze udział w jakimś okrutnym przedstawieniu. Jej zwichnięta świadomość przeżarła go niczym kwas.

- Istota, która we mnie rośnie, jest bezpieczna i dobrze chroniona, nic złego jej nie spotka. Jest to ostatnia resztką dobra, która się we mnie utrzymuje, więc nie musicie się o nią obawiać. Nie mam potrzeby o niczym decydować, dopóki dziecko nie zacznie żyć niezależnie ode mnie. Dopiero wtedy...

- Wyznaj mi swoje zamiary! - wykrzyknął Parejas z poruszeniem. - Nie pozwolę, byś się zagubiła, jesteś częścią mojej trzody, muszę o ciebie dbać i cię chronić... - Z jego czoła zaczął spływać gorzki pot, wyciśnięty udręką i nieznośnym bólem. Modlił się za Beatriz, błagał Pana, by obdarzył ją swą miłością, by uzdrowił jej duszę.

- Nigdy tego nie zrobię. Kiedy nadejdzie ów dzień, sami zrozumiecie. A teraz rozgrzeszcie mnie albo skończmy tę spowiedź jak najszybciej.

- Nie mogę... - ksiądz zapłakał z niemocy - jeśli nie okażesz skruchy i nie poprosisz o wybaczenie.

- Więc poprzestańmy na tym, gdyż nie mam zamiaru czynić nic podobnego - stwierdziła Beatriz. - Przypominam wam tylko o obowiązku zachowania tajemnicy spowiedzi, tak więc nic, powtarzam: nic z tego, co wam powiedziałam, nie powinno wyjść poza ten pokój.

- Taki jest mój kapłański obowiązek, lecz jest nim również modlitwa za twą duszę, i będę to robił bezustannie, dopóki się nie nawrócisz.

- Róbcie, co uważacie za słuszne. Ale mówię z góry, byście zostawili mnie w spokoju i skierowali swój zapał na kogoś innego. - Beatriz podniosła się i pierwsze, co zobaczyła, była widoczna w twarzy kapłana rozpacz. - Służąca odprowadzi was do wyjścia.

- Beatriz... to, co mi powiedziałaś, przeszło mnie do głębi. Odczuwam w sercu głęboki, palący ból.

- Nauczcie się z rym żyć. - Beatriz znowu roześmiała się z pogardą. - Czasami tak właśnie zło zawiadamia o swej obecności; może to znak jego pierwszych odwiedzin.

Oberża Pod Dobrym Wiktem. Alcalá de Henares. Rok 1751

19 września

Oberża, położona u początku drogi łączącej stolicę z Aragonią i Katalonią, stanowiła obowiązkowy przystanek dla wszystkich podróżników, którzy podążali tą trasą. Mimo iż znajdowała się w pewnej odległości od Mądrym, przybywali do niej na posiłki liczni kupcy, funkcjonariusze i urzędnicy, żołnierze oraz artyści, a wszystko to dzięki sławie, jaką zdobyły umiejętności kucharki.

Tego ponurego ranka, kiedy niebo zasnuwały chłodne chmury, a wiatr dął w twarze i ciała podróżnych, oberża pełna była gości, którzy schronili się w niej w poszukiwaniu ciepła i przede wszystkim słynnej stawy. Po wszystkich kątach przestronnej, wypełnionej zgłodniałymi wędrowcami sali, rozchodziła się woń aromatycznej potrawy z jagnięcia.

Siedząc w milczeniu przed dwoma parującymi talerzami, Timbrio i Silerio Heredia przyglądali się ukradkiem jednemu z gości, który siedział przy pobliskim stoliku i jak reszta pochłaniał swoją porcję, zapijając ją winem mocniejszym i kwaśniejszym, niż mogło to wyjść na zdrowie.

Kilka dni wcześniej bracia obrali drogę wiodącą poza Madryt i wyruszyli na grzbietach dwóch skradzionych mułów, by znaleźć sobie nową kryjówkę z dala od prześladowców. Miasteczko Alcalá de Henares wydało im się dobrym miejscem, by zaszyć się na jakiś czas, ze względu na wielkość i zamieszanie, jakie wywoływali przejezdni oraz miejscowi. Znaleźli zaciszne schronienie na starej porzuconej farmie w niewielkiej odległości od miasta.

Widoki z rudery nie były zbyt różnorodne: zaledwie kilka tuzinów drzewek oliwnych z jednego okna i granice miasta z drugiego. Tylko w oberży mogli znaleźć wytchnienie od długich, beczynnych godzin.

Pragnąc odzyskać córki, Timbrio opracował plan, dzięki któremu mogliby powrócić do Mądrym tak, by ich nie rozpoznano - musieli tylko zdobyć jeden z powozów, które

zatrzymywały się w oberży, porzucić jego właściciela w swym dyskretnym zakątku, a odebrawszy mu odzienie, dokumenty i glejty, mogliby zmierzyć się z każdą kontrolą po drodze.

- Jak ci się widzi? - spytał Silerio. Nadal obserwowali gościa siedzącego kilka stolików dalej.

- Mógłby się nadać. Sprawdziłem już, że podróżuje sam, a posturę ma podobną do mojej.

- Więc jak to zrobimy? Wygląda na to, że połowa Madrytu spożywa tu dziś posiłek. Naliczyłem na podjeździe co najmniej czterdzieści powozów.

- Napadniemy na niego na zewnątrz, gdy tylko ruszy w drogę. Ty rozprawisz się ze sługą, a ja zajmę się nim samym, żeby nie krzyknął na alarm.

- Koniecznie potrzebujemy jakichś pieniędzy. Mam nadzieję, że ten kupiec ma ich sporo, bo nic nam już nie zostało, tyle tylko, żeby zapłacić za ten posiłek.

- Gdy tylko uratujemy moje córki, powinniśmy udać się na północ. Słyszałem, że jest tam dość pieniędzy i zajęcia dla dobrych kowali. Jak do tej pory nasza zemsta spowodowała takie szkody, że niektórzy długo nie będą mogli o niej zapomnieć, ale to nie wystarczy. Możemy zranić ich jeszcze bardziej i zrobimy to, jakkolwiek teraz niebezpiecznie byłoby się do nich zbliżać.

Silerio zauważył, że mężczyzna płacił już za obiad. Przywołał dziewczynę, która ich obsługiwała, i zrobił to samo.

- Ja już wyjdę - rzucił Timbrio. - Zaczekam na ciebie na dworze. Nie chcę, żeby się nam wymknął.

Skierował się w stronę podjazdu, gdzie liczna grupa sług zajmowała się najróżniejszymi powozami. Po kilku minutach zobaczył, jak ich ofiara wychodzi na zewnątrz. Za nią wyszedł Silerio, nie spuszczając jej z oka. Beztronski kupiec ruszył w stronę miejsca, gdzie znajdował się Timbrio. Zawołał sługę i rozkazał mu, by natychmiast przygotował się do wyjazdu w stronę Madrytu. Wszedł do zacisznej karocy, lecz zanim zdążył chociaż zamknąć drzwiczki, znalazł się twarzą w twarz z Timbriem i jego groźnym nożem.

- Jeśli chcesz żyć, lepiej nie próbuj żadnych wygłupów.

Na swoje szczęście kupiec natychmiast pojął niebezpieczeństwo i zachował ciszę oraz spokój. Silerio zdołał skłonić sługę do tego samego, po czym dał znać bratu trzema uderzeniami w dach. Jak na razie plan działał bezbłędnie.

Po krótkiej jeździe z oberży dotarli do zakurzonej drogi, która odbijała gdzieś w pustkowia. Widząc to, mężczyzna zaczął obawiać się o życie.

- Błagam, nie róbcie mi krzywdy - jęknął. - Możecie zabrać wszystkie moje pieniądze. Obiecuję, że na was nie doniosę, macie moje słowo. Dokąd mnie wieziecie?

- Dziękujemy za hojność. - Timbrio uśmiechnął się w odpowiedzi. - Bądź pewien, że z niej skorzystamy, jak również z powozu oraz koni. Jeśli będziesz współpracować, nic ci się nie stanie.

Dojechali do domu, w którym koczowali, gdzie związali i porzucili obu mężczyzn, niezbyt się przejmując ich błaganiami. Wiedzieli, że nikt ich tam nie znajdzie. Przebrali się w ich ubrania, po czym ruszyli w stronę Mądrym. Wieczór dopiero się zbliżał, więc jadąc w szybszym tempie, mogli przybyć do miasta na długo przed zapadnięciem zmroku. W kieszeniach mieli ponad pięć tysięcy dukatów, a ponadto zapas ubrań szlacheckiego kroju oraz wygodny transport na późniejszą podróż na północ.

W tym samym czasie Amalia szła z Beatriz na plaża Mayor, by odebrać kilka kapeluszy z pewnego niezwykle prestiżowego sklepu, który się tam znajdował.

Zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, co właśnie planował jej ojciec, podążała u boku swej pani, nie tracąc ani szczegółu z mijanych po drodze witryn, gdyż jeśli cokolwiek mogło ją przemóc, to była tym jej własna wrodzona ciekawość.

Zatrzymały się przy księgarni. Liczne tomy, ułożone według tematów, przywiodły Amalii na myśl zdarzenie, które miało miejsce jeszcze tego samego ranka.

Beatriz pokazała jej wtedy tajemniczą książkę, o której tyle razy wspominała, a której tytuł zadziwił Cyganekę tak samo lub nawet bardziej niż zawartość. Był to gruby traktat po łacinie, opiewający żywoty i cuda wszystkich świętych, pod tytułem *Martyrologia*. Słuchając Beatriz, Amalia usiłowała zrozumieć, dlaczego te stronicie były dla niej tak ważne, choć jej samej z początku wydały się niezbyt ciekawe.

Beatriz jednak z zaraźliwym entuzjazmem opowiadała o co raz to innych postaciach, wypytyując służącą o wrażenia.

Z początku Amalii trudno było za nią nadążyć, i nie tylko dlatego, że nie rozumiała przesłanek religijnych - jak tylu innych rzeczy, mimo iż wciąż się starała. W końcu jednak pojęła, o co chodziło. Wszystko to było zaledwie zasłoną dymną, którą posługiwała się Beatriz, by odwrócić jej uwagę od czegoś, co kryło w sobie o wiele większe znaczenie, czegoś niezwykle dla niej ważnego. Dlatego też Amalia zaczęła w końcu zadawać pytania dotyczące różnych innych spraw, zwłaszcza gdy zatrzymały się nad żywotem świętej Justyny - zauważyła bowiem, że właśnie wtedy wyraz twarzy Beatriz uległ nagłej zmianie. W jednej chwili dziewczyna spostrzegła z całkowitą jasnością, że wszystko, czego się do tej pory dowiedziała, prowadziło nieodmiennie do tej właśnie męczennicy. Przypomniała sobie, że

słyszała, iż matka Beatriz nosiła to samo imię. Pomyślała też o potajemnym obrazie, który malowała jej pani, noszącym tak wyraźne podobieństwo do sceny wieńczącej książkową opowieść o życiu świętej.

Beatriz trzymała płótno w ukryciu, jakby była to najcenniejsza z jej tajemnic. Nikt nic o nim nie wiedział. Nie pokazała go również Amalii, lecz ciekawość służącej była silniejsza od rozwagi i dziewczyna raz zdołała obejrzeć go za plecami pani. Teraz domyśliła się, że Beatriz malowała właśnie męczeństwo owej kobiety.

Zaprzagnęła dowiedzieć się czegoś więcej o świętej. Wypytywała Beatriz o jej życie i drążyła, jak tylko mogła. Beatriz odpowiadała, lecz nie chciała wyjawić jej wszystkiego - podsuwała tylko tropy, a Amalia musiała sama ruszyć głową i odkryć ukryty sens. Mówiła jej o godności męczeństwa, o pięknie bólu. Jako przykład podawała sztylet wbity w pierś świętej, na podstawie którego wyjaśniła, w jaki sposób postrzegała śmierć oraz co było najgłębszą esencją przemocy.

Amalia czuła, że nie jest w stanie przekroczyć tego dziwnego progu, poprzez który jej pani prowadziła ją do własnego świata, tak odległego od własnej rzeczywistości Cyganki. Kiedy jej to wyznała, Beatriz nie okazała niezadowolenia; wręcz przeciwnie, kazała jej się zastanowić bez pośpiechu i zachęciła do wyruszenia wraz z nią w tą wspaniałą drogę, która się przed nią rozpościerała.

- Beatriz...

Znajomy głos kazał im się odwrócić, by przekonać się, kto do nich wołał.

- Doña Teresa... Co za miła niespodzianka!

Księżna de Arcos, jej drużna, zbliżyła się, by ucałować młodziutką wdowę po księciu de Llanes.

- Zobaczyłam cię z drugiej strony ulicy. Wydawałyście się tak zaaferowane tą wystawą, że nie mogłam powstrzymać ciekawości i musiałam dowiedzieć się, co tak przyciągnęło waszą uwagę. - Spojrzała z ukosa. Rozczarowana ujrzała jedynie całe stosy książek.

- Tak właściwie szliśmy na plaża Mayor, żeby odebrać zamówienie, ale przyznaję, że literatura pociąga mnie w sposób szczególny, więc przystanęłam na kilka minut przed księgarnią.

- Jeśli nie masz nic przeciwko, przyłączę się do ciebie - Księżna chwyciła Beatriz pod ramię i ruszyły w drogę. Za nimi służące uczyniły to samo. - Zdawało mi się, że twoja służąca jest pół-Cyganką. Uważaj na tych ludzi: nie należy im zbyt ufać - powiedziała po chwili dona Teresa przyciszonym głosem.

- Nie mam po temu żadnych powodów. Moja służąca to wspaniała dziewczyna i niezrównana w swojej pracy.

- Miło mi to słyszeć, ale nie spuszczaaj z niej oka. Fachem Cyganów zawsze było oszustwo.

- Amalia jest inna. Jest czuła, szczerą, miłą. Ufam jej tak, jakbym znała ją od zawsze.

Księżna spojrzała na nią zaniepokojona bliskością, jaką Beatriz okazywała swojej pokojówce, w jej opinii niezbyt pożądaną między panią a służą, tym bardziej jeśli ta ostatnia należała do takiego narodu.

- Przypomniałam sobie, że nie opowiedziałam ci jeszcze o strasznej sprawie, w której brałam udział!

- Co się stało? - spytała Beatriz.

Księżna de Arcos przyspieszyła kroku, by jeszcze bardziej oddalić się od służących.

- Okazało się, o czym nie miałam pojęcia, że w moich stajniach pracowali podejrzeni o eksplozje, które miały miejsce na balu u księcia de Huescar...

Słyszac tę wiadomość, Beatriz poczuła ukłucie bólu. Znowu ujrzała gasnące oczy Braulia.

- Jak to? - Nie była pewna, czy chce wiedzieć więcej, czy też woli pozostać w niewiedzy.

- Wygląda na to, że była to sprawka dwóch Cyganów... - szepnęła jej księżna do ucha.

- Kolejny dowód na to, że nie wolno im ufać!

- Ale, donio Tereso, jak się pani tego dowiedziała?

- Dzięki przypadkowej rozmowie z sędzią Trevelezem niecały tydzień temu. Gdy spytałam go o przebieg śledztwa, powiedział, że ściga właśnie dwóch Cyganów o imionach Timbrio i Silerio, i przez przypadek okazało się, że byli to ci sami ludzie, których właśnie zatrudniłam.

- Mówi pani, że nazywali się Timbrio i Silerio?

W umyśle Beatriz rozpętała się burza. Pragnęła z całej duszy, by imiona te nie były imionami, które podała jej Amalia: imionami jej ojca i wuja. Musiał to być jakiś okrutny zbieg okoliczności.

Po nagłej bladeści dziewczyny księżna de Arcos domyśliła się, że musiała ona żywić uczucia podobne do jej własnych w chwili, gdy dowiedziała się, kto pracował w jej domu.

- Znasz te imiona?

Beatriz zastanowiła się błyskawicznie. Jeśli coś powie, zaryzykuje utratę Amalii; mogli w jakiś sposób zamieszać ją w tę sprawę...

- Oczywiście: tak samo nazywają się postaci z książki Cervantesa, *Galatei* - powiedziała szybko. Wybieg ten przyszedł jej na myśl, gdyż przypomniała sobie o owym szczególe już tego samego dnia, kiedy Amalia opowiadała jej o krewnych.

- Ci jednak nie są postaciami fikcyjnymi. Uciekli zaledwie kilka minut przed pojawieniem się oddziału Treveleza, i teraz szukają ich po całym Madrycie.

- Mogłaby mi pani powiedzieć, kiedy to wszystko się stało? Beatriz przypomniała sobie, że Amalia wpadła na swojego ojca dwunastego września, tego samego dnia, kiedy jej matka wydała na świat Marię Josefę. Jeśli data będzie się zgadzać, nie pozostaną żadne wątpliwości.

- Pozwól, że się zastanowię. Upłynął niecały tydzień... Tak, wiem już: było to po południu dwunastego.

Świat Beatriz rozpadł się na kawałki. Wiadomość ta oznaczała, że ojciec Amalii zabił jej ukochanego Braulia. Jak mogła znieść tę straszną nowinę? Była pewna, że jej służąca o niczym nie wiedziała. Czy powinna jej powiedzieć? Jak ona zareaguje? Beatriz unosiła się w morzu wątpliwości.

Spojrzała na Amalię i napotkała słodki uśmiech dziewczyny, zawsze gotowej, by jej usłużyć.

- Proszę mi wybaczyć, właśnie sobie przypomniałam, że muszę natychmiast wracać do domu.

Księżna de Arcos spojrzała na nią zaskoczona tą nagłą decyzją.

- Mam nadzieję, że cię nie przestraszyłam. Na pewno nie wszyscy Cyganie są tacy jak oni...

Beatriz tymczasem wezwała już Amalię.

- Mój pośpiech nie ma z tym nic wspólnego - zapewniła. - Przypomniałam sobie właśnie, że będę miała gości i powinnam się już zbierać. To wszystko.

- Uspokoilaś mnie. W takim razie idź już! Ja jeszcze pospaceruję.

Kiedy się pożegnały, Beatriz i Amalia ruszyły w drogę powrotną do domu. Po kilku krokach służąca wyczytała w twarzy swej pani jakieś poważne zmartwienie. Zrozumiała, że chodziło o sprawę wielkiej wagi.

- Proszę mi wybaczyć, pani, ale coś cię niepokoi i martwię się tym. Czy mogę w czymś pomóc?

- Nie jestem pewna, Amalio. Dowiedziałam się czegoś, co może cię zasmucić...

- Wedle twoich własnych słów, pani, pozwól, że ja sama to osądzę.

- Nie wiem... To naprawdę straszne wieści i...

- Pani, nie ukrywaj przede mną dłużej, o co chodzi.

Skłoniła ją, by przysiadły na kamiennej ławce przy wejściu do jakiegoś kościoła. Beatriz próbowała przekazać jej wieści w jak najłagodniejszy sposób.

- Księżna de Arcos powiedziała mi właśnie, że zna twojego ojca i wuja.

- Jak to możliwe? - poczęła się zastanawiać Amalia. Zadawała też sobie pytanie, cóż tak strasznego było w tym fakcie.

- Pracowali dla niej przez kilka dni...

- Co za zbieg okoliczności, to aż zabawne...

- Nie! - krzyknęła Beatriz, nie panując nad sobą. - To straszne!

- Nie rozumiem cię, pani...

- Tego dnia, kiedy ich spotkałaś, tak naprawdę uciekali, by uniknąć aresztowania.

- Tak też mówiłam. Nas, Cyganów, zawsze ścigają. Nie widzę w tym nic niepokojącego...

- Uważa się, że odpowiadają za zamach w pałacu Moncloa, na balu, podczas którego zginął Braulio. To oni go zabili...

- Ależ... to niemożliwe! - Oczy Amalii zaszkliły się łzami. - Mój ojciec nie potrafiłby nikogo skrzywdzić...

- Ale zrobił to, Amalio. On i twój wuj podłożyli proch, który zabił kilku z obecnych i obrabował mnie z miłości mojego życia.

Amalia próbowała odczytać jej z oczu uczucia. Beatriz jednak zasłoniła się welonem goryczy, gęstym i niemożliwym do przeniknięcia.

- Czy istnieją jeszcze jakieś wątpliwości?

- Wygląda na to, że nie. Mają przeciw nim poważne dowody.

- Tak mi przykro, pani! - Cyganka pogłaskała jej dłonie, błagając o zrozumienie. - Wyrzekam się czynu ojca całym sercem, musi mi pani uwierzyć...

- Płynie w tobie jego krew. Nie wiem, do jakiego stopnia jesteś ze mną szczerą. Odkąd cię poznałam, widziałam w tobie gorzkie pragnienie zemsty za wszystko, co wam zrobiono. W gruncie rzeczy twój ojciec zrobił tylko to, czego ty również w głębi duszy pożądasz. Powiedzmy, że on był po prostu bardziej konsekwentny.

- Ale zabił pani Braulia... i innych, a tego nie można wybaczyć.

- Z tego powodu go nienawidzę całą duszą, całą moją mocą i sercem, aż brak mi tchu. Zniszczył moją nadzieję, jedyne, co podtrzymywało mnie przy życiu.

Amalia pogładziła błagalnym gestem jej policzek, prosząc o przebaczenie dla swej rodziny, o coś, czego nawet ona nie była w stanie uzyskać. Skóra Beatriz wydała jej się

szorstka, nieczuła, a oczy niezgłębione. Jej pani wpatrywała się w nicość, pogrążona w swoim wewnętrznym świecie.

- Pani, jesteś dla mnie kimś o wiele ważniejszym niż tylko pracodawczynią, i wiesz o tym. Zawsze zwracałaś się do mnie z czułością, a nie surowością. Obdarzyłaś mnie, pani, zrozumieniem, kiedy mogłaś traktować obojętnie. I bez wstydu otworzyłaś przede mną swą duszę, ja zaś odpowiedziałam takim samym oddaniem. Zaklinam panią na wszystko, czym do tej pory dla pani byłam, czy jest to wiele, czy mało: niech mnie pani prosi, o co chce, jakkolwiek dziwne by to było - zrobię wszystko, lecz zawróć, pani, z tej drogi, którą obrałaś.

To wyrwało Beatriz z jej bolesnego snu, z jej najbardziej dręczących rozmyślań.

- Dziękuję, Amalio. - Uściskała dziewczynę, niepomna na zdziwienie przechodniów. - Bardzo wiele mi pokazałaś. Czuję, że jesteś mi tak bliska...

- Nienawidzę swego ojca...

- Nie mów tak... - Beatriz zakryła jej usta. - Zostaw to uczucie mnie. Nie czyni go swoim.

- Jest pani taka dobra...

- Chodźmy do domu, to nie jest najodpowiedniejsze miejsce na tę rozmowę.

Gdy ruszyły ulicami, które dzieliły je od placu de la Vega, uderzył w nie silny wiatr, wilgotny i porywisty. Był tak mocny, że co jakiś czas zatrzymywały się i chroniły w jakichś odrzwiach, dopóki zawierucha nie zdawała się tracić na sile.

Zaledwie dwie przecznice od pałacu Beatriz zaczęło padać tak mocno, że płaszcze przestały zapewniać im jakąkolwiek ochronę. Dachy nielicznych mijających je powozów dźwięczały niczym chór tamburynów, a koła wzbijały w powietrze wodę, która zbierała się na ulicy. W ubłoconych ubraniach dotarli w końcu do bramy domu. Zdziwił je widok stojącego przed nią powozu, lecz nie zastanawiały się nad tym zbyt długo, chciały tylko jak najszybciej dostać się do środka i znaleźć schronienie.

- Amalio...! Zaczekaj! - Głos ów brzmiał tak znajomo... Amalia odwróciła się, podobnie jak Beatriz. To, co ujrzała, było dla niej wstrząsem. Z karocy wychodził jej ojciec odziany w strój szlachcica, uśmiechając się do niej triumfalnie. U jego boku stał Silerio z identycznym wyrazem twarzy.

- Córeczko, przyjechaliśmy, by cię stąd zabrać i wyjechać, wszyscy razem. Zawołaj swoją siostrę Teresę i nie zwlekajmy już!

Amalia spojrzała na Beatriz poprzez zasłonę wody, która lała się na nie z niewiarygodną siłą, i ujrzała skurcz jej mięśni, wściekłość w jej oczach. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Beatriz z krzykiem rzuciła się na Timbria. Wbiła paznokcie o

kilka milimetrów od jego oczu i dobywając z siebie niespodziewaną siłę, pchnęła go na jednego z koni. Mężczyzna upadł na ziemię, zaskoczony w równej mierze samym atakiem, co jego siłą.

- Podły morderca!

Beatriz zdążyła jedynie kopnąć go mocno w twarz, rozcinając mu wargę, lecz przed dalszym atakiem powstrzymała ją ramiona Sileria, który rzucił się na pomoc bram.

- Puść mnie, jeśli jesteś mężczyzną!

Próbowała wyzwolić się, kopiąc w niego na oślep, lecz jedyną odpowiedzią Cygana był mocniejszy uścisk. Amalia podbiegła do nich z płaczem.

- Wujku Silerio, zostaw ją! Zostawcie ją obaj w spokoju! Timbrio podniósł się z ziemi, rozjuszony upokarzającym atakiem damy, i zbliżył się do niej z zaciśniętymi pięściami.

- Teraz się dowiesz, co to znaczy wściekłość, dziwko! Nie wystarczył krzyk Amalii ani jej błagania, by powstrzymać brutalne ciosy, które spadły na Beatriz. Timbrio uderzył ją najpierw w nos, potem w podbrzusze. Silerio wypuścił dziewczynę, podczas gdy Amalia zaciekle szarpała się z ojcem.

Z ust i brody Beatriz płynęła gorąca krew, jej oczy spojrzały przelotnie na Timbria, przepełnione nienawiścią, po czym zamknęły się, gdy dziewczyna straciła przytomność. Po uderzeniu w brzuch poczuła dojmujący ból, który zwyciężył jej wątłe siły. Upadła na ziemię, uwalana krwią i nieprzytomna. Amalia rzuciła się do niej i zaczęła klepać ją po twarzy, krzyczała, by ją obudzić, całowała ją po policzkach.

Obaj Cyganie zaczęli wyrzucać jej, że tracą czas. Wołali, by ją zostawiła i odszukała siostrę, chcieli jak najszybciej odjechać. Niepokoiili się, że w każdej chwili mogli nadejść żołnierze.

- Wynoście się stąd! Jesteście tylko przeklętymi mordercami - wrzasnęła dziewczyna.

- Amalio, przyjechaliśmy, żeby cię ze sobą zabrać. Nie odejdziemy sami.

- Ojczy! - krzyknęła Amalia z wściekłością. - Zniknij z mojego życia. Nie chcę nigdzie z tobą jechać. Rozumiesz?

W drzwiach pojawiło się kilku służących domu de Llanes, zwabionych zamieszaniem. Wśród nich była również Teresa. Widząc leżącą na ziemi Beatriz wszyscy poderwali się z miejsc i podbiegli, by ją podnieść. Teresa na widok ojca podeszła do niego ze wzruszeniem, po czym go objęła.

- Amalio, to twoja ostatnia szansa! Idziesz z nami czy zostajesz? - Timbrio wepchnął młodszą córkę do powozu, a Silerio wsiadł na kozioł i chwycił za lejce.

- Tu jest mój dom. Nie pójdę z wami.

Dziewczyna zwróciła się ku Beatriz, która zdawała się odzyskiwać już przytomność, i podtrzymała jej głowę, podczas gdy dwóch służących podnosiło ją z ziemi, by zanieść do domu. Ich spojrzenia się skrzyżowały i Beatriz wyszeptła coś, czego Amalia nie zdołała usłyszeć. Przysunęła się bliżej.

- Przysięgam, że wynagrodzę ci to, co właśnie zrobiłaś...

Całkowicie przemoczona, z zakrwawioną twarzą i całym ciałem obolałym, Beatriz znowu zemdląła. Przestraszona Amalia rozkazała jednemu ze służących, by sprowadził lekarza.



- Pani czeka w salonie trofeów. Proszę za mną. Trevelez przyglądał się niespokojnie wnętrzm, przez które przechodził, z nadzieją, że nikt go nie rozpozna.

Pierwszy raz odwiedzał tę ambasadę, lecz zupełnie nie był w stanie podziwiać licznych dzieł sztuki, które obwieszały jej ściany; siedł tylko bez wielkiej ochoty za służą, czując się jak skazaniec w drodze na szubienicę.

Nie chciał sobie nawet wyobrazić, jak zakończy się to spotkanie z Catherine, żoną ambasadora. Postanowił nie myśleć o osobistych konsekwencjach, które mogło pociągnąć za sobą jego postępowanie, i starał się oswoić z myślą, że chodziło wyłącznie o pracę.

Przyglądał się wiszącym po obu stronach korytarza portretom ambasadorów, których Anglia przysyłała na przestrzeni wieków do Madrytu. Na końcu ujrzał wśród nich Benjamina Keene'a. Z oczywistych powodów przyciągnął on jego największą uwagę. Mógł być to jedynie wytwór wyobraźni, lecz Trevelezowi zdawało się, że widzi w spojrzeniu Anglika dezaprobatę, jakby Keene doskonale wiedział o hańbie, która miała na niego spaść.

Postanowił wyrzucić z umysłu te przygnębiające myśli i stanął pod pięknymi drzwiami z orzechowego drewna, czekając, aż wpuszczą go do środka. W obliczu zadań, z którymi musiał się zmierzyć, jego ostateczny cel tutaj był jasny: zdobyć każdą możliwą informację, wiadomość lub zeznanie o masonach, którzy zdaniem Ravaga mogli mieć związek z ambasadorem.

- Pani prosi do środka. - Sługa skłonił się z szacunkiem, otwierając przed Trevelezem drzwi do salonu.

Na ścianach wisiały co najmniej dwa tuziny najróżniejszych poroży, na przemian z różnymi obrazami przedstawiającymi zwawę sceny myśliwskie oraz prawdziwym arsenałem starej broni. Przez dwa oryginalne okrągłe okna wlewał się przytłumiony blask południowego słońca, który w niezwykle sposób rozświetlał pokój. Zanim Trevelez zdołał odnaleźć Catherine w jednym z kątów, przyszło mu do głowy, iż okna te przypominały dwoje

wielkich oczu, jakby sala była żywym stworzeniem, które mogło widzieć wszystko, co działo się w jej wnętrzu, jakby była obserwatorem jego spotkania z damą. Ta myśl sprawiła, że poczuł się jeszcze bardziej niezręcznie.

- Mój drogi Trevelez, proszę podejść bliżej!

Kobieta wyglądała wspaniale: odziana z francuska w łososiową suknię z głębokim dekoltem, w białej peruce, z bogatym naszyjnikiem z różnobarwnych kamieni oraz pasującymi kolczykami, które dopełniały stroju. Nie podnosząc się, wyciągnęła do niego rękę, po czym zaprosiła go na wąski skrawek miejsca, który pozostał przy niej na sofce.

- Catherine, czekałem na nasze spotkanie. Wygląda pani przepięknie!

Trevez usiadł, zachowując jak największy dystans. Nie chciał sobie nawet wyobrazić, na czym mogła się skończyć ta schadzka. Nawet przy jej znacznej mszy musiał przyznać, że ambasadorowa była atrakcyjna.

- Jest pan dla mnie zbyt miły - chwyciła jego dłonie z miną pełną czułości.

- Catherine, moje serce rozpała się w twojej obecności. Nienawidziłem każdej godziny i każdego dnia, kiedy byłem z dala od ciebie - zapewnił ją płomiennie Trevez. Uważał, że zanim przejdzie do interesujących go spraw, musi najpierw zmiękczyć ją słodkimi słówkami.

- Co za galant...! Tak pięknie do mnie przemawiasz. - Twarz Angielki była odbiciem absolutnego zadowolenia.

Trévez zaskakiwał sam siebie tym, jak płytkie były jego słowa. Przyglądał się jej w milczeniu, bojąc się, że nie da rady wydobyć z siebie o wiele więcej.

- *What have you seen in me?* Przepraszam, czasami zapominam o tym, by mówić w waszym języku, łatwiej mi po angielsku. Cóż takiego zdołałeś we mnie zobaczyć, że tak cię rozpałiło?

- Jednoczą się w tobie wszystkie wdzięki, które może posiadać kobieta: delikatność skóry tak miękkiej, tak jedwabistej, głębia spokojnego spojrzenia, wręcz niemożliwie błękitnego. Jakże zimny musiałbym być, by ci się oprzeć? - Catherine zarumieniła się na te słowa i skryła twarz za wachlarzem. - Gdybym tylko mógł codziennie spędzać przy tobie pięć minut, moje życie przepełniłoby się szczęściem...

- Och! Nigdy nie słyszałam czegoś podobnego... Serce staje mi ze wzruszenia. - Przycisnęła jego dłonie do swej piersi, by Joaquín sam poczuł, jak bardzo była wzruszona.

Teraz to on oblał się czerwienią. Pomyślał, że jeśli dalej będzie ją uwodzić, ona zaś - reagować w ten sposób, to nie zdoła zapanować nad sytuacją.

- Jednak na nieszczęście w mym życiu są też inne chwile, pełne niepokoju i kłopotów - powiedział szybko, pragnąc skierować rozmowę na inne tory.

- Mam nadzieję, że to nie ja jestem ich przyczyną.

- Nie, to nie to. Chodzi raczej o niezwykle zawikłane sprawy, które zaprzętają mnie w pracy.

- Tak mi przykro, gdybym tylko mogła ci pomóc... Poglądziła go nieśmiało po brodzie, w odruchowym akcie bliskości. Trévelez uczynił to samo, przesuwając dłonią po delikatnej skórze jej twarzy.

- Doceniam twoją dobroć, ale chyba nie na wiele się to zda.

- Tak nisko mnie cenisz? - spytała, przybierając urażoną minę.

- Ależ wręcz przeciwnie! Mówię tak, ponieważ byłoby dziwne, gdybyś cokolwiek o nich wiedziała - powiedział przebiegle Joaquín, uznając, że nadszedł idealny moment na rozpoczęcie manewru.

- O nich...?

- Słyszałaś coś o zbrodniach, które wstrząsają ostatnio Madrytem?

- Tak, ale niezbyt dużo: tylko tyle, ile rozmawiałam z moim mężem.

- Sądzymy, że ich sprawcy mogą być obcokrajowcami, być może Anglikami.

- Boże drogi! - Catherine poczuła zażenowanie na myśl, że mogło chodzić o jej krajanów. - Macie już ich nazwiska?

- Niestety nie, ale uważamy, że to masoni. Coś ci to mówi? Wiesz, kto z poddanych brytyjskich w waszej ambasadzie do nich należy? Czy jest ich wielu?

Ta seria pytań sprawiła, że Catherine poczuła się niepewnie.

- Chwileczkę... To mi zaczyna przypominać przesłuchanie, podczas gdy ja spodziewałam się po tobie czegoś zupełnie innego. Nie przyszedłeś tu tylko po to, by uzyskać informacje, prawda? Nie próbujesz mnie zwieść, by osiągnąć coś innego?

Sztuka zalotów i pośpiech, by wydobyć informacje, najwyraźniej ze sobą nie współgrały. Trévelez poczuł się osaczony jej pytaniami i zdecydował się stawić czoło sytuacji w inny sposób, a mianowicie poprzez żarliwy atak.

Przycisnął usta do ust Angielki. W odpowiedzi odepchnęła go lekko.

- Wciąż wątpisz w moje motywy?

Kobieta przyjrzała mu się, nieco wytrącona z równowagi.

- Posłuchaj, Joaquínie. Choć przyznaję, że twoja wizyta mi pochlebia, to nadal nie pojmuję do końca twoich intencji względem mnie, skoro wszyscy wiedzą o twoim związku z Marią Emilią Salvadores. Byłoby mi bardzo przykro, gdybym odkryła, że kierują tobą jakieś inne przesłanki, a sądząc po tych pytaniami, obawiam się, że tak jest w istocie.

Wbiła w niego spojrzenie i przyjrzała mu się badawczo. Joaquín nie wiedział, co powiedzieć. Rávago, ze swym szczególnym darem przekonywania, wepchnął go w pułapkę, a teraz sytuacja wymykała mu się z rąk.

Jego milczenie sprawiło, że Catherine pojęła prawdę. Zobaczyła jasno, że jedyną przyczyną jego nagłego i płomiennego uczucia była chęć zdobycia informacji, których potrzebował jako osoba odpowiedzialna za bezpieczeństwo dworu, nie zaś jej wdzięki. Wierzyć w co innego byłoby z jej strony głupotą. Jednak mimo wszystko mężczyzna ów nadal wydawał jej się interesujący, i to do takiego stopnia, że nie chciała zakończyć ledwie zaczętego związku.

Jej odkrycie zmieniło jednak zasady gry. Catherine pojęła, że teraz to ona trzymała w rękach wodze. Zdecydowała, że zacznie od wyjawienia mu pewnych interesujących go wiadomości, by potem...

- Mój mąż utrzymuje bardzo dobre stosunki z masonami...

- Nie musisz mi nic mówić. - Zawstydzony, Trévelez starał się jakoś wybrnąć.

- Nie obchodzi mnie, czy to ci się przyda - Catherine uśmiechnęła się do niego na dowód, że pragnie zapomnieć o swej urazie. - Benjamin prawie nigdy nie mówi mi o swojej pracy, lecz kilka dni temu odwiedziło go dwóch mężczyzn, a po rozmowie z nimi był roztrzęsiony i niespokojny. Do tego stopnia, że złamał swój zwyczaj i tym razem wyjawiał mi kilka szczegółów. Myślę, że to właśnie tych ludzi możecie szukać.

- Mówił, czy są masonami? - Nieco uspokojony jej tonem, Joaquín zdecydował się porzucić wcześniejszą ostrożność.

- Owszem. Zdaje się, że wykonują bezpośrednie rozkazy nieżyjącego już mistrza Wilmore'a, którego naturalnie bardzo dobrze znałam i o którym zachowuję miłe wspomnienie.

Joaquín domyślił się, co miała znaczyć ta uwaga. Wilmore musiał zalecać się do niej tak samo jak on teraz. Nie mógł powstrzymać niesmaku na myśl o własnym zachowaniu.

- Wilmore zmarł w więzieniu inkwizycji...

- Joaquínie, powiedzmy to sobie jasno: już raczej ktoś pomógł mu umrzeć...

- To możliwe.

- Nie miej wątpliwości. Przed aresztowaniem był zdrowym i silnym mężczyzną.

- Zgoda. Lecz nie mówmy o tym i wróćmy do poprzedniego tematu. Co jeszcze o nich wiesz?

- Benjamin mówił, że są bardzo niebezpieczni, pozbawieni serca, lecz zarazem efektywni, a przede wszystkim szaleni. Mówił też, że zawsze wypełniają powierzone misje z

niezwykłą dokładnością, a jako zausznicy Wilmore'a z pewnością mieli ich już kilka do wykonania, i to bardzo niebezpiecznych. To wszystko, czego się dowiedziałam, sama nigdy ich nie widziałam.

- Jak mógłbym poznać ich nazwiska albo dowiedzieć się, gdzie mieszkają?

- Nie jestem w stanie ci tego powiedzieć - odparła Catherine stanowczo.

- Jeśli się postarasz, z pewnością coś ci przyjdzie do głowy. - Na te słowa kobieta pojęła z niesmakiem, że prosił ją, by szpiegowała własnego męża. - Catherine, spróbuj to zrobić. Podejrzewam, że popełnili trzy morderstwa i dokonali zamachu w pałacu księcia de Huehear, gdzie również ciebie widziałem. Nie mogę pozwolić, by przebywali na wolności. Potrzebuję tych nazwisk! - Trévelez zaczynał się coraz bardziej unosić.

- Co jesteś gotów dać mi w zamian?

Spojrzał na nią zaskoczony. Catherine odwzajemniła jego spojrzenie z całkowitym spokojem, przekonana, że oto nadeszła chwila, by wyjawić mu plan, który obmyśliła.

- To, o co poprosisz. Musisz jednak wiedzieć, że jeśli nie zdobędę tych wiadomości od ciebie, zażądam ich oficjalnie od ambasadora, a to wywoła konflikt dyplomatyczny.

- Nie próbuj mnie szantażować. Mogłabym zdobyć dla ciebie tę informację, jeśli zgodzisz się na trzy warunki.

- Jakie? Zrobię, co w mojej mocy, by je spełnić. - Trévelez wstrzymał się z groźbą, by wysłuchać jej propozycji.

- Pisemna deklaracja, podpisana przez ciebie, że mój mąż nie zostanie w jakikolwiek sposób uwikłany w tę sprawę...

- A jeśli już jest w nią zamieszany?

- Nic o tym nie wiem, lecz jego imię nie może być w żaden sposób powiązane z tymi zabójstwami.

- Pojmuję i zgadzam się. Drugi warunek?

- Byś wyszpiegował...

- Że co? - Trévelez poderwał się na te słowa.

- Dziwisz się, skoro sam prosiłeś mnie o szpiegowanie męża? Wyobraź sobie, że pozyskanie tej wiadomości to niełatwe zadanie, tak samo jak wyjaśnienie, kto mnie o nią prosił i w jakich okolicznościach. Potrafię zmiękczyć wolę męża, lecz wątpię, czy moje sposoby okażą się wystarczające. Gdybym jednak mogła zaoferować z twojej strony pewne informacje wagi państwowej, do których z pewnością masz dostęp poprzez swego przyjaciela Ensenadę, lepiej by zniósł mój udział w tej sprawie. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy robię

coś podobnego, a Benjamin zgodziłby się na taki układ, podając mi dane, których potrzebujesz.

Joaquín zdał sobie sprawę, jak niesłusznie ją osądził. Za jednym zamachem Catherine zdołała uchronić honor męża, a do tego prosiła go, by zdradził ojczyznę.

- Rozumiesz, że muszę odmówić drugiej prośbie.

- Jeśli ją odrzucisz, zapomnij o mojej pomocy. Możesz spróbować na drodze oficjalnej, o której przed chwilą wspominałeś, ale wątpię, czy cokolwiek osiągniesz. Mój mąż z całą pewnością odmówi. A poza tym przewiduję, że zwróciłby się przeciwko tobie przy najbliższym potknięciu. - Podniosła się, by zakończyć rozmowę. - Wiem, że to, co ci proponuję, jest trudne, ale uważam, że nie za bardzo masz inny wybór.

Joaquín podniósł swój płaszcz i kapelusz, rozmyślając nad tym, jaką decyzję powinien powziąć.

- Zastanów się nad tym spokojnie, odpowiesz kiedy indziej. Wiedz jednak, że naprawdę chciałabym ci pomóc.

- Nie powiedziałaś jeszcze, jaki jest trzeci z twoich warunków.

Catherine spojrzała na niego uwodzicielsko.

- Że po tym wszystkim nie będziesz unikał kolejnych spotkań ze mną, i spodziewam się po nich więcej romantyzmu niż dziś, do tej pory mnie oszukiwałeś.

- Kiedy mogę cię znowu zobaczyć?

- Pojutrze. Benjamin wraca dopiero za dziesięć dni. Mamy jeszcze dla siebie czas... - Objęła go i pocałowała namiętnie, zapominając o wcześniejszym starciu.

◆◆◆

- Obejrzelśmy już ponad pięć klasztorów i wszystkie są strzeżone przez gwardię. Nie sądzisz, że to dość dziwne?

Dwaj mężczyźni przeszli właśnie przed klasztorem Klarysek, nie okazując szczególnego zainteresowania, teraz natomiast skierowali się w stronę znajdującego się o kilka ulic dalej klasztoru Kawalera Łaski, prowadzonego przez franciszkańskie mniszki.

- Przyznaję, że ta akcja sprawia mi szczególną przyjemność - powiedział jeden z nich. Nadal myślisz o tej głowie?

- Rozmawialiśmy już o tym i wiesz, że to zrobię.

Szli ulicą Montera, po czym skręcili w prawo na ulicę Caballero, pośrodku której otwierał swe podwoje klasztor.

Tam również natknęli się na kolejną parę żołnierzy strzegących wejścia. Z pewnym zniechęceniem przystanęli w rozsądnej odległości. Zastanowili się nad wejściem poprzez

dach sąsiedniego budynku, lecz było to zbyt ryzykowne, biorąc pod uwagę różnicę w wysokościach. Bezpośrednie starcie z żołnierzami odrzucili zaś jako niebezpieczne i niedające zbytnej gwarancji powodzenia.

Gdy tak się zastanawiali, jak oszukać strażę, pewne zwyczajne zdarzenie podsunęło im pomysł: ujrzeni, jak do środka wchodzi dwóch księży, którym nikt nie sprawdził dokumentów. Spojrzeli na siebie z uśmiechem.

- Moglibyśmy spróbować...

- Wygląda mi to na niezły pomysł.

- Zrobimy to jutro. Wiem, gdzie możemy zdobyć odpowiednie ubrania.

◆◆◆

Następnego ranka Amalia rozsunęła zasłony, by światło przeniknęło do sypialni, w której przez całą noc czuwała nad Beatriz. Właśnie przybyła Faustina, bardzo przestraszona. Dopiero co powiadomiono ją o pogorszeniu stanu dziewczyny.

- Kazałam znowu wezwać medyka. Przy tej nieustannej gorączce przez całą noc nie zmrużyła oka. Co chwilę przykładałam jej wilgotne okłady w nadziei, że trochę ją schłodzą, zmuszałam ją też do picia dużych ilości wody. Kiedy nie zobaczyłam żadnej poprawy, kazałam panią wezwać.

- Bardzo dobrze zrobiłaś, Amalio. Teraz powinnaś chwilę odpocząć. Odejdź, jeśli chcesz, a ja przy niej zostanę.

- Jeśli pani pozwoli, wolałabym zostać przy niej. Pójdę tylko przygotować jakieś śniadanie. Czy masz, pani, ochotę na coś konkretnego?

- Na nic nie mam apetytu, dziękuję. Dla Beatriz przygotuj sok pomarańczowy i odrobinę chleba z winem i cukrem, to da jej siły i ją ożywi.

Faustina została sam na sam z Beatriz. Spojrzała na nią z niepokojem. Twarz dziewczyny była blada, a nos obrzękły i zaczerwieniony po ciosie, który wymierzył jej Cygan. Hrabina wiedziała od Amalii o wszystkim, co zaszło poprzedniego wieczoru.

Kiedy pogładziła córkę po ręce, Beatriz otworzyła oczy.

- Witaj, matko!

- Jak się czujesz, kochanie? Dziewczyna zaczęła płakać.

- Co się dzieje, moje słońce? - Faustina przestraszyła się: nigdy nie widziała, by Beatriz uroniła choć jedną łzę, teraz zaś wręcz wylewały jej się z oczu.

- Straciłam je... wiem o tym... - szepnęła Beatriz z bólem.

- Co straciłaś?

- Moje dziecko - dziewczyna wybuchła nieutulonym płaczem.

- Nie mów głupstw. Zaraz przybędzie lekarz i cię zbada. - Faustina otarła chusteczką łzy, które spływały po policzkach córki.

- Zabili je, matko... Nie czuję go - wyrzuciła z siebie Beatriz wśród spasmów. - To koniec.

- Nie myśl o tym. Za chwilę przyjdzie Amalia i przyniesie ci coś do jedzenia. Kiedy lekarz cię obejrzy, poczujesz się lepiej.

Ucałowała ją czule w czoło i poczuła pod wargami gorączkę. Doktor pojawił się razem z Amalią, w towarzystwie jeszcze jednego sługi. Faustina wyszła z pokoju, by się z nim rozmówić.

- Ma wysoką temperaturę, ale powiedziała mi coś strasznego, co musi pan sprawdzić. Była w ciąży, a teraz mówi, że straciła dziecko.

- Czy miała w nocy jakieś plamienie?

- Nie wiem, ale chwileczkę, spytamy o to jej służącą. Proszę tu zaczekać.

Wróciła natychmiast z Amalią. Lekarz powtórzył pytanie.

- Jakąś godzinę temu trochę krwawiła. Prawdę rzekłszy, przestraszyłam się na ten widok, ale obmyłam ją najlepiej, jak potrafiłam, próbując nie zbudzić jej, żeby tego nie zauważyła.

- Dobrze. Chodźmy ją obejrzeć!

Cała trójka weszła do sypialni. Lekarz podszedł do łóżka, przemawiając do Beatriz łagodnym głosem. Dziewczyna przyglądała mu się ostrożnie. Zbadał jej puls oraz temperaturę, po czym przyjrzał się błonie śluzowej ust, uszu oraz spojówek. Poprosił, by ją odkryły, żeby przyjrzeć się klatce piersiowej i brzuchowi. Cała trójka ujrzała z przerażeniem ciemny siniak znajdujący się kilka centymetrów pod pępkiem oraz cienkiutki strumyczek krwi wypływający spomiędzy nóg.

Lekarz poprosił o gorącą wodę i mydło do obmycia, by móc sprawdzić, co z narządami wewnętrznymi. Beatriz znowu wybuchła płaczem. Czując tę wilgoć na udach i wiedziała, że nie mogło to być nic dobrego.

Czekając na wodę, doktor upuścił jej krwi z jednego przegubu, by obniżyć gorączkę. Amalia pojawiła się z dzbanem i parującą miednicą. Mimo protestów Beatriz doktor zbadał ją uważnie, po czym nakazał, by ostrożnie ją obmyto. Jego spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości. Faustina westchnęła, przygnieciona smutną nowiną, której musiała stawić czoło. Zbliżyła się do Beatriz i spróbowała przemówić do niej z największą delikatnością.

- Kochanie moje...

- Miałam rację, prawda?

- Obawiam się, że tak. Lekarz uważa, że poroniłaś w następstwie silnego ciosu, który otrzymałaś.

- Przekłete życie! - krzyknęła z wściekłością Beatriz. - Wyjdźcie stąd wszyscy i zostawcie mnie samą. Nie chcę nikogo widzieć!

- Ale skarbie... wszyscy jesteśmy przy tobie i chcemy ci...

- Nie dbam o to! Nikt z was mnie nie obchodzi! - powtarzała Beatriz bezustannie, raz za razem. - Wynoście się stąd!

Amalia wybiegła z pokoju przepelniona rozpaczą i zalana łzami. To jej ojciec był winien temu nieszczęściu i za to będzie go nienawidzić do końca życia, ze wszystkich swych sił. Zniszczył te resztki nadziei, które pozostały w Beatriz, a Amalia czuła się tak, jakby spoczywała na niej ta sama wina, co na nim. Dręczyła ją myśl, że gdyby nie przyszła pracować w tym domu, nigdy by do tego nie doszło. Była częścią cierpienia Beatriz.

Faustina bez żadnego powodzenia próbowała uspokoić córkę, po czym za radą lekarza wyszła w ślad za Amalią, którą zastała na korytarzu skuloną na podłodze i udręczoną. Pożegnawszy doktora i dopilnowawszy wszystkich jego zaleceń, podeszła do służącej, poprosiła ją, by wstała, po czym ją objęła. Zapłakały razem, jakby chciały podzielić się bólem.



Ciało zakonnicy spoczywało w celi na klęczniku, w pozycji modlitwnej, z różańcem w splecionych dłoniach, jakby mniszka odmawiała swe codzienne modły. Lecz tym razem czegoś jej brakowało - głowy.

Trévelez był wściekły. Stał w drzwiach celi zamordowanej, wydając rozkazy - krzycząc na swych podwładnych i ciskając obelgi na dwóch gwardzistów, których zadaniem była ochrona klasztoru Kawalera Łaski.

- Jak mogliście dopuścić do czegoś takiego? - Krążył dookoła nich nerwowym krokiem. - Oczywiście, nie przyszło wam do głowy, żeby kazać się przedstawić tym dwóm księżom. Zupełnie bezczelnie weszli sobie i wyszli, jeszcze z waszym błogosławieństwem. To doprawdy niewiarygodne! Gdybym był waszym przełożonym, natychmiast kazałbym was rozstrzelać. Jeszcze zobaczymy, co was czeka...

Obaj gwardziści patrzyli na niego z drżeniem bardziej odpowiednim dla dzieci niż zaprawionych w boju żołnierzy.

- Kto mógłby przypuszczać, że dwóch duchownych może zrobić coś takiego?

- Poza tym, że na nic się nie zdajecie, jesteście też kretynami? - Zdawało się, że żyły na szyi Tréveleza pękłą zaraz z wściekłości. - To nie byli księża, przebrali się tylko! Co za idioci!

Rozkazał, by ich stamtąd zabrano, po czym wszedł do celi. Rozejrzał się dokoła. Szukali głowy po całym klasztorze, choć domyślał się już, że jej nie znajdą. Gwardziści widzieli, jak księża wychodzą z czymś zawiniętym w koc. Trévelez nie był w stanie pojąć, że nawet to nie zwróciło ich uwagi. Uzbroił się w wytrwałość i zbadał ciało, czy nie nosiło jeszcze innych śladów tego strasznego okrucieństwa. Nie zobaczył nic więcej. Przyjrzał się szyi i odkrył wstrząśnięty, jak precyzyjne było cięcie. Sądząc po stanie skóry uznał, że mordercy posłużyli się dobrze naostrzonym nożem. Musieli być cierpliwi, gdyż po przecięciu arterii, przelyku i tchawicy wzięli się za trudniejsze części, rozdzielając najpierw dwa kręgi szyjne, a na końcu przecinając rdzeń kręgowy.

Podszedł do zakratowanego okienka, przez które wpływało trochę świeżego powietrza, i odetchnął nim z niemal chorobliwą łapczywością, by oddalić od siebie zapach śmierci.

- Pokazali nam czwarte znaczenie gwiazdy: symbol cnoty - wykrzyknął na głos, niepomny na zdumienie, jakie jego słowa wzbudziły w pozostałych. - Mimo że tym razem się tego spodziewaliśmy, znowu im się udało!

- Panie... Przeorysza klasztoru o was pyta. - Jeden z jego podwładnych dotknął ostrożnie ramienia sędziego.

- Proszę jej powiedzieć, że nie chcę z nią rozmawiać, albo lepiej niech sam pan jej przekaze, co pan uzna za stosowne. W tej chwili nie czuję się na siłach, by kogokolwiek pocieszać. Idę stąd, nie mam tu już nic do obejrzenia. Spiszcie zeznania od tych durnych gwardzistów, niech przynajmniej podadzą nam ich opisy.

Przy wejściu do klasztoru Trévelez dosiadł konia, ogarnięty jedną myślą, niezdolny zająć się czymkolwiek, co nie miało związku z ostatnim ramieniem gwiazdy płomienistej - tym, które reprezentowało piękno.

Kto może być jego najwyższym ucieleśnieniem i kto przyczynił się na dodatek do zniszczenia wolnomularstwa? - zadawał sobie pytanie. - Królowa, jak to proponowała Maria Emilia? Czy też chodzi o kogoś innego...?

Odjechał, wciąż nad tym rozmyślając. Kilka ulic od klasztoru przyszła mu do głowy niepokojąca myśl. Spiął konia ostrogami. Jego myśli skupiły się na Faustynie, hrabinie de Benavente: najpiękniejszej wśród kobiet Mądrym i znanej zwolenniczki markiza de la

Ensenada, który był najważniejszą obok króla Ferdynanda VI osobą spośród odpowiedzialnych za dekret o zakazie działalności masonerii.

Pałac hrabiostwa de Benavente. Madryt. Rok 1751

21 września

Markiz de la Ensenada z radością przyjął zaproszenie swych przyjaciół de Benavente, by zjeść u nich sobotni posiłek. Ucieszyła go szczególnie wiadomość, że miała się tam pojawić również Maria Emilia Salvadores oraz jej amant i zarazem sędzia królewskiego domu i dworu, Joaquín Trévez.

Tworzyli oni jedną z nielicznych zaufanych grup, które miał markiz, i chociażby z tego powodu - jak również dlatego, że przechodził właśnie jeden z najgorszych dla swej rządowej kariery okresów - widział w tym spotkaniu okazję, by nacieszyć się ich towarzystwem i zapomnieć o licznych gnębiących go sprawach stanu.

Ponadto powiadomiony był o stracie dziecka, którego oczekiwała Beatriz, poczętego przez zmarłego księcia de Llanes, a nie miał jeszcze okazji osobiście przekazać jej rodzicom wyrazów współczucia.

Don Zenón de Somodevilla nie miał pojęcia jednak, że prawdziwym inicjatorem wspólnego posiłku był nie kto inny, lecz właśnie sędzia Trévez. Przekonał on Faustynę do tego spotkania po zabójstwie franciszkanki, by zyskać okazję do omówienia kilku spraw, o których wiedział jedynie Ensenada, a które mogły okazać się decydujące w ostatecznym wyjaśnieniu morderstw. Trévez miał teraz niemal pewność, że zostały one popełnione przez masonów.

Nie chciał straszyć Faustyny swoimi najnowszymi podejrzeniami, które wskazywały na nią jako na możliwy cel szalonych morderców, lecz nakazał już wzmocnienie nadzoru nad jej pałacem, jak również przedsięwziął inne środki ostrożności.

Razem z Marią Emilią przybyli na miejsce przed Ensenada, musieli więc zaczekać na niego w towarzystwie hrabiostwa. Maria próbowała maskować głęboki smutek z powodu nieszczęścia Beatriz i utraty dziecka, które byłoby jej wnukiem.

Na twarzy Faustyny również widać było oznaki udręki, jaką hrabina przeżywała w głębi duszy, lecz jej niezwykła uroda nie odniosła przez to nadmiernego uszczerbku.

Hrabia de Benavente z filigranowym kielichem w dłoniach rozprawiał o pitym przez nich winie z Jerez i jego szybko rosnącej popularności na Wyspach Brytyjskich od czasu, gdy kilka lat wcześniej przyczynił się do wprowadzenia tam owego trunku. Nikt nie przykładał do

jego wywodów zbytnej uwagi, pomimo usilnych prób hrabiego, by wprowadzić pozór normalności tam, gdzie jej nie było.

Trévelez wtrącał do rozmowy jakieś nic nieznaczące komentarze, lecz myślami krążył między posiłkiem, na który właśnie się zgromadzili, spotkaniem z Rávagiem, na którym miał się stawić potem, a przedwieczorną schadzka z Catherine, którą miał uwodzić w ambasadzie angielskiej.

Od dwóch dni dręczył się i tonął w morzu wątpliwości. Niestosowne zachowanie względem ambasadorowej oraz szpiegowanie Ensenady w zamian za obiecane przez Catherine informacje walczyły w jego sumieniu z wyrzutami z powodu nielojalności wobec Marii Emilii i markiza, którzy przecież darzyli go swym zaufaniem.

Chociaż za swe kłopoty winił głównie Rávaga, nie mógł przestać rozmyślać o tym, że ostatecznie to jego własny słaby charakter wpędził go w tę niedorzeczną sytuację.

W jego skali wartości, od kilku dni nieco zakłóconej, nie przeważał już duch lojalności, życie w dyscyplinie i bezinteresowna miłość. Teraz na pierwszym miejscu znajdował się obowiązek zatrzymania morderców. A jeśli musiał w tym celu posunąć się do podstępnych sztuczek, brudnych strategii i nieprzepisowych działań, wszystkie one wydawały mu się jednakowo dobre, jeśli tylko przynosiły efekty. Z tego właśnie powodu postanowił zwołać to spotkanie - by wyciągnąć z Ensenady jakiegokolwiek informacje, które mogłyby przydać się Benjaminowi Keene'owi ze względu na tajność czy też związek z Anglią.

- Proszę o wybaczenie, właśnie przybył jaśnie wielmożny markiz de la Ensenada.

Oświadczenie majordomusa sprawiło, że wszystkim poprawił się nastrój. Odłożyli na bok smutki i zmartwienia, by przyjąć don Zenona de Somodeville w rozluźnionej atmosferze.

- Wprowadźcie go - odparł don Francisco de Borja, hrabia de Benavente, jako gospodarz domu.

Do pokoju stanowczym krokiem wkroczył Somodevilla, szykując się do przekazania hrabiostwu wyrazów współczucia.

- Wierście mi, że bardzo mi przykro z powodu tej smutnej nowiny. - Ucałował dłoń hrabiny, po czym uściskał mocno rękę Francisca de Borji Alonsa Pimentela. - Jeszcze bardziej zasmuca mnie ona, gdy pomyślę o biednej Beatriz. Od kiedy ją znamy, ciągle spotykają ją nieszczęścia.

Ujął dłoń Marii Emilii i przywitał ją z sympatią. Potem przypadła kolej na Tréveleza, którego markiz skarcił półgłosem za to, że do tej pory nie powiadomiono go o ostatniej z brutalnych zbrodni ani o ucieczce Cyganów.

- Musicie mi wybaczyć: wolałem to uczynić podczas dzisiejszego obiadu. Sami zrozumiecie...

- Lepiej byłoby w moim pokoju i to wczoraj - odparł markiz, spoglądając na przyjaciela ze zdziwieniem. To miejsce oraz towarzystwo nie wydawało mu się najbardziej odpowiednim do relacjonowania śledztwa.

- Nie zamierzam się sprzeciwiać, lecz zobaczcie jeszcze, że mam rację.

- Możemy przejść do jadalni - załagodziła atmosferę Faustina. - Bardzo się cieszę, że jesteście z nami, zwłaszcza w tych trudnych chwilach.

Piękny mahoniowy stół czekał na nich zastawiony pięcioma nakryciami. Lokaj pomógł usiąść obu damom, po czym wskazał markizowi miejsce między nimi. Dwaj pozostali mężczyźni usiedli przed nim, każdy przy partnerce drugiego.

Hrabia rozkazał służącemu, by przyniósł dwie butelki bordeaux.

- To najwspanialsze odkrycie z mojej ostatniej podróży do Paryża - powiedział do wszystkich, pewny, iż jego wybór znajdzie w ich oczach uznanie.

- Skoro już mówisz o Paryżu, chciałbym poznać twoją opinię na temat działania Banku Królewskiego i jego nowego oddziału w tym mieście, jako że jesteś jedną z najważniejszych osobistości w hiszpańskim handlu - zagadnął Ensenada. Ambitny pomysł, by założyć bank, który po raz pierwszy w historii Hiszpanii należał do państwa, urastał do rangi jednego z jego największych sukcesów jako ministra skarbu.

- Nie mogłoby być lepiej, mój drogi Somodevilla. Od czasu otwarcia tego oddziału Francuzi korzystają z jego usług, by płacić za nabywane w Europie towary. Dostają w nim lepsze gwarancje i niższe odsetki niż w innych bankach. Jak z pewnością dobrze wiecie, oddział paryski przejął niemal wszystkie transakcje między obydwoma krajami. Muszę też oodać, że jego pracownicy są niezwykle kompetentni, czego przykładem jest krótki czas, w jakim zdołali zyskać sobie szacunek i zaufanie najtrudniejszych partnerów handlowych Hiszpanii. Był to znakomity, genialny wręcz pomysł, i gratuluję ci go. - Hrabia de Benavente uniósł kielich, zachęcając wszystkich do wzniesienia toastu za najświetniejszego z gości.

- Dziękuję za komplement. Rzeczywiście jestem bardzo zadowolony z tego banku. Tylko w zeszłym roku przyniósł Koronie niemal dwa miliony skudów zysku. Ale najważniejsze jest to, że przedsiębiorcy widzą w nim użyteczne narzędzie do wpłacania i wypłacania pieniędzy za granicą, bez tych barbarzyńskich stawek, które nakładały banki prywatne. Jeśli mnie pamięć nie myli, sięgały one dwudziestu procent.

- Czasem płaciło się nawet więcej...

- Otworzyliśmy już nowe oddziały w Rzymie i Amsterdamie, teraz zaś zamierzam udać się do Sankt Petersburga i Londynu.

- Ale z pewnością wiesz też, że Bank Królewski przyczynił ci nowych i niebezpiecznych wrogów... - to powiedziawszy, hrabia de Benavente rozkazał słudze, by znowu napełnił kielichy winem. Wszyscy gorąco je wychwalali.

- Przyznaję, że liczba tych, którzy chcieliby usunąć mnie z rządu, nieustannie wzrasta. Mam przeciwko sobie najwyższą arystokrację, która uważa swoje przywileje za zagrożone po upublicznieniu ich bogactw przez spisy. Anglików, bo zebrałem nową i potężną armadę, a także ze względu na traktaty, które utrudniają im handel z Indiami. Masonów - za wygnanie ich i prześladowania w Hiszpanii. Oraz Cyganów - za naszą nieudaną próbę eksterminacji. Teraz zaś do nich wszystkich dochodzą jeszcze wielkie banki hiszpańskie, bo od kiedy zaczął działać Bank Królewski, straciły możliwość prowadzenia swych lukratywnych interesów.

- Nie pominąłeś nikogo? - wtrąciła Faustina.

- Z pewnością - zgodził się Ensenada - lecz w tej chwili nie wiem, kogo masz na myśli.

- Niektórych ambasadorów, zarówno naszych, jak i zagranicznych.

- Oczywiście! Zapomniałem o Keenie i naszych ambasadorach w Anglii i Francji: Ricardzie Wallu oraz księciu de Huéscar. Ostatecznie poza królem, a jeszcze bardziej królową, za prawdziwych sprzymierzeńców mam jedynie swoje całkowite oddanie Hiszpanii, efektywność moich działań oraz nielicznych przyjaciół takich jak wy, których mam nadzieję zachować aż do śmierci.

- Wybaczcie, że przerwę - wtrącił Trévelez - lecz wzmianka o masonach skłania mnie do poruszenia drażliwej sprawy, którą może zdołamy wspólnie naświetlić. - Zmiana tematu była dla niego pretekstem, by poinformować Ensenadę o swoich postępach i przygotować wszystkich na wiadomość, którą musiał im przekazać.

- Powiedz tylko, jak i w czym możemy ci pomóc - odparł don Zenon.

- Sądzę, że dokonałem znacznych postępów w sprawie zbrodni, które nas wszystkich zaprzatają, wliczając w nie ostatnie zabójstwo zakonnicy klauzurowej, siostry Fernandy, które miało miejsce zaledwie dwa dni temu. - Pozostali biesiadnicy spojrzeli na niego z zaciekawieniem. - Mam całkowitą pewność, że te straszne morderstwa zostały popełnione przez dwóch masonów narodowości angielskiej, którzy najwyraźniej wypełniali jakiś ponury plan swego wielkiego mistrza Wilmore'a, na szczęście już nieżyjącego.

Do jadalni weszło dwóch służących z wazami, by rozpocząć serwowanie pierwszego dania.

- Przy tym zimnie pomyślałam, że zupa nas pokrzepi - wtrąciła Faustina. Wszyscy przyklasnęli jej zapobiegliwości.

- Trévelez, mówiłeś coś o jakimś ciemnym planie - wrócił do tematu markiz de la Ensenada, nie chcąc, by uwaga sędziego przeszła niezauważona. - Możesz wyrazić się jaśniej?

- W każdym z morderstw, z wyjątkiem zamachu w pałacu Moncloa, który mógł mieć zupełnie inne przyczyny, widać niezwykle symbole odpowiadające jednemu z emblematów bractwa. Chodzi o pięć wielkich zalet, które stanowią podobno ich najwyższy cel: piękno, siła, mądrość, cnota i miłosierdzie. Nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, dopóki nie znaleźliśmy na piersi zamordowanego inkwizytora płomienistej gwiazdy. - Trévelez rzucił Marii Emilii porozumiewawcze spojrzenie.

- Wybacz mi moją ignorancję, ale nie całkiem cię rozumiem - przerwała mu Faustina.

- Właśnie to morderstwo odkryło przed nami znaczenie pozostałych. Dowiedziałem się, iż owa gwiazda uosabia najważniejsze zasady masońskiej wiary, przez co może stanowić dostateczny dowód na to, że to oni są sprawcami. Muszę wyznać, że cała moja wiedza pochodzi z przypadkowej rozmowy z dowódcą gwardii, kapitanem Voemerem, który okazał się masonem. - Tu Trévelez spojrział na markiza de la Ensenada. - Wytlumaczę wam to wszystko na osobności.

W tym momencie hrabia de Benavente spytał, czy może wtrącić słowo, po czym ku zdziwieniu wszystkich zaczął objaśniać dokładniej znaczenie owej gwiazdy.

- Dla niektórych starych filozofów - rzekł - gwiazda płomienista była najpełniejszą formą manifestacji światła: mistycznym środkiem, emblematem samej boskości. Dla masona zaś symbolizuje ona oświecenie świata poprzez rozum, sposób na rozwianie cienia ignorancji. Jej pięć czubków odpowiada cechom, które leżą u podstaw boskości czy też mocy w jej najwyższej postaci. Jak powiedział Joaquín, cnota, piękno, miłosierdzie, siła oraz mądrość to zalety, do których aspiruje to tajne stowarzyszenie, lecz ponadto stanowią one również najwyższe cechy boga progenitora: tego, który poprzedza Boga chrześcijan, muzułmanów czy buddystów. Boga tego, wcześniejszego od wszystkich innych, oznaczają oni za pomocą litery G, która w hebrajskim odpowiada literze J, skróconej formie tetragramu JHVH, czyli Jahwe. Z tego, czego zdołałem się dowiedzieć, masoni próbują zastąpić owymi cnotami to, co ich zdaniem jest fałszywymi ideami i dogmatami podtrzymywanymi przez religię. Chcą odnaleźć autentyczną prawdę i oświecić świat wyłącznie za pomocą rozumu.

- Skąd to wszystko wiesz? - spytała jego żona, równie zaskoczona jak pozostali.

- Nigdy ci o tym nie wspominałem, lecz podczas mych częstych podróży do Paryża zdołałem dzięki pewnym kontaktom poznać wielkiego mistrza Francji - odparł Francisco. - Mimochodem nawiązaliśmy zażyłą przyjaźń, co dało mi możliwość poznania pewnych aspektów ich stowarzyszenia, o których zupełnie nie miałem pojęcia. Wiele razy zapraszał mnie na spotkania, które odbywały się w loży Wielkiego Wschodu Francji, lecz nigdy tam nie poszedłem. Rozmawialiśmy jednak o ich wierzeniach, a zwłaszcza o tym symbolu, ze względu na znaczenie, jakie ma dla nich.

- Jeśli cię rozumiem, oznacza to, że mamy do czynienia z precyzyjnie opracowaną ceremonią, na którą składa się seria zabójstw inspirowanych najwyższymi dogmatami masonerii i nierozzerwalnie związanych z tymi pięcioma cnotami. Zgadza się? - powiedział markiz de la Ensenada, po czym nie czekając na odpowiedź, dał wyraz wątpliwości, która pojawiła się w jego umyśle. - Lecz jeśli tak jest w istocie, to zamordowali tylko cztery osoby, nie pięć...

- Brakuje jeszcze jednej - wyjaśnił Trévelez. - Uśmiercając przełożonego jezuitów i wyrrywając mu serce, przedstawili zniszczenie miłosierdzia. Zabijając księcia de Llanes, zniszczyli siłę: w jego przypadku ekonomiczną, jako że reprezentował arystokrację. Poprzez śmierć inkwizytora zaś pokonali mądrość, miażdżąc mu mózg jako centrum i oś myśli oraz poznania ludzkiego. - Przełknął trochę wina, by zwilżyć wyschnięte z emocji gardło, po czym ciągnął dalej: - Domyśliliśmy się, że w następnej kolejności zwrócą się do świata duchowieństwa klauzurowego, jako przedstawiciele cnoty, lecz nie zdołaliśmy ustrzec biednej siostry Fernandy.

- Idąc tym tokiem, brakuje nam piękna - domyślił się Somodevilla.

- Właśnie! Zatem jeśli chcemy przewidzieć ich kolejny ruch, musimy zrozumieć, co mogło łączyć wszystkie ofiary. - Trévelez spojrział na nich z triumfem. - A istnieje pewien wspólny mianownik, który wydaje mi się uzasadniony: zakaz działalności masonerii, który wprowadzono kilka lat temu. - Czuł, że w tym momencie odpowiedź Ensenady będzie miała kluczowe znaczenie. - Lepiej niż ktokolwiek inny wiecie, jak doszło do opracowania tego dekretu i kto miał na niego największy wpływ. Mordercy zaś zadziałali już przeciw jezuitom, arystokracji, inkwizycji i zakonowi franciszkanów. Czy istnieje jeszcze jakaś osoba lub grupa, która nie miała swojego reprezentanta?

- Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musimy wziąć pod uwagę, że ta sprawa przeszła dwie fazy - odparł Somodevilla. - Pierwszą: planowania, i drugą: wykonania. Patrząc na to z tego punktu widzenia, inkwizycja stałaby po stronie wykonawców, a franciszkanie i jezuita, z Rávagiem jako głównym pomysłodawcą, poddali ideę. Ale nie tylko oni, gdyż zaangażowali

się w to także niektórzy przedstawiciele arystokracji. Zatem gdybym miał zastanowić się, kto jeszcze brał udział w tej sprawie, szukałbym tej osoby wśród ludzi, którzy zaliczali się do inspiratorów, a do tej pory jeszcze nie wychynęli. Z tych przychodzi mi na myśl jedynie rodzina królewska, jako że udział króla Ferdynanda oraz jego przyrodniego brata Cariosa był oczywisty. Potem pomyślałbym o sobie, ponieważ to głównie ja forsowałem ten pomysł w rządzie i odpowiadam za doprowadzenie go do końca.

W ciszy przesunął po wszystkich spojrzeniem, po czym ciągnął dalej:

- Uważam, że to mało prawdopodobne, by masoni znali nazwiska każdej osoby odpowiedzialnej za dekret, dlatego powinniśmy brać pod uwagę tylko tych, którzy są powszechnie znani. Nie szukajmy dalej: sądzę, że zaatakują albo monarchię, albo mnie samego.

Jego wniosek był tak niepokojący, że wszystkich ogarnął strach.

- Jeśli to prawda, to kto może ucieleśniać tak nieokreślone pojęcie jak piękno?

Pytanie to rzucił hrabia de Benavente, lecz wyrażało ono myśli wszystkich.

- Ja z pewnością nie! - zażartował markiz de la Ensenada, by rozluźnić atmosferę - a dowodem mój kawalerski stan. Już raczej szukałbym wśród rodziny królewskiej. Przede wszystkim pomyślałbym o królowej albo o jednej z jej zaufanych dam dworu.

- Albo jeszcze lepiej o kimś, kto łączy w sobie oba kręgi, kto stoi blisko monarchii i zarazem was samych.

Wszyscy utkwili spojrzenia w Trévelezie, chcąc dowiedzieć się, do czego zmierzał. - Masz na myśli kogoś konkretnego? - spytała Faustina.

- Ciebie, pani.

Jej mąż zaprotestował głośno, urażony tą impertynencją.

- Proszę mi wierzyć, że rozumiem wasze poruszenie i przykro mi, że muszę mówić wam o tym w ten sposób. Lecz jeśli na dworze króla Ferdynanda VI istnieje kobieta, która wybija się wśród wszystkich innych pod względem urody, to nie zaprzeczycie, że jest nią Faustina. Co więcej, łączy ją przyjaźń z wami, don Zenonem - wie o tym cały Madryt. Zastanówcie się dobrze, nie sądzę, bym się mylił. - Trévelez zwrócił się teraz do hrabiny: - Zorganizowałem wam już doskonałą ochronę złożoną z najlepszych ludzi, jakimi dysponuję.

Faustina pobladła przerażona pomysłem, że może paść kolejną ofiarą owych okrutników. Natychmiast pomyślała o swej nowo narodzonej córeczce, po czym odruchowo wyładowała strach w nerwowym płaczu.

- Joaquínie, to, co właśnie zrobiłeś, wydaje mi się wyjątkowo okrutne - stwierdziła bez ogródek Maria Emilia.

Podniosła się z krzesła, by pocieszyć przyjaciółkę. Hrabia uczynił to samo.

- Proszę wszystkich, byśmy nie mieszała sentymentów z rzeczywistością. Trévelez może mieć rację - zgodził się poważnie Ensenada. - Nie twierdzą, że był to najlepszy sposób przekazania tej wieści, ale sytuacja jest zbyt groźna, by owijać cokolwiek w bawełnę. Jeśli chodzi o podjęte środki, Trévelez może oczywiście liczyć na moje pełne wsparcie. Zawiadomię moich najbliższych współpracowników, by również mieli się na baczności. Muszę przyznać, że mam ich wielu, a wśród nich i takich, których małżonki są urodziwe.

- Dziękuję. Muszę dodać, że z całego serca liczę na to, iż zdołamy ich pochwycić, zanim czegokolwiek spróbują. Dlatego ufam, że cały ten nadzór pozostanie zaledwie przelotną niedogodnością.

Nagle Maria Emilia zwróciła uwagę na sprawę, której nikt jak na razie nie poruszył, i odezwała się na głos:

- Zanim pójdziesz dalej, a my wszyscy się z tobą zgodzimy, chciałabym o coś spytać.
- Wszyscy skierowali na nią zdziwione spojrzenia. W oczach Joaquina, który znał już trafność jej sądów, widać było szczególne zainteresowanie. - Czy zamach w pałacu Moncloa nie stanowi już dostatecznego przykładu ataku na Koronę oraz markiza de la Ensenada? - Przerwała na chwilę, po czym ciągnęła dalej: - Dlaczego do tej pory nikt o tym nie wspomniał, chociaż jest to oczywiste? - Jej oczy zaćmiły się łzami. - Czy koniecznie musimy myśleć o kolejnych ofiarach, skoro tamtej strasznej nocy było ich ponad dwanaście, wśród nich mój nieszczęsny syn?

- Ma całkowitą rację - poparła ją Faustina.

- Ja również tak sędzę - przyłączył się hrabia de Benavente.

- Zgadza się, że argument Marii Emilii jest dość rozsądny - powiedział Ensenada - lecz tak czy inaczej, najroztropniej będzie, jeśli nadal będziemy brali pod uwagę potencjalne ofiary, które wskazał nam Trévelez. - Joaquin gestem wyraził swoje poparcie. - Teraz zaś ważne jest to, by jak najwcześniej odnaleźć tych Anglików. Chcesz, bym pomógł ci w angielskiej ambasadzie? - zwrócił się do Tréveleza. - Skoro chodzi o ich poddanych, powinni nam pomóc...

Trévelez obawiał się, że zdołają wyczytać mu z twarzy wszystkie te szczególnie poczynania w ambasadzie, które musiał przed nimi ukryć. Zręcznie odbijając piłkę, przekreślił pytanie tak, by posłużyło jego interesom:

- Myślicie, że pomogą nam choć w najmniejszym stopniu?

- Masz rację. Po Anglikach niewiele można się spodziewać. Nie mówię, że Francuzi są o wiele lepsi, ale przynajmniej porozumienie między obiema rodzinami królewskimi jest

wciąż żywe, a z Francją mamy równowagę sił, której brak nam w stosunkach z Anglią. Ten ich intrygancki ambasador, Keene, tylko patrzy, jakby mi tu zaszkodzić. Nie ufam mu, tak samo jak rządowi, który reprezentuje. Przykładem niech będzie informacja, którą otrzymałem kilka dni temu o coraz większej liczbie angielskich okrętów, które gromadzą się podobno wokół naszych portów w Hawanie i w Cartagena de Indias. Wydałem naszej flocie rozkaz, by zachowywała najwyższą czujność, wzmocniła obronę i atakowała bez wahania, jeśli zauważy, że zbliżą się do naszych wybrzeży, albo jeśli dojdzie do jakichkolwiek konfliktów. Jeżeli nie powstrzymamy ich teraz, to znając Anglików, będą zyskiwać teren, dopóki nie wyprą nas z naszych kolonii.

- To może rozpętać wojnę. Czy król Ferdynand się na to zgadza? Znamy przecież jego mocne postanowienie utrzymania Hiszpanii w pokoju i na neutralnej pozycji - hrabia lękał się odpowiedzi, jeszcze zanim wyraził swoją wątpliwość.

- Jeszcze o tym nie wie i na razie wołę, by tak pozostało - powiedział Ensenada - gdyż moim jedynym celem jest zniechęcenie Anglików. Rozumiem, że król Jerzy nie zaryzykuje konfliktu z Hiszpanią w tym samym czasie, kiedy walczy z Francją. Wie, że gdyby to zrobił, stanęlibyśmy po stronie Francuzów.

- Ale przy tych tajnych rozkazach, które wydałeś stacjonującym tam ludziom, nie sądzisz, że łatwiej o hipotetyczny konflikt, jeśli ktoś nie podejdzie do nich z konieczną rozważą?

- Mam pełne zaufanie do moich podwładnych; będą wiedzieć, jak się zachować, drogi hrabio.

Trévelez pomyślał, że informacja ta mogłaby zainteresować ambasadora Keene'a i może wystarczyłaby do wymiany na nazwiska masonów, których pragnął natychmiast oddać pod sąd i skazać na śmierć.

Czyniąc coś takiego, zdradziłby Ensenadę, co wciąż byłoby czynem haniebnym. Czerpał jednak względną pociechę z myśli, że może nie przyniesie to Somodevilli aż tak wielkiej szkody, albo nawet wręcz przeciwnie. Podzielał awersję markiza do Anglii, jeśli zaś jego zdrada doprowadziłoby do większego spięcia z Anglikami, monarchia byłaby zmuszona zbliżyć się do Francji, czego ostatecznie pragnął Ensenada. Oczywiście sędzia nie mógł zaprzeczyć, że jego czyn wciąż byłby godny pogardy. Mógł jednak usprawiedliwiać go pozytywnymi skutkami i w ten sposób ulżyć sumieniu.



Twarz Beatriz nie wyglądała już na twarz szesnastoletniej dziewczyny; w ciągu zaledwie dwóch dni wstrząsająco się postarzała.

Amalia stała się jej jedynym połączeniem ze światem zewnętrznym, gdyż Beatriz postanowiła, że z nikim więcej nie będzie się widywać. Z wyjątkiem niektórych wizyt Faustyny, nikomu nie wolno było wchodzić do jej komnat, których nie opuściła od czasu przykrego zajścia u bram swego pałacu.

Co rano Cyganka budziła ją, ubierała i pomagała: przygotowywała jej posiłki, doglądała jej toalety, a nawet umiała do snu każdego wieczoru.

Beatriz prawie się nie odzywała. By przyciągnąć jej ospałe spojrzenie, Amalia musiała najpierw obalić bariery, które wydawały się jej nieprzeniknione - a jednak potrafiła wyczytać w tym milczeniu ukryty sens.

Tego wieczoru Beatriz poprosiła ją, by wyjęła ów tajemniczy obraz, który tak zazdrośnie ukrywała na swoich sztalugach.

Rozmieszała cztery odcienie bieli, po czym zabrała się do zaznaczania pędzelkiem chmur, które zakłóciły jednolity błękit nieba na rzecz większego realizmu.

Tym razem Amalia mogła za jej pozwoleniem przyjrzeć się malowidłu dokładniej. Podziwiała finezję pociągnięć, ekspresywność twarzy kobiety podczas jej męczeństwa, ogromną wrażliwość jej spojrzenia, które zdawało się wychodzić poza obraz.

- Podziwiam pani talent, ale dlaczego nie namalowała pani twarzy tym trzem mężczyznom?

Beatriz nie odpowiedziała. Nabrała odrobinę farby olejnej w kolorze kremowym i rozprowadziła ją po jednej z chmur.

- Błagam, niech pani do mnie przemówi! Pani milczenie rani mi duszę.

- Nie mogę ich jeszcze namalować, Amalio. Zrobię to potem, kiedy ich poznam.

- Nie rozumiem...

- Zrozumiesz, jeśli mi pomożesz.

- W czym mam pani pomóc?

- Święty Cyprian zginął u boku świętej Justyny. Na tym obrazie widać tylko ją, lecz w rzeczywistości ta śmierć wyglądała zupełnie inaczej. Przed nawróceniem się na chrześcijaństwo, Cyprian był cieszącym się dużą sławą magiem w Antiochii. Wszyscy widzieli w jego mocy siłę i wpływy jakiejś diabelskiej istoty. Rozpraszał chmury, by odpędzić deszcz, nie dopuszczał ciężarnych kobiet do porodu i rozganiał ryby, by nie można było ich złowić. Posiadał wyraźną władzę nad złymi duchami, które ku zdziwieniu wszystkich wypełniały jego rozkazy. Jego zaklęcia i czary zadziwiały każdego, a nikt nie wiedział, że jego moc pochodziła z paktu, który zawarł z upadłym aniołem.

Amalia nie widziała związku ze swym pytaniem, lecz zadowalała się samym faktem, że znowu słyszy głos Beatriz, który od czasu fatalnego starcia z jej ojcem zdążyła już niemal zapomnieć.

- Cyprian usiłował zapanować nad świętą Justyną za pomocą uroków i zaklęć, by pozyskać jej miłość dla pewnego młodzieńca, który się do niej zalecał. Młodzieniec ów poprosił go o to, gdy odmówiła mu względów. Lecz świętą Justynę chronił krzyż i Cyprian niczego nie osiągnął: żaden czar nie miał wpływu na tę kobietę. Wtedy zły duch przemówił do Cypriana i wyjaśnił mu, że jego sposoby nie odnosiły skutku z powodu opieki, którą Bóg otaczał Justynę poprzez krzyż. Wtedy Cyprian odwrócił się od szatana i zwrócił ku innej potędze, mocniejszej od wszystkiego. I nawrócił się na chrześcijaństwo z ręki tej świętej kobiety.

- Nie rozumiem, co to wszystko ma z panią wspólnego...

- Moja matka miała na imię Justina - oznajmiła Beatriz. Postanowiła wyjaśnić służącej wszystko. Nadszedł moment, gdy Amalia miała poznać całą prawdę.

- Zginęła w taki sam sposób, jak święta, a ja byłam tego świadkiem, jak w swoim czasie Cyprian był świadkiem męczeństwa Justyny. Któregoś dnia zło weszło także we mnie, tak jak to uczyniło z magiem. Dlatego właśnie obraz ten wskazał mi drogę do odkupienia. A ty mi pomożesz...

- Zrobię, co będzie pani chciała, choć zupełnie tego nie rozumiem.

- Mogę w takim razie liczyć na twoje całkowite oddanie i wierność, i że nie będziesz dyskutować, o cokolwiek bym cię poprosiła?

- Tak - odparła Amalia zdecydowanie.

- Chcesz pomóc mi w pozbyciu się zła z naszego życia raz na zawsze?

- Tak, ale nie wiem, w jaki sposób.

- Dzięki pewnemu talizmanowi. Jeszcze zobaczysz. Od dzisiaj zaczniemy realizować plan, który na zawsze odmieni nasze życie.

- Jestem gotowa.

- W takim razie zaczynajmy. A teraz wyciągnij do mnie rękę...

◆◆◆

Tego popołudnia po obiedzie u hrabiostwa Trévelez zgłosił się na jedno z tradycyjnych już spotkań z Rávagiem. Jak zawsze, było ono pozbawione serdeczności ze względu na jadowite docinki spowiednika i przebiegało w atmosferze pełnej nieufności.

Tym razem jezuita skarcił sędziego za śmierć zakonnicy, próbując obarczyć go winą za jej zgon, jak również za każde następne morderstwo - przyczyną miało być to, co jezuita bez ogródek nazwał Jawną nieudolnością” Tréveleza.

Jedyne, co przyciągnęło jego uwagę i wzbudziło pewną aprobatę, to flirt z żoną ambasadora, choć tu także Rávago zarzucił sędziemu, że za mało się starał. Na ten właśnie temat zadawał pytania, żądając wszystkich szczegółów. Ucieszył się na wieść, iż po naradzie Joaquín miał znowu zobaczyć się z Catherine, by od nowa walczyć o jej względy.

Wysłuchał również - z mniejszą uwagą, lecz także z pewną ciekawością - wniosków, do których doszedł Trévelez po odkryciu na zwłokach inkwizytora gwiazdy płomienistej, o której kiedyś słyszał, choć nie wiedział o jej ogromnym znaczeniu dla masonów.

Na krótko przed zapadnięciem zmroku Joaquín wyruszył konno z pałacu Buen Retiro w kierunku angielskiej ambasady. W jego pamięci rozbrzmiewały ostatnie słowa królewskiego spowiednika: „Wielu ludzi sądzi,- że prawdy powinno się szukać w ludzkim rozumie, i jeszcze piszą o tym dzieła, zwłaszcza we Francji i Niemczech. Nie przyjmują do wiadomości, że to nasza święta wiara powinna kierować moralnym postępowaniem i czynami człowieka, gdyż nie są one efektem rozumowania i przynależą do innej sfery: do sfery wiary. Odrzucają oni wszystko, co nie wypływa z logiki i rozumowania. Uważam masonów, z ich nieczystymi planami, za głównych propagatorów tej nowej filozofii, bardziej heretyckiej od pozostałych, z którymi musieliśmy się do tej pory mierzyć. Dlatego właśnie wydalenie ich z naszego kraju było tak ważne, a zatrzymanie tych morderców ma wręcz kluczowe znaczenie: ich ukaranie posłuży jako nauczka dla wszystkich ludzi, których pociąga ich fałszywy pozór dobroci. Gdy dowiedziałem się od pana, jak ważne jest znaczenie tej gwiazdy jako symbolu władzy, którą chcą przyznać rozumowi, moje uprzednie przeczucia się potwierdziły. Już wcześniej poleciłem panu złapać ich w jakikolwiek sposób, posługując się jakimikolwiek środkami, które uzna pan za konieczne, łącznie z utratą pańskiego honoru czy nawet mojego - teraz zaś żądam tego. Odnajdźcie ich, złapcie, zabijcie. Trzeba ich zniszczyć od podstaw”.



Kolacja z Catherine w ambasadzie przeszła od początkowego banału do zaintrygowania przy deserze, gdy kobieta zaproponowała mały przedsmak wiadomości, jeśli dla odmiany Trévelez odpłaciłby się jakąś sprawą państwową, która miałaby dla Anglii dostateczną wartość.

Joaquín bez wahania wyjawiał jej zamiary, plany oraz rozkazy wydane przez Ensenadę przeciwko królewskiej flocie brytyjskiej, stacjonującej w pobliżu portów w Hawanie i Cartagena de las Indias, informując o możliwej akcji zbrojnej. Przekazał jej również

dokument, który zwalniał ambasadora Keene'a od wszelkiej odpowiedzialności, związku czy też powiązań z poszukiwanymi masonami.

Catherine zapamiętała każdy najmniejszy szczegół podanej przez niego informacji i stwierdziła, że jest ona wystarczająca dla dopełnienia umowy, którą zawarli.

- Byłam wczoraj w gabinecie męża i zdaje się, że znalazłam wśród jego papierów coś, co może być dla ciebie przydatne...

- Płonę z chęci, by dowiedzieć się, co to było.

- Jest to książka, w której zapisane są wszystkie wizyty złożone w tej ambasadzie. Nie mogłam porozmawiać z mężem, który, jak wiesz, nadal jest w podróży, lecz przyszło mi do głowy, by tam zajrzeć, i zdaje mi się, że mieliśmy szczęście. Sprawdziłam nazwiska, które zanotowano w dniu, o którym mówiliśmy. Zanotowano tam dwa - może to właśnie te osoby, których szukasz. Zapisałam je na kartce.

- Wspaniale! - przyklasnęła Trévelez jej działaniom. - Lecz nie zniosę oczekiwania, Catherine. Daj mi je jak najszybciej! - Nawet nie ukrywał swej niecierpliwości.

- Zbliź się, będziesz musiał na nie zasłużyć. - Catherine spojrzała na niego znacząco.

Joaquín bez wahania ucałował ją namiętnie, ona zaś zadrżała z radości. Sędzia miał w pamięci słowa Rávaga, który nalegał, by nie wahać się przed żadnym krokiem, nawet przed utratą honoru, jeśli będzie to konieczne do uzyskania cennych informacji.

Czuł obrzydzenie do siebie i głęboką odrazę do ambasadorowej, choć ukrywał to, jak mógł najlepiej.

Kiedy po zapadnięciu zmroku opuszczał ambasadę, w kieszeni jego płaszcza znajdowały się w końcu nazwiska obu masonów: Thomas Berry i Anthony Black. Catherine nie mogła podać mu żadnych dalszych informacji na ich temat, lecz obiecała uzupełnić je po powrocie męża.

Jego myśli wybiegły ku Marii Emilii, pełne wyrzutów sumienia. Nie był to koniec jego poświęceń z ambasadorową. Musiał zobaczyć się z nią jeszcze raz, tak bowiem uzgodnili wcześniej. Lecz gdy tylko się to, skończy, tłumaczył sobie, i jeśli Maria Emilia mu wybaczy, poprzysiągł, że poprosi ją o rękę.



Dwa dni później, kryjąc się w mroku nocy, dwie postaci w płaszczech przebiegły wzdłuż zewnętrznego muru, który otaczał pałac hrabiów de Valmojada.

W całkowitej ciszy intruzi wspięli się zręcznie w najbardziej dostępnym miejscu ogrodzenia, po czym opadli na twarde dywan trawy, który stłumił nieznaczny hałas.

Nadstawili uszu, by upewnić się, czy nigdzie nie ma straży, lecz nie usłyszeli żadnych dźwięków poza przyciszonym echem jakichś głosów, które dobiegały z wnętrza stajni, kilka metrów po ich prawej stronie. Następnie rozejrzeli się, ale nie dostrzegli niczyjej obecności.

W jednym rogu zauważyli ukrytą ścieżkę z bitej ziemi, która łączyła ogrody z głównym budynkiem, otoczonym po bokach wąską linią artystycznie przyciętych żywopłotów o średniej wysokości. Pod ich osłoną mogli dostać się niepostrzeżenie do jednego z krańców budynku.

Jedynе światło, które świadczyło, że ktoś jeszcze nie spał - to w stajniach - zgasło. W ciągu kilku chwil ich źrenice przestawiły się na światło księżyca. W jego blasku ogród zmienił się, przybierając bardziej ponury wygląd. Upiększały go jedynie tysiące srebrzystych połysków, odbijających się na liściach drzew.

Zaczekali jeszcze kilka minut w całkowitym milczeniu, po czym ruszyli ścieżką w stronę rezydencji.

Zadanie nie należało do prostych, choć cel był bardzo konkretny: zabić hrabinę, kobietę zaledwie trzydziestoletnią i wyjątkowej urody, a do tego żonę hrabiego de Valmojada, jednego z zaufanych ludzi Ensenady.

Zanim dotarli chociażby do połowy ścieżki, intruzi zatrzymali się raptownie i rzucili na ziemię, zauważywszy niespodziewanie dwóch mężczyzn, którzy rozpoczęli rozmowę zaledwie kilka metrów od nich.

- Rzeczywiście pani mogła zawiadomić nas o tym wieczorem, a nie w środku nocy, jak to uczyniła.

- Masz całkowitą rację - wtrącił drugi. - Wiedziała, że skoro jej mąż wraca w przyszłym tygodniu z Rzymu, to nie będzie można skorzystać z drugiego powozu tak od razu. Ale w końcu wiemy, jak to jest: uparła się, że ma być zwarty i gotowy z samego rana, a skoro tak postanowiła, to nieważne, że wybiła już jedenasta w nocy.

- Kobiety... - Mężczyzna kopnął jakiś kamyk, który upadł o kilka centymetrów od ich kryjówki.

- Zostawmy już ten temat i chodźmy spać, i tak jest wystarczająco późno.

Gdy tylko odeszli i dał się słyszeć trzask drzwi, które prowadziły do kwater służby, napastnicy podnieśli się i ruszyli dalej, aż dotarli do końca żywopłotu. Od ścian budynku dzieliło ich jakieś piętnaście metrów.

Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które pociągał za sobą ten manewr, jako że byli teraz na widoku, przebiegli z największą ostrożnością do rogu pałacu. Następnie pokonali

krótki dystans, dopóki nie znaleźli okna na poziomie ziemi, które wydało im się dostatecznie łatwe do sforsowania i zapewniało doskonały dostęp do wnętrza.

Po krótkim pchnięciu otworzyło się bez kłopotu i dwaj intruzi weszli do środka. Przez kilka sekund stali bez ruchu, dopóki nie oswoili się z panującym we wnętrzu mrokiem. Potem zorientowali się, że trafili do małego pomieszczenia służącego za spiżarnię. Idąc do jedynych drzwi klitki nie byli w stanie wyminąć zwisających szynek i kilkakrotnie na nie wpadli.

- Cieszę się, że hrabiego nie ma, będzie o wiele łatwiej. Masz sztylet?

- Tak. Mam nadzieję, że nie będzie potrzeby z niego korzystać, dopóki nie znajdziemy hrabiny.

- Spokojnie. Pójdziemy bez pośpiechu i z najwyższą ostrożnością. Musimy znaleźć jakieś schody, które zaprowadzą nas na pierwsze piętro; tam powinny znajdować się sypialnie hrabiostwa, jak we wszystkich arystokratycznych domach.

Otworzyli bezgłośnie drzwi, a widząc, że za nimi rozciąga się w obie strony korytarz, postanowili ruszyć nim ostrożnie w jednym kierunku.

Korytarz ów był oddzielony arkadą od przestronnego holu, w którym po lewej stronie wznosiły się wspaniałe schody z marmuru, przykryte miękkim wełnianym chodnikiem.

Rozejrzawszy się po holu i różnych przejściach, które z niego wychodziły, mordercy udali się na pierwsze piętro. Chodnik dokładnie tłumił odgłos ich kroków.

Nie było żadnych wątpliwości, które z drzwi prowadziły do sypialni hrabiny - widać to było po framugach i listwach, różniących się wyraźnie od pozostałych drzwi na piętrze.

Zdołali otworzyć je i wejść do środka w całkowitej ciszy, zdając sobie sprawę, że był to najbardziej ryzykowny moment. Jakakolwiek nieuwaga czy potknięcie, które zakłóciłoby lekki sen damy, mogło postawić na nogi cały pałac.

Stanęli u stóp szerokiego łóża, z którego dobiegał rytmiczny i głęboki oddech hrabiny, popatrzyli na siebie i szeptem uzgodnili, co robić:

- Podejdz z prawej strony i złap ją. Tylko zakryj jej dobrze usta i dopilnuj, żeby się nie ruszała, postaraj się o to ze wszystkich sił. Ja z lewej odszukam klatkę piersiową i wbiję jej sztylet w serce. Umrze natychmiast, ale nie możemy dopuścić, żeby nam się przedtem wyrwała.

- Zaczynamy więc, nie traćmy więcej czasu. Hrabina przebudziła się zaskoczona, czując jakąś dłoń na ustach i inne, które przyciskały ją do materaca. Otworzywszy oczy, nie mogła niczego zobaczyć, lecz po obu stronach wyczuła obecność dwóch osób, a na koszuli nocnej poczuła dotyk palców, szukających jej piersi. Na próżno próbowała krzyżeć. Szarpnęła się raptownie, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, lecz cieniste postaci w

ogóle nie pozwalały jej się ruszyć. Poczwała, jak jej pierś przebija śmiertelne ostrze, jak wsuwa się między żebra i wbija głęboko, aż w końcu przeniknął ją ostateczny, dojmujący ból. Pełna przerażenia wiedziała, że życie z niej uchodzi, lecz nie rozumiała dlaczego. Spojrzała na obie postaci, szukając jakiejś odpowiedzi, lecz zdołała dostrzec jedynie wątpliwy refleks światła w ich oczach, zimny i kalkulujący, pozbawiony wszelkiej litości.

Śmierć przyszła szybko. Gdy hrabina przestała się szarpać, zabójcy wyciągnęli sztylet i nazaczyli nim symbole na obu jej dłoniach, po czym odwrócili je do góry i rozłożyli szeroko ramiona kobiety.

Zanim opuścili sypialnię, doprowadzili wszystko do porządku: ułożyli włosy hrabiny na poduszce, poprawili koszulę, by całkowicie zakryć swą ofiarę, złączyli jej stopy i włożyli sztylet w tę samą ranę, która ją zabiła.

Następnie opuścili dom, pilnując jak najstaranniej, by nikt ich nie zauważył. Przedostali się na ulicę i pod osłoną pustej nocy zaczęli opowiadać sobie nawzajem wrażenia:

- Wciąż czuję słodki smak zemsty, który ogarnął mnie, kiedy leżała przyszpilona na łóżku, a moje ramiona przytrzymywały ją w ostatnich chwilach walki o życie - powiedziała jedna z postaci.

- Dane nam było odetchnąć powietrzem, w którym unosił się jej ostami dech, zanim zastygła w śmierci. Oddała nam swoje siły. Żałuję tylko, że nie można było zobaczyć wyrazu jej twarzy, gdy umierała...

Budynek sądu domu i dworu. Madryt. Rok 1751

1 października

Za każdym razem, gdy sędzia Trévelez odczytywał jakiś wyrok, na jego szczupłym i surowym obliczu malowało się szczególne skupienie: był to zawsze najważniejszy moment.

Tym razem przed trybunałem stał mężczyzna w średnim wieku, o sposobie bycia i wyglądzie nieokrzesanym, z miną zbyt wyniosłą jak na poważną sytuację, w której się znajdował. Najwyraźniej niezbyt go interesował wyrok, który właśnie odczytywał mu sędzia domu i dworu.

Po tym, jak udowodniono delikwentowi udział w napadzie i zabójstwie, którego dokonano w prestiżowym madryckim sklepie jubilerskim, Trévelezowi pozostało jedynie publicznie poświadczyć przestępstwo i podyktować wyrok. Co też uczynił.

Gdy tylko skończył, spojrzał na skazańca z pogardą, zganiał go za nieodpowiedzialne zachowanie podczas odczytywania wyroku - które oscylowało między kpiącym a błazeńskim - po czym nakazał strażnikom, by natychmiast go wyprowadzili.

Gdy go zabierali, pomyślał sobie, jakich absurdów mogło sięgnąć ludzkie postępowanie. Ten przestępca był w stanie kpić sobie z ramienia prawa, choć właśnie skazano go na dwieście batów, pięć lat więzienia i kolejne dziesięć na galerach - inni zaś gięli się w ukłonach i błagali o łaskę za mniejsze wykroczenia i o wiele lżejsze kary.

Mimo to Trévelez był dumny ze swego urzędu, nie tylko dlatego, że miał możliwość uwalniać społeczeństwo od pewnych szkodliwych osobników, gdyż tak właśnie ich postrzegał, lecz również z powodu niezaprzeczalnej przyjemności, jakiej przysparzało mu poczucie władzy, korzystanie z autorytetu.

Stuknięciem młotka uznał sesję za zakończoną i pospiesznie skierował się do swego gabinetu.

Kiedy już się w nim znalazł i uwolnił z togi, znowu ujrzał się takim jak zawsze, jakim naprawdę był, z dala od uroczystego wizerunku w trybunale sprawiedliwości.

Nie wiedząc czemu, zaczął dokonywać podsumowania własnego życia. Miał czterdzieści lat, a za sobą najróżniejsze doświadczenia i próby. Sądził więc, że dobrze już znał samego siebie, zwłaszcza swoje wady.

Jeśli nawet chełpił się zażartością, jaką zawsze przejawiał w pracy, to nie czynił tego w stosunku do innych aspektów swego życia. Gdy przychodziło do usprawiedliwiania własnych braków, stawał się pobłażliwy, lecz jeśli inni nie wypełniali swoich obowiązków, potrafił być porywczy. Nigdy nie tolerował ludzi, którzy krzywdzili lub przyprawiali innych o ból, a jednak teraz wyrozumiale podchodził do własnej nielojalności i zdrady. Gdy zaś musiał zmierzyć się z jakąś trudną sytuacją, działał w sposób niekonsekwentny, skupiając się bardziej na możliwych zyskach niż na przestrzeganiu zasad, takich jak honor, przyjaźń czy przyzwoitość.

Rozmyślał o tym wszystkim w samotności swego gabinetu, gdy wtem opadło go wspomnienie nikczemnego związku, jaki utrzymywał z Catherine, lekceważąc swoją miłość do Marii Emilii. Pomyślał też o zdradzie swego przyjaciela Ensenady, kiedy ujawnił tajemnicę państwową takiemu spiskowcowi, jakim był ambasador Anglii.

Rozmyślając nad tymi błędami, poczuł się niegodny jako człowiek i jako sędzia. W gruncie rzeczy miał się za zwykłego oszusta: oszukiwał i siebie, i tych wszystkich, którzy szczerze go cenili.

Wyrzuty sumienia zeszyły jednak na drugi plan, gdy jego sekretarz otworzył drzwi i zawiadomił, że zjawił się gość, którego sędzia oczekiwał.

Mowa była o kapitanie Voemerze z gwardii królewskiej, którego Trévelez wezwał pilnie, by porozmawiać o ostatnim zabójstwie popełnionym przez masonów.

- Dziękuję, że tak szybko się pan stawiał. - Sędzia uściśnął rękę wojskowego, natychmiast dostrzegając, że był on wyraźnie zirytowany. - Proszę wejść do gabinetu. Wyjaśnię powody, które zmusiły mnie do wezwania pana tutaj.

Zaczekał, aż Voemer usiadzie, po czym przeszedł na drugą stronę biurka.

- Wie pan, że zazwyczaj brak mi czasu - powiedział kwaśno kapitan. - Mam nadzieję, że powody te okażą się wystarczające, by pana usprawiedliwić. - To śmiałe zachowanie miało na celu wypróbowanie Tréveleza.

Sędzia spojrzał na niego niedbale.

- Pozostawię to pańskiej ocenie. Pańscy przyjaciele znowu zabili, tym razem hrabinę de Valmojada. Spodziewam się, że zupełnie pana to nie obchodzi...

Podjeżdżał, że przyczyną zbrodni była po prostu zemsta za to, że mąż kobiety szpiegował masonów, lecz nie uznał za stosowne tego ujawnić, biorąc pod uwagę członkostwo kapitana w bractwie oraz brak zaufania, jaki do niego żywił.

- Nie wiem, czemu mi pan to mówi ani jakich przyjaciół ma pan na myśli... - stwierdził Voemer. - Może Timbria i Silería Herediów? - Jeśli chodziło o Cyganów, których obarczył winą podczas poprzedniej rozmowy z Trévelezem, to miał wielką nowinę, której sędzia z pewnością nie znał.

- Dobrze pan wie, że mam na myśli nie ich, lecz pańskich braci masonów.

- Widzę, że jest pan tego zupełnie pewien. A może wie pan już nawet, kim oni są? Przyznali się w pańskiej obecności? - Będąc w posiadaniu nowych informacji, które zamierzał w odpowiedniej chwili wykorzystać, kapitan daleko się teraz posuwał. Wyobrażał sobie bowiem, że sędzia nie odnosił żadnych rezultatów na froncie masonskim.

- Mógłbym do tego doprowadzić, gdyby pomógł mi pan zdobyć ich adres. Z pewnością nie stanowiłoby to dla pana problemu - odparł Trévelez.

- Proszę mi podać ich nazwiska, zrobię to z ochotą - mówiąc to, kapitan spojrzał na niego wyniośle, oczekując, że Trévelez przyzna się do porażki.

- Anthony Black i Thomas Berry! - powiedział Joaquín stanowczo. - Niech mi pan o nich opowie!

Voemer oniemiał - osaczono go, podczas gdy on spodziewał się czegoś zupełnie innego. Znał powierzchownie obu Anglików, lecz nie wiedział, gdzie mieszkali. Nie chciał nawet dowiedzieć się, w jaki sposób Trévelez ich odkrył, uznał, że nadszedł moment na odzyskanie kontroli nad sytuacją.

- Właśnie dziś rano - oświadczył - poinformowano mnie, że obaj Cyganie Heredia zostali pojmani dwa dni temu w Medina del Campo, jak również, że przyznali się do

odpowiedzialności za eksplozję w pałacu Moncloa. Rozkazałem, aby przewieziono ich do Mądrym, by sam pan mógł kontynuować ich przesłuchania, dopóki nie przyznają się do reszty zbrodni. - Uśmiechnął się z satysfakcją, widząc, jak cios trafia do celu.

- Wspaniała wiadomość. - Trévelez potarł brodę. - Lecz dał mi pan tym samym ostateczny dowód: nie mogli oni popełnić zbrodni na hrabinie de Valmojada, a podejrzewam, że i pozostałych również. Zatem proszę mi wreszcie powiedzieć, co wie pan o tych Anglikach.

Kapitan pluł sobie w brodę za swoją głupotę: nie wziął pod uwagę tego szczegółu. Nie miał teraz żadnego wyjścia.

- Ale potwierdza pan mój immunitet, który zaproponował mi pan przy poprzednim spotkaniu? - upewnił się.

- Ma pan moje słowo, o ile udowodni mi pan, że postępuje z honorem.

- Słabo ich znam, widziałem ich tylko na kilku spotkaniach naszej łązy. Lecz choć ledwo z nimi rozmawiałem, wiem, że Wilmore posługiwał się nimi przy różnych akcjach, powiedzmy, delikatnej natury. Odniosłem wrażenie, że są to niebezpieczni, zimni, twardzi jak stal ludzie, zdecydowani wykonać każde zadanie.

- Nie całkiem wierzę w pańskie słowa ani w te rzekome informacje, ale ofiaruję panu możliwość rozwiania moich wątpliwości: proszę mi powiedzieć, gdzie mogę ich znaleźć!

- Nie wiem, gdzie mieszkają, może mi pan wierzyć, ale podam ich opisy swoim ludziom, by natychmiast rozpoczęli poszukiwania. Mam nadzieję, że pan to rozumie. Choć należę do stowarzyszenia, to ważniejsze informacje były daleko poza moim zasięgiem. Tak naprawdę wstąpiłem do masonerii, by ułatwić sobie zdobycie pewnych wpływów, kontaktów - nic więcej. Kiedy mnie już przyjęto, zdałem sobie sprawę, że dopóki nie dostaniesz się na wyższe stopnie, pokazują ci jedynie dobrotliwą stronę bractwa, lecz istnieje w nim także drugi, znacznie bardziej utajony poziom - i sędzę, że o wiele mroczniejszy. To tam właśnie podejmuje się decyzje o ostatecznych celach i o tym, których członków wykorzystać do ich osiągnięcia.

- I o morderstwach, jak sędzę. Takich jak to, które zmusiło nas dziś do rozmowy. - Trévelez zaczynał przyznawać, że w słowach kapitana znać było pewną szczerość.

- Proszę opowiedzieć więc o szczegółach tego ostatniego zajścia: spróbuję pomóc w miarę możliwości.

- Hrabina została zabita we własnym łóżku. Znalazłem jej ciało leżące twarzą do góry, z rozłożonymi ramionami i wbitym w serce sztyletem. Nie rozwodząc się już nad pomniejszych szczegółami, które nie mają znaczenia, moją uwagę przyciągnęły jeszcze dwie

rany na jej dłoniach, obie w kształcie odwróconego krzyża. - Trévelez nie odrywał od kapitana wzroku, by nie przegapić nawet mrugnięcia okiem. - Po raz kolejny - ciągnął - pańscy przyjaciele pozostawili po sobie ślad, lub raczej ślady...

Fakt, że sędzia ciągle łączył go z zabójcami, mocno niepokoił Voemera.

- Co pan ma na myśli?

- Pierwszym śladem jest doskonały porządek, jaki po sobie zostawili: włosy ułożone równo na poduszce, porządnie zapięta koszula, niepognieciona i zaciągnięta pościel, wyprostowana pozycja z obydwojma ramionami pod identycznym kątem względem korpusu. Wyglądało to raczej tak, jakby hrabina zmarła śmiercią naturalną, we śnie.

- Pozbawili ją jakiejś części ciała jak pozostałych? - spytał Voemer, zastanawiając się nad znaczeniem tych wszystkich szczegółów.

- Tym razem nic... I to właśnie jest kolejny z detali, nad którymi powinniśmy się zastanowić - odparł Trévelez.

- Te rany na jej rękach mogłyby znaczyć... - Kapitan spojrzał na własne dłonie, wyobrażając sobie na nich dwa odwrócone krzyże.

- Proszę mówić.

- Tego znaku używa się na tak zwanych czarnych mszach. Dla wyznawców Lucyfera oznacza on wyrzeczenie się Jezusa Chrystusa.

- Może i tak... - Trévelez potarł podbródek. - I jej ramiona rozpostarte były na kształt krzyża. Co to wszystko dla was znaczy?

- Jak mówiłem, nie wiem, jakie ceremonie odprawia się na tych najwyższych stopniach wolnomularstwa, lecz zawsze podejrzewałem, że pod szacunkiem, którym rzekomo masoni darzą wszystkie religie, kryje się głęboka nienawiść do nich, a przede wszystkim do katolicyzmu. Nie byłoby więc dziwne, gdyby dokonywali jakichś tajemnych rytuałów, może właśnie satanistycznych, gdzie drwi się z zasad religijnych.

- Po tym, jak objaśnił mi pan symbolikę gwiazdy płomienistej na piersi inkwizytora, zdołałem dopasować cztery z morderstw do jej kolejnych znaczeń. Miłosierdzie, siła i mądrość odpowiadają zabójstwu jezuita Castro, księcia de Llanes oraz inkwizytora Świętego Oficjum, cnota zaś - franciszkańskiej zakonnicy zabitej kilka dni temu. Brakowało piękna, lecz po zabójstwie hrabiny de Valmojada sądzę, że możemy je uznać za odhaczone.

- Czy pańskim zdaniem wybór tej nowej ofiary ma jakieś uzasadnienie? - W obliczu tego toku rozumowania kapitan Voemer musiał uznać bystrość sędziego.

- Owszem - odparł Trévelez. - Zarówno ona, jak i jej mąż, byli wiernymi zausznikami i przyjaciółmi markiza de la Ensenada, podobnie jak większość pozostałych ofiar. Mówiąc

konkretniej, hrabia był prawą ręką markiza podczas wielu kampanii wojennych i razem z hrabiostwem de la Mina oraz de Benavente należy do nielicznej grupy arystokracji, która całkowicie go popierała. Sądzę więc, że - nie wykluczając innych ciemnych motywów - owi dwaj masoni pragnęli ugodzić w Somodeville poprzez zabójstwo jednej z najbliższych mu osób i przyjaciół: właśnie hrabiny. A może wybrali ją tylko ze względu na nieobecność małżonka.

- Zgadzam się z pańską analizą, lecz spójrzmy na to również z innego punktu widzenia. Jak pan dobrze wie, symbole mają dla masonów ogromne znaczenie. Poprzez rozmyślania nad nimi każdy mason próbuje utrwalić w swym umyśle idee, które potem pomogą mu dotrzeć do innych, głębszych prawd.

- Do czego pan zmierza? Nie nadążam - przerwał mu Trévelez.

- Staram się zrozumieć, jakie jeszcze znaczenie mogą mieć te znaki na jej dłoniach, rana zadana w serce, czy przemyślnie ułożenie włosów i ciała, gdyż z pewnością coś to wszystko oznacza.

- Proszę spróbować to zrobić: tylko pan ma tę przewagę, że zna ich od środka.

Voemer chciał udowodnić, jak wielkie było jego pragnienie współpracy z Trévelezem, choćby musiał w tym celu ujawnić tajemnice, których przysięgał strzec podczas inicjacji. Po krótkiej chwili powiedział:

- Masoneria dąży do tego, by zniszczyć wielkie dogmaty przeszłości i doprowadzić do stanu, w którym postępowaniem człowieka będzie kierować jedynie rozum. Myślę, że tu właśnie powinniśmy szukać odpowiedzi. Dla Kościoła krzyż - poza tym, że stanowi jego główny symbol - reprezentuje nowy ład, ustanowiony przez Chrystusa dzięki jego męczeńskiej śmierci. Masoni natomiast chcą właśnie zniszczyć obecną równowagę sił.

Wziął pióro i zaczął rysować różne odwrócone krzyże, nie przerywając wywodu.

- Proszę nie patrzeć na nich jedynie jak na niebezpiecznych szaleńców. Ci dwaj masoni działają z o wiele bardziej skomplikowanych pobudek. We wszystkich ich zabójstwach, oczywiście hrabiny de Valmojada również, pozostawili świadectwo tego, jakie naprawdę jest ich pojęcie ładu, podkreślając to przez układanie zwłok w niezwykle kompozycje. - Tu Voemer westchnął. - Za pomocą tych odwróconych krzyży - ciągnął dalej - demonstrują pogardę dla tego, co reprezentuje wiara. Włosy zaś, rozpuszczone i zaczesane na zewnątrz, mają moim zdaniem wskazywać, gdzie człowiek powinien szukać prawdziwego piękna: w czystym rozumowaniu.

- Ciekawe i wiele wyjaśniające, kapitanie. Jednak zbyt długo już rozmawiamy o tych ukrytych znaczeniach, szatańskich symbolach, makabrycznych rytuałach i filozoficznych

motywach owych ludzi, podczas gdy w gruncie rzeczy nie zmienia to tego, czym oni są: żalonymi kreaturami. Moim zdaniem jedyne, co powinno nas w tej chwili interesować, to to, w jaki sposób najszybciej umieścić ich za kratkami i skazać na śmierć.

- Rozumiem. Natychmiast się za to zabiorę. Sprowadzę ich żywych lub martwych, i to szybciej, niż się pan spodziewa. Będzie to najlepszy dowód mojego zobowiązania wobec pana, jako zapłaty za pańską pobłażliwość.



Na szczęście dla Anthony'ego Blacka i Thomasa Berry'ego zasada pomocy, jaką winni byli sobie bracia ze wspólnej loży, nadal działała, pomimo ostrych prześladowań, które wszyscy członkowie bractwa cierpieli ze strony inkwizycji i oddziałów królewskich.

Dowiedziawszy się z ust jakiegoś sąsiada, że od kilku dni gwardia przeszukiwała wszystkie bez wyjątku domy w centrum Mądrym, łatwo mogli się domyślić, o co chodziło, dlatego też na jakiś czas opuścili swoje mieszkanie z zamiarem powrotu, gdy tylko zakończy się inspekcja dzielnicy.

Chronili się u różnych braci, nie zatrzymując się w żadnym domu na dłużej niż dwa dni, aż w końcu trafili do obecnego lokum, należącego do znanego w Madrycie literata, który ukrył ich w swych piwnicach na czas dłuższy niż inni.

Siedząc przed kominkiem przy topornym drewnianym stole, w kuchni owego brata erudyty, obaj Anglicy rozmawiali o planach dokończenia zadania, które zlecił im Wilmore.

- Hrabina de Benavente będzie końcem naszej pracy. Potem wrócimy do mieszkania po nasze rzeczy i uciekniemy do Anglii, żeby rozpocząć tam nowe życie. - Anthony dziobał łyżką w filizance herbaty, by wyłowić z niej cukier, który nie zdołał się rozpuścić.

- Dość mam Hiszpanów i tego kraju - stwierdził stanowczo Thomas. - Tęsknię do naszych zielonych pejzaży i nawet do czarnego dymu z londyńskich zakładów. - Splunął z gniewem na podłogę. - Chciałbym znowu popróbować prawdziwej herbaty, a nie tego naparu, który smakuje jak trawa i słoma!

- Przestań już pleść i skup się wreszcie na zadaniu, które przed nami stoi. Wszystkie środki ostrożności, które stosowaliśmy do tej pory podczas akcji, na nic się nam zdadzą przy tej hrabinie. Widzieliśmy już, jaką potężną ochronę ma poza pałacem, a w środku zapewne jest tak samo. Skoro ta droga wydaje się zamknięta, powinniśmy wymyślić, jak dobrać się do niej w jakimś miejscu publicznym, na którejś z fet albo w jej powozie, jeśli chcemy mieć choćby najmniejszą szansę, by się z nią rozprawić.

- Coś mi przyszło do głowy. Ta kobieta z pewnością jest pobożną chrześcijanką, a zatem powinna codziennie chodzić na mszę. Nigdy nie sprawdzaliśmy, co robi tak wcześnie z rana. Właśnie wtedy powinniśmy znaleźć moment, kiedy będzie najbardziej bezbronna.

- Masz rację, Thomasie. Zaczniemy już jutro! Anthony marzył, by pochwycić hrabinę. Miała być nie tylko ostatnią z ich ofiar, dzięki której mogli doprowadzić misję do końca - ponadto chciał również złożyć z niej wspaniałą ofiarę swemu uwielbianemu władcy ciemności. Wiedział, że była to najpiękniejsza z kobiet Mądrym - stanowiła zatem najlepszy hołd, jaki mógłby mu ofiarować. Jej rozpostarte ciało utworzyłoby gwiazdę płomienistą, w każdym czubku zaś Anthony rozłożyłby organy, które usuwał poprzednim ofiarom.

Ożywił się na samą myśl o krwi owej szlachetnej damy, mieszającej się z tymi wszystkimi resztkami w czasie ostatniej ceremonii, podczas której miał wezwać najwyższe moce ciemności i w ich obliczu wypowiedzieć po trzykroć tajemne słowo.



Szron, którym pokryły trawę pierwsze jesienne przymrozki, trzeszczał pod stopami orszaku, który odprowadzał trumnę hrabiny de Valmojada, doñi Asunción Robles, do mauzoleum na cmentarzu San Isidro.

Podążało za nią wielu ludzi o zaspanych twarzach: niektórzy byli zmęczeni ze względu na długie czuwanie razem z mężem zmarłej, teraz już wdowcem, inni zaś z powodu wczesnej godziny, o której odbywał się pogrzeb - wybiła bowiem siódma rano drugiego października - na wyraźne życzenie wstrząśniętego hrabiego de Valmojada, który dowiedział się o wszystkim po powrocie z Rzymu, niemal tydzień po zabójstwie, przez co dalsza zwłoka w pochowaniu ciała była niemożliwa.

Szlachetne nazwisko hrabiny, jak i jej bliskie kontakty z najwyższymi sferami, przyciągnęły większość madryckiej arystokracji oraz dużą część klasy rządzącej. Co prawda nie przybył król Ferdynand, który przez ostatnie dni skarżył się na kłopoty żołądkowe, lecz za to stawiła się królowa Barbara, do tego w rygorystycznej żałobie. U jej boku stało dwóch głównych ministrów rządu, Ensenada i Carvajal, z tyłu zaś spowiednik Rávago.

Za nimi podążali grandowie Hiszpanii, usiłujący zachować odpowiedni protokół, który ledwo co udało się ustalić, jeszcze dalej zaś członkowie jakichś osiemdziesięciu szlacheckich rodzin, które rezydowały w Madrycie.

Przybyło także hrabiostwo de Benavente, by pożegnać po chrześcijańsku jedną ze swych najbliższych przyjaciółek. Towarzyszyła im ich córka, Beatriz.

Orszaku pilnował oddział gwardii walońskiej i jeszcze jeden - gwardii królewskiej, z chorągwiami i flagami spuszczoneymi do połowy wysokości na znak szacunku dla żałobników i hołdu dla zmarłej.

Trévelez zajęty był bezpieczeństwem konduktu pogrzebowego, więc Maria Emilia przyjechała w pojedynkę i przyłączyła się do grupki przyjaciół.

Gdy wzięła pod ramię Beatriz, której nie widziała od czasu, gdy tamta straciła dziecko, opadły ją wspomnienia pogrzebu Braulia. Znowu poczuła ten sam ból. Wystarczyło tylko spojrzenie, by obie kobiety poznały, że skrywają te same uczucia i sekrety. Łączyła je miłość i zrozumienie tak namacalne, że nawet milczenie nie było w stanie go zakłócić.

Beatriz miała na sobie surowy czarny strój przez co wydawała się sporo starsza. Ostatnie nieszczęścia sprawiły, że w jej oczach zabrakło tak charakterystycznego kiedyś blasku.

Maria Emilia również się zmieniła. Od czasu, gdy mieszkała w Kadyksie, jej życie pełne było na przemian nieszczęść i nadziei. Po śmierci jej męża w La Carraca zjawił się cenny powód, by pogodzić się ze światem: Braulio. Potem nastąpiła jego brutalna śmierć, a razem z nią rozkwitła nowa miłość - Trévelez.

Do niedawna Maria wyglądała, jakby była w stanie przetrwać niemal wszystko, lecz strata wnuka przepełniła kielich goryczy. Z jej twarzy znikła słodycz, która była kiedyś jej najbardziej pociągającą cechą.

Pogrzeb prowadziło trzech księży. Podczas gdy ich łacińskie modły rozbrzmiewały wśród wielkiego kręgu zgromadzonych.

Maria Emilia nachyliła się do Beatriz i zaczęła z nią szeptem krótką rozmowę.

- Wciąż o tym rozmyślasz, prawda?

- Wcale - odparła tamta, nie zwracając na nią większej uwagi.

- Nie rozumiem cię. Jak to możliwe?

- Mario Emilio, w tej chwili istnieje dla mnie tylko teraźniejszość. Nie sięgam myślą w przyszłość, ani do jutra, ani do następnego tygodnia, a tym bardziej następnego roku. Żyję wyłącznie chwilą obecną.

- Rozumiem. Ja również niewiele się spodziewam po przyszłości. Każdego dnia widzę, że mogę osiągnąć szczęście, tylko przysparzając go innym.

- Ja nie odczuwam tego w ten sposób. Właściwie nie postrzegam już świata tak samo jak przedtem. Moje priorytety uległy zmianie: żyję tylko dla jednego celu, jasnego i pobudzającego, w którym kryje się wielka moc.

Maria spojrzała na dziewczynę z niepokojem. Nie rozumiała jej, lecz tłumaczyła sobie te oświadczenia, przypisując ich niezwykłość ostatniej tragedii. Spróbowała zmienić temat.

- Znałaś hrabinę?

- Bardzo słabo. Bardziej ze słyszenia niż z tych krótkich chwil, kiedy się z nią widziałam, mimo iż była bliską przyjaciółką rodziny de Benavente i mojej matki, zanim jeszcze wyszła ona za męża.

- To straszna i zarazem tajemnicza śmierć.

- Nie wiem, co się wydarzyło.

- Wbili jej sztylet w serce, gdy spała. A do tego naznaczyli jej na dłoniach symbole, które wyglądają na dzieło samego szatana.

- O jakich symbolach mówisz? - spytała Beatriz.

- O dwóch odwróconych krzyżach: jest to znak Lucyfera.

- Albo krzyż świętego Bartłomieja - stwierdziła bez namysłu dziewczyna.

Księża dali znak sześciu grabarzom, by spuścić trumnę do grobu. Skropili ją odrobiną wody święconej, mamrocząc ostatnie błogosławieństwa na drogę w mrok, na wieczny odpoczynek.

Po zakończeniu ceremonii żałobnicy ustawili się w długą kolejkę, by złożyć hrabiemu kondolencje. Maria Emilia, nie mając ochoty dopełniać tej formalności, odciągnęła Beatriz na bok z zamiarem wypymania o znaczenie jej ostatniej uwagi.

- Dlaczego powiedziałaś, że może chodzić o krzyż świętego Bartłomieja? - Popatrzyła na nią zaintrygowana. - Co to za krzyż?

- Święty Bartłomiej był jednym z dwunastu apostołów. Zwali go również Natanaelem. To o nim właśnie Jezus powiedział: „Oto prawdziwy Izraelita, w którym nie ma podstępów”. Nazywał się Natanael Bar-Tolmai, syn Tolomaja, czyli syn oracza.

- Ale skąd ty o tym wiesz? - Maria Emilia nie posiadała się ze zdumienia.

- Z pewnej książki. Wielkiej księgi, największej spośród wszystkich: *Martyrologii*.

- Nigdy o niej nie słyszałam. - Maria przełknęła dwukrotnie, by zwilżyć wyschnięte gardło.

- To książka o żywotach świętych i męczenników. Opowiedziano w niej życie i apostołstwo świętego Bartłomieja w pogańskich krainach Wschodu oraz w Indiach, dokąd podobno dotarł. Został zabity na ziemiach perskich przez zarządcę Albanopolis za to, że sprzeciwiał się idolom, które tam czczono.

Zadali mu śmierć na dwa sposoby: obdarli go żywcem ze skóry, po czym ukrzyżowali głową w dół. Dlatego właśnie jego krzyż jest rysowany w tej pozycji, a kiedy powiedziałaś mi o hrabinie, natychmiast przyszło mi to do głowy.

- Miałam to szczęście, że mogłam trochę pomóc mojemu Trevezowi w odczytaniu dziwnych symboli, które pojawiły się podczas tamtych strasznych zbrodni popełnionych w Madrycie - powiedziała znowu Maria Emilia. - Podejrzewa się, że są one dziełem bardzo niebezpiecznych masonów, o których zapewne coś już słyszałaś.

- Tak, ale niewiele.

- Za długo by to teraz tłumaczyć, ale sądzimy, że każde zabójstwo było zaplanowanym rytuałem, noszącym niemal znamiona satanizmu. Wiemy, że masoni odprawiają w swych lożach głęboko symboliczne ceremonie, które częściowo odpowiadają temu, co spotkało ofiary. Dlatego uznaliśmy, że dwa krzyże mają podobne znaczenie. Oczywiście nikomu nie przyszło na myśl spojrzeć na nie z twojego punktu widzenia.

- Nie mówię, że mam rację, po prostu nagle mi się to przypomniało.

- Krzyż świętego Bartłomieja... - Maria Emilia zastanawiała się przez kilka sekund, po czym powiedziała na głos: - Co krzyż męczennika mógłby oznaczać dla obłąkanych morderców?

- Nie wiem, Mario - odparła Beatriz. - Żeby to zrozumieć, musiałabyś wejść do ich umysłów. Lecz jeśli w coś ci to pomoże, to dowiedziałam się, że przez kilka wieków w różnych miejscach ludzie znaczyli sobie takie krzyże na rękach jako amulet, który miał ochronić ich przed działaniem złych sił.

- To mi pachnie przesądem.

- Owszem, ale czy nie powiedziałaś właśnie, że masoni mają zwyczaj posługiwać się wszelkiego rodzaju symbolami i odprawiać dziwne rytuały? Uznanie tych krzyży za jeszcze jeden z nich nie byłoby chyba pozbawione sensu, jeśli biedna hrabina rzeczywiście miała je na rękach.

- Z pewnością... Porozmawiam o tym z Joaquinem - mówiąc to, Maria Emilia spojrzała na Beatriz niespokojnie. Rozmawiały o masonach, dziewczyna zaś podobno nie wiedziała, iż jej ojciec był jednym z nich i że to właśnie stało się przyczyną śmierci jego i jej matki.

Naturalność, z jaką wygłaszała swoje uwagi, nie dawała podstaw do przypuszczeń, że było inaczej, lecz mimo wszystko Maria poczuła niepokój. Nie całkiem rozumiała, jakie motywy pchnęły Beatriz do tego, by zgłębiała tak niezwykłą wiedzę, zupełnie nielicującą z jej

młodym wiekiem. Tak czy inaczej, gratulowała sobie pomysłu, by porozmawiać z nią o morderstwie, pozwoliło jej to bowiem nadać tym krzyżom zupełnie nowe znaczenie.

- Wiesz coś jeszcze o świętym Bartłomieju lub jego symbolu, co mogłoby okazać się ważne?

- Nie pamiętam zbyt wiele, ale sprawdzę to w mojej książce. Jeśli dowiem się czegoś nowego, natychmiast cię zawiadomię.

Podeszła do nich Faustina i skarciła Beatriz za jej mało subtelne zachowanie przy wszystkich obecnych.

- Chodź ze mną, proszę, i złóż hrabiemu wyrazy współczucia.

- Jak sobie życzysz. - Beatriz wzięła ją pod ramię i pożegnała się z Marią Emilią, puszczając do niej oko.



Od tragicznej straty hrabiny de Valmojada upłynął już tydzień, a jednak Faustina nie mogła ani na chwilę przestać o tym myśleć. Zamówiła w klasztorze Odrodzenia nowennę za duszę hrabiny i co rano udawała się do tamtejszej kaplicy, by wysłuchać pierwszej mszy, za jedyne towarzystwo mając dwanaście sióstr klauzurowych oraz kapłana.

Wciąż nosząc żalobę po przyjaciółce i ofiarując za nią szczerze modlitwy, na kolanach przeżywała z nabożeństwem moment konsekracji.

Podczas komunii przypomniała sobie dwa krzyże, które zabójcy nazaczyli na dłoniach hrabiny, po czym utkwiała wzrok w krucyfiksie, który wisiał w absydzie - pięknej rzeźbie z okolic Renu. Modliła się o pociechę dla hrabiego i miłosierdzie dla hrabiny, by Bóg przyjął ją do Swego królestwa.

Po zakończeniu mszy spędziła jeszcze kilka minut na modlitwie, po czym wyszła z kaplicy do czekających na nią przy powozie sługi i żołnierza.

Weszła do środka, nie dostrzegając dwóch mężczyzn, którzy śledzili ją już od kilku dni.

Rozkazała słudze, by ruszał, lecz nie było żadnej reakcji. Zawołała go po imieniu, lecz również nic nie usłyszała. Kiedy zaczęła otwierać drzwiczki, by sprawdzić, co się dzieje, jakiś mężczyzna wtargnął do środka, po czym gwałtownie zatkał jej usta. Wydał rozkaz i powóz ruszył z miejsca. Kątem oka Faustina ujrzała przez okno sługę, leżącego na ziemi z ciężką raną, oraz żołnierza z poderzniętym gardłem.

Spojrzała w oczy porywacza i wpadając w panikę zrozumiała, że mógł to być jeden z masonów. Szarpnęła się z furją, lecz mężczyzna był tak silny, że ją unieruchomił. Poczula na twarzy jego oddech, a w spojrzeniu widziała śmierć i nienawiść.

- Nie ruszaj się albo zginiesz od razu! - powiedział Anthony, gdy znowu spróbowała się wyrwać. Obserwował ją błękitnymi oczami, zadziwiony jej urodą. - Jesteś piękna, wiem, że spodobaś się mojemu panu. - Roześmiał się okrutnie. - Thomas! - krzyknął przez okienko. - Smagnij konie, musimy jak najszybciej zniknąć z ulic i dostać się do domu.

Sługa hrabiny de Benavente zobaczył, jak znikają w następnej uliczce, biegnącej na południe. Z wielkim trudem podniósł się z ziemi, zakrywając ręką wielką ranę w brzuchu, która krwawiła obficie. Kilku przechodniów podeszło, by mu pomóc, lecz on upierał się, że potrzeba mu jedynie transportu, który natychmiast zabierze go na plac de la Vega, do rezydencji jego pani.

Kilku ludzi podniosło go na furmankę jakiegoś handlarza, jednego z wielu, którzy przystanęli zaciekawieni zbiegowiskiem. Konie ruszyły z kopyta.

Wnętrznosci bolały sługę przy każdym wstrząsie; zdawało mu się, że z każdym wybojem ulatuje z niego część życia. Handlarz, który go wiozł, tak bardzo wziął sobie do serca zadanie, że przy którymś gwałtownym zakręcie sługa przestraszył się, iż zleci z wozu. Spojrzał z niepokojem na swoją ranę. Zdawało mu się, że między jej krawędziami dostrzeża kawałek jelita. Przeszywający, ostry ból sprawił, że na parę minut stracił przytomność.

Kiedy się przebudził, pochylało się nad nim kilka znajomych twarzy. Wszyscy zasypywali go pytaniami w potwornym napięciu. Był tam też hrabia oraz przyjaciółka i sąsiadka domu, Maria Emilia, która dowiedziawszy się o wszystkim, natychmiast posłała jednego ze swych ludzi, by zawiadomił Joaquina, a drugiego - by przekazał wieści Beatriz.

- Powiedz, co się stało, tylko szybko! - Głos należał do don Francisca de Borji, jego pana.

- Zabrało ją dwóch mężczyzn. Wyglądali na obcokrajowców... - Sługa odkaslnął mocno, rozdierany bólem. Po kilku sekundach odzyskał głos i spojrzał na hrabiego. - To było przy drzwiach klasztoru Odrodzenia, po mszy.

- Ale gdzie w takim razie była ochrona?

- Nie widzieliśmy, jak przyszli. Napadli na nas dokładnie w chwili, gdy wsiadaliśmy do powozu, akurat odwróciliśmy się plecami. Żołnierza zabili od razu, mnie też chcieli, tyle że im się nie udało. Wszystko potoczyło się tak szybko...

- Zabierzcie go natychmiast do jego pokoju. Posłaliśmy już po lekarza, wkrótce tu będzie.

Francisco odwrócił się do Marii Emilii. Zastanawiał się, co robić. Oboje mieli na twarzach identyczny wyraz udręki, lecz byli zdecydowani wziąć aktywny udział w poszukiwaniach.

Hrabia rozkazał, by osiodłano dwa konie. Postanowił znaleźć Tréveleza i zaproponować, by szukali Faustyny. Wiedzieli, że czas działa na ich niekorzyść i że mordercy nie zawahają się przed doprowadzeniem swych nieludzkich planów do końca.

Trévelez nie miał co do tego żadnych wątpliwości, gdy tylko powiadomiono go o wszystkim. Jedynym sposobem na ocalenie hrabiny, jeśli będą mieli szczęście i zdążą na czas, było udać się do ambasady angielskiej i wydobyć - za jakąkolwiek cenę - adresy obu masonów. Był pewien, że tam zdołają je odnaleźć.

Gdy tylko wyszedł z sądu, wpadł na swą ukochaną i męża Faustyny. Nie trzeba było wielu słów, by pojąć rozmiary ich niepokoju o losy porwanej.

Powiedział im, dokąd się udaje i po co, nie wyjaśniając, jak zamierzał tego dokonać. Francisco zaproponował, że pojedzie razem z nim, lecz sędzia nakazał, by oboje poczekał w jego gabinecie.



- Proszę natychmiast zawiadomić donę Catherine, że muszę się z nią zobaczyć. - Trévelez przebył drogę do ambasady z największą prędkością, do jakiej tylko był w stanie skłonić swego konia. Dotarł do bramy galopem, wzbudzając tym zdziwienie dwóch strażników, którzy jej strzegli. Zeskoczył z siodła i ruszył biegiem w ich stronę.

Zaprowadzili go do westybulu domu ambasadorostwa, gdzie Trévelez czekał na Catherine, krążąc nerwowo i zastanawiając się, jak wydobyć z niej to, czego potrzebował. Wiedział, że Benjamin Keene wrócił już z Anglii i że on sam będzie musiał nie tylko prosić Catherine o pomoc i liczyć na jej łaskawość, lecz także skłonić ją do pośpiechu.

Angielka pojawiła się z niezadowoloną miną i zbliżyła do niego, szepcząc mu do ucha:

- Mówiłam ci już, że mój mąż wrócił. Nie mogę się tu z tobą widzieć, będzie coś podejrzewał. Bądź tak miły i idź sobie... - Spróbowała popchnąć go w stronę wyjścia.

- Nie! - krzyknął Trévelez wyzywająco. - Przyszedłem po adres tych dwóch masonów.

- Dziś nie da rady, kochany mój. - Poglaskała go po policzku, upewniając się wprzód, że nikt tego nie widzi. - Benjamin jest teraz w swoim gabinecie, a tam właśnie znajduje się ta informacja.

- Więc powiedz mi, gdzie jest ten gabinet; sam ją zdobędę.

- Poczekaj, poczekaj... Skąd nagle ten pośpiech? Sama mogłabym to zrobić, ale tylko jeśli nie będziesz mnie zdręczać.

- Niecałe dwie godziny temu porwali moją przyjaciółkę, hrabinę de Benavente. Jestem przekonany, że ją zabiją, jeśli wcześniej jej nie odnajdę. Wiesz, co się stało z hrabiną de Valmojada ledwie ponad tydzień temu...

- Tak, słyszałam. Przykro mi, ale naprawdę nie mogę ci teraz pomóc. Mój mąż odbywa naradę ze współpracownikami, a nigdy nie pozwala, żeby mu przerywać. Jutro rano możemy się spotkać gdzie indziej, chociażby u ciebie. Mam nadzieję, że wtedy będę mogła podać ci tę informację. Spróbuję go przekonać dziś wieczorem: przekażę mu w zamian plany Ensenady, które mi wyjawiał.

- Niemożliwe! Jutro będzie za późno! Nalegam, to musi być teraz!

W obliczu impertynencji Tréveleza Catherine zaczęła się unosić.

- Najwyraźniej nie rozumiesz nic z tego, co do ciebie mówię... - Zrobiła nieprzyjemną minę.

- To ty chyba nie rozumiesz. - Chwytał ją za ramiona i wbił w nią spojrzenie. - Jeśli natychmiast tam nie pójdziesz i nie zdobędziesz dla mnie informacji, o którą cię proszę, zawiadomię go, jakiego rodzaju związek łączył nas za jego plecami, nie szczędząc żadnych szczegółów.

- To absolutnie oburzające. - Urażona jego obraźliwym zachowaniem, Catherine wymierzyła mu policzek, rozcinając lekko skórę.

- Sama zobaczysz: albo wrócisz tu zaraz z tym, czego chcę, albo ryzykujesz utratę honoru. Wierz mi, że to zrobię, w tej chwili nie obchodzą mnie konsekwencje.

Znowu spróbowała go spoliczkować, oburzona jego prostactwem. Tym razem Trévelez zdążył ją zatrzymać.

- Lepiej poświęć swoje siły na to, o co cię proszę, i wracaj szybko. Nie mam dziś cierpliwości.

Kobieta odeszła wściekła i zanim upłynęło piętnaście minut, powróciła ze skrawkiem złożonego papieru w rękach. Joaquín wyrwał go jej i szybko przeczytał.

- Mam nadzieję, że nigdy więcej się nie zobaczymy, sędzio Trévelez.

Joaquín odwrócił się do niej plecami i ruszył do wyjścia, ciesząc się, że nie będzie już musiał się z nią zadawać.

- Żegnaj, Catherine! - krzyknął tylko. - Na szczęście nie będę już zmuszony do udawania tego, czego nigdy do ciebie nie czułem.

◆◆◆

Ulice i aleje, które mijał galopem na koniu, przywodziły mu na myśl bezowocne wysiłki i zdrady, które wreszcie pozostawiał za sobą.

Wiatr zdawał się zabierać jedne i drugie, rozwiewając je za jego plecami, gdzieś w przeszłości. Albo tak przynajmniej Trévelez chciał na to patrzeć, wiedząc, że jest teraz nowym człowiekiem, dalekim wreszcie od brudnych intryg i komplikacji, w które musiał wdać się z żoną ambasadora, podczas gdy jego jedynym celem było wydobyć od niej ten adres.

Od czasu do czasu spoglądał na niektóre z mijanych dam i zdawało mu się, że we wszystkich rozpoznaje Marię Emilię, jakby jego zmysły nie były w stanie dostrzec niczego, co nie byłoby nią. Pomimo powagi sytuacji i konieczności zastanowienia się, jak rozwiązać sprawę Faustyny, pragnął jedynie ujrzeć swą ukochaną i zamknąć ją w ramionach, by wyrazić jej swoją najgłębszą miłość, toteż Maria Emilia zdziwiła się wylewnym powitaniem, jakim obdarzył ją po dotarciu do dziedzińca sądu, gdzie czekała na niego z hrabią i doborowym oddziałem ludzi.

Wszyscy zauważyli ranę na jego policzku, lecz odczytali w niej jedynie trudności, jakie musiał napotkać przy zdobywaniu informacji.

Trévelez przystanął na kilka chwil, by wyjaśnić podwładnym, jak zamierzał uwolnić hrabinę. Kamienica, w której prawdopodobnie ją przetrzymywali, miała numer dwieście osiemdziesiąt pięć i przylegała do pałacu hrabiego de Torrehermosa, do którego wchodziło się od ulicy Sauce, w pobliżu nowego klasztoru Salezjanek.

Ostrzegł ich, jak niezwykle groźni są obaj Anglicy, by żołnierze nie wahali się zabić porywaczy, lecz nie stwarzając przy tym zagrożenia dla życia porwanej.

Dwudziestu mężczyzn podążyło za nim ulicami Mądrym. Trochę dalej jechali Maria Emilia i hrabia, którzy nie dali się przekonać do tego, by czekać w gabinecie. Wysłuchawszy nieustających prośb, Trévelez musiał ulec ich życzeniu, pod warunkiem jednak, że obiecują trzymać się w rozsądnej odległości od kamienicy.

Budynek miał trzy piętra i wyglądał na dość zapuszczony w porównaniu z resztą sąsiadujących z nim domów. Przylegał ściana w ścianę do pałacu hrabiego de Torrehermosa.

Zostawili konie dwie przecznice dalej i ruszyli piechotą. Rozstawili się wokół budynku, chcąc uniemożliwić złoczyńcom ucieczkę. Trévelez przyjrzał się uważnie fasadzie i otoczeniu, po czym nakazał, by hrabia de Benavente i Maria Emilia schowali się w przejściu dla powozów przyległego pałacu, jako że było to najbezpieczniejsze i najbardziej dyskretne miejsce, jakie znalazł.

Uzbroił się w pistolet i wszedł do środka razem z dziesięcioma żołnierzami. Po jego lewej stronie zaczynały siębutwiejące drewniane schody, w których połowa stopni była zjedzona przez robaki, jeśli nie zupełnie przegniła. Wiedzieli, że trudno im będzie dostać się

do celu niepostrzeżenie, lecz mimo to poczęli wspinać się z największą ostrożnością i uwagą, dopóki nie dotarli na drugie piętro. Znajdowało się tam tylko jedno mieszkanie - to właśnie, do którego prowadziły dokładne wskazówki z ambasady.

Trévelez stanął pod drzwiami i sprawdził, czy wszyscy są na pozycjach, rozstawieni pod ścianami po obu stronach wejścia, by nie było ich widać. Rzucił im ostatnie ostrzegawcze spojrzenie, po czym mocno zapukał kołatką. Po kilku sekundach po drugiej stronie dały się słyszeć kroki, lecz nikt nie otworzył drzwi.

- Przynoszę wiadomość z ambasady. Proszę otworzyć, żebym mógł ją przekazać! - Trévelez przybrał lekko angielską intonację, aby brzmieć bardziej przekonująco.

- Wróćcie kiedy indziej. Teraz nie mogę was przyjąć... - Głos brzmiał słabo i nerwowo.

- Przysłała mnie ambasador Keene z wyraźnym poleceniem, byście otrzymali to jeszcze dzisiaj. To chyba coś pilnego.

Pomyślał, że samo nazwisko ambasadora zdoła wywrzeć jakiś efekt. Gdyby mężczyzna otworzył im drzwi, to mając po swojej stronie dodatkowo element zaskoczenia, mogliby go unieruchomić, nie dopuszczając do jakiegokolwiek reakcji z jego strony.

Wszyscy obserwowali wejście ze wstrzymanym oddechem i napiętymi mięśniami. Jeśli rozprawią się z Anglikiem w całkowitej ciszy, będą mieli szansę na znalezienie Faustyny żywej, lecz jeśli popełnią najmniejszy błąd, zawiadomią o swej obecności tego drugiego, co mogło mieć straszne skutki.

- Poczekać chwilę, już otwieram.

Kroki oddaliły się od drzwi i choć po chwili wróciły, to z powodu napięcia te kilka sekund ciągnęło się niczym godziny.

Trévelez poczuł w szyi ukłucie, będące efektem zeszywniałych mięśni.

Usłyszeli szcęk jednego zamka, potem drugiego. Drzwi skrzypnęły i zaczęły się otwierać. Po chwili stanęły na oścież, a za nimi pojawił się Thomas Berry, który zupełnie nie spodziewał się ludzkiej lawiny, jaka natychmiast na niego spadła.

Nie dając mu czasu na reakcję, żołnierze zdołali zakryć mu usta i unieruchomić za szyję, klatkę piersiową, głowę oraz nogi, trzymając go z taką siłą, że ledwo był w stanie oddychać, a jedyną częścią ciała, którą mógł poruszać z pewną swobodą, były oczy.

Miał na sobie dziwny, jednoczęściowy strój w kolorze czerwonym i fartuch z symbolami masonerii. Talię otaczał mu szeroki wełniany pas z siedmioma węzłami. Sprawdzili, czy nie ma przy sobie żadnego ostrego przedmiotu lub innego rodzaju broni, po

czym zostawili przy nim czterech żołnierzy, którzy pilnowali, by nawet nie drgnął. Do szyi przystawili mu dwa sztylety, gotowe do wbicia przy najmniejszym poruszeniu.

Skromny, czworoboczny przedpokój wychodził na trzy pary zamkniętych drzwi. Każde z nich mogły prowadzić do miejsca, gdzie trzymano Faustinę - albo do innych pomieszczeń.

Joaquín przystawił ucho do wszystkich po kolei, lecz tylko za środkowymi usłyszał jakiś dźwięk. Sześciu pozostałych ludzi ustawiło się za jego plecami w gotowości do działania. Uzbrojony w ostrą szpadę, Trévez otworzył drzwi zdecydowanym ruchem i znalazł się w obliczu najbardziej przerażającej sceny, jaką kiedykolwiek widział. W jednym końcu pokoju znajdowała się Faustina, z wyciągniętymi w górę ramionami i rozłożonymi nogami, całkowicie naga i przybita do ściany za wszystkie cztery członki. U jej stóp stał Anthony Black, który właśnie rozstawiał kilka kubków, aby zebrać wyciekającą z jej ran krew. Odwróciwszy do nich twarz, poderwał się szybko i przesunął spojrzeniem po podłodze, dopóki nie znalazł sztyletu. Rzucił się do niego i złapał, wydając z siebie wrzask, który ściął wszystkim krew w żyłach. Black spojrzał na Faustinę i skierował ostrze w jej serce w tej samej chwili, gdy Trévez zaczął biec w jego stronę. Stał między nimi i przyjął na własny brzuch cios skierowany w hrabinę, mając to szczęście, że nie wyrządził mu on wielkiej krzywdy. Anglik natomiast chwycił rękami ostrze szpady sędziego, która przebiła go na wylot, po czym upadł na podłogę. Dwóch żołnierzy przytrzymało go na wszelki wypadek, podczas gdy Joaquín razem z resztą pospiesznie sprawdzili, jak uwolnić Faustinę. Hrabina wciąż żyła, lecz straciła przytomność. Potężne gwoździe, które przebijały jej przeguby i stopy, ledwo drgnęły przy pierwszej próbie.

Trévez z obrzydzeniem odkrył, że każdy z ćwieków przytrzymał nie tylko jego przyjaciółkę, lecz również mocował organy zdobyte w czasie poprzednich zbrodni. Było tam na wpół zgniłe serce jezuita Castro, jądro i ucho oraz głowa nieszczęsnej zakonnicy, która wisiała z ostatniego gwoździa za włosy.

Faustina wyglądała na złamaną. Z jej zgnębionej twarzy zniknęła uroda: widać na niej było jedynie cień udręki i strachu. Joaquín rozkazał dwóm gwardzistom, żeby podtrzymali ją wyżej, aby jej własny ciężar nie zwiększał jeszcze bólu w rękach i stopach. Najwyraźniej sprawiło jej to taką ulgę, że nawet się ocknęła. Jej oczy, pełne strachu po zetknięciu z oprawcami, rozświeciły się, gdy napotkała niosące nadzieję spojrzenie swego przyjaciela Tréveza. U jego boku zauważyła też z zażenowaniem innych mężczyzn i poprosiła, by ją zakryli, dopóki nie zostanie zdjęta z tego rusztowania. Poprosiła również o odrobinę wody.

Trévez zanalizował skomplikowaną sytuację. Rozkazał jednemu z żołnierzy, by pobiegnął poszukać lekarza, innemu - by jak najszybciej znalazł jakieś porządne cęgi, trzeciemu zaś - by zawiadomił hrabiego oraz Marię Emilię i zawołał ich na górę. Choć domyślał się, jak wstrząśnie nimi ten widok, to wierzył też, że ich obecność na pewno pomoże Faustynie.

- Joaquín - powiedziała błagalnie kobieta - zdejmij jak najszybciej te odrażające szczątki, nie mogę już znieść tego potwornego smrodu.

Kiedy Trévez odcinał organy swoim sztyletem, ledwo mógł powstrzymać się od wymiotów. Nie był w stanie sobie wyobrazić, przez jakie piekło przeszła Faustina, i nie odważył się spytać, co jej zrobili, zanim powiesili ją w tak bolesnej pozycji. Gdy tylko skończył nieprzyjemne zadanie, spojrzął na nią z uczuciem i ujrzał przejrzysty strumyczek łez, które spływały z jej zielonych oczu. Poglądził ją po policzkach, prosząc, by była silna i cierpliwa.

Do pokoju wpadł biegiem mąż hrabiny, lecz stanął jak wryty. Ujrzał swoją żonę przybitą do ściany, pół metra nad podłogą, okrytą dużym białym prześcieradłem, które zasłaniało niemal całe jej ciało z wyjątkiem ramion. Cienki strumyczek na wpół zaschniętej krwi plamił ścianę pod każdą ręką. W jej oczach widać było straszłą trwogę, jaką przeżyła, w twarzy zaś - fizyczną udrękę.

Co jakiś czas jej ramiona drgały odruchowo w efekcie ostrych skurczów, które spinały jej mięśnie.

Po kilku sekundach pojawiła się Maria Emilia. Na widok tej sceny nie zdołała zdusić okrzyku przerażenia. Uczępiła się Joaquina, pytając, jak poważny jest stan jej przyjaciółki. Trévez odparł szeptem, że jeśli nie zdejmą jej w ciągu kilku minut, może skonać na miejscu. Czekali w strasznej ciszy na moment, kiedy będą mogli zrobić coś więcej niż tylko patrzeć. Słychać było jedynie dziwne bulgotanie w rytm zmęczonego oddechu Faustyny, które świadczyło o tym, iż należało bać się niebezpiecznego wylewu do płuc.

Zdzierając sobie skórę z dłoni, Francisco ze wszystkich sił próbował obluzować jeden z gwoździ, które przytrzymały stopy jego żony. Zdawało mu się, że ćwiek trochę ustępował, co zachęciło pozostałych, by pójść w jego ślady. Choć starali się nie dotykać otwartych ran Faustyny, zadanie okazało się niemal niemożliwe, a ich działania przysparzały tylko hrabinie straszego bólu.

Joaquín dzielił swoją uwagę między drzwi - w oczekiwaniu na niezbędne cęgi - a poczynania reszty obecnych przy Faustynie oraz przyglądanie się przedziwnemu strojowi masona. Tak samo jak ten przy drzwiach Black miał na sobie obfitą czerwoną szatę i fartuch,

na którego przodzie znajdował się rysunek gwiazdy płomienistej otoczonej dziwnymi symbolami, hebrajskimi literami, trójkątami, zwiniętymi węzami, oczami, wagami, kozłem.

Widząc martwego Anglika u swoich stóp, poczuł, jak przeszywa go od środka uczucie głębokiej satysfakcji: w końcu zdołał pokrzyżować plany tych degeneratów i dzięki temu Faustina nadal żyła.

Rozkazał, by wyniesiono zwłoki. W tym samym momencie pojawił się też żołnierz z ogromnymi cęgami, które znalazł w stajniach sąsiedniego pałacu.

Z pomocą dwóch mężczyzn zacisnęli ostre zęby narzędzia pod główką pierwszego gwoźdźca, chcąc go odciąć. Gdyby im się udało, mogliby potem ostrożnie zsunąć z ćwieków ręce i stopy Faustyny.

Pierwszy gwoździec zgiął się pod naciskiem cęgów i puścił przy drugim podejściu. Zajęli się trzema pozostałymi z równym powodzeniem, podczas gdy Trévelez i Francisco przytrzymywali Faustynę, by zdjąć ją, gdy tylko zostanie wyzwolona. Kiedy kończyli z ostatnim gwoździem, nadszedł lekarz. Natychmiast zorientował się w powadze sytuacji i rzucił się szykować pierwsze leki i powstrzymywać krwotok z ran kobiety.

Po chwili Faustina upadła w ramiona męża, który razem z Trévelezem i dwoma innymi złożył ją na miękkim łożu. Medyk natychmiast zabrał się do pracy, oceniwszy wpiery trudności hrabiny z oddychaniem. Oczyszczył jej rany i zakrył je czystą gazą, nasączoną olejem, który pomagał w zatrzymaniu krwawienia. Następnie opatrzył je z wierzchu i podał pacjentce napar na uśmierzanie bólu.

- Czy Beatriz wie cokolwiek o tym wszystkim? - spytała Faustina.

- Tak. Ale tylko o twoim porwaniu - odparła Maria Emilia.

- Biedactwo. Będzie się o mnie bardzo martwić. - Faustina spojrzała na swego męża. - Tylko myśl o naszych córkach, a zwłaszcza o naszym maleństwie, podtrzymywała mnie przy życiu. Nie mogłam sobie wyobrazić, że zostawię was samych.

- Nie mów już i odpoczywaj - poradził jej Trévelez. - Wkrótce zabierzemy cię do domu. Porozmawiamy o wszystkim, kiedy odzyskasz siły. Na szczęście to już koniec tego koszmaru.

- Zabiliście tego drugiego?

- To nie było konieczne. Powinien być teraz w drodze do lochów, i mam nadzieję, że w nich zgnije. Jeszcze dziś rozpocznę jego przesłuchania.

- Chciałabym zostać sama.

Lekarz wypchnął wszystkich za drzwi i wrócił do Faustyny. Zdjął prześcieradło, które zakrywało jej nagość, i zaczął badać resztę ciała. Natychmiast odkrył dziwne czerwone

punkciki, tworzące gwiazdę na jej podbrzuszu, jak również zadrapania na ramionach i kilka siniaków na udach.

- Nie byłam w stanie zobaczyć, co robili, ale czułam, jak wbijają mi w brzuch coś ostrego - powiedziała hrabina.

- Wygląda, jakby chcieli narysować jakąś gwiazdę. Nie wiem, co to może oznaczać... - Medyk nie dokończył zdania, lecz nagle przybrał zakłopotaną minę z powodu kolejnego pytania, które musiał jej zadać. - Z góry proszę o wybaczenie, pani, ale muszę wiedzieć, czy próbowali was zgwałcić.

- Jestem pewna, że by to zrobili, ale na szczęście uwolniono mnie na czas. Na chwilę przed tym, jak zjawiała się pomoc, jeden z nich wzywał samego szatana i ofiarował mu moje ciało, by je posiadał. To było straszne... - Faustina zakryła twarz i zaczęła szlochać.

- Myślcie o czymś innym. Już po wszystkim! - pocieszył ją lekarz. - Nie widzę żadnych innych poważnych obrażeń, polecę więc, by zabrano was do domu, abyś mogła odpocząć, pani. Tam szybciej zapomnicie o tym strasznym koszmarze.



Beatriz czekała na nich w ogrodach pałacu. Siedziała tam już od jakiegoś czasu, po czym wyszła na chwilę na ulicę. Kusiło ją nawet, by dosiąść konia i wyjść im na spotkanie, lecz tego nie zrobiła.

Słyszając odgłos kilku powozów zbliżających się do wrót pałacu, pobiegła do wejścia, by przekonać się, czy to oni.

Z drugiego powozu wychyliła się głowa hrabiego, który dał jej znać, że Faustina jest razem z nim. Beatriz ujrzała w jego twarzy mieszaninę spokoju i wyczerpania. Zbliżyła się do pojazdu i przebiegła obok niego kilka ostatnich metrów, które dzieliły ich od wejścia do pałacu.

- Co z matką?

- Bardzo zmęczona, ale mamy szczęście, że wciąż jest wśród nas. Gdybyśmy zjawili się chwilę później, znaleźlibyśmy ją martwą - mówiąc to, Francisco zadziwił się na widok dłoni Beatriz; były zabandażowane tak samo jak ręce Faustyny.

- Co ci się stało, córeczko?

- Nic wielkiego, ojciec. To tylko dla ochrony.

- Ochrony przed czym...?

Pałac księżąt de Lianes. Madryt. Rok 1751

5 października

Kapłan hrabiostwa de Benavente, ojciec Parejas, nie zdawał sobie sprawy, jak wiele ryzykował, schodząc za obiema kobietami po schodach prowadzących do wilgotnych piwniczek w podziemiach pałacu.

Dwa dni wcześniej Beatriz przesłała mu niosący nadzieję liścik, w którym prosiła o przybycie i duchową radę. Pisała w nim, że czuje potrzebę uwolnienia się od wielkiego ciężaru swych grzechów i jest zdecydowana pogodzić się z Bogiem oraz z nim samym, a przede wszystkim pragnie zatrzeć wspomnienie ich ostatniego spotkania, które do tej pory ją dręczyło.

Ksiądz przywitał ją serdecznie i pochwalił za mądre postanowienie, lecz następny gest wdzięczności ze strony Beatriz, która uparła się ofiarować mu kilka butelek wyśmienitego francuskiego wina, wydał mu się przesadą. Nie minęło przecież nawet pięć minut, odkąd wypowiadał ją w jej pokoju, a od przybycia do pałacu może jakieś dziesięć. Beatriz bez słowa upadła przed nim na kolana, by oczyścić swą duszę, a gdy tylko skończyli, natychmiast poprosiła, by zszedł z nią do piwnic.

- Niech ojciec uważa na ten ostatni ciąg schodów, są bardzo śliskie.

Parejas przytrzymał fałdy sutanny, by się o nią nie potknąć, kiedy schodził za dziewczyną.

- Amalio, pójdz przodem i zapal wszystkie lampy w korytarzu. - Beatriz przylgnęła do ściany, by przepuścić służącą. - Niemal pod całym pałacem znajdują się podziemia.

Niosła ze sobą zapaloną pochodnię, której zmienny płomień rzucał na wszystko drżące światło i wydzielał gęsty czarny dym lgnący do wszystkiego wokół - ścian i sufitu, a nawet ubrania, które wchłaniało woń nafty.

- Zaczniemy od tego pierwszego korytarza, który zaprowadzi nas do najstarszej galerii - za nią znajduje się jeszcze pięć, które mój mąż przez lata drażył w ziemi.

- Twoja decyzja nappełniła mnie radością, Beatriz. Jestem pewien, że czujesz się teraz o wiele lepiej, prawda?

- Oczywiście. Lecz potrzebuję od was jeszcze jednej rzeczy, by uznać swoją pokutę za skończoną.

Parejas nie zrozumiał, co chciała przez to powiedzieć, gdyż bardziej skupiał się na tym, by nie zagubić się w mrocznych tunelach, niż na szukaniu takich czy innych wyjaśnień jej słów.

Kiedy skręcili za róg, znaleźli się przed trzema przejściami, które otwierały się na kolejne trzy korytarze. Obrali środkowy.

Przez kilka minut szli wąskim tunelem, dopóki nie dotarli do dużej oświetlonej komnaty, w której czekała na nich Amalia. Pomieszczenie miało nierówną podłogę i pełne było drewnianych regałów z tysiącami butelek wina, które leżakowały na półkach.

- Jesteśmy na miejscu, ojcze. Jeśli chcecie, możemy usiąść przy tamtym stoliku i popробować kilka z najstarszych trunków, które tu przechowujemy. Potem możecie zabrać sobie butelkę tego, które będzie najbardziej wam smakowało. Podoba wam się taka propozycja?

- Zazwyczaj nie pijam zbyt wiele, lecz przyjmę to wino, by uczcić twój powrót na prostą drogę Pana. - Parejas usiadł przed nią na krześle i oparł ramiona na stole, na którym stało kilka kryształowych kielichów oraz ogromna, płonąca świeca.

Amalia zniknęła wśród dalszych rzędów półek i po chwili wróciła z czterema zakurzonymi butelkami. Odkorkowała pierwszą i nalała do dwóch kieliszków. Beatriz odczytała miejsce pochodzenia wina i rocznik zbiorów.

- Skosztujecie bordeaux z tysiąc siedemset czterdziestego drugiego, z piwnic wielmożnego barona de Grenoble. Myślę, że będziecie zadowoleni.

Oboje upili po dużym łyku i odczekali, by poczuć trunk na podniebieniu.

- Wyśmienite...! Jest bogate, lecz zarazem surowe. - Upił kolejny łyk, by odkryć dalsze odcienie bukciem.

- Zgodzicie się ze mną - powiedziała Beatriz - że to samo wino nie zawsze tak samo smakuje, ani na dłuższy czas, ani nawet przy drugim łyku. - Odstawiła swój kieliszek w rogu stolika i przysunęła kolejne dwa, prosząc Amalię o odkorkowanie kolejnej butelki. - Z ludźmi jest tak samo. Możemy prezentować światu pewne cechy, które kryją pod spodem coś innego, i często odkrywa się to dopiero po jakimś czasie, lub w określonych okolicznościach, jak w waszym przypadku... - Dała znak Amalii.

- Nie wiem, co masz na myśli, Beatriz - odparł ojciec Parejas. Nagle spostrzegł w jej przyjaznym spojrzeniu coś dziwnego.

- Pewne sprawy, o których rzekomo nie powinnam wiedzieć, lecz które jednak doszły moich uszu. Wiecie, o czym mówię?

- Nie jestem całkiem pewien... - kapłan zawahał się na kilka chwil, nie chcąc zakładać, że chodziło o donos na jej ojca.

- Wiecie, prawda?

Nagle zza pleców oplótł go gruby łańcuch, który przytrzymał go mocno na krześle. Parejas spróbował się wyrwać, lecz bez powodzenia.

- Co robicie? - wykrzyknął przestraszony.

- Odplacam za cały ból, którego mi przysporzyliście. - Beatriz wyciągnęła ostry sztylet i zdecydowanym ruchem przystawiła mu go do szyi. - Jeśli się ruszycie, będziecie martwi!

Amalia owinęła łańcuch jeszcze kilka razy, po czym napięła go z całej siły, dopóki nie upewniła się, że ksiądz jest całkowicie unieruchomiony.

- Pod koniec tego roku upłynie pięć lat, od kiedy złożyliście na mojego ojca donos w Świętym Oficjum. - Beatriz zaczęła krążyć dookoła stolika. - Pięć lat bez miłości, którą codziennie obdarzali mnie rodzice, i wszystko z waszej winy.

- Nigdy nie sądziliśmy, że tak to się skończy, a już na pewno, że twoją matkę spotka coś takiego. Justina była dobrą kobietą i nie zasługiwała na taki koniec...

- Nie szargajcie jej pamięci! - Spoliczkowała go z całej siły. - Nie pozwolę, żeby jej imię wypowiadały usta tak podłe i kłamliwe jak wasze.

Sprawdziła ostrze sztyletu i rozkazała Amalii, by mocno przytrzymała głowę Parejasa.

Bezgranicznie przerażony kapłan patrzył, jak ostre narzędzie zbliża się do jego czoła, i poczuł, jak rozcina mu skórę w dwóch prostopadłych liniach, które krzyżowały się na dole. Po jego nosie ściekł strumyczek krwi, który dotarł do jego brody i zaczął skapywać na sutannę.

- Niech ten krzyż świętego Bartłomieja usunie z was wszelkie złe myśli!

- Beatriz... moja mała, dlaczego mi to robisz? - Mężczyzna spojrział na nią łagodnie. - Nic z tego nie rozumiem, ani dlaczego posługujesz się tym krzyżem...

Beatriz i Amalia pokazały mu swoje ręce. Na dłoniach widać było czerwone blizny w kształcie odwróconego krzyża.

- Widzicie te znaki? Takie same nosiła na swym własnym ciele święta Justyna, dziewica i męczennica. Pomogły jej oprzeć się złemu duchowi. Nosimy je po to, by również nasze dusze uwolniły się całkowicie od waszego wpływu. Przedtem jednak wymierzmy sprawiedliwość przeklętym synom szatana, którzy popełnili w jego imię potworne grzechy tak jak wy. - Beatriz chwyciła za włosy kapłana i odchyliła mu głowę. - Odpowiadacie za zniszczenie mi życia, i zapłacicie za to.

- Jesteście kompletnie szalone. Jeśli nawet zgrzeszyłem mym donosem, to niech Bóg mnie za to pokarze - powiedział śmiało Parejas, nie ważąc swych słów i nie myśląc o konsekwencjach. - Nic nie daje wam mocy ani prawa, by o mnie decydować. Teraz wszystko rozumiem, Beatriz. Ściągnęłaś mnie tu kłamstwem o fałszywej spowiedzi, bez skruchy za wielki grzech, który popełniasz. Nie jesteś niczym więcej, jak tylko żywym wcieleniem nikczemności. Zostaw mnie w spokoju albo tego pożałujesz!

- Zamilknijcie już! - krzyknęła dziewczyna, zbliżając twarz na kilka centymetrów od niego. - Teraz muszę odebrać od was dług!

Ostry sztylet rozciął mu na pół obie wargi, po czym nakreślił kolejną, prostopadłą linię.

- Niech ten kolejny krzyż świętego Bartłomieja otworzy wasze usta na słowa prawości!

Amalia poprosiła swą panią o sztylet i zwróciła się ku księdzu. Duchowny zachowywał spokój, który zdawał się wręcz niestosowny dla niebezpiecznej sytuacji, w jakiej się znalazł. Zaczął modlić się na głos, prosząc o wybaczenie za swe grzechy i miłosierdzie boże, by uzdrowiło chore dusze obu kobiet.

Służąca rozcięła tkaninę jego odzienia od szyi aż po brzuch, po czym odsunęła ją na boki, by odsłonić mu pierś. Spojrzała na niego oczami, które bardziej przypominały oczy dzikiego zwierzęcia.

- Wiedźcie, że jestem Cyganką: pochodzę z tej przeklętej rasy, która wzbudza we wszystkich takie obrzydzenie. Z powodu krwi, która płynie w moich żyłach, byłam prześladowana, gwałcona, maltretowana, a także musiałam patrzeć, jak mych bliskich spotyka to samo, i jak giną niesprawiedliwie. My nie mamy żadnej religii, ale wiemy, że wasza jest fałszywa, skoro prowadzi was do takiej nienawiści, że pragnęliście nas wszystkich zniszczyć. Jakbyśmy byli psami. Przy mej pani Beatriz nauczyłam się smakować słodczy zemsty. Ona otworzyła mi oczy na moc sprawiedliwości, która sama z siebie dostarcza rozkoszy, równie prawdziwej jak wielkiej.

Zaczęła rozcinać mu skórę przez całą lewą pierś, po czym dokonała niżej kolejnego cięcia, które utworzyło kształt krzyża.

- Niech przez ten krzyż świętego Bartłomieja wasze serce otworzy się na dobro!

Obie zdawały się wręcz upojone swoim okrucieństwem. Śmiały się z kapłana, rozkoszowały jego bólem, jakby był to jakiś doskonały przysmak, i krzyczały, kiedy mężczyzna zdawał się na granicy omdlenia, nie dopuszczając, by choć na chwilę stracił przytomność.

Przesuwały palcami po jego ranach, po czym rysowały sobie krzyże na ramionach, twarzach i piersiach.

Ręka Beatriz, która trzymała sztylet, jeszcze raz się do niego zbliżyła. Parejas patrzył na nią z przerażeniem, prosząc Boga, by dał mu łaskę szybkiej śmierci.

- Uwolnimy was od waszych błędów poprzez tę samą mękę, jaką przeszła święta Justyna, taką jak ta, o którą przyprawiliście moją matkę. Zło opuści was poprzez krzyże, które

naznaczyłyśmy na waszej skórze - już nigdy się do niego nie zbliżycie. Lecz najpierw chcę, byście objawili przede mną swoją zdradę. - Beatriz dzierżyła sztylet jak opętana, znacząc kolejne krzyże na ciele księdza.

- Jesteście córkami szatana. - Duchowny nie mógł już znieść tego bólu i strachu. W końcu wybuchnął płaczem jak dziecko. - Skończcie już ze mną! Błagam was - wyjęczał, przerażony ich okrucieństwem.

- Spełnię wasze życzenie z przyjemnością, ale musicie odpowiedzieć na ostatnie pytanie: czy to Faustina powiedziała wam, żebyście złożyli ten donos?

Parejas zastanowił się nad strasznymi konsekwencjami, gdyby udzielił odpowiedzi twierdzącej, i postanowił milczeć.

- To milczenie jest dla mnie dostatecznym dowodem. Teraz jestem jeszcze bardziej przekonana ojej udziale. Zapłaci mi za to.

Kobiety spojrzały na siebie i przytrzymały obiema rękami sztylet, celując nim w serce kapłana. Wbijały mu go powoli, czując skurcze jego mięśni, jego gorącą krew na swych dłoniach, aż w końcu dotarły do głównego organu. Wepchnęły ostrze głębiej, jednym ruchem, i trzymały je tak, dopóki serce nie przestało bić.

Mężczyzna zmarł szybko, wydechając bąbelki powietrza zmieszanego z krwią i prosząc Boga, by przyjął go do swego królestwa.

Beatriz upadła na kolana, wzniosła ramiona do góry i spojrzała w jakiś nieokreślony punkt. Amalia natychmiast podążyła za nią.

- Matko, pomściłam twoją śmierć! Ojcze, ofiaruję ci to życie jako zapłatę za jego zdradę! Władco ciemności, spełniła się twoja wola i nasze serca radują się z tego. Matko i ojczy, na waszą pamiątkę złożę wam kolejną ofiarę: Faustinę. Przyczyniła się do waszej śmierci i nie mogę pozwolić, by nadal żyło w niej zło. Wyzwolę ją od niego poprzez śmierć, z pomocą świętego Bartłomieja.



Pozbyły się ciała, wpychając je z ogromnym wysiłkiem do beczki, w której na szczęście prawie nie było już wina.

Uzgodniły, że następnego dnia Amalia poprosi dwóch służących o pomoc, by przewieźć ją powozem i pozbyć się jej w jakimś zacisznym punkcie rzeki Manzanares, pod pretekstem, że trunek skwaśniał. Za pomocą szmat i wody pozbyły się wszelkich śladów krwi, które zdołały odnaleźć. Same również się wytarły. Razem z ciałem wepchnęły do beczki wszystko, co mogłoby przypominać o zajściu, po czym upewniły się, że jest dobrze zamknięta.

- Jestem z ciebie bardzo dumna, Amalio. Kiedy twoje ręce się poruszały, czułam, jakby należały do mnie, a gdy przesywałaś go wzrokiem na wskroś, widziałam w twych oczach siebie. Zdołałyśmy uwolnić świat od żalostnego osobnika. Jak się czujesz?

- Nie mogę zapomnieć, co pani zrobił mój ojciec. Tyle wam zawdzięczam, że gdyby mnie pani poprosiła, zrobiłabym to samo jeszcze sto razy. - Cyganka pogładziła Beatriz, usuwając z jej czoła resztki zaschniętej krwi. - Muszę jednak przyznać, że choć z początku kierowało mną posłuszeństwo, to nie jest już ono jedynym motywem, który rządzi moją wolą. Teraz moje oddanie temu pięknemu i szlachetnemu aktowi zemsty jest racjonalne, bezgraniczne i przyznaję, że także rozkoszne. Zrobię wszystko, czego pani ode mnie zażąda.

- Cieszę się, że tak mówisz. Pamiętasz ten obrazek, który maluję od jakiegoś czasu, prawda?

- Męczeństwo świętej Justyny takie samo, jak śmierć pani matki - odparła Amalia.

- Chcę przeżyć to jeszcze raz. Jutro wieczorem złożymy wizytę mej przybranej matce. Ze wszystkich katów, którzy mieli udział w tej zbrodni, nadałam twarze już dwóm: szlachcie - poprzez hrabinę de Valmojada, za jej bezpośrednie poparcie dla prześladowań masonerii, które doprowadziły do zatrzymania mego ojca, oraz Parejasowi - za jego donosicielstwo i przynależność do Kościoła, kolejnej instytucji, która przyczyniła się do dekretu o zakazie.

Muszę namalować jeszcze tylko jedną twarz: tę, która reprezentuje udział władzy, rządu, wpływów Ensenady. I musi to być twarz Faustyny, fałszywej matki, jaką od tamtej pory miałam, tej samej, która - jak właśnie się dowiedziałam - doprowadziła do donosu na mego ojca; która była obecna tamtej nocy u boku Somodevilli. - Beatriz wykonała ruch, jakby wbijała sobie sztylet w pierś. - Zginie tak samo jak moja matka i jak święta Justyna.



- Sądziliśmy, że po zatrzymaniu i śmierci masonów oraz ujęciu obu Cyganów owa seria wstrząsających morderstw dobiegnie końca, lecz niestety to nowe zajście dowodzi, jak bardzo byliśmy w błędzie.

Trévez przyglądał się w osłupieniu wnętrzu baryłki na wino, która wypłynęła na brzeg w zakolu rzeki Manzanares. Była z nim także Maria Emilia, której towarzyszył w zwyczajowym spacerze po Recoletos, kiedy zawiadomiono go o znalezisku.

- Thomasa Berry'ego zatrzymaliśmy niecały tydzień temu - powiedział, przypatrując się ciału uważniej - a sądząc po stanie, ten człowiek zmarł w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Rozkazał podwładnym, by wyjęli zwłoki z beczki. Ci we trójkę ostrożnie pociągnęli ofiarę za ramiona, by wyzwolić ją z drewnianego więzienia. Ciało napęczniało i wypychało ścianki tak bardzo, że znacznie utrudniało to całą operację.

Po wielu wysiłkach pojawił się nagi człowiek z ranami na całym ciele i jeszcze jedną, śmiertelną, na wysokości serca. Brud i opuchlizna na twarzy sprawiały, że jeszcze trudniej było go rozpoznać, lecz mimo wszystko twarz ta nie była Trévelezowi obca.

- Nie patrz na to, kochana wygląda potwornie!

Maria Emilia nie usłuchała go i utkwiała wzrok w ranach na głowie zmarłego.

- Joaquín, zwróciłeś uwagę na jego czoło albo na sposób, w jaki rozcięli mu wargi? Wygląda, jakby chcieli narysować na nim...

- Krzyż, tak - wszedł jej w słowo Trévelez. - Odwrócony krzyż. Ten sam symbol, który widniał na dłoniach hrabiny de Valmojada.

- A raczej wiele krzyży. Spójrz na jego stopy, pierś, ramiona. Rany są nieco zatarte od brudu, ale mam wrażenie, że wszystkie mają ten sam kształt.

Trévelez wysłał jednego z żołnierzy, by przyniósł wiadro wody z rzeki.

Za pomocą kija odwrócił dłonie nieboszczyka. Po ich wewnętrznych stronach odkryli kolejne dwa krzyże.

Maria Emilia przypomniała sobie rozmowę, którą odbyła z Beatriz na cmentarzu, podczas pogrzebu hrabiny de Valmojada.

- Teraz, kiedy o tym myślę, nie powiedziałam ci w końcu o dziwnej uwadze, którą poczyniła niedawno Beatriz. Po zatrzymaniu masonów myślałam, że wszystko skończone i że nie ma to już znaczenia, lecz teraz...

- Co masz na myśli?

Oblali ciało wodą, którą przyniósł żołnierz, i odsłoniło się sześć kolejnych nacięć.

- Słyszałeś kiedyś o krzyżu świętego Bartłomieja?

- Nie. Ale co to ma wspólnego z Beatriz?

- Podobno apostoł Bartłomiej został ukrzyżowany głową w dół, a także obdarty ze skóry. To właśnie ona mi o tym powiedziała, kiedy jeszcze zastanawialiśmy się nad znaczeniem krzyży u hrabiny. Przeczytała podobno w jakiejś książce, że w pierwszych wiekach chrześcijaństwa niektórzy ludzie znaczyli sobie takie krzyże na dłoniach, jakby były talizmanami, wierząc, że mają one jakąś moc, która odpędza diabła.

Słuchając jej, Joaquín wylał trochę więcej wody na głowę zmarłego. Spod błota wyłoniły się rysy, a wtedy natychmiast rozpoznali twarz ofiary.

- Toż to ojciec Parejas, kapelan hrabiów de Benavente! - wykrzyknął ze zdumieniem sędzia. - Znasz go?

- Przywitałam się z nim ledwie trzy czy cztery razy - odparła Maria Emilia - ale przywodzi mi to na myśl rozmowę z Ensenada, która go dotyczyła. Otóż powiedział mi on, że to właśnie Parejas podpisał przed Świętym Oficjum donos na jego pokojowca i zarazem ojca Beatriz, Antonia Rosillóna, oskarżonego potem o przynależność do masonerii. Joaquinie, chyba istnieje możliwość, że mamy do czynienia z kolejną masońską zemstą.

Nie powiedziała tego na głos, lecz wydało jej się niepokojące, że imię Beatriz już po raz drugi pojawiło się w tej rozmowie.

- Co to wszystko może znaczyć, skoro wiemy, że tamci dwaj masoni nie mogą być sprawcami tej zbrodni? - zastanowiła się. Również Trévelez nie przestawał zadawać sobie tego pytania, od kiedy zawiadomiono go o odkryciu.

- Może jest jeszcze jakiś trzeci albo nawet ktoś więcej. Mówię tak, bo po aresztowaniu Thomas Berry przyznał się do wszystkich zabójstw, poza zabójstwem hrabiny de Valmojada. W zeznaniu podał wiele szczegółów na tyle licznych i konkretnych, że nie było żadnych wątpliwości co do jego winy. Wygląda jednak na to, że nie kłamał, kiedy zapewniał mnie, że nie brał udziału w tamtym morderstwie.

- Chcesz powiedzieć, że możemy mieć do czynienia z inną grupą, która działała jednocześnie?

- To możliwe, Mario. Widać dość podobieństw między tą zbrodnią i zabójstwem, które ją poprzedziło. Jeśli dobrze się zastanowić, te dziwne krzyże nie pojawiły się we wcześniejszych morderstwach, i żadna z tych dwóch ofiar nie jest okaleczona, w odróżnieniu od wszystkich pozostałych. Myślę, że chodzi o kolejną szajkę masonów, która działa w inny sposób, lecz w tym samym celu: zabić tych, którzy ich prześladowali - jak w przypadku ojca Parejasa - albo którzy przyczynili się do zakazu ich działalności i później ich szpiegowali, jak to było z hrabią de Valmojada, któremu odebrali żonę.

- Powinniśmy udać się do Francisca i Faustyny i powiadomić ich, co się stało z ich kapłanem.

- Masz rację. Zaczekaj na mnie w powozie. Zanim odjedziemy, muszę omówić ostatnie szczegóły z moimi ludźmi.



Maria Emilia wspięła się po zboczach, które dzieliło ją od karocy, i wsiadła do środka. Zamknęła oczy, by przemyśleć zdarzenia. Za sprawą niepokojącego przypadku przypomniała

sobie nagłą śmierć swego przybranego syna Braulia oraz niepowstrzymane pragnienie zemsty, jakie wtedy poczuła.

Całymi dniami leżała na łożu, a jedyną jej myślą i pragnieniem, które dawało jakąkolwiek pociechę, była chęć uśmiercenia sprawców. W swojej wyobraźni poddawała ich potwornym torturom, rozkoszując się powolną agonią, upajając się ich bólem. W gruncie rzeczy podczas tamtych długich dni żałowała, że obrazy te istnieją tylko w jej umyśle, że nie mogła rzeczywiście poznać prawdziwego smaku zemsty.

Nie minęło pięć minut, zanim powrócił Joaquín. Natychmiast wydał rozkaz, by zawieziono ich do pałacu hrabiostwa de Benavente.

María Emilia nadal pogrążona była w swych rozmyślaniach. Gdy ją zagadnął, odparła enigmatycznym pytaniem:

- Czym jest dla ciebie zemsta?

Zaskoczony Trévez pomyślał, że niedawny widok nazbyt nią wstrząsnął.

- Złą reakcją na bolesne zdarzenie? - zaproponował.

- Nie odpowiadaj mi pytaniem na pytanie. Myślisz, że tylko tyle?

- Chyba tak. A co ty sądzisz?

- Że jest to najbardziej wyjątkowy i najgorszy rodzaj energii ze wszystkich, jakie człowiek jest w stanie wytworzyć. Przeżyłam to po śmierci Braulia i mogę cię zapewnić, że to uczucie pochłania ze szczętem. To najgorsza wymówka, jaką dysponują ludzie, by popełniać najstraszniejsze czyny. Jest całkowitym przeciwieństwem miłości. Ma w sobie tę samą moc i intensywność, lecz co innego stanowi dla niej pierwszy impuls. Dochodzę do wniosku, że zemsta jest najdoskonalszym obrazem zła, tak jak miłość jest najdoskonalszym obrazem dobra.

- Rozumiem cię, ale nie wiem, do czego zmierzasz - powiedział Joaquín, usiłując pojąć jej rozważania.

- Do kluczowego skojarzenia. Pragnienie, by własnymi rękami zadać śmierć tym, którzy pozbawili życia mojego syna i zniszczyli moje własne, stało się w którymś momencie tak silne, że nie zrobiłam tego wyłącznie z braku okazji.

- W podobnych przypadkach człowiek zwykle czuje taki ból, gniew spowodowany bezkarnością tego czynu... Świadomość, że nie można się cofnąć w czasie...

- To też, Joaquínie, lecz jest coś więcej. Poprzez zemstę wchodzi w ciebie zło i zaczyna nad tobą panować. Dla niego jest to tchnienie życia, ostateczna racja jego istnienia. Diabeł rozpoczął swą egzystencję od sprzeciwienia się woli Boga, w zemście za wygnanie z nieba. Tak napisano w Piśmie Świętym. Sądzę, że jeśli ta nikczemna istota rzeczywiście

istnieje, to ucieleśnia się w każdym człowieku, kiedy daje się on upoić tego rodzaju uczuciom. Zło jest ostatecznym sprawcą tej straszliwej energii, siłą, która przeważa nad ludzką wolą. Spojrzała na niego głęboko, z uczuciem.

- To właśnie działo się ze mną nie byłam w stanie poznać samej siebie. Zło okryło mnie swoim cieniem i nie potrafiłam dobyć ze swego serca jekiegokolwiek szlachetnego uczucia, gdyż ono mi na to nie pozwalało.

- Czyli podsumowując, chcesz powiedzieć, że oba te morderstwa zostały popełnione przez ludzi opętanych przez diabła? Chcesz znaleźć jakieś wytłumaczenie dla ich barbarzyństwa?

- Nie tylko, ale częściowo tak. - Chwyciła go za ręce i przyłożyła je do swoich policzków w zażyłym geście, pragnąc, by ją zrozumiał. - Znamy już główną rację, która pchnęła morderców do popełnienia tamtych wcześniejszych zbrodni: zemsta. Wybrali ludzi, których uznali za winnych zniszczenia ich bractwa. Dowodem ich perwersji zaś, ich owładnięcia przez szatana, było użycie różnych satanistycznych symboli. Lecz ta sprawa jest już zamknięta. Teraz musimy odkryć, kto stoi za dwoma ostatnimi morderstwami, albo jeszcze lepiej, kto mógł zebrać w sobie dostatecznie wielką potrzebę zemsty, by je popełnić.

- Więc moja teoria o kolejnej szajce masonów doskonale do tego pasuje.

- Powiesz pewnie, że jestem szalona, ale obawiam się, że nie. Właśnie zrozumiałam, kto może być prawdziwym sprawcą, i wierz mi, że chciałabym się mylić... - Objęła go, pragnąc jego opieki, jego ochrony.

- Kogo masz na myśli, Mario Emilio?

- Beatriz... - Spojrzała na niego, przerażona okrucieństwem własnych słów.

- Mam wrażenie, że źle się czujesz. Chyba to, co dziś widziałas, zbytnio tobą wstrząsnęło... - Trévelez pogłaskał ją z troską.

- To nieprawda. Czuję się zupełnie dobrze. Zastanów się przez chwilę: czyż nie ty sam zdefiniowałeś właśnie zemstę jako złą reakcję na bolesne zdarzenie? - Zamilkła na chwilę. - Beatriz przecierpiała w swoim krótkim życiu tyle nieszczęść, że mogło ją to skrzywić. Pamiętasz, jak niewielkie wrażenie zrobiła na niej śmierć męża? Jej reakcja przypominała raczej radość. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że mogła mieć w tym udział? Bo mnie owszem, choć z oczywistych powodów to ukrywałam. Czy teraz wydaje ci się to bardziej prawdopodobne?

- Może. Gwałtowna utrata rodziców mogła mocno nią wstrząsnąć.

- Patrząc na śmierć matki w wieku jedenastu lat!

- A potem jeszcze to, co spotkało Braulia... - pociągnął Joaquín.

- Mojego Braulia... - Oczy Marii Emilii zaczerwieniły się z żalu. - I straciła też swoje dziecko. Jakie jeszcze nieszczęścia mogłyby ją spotkać, Joaquinie?

- Zgadzam się, że jej życie było ze wszech miar dramatyczne, lecz żeby robić z niej morderczynię...

- Czy to nie ojciec Parejas złożył donos na jej ojca?

- Oczywiście, już o tym mówiliśmy.

- I czy jezuita Castro nie był również obecny tamtej nocy?

- Owszem, lecz do tamtego zabójstwa przyznali się już masoni.

- A krzyże świętego Bartłomieja? To ona wskazała mi ich znaczenie.

- To tylko domysł, Mario. Ty również zastanawiałaś się nad symbolami z tamtych zabójstw, a nawet nadałaś im znaczenie, które potem okazało się właściwe, jednak nie uczyniło cię to morderczynią.

- Pamiętasz, jak zginęła jej matka?

- Zdaje mi się, że w nieszczęśliwym wypadku. Jeden z inkwizytorów szarpał się z nią i przypadkowo dźgnął ją sztyletem, który tragicznym zbiegiem okoliczności trafił w serce.

- Czy z hrabiną de Valmojada nie było tak samo? A teraz z księdzem Parejas?

- Na pewno, i choć przyznaję, że zbieżności są duże, to trudno mi uwierzyć, że mogłaby to być prawda.

- Wyobraź sobie, co czuję ja, która uważam się nie tylko za jej przyjaciółkę, lecz niemal drugą matkę.

Kiedy znaleźli się jakieś sto metrów od pałacu hrabiów de Benavente, zmienili temat i zaczęli zastanawiać się, jak przekazać przyjaciółom wieści o smutnym zdarzeniu, którego bohaterem był ich kapelan.

Hrabia przyjął ich na schodach, które prowadziły do domu, z widocznymi oznakami zmęczenia na twarzy. Najpierw odpowiedział na ich pytania o Faustinę, wyrażając przy tym niepokój z powodu ogólnego pogorszenia jej stanu, tak duchowego, jak fizycznego.

- Ten koszmar, przez który musiała przejść, zdołał pokonać jej wrodzoną siłę. Wedle tego, co mi opowiadała, bała się wtedy tak bardzo, że wręcz pragnęła szybkiej śmierci. Co noc miewa potworne koszmary, które nie pozwalają jej wypoczywać - ani mnie. Budzi się po pięć i sześć razy, cała przerażona i spocona. Lecz jeszcze bardziej martwią mnie jej rany, zwłaszcza te na rękach: wyglądają okropnie, poczerniały i wydzielają silny, nieprzyjemny odór. Lekarz mówi, że jeśli nie zdoła szybko zatrzymać infekcji, będzie musiał amputować jej dłoń. Co za nieszczęście!

- Przykro mi, że przynoszę kolejną złą wiadomość, która tobą wstrząśnie, Francisco - powiedział Trévez.

- Co jeszcze może nas spotkać? - Hrabia popatrzył na niego smutno, niezdolny do ukrycia minorowego nastroju.

- Dziś rano znaleziono zabitego ojca Parejasa.

- Słucham? - Francisco usiadł w fotelu, wstrząśnięty wieściami. - To niemożliwe...

- Jak na razie wiemy jedynie, że zanim go zabili, zadali mu niezliczone rany na całym ciele. Nie mam pojęcia, kto mógł popełnić taką potworność. Rozumiesz, jakie to skomplikowane, skoro śledztwo w sprawie poprzednich zbrodni zostało zakończone i jeden z masonów nie żyje, drugi jest w więzieniu, a obaj Cyganie znajdują się w bezpiecznym miejscu.

- Boże Świąty, nie wiem, jak ja to powiem Faustynie: ona go uwielbiała.

W oczach hrabiego pojawiło się nieznośne napięcie. Trévez spróbował pokrzepić przyjaciela, klepiąc go z troską w przygarbione plecy.

- Pamiętasz te dziwne symbole, które pojawiły się na dłoniach hrabiny de Valmojada?

- Mężczyzna kiwnął głową. - No więc pojawiły się również na rękach twojego księdza, a także w jakichś piętnastu innych miejscach na jego ciele.

- Kilka dni temu - wtrąciła Maria Emilia - twoja córka Beatriz powiedziała mi, że mogą to być krzyże świętego Bartłomieja: bardzo stary symbol, którego podobno używali pierwsi chrześcijanie, by ochronić się przed szatanem...

- Kiedy ci o tym mówiła? - Z jakiegoś powodu Francisco przypomniał sobie bandaż, które pokrywały dłonie dziewczyny tego dnia, kiedy uratowali Faustinę.

- Podczas pogrzebu hrabiny de Valmojada...

- A kiedy ostatnio widziałaś Beatriz? - Przypomniał sobie również dwuznaczną odpowiedź córki, kiedy o nie spytał.

- Właśnie wtedy - Maria Emilia dobrze znała Francisca i wiedziała, że coś mu chodzi po głowie. - Zauważyłeś w niej coś, co zwróciło twoją uwagę?

- Tak. Jej dłonie.

- Co z nimi? - spytał Trévez.

- Tego dnia, kiedy uwolniliście Faustinę, miała je zabandażowane, a gdy spytałem o przyczynę, odparła, żebym się nie przejmował. Nie mogłem jednak zrozumieć tego, co powiedziała potem: że chce się ochronić.

- Czy mogła ukrywać te same krzyże, o których mówiła? - spytała go poruszona Maria Emilia.

- Nie wiem, ale dziś już ich nie miała. Zwróciłem na to uwagę, kiedy przyszła.

- Była u was?

Marię Emilię przeszył strach.

- Jeszcze tu jest. U swojej matki, w towarzystwie tej służącej, którą tak ceni.

- Na Boga, Francisco, chodźmy do nich natychmiast! - Kobieta podniosła się gwałtownie.

- Ale co się dzieje? Nie rozumiem was...

- Najlepiej będzie, jeśli z nią porozmawiamy - przerwał Trévelez. - Może dojść do czegoś strasznego.

We trójkę wbiegli po schodach do sypialni Faustyny. Trévelez, który podążał przodem, modlił się, by ich podejrzenia okazały się bezpodstawne.

Drzwi były zamknięte od środka. Zawołali kilka razy, ale nie otrzymali żadnej odpowiedzi. Trévelez rozkazał pozostałej dwójce się odsunąć, po czym spróbował je wyważyć. Bez powodzenia. Poprosił o pomoc Franciscisca, aż w końcu przy trzecim podejściu im się udało. Wpadli do pokoju, po czym zaniemówili na widok odgrywającej się w nim sceny.

- Nie ruszajcie się stamtąd albo ją zabiję!

Głos należał do Beatriz. Klęczała na łóżku za plecami pobladłej Faustyny i trzymała przy jej piersiach sztylet. U jej boku znajdowała się Amalia z drugim małym sztylecikiem, za pomocą którego kreśliła na skórze hrabiny krzyż.

- Beatriz! - krzyknął jej ojciec z wściekłością i bez wahania podszedł bliżej.

- Ojczy, jeśli zrobisz jeszcze jeden krok, wbiję jej ten sztylet. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek przeszkodził w spełnieniu mego przeznaczenia.

Ścisnęła sztylet i cienki strumyczek krwi zaczął wyciekać z miejsca, w którym czubek stali dotykał skóry Faustyny.

- Pozwólcie jej to zrobić! - hrabina odwróciła głowę, by odszukać zimne spojrzenie Beatriz. - Jeśli to cię uszczęśliwi, zabij mnie, moje kochanie. - Wolną dłonią chwyciła pięść Beatriz i pchnęła ją ku sobie.

- Jeszcze nie teraz... - odparła tamta. - Najpierw chcę, byś mnie wysłuchała, ty i wy wszyscy, aby ostatnie słowa, które usłyszysz w tym życiu, należały do mnie.

- Nie pozwolę na dalszy rozlew krwi - przerwał jej Trévelez, uznając, że Faustina musi poznać prawdziwe oblicze swej córki. - Nie wystarczyło ci to, co zrobiłaś z ojcem Parejasam, Beatriz? Albo z hrabiną de Valmojada? - Chciał zmusić dziewczynę, by zaczęła o

tym mówić, gdyż wszystko, co odwróciłoby na parę sekund jej uwagę, mogło dać mu szansę, by rzucić się na nią i przeszkodzić w zbrodniczych zamiarach.

- Co się stało z ojcem Parejasem? - spytała Faustina. Teraz bolały ją nie tylko rany, które właśnie zadała jej Amalia na rękach, nogach i ramionach. Bolało ją również serce. Wstrząsnęło nią to, co stało się z jej córką.

- Zabiłyśmy go wspólnie. - Beatriz spojrzała z dumą na Amalię. - Był po prostu nieczystym szcurem, który może być jedynie wdzięczny, gdyż dzięki tym krzyżom pan ciemności go opuścił. Otrzymał tchnienie szczęścia, jak to się stało również ze mną. - Pokazała im blizny w formie krzyża na swych dłoniach i zwróciła się do Faustyny. - To ty doprowadziłaś do śmierci mej prawdziwej matki, Justyny. Pamiętam, jak weszłaś do pokoju moich rodziców, gdy przyciskałam ją do siebie, sądząc, że w ten sposób życie jej nie opuści. Lecz nie udało mi się, a kiedy w jej niewidzącym spojrzeniu ujrzałam śmierć, przysięgłam jej, że któregoś dnia ktoś za to zapłaci, i to właśnie się dziś stanie. Wczoraj odpłaciłam ojcu Parejasowi, a kilka dni wcześniej hrabinie de Valmojada, która tak jak ty doprowadziła wraz z mężem do prześladowań masonów, przez co mój ojciec został aresztowany i umarł.

- Córeczko moja, wiesz, że cię kochamy. Zapewniam cię, że każdego dnia nienawidzę się za to, co tam się stało - wyznała jej Faustina - i że próbowałam wynagrodzić ci to całą swoją miłością. Jesteś chora, mój skarbie, pozwól sobie pomóc.

Amalia zauważyła dziwny ruch Treveleza i pojęła jego zamiary. Zdecydowanym ruchem skierowała nóż w oko Faustyny, dając do zrozumienia, co się stanie, jeśli sędzia ruszy się z miejsca.

- Gdzie była ta miłość, kiedy zabiłaś moją przyszłość u boku Braulia i ułożyłaś inną, z księciem de Llanes?

- To było dla twojego dobra - przerwał jej Francisco, który wręcz wychodził z siebie ze strachu na widok tej niewiarygodnej sceny.

- Niczego nie wiecie o tym, co dobre, a co złe. A ja wiem, on mnie tego nauczył.

- Kto? - spytała ją Maria Emilia.

- Ten, który jest mroczny, przeklęty, który działa w nas wszystkich od początku czasów, który karmił mnie, od kiedy straciłam rodziców. Dzięki jego natchnieniu nauczyłam się wszystko rozumieć, pojęłam, że z mych cierpień wydobędę szczęście, a z bólu - ostateczny sens mego istnienia. Nie macie nawet pojęcia, jaka to radość, kiedy widzi się wyraźnie, co trzeba uczynić. Nauczyłam się, że zemsta to najczystsze z uczuć, że oczyszcza serce z innych, prostszych i głupich emocji, które wam wydają się najważniejsze.

Jej spojrzenie wydawało się odległe, zahipnotyzowane. Patrzyła na nich, jakby była obca, jakby była opętana.

- Jesteś szalona - stwierdził Francisco, wstrząśnięty błuznierstwami, które wychodziły z jej ust.

- Nieprawda, ja tylko oddaję się wolno swemu przeznaczeniu. Zaraz to zrozumiesz. - Spojrzała na swoją służącą. - Amalio, nadszedł czas, by zobaczyli obraz.

Dziewczyna odeszła od łoża i wyciągnęła z torby płótno, które następnie wszystkim pokazała.

Ku swemu zaskoczeniu ujrzeli, że były na nim namalowane twarze ojca Parejasa, jezuity Castro oraz hrabiny de Valmojada. Na środku klęczała kobieta z obliczem Faustyny, z ostrzem sztyletu w piersiach. Za jej plecami zaś stała postać, która przypominała Beatriz. Podobieństwo obrazu ze sceną, którą właśnie oglądali, było równie zaskakujące, co niepokojące.

- Któregoś dnia zobaczyłam obraz podobny do tego, namalowany przez Paola Veronese. Zrozumiałam, co powinno być jedynym dążeniem mego życia: ukoić się zemstą. - Beatriz mówiła powoli, lecz bez wahania. - Oryginał przedstawiał męczeństwo świętej Justyny. To ona znajduje się na nim w centrum, podczas gdy pięć pozostałych postaci ogląda jej śmierć z minami pełnymi pogardy bez śladu współczucia. Dwie po każdej stronie, ostatnia zaś wbija Justynie sztylet, który jest narzędziem jej śmierci. Gdy zdałam sobie sprawę, że święta nosiła takie samo imię jak moja matka i że zginęła w ten sam sposób, było to tak, jakbym znalazła się przed obrazem, który ujrzałam tamtej fatalnej nocy w domu markiza de la Ensenada. Od tamtej pory zaczęłam kopiować to malowidło, lecz z innymi twarzami: twarzami ludzi, którzy przyczynili się do śmierci mej matki, i na których postanowiłam zemścić się w jej imię. Dziś obraz ten znowu stanie się rzeczywistością.

Trévez pomyślał, że innej szansy nie będą mieli. Amalia odwróciła się od nich, by schować obraz do futerału, Beatriz zaś zdawała się skupiać na czymś innym. Dał znak hrabiemu i w jednej sekundzie rzucili się na obie kobiety.

Joaquín skierował się w stronę Beatriz i zdołał akurat powstrzymać jej rękę, zanim zadała cios Faustynie. Maria Emilia chwyciła przyjaciółkę za ramiona i szarpała ze wszystkich sił, dopóki nie ściągnęła jej na podłogę, z dala od zażartej walki, którą toczyło tamtych dwoje.

Amalia z krzykiem usiłowała wyrwać się z żelaznego uchwytu hrabiego, który przyciskał ją do podłogi. Pozbawiona noża, który wpadł w ręce Francisca, użyła jako broni paznokci, posługując się nimi z gwałtownością dzikiego zwierzęcia, aż w końcu otrzymała silny cios w skroń i padła bez czucia.

Trévelez tarzał się z Beatriz po łóżku, nie tracąc z oczu ostrego sztyletu, który dziewczyna wciąż trzymała w rękach. W chwili jego nieuwagi zdołała wbić mu go w udo z taką siłą, że Trévelez odruchowo krzyknął z bólu i puścił jej ramiona. Dwoma pewnymi ruchami Beatriz zraniła go jeszcze w ramię i niemal dosięgła szyi.

Trévelez krwawił obficie z obu ran, lecz nie wyglądało na to, by zamierzał zrezygnować z walki. Z większym zapalem niż ostrożnością rzucił się na dziewczynę od nowa, zdecydowany za wszelką cenę ją obezwładnić. Beatriz ruszała się z większą zręcznością i szybciej; zdołała ciąć go jeszcze w podbrzusze, a także w plecy.

Maria Emilia i Faustina przyglądały się tej rzezi ze łzami, skamieniałe z przerażenia.

Beatriz jakby straciła rozum, popadła w stan nieopanowanego szaleństwa.

Z okrutnym uśmiechem spojrzała przelotnie na obie kobiety, nie przestając zadawać nowych ran Trévelezowi, który nie był już w stanie opierać się przed spadającymi na niego ciosami.

Naraz Francisco rzucił się na córkę i zdołał obezwładnić ją od tyłu. Ścisnął ją ramionami, unieruchamiając jej ręce, a tym samym także sztylet. Choć dziewczyna szarpała się z furią, siła hrabiego zdołała ją okiełznać. Ostatim ruchem Beatriz wykręciła nadgarstek i skierowała ostrze stali we własne serce.

Faustina krzyknęła, zdając sobie sprawę z jej intencji, lecz Francisco nie zorientował się, co miało to oznaczać.

W samą porę podbiegła do nich Maria Emilia, chwyciła rękę Beatriz i odebrała jej sztylet, który miał zakończyć życie dziewczyny. Tym sposobem zdołała przeszkodzić jej w odmalowaniu na ich oczach ostatniego obrazu, którego widzami znowu byłoby pięć osób, jak na malowidle Veronesa lub w scenie śmierci jej matki.

Beatriz wydała z siebie wrzask furii i głębokiego bólu, złamana udaremnieniem zemsty na Faustynie i na sobie samej, gdyż tak to postrzegała: uważała, że jest związana przeznaczeniem z losem swej matki.

Wyzwolona już z ramion przybranego ojca, rzuciła się z łkaniem na łóżko.

Faustina podeszła do córki i objęła ją mocno. Wśród łez wybaczyła jej całe zło, jakie Beatriz wyrządziła, i całowała ją nieustannie, by zmiękczyć twardość jej serca, by stopić okrucieństwo, które zapanowało nad jej duszą.

Nieczuła na jej słodycz Beatriz szepnęła do niej bezlitośnie:

- Przysięgam, że któregoś dnia twoja krew zapłaci za mój ból.

Klasztor Węglarnia. Madryt Rok 1751

12 grudnia

- Jak mówiłam, Beatriz wydaje się oswajać z naszym świętym domem. Nie zapominamy jednak o waszych zaleceniach i nadal trzymamy ją w odosobnieniu, bez żadnego kontaktu z pozostałymi siostrami. Nie dopuszczamy do niej żadnego przedmiotu, za pomocą którego mogłaby zrobić sobie krzywdę, ale skuta jest już tylko podczas spacerów. Uznałyśmy te środki bezpieczeństwa za konieczne, by nie dopuścić do powtórzenia tamtych brutalnych incydentów, które miały miejsce po jej przybyciu, kiedy to zraniła jedną z sióstr w rękę podczas posiłku w refektarzu. Poza tymi ograniczeniami proszę mi wierzyć, że robimy wszystko, by było jej wśród nas dobrze. W tym tygodniu udostępniłyśmy jej nowe książki, bo zdaje się wręcz je pożerać. Dałyśmy jej również tamte obrazki, które panie nam przyniosły podczas poprzedniej wizyty.

Przełożona patrzyła z najgłębszym współczuciem na smutną twarz pięknej hrabiny de Benavente oraz jej przyjaciółki Marii Emilii Salvadores, które - jak w każdy wtorek i czwartek od dwóch miesięcy - przybyły, by dowiedzieć się o stan Beatriz.

- Trudno mi sobie wyobrazić, jak istota tak krucha i delikatna mogła popełnić tak straszne czyny. - Zaawansowany wiek siostry Begonii oraz jej kontemplacyjna natura uczyniły z niej kobietę pełną słodyczy i dobroci, niezdolną do pojęcia takiego zła.

- Dzisiaj upływa pięć lat od śmierci jej matki, kiedy zaczęło się jej szaleństwo. Pyta czasem o mnie? - chciała wiedzieć Faustina. Wciąż nie do końca rozumiała, a tym bardziej nie mogła się pogodzić z umyślowymi zaburzeniami córki, a choć ta separacja była konieczna, to niemożność pomocy Beatriz rozdzierała jej serce. Hrabina wolała nie pamiętać o tym, że dziewczyna niemal ją zabiła i groziła, iż uczyni to w przyszłości. Miłość przewyciężyła wszelką urazę.

- Przykro mi to mówić, ale nie. Ledwo co się odzywa, a kiedy już to robi, wspomina tylko o Amalii, jak mówiłam przy poprzednich okazjach.

Maria Emilia spojrzała z przygnębieniem na Faustinę. Ujęła jej dłoń, by pocieszyć przyjaciółkę w smutku.

Amalię spotkał gorszy los niż Beatriz. Zamknięto ją w więzieniu, jak jej ojca oraz wuja, i stała się jedyną oskarżoną o morderstwo hrabiny de Valmojada oraz ojca Parejasa. Wpływy markiza de la Ensenada i działania ozdrowiałego Treveleza nie rozciągnęły się na Cyganek; obchodziło ich tylko uratowanie Beatriz. Jej pogorszony stan psychiczny zwalniał ją z wszelkiej odpowiedzialności za zabójstwa. Zalecono jedynie prewencyjne odosobnienie w klasztorze, w nadziei na przyszłe ozdrowienie.

- Mogłybyśmy ją zobaczyć? - spytała Faustina, pewna, że otrzyma odpowiedź negatywną.

- Wiecie panie, że to niedozwolone, ale tak wam współczuję, że zabiorę was dziś do jej celi: będziecie mogli zobaczyć ją przez okienko.

- Jest matka taka dobra... - Faustina uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Dziękujemy - dodała Maria Emilia.

Ruszyły przed siebie. Rany na rękach i nogach Faustiny zaczynały się goić, lecz hrabina wciąż musiała podpierać się laską przy chodzeniu. Kiedy szły przez krużganki i długie korytarze, które prowadziły do celi Beatriz w klauzurze, siostra Begonia objaśniała im, czym zajmował się klasztor, który - jak tyle innych - utrzymywał się z datków oraz pracy swych mieszkanek. W tym przypadku chodziło o doskonałą cukiernię, słynącą w całym Madrycie. Przełożona obiecała dać im paczkę wyrobów na spróbowanie, kiedy zakończą wizytę, na co kobiety z radością przystały, bardziej przez wzgląd na dobroć zakonnicy niż z ochoty na słodycze; nic nie mogłoby osłodzić im goryczy.

Faustina nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na niewyjaśnioną przemianę córki. Jej własna dobroć nie pozwalała jej zrozumieć, w jaki sposób dziewczyna mogła z zimną krwią zabić dwie znane sobie osoby, nie okazując potem żadnych wyrzutów sumienia. Usiłowała nawet zadać śmierć przybranej matce. Hrabina rozmawiała o tym z Marią Emilią, lecz nie zdołała pojąć rozumowania Beatriz. Choć przyjaciółka tłumaczyła jej nikczemny wpływ, jaki wywiera na ludzką wolę uczucie tak potężne jak chęć zemsty (która bez wątpienia do głębi przeniknęła duszę dziewczyny i którą Maria rozpoznała także u siebie w najbardziej krytycznych momentach niedalekiej przeszłości), to Faustina nadal nie pojmowała prawdziwego znaczenia jej słów.

Kilka tygodni wcześniej obie sprzeciwiły się odprawieniu nad Beatriz egzorcyzmów przez królewskiego spowiednika Ravaga i inkwizytora generalnego Pereza Prado. Upierali się oni, że tylko ręka szatana mogła napęlić dziewczynę taką niegodziwością.

W całym emocjonalnym zamęcie, którego doświadczali wszyscy w tych dniach, jedna tylko dobra nowina zdawała się rekompensować bolesne zdarzenia: Trévez, który po licznych ciosach zadanych ręką Beatriz znalazł się na granicy śmierci, zdołał wydobrzeć na tyle, by poprosić Marię Emilię o rękę.

Faustina pomyślała, że miłość zdołała jednak przetrzeć sobie drogę wśród całego zła, i cieszyła się z tego, choć w jej sercu niewiele zostało miejsca na takie uczucia.

- ...a jak widzicie, w tym ostatnim korytarzu jest tylko dwoje drzwi: moje i Beatriz. Teraz prosilibym, byście panie zachowały ciszę, żeby nie zdała sobie sprawy z waszej obecności.

Siostra Begonia bardzo ostrożnie uchyliła okienko, przez które można było zajrzeć do wnętrza celi.

Faustina nie zdołała się opanować i pospiesznie zajrzała przez wąską szparę. Ujrzała Beatriz w zakonnym habicie, z długimi włosami rozpuszczonymi, z twarzą rozświetloną promieniem słońca, który wpadał przez okno. Siedziała na krześle, a przed sobą miała płótno, którego hrabina nie była w stanie zobaczyć.

- Ona maluje... - szepnęła do pozostałych. - Moja maleńka. Wydaje się taka spokojna...

Beatriz nie zauważyła matki, lecz w tej właśnie chwili była ona obecna w jej myślach. Pędzelek prześlizgiwał się po powierzchni nowego obrazu, podobnego do tamtego, który musiała porzucić, nie skończywszy go.

Słuchała śpiewu szczygła za oknem, a razem z nim tego przyjaznego głosu, który mówił z jej wnętrza o nowej misji: misji, która na zawsze uwolni ją od cierpień.

Utkwiła spojrzenie w twarzach postaci, które znajdowały się na obrazie. Ponownie namalowała hrabinę de Valmojada, ojca Parejasa, jezuitę Castro i siebie. A także Faustinę, która zajmowała główne miejsce: to, na którym u Veronesa znajdowała się święta Justyna.

Tamtej fatalnej nocy, kiedy przyszli do domu markiza de la Ensenada po jej ojca, było tam obecnych pięć osób, na jej zaś obrazie łącznie z Faustina znajdowało się teraz sześć. Tylko trzy z nich zasmakowały łaski śmierci. Pozostałą trójkę czekał podobny los, gdy tylko będzie mogła wyjść z tego zamknięcia.

Ów znajomy głos, jego głos, przemówił do niej jeszcze raz:

- Beatriz, nie mam imienia ani twarzy. Przychodzę do ciebie jako twój pan. Musisz mnie słuchać i wypełnić mą wolę. Jeśli to uczynisz, zyskasz nieskończony spokój, a twoje serce na zawsze wypełni się szczęściem. Ci ludzie, których twarze właśnie namalowałeś i które nie zostały jeszcze naznaczone krzyżem świętego Bartłomieja, przyniosą ci największą ulgę. Jesteś moją posłanniczką i jako taką obarczam cię misją odebrania im życia, byś przez to ujrzała swoje nieszczęście odkupionym.

Faustina, Maria Emilia i siostra Begonia usłyszały straszny, niepojęty krzyk, który dobiegł z pokoiku, mroząc im krew w żyłach.

- To będzie moja misja, kochany mój. Przysięgam, że oddam swoje życie tej jednej sprawie. Zabiję ich.

Podziękowania autora

Moja wdzięczność należy się przede wszystkim oficjalnemu kronikarzowi miasta Madrytu, don Jose del Corrala, którego wspomniała książka *Życie codzienne w osiemnastowiecznym Madrycie* przydała mojej opowieści kolorytu. Bogactwo zawartych informacji i świetna proza czynią z niej obowiązkową lekturę dla każdego, kto pragnie zgłębić tajniki Madrytu epoki Burbonów.

Muszę również wspomnieć o dogłębnym studium *Hiszpańscy Cyganie* dotyczącym Cyganów w ogólności, a szczególnie ich sytuacji w XVIII wieku. Książka ta wydana została przez wydawnictwo Castellote, a jej autorką jest dona Maria Helena Sanchez. Bez jej wyjątkowej analizy bardzo trudno byłoby mi zrozumieć, jak wyglądały represje Cyganów za rządów Ferdynanda VI.

Równie cenne były informacje o tym pasjonującym okresie, które znalazłem w *Hiszpanii wieku XVIII* historyka Johna Lyncha, oraz w kompilacji esejów pod redakcją Ricarda Garcii Carcela, Virginii Leon, Jaimego Tortelli, Lluísa Roury i Bernarda Hernándezza w książce *Historia Hiszpanii, wiek XVIII* noszącej podtytuł *Hiszpania Burbonów*, wydanej przez wydawnictwo Cátedra.

Dziękuję wspomniałemu psychiatrze don Angelowi de Vicente za jego chętnie i cierpliwe objaśnienia na temat genezy i rozwoju psychozy oraz zachowań, których można się spodziewać po cierpiących na nią ludziach. Jego doświadczenie posłużyło mi za pomoc w nakreśleniu złożonej osobowości jednej z postaci w tej książce.

Z powodu tajemnicy, która okrywa zazwyczaj masońskie rytuały, byłem zmuszony wyobrazić sobie ceremonię przyjęcia czeladnika, opisaną w drugim rozdziale powieści, odwołując się do rytuałów loży Thebah, których opisy można znaleźć w Internecie. Daleko mi do znajomości tego stowarzyszenia od wewnątrz, starałem się jednak opisać jego skomplikowane rytuały w taki sposób, by przedstawić czytelnikowi scenę, która jeśli nawet nie jest rzeczywista, to może przypominać prawdę.

Wreszcie muszę oddać hołd wnikliwej pracy don José Luisa Gómeza Urdáñeza na temat działań i zdarzeń, które miały miejsce między rokiem 1752 a 1763 w Domu Miłosierdzia w Saragossie, gdzie odgrywa się jedna ze scen powieści. Wykorzystałem część podanych przez niego wyczerpujących informacji, by uwiarygodnić opis pewnych zajęć, które tam zawarłem.

Wszyscy ci ludzie zdołali obudzić we mnie głębokie pragnienie zrozumienia burzliwych wydarzeń wieku, który miał ogromny wpływ na przyszłość Hiszpanii.